

ELŻBIETA DĄBROWICZ

**Cenzura na gruzach.
Szkice o literackich
świadczeniach życia w PRL-u**

Białystok 2017

Rodzicom

Recenzenci:

Dr hab. Wojciech Browarny prof. Uniwersytetu Wrocławskiego

Prof. dr hab. Jerzy Smulski (Uniwersytet Mikołaja Kopernika)

Redakcja: Elżbieta Dąbrowicz, Anna Szerszunowicz

Korekta: Anna Szerszunowicz

Projekt okładki: Paweł Płachecki

Praca naukowa finansowana w ramach programu Ministra Nauki i Szkolnictwa Wyższego pod nazwą „Narodowy Program Rozwoju Humanistyki” w latach 2012-2017



**NARODOWY PROGRAM
ROZWOJU HUMANISTYKI**

Copyright by Uniwersytet w Białymstoku, Białystok 2017

ISBN 978-83-64081-37-8

Druk i oprawa:

Alter Studio

ul. Legionowa 30 lok. 211

15-281 Białystok

NIP 966-112-60-27

tel/fax. 85 72 22 545

e-mail: biuro@alterstudio.com.pl

www.alterstudio.com.pl

Spis treści

Słowo wstępne	7
I. Ciągłość i zmiana. Stefan Kisielewski wobec przełomu 1989 ..	15
II. Rejon wolnego słowa. Urząd cenzury od środka	31
III. Terror aktualności. Na marginesie „wykazu książek podlegających niezwłocznemu wycofaniu” z 1951 roku	49
IV. Drugie życie. Jasienica jako pisarz politycznie użyteczny	67
V. <i>Rojsty</i> 1956 / 2010. Kilka uwag o piętnie sprawczym cenzury ..	95
VI. „Litwini”. Okoliczności powojennych debiutów	117
VII. Klika i krzywda. Wokół dyskursu odwilżowego	141
VIII. Wozwraszczeniec. Stanisław Cat-Mackiewicz w PRL-u	163
IX. Zemsta liszeńca. Wokół <i>Porachunków osobistych</i> Leopolda Tyrmanda	177
X. Migracje Iwaszkiewicza jako dylemat biografistyki	205

XI. Białostockie tabu. Wokół książki Marcina Kąckiego	223
XII. Racje autochtona. <i>Białoruś, Białoruś</i> Sokrata Janowicza	245
XIII. Próba niecenzuralnej opowieści o regionie: Podlasie jako „resztką”	265
XIV. Celebra klęski. Sierpniowe rocznice pod nadzorem	305
Ex post	327
Nota bibliograficzna	331
Bibliografia (wybór)	333

Słowo wstępne

Mogłoby się zdawać, że PRL legł w gruzach już dawno – dorosło wszak pokolenie, które go bezpośrednio nie doświadczyło. Można by się też spodziewać, że odstęp dwudziestu i więcej lat pozwala spojrzeć na przeszłość w sposób bardziej niż w minionych latach wyważony, mniej emocjonalny czy interesowny. Zwłaszcza, że powstała niemałych rozmiarów literatura naukowa odnosząca się do PRL-owskich realiów i wytworów, uznająca rok 1989 za mocną cezurę – granicę epok. Naturalny upływ czasu nie sprawia jednak, że zjawiska minione trafiają tym samym do biura rzeczy zapomnianych. Wciąż przecież trwają w najlepsze rozliczenia z PRL-owską przeszłością. W domenie publicznej nadal wraca wątek ich niedopełnienia. Co więcej, zmagające się dziś ze sobą strony politycznego sporu używają PRL-u do wzajemnej dyskredytacji. Jednych ma obciążać to, że w 1989 roku weszli w porozumienie z komunistami, drugich, że fundują nam powrót do „demokracji” w stylu PRL-owskim. Zdarzają się też nagłośnione medialnie dyskusje o ambicjach intelektualnych, w których PRL odgrywa ważną rolę, np. w związku z wieloaspektowo traktowanym zagadnieniem modernizacji¹. Krótko mówiąc, badacz zaglądający w PRL-owskie rewiry naraża się na daleko posuniętą zależność od chwili bieżącej, wcale niełatwo przychodzi mu uzyskanie i utrzymanie bezstronności, jaka skądinąd winna cechować rekonstrukcję historyczną.

¹ Myślę o książce Adama Leszczyńskiego *Skok w nowoczesność. Polityka wzrostu w krajach peryferyjnych 1943-1980*, Warszawa 2013 czy o Andrzeja Ledera *Prześlonej rewolucji. Ćwiczeniach z logiki historycznej*, Warszawa 2014.

Co do mnie, z miejsca acz bez entuzjazmu godzę się na obydwie te ograniczenia. Mało tego, ujawniam jeszcze jedno, wynikające z moich osobistych, lecz nie jednostkowych, doświadczeń.

Książkę, którą czytelnikom oferuję, pisałam najpierw dla siebie samej, czyli dla kogoś, kto sporo lat w PRL-u przeżył, kto się w nim wyedukował, ale kto niedługo potem musiał odnajdywać się w świecie międzyludzkim, który przynajmniej deklaratywnie z PRL-em nie chciał mieć nic wspólnego. Jestem kimś, dla kogo czasy PRL są czymś więcej niż wspomnieniem dzieciństwa, bo również okresem wchodzenia w dorosłość, edukacji uniwersyteckiej i początków pracy zawodowej na wyższej uczelni. Spoglądam na tę epokę jako na czas m.in. niedoboru wieloźródłowych informacji, trudności z dostępem – także ze względów finansowych – do cennych książek, o których z innych lektur wiedziało się, że istnieją i do takich, których istnienia nawet się nie podejrzewało (mimo nawet drugiego obiegu czy też, rzadziej, kontaktów prywatnych). W humanistyce pracowało się w zgrzebnych realiach zakłócanego kontaktu z rodzimym dziedzictwem kulturowym i daleko posuniętej izolacji od bogatego problemowo oraz metodologicznie dorobku humanistyki zachodniej². Wszystko to dawało się we znaki dotkliwiej w prowincjonalnym miasteczku czy nawet w średniej wielkości mieście wojewódzkim (choćby w Białymstoku) niż w stolicy czy większych aglomeracjach miejskich. Z deficytami, o których mowa, rzecz jasna wiąże się nieodłączne od dziejów PRL-u funkcjonowanie cenzury prewencyjnej.

Moim wstępnym założeniem jest właśnie uznanie cenzury za elementarny, fundamentalny, niezbywalny element PRL-u jako uniwersum kulturowego.

Zagadnienie to – uważam – należy brać pod uwagę, bez względu na to, jakie kwestie szczegółowe dotyczące Polski Ludowej chciałoby się omawiać, od gospodarki po kulturę³. Nie da się nie zauważyć, że badania

² O niedoborze jako stałym atrybucie gospodarki komunistycznej pisał węgierski ekonomista János Kornai (*Economics of Shortage* 1980, przekł. polski, pod niezbyt precyzyjnym tytułem: *Niedobór w gospodarce*, Warszawa 1985). O gospodarce niedoboru pisali też polscy historycy. W. Roszkowski, *Gospodarka. Wzrost i upadek systemu nakazowo-rozdziałczego*, Warszawa 2008; J. Kaliński, *Gospodarka w PRL*, Warszawa 2012.

³ Zakres cenzurowania tematyki gospodarczej sprawiał, że z publikacji dostępnych w oficjalnym obiegu nie można się było dowiedzieć zgoła niczego z tej dziedziny, żeby nie ułatwiać zadania

nad cenzurą PRL-owską osiągnęły znaczny już stopień zaawansowania. Lista bibliograficzna książek i artykułów stanowi spore wyzwanie dla zainteresowanego czytelnika. Prześlędzono akty prawne regulujące działania cenzury, zgłębiono strukturę, organizację i metody pracy urzędu w różnych okresach jego istnienia, omówiono sporo konkretnych przypadków praktyk cenzorskich w odniesieniu do wybranych autorów, dzieł literackich, gazet i czasopism, spektakli teatralnych, filmów etc. Z efektów poznawczych cudzej aktywności naukowej nieraz przyszło mi korzystać we własnych poszukiwaniach. Zdecydowanie częściej odnosiłam się do nich z aprobatą niż krytycznie. Nie jest też moją intencją proponowanie radykalnego zwrotu w badaniach nad cenzurą; nie wydaje mi się w tej chwili potrzebny. Zależy mi raczej na tym, aby problematyki tej nie traktować jako dziedziny osobnej, zarezerwowanej dla grupy uczonych skłonnych z większą niż inni determinacją wertować stosy archiwalnej makulatury, i to kosztem obcowania z prawdziwą, najlepiej wysoką literaturą. Zagadnienie cenzury obchodzić powinno w s z y s t k i c h b e z w y j ą t k u przystępujących do badań nad piśmiennictwem i sztuką PRL-u. W jakiejś fazie swojej pracy każdy z zainteresowanych powinien co najmniej zapytać o cenzurę w związku z twórcami, których jego praca dotyczy. Oczywiście nie do przecenienia jest dorobek uczonych decydujących się w szerszym lub węższym zakresie na systematyczną kwerendę archiwalną, zawsze pracochłonną, rzadziej dającą szybką gratyfikację w postaci spektakularnych znalezisk.

Próbuję zagadnienie cenzury wyprowadzić ze specjalizacyjnej niszy inną jeszcze drogą, mianowicie łącząc myślenie o cenzurze PRL-owskiej jako urzędowej kontroli wszelkiego rodzaju wypowiedzi publicznych z trudniej uchwytnym zagadnieniem t a b u i z a c j i . Cenzura ukrywając swoje istnienie poniekąd symulowała lub też instytucjonalizowała mechanizm tabu kulturowego. Nie dopuszczając do druku treści wskazywanych w urzędowych drukach wewnętrznych jako zabronione i nie pozwalając na publiczny ogląd i krytykę samych decyzji tego rodzaju, narzucała wrażenie powszechnej zgody co do tego, o czym należy publicznie milczeć. Cenzura jako symulacja tabu stanowi tylko jedno z nasuwających się ujęć wspomnianego zagadnienia. Z tego punktu widzenia materiału płodnego

szpiegom zza „żelaznej kurtyny”. Utajniano np. lokalizację obiektów przemysłowych, przebieg tras kolejowych, informacje o eksporcie i imporcie, o cenach i płacach.

poznawczo dostarczają teksty obsługujące urząd cenzorski od środka. Funkcjonariusze urzędu nieskrępowani cenzurą bądź skrepowani nią daleko mniej niż PRL-owscy uczestnicy życia literackiego w elukubracjach takich wypowiadali się o swojej misji z najwyższą powagą (o jednej z wewnętrznych dyskusji piszę w szkicu II). Kwestią bodaj istotniejszą i trudniejszą do zidentyfikowania byłoby opisanie przypadków, kiedy cenzura sprzyjała utrwalaniu autentycznego tabu bądź też generowała praktyki quasi-cenzuralne tam, gdzie urzędowa kontrola wypowiedzi nie sięgała (publikacje emigracyjne, drugi obieg). Jeszcze innym zagadnieniem jest kwestia tabuizacji jako skutku wieloletniej cenzury czy jej residuum uwewnętrznionego przez twórców. W kręgu zagadnień rozpiętych między cenzurą a tabu sytuuję problem polskiego antysemityzmu, który w książce pojawia się w lokalnym, podlaskim wariacie w związku z kampanią na rzecz oświeclania ciemnych stron polskiej historii.

Sprofilowane w taki sposób badania nad PRL-em są ważne nie tylko ze względu na troskę o uporządkowanie przyrastających zasobów wiedzy naukowej. Mają one także znaczenie dla rozpoznania spadku kulturowego, jaki się dostał nam wszystkim, również tym, którzy PRL-u nie chcą albo nie mogą pamiętać, bo mają lat dwadzieścia czy niewiele więcej, a wśród których widzę też studentów białostockiej polonistyki (zwłaszcza specjalności regionalistycznej). Spadek ów czy brzemień wciąż nam nie raz i nie dwa przeszkadza w myśleniu i działaniu. Dlatego w swoim podejściu akcentuję wieloaspektową s p r a w c z o ś ć p r a k t y k c e n z u r a l n y c h , ich nierzadko rozstrzygający wpływ na kształt tekstów, losy pisarzy i ich dzieł, relacje międzyludzkie, podziały środowiskowe, wyobrażenia zbiorowe odnośnie do przeszłości historycznej, tożsamości narodowej, obywatelskiej i etnicznej. Dlatego za punkt wyjścia do rozważań nad tematami związanymi z PRL-em służy mi często pretekst podjęty z dzisiejszych kontekstów życia publicznego. Jest to również zabieg pozwalający na wielokrotne przekraczanie granicy PRL-u, granicy w sensie bariery czasowej stanowiącej odpowiednik granic przestrzennych, które w czasach PRL-owskich jak wiadomo były strzeżone równie pilnie, jak surowo reglamentowany przywilej mobilności zagranicznej. M i g r a c j a jest jednym z ważniejszych motywów tej książki. Nie tylko dlatego, że wśród bohaterów moich opowieści przeważają pisarze, których migracja

głęboko naznaczyła. Powodem bardziej istotnym jest genetyczna skaza PRL-u, państwa powstałego na skutek przesunięcia terytorialnego Polski w kierunku zachodnim. Jak wiadomo, wiązało się to z przemieszczeniem znacznej liczby ludności z dawnych kresów wschodnich, „ziem zabranych” (to określenie, utarte w polszczyźnie podzaborowej, cenzura konsekwentnie wykreślała), na nowe kresy zachodnie, „ziemie odzyskane”⁴. Dla wielu Polaków, których koniec wojny zastał na Zachodzie, argumentem, żeby do kraju nie wracać, był fakt, że ich małe ojczyzny znalazły się poza granicami Polski pojałtańskiej. Jednym z głównych zadań PRL-owskiej cenzury było ukrywanie, że PRL ma sporo wspólnego z ruchomymi wydmami, że jest tworem o wątych fundamentach geopolitycznych, wskutek czego pewnie nie czuje się tu nikt, łącznie z nieakceptowaną przez większość populacji władzą ludową. Zachwiane poczucie własności, przez co i tożsamości, przebija też w światoodczuciu zróżnicowanych narodowościowo mieszkańców dzisiejszego Podlasia, do którego w żadnej mierze nie przystaje tytuł popularnego filmu Jacka Bromskiego *U Pana Boga za piecem* (1998).

Dlatego w mniejszym stopniu interesuje mnie cenzura jako instrument opresji, w większym jako *m e c h a n i z m i p r o c e s k u l t u r o t w ó r c z y*. Nie znaczy to bynajmniej, abym oceniała jej rolę pozytywnie. Myśląc o „sprawczości” cenzury (sprawczość to nie twórczość ani kreatywność) nie uważam jej zresztą za determinantę jedyną czy najważniejszą. Stąd wybierając konkretnych pisarzy na bohaterów kilku spośród zebranych tu szkiców (m.in. Stefan Kisielewski, Paweł Jasienica, Stanisław Cat-Mackiewicz, Leopold Tyrmand) nie ograniczałam się do analizowania ich podchodów, potyczek czy po prostu mitręgi z cenzurą. Zawsze interesował mnie punkt zwrotny w pisarskiej karierze czy biografii, taki w którym cenzura odegrała istotną rolę, za każdym razem rzecz jasna inną. Podobnie, kiedy skupiałam się na konkretnych tekstach literackich (książka Jasienicy o powstaniu styczniowym, *Rojsty* Tadeusza Konwickiego), usiłowałam pokazać nie tylko i nie tyle to, jak cenzura je dewastowała, ile okoliczność, że skutkiem jej działania było namnażanie wersji tekstu autorskiego (?), co dziś stanowi niemałą trudność dla edytorów literatury pierwotnie publikowanej pod PRL-owską cenzurą⁵. Również sięgając po temat cenzurowania

⁴ Zresztą Ziemie Odzyskane wkrótce zastąpiono Ziemią Zachodnimi.

⁵ Kontrowersje wywołało np. nowe wydanie *Pamiętnika z powstania warszawskiego* Mirona

pamięci o przeszłości narodowej – *casus* powstania warszawskiego – nie koncentrowałam się jedynie na przemocy symbolicznej w rękach władzy, lecz wskazywałam na fenomen *rozdwojenia* form i scenariuszy upamiętniania sierpniowej rocznicy. Cenzura nie tylko bowiem pilnowała, aby obowiązująca oficjalnie opowieść o powstaniu warszawskim odpowiadała interesom partii rządzącej, lecz pośrednio wpływała też na kontr-opowieść „strony społecznej”. Była więc cenzura instrumentem w swoim założeniu dyscyplinującym, nie tylko trzymającym w ryzach powojenną zbieraninę ludzką, ale także przyczyniającym się do anarchizowania – na swoją modłę – życia publicznego i literackiego, zamętu w narodowym imaginarium.

Oczywiście pytanie o „sprawczość” cenzury otwiera znacznie szerszy krąg zagadnień. W mojej książce przedstawiam je zaledwie punktowo i roboczo, nie aspirując do wyczerpania rozległego tematu. Jest to raczej wieloletnie zadanie dla zespołu, czy wręcz zespołów badawczych, niewykonalne w pojedynkę. Do takiego zespołu zresztą mam szczęście należeć, a książka niniejsza stanowi jedną z wielu publikacji firmowanych przez Ośrodek Badań Filologicznych nad Cenzurą PRL, którym kieruje profesor Kamila Budrowska. Zarówno Jej, jak wszystkim pozostałym członkom zespołu – Magdalenie Budnik, Wiktorowi Gardockiemu, Marii Kotowskiej-Kachel, Katarzynie Kościewicz, Kajetanowi Mojsakowi i Barbarze Tyszkiewicz serdecznie dziękuję za kilka lat wspólnej pracy, dyskusji i współdziałania w ramach projektu grantowego *Cenzura wobec literatury polskiej w latach 1945-1989*. Kamili dziękuję osobno, że zachęciła mnie do pomyślenia o książce. Szkice tutaj zebrane dokumentują moje uczestnictwo w projekcie. Ponadto zaś kojarzą temat cenzuralny z podejściem noworegionalistycznym, które również pozwala się rozliczyć ze spadkiem po PRL-u, jakim stała się kultura polska całymi dekadami etnicznie homogenizowana, tudzież wyjaławiana i upośledzana przez postępującą centralizację hierarchii, a w następstwie realiów władzy. Wiele inspiracji zawdzięczam także uczestnictwu w konferencjach z cyklu noworegionalistycznego oraz Danucie Zawadzkiej i Katarzynie Sawickiej-Mierzyńskiej, koleżankom z białostockiego Zespołu Badań Regionalnych, za co również serdecznie im dziękuję. Nie umiem natomiast oszacować, ile twórczego niepokoju

wniósł do pracy nad książką nasz domowy „instytut” antropologii słowa publicznego. Wdzięczna jestem losowi, że trwa już tyle lat.

Podziękowania kieruję również do recenzentów mojego szkicownika, profesorów Wojciecha Browarnego i Jerzego Smulskiego, za wszelkie uwagi i podpowiedzi. Mam nadzieję, że potrafiłam im sprostać.

Warszawa – Białystok, 11-12 stycznia 2017

I. Ciągłość i zmiana. Stefan Kisielewski wobec przełomu 1989

Straciłem wszystko wstecz – to się chyba rzadko zdarza.
(S. Kisielewski, *Miałem tylko jedno życie*)

Cztery Warszawy / jedno życie

Powieści *Zanim nadejdzie śmierć* Stefana Kisielewskiego zasadnie przypisano określenie „warszawska”. Według autora wstępu do jej pierwszego wydania, Ludwika Bohdana Grzeniewskiego, pisarz zamierzał opisać Warszawę w kilku wersjach historycznych¹. Zaczął od ostatniej. Na uprzednie zabrakło mu życia – zmarł 27 września 1991 roku, w warszawskim szpitalu na Banacha. Ale nawet we fragmencie, którym dysponujemy, obraz Warszawy nie ogranicza się do jednego przekroju czasowego. Dobiegający osiemdziesiątki bohater oraz narrator w jednej osobie (noszący w dodatku imię i nazwisko autora) zna i pamięta stolicę w czterech odsłonach²:

¹ Zob. S. Kisielewski, *Zanim nadejdzie śmierć. Pisma wybrane*, oprac. i wstęp L.B. Grzeniewski, wyd. 2, Warszawa 1997, s. 5–7. Pierwsze wydanie ukazało się w 1995 r. Niedokończona powieść zamyka tom złożony z 4 opowiadań i opublikowanej po raz pierwszy w 1958 r. powieści *Miałem tylko jedno życie*.

² Metafora miasta-palimpsestu, użyteczna w odniesieniu do Warszawy Kisielewskiego, na dobre weszła do naszego obiegu naukowego i medialnego za sprawą *urban studies* (zob. m.in. E. Rybicka, *Pamięć i miasto. Palimpsest vs. pole walki*, „Teksty Drugie” 2011, nr 5). Jednak posłużył się nią już

przedwojenną, czyli prawdziwą, potem okupacyjną, bardzo dziwną i etapami burzenia niknącą, dalej bezpośrednio powojenną, „mikołajczykowską”, kiedy jeszcze w ruinach i gruzowiskach niczego pewnego nie było wiadomo, i wreszcie rozsiadła się Warszawa obecna, odbudowana niby, choć to niemożliwe: któż by na przykład odbudował przedwojenną dzielnicę żydowską, fantastyczne rojowisko stłoczonego wśród kamienic i ciemnych zaułków życia, handlu, pracy, hałasu, jakby wiecznego targowiska, egzotyki, a przecież to był także trzon czy ważny element duszy miasta³.

Archeologiczny, bo niejako warstwowy i tektoniczny sposób widzenia Warszawy ma związek z czasem akcji, ulokowanym w chwili, gdy „komunizm upada, Polska odzyskuje wolność”⁴ (119). Z momentem tym bynajmniej nie łączy Kisielewski erupcji nadziei czy sprecyzowanych wyobrażeń o przyszłości. Interesuje go sam moment przejścia, kiedy teraźniejszość zmienia się z nagłą w wierzchnią warstwę przeszłości, co skłania do wglądu w pokłady wcześniejsze. Ta swoista narracja odkrywkowa przy tym nie poprzestaje na warstwie przedwojennej, jak w cytowanym wyżej fragmencie. Spotkany przez powieściowego „Kisielewskiego” w okolicach Powązek, potem zaś tropiony pod różnymi adresami,

Kazimierz Wyka w *Życiu na niby*, pisząc o stolicy zaraz po wojnie: „Warszawa jest jak palimpsest. To są stare pergaminy, z których przed wiekami wymazano dawny tekst, by wpisać nowy. Dzisiaj uczeni umieją i stary, i nowy tekst odczytać. Ziemia tego wysokiego brzegu nad Wisłą musiała być widocznie równie rzadka i cenna co pergamin, jeżeli tyle tekstów w nią wpisano. U spodu przeziera tekst niesłyszany dawny, chociaż jeszcze rok temu prawie cały był żywy. Warszawa, która handlowała na placu Żelaznej Bramy, o sztuce plotkowała na Mazowieckiej, interesy grubsze załatwiała na Marszałkowskiej. Z tego tekstu fizycznie nie ma śladu. Żyje on tylko w pamięci ludzi, którzy powracają. Przysypany został warstwą najgrubszą, sprawiającą nieczytelność pozorną – warstwą ruin, pożaru i ran zadanych w walce”. Dalej autor pisze o jeszcze trzech warszawskich „tekstach”. K. Wyka, *Życie na niby*, Kraków 2010, s. 341 (pierwodruk: *Życie na niby. Szkice z lat 1939-1945*, Warszawa 1957, wyd. 2, poszerz. – 1959).

³ S. Kisielewski, *Zanim nadejdzie śmierć*, w: tenże, *Powieści warszawskie*, Warszawa 2011, s. 19. Pozostałe cytaty z omawianego utworu pochodzą również z tego wydania. Żeby nie mnożyć przypisów, numery stron zostaną podane w tekście głównym, bezpośrednio po cytacie. Marta Leśniakowska, historyk sztuki, pisała o pięciu Warszawach w XX wieku, zaczynając od rosyjskiej, kończąc na dzisiejszej. M. Leśniakowska, *Warszawa: miasto palimpsest*, w: *Chwała miasta. The Glory of the City*, red. B. Świątkowska, Warszawa 2012, s. 98.

⁴ Nie jest to jedyny utwór Kisielewskiego, w którym Warszawa gra swoim dziwnym klimatem. Zob. S. Kisielewski, *Przygoda w Warszawie*, Kraków 1989 (pierwodruk w „Tygodniku Powszechnym” w 1959 r.).

Jan Kazimierz Morlej, postać o cechach Ahaswerusa⁵, odsłania kolejne złoza historii miasta:

niech pan pomyśli o pruskiej Warszawie z E.T.A. Hoffmannem jako urzędnikiem miejskiego namiestnictwa. Albo o Księstwie Warszawskim z napoleońskimi oficerami, z „ułanami księcia Józefa”. O epoce generała Zajączka już mówiliśmy, a niech pan pomyśli o Warszawie powstańczej, Warszawie Czartoryskiego, Wysockiego, Skrzyneckiego, Lelewela, Mochnackiego! (89)

O najważniejszej nekropolii warszawskiej mówi ów tajemniczy bohater jako o „mieście paralelnym” (24), jego zdaniem nawet prawdziwszym od Warszawy pulsującej nowym życiem, bo Powązki nie zostały zburzone w czasie wojny. Różne epoki historyczne współistnieją tam organicznie obok siebie; nowsze nie likwidują starszych.

Kisielewski zajmuje się Warszawą niby to dla zarysowania fabularnego tła, ale nie ukrywa, że nurtuje go pytanie o warszawskie *genius loci* oraz o własny stosunek do miasta, w którym wiele przeżył i w którym spodziewał się umrzeć. Ambiwalencję widać chociażby we współwystępowaniu określeń: Warszawa „ekshumowana” i Warszawa „zmartwychwstała”. Powieściowemu *alter ego* autora trudno się z miastem identyfikować nie tylko dlatego, że pamięta Warszawę przedwojenną, „prawdziwą”, ale również dlatego, że przez piętnaście lat mieszkał w Krakowie, „aby nie czuć smrodu ruin” (64). Po powrocie natomiast zastał miasto „sztuczne”, „pospiesznie ekshumowane” (tamże). Ekshumacyjna aura powraca, kiedy mowa o Warszawie jako mieście, które „stoi na trupach”, „nie tylko swoich Żydów z Nalewek, Gęsiej, Smoczej (tych zresztą wywieziono), nie tylko powstańczej młodzieży z Woli, Starówki, Powiśla, lecz także na trupach powojennych, Bierutowych, Bermanowych, Radkiewiczowych” (57). O tych ostatnich wiele pisano w gazetach czasu przejścia, „nie pytając, jak z tym będziemy żyli?” (tamże)⁶.

⁵ Polskie dzieje motywu Ahaswerusa odtworzył pokrótce Wojciech Piotrowski, *Legenda o Ahaswerze w literaturze polskiej*, Słupsk 1996. Nie uwzględnił tam jednak powieści Kisielewskiego. Piotrowi Bratkowskiemu, autorowi wstępu do tomu *Powieści warszawskie* Morlej skojarzył się z Bułhakowskim Wolandem. P. Bratkowski, *Wstęp*, w: S. Kisielewski, *Powieści warszawskie*, s. 11-12.

⁶ Warszawa jako miasto wzniesione na cmentarzysku zainspirowała m.in. Igora Ostachowicza do napisania powieści *Noc żywych Żydów*, Warszawa 2012.

W ujęciu autora radykalna zmiana historyczna zdaje się zatem wywoływać efekt wstrząsu tektonicznego, wyrzucającego na powierzchnię to, co dla oczu przez długi czas, z różnych powodów było zakryte, o czym wspominać zabraniano i o czym pamiętać się nie chciało z własnego wyboru lub pod przymusem. Ze złożeń nagle poruszonych dobywa się śwąd i smród. Wolność nie ma woni odradzającego się wiosennie życia⁷. Przywodzi raczej skojarzenia z czasem bezpośrednio powojennym, kiedy na wielką skalę dokonywano ekshumacji, nie tylko w Warszawie.

Wątek ten sugestywnie podjęła niedawno Magdalena Grzebałkowska w książce *1945. Wojna i pokój*, przytaczając m.in. wspomnienia Andrzeja Pstrokońskiego:

Smród rozkładających się trupów był zabijający [...]. Pod koniec kwietnia zaczęto rozkopywać groby powstańców, były wszędzie. Nie mogłem tego wytrzymać. Jak wracałem ze szkoły i widziałem ludzi z łopatami stojących nad rowem z trupią mazią, zatykałem nos i biegłem szybko, żeby to ominąć⁸.

Kisielewski migawki ze zniszczonej, ale jeszcze powstańczej Warszawy zarejestrował w powieści *Miałem tylko jedno życie*, wydanej pod pseudonimem Teodor Klon w 1958 roku: „Ani jednego normalnego domu – same szkielety. W powietrzu dokuczliwy, natrętny zapach spalenizny zmieszanej gdzieniegdzie z trupim zaduchem”⁹. Po wojnie bohater wspomnianego utworu, nie chcąc oglądać Warszawy „sprofanowanej, złupionej i spalonej”¹⁰ wyjeżdża do Krakowa. Po paru latach wraca: „Cóż za dziwne i obce miasto, a właściwie nie miasto: domy zagubione w polach, ulice przeplecione wypaloną pustką, a w środku nowy drapacz chmur”¹¹.

Poruszenie warstw przeszłości, które towarzyszy rozpadowi PRL-u, przedstawia „Kisielewski” jako szok wywołujący reakcję emocjonalnie spletaną. Pisząc o warszawskich „trupach” nie ukrywa odruchu wstrętu,

⁷ Na samym początku powieści pojawia się data: marzec 1989.

⁸ M. Grzebałkowska, *1945. Wojna i pokój*, Warszawa 2015, s. 150.

⁹ S. Kisielewski, *Miałem tylko jedno życie*, w: tenże, *Pisma wybrane. Zanim nadejdzie śmierć*, Warszawa 1997, s. 175.

¹⁰ Tamże, s. 182.

¹¹ Tamże, s. 193.

choć przecież *de facto* ekshumacje mają wówczas charakter czysto werbalny. W 1990 roku w londyńskim Wydawnictwie Aneks ukazuje się książka Małgorzaty Szejnert, poruszająca temat utajnionych miejsc pochówków osób zamordowanych jako wrogów władzy ludowej w komunistycznych więzieniach¹². Jednakże od publicznego postawienia kwestii do wszczęcia poszukiwań grobów upłynie jeszcze wiele czasu. Powieściowy „Kisielewski” raczej nie aspiruje do roli orędownika tej akcji. Nie tylko z powodu pamięci trupiego odoru. Źródłem abominacji jest również perspektywa własnej śmierci, coraz bardziej nieuniknionej, zważywszy na metrykalne uwarunkowania. Ale i to jeszcze nie tłumaczy w pełni obawy przed wywlekaniem „trupów” na widok publiczny.

Powód najważniejszy wynika stąd, że „Kisielewski” z niedowierzaniem odnosi się do nastania „wolnej Polski”, czemu daje wyraz ironizując:

Wolna Polska, i to w tak krótkim czasie, niemal z dnia na dzień!
[...] Wolna Polska, a przecież ludzie ci sami co w Niewolnej, i tacy sami. I asfalty uliczne poszczerbione, kamienie, kwadraty domów, kratownice ścian, błotniste szczeliny w bruku – wszystko od razu wolne?!
Jak to właściwie jest? (33-34)

Polska „Niewolna” opiera się przed metamorfozą całym swoim żalonym stanem posiadania: ludźmi nawykłymi do życia w PRL-u, niefunkcjonalną, zdewastowaną zabudową, niewydolną infrastrukturą... Ktoś w powieści zadaje pytanie: „czy ten rząd Mazowieckiego to prawdziwy, czy tylko taka przykrywka? [...] Czy to naprawdę wolność, czy nowe Królestwo Kongresowe?” (38). Czy zatem uwolnienie z „sowieckiej mielizny” (28), na której tkwiliśmy od czterdziestu przeszło lat, spełnia się rzeczywiście? Pamięć o minionych obrotach historii skłania do daleko posuniętej rezerwy wobec wolnościowej retoryki.

Swoboda mówienia, o czym do tej pory należało milczeć, nie jest dla „Kisielewskiego” przekonywającą oznaką narodzin prawdziwej wolności i realności zmiany. Można już bez umiaru „obsmarowywać” czasy stalinowskie, lecz po to – bohater dopowiada wyjaśniająco – „aby się ludzie

¹² Zob. M. Szejnert, *Śród żywych duchów*, Kraków 2012.

wyładowali, znowu ten polityczny freudyzm” (22). Trzeba zatem uważać, by „obsmarowywania” nie mylić z odsłanianiem prawdy o minionych czasach. Poza tym nie pierwszy to przecież raz ze stalinizmu zostaje zdjęta cenzuralna ochrona. Doświadczenia zebrane w długim życiu nie pozwalają „Kisielewskiemu” przełamać odruchu myślenia analogiami i podtekstami.

Dla rozpoznania sytuacji diagnozowanej w powieści fundamentalne znaczenie ma odpowiedź na pytanie o przebieg kariery Morleja w odmienionej, „wolnej Polsce”. Osobnik o wyjątkowych zdolnościach adaptacyjnych, o trudnej do ustalenia biografii i tożsamości (korzenie może żydowskie, może niemieckie, nazwisko jakby angielskie), bywalec „na <dworskich> przyjęciach, czy to za Bieruta i Gomułki, czy za Gierka i Generała” (19), okazuje się w toku powieści „ubekiem”, któremu historyczna zmiana i tym razem nie szkodzi, chociaż podobno obciążają go uczynki zbrodnicze: miał wydać w ręce UB rotmistrza Pileckiego¹³. Powieściowy „Kisielewski” podczas audyencji w MSW, gdzie rezyduje teraz jego dobry znajomy Krzysztof K. (czyli Krzysztof Kozłowski), dowiaduje się ku swojemu zdumieniu, że ów mocno podejrzany Morlej zdążył już oddać nieocenione usługi nowej władzy, co gwarantuje mu uniknięcie odpowiedzialności za wcześniejsze poczynania. Okazał się bezcenny jako specjalista od PESEL-u czy ogólniej gromadzenia danych umożliwiających kontrolę na szeroką skalę.

U nas ta sprawa – mówi uczestniczący w rozmowie Pułkownik – jest dopiero w powijakach, kontrola jest prymitywna, mozolna, jedno jedyne międzynarodowe Okęcie ma zespół stanowisk kontrolnych powiązanych przez telewizyjne łącza. Żeby to zmienić, musimy przygotować nowe, powleczone specjalną emulsją paszporty, zgodne z zachodnimi normami, i umożliwiające automatyczny odczyt. Kto ma to zrobić, kto potrafi? I tu właśnie zespół i wiadomości oraz stosunki pana Morleja odegrały dużą rolę. On nam przedstawił dotychczasowe osiągnięcia, wskazał miejsca i ludzi. Sowiecki wywiad się likwidował, zabierał przy okazji swoje tajemnice, także gospodarcze oraz doświadczonych pracowników. I właśnie Morlej... On przeszedł na naszą stronę, tak by to można określić. (113)

¹³ Witold Pilecki został skazany na karę śmierci przez komunistyczny sąd, wyrok wykonano w 1948 roku, w 1990 dokonano aktu rehabilitacji.

Zdumiony i przerażony bohater próbuje oponować: „Jak to, więc wy chcecie kontrolować ludzi, rejestrować wszystkich? A przecież dzisiaj...” (tamże). Nie udaje mu się jednak dokończyć protestu w obronie świeżej „demokracji” i zasad „nowego życia”. Zostaje przez Pułkownika zasypywany argumentami nie do odparcia: tego wymaga powrót do Europy Zachodniej. Europa zagrożona „rakiem” terroryzmu „stanowi teraz komputerową jedność” (114), w której dane o wszystkich gromadzi się na użytek państwa. Ponadto interesy gospodarcze wymagają zachowania ciągłości, chociażby we wrażliwej dziedzinie handlu bronią. „Kisielewski” musi więc uznać, że „nowe” bez „starego” aparatu nie może się obyć. „Nowe” nie wymaga też osądzenia „starego” reżimu. Przeciwnie. Pułkownik dobitnie stwierdza: „Wina i kara – to dzisiaj względne, nieprzydatne. Budujemy nową Polskę, a tu konieczna jest SZTUKA ZAPOMINANIA” (116)¹⁴.

Jeśli zatem ktoś sądził, że krach PRL-u przyniesie obywatelom wyzwolenie spod ścisłej kontroli państwa, srodze się zawiódł. Akces do Zachodu oznaczał konieczność modernizacji również w zakresie środków bezpieczeństwa. Anachroniczne trzeba było zastąpić nowoczesnymi. Spoglądając od tej strony na PRL-owską cenzurę – to już moje dopowiedzenie – należałoby stwierdzić, że ulegała zniesieniu nie jako narzędzie w służbie totalitaryzmu, lecz jako niewydolna już forma sprawowania kontroli państwowej. Cenzura się zestarzała! Warto przy okazji docenić Kisielewskiego za to, że wskazywał na ciemną stronę komputeryzacji, kiedy uwagę publiczną w Polsce przełomu lat 80. i 90. pochłaniały zupełnie inne problemy. Wyprzedzał też swój czas pisząc o zagrożeniu terrorystycznym jako argumentie uzasadniającym powszechną inwigilację. Z kolei podejmując temat lustracji – bo sprawa Morleja daje się tak odczytywać – szczęśliwie unikał zdecydowanego „za” bądź „przeciw”¹⁵.

¹⁴ Pułkownik nie powołuje się w swojej argumentacji na żadne autorytety, ale mógłby oczywiście zacytować Ernesta Renana, *Co to jest naród* (1882).

¹⁵ Ustawę lustracyjną Sejm uchwalił dopiero 11 kwietnia 1997 r. Pierwszej próby wprowadzenia lustracji pod obrady sejmowe dokonano 10 maja 1991 r. Zob. M. Krotoszyński, *Lustracja w Polsce w świetle modeli sprawiedliwości okresu tranzycji*, Warszawa 2014, s. 58-126. Autor traktuje lustrację jako element rozliczenia z przeszłością, bez którego przejście od totalitaryzmu do demokracji nie może się obejść. Zarazem polski przypadek sytuuje w szerszym kontekście „tranzycji” w drugiej połowie XX wieku, wśród których rozróżnia za Samuelem Huntingtonem, analizującym tzw. „trzecią falę demokratyzacji”, kilka modeli: transformację, czyli radykalne zmiany polityczne przeprowadzane przez władze autorytarne, przemieszczenia, czyli zmiany

Dla bohatera pamiętającego aż cztery Warszawy, ale zbliżającego się do śmierci, która wraz z życiem pozbawi go pamięci, nakaz taktycznej, jeśli nie wręcz obywatelskiej amnezji, motywowanej uświadomioną koniecznością historyczną – był nie do zaakceptowania. W relacjonowanej wyżej rozmowie, prowadzonej w nowym (czy też tylko odnowionym) MSW, zdążył wprawdzie powiedzieć: „Żeby zapomnieć, trzeba przedtem pamiętać” (115), ale mówiąc to, zdawał sobie sprawę, jak wątlą proponuje przeciwwagę dla bezwzględного pragmatyzmu ludzi władzy (również tych najświeższej daty). „Wysilam się na aforyzm”, skomentował do wiadomości czytelnika własną myśl o uzależnieniu zapominania od pamiętania. Aforyzm, nie argument. Do światopoglądowej dysputy w ministerialnym gabinecie nie tylko nie było warunków, ale też „Kisielewski” nie mógł zbyt stanowczo obstawać przy swoim, skoro zjawił się u Krzysztofa K., żeby załatwić Morlejowi paszport, do czego ten ostatni nakłonił go szantażem, oplatając wpierw – jak to ubek – pajęczą siecią intrygi oraz czyniąc zeń tym samym swego współnika.

Kisielewski jako autor powieści *Zanim nadejdzie śmierć* nie zamierzał przykładać ręki do „obsmarowywania” upadającego reżimu. Mimo że Morleja uczynił ubekiem, nie wyznaczył mu roli czarnego charakteru¹⁶. Ten nie tylko przydaje się nowej władzy, ale podobnie użyteczną funkcję pełni również w fabule powieści. Wprawia „Kisielewskiego” w ruch, skłaniając do wędrowania po Warszawie w przestrzeni i czasie, wytrąca go – i czytelnika – z myślowych rutyn. W swoich sądach o przeszłości nie obawia się wejść w kolizję z patriotycznym punktem widzenia: wyżej ceni na przykład generała Zajączka od Kościuszki. Czasy rozbiorowe uważa za najbardziej europejski okres w historii Polski:

Krzyczą dziś różni młodzi demagodzy o naszym „powrocie do Europy”. Pojęcia nie mają o historii! Kiedy Polska była w Europie?!

dokonywane w toku negocjacji opozycji z rządem, zastąpienia, czyli obalenie słabego reżimu przez opozycjonistów i tranżycję za sprawą obcej interwencji. Tamże, s. 14-15. Opisywana przez Huntingtona fala przemian zaczęła się od portugalskiej rewolucji goździków w 1974 r., w tym samym roku upadł rząd pułkowników w Grecji, w 1975 – zmarł generał Franco, na przełomie lat 70. i 80. ruszyły zmiany w Ameryce Łacińskiej, w Azji zaczęło się od 1977, w 1989 – w komunistycznej Europie. Za każdym razem jako jeden z głównych problemów okresu przejścia pojawiał się „problem kata”, s. 17.

¹⁶ Czyniąc ubeką bohaterem w gruncie rzeczy pozytywnym Kisielewski spotykał się poniekąd z Władysławem Pasikowskim jako twórcą *Psów* (1992).

W czasie rozbiorów! Niech pan pomyśli, jaką wtedy miała różnorodność, jakie możliwości: tam monarchia Habsburgów, tu rosnące mocarstwo Fryderyków i Bismarcka; na Wschodzie niezmiernie potęża carów, od Chin do Łodzi, od Turcji do Kalisza. I w tym wszystkim rozsypana, rozproszona polska elita, wciąż pozostająca sobą. (89-90)

Innym razem obarcza Anglików współwiną za wymordowanie Żydów w Auschwitz: nie zdecydowali się na zbombardowanie fabryki śmierci, bo w Palestynie „mieli swój mandat, kombinowali z Arabami i wcale nie chcieli, żeby im jeszcze siedział na karku <Naród Wybrany>” (99).

I wreszcie najważniejsze: w „błuznierczym”, jak komentuje „Kisielewski”, „wykładzie historiozoficznym” wyjawia patriotyczną motywację swoich wyborów politycznych, motywację realisty i państwowca. Tłumaczy, że przystał do „czerwonych” nie z powodu sympatii komunistycznych, lecz wybierając „życie państwa” przeciw podtrzymywaniu chaosu:

[...] ja dobrze znam historię mojego dziwnego kraju: zmiany terytorialne, ludnościowe, narodowe, przemarsze różnych wojsk, pożary, ruiny, władcy z obcego nadania, rozbiory. Polska z czterdziestego czwartego roku wisiała na włosku, na sowieckim kosmatym włosku. Wiedziałem, że muszę wybrać. I wybrałem dobrze. (104)

W odróżnieniu od Pileckiego i jemu podobnych.

Polskę – dopowiada – zagryzali sąsiedzi ze wschodu i z zachodu, a tu czerwoni zrobili porządek, po swojemu oczywiście. Przesiedlić miliony ludzi, wypędzić Niemców, ustalić granicę niemal pod samym Berlinem – tego by nie dokonała żadna „demokracja”. Komuniści ocalili wtedy polską państwowość. (105)

W domyśle – są potrzebni również teraz. Bez ich wsparcia transformacja się nie powiedzie, co więcej, oni także mają prawo do uznania ich zasług dla polskiej państwowości. Swoimi sądami „pod włos”¹⁷, przekornymi w stosunku

¹⁷ Taki tytuł nosił jeden z felietonowych cykli Kisielewskiego w „Tygodniku Powszechnym”.

do linii obowiązującej w druku czy w opinii potocznej, Morlej przypomina niewątpliwie Kisiela-felietonistę, który nie tylko potykał się stale z cenzurą urzędową, ale i z redakcją „Tygodnika Powszechnego” nieraz popadał w konflikty. Idąc zaś dalej, można by postawić tezę, że elokwentny „ubek” wręcz mówi to, czego „Kisielewski” nie mógłby, albo i nie chciał, powiedzieć wprost. W optyce takiej Morlej byłby projekcją „Kisielewskiego”, ewokacją jego przemyśleń wypieranych czy tylko odsuwanych od pełnej autorskiej asercji.

Kisielewski w żadnym razie nie pisał swego ostatniego dzieła powieściowego w poczuciu tryumfu nad dogorywającym komunizmem, co skądinąd nie dziwiłoby wcale jako logiczne następstwo jego poprzednich wyborów życiowych. W ogólnym odbiorze kojarzono przecież „Kisiela” z postawą uporczywie opozycyjną. „Tygodnik Powszechny” wielu czytelników kupowało dla jego felietonowej rubryki. Na jej potrzeby i przy udziale cenzury,¹⁸ jak sam autor przyznawał, stworzył swój aluzyjny styl pisarski¹⁹. Zamieranie urzędowej kontroli w schyłkowej fazie komunizmu sprawiało, że musiał porzucić poetykę wypracowaną przez lata. Ze swoją felietonową pisarską osobowością należał do mijającej epoki. Pewnie dlatego też w jego ostatniej powieści nie widać jakiegoś szczególnego zaaferowania sytuacją pisarza wyzwolonego spod jarzma cenzorskiego²⁰. Nie waha się natomiast przyznać, że nagły upadek reżimu zostawia go – z niczym:

Komunizm się skończył, na nim przez lata jechałem, polityka nie dla mnie, za bardzo dziś na wierzchu jej kulisy, wszystkich znam, wiem, pamiętam, cóż komu z tego! (63)

¹⁸ Zmagania felietonisty z cenzurą są nieźle udokumentowane dzięki temu, że zachowały się jego felietony bądź skonfiskowane przez cenzurę, bądź tak mocno okaleczone ingerencjami, że redakcja „Tygodnika” zdecydowała się ich nie publikować. Artykuły te zebrano w tomie S. Kisiielewski, *Felietony zdjęte przez cenzurę*, Warszawa 1998. O cenzurowaniu felietonów Kisiela zob. K. Kamińska, „*Felieton mocno jąttrzący*”, czyli *cenżura wobec publicystyki Stefana Kisiielewskiego (1957-1961)*, „Zeszyty Prasoznawcze” 2014, nr 4, s. 725-748. „W latach 1957-1961 – konstatowała badaczka – Kisiielewski opublikował na łamach <Tygodnika Powszechnego> 277 materiałów publicystycznych (w tym 250 felietonów i 25 artykułów), z czego 114, a więc nieco ponad 41 proc. zostało <pociętych> albo zakwestionowanych w całości”. Tamże, s. 731.

¹⁹ Felietonom Kisiela poświęciła swoją książkę Magdalena Mateja, *Mowa umowna. O felietonach Kisiela*, Toruń 2012.

²⁰ Kisiielewski publikował wprawdzie wcześniej, omijając krajową cenzurę, na Zachodzie, uprawiał m.in. publicystykę na łamach paryskiej „Kultury” adresowaną bezpośrednio do jej czytelników, ale nazywał tę swoją aktywność pisarską wytworem „chorobliwej wolności słowa”. M. Mateja, dz. cyt., s. 146.

W ostatniej powieści Kisielewskiego nieraz pada stwierdzenie o bezużyteczności pamięci, o pamięci jako balaście.

Przymus zapominania

Gorycz zawarta w powieści *Zanim nadejdzie śmierć* silniej przebija na powierzchnię w kontekście doświadczeń i przemyśleń Kisielewskiego-autora *Dzienników*, wydanych po raz pierwszy w 1996 roku, niedługo zatem po wydaniu ostatniego utworu powieściowego. Ileż to bowiem razy w zapiskach prowadzonych między rokiem 1968 a 1980 analizował przymus zapominania obowiązujący pod rządami komunistów. Znaczna część ich trudu kreowania nowego porządku i ochrony pozbawionej trwałych fundamentów konstrukcji ideologiczno-państwowej, czemu służyła m.in. cenzura prewencyjna, obliczona była właśnie na to, by nikt niczego nie pamiętał. Nie tylko z przeszłości przedkomunistycznej, ale i z tej wczorajszej, co się przejawiało choćby konsekwentnym milczeniem o komunistycznych prominentach, którzy przegrali w rywalizacji o władzę. Jeśli zasadą propagandy było powtarzanie kłamstw tak uporczywie, aż dotrą do wszystkich i utrwalały się w postaci formularnej, to cenzura tak samo wytrwale miała tępić treści skazane na zapomnienie. W gruncie zaś rzeczy – twierdził pisarz – chodziło o to, by całkowicie odzwyczaić ludzi od pamiętania czegokolwiek. Kisielewski z kolei swoją zdolność do oporu wiązał właśnie z pamięcią, którą (rocznik 1911) sięgał do czasów przedwojennych.

Pamięć pozwalała mu demaskować kłamstwa historyczne komunistów, dostrzegać absurdy w ich zarządzaniu, widzieć zależności tam, gdzie komu innemu narzucały się uwadze wyłącznie różnice. Pisał na przykład o Bolesławie Piaseckim i jego współpracy z komunistami:

kto pamięta [...] tak zwany „Zielony program” Falangi, ten wie, że był on totalistyczny i społecznie nader radykalny, wszystko tam miało być upaństwowione, podporządkowane jednemu celowi, rządzone jedną ręką. Różnica była tylko w nacjonalizmie, a raczej – w antysemityzmie. Skoro dziś kwestia żydowska przestała komunizmowi leżeć na sercu,

no to jakaż właściwie jest różnica?! Żadna. ONR-owiec to z natury rzeczy sojusznik komunisty!²¹

Pamiętając czasy przedwojenne, bezbłędnie potrafił uchwycić recydywę języka endecji w warunkach powojennych²². Dzięki pamięci jedne aspekty rzeczywistości PRL-owskiej oceniał trafniej niż pozostali, co było dla niego źródłem gorzkiej, ale jednak satysfakcji. Wobec innych jej stron zachowywał zdolność do oburzania się i dziwienia. Pamięć różniła go od nowych Polaków, których namnażanie się ze zgrozą obserwował – Polaków awansowanych, przesadzanych ze wsi do miasta, niezdolnych do żadnej krytycznej reakcji wobec świata, w którym się znaleźli, niedawnych analfabetów, jeśli nawet nie w sensie literalnym, to w politycznym. Pamiętając ze szczegółami dwudziestolecie międzywojenne, był też zdolny do spojrzenia syntetycznego i mógł dostrzec główny kierunek zmian powojennych: zmiana zasadnicza w stosunku do międzywojnia polegała na tym, że w komunizmie nie było miejsca na prawdziwą politykę ani na życie publiczne. Dla Kisielewskiego, który najlepiej się czuł właśnie w roli publicysty politycznego, oznaczało to nieuchronną, postępującą marginalizację.

Z punktu widzenia autora *Dzienników* opuszczanie „sowieckiej mielizny” musiałoby się wiązać z przywracaniem, a nie z anihilacją zbiorowej pamięci i ze wszechstronną edukacją polityczną społeczeństwa wychowanego w zupełnej nieświadomości, czym jest polityka, życie publiczne, wolna prasa etc.²³ Tymczasem w MSZ powiedziano mu o „sztuce zapominania” i nowoczesnym systemie kontroli, który państwo musi sobie w trybie nagłym przyswoić na wzór Zachodu.

Czytając ostatnią powieść Kisielewskiego, z kilku powodów trzeba mieć na podorzędziu *Dzienniki* jej autora. Po pierwsze, „Kisielewski” powieściowy ma z dziennikowym wiele wspólnego, choćby tych samych

²¹ S. Kisielewski, *Dzienniki*, Warszawa 1996, s. 271. *Dzienniki* stanowią swego rodzaju przewodnik po PRL-u końca lat 60. i lat 70. Zob. I. Hofman, *Dwugłos o Peerelu. Dzienniki Stefana Kisielewskiego i Mariana Brandysa*, Lublin 2000.

²² Np. w sformułowaniu: „prastare ziemie zachodnie, które wróciły do Macierzy”, S. Kisielewski, *Dzienniki*, s. 350.

²³ Abstrahuję tu od poglądów, które Kisielewski wypowiadał wprost na łamach pisma „Wprost”, po odejściu z „Tygodnika Powszechnego”. Przyczyny jego rozstania z „Tygodnikiem” rozważała m.in. K. Kamińska-Chelminiak, *Stefana Kisielewskiego rozbrat z „Tygodnikiem Powszechnym”*, „Studia Medioznawcze” 2015, nr 4, s. 99-111.

znajomych (Krzysztof Kozłowski, Władysław Bartoszewski). Ponadto w *Dziennikach* można znaleźć przesłanki dla poczucia dyskomfortu bohatera powieści na progu „wolnej Polski”. Autor zapisków dziennikowych, do których się uciekł, kiedy stracił możliwość publikowania, z jednej strony ma wrażenie, że więcej niż inni rozumie, bo pamięta czasy przedkomunistyczne, bo wiele i nie tylko po polsku czyta, bo interesuje się światem niekomunistycznym. Z drugiej natomiast – czuje się poznawczo upośledzony. Ze swoją wiedzą nie ma co zrobić, poza tym zaś brakuje mu podstawowych informacji, przede wszystkim dotyczących elity partyjnej władzy. Chcąc nie chcąc musi polegać na pogłoskach i skojarzeniach: „o coś tam walczą, o czym społeczeństwo się nie dowie, tyle że uważny czytelnik dojrzy, iż nagle w prasie nie ma słowa <syjonizm>”²⁴. Domysły nie na wiele się zdają: „U komuchów coś tam się dzieje, ale nie wiadomo co”²⁵; „Podobno na Biurze Politycznym przeciwko prowadzeniu rozmów z Niemcami głosowali Moczar, Szydlak, i Gierek. [...] Ciekawe się tam dzieją rzeczy, szkoda, że tajne i nic się o nich nie wie”²⁶. „Tajność” otaczająca poczynania władzy zostaje sprowadzona do reguły: „Miliony ludzi rządzone potajemnie – oto paradoks naszej strony świata”²⁷.

Wiedzieć, co się wśród „komuchów” dzieje, można tylko za cenę wejścia z nimi w komitywę. Kto się trzyma na dystans, zdany jest na domysły, konfabulacje i frustracje. Nie mając informacji i wciąż potykając się o absurdy, Kisielewski nieraz wyrzeka na komunistyczną Polskę jako „dom wariatów”. W *Dzienniku* daje świadectwo doznawania podwójnej izolacji: nie ma nic wspólnego z „nowymi” Polakami, z komunistami zaś nic wspólnego mieć już nie chce, zresztą nie ma wyboru, skoro odebrali mu możliwość publikowania²⁸. Z powodu odosobnienia co chwila też podejrzewa siebie o tę czy inną „mianię”. Maniakalnie na przykład, to jego własna kwalifikacja, czytuje prasę, by po wielokroć stwierdzać, że nie ma to żadnego sensu, skoro wszystkie tytuły sprawiają wrażenie,

²⁴ S. Kisielewski, *Dzienniki*, s. 47.

²⁵ Tamże, s. 131.

²⁶ Tamże, s. 361.

²⁷ Tamże, s. 340.

²⁸ W 1968 r. Kisielewski został objęty cenzorskim zapisem. Przedtem wypowiedział się krytycznie o cenzurze podczas posiedzenia Warszawskiego Oddziału Związku Literatów Polskich, w następstwie czego został pobity przez „nieznanych sprawców”.

jakby prowadzone były przez jedną osobę²⁹. Na „manię” też zakrawa upatrywanie źródła wszelkich wstrząsów krajowych w prowokacjach inspirowanych przez jedną partyjną frakcję, by obalić drugą, czyli podatność na spiskowe teorie.

Nazywając PRL „domem wariatów” i przyłapując samego siebie na niepokojących zachowaniach czy myślach, przyznaje, że przedłużające się odcięcie od zastrzeżonych obiegów informacji nie pozostaje bez wpływu na niego samego. Aberracyjny charakter *Dzienników* polega m.in. na tym, że autor, sporządzając swoje notatki poza cenzurą, musi stale się liczyć z czytelnikami niepożądanymi³⁰. Chcąc nie chcąc sam zostaje własnym cenzorem prywatnym. O *Dziennikach* zresztą pisze bez szacunku: wyładowanie agresji, pisanie pod siebie, „polityczka do szuflady”³¹. Jeśli mimo wszystko pisze, to dlatego, żeby nie dołączyć do tych swoich znajomych, którzy już tylko „gadają”³².

Pisząc ostatnią swoją powieść, mógł Kisielewski nareszcie nie oglądać się na cenzurę, by krnąbrne pióro powściągać, ani by ją ostentacyjnie lekceważyć, przeznaczając utwór dla drugiego obiegu. Nie wykorzystał jednak okazji do świętowania zwycięstwa, chociaż samego słowa nie pominął. „To przecież na pewno jakieś zwycięstwo!” (65). Jakie dokładnie, uważa, trudno orzec. I niewykluczone, że tak już zostanie, skoro „nowa Polska” wymaga ofiary z pamięci. Nie bez powodu w świecie powieści najlepiej poinformowany jest Morlej. Nieśmiertelny – niczym Ahaswer – „ubek”, a zarazem historyk-amator, deklaruje:

Czuję się też obywatelem Księstwa Warszawskiego i Warszawy
Wielopolskiego. Chociaż w Rzeczypospolitej Krakowskiej również

²⁹ Zob. S. Kisielewski, *Dzienniki*, s. 27.

³⁰ W 1961 roku głośno było w środowisku literackim o aresztowaniu Jerzego Kornackiego i przejęciu jego prowadzonego od dwudziestu lat dziennika *Kamieniolomy*. Zob. B. Tyszkiewicz, *Aresztowany dziennik. O „Kamieniolomach” Jerzego Kornackiego*, w: *Literatura w granicach prawa*, red. K. Budrowska, E. Dąbrowicz, M. Luł, Warszawa 2013, s. 488-501.

³¹ Zob. S. Kisielewski, *Dzienniki*, s. 16, 29, 35, 39.

³² Do bliskich znajomych Kisielewskiego należał intelektualnie inspirujący, lecz programowo wstrzymujący się od pisania i publikowania Henryk Krzeczkowski, ostatnio wyprowadzony z cienia przez Wojciecha Karpińskiego jako autora książki eseistyczno-wspomnieniowej *Henryk*, Warszawa 2016. Nawiasem dodam, że Krzeczkowski, który posługiwał się kilkoma nazwiskami i pracował w wywiadzie, odegrał być może pewną rolę w ukształtowaniu postaci Morleja.

mógłbym żyć. Ostatni skrawek wolnej Polski z epoki porozbiorowej. Niech pan pomyśli! (89)

Z punktu widzenia Morleja „wolna Polska” byłaby zapewne przybliżeniem któregoś z XIX-wiecznych tworców państwopodobnych. Czy się mylił, skoro i w „wolnej” bez trudu znalazł miejsce dla siebie? Myślenie w kategoriach „skrawka” udziela się zresztą również „Kisielewskiemu”³³. Komentując ironicznie, a może z nutą zawiści, karierę ministerialną Kozłowskiego, stwierdza: „Szczęściarz po prostu: dostać w prezencie drugie życie, odrzucając pierwsze, niezbyt udane. Cóż za szansa: napoleońskie czasy zaiste!” (110)

Dawniej w marzenie o nowym początku wyposażył pisarz bohatera swojej powieści *Miałem tylko jedno życie*:

Porządek można wprowadzić, gdy nie przeszkadza żaden balast z przeszłości. A u mnie przeszłość nie istniała. Wielka szansa, aby odzyskać życie. Zresztą cały świat po wojnie chciał się pozbyć przeszłości i zacząć na nowo³⁴.

Mimo sprzyjającej sytuacji – powojennego zamętu – bohaterowi nowy początek się nie powiódł. Nie tylko musiał przystać na to, że miał jedno jedyne życie, ale co gorsza, i nad tym jednym zupełnie nie panował, ulegając złudzeniu, że zrobił coś decydującego o całym swoim losie, kiedy w istocie sprawy miały się zupełnie inaczej, aniżeli mu się wydawało i co wmawiali mu inni. Permanentna, lecz niejasno uświadamiana dezorientacja co do własnego położenia, która zdeterminowała bieg życia bohatera, była udziałem większości mieszkańców PRL-u.

Ostatnia powieść Kisielewskiego jest „warszawska” na sposób znany z wcześniejszych jego utworów fabularnych. Zarówno w *Miałem tylko jedno życie*, jak w *Przygodzie w Warszawie* czy w *Podróży w czasie* bohater porusza się po mieście zlepionym z elementów, które do siebie

³³ Po pierwszej rozmowie z Morlejem „Kisielewski” przyznaje się przed sobą, że nic prawie nie wie o „dawnej Polsce”: „w gruncie rzeczy historia dawnej Polski dla naszego pokolenia czy naszej <sfery> nie ma żadnego znaczenia”. Zanadto odbiega od historycznych warunków, w których oni sami się znaleźli po wojnie. S. Kisielewski, *Zanim nadejdzie śmierć*, s. 28.

³⁴ S. Kisielewski, *Miałem tylko jedno życie*, s. 187.

nie pasują, mieście „dziwnym”, nieoswojonym, zastawiającym pułapki. „Warszawskość” ostatniego utworu osiąga jeszcze większą intensywność: wyłania się również z głębokiej przeszłości, sięgającej epoki Księstwa Warszawskiego, oraz poprzez pytanie, czy objawiająca się w 1989 roku „wolna Polska” tam właśnie nie ma przypadkiem swojego historycznego pierwowzoru. Czy aby Księstwo Warszawskie nie wskazuje drogi, którą musi się odbywać nasz exodus do Europy z „sowieckiej mielizny”? Bo czy istnieje jakaś droga inna, aniżeli spod patronatu Rosji pod francuski i niemiecki patronat „starej Europy”? Zapominając o przeszłości, co miało umożliwić „nowy początek”, jak przekonywano „Kisielewskiego” w MSZ, nie da się również tej analogii zobaczyć.

Krzysztof Kozłowski w wywiadzie udzielonym Magdalenie Matei mówił, że Kisielewski był jednym z najsmutniejszych ludzi, jakich znał:

Każdy z nas usiłował się na pewien czas oderwać od rzeczywistości, zapomnieć, on nie zapominał, nie był w stanie się oderwać od spraw, tematów, najszerszej mówiąc – od Polski. Wszystkie kpiarskie pomysły, dowcipy, były „robione”, Kisielewski był na tyle inteligentny, że potrafił zagrać Kisiela³⁵.

Tak, to prawda. *Zanim nadejdzie śmierć* jest powieścią smutną.

³⁵ M. Mateja, dz. cyt., s. 290.

II. Rejon wolnego słowa. Urząd cenzury od środka

W dotychczasowej mojej karierze to była jedyna firma,
która sprawnie działała, [...]. Idealny mechanizm.
(Ja, cenzor)

Jedno takie miejsce

Przy ulicy Mysiej w Warszawie już od ponad ćwierć wieku nie rezyduje urząd cenzury. Jego siedzibę, objętą przez nowych właścicieli, zburzono, by postawić nowy budynek (o przekornej nazwie Liberty Corner). W środku zachowano trochę detali architektonicznych i umieszczono inskrypcję przypominającą o przeznaczeniu gmachu-poprzednika. W 2012 roku adresowi kojarzonemu przez lata z cenzurą nadano sens do tamtego przeciwny, otwierając w jego najbliższym sąsiedztwie Skwer Wolnego Słowa. Tym samym z pewnym opóźnieniem zaczął nabierać kształtów postulat budowy pomnika upamiętniającego „polski fenomen niezależnych mediów, prasy i wydawnictw”¹ zgłoszony jeszcze w 2009 roku do marszałka sejmu przez grupę osób związanych z niezależnym ruchem wydawniczym. Odsłonięcie monumentu miało nastąpić w roku 2010, a więc w dwadzieścia lat po likwidacji GUKPPiW, przeprowadzonej na mocy uchwały sejmowej

¹ Z okazji dwudziestolecia zainicjowano też wydanie „Kanonu Literatury Podziemnej”.

z 11 kwietnia 1990 roku². Inicjatorzy akcji pomnikowej uwzględnili w swoich planach również publiczną debatę, „historyczną i społeczną, nad wolnością wyrażania poglądów, w dawnej komunistycznej, a przede wszystkim współczesnej Polsce”³. Planu jednak nie udało się zrealizować w przewidzianym terminie. Pewnie dlatego, że powszechną uwagę zajęły wkrótce tragiczne wydarzenia 2010 roku, o innych też monumentach stało się głośno. Dopiero we wrześniu roku 2013 zakończyła się społeczna zbiórka funduszy na urzeczywistnienie idei, która przybrała nazwę Memoriału Wolnego Słowa.

W opisie projektu czytamy:

Za punkt wyjścia – inspirację, która ostatecznie zdefiniowała surową i monochromatyczną estetykę pomnika – potraktowano fizyczny zapis cenzurowanych tekstów. Wykreślenia w formie czarnych linii, których pełne są niewygodne dla establishmentu dokumenty na całym świecie w tym również w archiwach PRL-u, stanowią wymowny symbol łamanego prawa do wolnej wypowiedzi i dostępu do informacji. Bezpośrednim odniesieniem do zamazywanej treści – symbolicznego knebla jest Wstęga – element architektoniczny, przy pomocy którego opowiadana jest historia sprzeciwu wobec cenzury w tym polskiej walki o wolność doby lat osiemdziesiątych⁴.

Uroczystość odsłonięcia Memoriału odbyła się 5 czerwca 2014 roku.

Wyraźnie zarysowana w planie skweru czarna linia, symbolizująca „bezwzględny ruch cenzorskiej ręki” podrywa się do góry, oznaczając wyzwolenie spod ograniczeń tamujących wolność słowa, co nastąpiło wraz z uruchomieniem drugiego obiegu w 1976 roku. Prezydent Bronisław Komorowski, który przemawiał na Skwerze Wolnego Słowa 5 czerwca,

² O uchwałach sejmu kontraktowego, dokonującego zmian ustrojowych, gospodarczych, instytucjonalnych zob. A.L. Sowa, *Historia polityczna Polski 1944–1991*, Kraków 2011, s. 652–659. Uchwała parlamentu stanowiła akt wielkiej wagi, bo nareszcie delegalizowała urząd od samego początku działający wbrew konstytucji. Tony Judt w swojej historii Europy od roku 1945, opisując zniszczenia powojenne, zalicza do nich destrukcję porządku prawnego. T. Judt, *Powojnie. Historia Europy od roku 1945*, przeł. R. Bartoń, Poznań 2008, s. 27–82.

³ *Pismo inicjatorów upamiętnienia wolnego słowa do Marszałka Sejmu RP Bronisława Komorowskiego z 5 października 2009 r.* www.memorialwolnegoslowa.eu [dostęp 17.10.2016].

⁴ K. Brońska, M. Iwańczuk, M. Kempniński, *Opis projektu*, www.memorialwolnegoslowa.eu [dostęp 17.10.2016].

porównał działanie ruchu wydawniczego do rozsadzającego system dynamitu. Eksplozję wywołaną przez niezależne wydawnictwa przedstawił jako początek długiej drogi do wolności. Z Memoriałem wiązał szczytną misję: „To wielkie zadanie przywrócenia – nam samym w Polsce i przywrócenia także całemu światu, Europie, pamięci, że to tu, w Polsce się zaczęło. To stąd poszła wolność, stąd poszła w zwycięskim pochodzie”⁵.

W historii opowiedzianej poprzez aranżację przestrzeni miejskiej wyraźnie zostały oznaczone strony konfliktu: jedni za wolnością słowa, drudzy na służbie państwowej przemocy. Nie ma też wątpliwości, kto wygrał. Pomniki wznosi się wszak jedynie zwycięzcom, choćby moralnym (szczególny przypadek stanowi Pomnik Powstania Warszawskiego, o czym piszę w ostatnim rozdziale). Trudno wymagać od monumentu, by przedstawiał obraz bardziej wycieniowany. Uproszczający sposób podejścia do zagadnienia cenzury winien jednak obowiązywać tylko od święta. Zaniedbanie pamięci o początkach wolności, na które wskazywał prezydent Komorowski, wynikało między innymi z daleko posuniętej niejednoznaczności owych preliminarów (wszak władze komunistyczne w jakimś sensie rozwój niezależnych wydawnictw umożliwiły, nie dusząc ich w zarodku z metodyczną brutalnością, do jakiej skądinąd były zdolne), co nie prowadzi bynajmniej do wniosku, że do upamiętniania nie ma powodu. Niezależny ruch wydawniczy był faktem o niekwestionowanym znaczeniu historycznym i społecznym. Nie tylko przyczynił się do rozsądzenia czy demontażu, gdyby kto wołał łagodniejszą metaforykę, systemu, lecz stworzył jedyną może w swoim rodzaju wspólnotę czytających, co w zbiorowości naznaczonej utrzymującym się przez stulecia pokaźnym odsetkiem analfabetów⁶, warto docenić i z uporem przypominać.

Pomnik, co zrozumiałe, nie daje pola przekazowi zniuansowanemu. Na komplikacje powinno się natomiast znaleźć miejsce w debatach o PRL-u i jego spuściznie⁷. Upajając się zwycięstwem wolności słowa nad systemem

⁵ <http://www.prezydent.pl/archiwum-bronislawa-komorowskiego/aktualnosci/wydarzenia/art,2953,prezydent-na-poczatku-bylo-wolne-slowo.html> [dostęp 17.10.2016].

⁶ O PRL-owskim programie i praktyce walki z analfabetyzmem zob. M. Budnik, *„Książka Nowego Czytelnika”: literatura dla byłych analfabetów przeszkolonych w Polsce w latach 1948-1951*, Białystok 2014.

⁷ Gdyby ktoś podjął się odtworzenia polskich debat o wolności słowa, nie mógłby pominąć

opresyjnym, nie zdołamy pojąć, jak działały PRL-owskie instancje kontrolne i jakie wynikły stąd kulturowe czy cywilizacyjne konsekwencje, trwające znacznie dłużej aniżeli sam PRL. Nie w tym jednak rzecz, by zamazywać odpowiedzialność czy nikomu nie przyznać moralnej racji. Chodzi jedynie o to, żeby poczucie tryumfu – mniejsza o to jak szczerze manifestowane – nie przeszkadzało w rzeczowym oszacowaniu kosztów PRL-u, czego notabene nie należy mylić z rozliczeniami.

Dzięki prowadzonym od lat ponad dwudziestu badaniom nad cenzurą w realiach pojałtańskich niemało już wiemy, jak był zorganizowany cały jej aparat, od centrali po jednostki wojewódzkie. Wiemy też, jak się z latami zmieniał, ale wciąż niedostatecznie został rozpoznany zakres jego sprawczości⁸. Nie wystarczy przecież opisać regulacje i procedury obowiązujące w urzędzie, chociaż jest to wiedza nader cenna. Trzeba zobaczyć biurokratyczną maszynę w ruchu, zbadać skutki jej działania, co wymaga wielu szczegółowych i żmudnych analiz materiałów archiwalnych oraz wszelkiego rodzaju twórczości poddawanej cenzurze. Nie bez pożytku poznawczego byłoby jednak i to, żeby ogląd samego urzędu nieco zhumanizować. W przekładaniu biurokratycznych formuł na praktykę bądź

dyskusji toczonych w dobie powstania listopadowego. Głucho o nich niestety podczas współcześnie celebrowanych rocznic wydarzeń z 1830 i 1831 roku. Jak mantra wraca pytanie o sens tego i wszystkich następnym powstań zakończonych klęską. Zapomina się, bądź raczej nie chce się pamiętać, że wybuch powstania oznaczał też eksplozję słowa nieskrępowanego urzędową cenzurą. Swobodniejsze jego używanie po Nocy Listopadowej sprowokowało właśnie refleksję nad tym, jak daleko wolność słowa powinna sięgać i jakie mechanizmy prawne powinny ją regulować.

⁸ Książek o cenzurze PRL-owskiej szczęśliwie wciąż przybywa. W ostatnich latach ukazały się solidne materiałowo prace o wpływie cenzury na rozmaite domeny kultury: na literaturę (K. Budrowska, *Literatura i pisarze wobec cenzury PRL 1948–1958*, Białystok 2009), na historiografię i środowisko naukowe historyków (Z. Romek, *Cenzura a nauka historyczna 1944–1970*, Warszawa 2010), na rynek wydawniczy (P. Nowak, *Cenzura wobec rynku książki. Wojewódzki Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk w Poznaniu w latach 1946–1955*, Poznań 2012). Zbigniew Romek zwracał uwagę na trudności, jakie napotyka badacz tego zagadnienia: „Dotąd brak całościowego opracowania poświęconego organizacji urzędu cenzury w czasach PRL i działalności tego systemu. Nie ma także prac omawiających skutki cenzury dla twórczości naukowej, publicystycznej, literackiej, filmowej i teatralnej. To trudne zadanie, wymagające od autora dobrej znajomości realiów epoki, sytuacji danego środowiska i jego funkcjonowania. To niewdzięczny temat ze względu na luki w bazie źródłowej oraz drażliwość tej problematyki. Często bowiem w czasach PRL twórcy byli wplątani w różnorodne zależności i układy z władzą i dziś niechętnie o nich mówią albo nie chcą tego ich rodziny i przyjaciele”. Z. Romek, dz. cyt., s. 15.

co bądź uczestniczyli ludzie, wypadaloby więc przynajmniej spróbować dostrzec ślady ich obecności.

O bliższą znajomość z cenzorami nie jest łatwo⁹. Nawet dzisiaj nie są skłonni do zwierzeń na temat swojej dawnej profesji. Piotr Nowak, zajmujący się poznańskim urzędem ubolewał, że nie zdołał dotrzeć do nikogo, kto by pracował tam w latach 1946-1955¹⁰. Błażej Torański w swoim zbiorze wywiadów zatytułowanych *Knebel. Cenzura PRL-u*, rozmawiał z dwoma pracownikami urzędu, w tym z Tomaszem Strzyżewskim, który wywiózł za granicę skopiowaną Księgę Zapisów i Zaleceń GUKPPiW¹¹. Ten ostatni był jednak urzędnikiem bardzo nietypowym. We wstępie do wznowienia *Wielkiej księgi cenzury PRL* twierdzi, że sam nigdy nie czuł się cenzorem, a miesiące swojego zatrudnienia w delegaturze krakowskiej (od sierpnia 1975 do początku marca 1977 roku) poświęcił „pracy przeciw cenzurze”¹². Trudno więc uznać jego pogląd za reprezentatywny dla milczącej większości obsady aparatu cenzorskiego. Posłuchać wszelako cenzora-odszczepieńca warto, nie tylko dlatego, że należy do tych nielicznych w ogóle skłonnych się odzywać.

Pisząc o konieczności nowego wydania Księgi Zapisów i Zaleceń GUKPPiW, Strzyżewski nie objaśnia, czym różni się ono od pierwszego, londyńskiego z 1977 roku (*Czarna księga cenzury PRL*). Poprzestaje na ogólnikowym, lecz zabarwionym silną emocją stwierdzeniu o „błędach” i „brakach”, podyktowanych „wrogim odnoszeniem się” do niego „emigracji postaparaczykowskiej”¹³. Bez szczegółowego porównania obydwu edycji akapit po akapicie, zdanie po zdaniu, nie sposób jednak stwierdzić, jak ocenowano przemyconą do wolnego świata dokumentację. Choć jest to zagadnienie ciekawe, na potrzeby niniejszego szkicu zatrzymam się jedynie przy tym, co ekscenzor ma do powiedzenia o cenzurze PRL-owskiej.

Po pierwsze, ze swojej niedługiej praktyki cenzorskiej powziął przekonanie, że „instytucjonalna cenzura wcale nie była w PRL potrzebna”, bo

⁹ W tygodniku „Solidarność” z 5 maja 1981 r. (nr 6) ukazał się wywiad Barbary N. Łopieńskiej z K-62, byłym pracownikiem GUKPPiW, pt. *Ja, cenzor* (przedrukowany w: tejsze, *Łapa w łapę i inne reportaże*, Warszawa 2004).

¹⁰ P. Nowak, dz. cyt., s. 10.

¹¹ B. Torański, *Knebel. Cenzura w PRL-u*, Warszawa 2016.

¹² T. Strzyżewski, *Wielka księga cenzury PRL w dokumentach*, Warszawa 2015, s. 29.

¹³ Tamże, s. 39. Autor daje poznać wszelako, że dostarczony przezeń materiał został oceniony.

„dziennikarze i publicyści sami się cenzurowali”¹⁴. Czynili to zaś dlatego, że „odruch autocenzorski rodzi po prostu każda praca najemna”, każda uświadamiana zależność¹⁵. Po drugie, wielu dziennikarzy zaczynało karierę w cenzurze, granica między urzędem a redakcjami prasowymi była płynna. Rekapitulując, nie należy przeceniać roli GUKPPiW jako instancji kontrolującej: funkcjonariusza urzędu cenzorskiego, dla niepoznaki nazywanego „radcą”, wyręczał na ogół sami twórcy tekstów oraz redaktorzy. Cenzor, autor i redaktor kooperowali ze sobą, tworząc jedno w gruncie rzeczy środowisko związane rozlicznymi sprzężeniami zwrotnymi.

W objaśnieniach podanych przez ekszczora we wstępie do edycji *Wielkiej księgi* można oczywiście widzieć próbę zminimalizowania własnego udziału w cenzorskim procederze. Zatrudnił się w urzędzie przypadkiem i tylko na chwilę, nie zdając sobie sprawy, co w istocie należy do obowiązków „radcy”. W dodatku nie miał tam nic prawie do roboty, bo cenzurę zastąpiła praktykowana wszem i wobec autocenzura. Nie wyklucza to jednak innej wykładni. Strzyżewski opisuje działanie urzędu w konkretnym momencie jego istnienia, co więcej – w punkcie docelowym, tyle że spełniającym się w wariacie dystopijnym: w oficjalnym obiegu zabierają głos jedynie ci, którzy w mniejszym lub większym stopniu mają cenzurę uwewnętrzną. Równocześnie zakres tego, o czym bądź o kim nie wolno pisać albo jak pisać wolno, osiąga poziom absurdalny. Tym sposobem cenzura urzędowa poniekąd ulega samolikwidacji, skoro obieg oficjalny na dobrą sprawę sam się cenzuruje, przy czym dla wielu zakazów nie ma już nijakiego racjonalnego uzasadnienia. Że cenzura – absurdalnie restrykcyjna i zarazem bezsilna – znalazła się w stanie samounicestwienia, najwymowniej świadczy powstanie i rozrost drugiego obiegu. Publikacja materiałów wywiezionych przez Strzyżewskiego zbiega się nieomal z początkiem wielkiej ofensywy polskiego samizdatu. Cenzura j e s t i na tym wyczerpują się jej racje istnienia. Sam akt ujawnienia tajnej, trzymanej w kasie pancerniej instrukcji, również obnaża bezsilność cenzury. Wręcz wystawia ją na pośmiewisko.

Jak można sądzić z opowieści ekszczora, degeneracja urzędu polegała też na tym, że jego funkcjonariusze wykonywali swoje obowiązki

¹⁴ Tamże, s. 33.

¹⁵ Tamże, s. 34.

bezideowo i bezdusznie. „Chodziło wyłącznie o ambicje zawodowe oraz sprawność w <rozszyfrowywaniu> intelektualnie hermetycznych tekstów i rywalizację na tym tle”¹⁶. Strzyżewski był nawet świadkiem melancholijnej uwagi jednego z kolegów, kwestionującej sens ich pracy: „Po co ta cała cenzura!”¹⁷ Zakiełkowało w nim jednak podejrzenie, że uwagą powyższą wystawiano go na próbę.

W świetle „księgi” skopiowanej przez krakowskiego Wallenroda cenzura sprawia wrażenie mechanizmu całkowicie bezosobowego. W „zapisach i zaleceniach” monotonnie powtarzają się formy: „nie należy” i „należy”. W *Materiałach instruktażowych* z kolei głos należy do kolektywnego „my” – „poczyniliśmy”, „chcemy zwrócić uwagę”, „prosimy”, „proponujemy”. Strzyżewski tego elementu poetyki tekstu nie komentuje, pisze natomiast o swoim zdumieniu, kiedy czytając „księgę” po raz pierwszy zobaczył, że operuje się w niej najzupełniej jawnie słowami „cenzura”, „cenzurowanie”, nieodwołalnie zakazanymi w publikacjach PRL-owskich od czasów tużpowojennych. Odkrył, że znalazł się w miejscu na swój sposób wyjątkowym, gdzie nazywa się rzeczy po imieniu, przynajmniej w tej jednej sprawie.

O analogicznym co do siły poznawczym szoku pisał w *Dziennikach* Stefan Kisielewski, kiedy przeczytał *Czarną księgę* w końcu roku 1977.

Jakiś facet z cenzury uciekł za granicę i ogłosił tam zalecenia szczegółowe Urzędu Kontroli z lat 1974-1977, te właśnie których my nie znamy, a którymi się oni kierują. Coś niesłychanego! Drobiazgowo wyliczone, o czym nie wolno pisać, na przykład o wybuchu gazów, o orzeczeniach Sądu Najwyższego (!), o szerokotorowej kolei z Katowic do Rosji, o licencjach zagranicznych, o handlu z Afryką Południową, o życzeniach Gierka dla Piaseckiego w 60. rocznicę urodzin, o zburzeniu starych młynów we Wrocławiu, o produkcji cukru, o aktorce Annie Prucnal, o szpitalach budowanych u nas przez zagraniczne firmy, o unitach, o umowach kooperacyjnych z NRF, o filmach Wajdy, o zatruciach żywnością, o chorobach zwierząt, o możliwościach emigracji, o produkcji papieru, o „Panoramie Racławickiej”, o książce Bartoszewskiego „1859 dni Warszawy” etc., etc. Do tego listy nazwisk

¹⁶ Tamże, s. 39.

¹⁷ Tamże.

zakazanych i podejrzanych (ja też jestem), a także wersja oficjalna o Katyniu – sowiecka oczywiście itd. Ci ludzie wszystko wiedzą o swoich zbrodniach i bzdurach, to są cynicy najwięksi jacy istnieją, groza wieje z tego dokumentu. [...] Niewolnik jest niewolnikiem, dopóki o swojej niewoli nie wie. A o takiej postaci cenzury nie wie w Polsce chyba co najmniej 80% ludzi¹⁸.

Samego Kisielewskiego – sprzed lektury „księgi” – nie wyłączając.

O ile Strzyżewskim wstrząsnęło samo słowo „cenzura”, legalnie używane w zastrzeżonym obiegu, to autora *Dzienników*, który nieraz przecież o cenzurze mówił i pisał (jeśli nie dało się na forum krajowym, to za granicą) poraziły rozmiary premedytacji twórców „zapisów i zaleceń”. Nie znając urzędu od kulis można było wyrzekać na głupotę praktyk cenzorskich i odczuwać nawet rodzaj wyższości, że się im – jak Kisielewski – stawia opór. Zetknięcie z wewnętrznym językiem instytucji, zastrzeżonym dla wtajemniczonych, odebrało niepokornemu felietoniście kontenans. Cynizm na ogół wiąże się z pogardą dla tych, którzy nie wiedzą¹⁹. Czytając „księgę” Kisielewski poczuł głębokie upokorzenie. W dostępie do informacji cenzor miał zdecydowaną przewagę nawet nad tak rozgarniętym osobnikiem jak felietonista „Tygodnika Powszechnego”. Kisiel czytywał wszelką prasę ukazującą się w PRL-u, ale cenzor miał nad nim tę przewagę, że znał teksty jeszcze przez siebie nieokaleczone.

Mnie natomiast lektura nowego wydania „księgi” dała okazję wypatrzyć stylistyczny szczegół, na który wcześniej nie zwróciłam uwagi: element niedostępnego dla profanów socjolektu. Otóż raz po raz napotyka się tam sformułowanie „można zwalniać” (bądź „nie można zwalniać”). Oznacza ono podniesienie szlabanu (bądź jego opuszczenie) dla wskazanych słów czy informacji. Np. „Materiały na temat procesów uczestników zajęć w Radomiu i Ursusie można zwalniać wyłącznie za PAP-em”²⁰. Ze sformułowania tego płynie milczące założenie, że wyjściową sytuacją dla wszystkich informacji czy wręcz słów jest stan zatrzymania, aresztu, internowania,

¹⁸ S. Kisielewski, *Dzienniki*, Warszawa 1996, s. 924-925.

¹⁹ O urzędzie cenzury jako dobrym punkcie obserwacyjnym mówił K-62, rozmówca B. N. Łopieńskiej: „traktowałem swój pobyt w cenzurze poznawczo. Chciałem sobie normalnie poczytać gazety, tak jak się je czyta powiedzmy w Paryżu”. Dz. cyt., s. 6.

²⁰ T. Strzyżewski, dz. cyt., s. 135.

który ulega zawieszeniu (bądź nie) dopiero decyzją cenzora. Wstępnie wszystkie nadchodzące informacje i słowa, które mogłyby je obsługiwać, są podejrzane. Idąc dalej można by powiedzieć, że ów stan podejrzania bierze się stąd, że potoczni użytkownicy języka zostali tegoż języka wywłaszczeni; poza prywatnymi, tolerowanymi skansenami bezpośrednich kontaktów, nie mają już do niego prawa własności. Dopuszczając ich do głosu trzeba pilnować, czy aby nie przywłaszczają sobie tego, co nie ich.

Kisielewski nie mylił się mówiąc o niewolnictwie. W zamierzonych czasach niewolnicy nie mieli dostępu do życia publicznego, w ateńskiej *polis* zarezerwowanego dla wolnych obywateli.

Etos cenzora

Opublikowane przez Strzyżewskiego materiały składają się na obraz instytucji działającej z żelazną dyscypliną. Nawet jeśli któryś z cenzorów popełnił błąd, coś przeoczył lub wyciął za dużo, mechanizm kontrolny nie pozwalał na blamaż. Cenzor K-62, który w 1980 roku udzielił wywiadu Barbarze N. Łopieńskiej, nie mógł zrozumieć, co powodowało Strzyżewskim, kiedy decydował się na upublicznienie „księgi”. Czyżby motywów finansowe? Sam K-62 zdradzał się nawet z rodzajem zawodowej dumy, bo uważał, że wykonywał pracę, która wymagała inteligencji i była dobrze zorganizowana. Z upodobaniem opowiadał, jak przebiegała kontrola i jakie obowiązywały służbowe hierarchie. Stwierdzał na przykład, że elitę wśród cenzorów tworzyli ci od prasy. Była to dziedzina najtrudniejsza – o największym znaczeniu politycznym i społecznym. Dlatego zajmowali się nią najlepsi. Można odnieść wrażenie, że jeśli coś w kraju sprawnie działało, to właśnie cenzura.

Wypowiedzi eksenczorów stanowią specyficzne źródło pokazujące urząd kontroli od środka. Istnieje więcej jeszcze możliwości, by tam zajrzeć. Przechowywany w Archiwum Akt Nowych zespół źródeł poświadczających funkcjonowanie Głównego Urzędu Kontroli Publikacji, Prasy i Widowisk zawiera niezliczone ślady ingerencji cenzorskich, skrywa też rozbudowaną, wielowątkową i miejscami rozpisaną na głosy dokumentację, pozwalającą zobaczyć znacznie więcej niż cenzorską rękę w akcji. Mam na myśli teksty przeznaczone do obiegu wewnętrznego: stenogramy „odpraw krajowych”,

sprawozdania pokontrolne, biuletyny, instrukcje. Lektura tych dokumentów wywołuje wrażenie na swój sposób ożywcze przez to, że istnienia cenzury się w nich nie tai, inaczej niż w kontrolowanym obiegu publicznym, że mówi się z brutalną nieraz otwartością o jej zadaniach i „filozofii”. Urząd cenzury – w zestawieniu ze światem oficjalnie obowiązującym PRL-u i wszechobecną w nim propagandą – wygląda wręcz na s t r e f ę wolną od cenzorskiego nadzoru, i to mimo że wspomniane dokumenty bezpośrednio lub pośrednio mówią o wielu rygorach obowiązujących ludzi tam zatrudnionych.

Przekazy adresowane do wewnętrznego kręgu odbiorców są interesujące nie tylko jako źródło informacji o pracy urzędu czy – szerzej – o strategiach władzy, które cenzura realizuje²¹, ale też ze względu na samą ich retorykę, elementy autoprezentacji oraz autoperswazji. Teksty te warto by poddać analizie zarówno pod kątem używanych w nich terminów, jak również metaforyki, którą posługiwano się w konstruowaniu obrazu świata i cenzorskiego „etosu”.

Obszernego materiału do interpretacji dostarczają odprawy krajowe z udziałem naczelników urzędów wojewódzkich cenzury, w szczególności te przeprowadzane w momentach zwrotnych dla pracy instytucji. Taki charakter miała odprawa w dniach 4–5 czerwca 1948 roku. Jej uczestnicy obradowali ze świadomością, że działalność cenzury wchodzi w nową fazę. Podziemie zostało rozbite, pokonano legalną opozycję, sytuacja w kraju stabilizuje się politycznie i gospodarczo, społeczeństwo mniej niż dotąd ulega wahaniom nastrojów.

Straciliśmy bardzo cennych klientów – mówił o wyeliminowanych przeciwnikach Tadeusz Zabłudowski, ówczesny szef urzędu – mikołajczykowski PSL, do którego przyzwyczailiśmy się w ciągu ostatnich lat. Niewątpliwie zmniejszyła się ilość ingerencji w prasie, co mówi o tym, że dziennikarze, którzy w dużej mierze rekrutowali się z burżuazji, nastręczali nam dużo trudności. Dziś to się już zmieniło²².

²¹ Romek zauważa: „analiza podejmowanych na kursach w urzędzie cenzury treści dowodzi zadziwiającej szczerości i otwartości przedstawiania spraw bieżących i planowanych najbliższych działań władzy”. Tamże, s. 44. Kamila Budrowska omawia wybrane stenogramy odpraw pod kątem zawartego w nich „programu literackiego”. K. Budrowska, dz. cyt., s. 30–36.

²² AAN, GUKPPiW, sygn. 421,teczka 4, k. 6.

Traktując PSL-owskich „klientów” i niesfornych dziennikarzy z po-
błażliwą ironią, prelegent demonstrował poczucie siły i satysfakcji. Jego
wysoka samoocena znajdowała dodatkowe jeszcze uzasadnienie w prze-
widywanym wzroście rangi urzędu cenzorskiego. „Stabilizacja” oznaczała
bowiem również ograniczenie prerogatyw Ministerstwa Bezpieczeństwa
na rzecz ministerstw zawiadujących gospodarką, oświatą i kulturą. O ile
więc do tej pory rolą cenzury było wspomaganie bezpieczeństwa w eliminowaniu
wrogów ludowej władzy, teraz winna intensywniej współdziałać z resortami
odpowiedzialnymi za tworzenie nowego państwa i społeczeństwa.

Nastanie „stabilizacji” nie polegało jednak bynajmniej na wygasze-
niu wszelkich konfliktów. Zmieniał się charakter sytuacji konfliktowej,
w której cenzura miała odegrać ważną rolę. Odprawa służyła bowiem
przede wszystkim temu, by zmobilizować cenzorów do walki z nowym
wrogiem – z Kościołem katolickim. Nic też dziwnego, że przypominała
naradę wojenną, na której określano pozycje i siły przeciwnika, ustalano
taktykę walki. Na potrzeby konfliktu całą prasę katolicką zaciągnięto pod
sztandary polityczne. Sumując wszystkie jej tytuły (pisma społeczno-
polityczne, teologiczne, popularno-masowe, dewocyjne, urzędowe),
uformowano 55-elementową falangę „politycznego obozu katolickiego”,
dysponującego „wyszkolonymi i licznymi kadrami organizacji kościel-
nej”²³. Każde pismo miało być jednak recenzowane inaczej, w zależności
od lokalizacji i adresu czytelniczego.

Pewne zawirowanie w obradach ujawniło się w momencie, kiedy
przyszło do określenia, kto jest w tej batalii stroną atakującą, a kto się
broni. Jeden z dyskutantów przedstawiał dowody na ofensywę Kościoła, drugi
korygował poprzednika, przypisując jednak ofensywność budowniczym
„nowego świata”. Żeby określić poczynania wroga, musiał się uciec do
karkołomnego oksymoronu „obrona zaczepna”²⁴.

O kościelnym przeciwniku uczestnicy odprawy wypowiadali się z re-
spektem. Wróg jest dobrze zorganizowany i przebiegły. Stosuje chwyt
podpatrzone w „pismach demokratycznych”²⁵ i propagandę wizualną. Stara
się pozyskać czytelników z kręgów robotniczych. Wykorzystuje doniesienia

²³ Tamże, k. 11 (głos Wojtygi).

²⁴ Tamże, k. 3 (głos Zabłudowskiego).

²⁵ Tamże, k. 27 (głos Próchnickiego).

o patologiach społecznych (alkoholizm), aby zdyskredytować poczynania władzy. W jego taktyce mieści się również operowanie nastrojem:

apelowanie do uczuć i instynktów, urabianie za pomocą przedrozumowanych i pozalogicznych akcentów atmosfery przełomowości naszych czasów, atmosfery grożącej nam jakiejś dziejowej, ponurej katastrofy²⁶.

Techniczna biegłość wroga stawia przed cenzorami wysokie wymagania, a zarazem utrudnia sformułowanie z góry i na przyszłość jasnych dyrektyw. Oczekuje się więc od nich reagowania „z głową i wyczuciem” – czyli ryzykowania przy podejmowaniu każdej decyzji co najmniej utratą posady, bez możliwości odwołania się do zalecenia zwierzchnictwa jasno sformułowanego na piśmie²⁷. Odtąd będą zmuszeni prowadzić walkę nie tylko na płaszczyźnie ideologiczno-politycznej, lecz i psychologicznej.

W związku z nowym wrogiem pojawia się też nowa perspektywa czasowa w działaniach cenzury. Kiedy zmagano się z „mikołajczykowskim PSL-em” czy ogólniej „siłami reakcji”, kampania miała czas ściśle określony – do wyborów, co do których wiadomo było, że bez względu na wynik, zostaną przez partię Mikołajczyka przegrane. Walka z Kościołem, instytucją o długich tradycjach, znacznym stanie posiadania i rozległym zakorzenieniu społecznym, nie wróżyła prędkiego sukcesu²⁸. Stąd też m.in. podczas omawianej odprawy ogłaszano zmianę trybu pracy cenzury z doraźnej i obliczonej na konkretny efekt, na długofalową, usystematyzowaną, planową, wręcz biurokratyczną. Jeśli wcześniej można by sądzić, że cenzura jest rozwiązaniem okazjonalnym, służącym wyeliminowaniu politycznych konkurentów, teraz przedłużano jej istnienie *ad infinitum*. Wrogiem był w tym wypadku nie wyłącznie Kościół jako instytucja, ale Kościół jako wspólnota. Na którejś z kolejnych odpraw krajowych nie obyło się bez stwierdzenia, że przecież społeczeństwo polskie jest w większości katolickie. Wojna z Kościołem stawała się więc *de facto* wojną ze społeczeństwem²⁹.

²⁶ Tamże, k. 35 (głos Wojtygi).

²⁷ Tamże.

²⁸ Podczas odprawy o tym nie mówiono, ale zdawano sobie sprawę z wieloletnich tradycji oporu Kościoła wobec restrykcji obcej władzy, czy to w latach Kulturkampf, czy w zaborze rosyjskim, czy wreszcie za okupacji niemieckiej.

²⁹ Tony Judt stwierdza, że władze komunistyczne „prowadziły szczególną permanentną walkę

Tym razem jednak nie można było wroga po prostu unicestwić. Chodziło o to, by go przeciągnąć na swoją stronę, poniekąd nawrócić.

Znamienne, jakiego porównania używa się, by przybliżyć uczestnikom nowe funkcje cenzury. Urząd ma działać niczym sejsmograf³⁰.

Przy czym nie będzie to aparat notujący zaburzenia i prawidłowy rozwój świadomości polskiej, bo my nie możemy się ograniczyć tylko do roli maszyny. Dziś powinniśmy się starać zrobić z naszego Urzędu nie tylko aparat notujący odchylenia od wstępującej linii rozwoju świadomości społeczeństwa, ale będziemy się starać, aby ten aparat umiał zanalizować te rzeczy i zasygnalizować tym ośrodkom, do których należy bezpośrednio urabianie opinii społecznej poprzez słowo drukowane, mówione itd.³¹

Cenzor ma być – jak poprzednio – „maszyną”, lecz z wyższej technologicznej półki. Powinien odnotować „nawet bardzo drobne drgania opinii publicznej, nad którą czuwamy i przy kształtowaniu której mamy poważną rolę do spełnienia”³². Nie wystarczy gorliwość w stosowaniu instrukcji płynących z góry. Musi sam czytać prasę, nasłuchiwać opinii, reagować na posunięcia wrażego obozu. Jeśli w „Tygodniku Powszechnym” – pada przykład – nazwano powieść *Colas Breugnon* Rollanda „książką rozpaczy”, dla cenzora jest to wskazówka, gdzie akurat przebiega linia frontu.

To, co nasz wróg ocenia negatywnie, my mamy podstawę wartościować pozytywnie, a to, co wróg ocenia pozytywnie, my musimy oceniać jeżeli nie negatywnie, to przynajmniej z dużą nieufnością³³.

z własnym społeczeństwem: głównie pod postacią surowej cenzury, narzucania braków i represyjnego sposobu utrzymywania porządku”. T. Judt, dz. cyt., s. 871–872.

³⁰ Sejsmografu jako porównania, tyle że w odniesieniu do liryki i bez świadomości innych jego zastosowań, użył Czesław Zgorzelski: liryka „stanowi najczulszy sejsmograf przemian zarówno w widzeniu świata, jak i w poszukiwaniu nowego wyrazu poetyckiego”. Cz. Zgorzelski, *Przełom romantyczny w dziejach liryki polskiej*, w: *Prace na VI Międzynarodowy Kongres Słowistów w Pradze 1968*, 2. *Nauka o literaturze*, red. Z. Libera, Warszawa 1968, s. 115.

³¹ AAN, GUKPPiW, sygn. 421,teczka 4, k. 37 (głos Karpowskiego).

³² Tamże, k. 46.

³³ Tamże, k. 42.

Cenzura jako sejsmograf staje się w większym stopniu niż w latach walki z podziemiem i PSL-em mikołajczykowskim systemem ostrzegania. Powinna być zatem prewencyjna nie tylko w takim sensie, że tworzy barierę między autorem a czytelnikiem, lecz musi wręcz ingerować w proces twórczy, tak by niedostosowanego autora z czasem, lecz w porę zresocjalizować.

Cytowane porównanie do sejsmografu nie było jednorazowym skojarzeniem. Na odprawie z 26–28 czerwca 1949 roku znalazło się dla niego kontekstowe uzasadnienie: „żyjemy wśród wulkanu, który nie wygasa i nie wygaśnie, z tą świadomością nie wolno nam się rozstawać”³⁴. Konstatacji tej, przywołującej jedną z emblematycznych figur rewolucyjnej wyobraźni, nie towarzyszył jednak entuzjazm znamieny dla XVIII i XIX-wiecznych burzycieli starego porządku. Pobrzmiwało w niej natomiast – co trudno pogodzić ze stanem świadomości wymaganym od kadr urzędu – nostalgiczne westchnienie za spokojniejszą epoką „naszych ojców”. We własnych wypowiedziach uczestników odprawy ujawnił się zatem katastrofizm, który przypisywano propagandzie kościelnej i anglosaskiej. Co prawda zagładę wieszczono kapitalizmowi, ale jednak... „zagładę”³⁵. Walka z Kościołem stanowiła odprysk konfliktu globalnego między obozem pokojowo-postępowym i „antydemokratycznym”. Atmosfera podczas narady chwilami bliższa była klimatowi *Nie-Boskiej komedii* niżli urzędowemu optymizmowi, którego oczekiwano od lojalnych obywateli nowej Polski.

Graniczność odprawy krajowej z 4–5 czerwca 1948 roku polegała również na tym, że cenzorzy mieli objąć swoimi procedurami publikacje nieperiodyczne, lecz postępować z nimi inaczej niż z prasą. Liczyli się z tym, że książka żyje znacznie dłużej od gazety i że oddziaływania literatury nie da się przewidzieć. Podczas obrad z 26–28 czerwca następnego roku stwierdzano, że o ile wobec prasy obowiązuje model cenzurowania represyjny, to z autorami książek należy obchodzić się łagodniej, oddziaływać na nich drogą kontaktów towarzyskich, mniej skreślać bez pytania, raczej nakłaniać do zmian w tekstach.

Oglądana z perspektywy odpraw końcówka lat 40. oznacza próg nie tylko co do zasięgu ofensywy cenzuralnej przez to, że wskazuje się nowego

³⁴ Tamże, k. 35.

³⁵ „Jesteśmy współuczestnikami wielkiego wydarzenia zagłady kapitalizmu”. Tamże, k. 37.

wroga i książki jako cel ekspansji. Zmiana dotyczy też metod. Cenzura powinna działać mniej represyjnie, czego wszelako nie należy mylić z jej liberalizacją. Chodzi jedynie o to, że cenzuralny dogmatyzm ma ustąpić miejsca praktykom lepiej dostosowanym do cenzurowanych obiektów oraz ściśle aktualnych potrzeb propagandy.

Jeśli w dziejach piśmiennictwa doby PRL-u rok 1949 kojarzy się zwykle z proklamowaniem socrealizmu jako jedynie słusznej metody twórczej, to wzięwszy pod uwagę archiwum Głównego Urzędu, należałoby dodać, że nawracanie na socrealizm miało się odbywać nie ogniem i mieczem cenzury dogmatycznej i represyjnej, lecz przez działania elastyczne i w miarę możliwości dyskretne. Oczywiście mowa o założeniach. W praktyce cenzorzy z pewnością nie zawsze i nie wszyscy byli w stanie sprostać wymaganej od nich subtelności. Jeden z naczelników uczestniczących w odprawie z czerwca 1949 roku z miejsca wyraził zaniepokojenie postulowaną ewolucją urzędu cenzury w instytucję do badania opinii publicznej. Zadania wydawały mu się nie dość jasno określone, a kadra niezdolna, by im podołać. Przechowywane w archiwum sprawozdania z kontroli delegatur terenowych w pełni obawy te uzasadniają.

W dokumentach z 1953 roku – poprzestaną na wybranych przykładach – kontrolerzy urzędu bydgoskiego wskazują na kłopoty personelem, który nie wypełnia swoich obowiązków wedle zaleceń: „Przeoczenia te mają swoje źródło w liberalizmie, który jest w zespole bydgoskim dość głęboko zakorzeniony”³⁶. Niewiele też pomagają szkolenia. Cenzorzy bydgoscy „zupełnie nie rozumieją istoty rewolucji burżuazyjno-demokratycznej, a przede wszystkim zagadnienia hegemonii proletariatu w tej rewolucji”³⁷. W wielu sprawozdaniach z tego roku pojawia się utyskiwanie na przesadną nerwowość cenzorów, na ich nadgorliwość albo przeciwnie – niedbałość. Urząd najwidoczniej nie może sobie poradzić z własnymi funkcjonariuszami, którzy często okazują się oporni na reedukację albo mimo starań nieefektywni, bo wystraszeni, niepewni dnia ani godziny. Niewykluczone zresztą, że funkcjonariuszy świadomie stawiano przed zadaniami źle zdefiniowanymi oraz granicznie trudnymi do spełnienia, aby podnieść ich poczucie zagrożenia, a wraz z nim służbową motywację i dyscyplinę.

³⁶ Tamże, sygn. 422, k. 21.

³⁷ Tamże, k. 34.

W latach 40. i 50. jeszcze brakowało kadry z odpowiednim przygotowaniem ideologicznym i merytorycznym do wykonywania cenzorskich obowiązków. Kłopoty z ludźmi wynikały również stąd, że wymagano od nich, aby czuli się kimś więcej niż urzędnikami, bo „działaczami”, zaufanymi współtwórcami nowego państwa i społeczeństwa, z drugiej zaś strony ich samych poddawano surowej kontroli, rozliczano z błędów i przeoczeń, nierzadko podejrzewano o celowe zaniechania. Wszak i oni przecież rekrutowali się ze społeczeństwa, z którym władza weszła w stan permanentnej wojny, od 1948 roku – wojny kulturowej. Obie strony dobrze o tym wiedziały.

*

Cenzorska ręka, z którą autorzy projektu Memoriału Wolnego Słowa powiązali symboliczną czarną linię, w rzeczywistości operowała ołówkiem czerwonym. Problem jednak nie w kolorystyce, lecz w tym, że za rękę tę wcale nie było łatwo złapać i wówczas, i w dzisiejszych badaniach historycznych. Po pierwsze dlatego, że działała nie tylko „bezwzględnie”, ale też elastycznie, w zależności od politycznego klimatu chwili, od aktualnej i przewidywanej bądź przez władze pożądaney pozycji cenzurowanego autora. Po drugie dlatego, że cenzurowaniem zajmował się nie tylko pracownik urzędu, ale też liczne instancje pośrednie: wydawcy, redaktorzy i sami autorzy. Proces twórczy nabierał charakteru samozwrotnego i negocjacyjnego³⁸. Kreacja artystyczna była zarazem adaptacją do PRL-owskich warunków³⁹. A kultura niezależna? Leszek Szaruga w swoim artykule o „Zapisie” stwierdzał:

W obu sferach – poddanej działaniu instytucji kontroli i od niej niezależnej – nadal pozostają wyznaczone przez cenzurę „obszary milczenia”. Można zaryzykować tezę o istnieniu niepisanej, milczącej umowy, która określa granice swobody wypowiedzi także w pismach i wydawnictwach uwolnionych od cenzury⁴⁰.

³⁸ O tym, jak cenzura wpływała na felietonistykę Kisielewskiego, pisała Magdalena Mateja, *Mowa umowna. O felietonach Kisielewskiego*, Toruń 2012 (zwłaszcza rozdz. III, s. 123–198).

³⁹ Por. B. Sułkowski, „*Ten przeklęty język ezopowy*”. *O społecznych mechanizmach komunikacji cenzurowanej*, w: *Piśmiennictwo – systemy kontroli – obiegi alternatywne*, red. J. Kostecki, A. Brodzka, Warszawa 1992, t. 2, s. 266–296.

⁴⁰ L. Szaruga, „*Zapis*”. *Wstęp do opisu*, w: *Piśmiennictwo – systemy kontroli...*, dz. cyt., s. 305.

Dyskusja o ograniczeniach, którym podlegał obieg niezależny, toczyła się również na łamach niezależnej prasy. Na ile i wobec jakich instancji swobodnie, to oczywiście również pytanie do rzeczowego rozważenia.

Nie kwestionując w żadnym razie zasadności wyodrębnienia obiegu pierwszego i drugiego, dla potrzeb badań nad literaturą w czasach PRL-u należałoby rozróżnić ponadto dwa inne obiegi tekstów: pierwotny, w którym uczestniczyli autorzy, redaktorzy wydawnictw, cenzorzy zanim dzieło dostąpiło druku, i wtórny, czyli oficjalny, dostępny na rynku wydawniczym dla publiczności zewnętrznej. Ten pierwszy stanowiłby wynaturzony odpowiednik długiego procesu ustalania tekstu w kulturze klasycznej, dla której autorytetem był Horacjański *List do Pizonów*⁴¹. Ostateczna postać utworu kształtowała się w toku cudzych lektur, przez mniej lub bardziej wymuszone autorskie korekty. W obiegu pierwotnym powstawała również nieoficjalna opinia o autorze: czy jest „nasz”, czy chce do „nas” dołączyć, czy „nasz” może zostać, czy raczej nie widać na to szans⁴².

Oglądany z tej perspektywy utwór wędruje z rąk do rąk, zmienia się pod wpływem nacisków bądź też życzliwych rad (często trudno je od siebie odróżnić). Badania nad piśmiennictwem PRL-owskim powinny w równym stopniu uwzględniać postać finalną utworu, wydrukowaną, jak też jego wersje poprzednie. W tej bowiem fazie, nie zaś dopiero po publikacji, decydowały się zwykle losy zarówno dzieła, jak i pisarza. A w każdym razie należałoby spytać o zależność tego, co się działo z pisarzem i jego dziełami oficjalnie, od tego, co poprzedziło jego wyjście na forum publiczne. Dopiero wówczas, po przebadaniu całego zespołu archiwalnego instytucji cenzorskiej wraz z jej odgałęzieniami ministerialnymi, partyjnymi oraz wewnątrzwydawniczymi, można by napisać historię literatury PRL-u, wygrzebaną, odzyskaną z niepamięci. Prawdziwszą od tej, jaką znamy.

⁴¹ O lekturze cenzorskiej poezji Nowej Fali jako „trzecim obiegu” pisała Joanna Hobot, *Gra z cenzurą w poezji Nowej Fali (1968-1976)*, Kraków 2000.

⁴² Np. o Eugeniuszu Paukszcie w związku z jego złożoną w PIW-ie (1953) książką *Srebrna ławica* cenzor stwierdzał, że jest to pisarz szukający drogi i w związku z tym niektóre ideologiczne mielizny w powieści trzeba mu darować. AAN, GUKPPiW, sygn. 386, teczka 31/124. Również Wojciechowi Żukrowskiemu wybaczano „niedojrzałość polityczną”, bo jeszcze niedawno był pisarzem katolickim. Tamże.

III. Terror aktualności. Na marginesie „wykazu książek podlegających niezwłocznemu wycofaniu” z 1951 roku

cudzoziemcy zachwyceni byli biblioteką Krasińskich, jej architekturą i jej przepięknym muzeum, tak mało znanem nawet rdzennym warszawiakom, a tak wartym obejrzenia.
(„Gazeta Warszawska” z 3 sierpnia 1933 roku)

Świadectwo

W roku 2002 wrocławskie wydawnictwo „Nortom” opublikowało dokument z dziejów cenzury powojennej zatytułowany *Wykaz książek podlegających niezwłocznemu wycofaniu 1 października 1951 r.*, sygnowany przez Centralny Zarząd Bibliotek w Ministerstwie Kultury i Sztuki. Zbigniew Żmigrodzki, ceniony bibliotekoznawca i bibliolog, przy tym publicysta zaangażowany w polemiki najświeższej daty¹, w *Posłowie* przedstawił spis prohibitów jako jedną z odsłon „tragedii polskiej książki” po 1939 roku². Poczynania ówczesnej

¹ Ostatnia jego publikacja książkowa o charakterze publicystycznym nosi tytuł *Krajobraz po przejściach*, Wrocław 2016.

² Z. Żmigrodzki, *Posłowie*, w: [Cenzura PRL]. *Wykaz książek podlegających niezwłocznemu wycofaniu 1 X 1951 r.*, Wrocław 2002, s. 78.

władzy rozpatrywał bowiem w kontekście aktów programowego niszczenia dóbr kultury pod okupacją niemiecką i sowiecką. Zwracał też uwagę na odczuwalne nadal skutki podobnych praktyk³. Konsekwencjom poczynań przeprowadzonych środkami administracyjnymi zaradzić mogły – jego zdaniem – tylko decyzje podjęte na szczeblu rządowym. „Restytucję książki polskiej” należałoby więc przeprowadzić „w możliwie pełnym zasięgu i zakresie”, uwzględniając całe zróżnicowanie światopoglądowe polskiego piśmiennictwa oraz wszystkie jego obiegi⁴. Żmigrodzki ubolewał, że w dobie transformacji ustrojowej, rozpoczętej w 1989 roku, program restytucyjny nie znalazł się wśród rządowych priorytetów, w następstwie czego piśmiennictwo o światopoglądzie katolickim nie zdołało odrobić strat, które poniosło w PRL-u. W opinii badacza nie mogło też ono skutecznie konkurować z „literaturą o charakterze laicyzującym, etycznie i społecznie <liberalnym>”⁵. Ta druga – stwierdzał – trwale zdominowała polskie życie kulturalne.

Autor operował rzecz jasna tezami publicystycznie wyostrzonymi. Zarysowany przezeń obraz relacji między lewicowym a prawicowym (mówiąc najogólniej) nurtem w kulturze wymagałby wielu dopowiedzeń, które zmąciłyby klarowność czarno-białego schematu. Nie uwzględnił na przykład roli Kościoła, który miał wszak mocną pozycję w grze politycznej czasu przejścia i mógł wykazać więcej bezinteresownej troski o stan kultury narodowej w „wolnej Polsce”. Zwłaszcza, że sprawdził się jako nieortodoksyjny światopoglądowo mecenas podczas stanu wojennego⁶.

³ Krystyna Heska-Kwaśniewicz zastanawiała się nad skutkami kulturowych spustoszeń dla pokolenia, którego dzieciństwo przypadło na czasy stalinowskie. K. Heska-Kwaśniewicz, *Przed czym chciano chronić młodego czytelnika w PRL-u, czyli o czystkach w bibliotekach szkolnych lat 1948-1953*, w: *Młody człowiek w świecie książki, bibliotek, informacji*, red. K. Heska-Kwaśniewicz, Katowice 1996. O eliminowaniu części zasobów bibliotecznych pisali: W. Nawrocki, *Oczyszczanie księgozbiorów. Przyczynek do dziejów polityki kulturalnej*, „Życie Literackie” 1981, nr 49; B. Białkowska, *Książki niechciane, książki „groźne” dla dzieci w Polsce Ludowej, czyli o czystkach w księgozbiorach bibliotecznych*, „Nowe Książki” 1991, nr 7; M. Fik, *Jak oczyszczano biblioteki*, „Puls” 1993, nr 5-6; K. Heska-Kwaśniewicz, „Klasyki na indeksie”. *Z dziejów czystek bibliotek śląskich w latach stalinowskich*, w: *Z dziejów książki i prasy na Śląsku w XIX i XX wieku. Wybrane zagadnienia*, red. K. Heska-Kwaśniewicz, Katowice 1999; M. Nadolna-Tłuczykont, *Powrót księzek „zakazanych” do współczesnych odbiorców (wybrane zagadnienia)*, Katowice 2013.

⁴ Z. Żmigrodzki, dz. cyt., s. 79.

⁵ Tamże.

⁶ 27 kwietnia 2016 r. odbyła się w CK Zamek debata *Kościół i kultura – mecenas, granice wolności*, podczas której porównywano m.in. rolę kościoła z lat 80., kiedy to roztaczał mecenas

Z pewnością miał Żmigrodzki rację co do tego, że powojenne zarządzanie zasobami bibliotecznymi wedle bieżących potrzeb władzy komunistycznej przyniosło skutki daleko idące⁷. Klimat transformacyjno-modernizacyjny nie sprzyjał zaś nie tylko działaniom restytucyjnym, lecz również samemu rozpoznaniu następstw polityki w tym zakresie.

Do *Wykazu księzek podlegających niezwłóchnemu wycofaniu* z 1951 roku sięgam jednak nie po to, by zapytać o spustoszenia w zasobach kulturowych, które z niego wynikły. Interesuje mnie ów dokument jako szczególnego rodzaju świadectwo, dobyte z mroków wczesnych lat 50. i znamienne dla rejonu Europy opisanego w ostatnich latach jako „skrwawione ziemie”, sponiewieranego rywalizacją dwóch totalitarnych potęg⁸. Daje się z dokumentu wskazanego wyczytać projekt kulturotwórczy, który nie tylko decydował o losie części księgozbiorów bibliotecznych, lecz miał zmienić status książki jako takiej.

nad artystami, nie wymagając od nich jasnej deklaracji ideologicznej, i po roku 1989, kiedy często bywał z nimi sporze, oskarżając o nadużywanie swobody twórczej.

⁷ Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego nie ustaje w pozyskiwaniu informacji o stratach wojennych w kulturze. Na jego stronie internetowej czytamy: „Ministerstwo Kultury od 1992 roku gromadzi dane na temat strat wojennych polskich bibliotek oraz dzieł sztuki z terenów Polski w granicach po 1945 roku. Początkowo dokumentację prowadzono w ramach działalności Biura Pełnomocnika Rządu do Spraw Polskiego Dziedzictwa Kulturowego za Granicą. Od 2001 roku jego obowiązki przejął Minister Kultury, a prace kontynuował Departament do Spraw Polskiego Dziedzictwa Kulturowego za Granicą, obecnie Departament Dziedzictwa Kulturowego. W 1998 roku część kompetencji Pełnomocnika Rządu dotyczących rozmów polsko-niemieckich na temat likwidacji skutków II wojny światowej w dziedzinie kultury przejęło Ministerstwo Spraw Zagranicznych. Dotychczas udało się zgromadzić dokumentację strat ponad 40 000 bibliotek z terenu Polski. To zaledwie część stanu posiadania sprzed 1939 roku, ale obejmuje najważniejsze księżnice i jest reprezentatywna pod względem typologicznym. Na tej podstawie oraz dzięki innym przekazom źródłowym można przyjąć, że w bibliotekach instytucjonalnych oraz w księgozbiórach prywatnych okresu międzywojennego znajdowało się około 70 000 000 tomów, z czego straty wojenne szacuje się na około 70-75 %, czyli ponad 50 000 000 tomów. Z tej liczby ponad 1200 000 (udokumentowanych jednostkowo; szacunkowo zaś powojennej o wiele więcej) przypada na zbiory specjalne powojennej zabytki piśmiennicze o szczególnej wartości, których nie można ani odtworzyć, ani odkupić. Biblioteki szkolne i oświatowe straciły ponad 90% księzek, fachowe i prywatne powojennej około 70 %, naukowe powojennej 50-55%. Należy zaznaczyć, że w tych okolicznościach ubytki miały charakter selektywny: ginęły dzieła najbardziej wartościowe. Dokumentacja, celowo zniszczona przez okupanta, ucierpiała jeszcze bardziej niż książki. Zebrane przez Departament materiały są opracowywane i wydawane drukiem”. <http://www.mkidn.gov.pl/pages/strona-glowna/kultura-i-dziedzictwo/ochrona-dziedzictwa-kulturowego/obiekty-utracone-w-wyniku-wojny.php> [dostęp 4.01.2017].

⁸ Nawiązuję do książki T. D. Snydera, *Skrwawione ziemie*, przeł. B. Pietrzyk, Warszawa 2011.

Na *Wykaz* sporządzony w 1951 roku składają się trzy listy ułożone alfabetycznie według nazwisk autorów. Imiona zaznaczono inicjałami. Pierwsza obywa się bez tytułu, druga zawiera „książki zdezaktualizowane”, trzecia – „książki dla dzieci”. Przy niektórych autorach z list nr 1 i 3 znajdujemy adnotację „wszystkie utwory”.

Dlaczego książki wymienione należy „niezwłocznie wycofać”, informuje tylko druga lista: bo „zdezaktualizowane”. Co do pierwszej i trzeciej, powód eliminacji najwidoczniej był jasny jak słońce. Ze wstępnej „uwagi” do ostatniej listy dowiadujemy się, że do wycofania kwalifikuje nie tylko naganne nazwisko bądź tytuł, ale również „niewłaściwe” miejsce wydania⁹.

Chociaż *Wykaz* został tak zredagowany, jakby chodziło o nagłą konieczność, nie stanowił ani pierwszego, ani ostatniego tego rodzaju dokumentu w powojennej Polsce¹⁰. Wyróżnia go skala zarządzanej selekcji. Jaką drogą spis powstawał, prześledził Marcin Zaremba w artykule *Amputacja pamięci*. Polecenie wyszło z samej góry – z Sekretariatu Biura Politycznego po jego zebraniu 11 maja 1951 roku, w którym uczestniczyli Bolesław Bierut, Jakub Berman, Józef Cyrankiewicz, Hilary Minc, Franciszek Mazur, Zenon Nowak, Edward Ochab, Aleksander Zawadzki i Roman Zambrowski. Za listę książek do „niezwłocznego wycofania” odpowiadał wprawdzie Wydział Prasowy KC PZPR pod kierownictwem Stefana Staszewskiego¹¹, lecz prace nad nią rozpoczęto już gdzie indziej – w Wydziale Ocen i Doboru Książek Centralnego Zarządu Bibliotek¹². Pomocą w sporządzeniu spisu miał służyć Instytut Badań Literackich PAN. Zdumiewające, jak potężna machina biurokratyczna została przy tej okazji uruchomiona: sekretariaty,

⁹ [Cenzura PRL]. *Wykaz książek podlegających niezwłocznemu wycofaniu I X 1951 r.*, s. 58.

¹⁰ W artykule Marcina Zaremby na temat wykazów książek niepożądanych czytamy: „Od 1949 do 1957 r. powstały co najmniej trzy duże spisy książek przeznaczonych do usunięcia”. M. Zaremba, *Amputacja pamięci*, „Polityka” 1996 nr 2064. http://www.niniwa2.cba.pl/ampudacja_pamieci.htm, [dostęp 15. 09. 2012]. Szerzej o ministerialnych „akcjach” pisała Dorota Degen, „...szkodliwe, zdezaktualizowane i bezwartościowe...”. *Zarys działalności Komisji Oceny Wycofywanych Wydawnictw (1954-1956)*, w: *Niewygodne dla władzy. Ograniczanie wolności słowa na ziemiach polskich w XIX i XX w.*, *Zbiór studiów*, red. D. Degen i J. Gzella, Toruń 2010. Wcześniej temat ten poruszył Stanisław Adam Kondek, *Papierowa rewolucja. Oficjalny obieg książek w Polsce w latach 1948-1955*, Warszawa 1999.

¹¹ Stefan Staszewski (jeden bohaterów *Onych* Teresy Torańskiej) w 1934 r. wyjechał do ZSRR, gdzie wykładał w szkole partyjnej. W 1936 r. trafił do obozu na Kołymie, skąd powrócił w 1945.

¹² Centralny Zarząd Bibliotek został powołany w 1951 r., zastąpił Naczelną Dyрекcyję Bibliotek.

biura, urzędy, wydziały, instytuty... Mimo to lub właśnie dlatego *Wykaz* powstawał niemrawo; skierowano go do druku dopiero pod koniec roku 1951. Dyrektywa centrali dotyczyła wszystkich bibliotek publicznych w kraju. Prasę opuściło – jak podaje Zaremba – 2 tysiące egzemplarzy broszury, zdecydowanie więc za mało, by mogły dotrzeć do 80 tysięcy krajowych bibliotek i punktów bibliotecznych. Kategoryczność nakazu wycofania spisanych książek rozmijała się więc z możliwościami jego szybkiej realizacji. Jak ową niespójność wyjaśnić? Odpowiedzi należy szukać w obowiązującym wówczas stylu zarządzania. Nakład broszury nie został dostosowany do liczby placówek bibliotecznych, bo nie chodziło o to, by wszyscy zainteresowani dostali egzemplarze do ręki. O szczegółach organizacyjnych zadania pisała niedawno Małgorzata Korczyńska-Derkacz. Według świadectw przez nią cytowanych stosownymi dokumentami miały dysponować nadzorujące „ściśle poufną” akcję trójki partyjne. Do Komitetów Wojewódzkich zwracał się w tej sprawie sekretarz KC PZPR Edward Ochab¹³.

Przedsięwzięcie tak pomyślane miało zapewne na celu – oprócz wycofywania książek „szkodliwych” – także weryfikację kadry bibliotekarskiej oraz wzmocnienie zachęt do utrzymania bądź przyjęcia postaw pożądaných. Skoro bibliotekarz nie mógł zapoznać się ze spisem książek zakazanych, lecz tylko coś, gdzieś o nim słyszał, bo przecież kontroli nie przeprowadzano tego samego dnia we wszystkich miejscach naraz, znajdował się nieomal w sytuacji podejrzanego. Poczucie niepewności sprzyjało uciekaniu się do zachowań nadgorliwych. Pracownicy bibliotek otrzymywali szansę okazania lojalności wobec władzy, dokonując z należyтым zaangażowaniem, poniekąd na własną rękę, przeglądu zawartości biblioteki, uprzedzając w tej mierze poczynania komisji kontrolnej. Granice między zachowaniem akceptowalnym a nagannym z punktu widzenia władzy komunistycznej bynajmniej nie rysowały się jasno. Czy był to zamierzony efekt procedur, czy może ich skutek uboczny, a może uzyskiwany odruchowo – poświadczający skalę indoktrynacji bądź poczucia zagrożenia ludzi władzy, trudno nam dziś rozstrzygnąć. Badaczowi tej epoki nieraz przychodzi stanąć przed

¹³ M. Korczyńska-Derkacz, *Książki szkodliwe politycznie, czyli akcja „oczyszczania” księgozbiorów bibliotek szkolnych, pedagogicznych i publicznych w latach 1947-1956*, w: *Niewygodne dla władzy*. dz.cyt. s. 345.

pytaniem: intencja to czy może tylko inercja? Diabelski plan czy chaos? Ot, choćby dobór słów w pismach urzędowych dotyczących księgozbiorów bibliotecznych. W okólnikach i notatkach służbowych z różnych lat konsekwentnie mówi się o „oczyszczaniu” bibliotek¹⁴. Również w omawianym tu *Wykazie* czytamy: „Przy oczyszczaniu księgozbioru należy zwracać baczność uwagę...”¹⁵. Z dzisiejszej perspektywy określenie to wygląda na zwykły eufemizm. W latach powojennych natychmiast uruchamiało bardzo konkretne skojarzenia.

Oczyszczanie

Marcin Zaremba w tytule swojego artykułu na temat „oczyszczania” księgozbiorów użył własnej, przemawiającej do wyobraźni metafory – „amputacja”, poprzez którą oddawał głęboki zamysł a zarazem długofalowy skutek opisywanych działań. Autorzy pism urzędowych z lat 40. i 50. minionego wieku, nakazując „oczyszczanie” nie wykazywali się językową pomysłowością, lecz sięgali do sprawdzonego już gdzie indziej słownika władzy. Używanie tego określenia w związku z ograniczeniami nakładanymi na książki ma długą tradycję – *Index Expurgatorius*. W latach powojennych jednak „oczyszczanie” znaczyło nie przez nawiązanie do indeksów kościelnych, ale praktyk znacznie czasowo bliższych. Z jednej strony musiało się kojarzyć się z „czystkami” politycznymi w ZSRR¹⁶. Z drugiej – przywoływało na myśl propagandę nazistowską, w której tyle się mówiło o czystości rasowej, o akcjach „oczyszczania” terenu z ludności żydowskiej oraz wszelkich innych elementów wrogich (zresztą także w dyskursie współczesnym funkcjonuje „czystka etniczna” jako określenie techniczne). Funkcjonariusz czy urzędnik zalecający „oczyszczanie” w latach tużpowojennych posługiwał się słowem niesłychanie obciążonym

¹⁴ Wiele przykładów tej stylistyki zawierają cytaty z pism urzędowych w artykule M. Korczyńskiej-Derkacz.

¹⁵ [Cenzura PRL]. *Wykaz książek*, s. 58.

¹⁶ O „czystkach” w Rosji wiele pisano chociażby na łamach międzywojennego „Robotnika”. Określenie „czystka bibliotek” pojawia się w protokole z konferencji bibliotecznej z 2 III 1949 r. M. Korczyńska-Derkacz, dz. cyt., s. 341. Na początku 2017 roku w Bibliotece Jagiellońskiej można było obejrzeć wystawę *Stalinowski bibliocyd. Wielka czystka ideologiczna w bibliotekach polskich (1951-1953)*, Biblioteka Jagiellońska 27 I-10 II 2017.

świeżą pamięcią jego użyć w kontekście terroru stalinowskiego i eksterminacyjnej polityki nazistowskiej. Ile w decyzji takiej było chłodnej kalkulacji, ile zaś językowego nawyku – trudno wyrokować. Pewne jest natomiast, że opisując Polskę powojenną trzeba pamiętać, na grunt jakich doświadczeń padały rozwiązania wdrażane przez władze komunistyczne. Również *Wykaz* z 1951 roku należałoby odnieść do poczynań władzy za obu okupacji, sowieckiej i niemieckiej.

Miał ten pomysł Zbigniew Żmigrodzki, ale wykorzystał go w sposób budzący wątpliwości. Skupił się bowiem na ocenie odmienności technik, jakie stosowano za jednej i drugiej okupacji. „Okupanci sowieccy” niszczyli wszystkie biblioteki i książki, które im wpadły w ręce, Niemcy zachowywali się metodycznie: najpierw spisywali szkodliwe publikacje, potem kontrolowali księgozbiory eliminując z nich literaturę „szkodliwą”. Badacz wspomina również o paleniu książek w Niemczech w 1933 roku. Taki publiczny sposób ich unicestwiania uznaje za mniej dewastujący, aniżeli ich niszczenie w bibliotekach, bez rozgłosu i wielu świadków, co praktykowano w Polsce¹⁷. Pytanie tylko, czy ferowanie moralnej oceny wspomnianych metod ma sens, jeśli pomija się okoliczności im towarzyszące. Miast spieszyć się z różnicowaniem ocen, należałoby raczej zapytać, jaki cel realizowano paląc książki publicznie, a jaki unicestwiając je bez rozgłosu. Organizatorom berlińskiego widowiska o co innego przecież chodziło niż decydentom, którzy zarządzali „czystki” w polskich bibliotekach po wojnie. Podczas niszczenia książek na placu Opery 10 maja 1933 roku przemawiał Goebbels, objaśniając zgromadzonemu, w czym mianowicie uczestniczą. Fragmenty tego przemówienia cytuje Eugeniusz Cezary Król w książce *Propaganda i indoktrynacja narodowego socjalizmu w Niemczech 1919-1945*. Akt zniszczenia – mówił twórca hitlerowskiej propagandy – miał symbolizować „zewnątrzne i wewnętrzne oczyszczenie narodu”¹⁸. W zamyśle organizatorów na placu Opery odprawiano więc rytuał puryfikacji. W świętym ogniu, w którym płonęły książki, naród miał odzyskać sam siebie, swoją nieskażoną tożsamość. Roger Callois

¹⁷ „Taka publiczna <śmierć> książki była przynajmniej jawna i w ten sposób bardziej honorowa”. Z. Żmigrodzki, dz. cyt., s. 78.

¹⁸ E. C. Król, *Propaganda i indoktrynacja narodowego socjalizmu w Niemczech 1919-1945*, Warszawa 1999, s. 376.

tak pisał o charakterystycznym dla społeczeństw pierwotnych paroksyzmie świątecznym:

Dozwolone są wszelkie wykroczenia, gdyż właśnie od wykroczeń, marnotrawstwa, orgii i aktów gwałtu społeczeństwo oczekuje swej regeneracji, w nich pokłada nadzieję na nowe siły, umożliwiające żywiołowy rozwój aż do ponownego wyczerpania¹⁹.

Pomijając wszystkie inne powody, czy można sobie wyobrazić podobny spektakl wyreżyserowany przez komunistów w Polsce powojennej? Gdzie miałyby się odbyć? Przecież nie w Warszawie, która wyglądała niczym jedno wielkie pogorzelisko. Dość przypomnieć, że pastwą ognia padła w 1944 roku Biblioteka Ordynacji Krasieńskich na Okólniku – spłonęło tam niemal osiemdziesiąt tysięcy starych druków, dwadzieścia sześć tysięcy rękopisów, sto tysięcy rysunków i grafik²⁰... Na przeszkodzie stanęłaby także zdecydowana niechęć nowych władz do wszelkich utopii retrospektywnych, jeśli nie wręcz do wszelkiej przeszłości rodzimej.

Moralna szkodliwość zastosowanego w Polsce sposobu eliminowania książek niepożądanych ujawnia się nie tyle przez odniesienie do berlińskiego spektaklu, co przez zestawienie z podejmowanym równolegle w latach tużpowojennych trudem ratowania dóbr kultury z wojennej pożogi²¹. Przy czym troszczono się nie tylko o książki polskie, ale również o niemieckie²².

¹⁹ R. Caillois, *Wojna i sacrum*, przeł. A. Tatarkiewicz, E. Burska, w: tegoż, *Antropologia widowisk. Zagadnienia i wybór tekstów*, oprac. A. Chałupnik, W. Dudzik, M. Kanabrodzki, L. Kolankiewicz, wstęp i redakcja L. Kolankiewicz, Warszawa 2005, s. 264.

²⁰ H. Łaskarzewska, *Biblioteki warszawskie w latach okupacji. Zasady działania, straty księgozbiorów*, w: *Straty Warszawy 1939-1945*, red. W. Fałkowski, Warszawa 2005. Pamiątką po spalonych zbiorach na Okólniku jest urna zawierająca na wpół spopieloną książkę (niczym znalezisko z Herkulanum). Zob. M. Gliński, *Urna w bibliotece, czyli jak się pali książki*, <http://culture.pl/pl/artykul/urna-w-bibliotece-czyli-jak-sie-pala-ksiazki> [dostęp 4.01.2017].

²¹ Np. na łamach białostockiej „Jedności Narodowej” opublikowano artykuł *Ratujmy książki i biblioteki!* „Jedność Narodowa” 1945, nr 21.

²² O ratowaniu księgozbiorów na Ziemiach Zachodnich zob. R. Nowicki, *Działalność Stanisława Sierotwińskiego w latach 1945-1946 jako delegata Ministerstwa Oświaty do zabezpieczenia księgozbiorów opuszczonych i porzuconych na Ziemiach Zachodnich*, „Roczniki Biblioteczne” 2006, nr 50; R. Nowicki, *Rezultaty działalności Zbiornicy Księgozbiorów Zabezpieczonych w Szczecinie w latach 1947-1950*, „Roczniki Biblioteczne” 2007, nr 51. Zbiornica Księgozbiorów Zabezpieczonych w Szczecinie istniała od maja 1947 r. do początkowych miesięcy 1950 r. Dokonano tam segregacji 668 377 dzieł z księgozbiorów ponemieckich.

Wydawałoby się, że każdy ocalony egzemplarz miał wartość nieprzeliczalną. W „Przeglądzie Bibliotecznym” z 1946 roku została zamieszczona relacja z porządkowania księgozbioru Biblioteki Narodowej. W lutym roku 1945 przedstawiał on widok opłakany, a niewiele brakowało, by i ta jego część, przechowywana w budynku przy ulicy Rakowieckiej (dział druków nowych), uległa całkowitemu unicestwieniu podczas metodycznego niszczenia lewobrzeżnej Warszawy przez Niemców:

[...] brak szyb, ram okiennych, przeciekający dach, zamokłe podłogi z zerwanymi posadzkami, na górnych piętrach kapiący deszcz i śnieg, hulający w szafach wiatr, wszędzie śmietnik, brud i gruz, pomieszany z porozrzucanymi i fruwającymi papierami, aktami i dokumentami. [...] Tylko znikome partie książek stały na miejscu, na półkach, w magazynie. Olbrzymia większość leżała w większym nieładzie, moknąc i pleśniejąc na podłogach; pod stołami i szafami, na oknach itp. Częściowo powiązane w naręcze, częściowo bezładnie w workach przygotowanych do wywieżenia, zalegały książki Biblioteki Narodowej wszystkie kąty gmachu²³.

W pierwszych latach po wojnie na łamach „Przeglądu Bibliotecznego” wciąż pisano o stratach, rewindykacjach i restytucjach księgozbiorów. Natomiast przeprowadzane w tym samym czasie akcje „oczyszczania” nie były przedmiotem żadnych oficjalnych doniesień²⁴. Bibliotekarze wszelako uczestniczyli zarówno w restytuowaniu, jak i w niszczeniu zasobów książkowych. Trudno się spodziewać, by Bogdan Horodyski, recenzując książkę wspomnieniową zatytułowaną *55 lat wśród książek*, nie zdawał sobie sprawy, że według nowych, urzędowych kwalifikacji większa część oferty antykwariatów z ulicy Świętokrzyskiej, o których pisał autor wspomnień, Jan Michalski, zostałyby uznane za „burżuazyjne” śmieci²⁵. Może zresztą

²³ H. Więckowska, *Z prac nad odbudową Biblioteki Narodowej*, „Przegląd Biblioteczny” 1946, z. 1-2, s. 109-110.

²⁴ W artykule Józefa Grycza w pierwszym numerze wznowionego po okupacyjnej przerwie pisma można co najwyżej przeczytać, że wśród „zabezpieczanych” książek na makulaturę zostaną przeznaczone niemieckie materiały propagandowe. J. Grycz, *Problemy biblioteczne obecnej doby*, „Przegląd Biblioteczny” 1946, z. 1-2, s. 21.

²⁵ O „zaśmieceniu” bibliotek czytamy w jednym ze sprawozdań z „selekcji księgozbiorów”. Zob. M. Korczyńska-Derkacz, dz. cyt., s. 343.

świadomość ta przebija w nostalgicznym tonie recenzenta:

[...] wędrujemy z autorem po Warszawie, której także już nie ma [autor wspomnień zmarł w roku 1946 – przyp. E.D.]. Odwiedzamy tak dobrze znane antykwarnie ulicy Świętokrzyskiej, rozpoznajemy postacie Kleinsigerów, Baumkolerów, Jabłonków, Jonaszów, Fiszlerów. I dopiero teraz zdajemy sobie sprawę, że z całego tego środowiska ludzi, sklepów, ze stert książek u nich zalegających nic nie zostało. Nawet zgłiszcz na ich miejscu nie ma [...]²⁶.

Jeśli ze stert tych uratowały się dajmy na to jakieś egzemplarze książek „antykomunisty” Ferdynanda Ossendowskiego czy z innej kategorii – Adama Nasielskiego (popularnego autora powieści kryminalnych), po wojnie nie byłoby dla nich miejsca w ogólnie dostępnych bibliotekach.

Sytuując powojenne „oczyszczanie” księgozbiorów bliżej metod sowieckich niż niemieckich, Zbigniew Żmigrodzki obraz nazbyt uprościł. Dla polskiego wariantu operacji wymierzonych w książki ma znaczenie nie tylko to, że dokonywano ich w sowieckiej strefie wpływów, ale to zwłaszcza, że władza komunistyczna mogła korzystać wedle talentu i woli z bogatego repertuaru strategii, które na terytorium Polski stosowali w latach minionych jedni i drudzy okupanci. Nie tyle więc przejmowano model sowiecki, co zachodziła dyfuzja następcza strategii władzy.

Jeszcze raz odwołam się do cytowanej już książki Króla. Badacz przedstawia w niej, jak funkcjonował w Trzeciej Rzeszy aparat polityczno-biurokratyczny (Ministerstwo Oświecenia Narodowego i Propagandy Rzeszy, Izba Kultury Rzeszy, Izba Piśmiennictwa Rzeszy), nadzorujący piśmiennictwo. Do zadań tych instytucji należało między innymi usuwanie z rynku i bibliotek książek uznanych za „szkodliwe i niepożądane”. Wykaz prohibitów z 1935 roku, sporządzony przez Izbę Piśmiennictwa Rzeszy nosił właśnie taki tytuł *Liste des schädlichen und unerwünschten Schrifttums*. Drugi spis powstał w roku 1939, kolejny – w 1940, ostatni – w 1945²⁷.

²⁶ B. Horodyski, recenzja książki J. Michalskiego, *55 lat wśród książek. Wspomnienia, wrażenia, rozważania, Wrocław 1950*, „Przegląd Biblioteczny” 1951, z. 1-2, s. 143-144.

²⁷ E.C. Król, dz. cyt., s. 380.

Ofiarą czystek – pisze Król – padały dzieła poszczególnych autorów oraz grupy tematyczne, w tej liczbie literatura polityczna różnych kierunków, książki o pozytywnym stosunku do Republiki Weimarskiej, wydawnictwa pacyfistyczne i spora część druków religijnych. Za niepożądane i szkodliwe uznano liczne publikacje z dziedziny nauk społecznych i medycznych, w tym książki o emancypacji kobiet, życiu seksualnym i przerywaniu ciąży. Zwalczano też literaturę ‘trywialną’ – w pierwszym rzędzie kryminały, erotyki, powieści o Dzikim Zachodzie i z gatunku *science fiction*²⁸.

Co do typu literatury, którą polecono „wycofać”, polskie listy prohibicyjne wykazują wiele zbieżności z niemieckimi. Ktoś mógłby stąd wysnuć wniosek, że wszelkie totalitaryzmy są do siebie podobne bez względu na ich lokalizację, a zbieżności procedur wynikają z samej natury czy raczej struktury władzy totalitarnej. Wydaje się jednak, że w odniesieniu do powojnia bardziej obiecujące poznawczo będzie właśnie pytanie o dyfuzję, nie zaś o strukturę systemu. Podobnie jak w przypadku restytucji księgozbiorów równoczesnej z ich trzebieniem, schizofreniczność do pewnego stopnia analogiczną można obserwować w stosunku nowych władz do dziedzictwa hitlerowskiego. Oficjalnie jego residua skazuje się na likwidację, w praktyce jednak dorobek Trzeciej Rzeszy stanowi łakomy kąsek dla zwycięzców. Na ich własność przechodzą nie tylko dobra materialne, lecz także liczne zdobycze intelektualne, organizacyjne, logistyczne. W „Tygodniku Powszechnym” z roku 1946 napotykaemy przestrogi kierowane pod adresem lewicy, by nie nadużywała propagandy wobec społeczeństwa poddawanego przez parę lat technikom Goebbelsowskim²⁹. Tym sposobem niedwuznacznie sugerowano, że komuniści dla własnych celów sięgają do metod hitlerowskich. Nawet jeśli w skojarzeniu powyższym publicyście „Tygodnika” chodziło o radykalną dyskredytację lewicy, nie traci ono swego znaczenia jako przesłanka na rzecz koncepcji dyfuzyjnej. Dowodzi bowiem co najmniej, że takie korzystanie z wrażego dorobku mieściło się w ówczesnych głowach. Przy czym zapewne trudno byłoby stwierdzić, podobnie jak w przypadku samego słowa „oczyszczanie”, o czym już pisałam, gdzie przebiegała granica między świadomymi

²⁸ Tamże, s. 380-381.

²⁹ Paweł Jasienica pisał, że w „narodowym organizmie wytworzyły się antytoksyny na propagandę”. P. Jasienica, *Nieporozumienia*, „Tygodnik Powszechny” 1946, nr 42.

zapożyczeniami w zakresie technik propagandowych a mimowolnym nimi „zarażeniem”. W prasie powojennej toczono wszak dyskusję o „zarażeniu śmiercią”. Z pewnością można by ją było rozszerzyć na inne toksyny. O przejmowaniu i postępującym uwewnętrznianiu języka propagandowego z czasów okupacji świadczy między innymi fragment wspomnień Władysława Szpilmana spisanych przy pomocy Jerzego Waldorffa. Fragment ów właśnie dlatego, że zawierał „cudzy” język, został zakwestionowany przez cenzurę. W wersji nieocenzurowanej Szpilman mówił:

Chcąc dać wierny obraz naszego życia w tych strasznych chwilach, mam tylko jedno porównanie – pluskwy. Skoro w jakimś zabrudzonym mieszkaniu znajdzie się gniazdo tych owadów i zaczną się posypywać je trującym proszkiem, pluskwy rozbiegają się na wszystkie strony i kręcą się coraz prędzej w poszukiwaniu dróg ucieczki, lecz, czy to ogłupiale nagłością ataku, czy oczadziałe trucizną, miast iść prosto przed siebie za zasięg jej działania kręcą się w kółko, powracają na te same szlaki, niezdolne do wyjścia po za obręb śmiertelnego koła i – giną. Tak samo i my kręciliśmy się od rana do wieczora, bezradni, ogłupiali, wpadając z jednej łapanki w drugą, objijając się o mury i zawracając w głębie getta, wszyscy w poszukiwaniu ratunku przed śmiercią, co było nieuchronne.

Porównanie Żydów do pluskiew wydało się cenzorowi niestosowne. Tekst skorygowano:

Chcąc dać obraz naszego życia w tych strasznych chwilach mam tylko jedno porównanie – zagrożone mrowisko. Skoro brutalna stopa bezmyślnego chama pocznie podkutym obcasem niszczyć gniazdo tych owadów, mrówki rozbiegają się na wszystkie strony i kręcą co raz prędzej w poszukiwaniu dróg i sposobów ratunku, lecz czy to ogłupiale nagłością ataku, czy zaabsorbowane losami swego potomstwa i resztkami ocalałego jeszcze dobytku, jak oczadziałe trucizną, miast iść prosto przed siebie za zasięg jej działania, kręcą się w kółko, powracają na te same szlaki, do tych samych miejsc, niezdolne do wyjścia po za obręb śmiertelnego koła i – giną. Tak samo i my...³⁰

³⁰ AAN, GUKKPiW, sygn. 170,teczka 32/32. *Śmierć miasta. Pamiętniki Władysława Szpilmana*

W wersji nieocenzurowanej wspomnień Żydzi porównani do pluskiew tracą wszelkie cechy ludzkie. Z kolei przemienieni w mrówki, mimo paniki, zachowują jeszcze odruchy humanitarne – interesują się losem dzieci i ratowaniem dobytku. W wersji pierwotnej *Pamiętników* niszczenie pluskiew w mieszkaniu jest czynnością najzupełniej normalną i uprawnioną. Każdy by tak postąpił w analogicznej sytuacji. Któż na pluskwy nie reaguje wstrętem? Jeśli zatem Szpilman porównuje siebie, swoich bliskich, swoich rodaków do pluskiew, naśladuje oprawców w ich dehumanizującym sposobie postrzegania ofiar³¹. Interioryzuje perspektywę antyżydowskiej propagandy niemieckiej. Gniazdo mrówek natomiast niszczy „bezmyślny cham”. Dopuszcza się ekscesu, którego sam nie rozumie. Pozytywną aurę wokół owadnich ofiar wzmacniała również tradycja literacka – chociażby za sprawą patriotycznego wiersza *Mrowisko* Juliana Ursyna Niemcewicza.

Pluskwiana perspektywa z fragmentu *Pamiętników* sprzed ingerencji cenzury byłaby do pewnego stopnia zjawiskiem podobnym jak człowiek zlagrowany z prozy Tadeusza Borowskiego. *Wykaz książek podlegających niezwłóchnemu wycofaniu*, tak przypominający w swojej formie listy niemieckie, wywołuje podobne wrażenie jak „pluskwy” we wspomnieniach Szpilmana; oto jeszcze jedna optyka lektury wykazu prohibitów.

Nazywając akcje adaptowania księgozbiorów do potrzeb władzy komunistycznej „oczyszczaniem”, ich zlecniodawcy traktowali książki nieakceptowane niczym śmieci. Część z nich trafiła na przemiał. Nie można jednak zapominać, że losy książek splatały się dotkliwie z losami ich autorów³². Nieżyjącym lub zagranicznym regulacje omawiane nie mogły osobiście zaszkodzić. Na listach książek do „wycofania” znajdowały się jednak również nazwiska ludzi, którzy przetrwali wojnę i zostali w kraju. W takich przypadkach nabierały one cech list proskrypcyjnych. Kiedy „oczyszczano” biblioteki, niektórzy z pisarzy przebywali wszak w więzieniu, inni zapewne poważnie się z taką ewentualnością liczyli. Na pierwszą listę

1939-1945, w opracowaniu J. Waldorffa, Warszawa 1948, s. 96.

³¹ O dehumanizującej percepcji w relacjach między grupą własną a obcą zob. *Poza stereotypy. Dehumanizacja i esencjalizm w postrzeganiu grup społecznych*, red. naukowa M. Drogosz, M. Bilewicz, M. Kofta, Warszawa 2012.

³² Analogię losów książek i ludzi zakłada termin „libricide”. Zob. R. Knuth, *Libricide: The Regime-Sponsored Destruction of Books and Libraries in the Twentieth Century*, Greenwood Publishing Group 2003.

Wykazu z 1951 roku wpisano nazwiska Jerzego Brauna (*Książka harcerska, Kultura polska na bezdrożach, Szopka harcerska*) i Jana Hoppego (*Myśli społeczne, Wybory w r. 1935*), skazanych na dożywocie. Taki wyrok dostał też generał Stefan Mossor („wszystkie utwory”). W 1950 aresztowano – na krótko (w 1954 znowu, tym razem na rok) – Stefana Łosia, figurującego w *Wykazie* z powodu dwóch powieści – *Strażnicy* i *Szajki*³³. Więziono też Wacława Kostka-Biernackiego („wszystkie utwory”), Adama Czekalskiego (*Dżungla, Łuny nad Hiszpanią, Rekordy*). Dla wielu innych pisarzy obecność na listach oznaczała odcięcie od źródeł dochodu. O kilku biografjach przetrąconych więzieniem bądź zakazem wznowień pisała Joanna Siedlecka w książce *Oblawa. Losy pisarzy represjonowanych*. Obecność na liście mogła skłaniać do porzucenia zawodu pisarskiego, ale mogła też działać stymulująco. Należało się postarać o aprobatę władzy podejmując nowe wyzwania. Nie bez powodu druga lista nosiła tytuł „książki zdezaktywowane”. W pewnym sensie wszystkie tytuły, które trafiły do *Wykazu* z 1951 roku należały do tej kategorii książek.

Aktualność ponad wszystko

Lektura listy nr 1, zawierającej głównie książki wydane w okresie międzywojennym, w tym wyraźnie sprofilowane politycznie, ale też kanon ówczesnej literatury popularnej, pozwala wysnuć wniosek, że jej celem miało być „oczyszczenie” bibliotek z resztek minionej epoki. W tym samym czasie w oficjalnych publikacjach stawiano międzywojnie przed sądem historii, a raczej wymierzano mu najsurowszy wymiar kary. Polska sanacyjna miała zniknąć bez śladu. Na „oczyszczonym” miejscu należało ustanowić wszystko od nowa. Traktując przeszłość jako balast komunistów stawiali się w pozycji modernizatorów. Polskę międzywojenną należało usunąć z pola uwagi, by nie przeszkadzała w marszu ku przyszłości. Tak definiowaną relację między przeszłością a przyszłością, między pamięcią a zdolnościami kreatywnymi Elisabeth Eisenstein opisywała jako cechę dyskursu modernizacyjnego, który

³³ Bohaterami książki Siedleckiej są między innymi Jerzy Braun, Stefan Łoś, Helena Zakrzewska. Zob. J. Siedlecka, *Oblawa. Losy pisarzy represjonowanych*, Warszawa 2005.

rozwinął się o na dobre dzięki upowszechnieniu prasy drukarskiej³⁴. O ile jednak charakterystyczna dla tego dyskursu miałyby być „obsesja nowości”, o tyle w odniesieniu do dyskursu w powojennej Polsce trzeba by mówić o obsesji aktualności.

Na liście nr 2 *Wykazu* znalazły się książki wydane już po wojnie i już nieaktualne. Aż trudno uwierzyć, ale do pozycji niezaskądźających na ponowną lekturę zaliczono między innymi relacje z obozów koncentracyjnych. Co zatem znaczyło słowo „aktualny”, którego używano wówczas nader często zarówno w prasie, jak i w języku urzędowym? Czego domagano się od pisarzy, kiedy nawoływano ich do twórczości „aktualnej”? Chodziło nie tyle o współczesną problematykę, co przede wszystkim o poświadczane w twórczości zaangażowanie ideologiczne i polityczne autorów. Na zjeździe wrocławskim ZZLP w listopadzie 1947 roku Stefan Żółkiewski w referacie zatytułowanym *Aktualna problematyka literatury współczesnej* wskazywał na poważny niedostatek twórczości powojennej, a mianowicie „nieprzezwyjęzony dotąd spadek nieaktualnych, ideowo obcych współczesności tradycji literackich”³⁵. „Nieaktualny” – jak wynika z przytoczonego zdania – to znaczy „ideowo obcy”.

Publikująca na łamach „Tygodnika Powszechnego” Maria Jarczyńska w artykule *O aktualności w sztuce, o dyletantyzmie i o Breughelu* już w 1946 roku pomstowała na wszechobecność „barbarzyńskiego terminu” i terror, który się z nim wiązał.

Mamy uraz psychiczny na temat aktualności. Nie można obejrzeć się na porywającą osobistość z innego wieku tak sobie, od niechcenia zagapić się z bezinteresownego podziwu, żeby zaraz nie spytano – właściwie w związku z czym i co nam z tego przyjdzie. Obecne czasy i ich zmartwienia są granicą zainteresowań, miarą problemów, w każdym wymknięciu się myślą poza nasz własny dzień widzi się pewnego rodzaju nielojalność³⁶.

³⁴ Zob. E. L. Eisenstein, *Rewolucja Gutenberga*, przeł. H. Hollender, Warszawa 2004.

³⁵ S. Żółkiewski, *Aktualna problematyka literatury współczesnej*, „Kuźnica” 1947, nr 49.

³⁶ M. Jarczyńska, *O aktualności w sztuce, o dyletantyzmie i o Breughelu*, „Tygodnik Powszechny” 1946, nr 51-52, s. 6.

Upominając się o prawo do swobodnego zachwytu nad Breughlem, autorka pokazywała go zarazem jako doskonałego realistę, to znaczy malarza, który nie ulega złudzeniom. Współcześni rzecznicy „aktualności” – wbrew deklaracjom – realistami nie byli. Aktualność w ich wykonaniu stanowiła sprawdzian lojalności nie tyle wobec własnego czasu, co wobec władzy komunistycznej.

Na tak rozumianą „aktualność” byli też rzecz jasna wyczuleni cenzorzy. Jej przejawy odnotowywali z aprobatą. W sporządzonej w 1952 roku recenzji *Świtu słowiańskiego jutra* Pawła Jasienicy recenzent zauważał, że hipotezy historyczne autora „mają aktualny charakter”. Książkę oceniał jako „bezwzględnie pożyteczną”³⁷. W cenzorskiej recenzji *Wikliny* Leopolda Staffa z 1953 roku zwrócono uwagę na kilka wierszy o „tematyce aktualnej” (walka o pokój, odbudowa). Generalnie rzecz biorąc jednak „aktualności” było w tomiku jak na lekarstwo: spojrzenie nazbyt humanistyczne, śladowo występujący realizm, nie dość wyraźne „odgłosy naszej epoki”. Recenzent wzdychał: „Niestety, nie sposób dokładnie określić, z jakiego okresu pochodzą wiersze”³⁸. Postulował, by opatrzyć utwory datami, by czytelnik nie pomyślał, że ich „nieaktualność” jest manifestacyjna.

Nieaktualność bywała argumentem na rzecz wstrzymania publikacji. Tak uzasadniano odesłanie do lamusa *Dziecięcia Starego Miasta* Józefa Ignacego Kraszewskiego (książkę chciało wznowić wydawnictwo „Przełom”)³⁹. Z tego samego powodu wątpliwości budziła rozprawa Wiktora Schramma i Heleny Schrammówny pt. *Materiały do osadnictwa i spraw gospodarczych we wsiach doliny Tarnawki i Hoczewki Ziemi Sanockiej*. Recenzentom przeszkadzał niedzisiejszy „duch solidaryzmu” w opisywanej społeczności wiejskiej⁴⁰.

Ale zdarzało się też odwrotnie. Odmawiano publikacji, bo problematyka, którą książka poruszała nie była jeszcze „całkiem historyczna”, co przydarzyło się rozprawie Romana Reinfussa *Łemkowie jako grupa etnograficzna*. Recenzent uzasadniał, że zagadnienie Łemków wprawdzie definitywnie rozwiązano, częściowo „repatriując” ich do ZSRR, a częściowo

³⁷ AAN, GUKPPIW, sygn. 386, teczka 31/132.

³⁸ AAN, GUKPPIW, sygn. 386, teczka 31/124.

³⁹ AAN, GUKPPIW, sygn. 173, teczka 32/43.

⁴⁰ Tamże.

przesiedlając na inne tereny Polski, lecz sprawa była nazbyt świeża, by można było o grupie tej pisać nie zważając na współczesny kontekst⁴¹.

Niekiedy wymóg aktualności bywał źródłem pomysłów kuriozalnych. Cenzor pochylający się nad librettem *Strasznego dworu* stwierdzał, że czas najwyższy (!) wymienić je na nowe⁴².

Aktualność otwierała drogę do publikacji, ale też narażała na szybką dezaktualizację książki, czego dowodzi lista nr 2 *Wykazu*. Trafło na nią sporo tytułów wskazujących na tematykę Ziem Odzyskanych (Z. Bednorz, *Od Opola do Wrocławia*, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, Warszawa 1946; A. Bolewski, *Gospodarcze znaczenie Ziem Odzyskanych dla świata słowiańskiego*, Polski Związek Zachodni, Poznań 1947; M. Czekańska, *Z biegiem Odry*, Państwowe Zakłady Wydawnictw Szkolnych, Warszawa 1947; T. Gede, *Co nam dają Ziemie Zachodnie?*, Książka, Warszawa 1946; L. Gustowski, *Szczecin. Fakty i liczby*, Wydawnictwo Zachodnie, Poznań 1947 i inne). Najwidoczniej w roku 1951 o Ziemiach Odzyskanych należało myśleć już z gruntu inaczej aniżeli w roku 1946 czy 1947. Książka traciła aktualność niczym wczorajsza gazeta. I jak gazeta była traktowana. Można ją było nazajutrz wyrzucić, skoro pojawiała się nowa, bardziej aktualna i zalecana. Lista nr 2 *Wykazu* z 1951 roku stanowiła właśnie świadectwo u g a z e t o w i e n i a c a ł e g o p i ś m i e n n i c t w a (zresztą także jeśli chodzi o jakość papieru...). Być może też na tym właśnie polegał niezaprzeczony sukces polityki kulturalnej tych lat: na funkcjonalnej l i k w i d a c j i k s i ą ż k i jako artefaktu kultury, rządzącego się własnymi gwarancjami tożsamości i trwałości przekazu.

Kto zaś spośród piszących dla chleba wziął sobie do serca wymóg aktualności, mógł liczyć na życzliwą wyrozumiałość Polski Ludowej. O zdolności powojennej ojczyzny do zapomnienia pisał cenzor *Piątki z ulicy Barskiej* Kazimierza Koźniewskiego: „Polska Ludowa zapomni przeszłość wszystkim tym, którzy zrozumieli swe błędy, chcą uczciwie pracować, wnieść swój wkład w dzieło budowy socjalizmu”⁴³. Dla wielu pisarzy obietnica ta okazywała się ofertą nie do odrzucenia.

⁴¹ Tamże.

⁴² Tamże.

⁴³ AAN, GUKPPiW, sygn. 386,teczka 31/132.

IV. Drugie życie. Jasienica jako pisarz politycznie użyteczny

Bez zegara nie ma historii
(P. Jasienica, *Rozważania o wojnie domowej*)

Dwa tytuły

Biały front Pawła Jasienicy, wydany przez Państwowy Instytut Wydawniczy¹ w 1953 roku, raczej nie zostanie wznowiony². Powód jest prosty. Autor napisał i wydał drugą wersję książki tak dalece zmienioną, że zdecydował się również na nowo ją zatytułować; w roku 1960 opublikował *Dwie drogi. O powstaniu styczniowym*. Wyjaśnił też czytelnikom, jak się ma nowa wersja do starej.

Książka ta powraca do spraw przedstawionych w *Białym froncie* siedem lat temu. Większość jego wywodów zmieściła się tutaj w zmienionym układzie lub innej formie. Obok nich – rzeczy nowe:

¹ O historii wydawnictwa zob. L. Żuliński, *Foksal 17*, Warszawa 2005.

² W roku 2007 wydawnictwo Prószyński i S-ka zainauguowało trzyletni projekt *Jasienica. Powrót*, obejmujący 17 tomów dzieł pisarza. Jak się łatwo domyślić, nie ma wśród nich *Białego frontu*.

fakty wtedy jeszcze nieznanne lub pominięte, szersze tło, a zwłaszcza komentarze i wnioski³.

Jasienica przyznawał otwarcie, że od czasu publikacji *Białego frontu* z gruntu inaczej już zapatruje się na powstanie styczniowe. Nie widział w tym zresztą nic osobliwego ani nagannego. Człowiek myślący miewa takie przygody.

Wyrażone poglądy zmienia się chyba zawsze, niekiedy już nazajutrz – albo się je odwołuje, albo potwierdza, wzmacniając lepszą argumentacją. Stać w miejscu nie sposób. Należałoby w tym celu przestać myśleć⁴.

Nieuchronna zmiana poglądów miała więc wynikać z samej dynamiki procesu myślenia. Myślę, więc teraz myślę już inaczej. Pisarz nie wdał się w rozważania, na ile to, co opublikował – wtedy i teraz – zostało podyktowane okolicznościami historycznymi. Wiadomo jednak przecież, że od publikacji *Białego frontu* upłynęło nie tylko siedem lat, ale że przez ten czas zdążył się zmienić radykalnie klimat polityczny ze wszelkimi tego konsekwencjami. *Biały front* powstał przed „odwilżą”. *Dwie drogi* – kiedy nastroje odwilżowo-październikowe przeminęły z wiatrem historii.

Poszanowanie ostatniej woli Jasienicy co do tekstu książki o powstaniu styczniowym (jeśli respektować tradycyjne zasady edytorstwa) nakazuje wersję pierwszą traktować jako coś w rodzaju brulionu, wstępnego rozpoznania tematu. Wersja druga tę pierwszą całkowicie unieważnia⁵. Gdyby jednak jakiś ekstrawagancki wydawca połączył obydwie tytuły pod jedną okładką, podsunąłby czytelnikowi wiele zagadnień pod rozwagę. Jakie miejsce w dorobku autora *Polski Piastów*, *Polski Jagiellonów* i *Rzeczpospolitej Obojga Narodów*, książek najbardziej wśród jego dzieł poczytnych, zajmuje temat powstania styczniowego⁶? Jak dalece między rokiem 1953

³ P. Jasienica, *Dwie drogi. O powstaniu styczniowym*, wstęp A. Szwarca, Warszawa 2009, s. 373.

⁴ Tamże.

⁵ Ewa Tierling-Śledź w swojej książce *Gra (z) historią. Powstanie styczniowe w prozie polskiej po 1945 roku*, Szczecin 2013, bierze pod uwagę jedynie *Dwie drogi* (s. 54, 56, 92, 109, 118).

⁶ Andrzej Szwarc we wstępie do wydania *Dwóch dróg* w ramach cyklu *Jasienica. Powrót* zauważa, że książka ta niesłusznie znalazła się w cieniu innych dzieł pisarza. A. Szwarc, Wstęp, w: P. Jasienica, dz. cyt., s. 6.

a 1960 zmieniło się stanowisko Jasienicy wobec wydarzeń 1863 roku⁷? W jakim stopniu „Październik” wraz z następstwami wpłynął na jego podejście do powstania? Na ile reinterpretacja tematu powstańczego oznaczała reorientację polityczną? Nie jest to oczywiście kompletna lista zagadnień do rozważenia. Nie może zabraknąć wśród nich również pytania o udział i funkcję ingerencji cenzuralnych w procesie twórczym. Powinno to być zresztą, o czym już pisałam we wstępie, standardowe pytanie w odniesieniu do autorów publikujących w warunkach cenzury prewencyjnej.

W *Pamiętniku*, którego nie spodziewał się ujrzeć w druku, Jasienica stwierdzał, że pisząc zawsze miał świadomość ograniczeń cenzuralnych⁸. Ale też ich nie demonizował do tego stopnia, by nie zostawiać pola na żadną autorską suwerenność. W innym miejscu *Pamiętnika* czytamy:

Cenzura nie ponosi odpowiedzialności za wszystkie dewastacje tekstów literackich i innych, dzieli ją po części z takimi, co lubili się asekurować na wszelki wypadek. [...] Niekiedy przynajmniej można było się postawić⁹.

Jeśli zatem publikacja nosiła nazwisko Jasienicy, oznaczało to autorską akceptację dla tekstu. Pisarz zrobił, ile było można, żeby się swego dzieła nie wstydzić¹⁰. Wprawdzie nie wypowiedział wszystkiego, co by chciał, co miał do powiedzenia, wypowiedział jednak, co mógł. Kiedy więc wracał do książek opublikowanych przed Październikiem '56 (książek, bo rzecz

⁷ Szwarc zależność między dwoma książkami tak ujmuje: „*Dwie drogi* są w znacznej mierze kontynuacją i rozwinięciem *Białego frontu*, wydanego jeszcze w 1953 roku. W obu książkach głównym tematem jest konflikt między Białymi i Czerwonymi, w którym autor przyznaje rację zwolennikom radykalnego programu połączenia walki o wyzwolenie narodowe i społeczne”. Tamże, s. 7.

⁸ „Minie wkrótce dwudziesta czwarta rocznica mej zawodowej pracy literackiej. Przez cały czas nie napisałem ani jednej stroniczki swobodnie. Kreśleniu każdego dnia towarzyszyła świadomość cenzury prewencyjnej”. P. Jasienica, *Pamiętnik*, wstęp i zakończenie W. Bartoszewski, Warszawa 2007, s. 23. Fragmenty *Pamiętnika* po raz pierwszy wydrukowano w „Przeglądzie Katolickim” 1985, nr 51, 52 i 1986, nr 51, 52 pod tytułem *Strzępy wspomnień*. Cenzura interweniowała w tym tekście wielokrotnie.

⁹ P. Jasienica, *Pamiętnik*, s. 136.

¹⁰ Korzystając z październikowego przyboru wolności Jasienica czym prędzej wydał zbiór artykułów *Ślady potyczek*, w którym – gdzie mógł – naprawił tekst zmieniony pod presją cenzury. Dołączył też teksty niedopuszczone wcześniej do druku.

dotyczy również *Świtu słowiańskiego jutra*) i dokonywał w nich zmian, okazywał tym samym, że się tych prac swoich nie wypiera, że nie wyrzuca ich na śmietnik z chwilą, kiedy zmienił się polityczny klimat. Wedle wykładni inspirowanej uwagami z *Pamiętnika* owe powroty można by rozpatrywać jako przejaw odpowiedzialności za pisarskie uczynki. Można by też, pozostając w aurze biograficznych perypetii Jasienicy – urodzonego w imperialnej Rosji, przed wojną mieszkającego w polskim Wilnie i Grodnie, a po wojnie próbującego się odnaleźć w Polsce między Odrą a Bugiem – w zabiegach takich zobaczyć starania o ciągłość własnej biografii, wciąż narażonej na gwałtowne wstrząsy o dziejowym wymiarze. Zadanie nie było łatwe. Dość porównać tytuły książek o słowiańskiej problematyce – *Świt słowiańskiego jutra* (1952) i *Słowiański rodowód* (1961). Drugi stanowi nieomal odwrócenie pierwszego. W pierwszym akcent pada na przyszłość, w drugim na przeszłość.

Wgląd do materiałów Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk dotyczących *Białego frontu* uświadamia, że pisarz miał w gruncie rzeczy nikłe szanse na to, by móc przewidzieć, gdzie pobiegnie granica, której mu przekroczyć nie wolno. Jego tekst nieraz wędrował z jednego cenzorskiego biurka na drugie, z drugiego na trzecie, a bywało, że łańcuch liczył więcej ogniw. Tradycyjna mądrość, że „do trzech razy sztuka” nie miała tu żadnego zastosowania. Cenzora trudno też było przeniknąć dlatego, że się go nie widywało. Informacje o urzędowych zastrzeżeniach docierały do autora za pośrednictwem redaktora z wydawnictwa. W *Pamiętniku* Jasienica stwierdzał, że kontaktując się z cenzurą poprzez wydawniczych mediatorów autor czuł większą presję, niż w sytuacji, gdyby sam miał do urzędu przystęp.

Cenzura nie gada z autorami bezpośrednio, a to właśnie w tym celu, aby uruchomić pośrednie organa nacisku, wydawnictwa, obarczyć je odpowiedzialnością polityczną także¹¹.

Pisarz nie stawał więc nigdy oko w oko z cenzorem, lecz miał do czynienia jedynie z Bogu ducha winnym, jak można było sądzić, pracownikiem

¹¹ P. Jasienica, *Pamiętnik*, s. 136.

– a częściej, co też nie bez znaczenia, pracownicą – domu wydawniczego, osobą która sercem była często po jego stronie i wbrew sobie starała się nakłonić autora do ustępstw. Leopold Tyrmand w swoim *Dzienniku* opisywał redaktora wydawniczego jako jeden z chytrych wynalazków komunistycznych:

[...] taki redaktor opracowuje tekst książki pod kątem polityczno-cenzuralnym, skłania autora do przeróbek, wykreśleń, zmian naruszających często najbardziej zasadniczą koncepcję dzieła, bieg akcji, rysunek postaci: ponadto do obowiązków jego należy dbałość o styl, gramatyczność, a nawet ortografię, które stanowią bardzo poważny kłopot w pracach autorów zdrowych ideowo, ale częstokroć niewykończonych edukacyjnie. „Redakcjom” i „korekturom” podlegają także książki autorów nieżyjących, częstokroć klasyków, a także autorów obcych”¹².

Zmiany wymuszane przez cenzora traktowane więc były nieomal na równi z innymi sugestiami poprawek, łącznie z tymi, które korygowały tekst z korzyścią dla autora.

Biały front redagowała Leona Koźniewska. „Lalka” – jak twierdził dobrze poinformowany Tyrmand – była córką „sanacyjnego pułkownika”, „wychowanką jednej z najbardziej ekskluzywnych pensji przed wojną”¹³, a więc kulturalną panią o nagannym z punktu widzenia partii rządzącej pochodzeniu, przy tym żoną Kazimierza Koźniewskiego, który w PRL-u urządził się znakomicie, aczkolwiek z czasem dopiero miało się okazać, że regularnie i wytrwale, od lat 40. do końca PRL-u, współpracował ze Służbą Bezpieczeństwa (najpierw UB)¹⁴.

¹² L. Tyrmand, *Dziennik 1954 wersja oryginalna*, Kraków 2012, s. 71. Co do cenzurowania klasyków zob. „*Dzieła*” Henryka Sienkiewicza w *dokumentach głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk (1948-1954)*, wybór, oprac. naukowe i wstęp K. Budrowska i K. Kościewicz, Białystok 2016.

¹³ L. Tyrmand, dz. cyt., s. 146.

¹⁴ Koźniewski był niezwykle cennym współpracownikiem „bezpieki”. Odegrał m.in. kluczową rolę w zaaranżowaniu powrotu Wańkowicza do kraju, potem zresztą zeznawał przeciw niemu podczas procesu w 1964 r. Rozszyfrował też pseudonim Gaston de Cerizay (na podstawie analizy stylistycznej artykułów), pod którym Stanisław Cat-Mackiewicz publikował w „Kulturze” paryskiej. J. Siedlecka, *Kryptonim „Liryka”: bezpieka wobec literatów*, Warszawa 2009, rozdział: *Agent 33 – na swoich i obcych (Kazimierz Koźniewski)*.

Wśród licznych publikacji Koźniewskiego (najbardziej znana – powieść *Piątka z ulicy Barskiej*)

Spośród trzech recenzji cenzorskich *Białego frontu* z 1953 roku każda kończyła się inną konkluzją. Jeden cenzor wskazywał w tekście konkretne miejsca do poprawy, drugi nie widział konieczności zmian, chociaż dostrzegł niefortunne sformułowania, trzeci stanowczo odmawiał zgody na wydanie książki. Ten trzeci – najgorliwszy – zgłosił całą listę zastrzeżeń. Autor marginalizuje rolę Jarosława Dąbrowskiego i Walerego Wróblewskiego. Bagatelizująco wypowiada się o udziale Mierosławskiego. Ekspozuje za to Stefana Bobrowskiego, o którym niewiele wiadomo (historycy powinni sprawdzić, kim ów Bobrowski był!). Niewłaściwie przedstawia powstanie, bo pomniejsza znaczenie czerwonych. Nie uwzględnia sojuszu z rewolucyjnym ruchem rosyjskim. Twierdzi, że wybuch nastąpił zbyt późno, a tymczasem w „Nowych Drogach” napisano, że przedwcześnie. Generalnie rzecz biorąc całość należałoby wesprzeć Marksem i Leninem. W obecnym kształcie książka w żadnym razie nie spełnia roli ideologicznej ani wychowawczej¹⁵. Cenzor zdawał się dysponować szablonem, który przykładał do książki Jasienicy i z miejsca wychwytywał wszystkie jej mankamenty. Istotnie tak było. Za podpowiedź służyły mu dyrektywy, które upowszechniano choćby we wspomnianych „Nowych Drogach” – „organie teoretycznym i politycznym KC PZPR”. W numerze pierwszym z 1953 roku Roman Werfel (ówczesny redaktor naczelny), wypowiadając się z okazji 90. rocznicy powstania styczniowego, określił zadania historyków w zakresie tej problematyki:

[...] prawidłowe i wyczerpujące ujęcie całokształtu spraw powstania 1863 w związku z ówczesną wewnętrzną sytuacją Polski i Rosji i układu sił społecznych w kraju, w związku też z sytuacją międzynarodową¹⁶.

przypomnieć warto *Wężowe studnie. Zakład leczniczy ojców bonifratrów* z 1950 r. o procesie wytoczonym Bonifratrom z Namysłowa, poprzez którą pisarz zaangażował się w kampanię przeciw Kościołowi jako ostoi Ciemnogrodu.

¹⁵ AAN, GUKPPIW, sygn. 386,teczka 31/ 124, k. 276-278.

¹⁶ O artykule Werfla wspominał wyznawczo Emanuel Halicz we wstępie poprzedzającym źródła zgromadzone w *Materiałach do dziejów ruchu chłopskiego w 1861 r.*, „Kwartalnik Historyczny” 1953, z. 1. Wspomniany Roman Werfel opublikował w 1951 r. broszurę *Trzy klęski reakcji polskiej. Na marginesie procesu grupy szpiegowsko-dywersyjnej Tatara, Kirchmayera i innych*, Warszawa 1951. Historycy mieli się rozprawiać z „reakcją” przy każdej okazji. Powstanie styczniowe było z tej perspektywy patrząc momentem o strategicznym znaczeniu.

Na rok ten przewidywano zresztą radykalne zmiany w historiografii. W „Kwartalniku Historycznym” informowano o konferencji otwockiej, która była „wyrazem przełomu w naszej nauce”, polegającego na silniejszym powiązaniu nauki z „nowym życiem narodu”¹⁷. Żądano tam między innymi „szczególnie czujnej krytyki naukowej”, wymierzonej zwłaszcza w „pogrobowców piłsudczyzny”, „reprezentantów historiografii pepeesowskiej” oraz „tzw. obiektywnych historyków”. Chodziło zwłaszcza o wyeliminowanie strategii „mimikry”, polegającej na „przemyceniu starych treści w nowej formie” albo też udawaniu „przełomu ideologicznego” przez inkrustowanie tekstów terminologią marksistowską¹⁸. Wzorcowo problematyką powstańczą zajmowała się Celina Bobińska, późniejsza surowa recenzentka *Polski Jagiellonów*¹⁹. W omawianym numerze „Kwartalnika Historycznego” wydrukowano jej rozprawę o poglądach Marksa i Engelsa na powstanie styczniowe. Stefan Kieniewicz, przyszły autor monografii powstania²⁰, kierunek narzucony przez partyjnych ideologów przyjmował w sposób daleko mniej manifestacyjny. W „Przeglądzie Historycznym” ukazał się jego artykuł *Historiografia polska wobec powstania styczniowego*. Autor w miarę możliwości starał się odtworzyć całe zróżnicowanie stanowisk w historiografii nie-komunistycznej i uratować ją dla przyszłych badań, wysuwając argument, że historycy ci pisali wprawdzie wedle swoich opcji

¹⁷ „Kwartalnik Historyczny” 1953, z. 1. O przebiegu I Konferencji Metodologicznej Historyków Polskich w Otwocku z przełomu 1951 i 1952 r. pisze Zbigniew Romek w książce *Cenzura a nauka historyczna w Polsce 1944-1970*, Warszawa 2010. W przemówieniu inauguracyjnym obrady prof. Tadeusz Manteuffel, przewodniczący Towarzystwa Historycznego, w imieniu środowiska zadeklarował przyjęcie metodologii marksistowskiej i materializmu historycznego jako obowiązującej w badaniach. Jednym z dyskutowanych podczas obrad zagadnień teoretycznych o praktycznych konsekwencjach była tzw. „partyjność nauki”. W związku z tym poruszano też kwestię badań źródłowych. Dla wielu historyków był to warunek *sine qua non* uprawiania nauki, ale odzywali się też tacy, którzy uważali, że badania źródłowe przeszkadzają w osiągnięciu celów ideologicznych i w związku z tym nie należy nimi ograniczać swobody interpretacyjnej. Ci ostatni nie byli jednak w większości. Na konferencji tej zresztą bardzo silnie zabrzmiał ton krytyki dogmatyzmu w badaniach. Piętnowano „wulgaryzację” i „cytatologię”. Jeden z historyków radzieckich uczestniczących w obradach odniósł się krytycznie do niedawno jeszcze aprobowanego hasła Michaiła Pokrowskiego, że historia jest polityką rzutowaną w przeszłość. Generalnie rzecz biorąc – stwierdza Romek – na konferencji ścierali się „badacze” z „dogmatykami”, przy czym jedni i drudzy nie kwestionowali marksizmu jako obowiązującej metodologii. Tamże, s. 151- 168.

¹⁸ Tamże, s. 20.

¹⁹ C. Bobińska, *Poeta, Jasienica i historia*, „Nowa Kultura” 1962, z. 13.

²⁰ Pierwsze wydanie *Powstania styczniowego* Kieniewicza ukazało się w 1972 r.

politycznych, lecz dane im było korzystać źródeł, które wojna bezpowrotnie zniszczyła²¹. Sam zresztą Kieniewicz nosił w oczach partyjnych funkcjonariuszy piętno historyka „przedwojennego”, bo doktoryzował się w roku 1934. W 1952 roku urząd cenzury nie wyraził zgody na drugie wydanie jego książki *Ruch chłopski w Galicji w 1846 roku* (I wydanie – Wrocław 1951). Stwierdzono, że praca Kieniewicza nie ujmuje rabacji galicyjskiej w nowym świetle jako ruchu rewolucyjnego, że autor trwa przy „fałszywym poglądzie historiografii burżuazyjnej”, streszczającym się w słowach *Chorału* Kornela Ujejskiego „rękę karaj, a nie ślepy miecz”, przez co „świadomie czy nieświadomie” bierze stronę szlachty²².

Książka *Jasienicy* nie miała charakteru pracy *stricte* naukowej, ale i jego obowiązywał kierunek wskazany przez „Nowe Drogi”. Popularyzatorom przyglądano się nawet pilniej niż naukowcom, bo mieli kontakt z większą liczbą czytelników. *Jasienicę* uważano ponadto za pisarza utalentowanego, co niekiedy działało na jego niekorzyść.

Mimo negatywnej konkluzji trzeciej, najobszerniejszej recenzji cenzorskiej, *Biały front* drukiem się ukazał. Jak do tego doszło, trudno dzisiaj ustalić. W *Pamiętniku* o żadnych cenzuralnych perturbacjach z *Białym frontem* autor nie wspomina. Żadnych informacji na ten temat nie odnotowuje również jego córka, Ewa Beynar Czeczott w książce poświęconej pamięci ojca. Z kolei sama lektura *Białego frontu* nie rozstrzyga, czy autor w tym przypadku skutecznie się „postawił”, czy stawiać się aż tak bardzo nie musiał. Konfrontacja cenzorskiej recenzji z treścią książki nie daje odpowiedzi jednoznacznej co do tego, na ile owa recenzja jest tylko świadectwem lektury urzędnika, na ile zaś śladem pierwotnej wersji dzieła, bliższej autorskiej intencji. Można podejrzewać, że przywołanie „ostrych słów Lenina” (strona 69) oraz cytaty z Marksa i Engelsa (strona 77, 238) zostały wprowadzone na żądanie cenzora. Nie da się jednak wykluczyć, że były w maszynopisie już wcześniej, a cenzorowi chodziło nie o dodanie kilku następnych cytatów dobrze widzianych, lecz o wyprowadzenie całej

²¹ S. Kieniewicz, *Historiografia polska wobec powstania styczniowego*, „Przegląd Historyczny” 1953, z. 1-2. W „Kwartalniku Historycznym” z 1953 r. recenzowano książkę Kieniewicza *Sprawa włościańska w powstaniu styczniowym* (1953). Pod recenzją znalazły się aż trzy nazwiska (Emanuel Halicz, Stanisław Śreniowski, Zbigniew Stankiewicz).

²² AAN, GUKPPIW, sygn. 396,teczka 32/ 4.

koncepcji książki z marksistowsko-leninowskich założeń. Podejrzenia też można żywić względem wątku Czernyszewskiego czy Bakunina. Ale znów byłyby to dodatki nie naruszające rdzenia wywodu. Bo to, co ma w książce o powstaniu styczniowym znaczenie fundamentalne, a co urzędnik cenzury kwestionował – postać Stefana Bobrowskiego na pierwszym planie i teza o spóźnionym wybuchu powstania – w *Białym froncie* pozostało nietknięte.

Co ciekawe w materiałach GUKPPiW znajdujemy jeszcze jeden pakiet recenzji *Białego frontu*, dla odmiany z 1954 roku. Wygląda na to, że rozważano drugie jego wydanie („wznowienie książki jest bardzo wskazane”). Tym razem cenzorzy (znów trzy recenzje) książkę Jasienicy na wypródkę chwalili. Nie sformułowali żadnych zastrzeżeń, wymieniali same zalety. Potrafili też mniej więcej zreferować koncepcję autora. W pierwszej recenzji czytamy, że *Biały front* jest „monografią historyczną”, przedstawiającą „na szerokim tle stosunków społeczno politycznych w Królestwie Kongresowym” mało znaną postać Stefana Bobrowskiego, „rewolucyjnego organizatora i przywódcy powstania 1863, pierwszego przewodniczącego Komitetu Centralnego Narodowego”, postać „celowo pomijaną w historiografii burżuazyjnej”, bo świadcząca przeciwko „białym”. Zginął bowiem na skutek „oportunistycznego antynarodowego polityki” ich obozu. Recenzent unosi się też nad stylem i dramaturgią książki: „napisana bardzo żywo i ciekawie”, stanowi „głębokie, analityczne ujęcie zagadnienia powstania jako walki ścierających się dwóch obozów: czerwonych i białych”. Do jej niewątpliwych zalet należy przesunięcie akcentów z walki zewnętrznej, przeciwko Rosji, na wewnętrzną – (ów „biały front”), toczącą się o kierunek powstania. Autor – co ważne – podkreśla ściśle współdziałanie rewolucjonistów polskich z rosyjskimi.

W drugiej recenzji odnotowano, że Jasienica korzystał ze źródeł odkrytych przez Stefana Kieniewicza, które białych kompromitują. Obnażył „tradycje zdrady narodowej magnaterii i wielkomieszczańskich sfer bankiersko-przemysłowych (Kronenberg, Ruprecht)”, zdeprecjonował Agatona Gillera. Oceniając białych rozszedł się z „zakłamaną historiografią burżuazyjną”. Przeciwstawił im lewicę z Bobrowskim na czele, „wychowankiem ideowym petersburskiej grupy rewolucyjno-demokratycznej”, ofiarą „białego frontu”. O ile czerwoni współdziałali z rewolucjonistami rosyjskimi, biali „wykonali polecenie obcych mocarstw, by powstaniu odjąć wszelkie cechy rewolucyjności”. Na plus policzono autorowi, że uwzględnił rolę chłopstwa w obrazie

powstania. Trzecia recenzja zawiera pochwałę stylu – „żywy, sugestywny”. Jej autor podkreśla też, że książka przełamuje stereotyp nienawiści rosyjsko-polskiej, sięga do „tradycji przyjaźni między narodami”²³.

Żaden z cenzorów ponownie opiniujących książkę nie miał nawet śladu tych wątpliwości, które zgłaszano w roku 1953. Recenzje późniejsze, niemal euforyczne, zdają się traktować o innej książce, aniżeli ta omawiana rok wcześniej. Czy zatem nie są owe recenzje z 1954 roku świadectwem wskazującym na uległość Jasienicy wobec urzędu? Niekoniecznie. Z pewnością zaś warto rozważyć inną jeszcze ewentualność. Nie tekst *Białego frontu* uległ zmianie między pierwszymi a kolejnymi recenzjami, lecz nastawienie urzędników. Cenzura nie wspomagała bowiem jedynie oddziaływania ideologicznego i wychowawczego literatury czy szerzej piśmiennictwa na odbiorców, ale służyła również – jeśli nie przede wszystkim – jako środek wychowawczy stosowany wobec twórców. Wobec tych ostatnich spełniała zadanie analogiczne, jak propaganda wobec mas. Andrzej Romanowski swój artykuł w „Gazecie Wyborczej”, będący skróconą wersją wykładu z 2009 roku, zatytułował *Zaszczuć osobnika Jasienicę*²⁴. Nie ma w takim postawieniu sprawy żadnej przesady. Nim jednak przyszło do zaszczuwania, niewątpliwie próbowano Jasienicę wychować. *Biały front* – jak sądzę – wskazuje na pewien sukces w tej dziedzinie. *Dwie drogi* natomiast zapowiadają już chyba porażkę wychowawców.

W przeciwieństwie do wielu książek powstałych we wczesnych latach 50., napisanych martwym językiem, *Biały front* nawet dzisiaj czyta się z zainteresowaniem. Autor umiejętnie steruje uwagą czytelnika. Pierwszymi zdaniem zapowiada mu emocjonującą wyprawę w przeszłość:

Druga połowa lutego 1862 roku. Na Ukrainie panowały w tym czasie tęgie mrozy. Pewnego poranku traktem wiodącym na południowy zachód wyjechały z Kijowa dworskie sanki zaprzężone w parę dzielnych koni. Na tylnym siedzeniu tkwiły dwie niepokazne figury opatulone w futra. Powoził rosły, szczupły mężczyzna w sile wieku²⁵.

²³ AAN, GUKPPiW, sygn. 386,teczka 31/ 125, k. 18-20.

²⁴ http://wyborcza.pl/1,76842,7657016,Zaszczuc_osobnika_Jasienice.html#ixzz21dzJ4vO6. [dostęp 30. 08. 2016].

²⁵ P. Jasienica, *Biały front*, Warszawa 1953, s. 5.

Dowiemy się potem, że jednym z owych podróżnych był Stefan Bobrowski, który właśnie uchodził z Ukrainy, by stać się jednym z bohaterów powstania styczniowego. Powodzenie pisarskiego przedsięwzięcia po części zapewne wynikało stąd, że Jasienica – podobnie jak jego bohaterowie – również wyruszył w ryzykowną podróż i jak oni musiał się liczyć z przegraną.

Przełom?

Leopold Tyrmand w swoim *Dzienniku* pod datą 26 lutego 1954 roku zanotował:

Przed kilku dniami ukazała się recenzja w „Trybunie Ludu” o książce Jasienicy *Biały front*. Recenzja była utrzymana w tonie ciepłej pochwały i klepania z uznaniem po ramieniu, taka recenzja – jak mówią zorientowani – wróży nagrodę państwową. Aby zrozumieć, co to znaczy, trzeba wiedzieć, kim był Jasienica²⁶.

Spisując swoje codzienne refleksje z myślą o dalekiej przyszłości²⁷, pisarz uznał za celowe, by wątek Jasienicowy rozwinąć:

Paweł Jasienica, wilnianin, krępy, silnie zbudowany mężczyzna koło czterdziestki, o miłej twarzy, jasnych poza okularami oczach i energicznych ruchach, ma w sobie coś wojskowego. Są to wojskowe upodobania i one to każą myśleć patrzącym na niego o przedwojennych legionowych majorach i pułkownikach. Jasienica wyglądałby najlepiej w mundurze krzepkiego, zawodowego oficera w średnim wieku. Mnie dziwi tedy fakt, że poza takimi upodobaniami kryje się w tym człowieku wielkie umiłowanie historii. Jasienica jest historykiem z wielkiego umiłowania, zdaje się jednak, że życie nie umiejscowiło go dotąd nigdy

²⁶ L. Tyrmand, dz. cyt., s. 333.

²⁷ „Piszę ten dziennik dla ludzi, którzy przetrwają komunizm, piszę o komunizmie dla tych, którzy odczuli jego ciężar na grzbiecie i jego śmiertelny uchwyt na szyi”. Tamże, s. 267. Ten akurat fragment napisał Tyrmand najprawdopodobniej już za „żezną kurtyną”. Jak wiadomo po ukazaniu się *Dziennika* powątpiewano w jego autentyczność.

zdecydowanie w kręgu tych umiłowañ. Do wojny był speakerem wileńskiego radia. Po wojnie znalazł się w „Tygodniku Powszechnym”. Po czterech latach działalności był jednym z współpracowników tego pisma, szeroko znanym publicystą, świetnym reporterem, krwistym polemistą, co zaś najistotniejsze – członkiem kierującego ośrodka ideowego redakcji „Tygodnika”²⁸.

Diarysta miał – jak widać – dla obiektu swego zainteresowania wiele sympatii. Podobało mu się w Jasienicy to, co i w sobie samym lubił – męską energię zarówno w sylwetce, jak i pisarskim stylu. Tyle, że ową sprężystość u siebie samego wiązał ze sportem, nie z wojskowym sznytem. Niespecjalnie nawet przeszkadzał mu w starszym koledze pewien negatywny z jego punktu widzenia rys psychologiczny, po części też światopoglądowy: „wyraźny narzut nacjonalizmu [...], ujawniający się w pewnej zamaszystości i sarmackości odruchów”²⁹. Znamienne, że łączył ów rys z „sarmackością”, a nie wprost z endecją. Zbliżało ich to zwłaszcza, że obaj publikowali w „Tygodniku Powszechnym”. Jasienica wszelako musiał swoje kontakty z pismem ograniczyć.

Około roku 1950 Jasienica został aresztowany i jego prawdziwe nazwisko – Jasienica to pseudonim – ukazało się na łamach gazet w jednym z owych nikczemnych procesów, w których komuniści, za pomocą metod babilońskich satrapów, niszczyli i zozydali niedawną, wojenną przeszłość Polski. Był to proces pozostałych przy życiu członków wileńskiego AK. Po pewnym czasie Jasienica wyszedł z więzienia, nie wrócił jednak do „Tygodnika”. Okazało się, jak potem się dowiedziałem, że zaraz po wojnie Jasienica brał udział w antysowieckiej partyzantce³⁰.

Warto przypomnieć, że Jasienicę aresztowano w brzemiennym skutki roku 1948 i że wyszedł z więzienia po dwóch miesiącach. Tyrmand, który w roku pisania *Dziennika* nie miał stałego miejsca zatrudnienia ani dochodów i wielokrotnie sam ze sobą rozważał problem, co dalej począć

²⁸ Tamże, s. 333.

²⁹ Tamże.

³⁰ Tamże.

z własnym życiem, nie potępiał Jasienicy za to, że po uwolnieniu związał się bliżej z kręgiem Bolesława Piaseckiego:

Powiedzmy sobie szczerze, że to, co działo się w tej fazie z Jasienicą, było ucieczką spod szubienicy. Za udział w „bandach” leśnych komunistów karzą śmiercią, tedy akces publicystyczny Jasienicy do agencji Piaseckiego podyktowany był impulsem ratowania własnego życia³¹.

Tyrmand nie miałby mu nawet za złe, gdyby przystał na spokojne korzystanie z profitów, jakie dawała współpraca z Piaseckim. Z pewnością nawet wówczas nie wrzuciłby go do jednego worka z karierowiczami pokroju Koźniewskiego, jednego z negatywnych bohaterów *Dziennika*. W losach Jasienicy zaniepokoił Tyrmanda nie sam akces do grupy Piaseckiego, ale jego następne kroki. Jasienica nie przystał bowiem na rolę ocalańca spłacającego – rad nie rad – dług wdzięczności wobec swego dobroczyńcy nader podejrzanej konduity, lecz rychło porzucił stosunkowo bezpieczny PAX-owski azyl, by włączyć się do nowej rzeczywistości na własną rękę i własne ryzyko. Przychylna recenzja z *Białego frontu* w „Trybunie Ludu” stanowiła dla Tyrmanda sygnał, że Jasienica już całkiem znalazł się w przeciwnym obozie, że po okresie próbnym – pisania na tematy raczej marginalne – dosłużył się nareszcie wyższego stopnia konfidencji z władzą. Drugim potwierdzeniem awansu Jasienicy miał być jego artykuł w „Życiu Warszawy” na temat szkolnictwa: „To już jest coś, to są zagadnienia newralgiczne, bardzo ważne, o tym nie pozwala się w komunistycznej prasie pisać byle komu”³². Autor *Dziennika* nie uważał, że *Biały front* stanowi akt kapitulacji pisarza wobec komunistów, ani też, że jest jakimś chytrym wybiegiem, żeby uspić ich czujność. Tyrmand odebrał *Biały front* jako znak „przełomu”, który się w Jasienicy naprawdę dokonał: „coś pojął, coś zrozumiał, coś znalazł, czegoś się dopatrzył w tym wszystkim, nawet mimo ohydy łamania ludzkich dusz, którą sam przeżył i przetworzył w sobie, czego ja odkryć nie mogę”³³. Dla Tyrmanda był Jasienica o wiele bardziej niepokojącym fenomenem aniżeli chociażby wspomniany „Kazio” Koźniewski.

³¹ Tamże, s. 333-334.

³² Tamże, s. 334.

³³ Tamże.

Oznacza on [Jasienica, przyp. E.D.], że uczciwy i mądry człowiek może przyjąć komunizm i działać dlań w pełnym poczuciu słuszności, przydatności i mądrości swego działania³⁴.

Tego „poczucia” nie wyczytywał Tyrmand z deklaracji autorskich, lecz z tego, co się ujawniało między zdaniami, ze swady pisarskiej, z werwy, z pasji, która działa też na czytelnika. Tyrmanda niepokoiło pytanie, jak to możliwe, że Jasienica wiedząc to, co wiedział, mając za sobą doświadczenia, jakie miał, mógł pisać tak, jak napisał. Tak dobrze. Czy rozwiązanie zagadki dawało się wyczytać z *Białego frontu*? Tyrmand miał pewnie na to większe szanse niż my dzisiaj, chociaż nie dane mu było zaglądać do teczek Głównego Urzędu. Co zaś do recenzji cenzorskich *Białego frontu* z 1954 roku wydaje się, że ich entuzjastyczny ton ma to samo źródło, co artykuł z „Trybuny Ludu”.

Przełomowy moment w biografii twórczej, który stanowi *Biały front* – jeśli przyjąć wykładnię Tyrmanda – jest jednym z powodów, dla których podejmuje ten temat. Drugi wiąże się z autorskim unieważnieniem *Białego frontu* dokonany przez publikację *Dwóch dróg*. Nie często się zdarza, by pisarz tak jawnie, na oczach czytelników, wracał do swego dzieła i nie ograniczał się do korekt sygnalizowanych adnotacją wydanie „poprawione” albo „zmienione”³⁵. Trzeci powód ma związek z Jasenicą jako osobą publiczną, kimś cieszącym się autorytetem, kimś kto wyznacza standardy zachowania. Na początku lat 50. oczywiście nie miał jeszcze Jasienica ani takiego uznania, ani takiej popularności, jaką zdobył w latach 60., ale dla młodszego o dekadę Tyrmanda już był kimś takim, kto wskazuje kierunek, czyja opinia waży³⁶. Jasienica miał niewątpliwie zadatki na kogoś takiego, o kim w artykule na łamach „Życia Warszawy” z 1953 roku pisano *Człowiek-drogowskaz*.

³⁴ Tamże.

³⁵ Takiej korekty dokonał Jasienica jeszcze raz w stosunku do *Świtu słowiańskiego jutra* (1952). W 1961 wydał *Słowiański rodowód*. Zakres zmian analizował J. Bytner w artykule pt. *Starożytności słowiańskie — o reportażach archeologicznych Pawła Jasienicy z lat 1952-1962*, „Slavia Occidentalis”, t. 59, Poznań 2002, s. 101-107.

³⁶ Brakuje Jasienicy w książce zbiorowej *Formacja 1910. Świadkowie nowoczesności*, red. Dorota Kozicka, Tomasz Cieślak-Sokołowski, Kraków 2011. Książka ta zresztą generalnie swoim tytułem rozbudza oczekiwania, które zaspokajają tylko po części.

Błąd dziadów

Kiedy ukazał się *Biały front*, na kulturalnej mapie kraju nie było już „Tygodnika Powszechnego” (został zamknięty w marcu 1953 roku). Pod tym samym tytułem wychodziło pismo inne, ze zmienioną redakcją, z innym nastawieniem do władzy i czytelników. Tyrmand w *Dzienniku* nieraz relacjonował swoje spotkania z rozbitkami po katastrofie pierwszego „Tygodnika”. W rozmowach z nimi powracał wątek strategii, którą należy obrać, by żyć pod władzą komunistyczną w akceptowalnym dla siebie i swego bliskiego kręgu stanie moralnym. Pod datą 7 stycznia pisał: „[...] zgadzam się z Kisielem, że w chwili obecnej obowiązuje praca nad sobą oraz możliwe utylitarne urządzenie się w życiu. Ten drugi punkt stanowi na pewno źródło udręk dla większości ludzi z Krakowa, obciążonych rodzinami i obowiązkami, toteż niejednokrotnie koliduje w nich poważnie z punktem pierwszym”³⁷. 7 marca natomiast skrupulatnie zanotował słowa Jana Józefa Szczepańskiego:

Powinniśmy pisać, wyrzucając z serca wszelką nadzieję na ujrzenie naszych słów w druku [...] tylko wtedy uzyskamy prawdziwy walor pisarski, bez koncesji, bez obciążeń, złudnych spekulacji taktycznych. To pisarstwo winno wynikać z założeń, że żyjemy w świecie normalnych pojęć i wolności, mimo że tak nie jest. Musimy wyrobić w sobie dwie strony naszej osobowości: jedną dla pisania, drugą dla aktualności, trosk o rodzinę, mieszkanie, węgiel na zimę, drobne przyjemności i rozrywki³⁸.

Zasada zalecana i praktykowana przez Szczepańskiego przypomina cokolwiek zasadę „dwóch sumień” sformułowaną niegdyś przez księcia Józefa Poniatowskiego³⁹. Jasienica najwyraźniej na postawę jego znajomych z „Tygodnika” się nie zdecydował. Najprawdopodobniej nie mógł nawet brać jej w rachubę. Z więzienia wypuszczono go dlatego, że wcześniej dał

³⁷ L. Tyrmand, dz. cyt., s. 41.

³⁸ Tamże, s. 371.

³⁹ O funkcjonowaniu tej zasady pisał obszernie Jarosław Czuby w książce *Zasada „dwóch sumień”. Normy postępowania i granice kompromisu politycznego Polaków w sytuacjach wyboru (1795-1815)*, Warszawa 2005.

się poznać jako świetny publicysta⁴⁰. Darowano mu życie nie po to, by teraz pisał do szuflady. Miał pisać, zachowując wszystkie walory swego pióra. Jego ostatni partyzancki dowódca Zygmunt Szyndzielarz-„Łupaszka” został zgładzony 8 lutego 1951 roku. W roku 1953 nadal wykonywano wyroki śmierci na przeciwnikach politycznych. Czytając *Biały front*, w którym autor przedstawia powstanie głównie jako wojnę domową, nie można abstrahować od „leśnej” przeszłości Jasienicy. Zresztą kontekst biograficzny będzie tu uprawniony jeszcze z innych powodów.

Biorąc się za tematykę powstania styczniowego, Jasienica wracał do swoich najdawniejszych zainteresowań historycznych. Pracę magisterską w Uniwersytecie Stefana Batorego w Wilnie, napisaną pod kierunkiem profesora Stanisława Kościałkowskiego, poświęcił Aleksandrowi Oskierce, „białemu” uczestnikowi powstania na Litwie⁴¹. W *Białym froncie* autor nie wdawał się w wileńskie wspominki. Dopiero w *Pamiętniku* odnotował tę okoliczność jednym zdaniem. „Dzieje tego powstania stanowią poniekąd moją specjalność, z zakresu jego spraw zaczerpnąłem temat pracy magisterskiej”⁴². Do zajęcia się bliżej powstaniem miał Jasienica powód osobisty, o którym również nadmienił w *Pamiętniku*:

Zabawiam się czasem rozmyślaniami o pewnych okolicznościach, które istniały grubo przed datą mego przyjścia na świat, a mogły sprawić, że żyłbym i pisał w stronach mniej podległych ideologicznym dyktatom. Mój dziad po mieczu, Ludwik Beynar, uczestnik powstania styczniowego, uskoczył spod ręki Murawjowa do Francji, ożenił się w Tuluzie

⁴⁰ Niepokorny Andrzej Bobkowski w liście pisanym z Paryża 23 czerwca 1947 r. do Jerzego Turowicza wysoko oceniał talent Jasienicy: „Żał mi Kisiela. Czy on już z ciągłego przygryzania języka nie okaleczył się zanadto? Byłoby szkoda. Jest tam u Pana ktoś drugi, kogo b[ardzo] lubię. To Paweł Jasienica. Zawsze widzę go z nożem w zębach, jak pirata. Świetny”. *Listy Andrzeja Bobkowskiego do Jerzego Turowicza z lat 1947-1960*, „Dekada Literacka” 2011, z. 4. Temperament pisarski Jasienicy grał na nerwach publicystom z „Kuźnicy” i „Odrodzenia”. Na łamach tego drugiego domagano się by mu „przyciąć pazury”. Do żądania tego odniósł się Kisiel w swoim felietonie („Tygodnik Powszechny” 1947, nr 1, s. 16).

⁴¹ Pracę magisterską na temat *Rola i działalność Aleksandra Oskierki (lata 1830-1911, Mińsk i Wilno, Usole na Syberii, Warszawa)* Lech Beynar złożył w 1932. E. Beynar-Czczott, *Mój ojciec Paweł Jasienica*, Warszawa 2006, s. 31. Fragment pracy zatytułowany *Działalność Aleksandra Oskierki w Wilnie w latach 1861-1863* wydrukowano w *Księdze Pamiątkowej Koła Historyków* w 1933 r.

⁴² P. Jasienica, *Pamiętnik*, s. 140.

ze sfrancuziałą Hiszpanką, Joanną Adelą Feugas. Ojciec matki, Wiktor Maliszewski, syn powstańca z 1830 roku i członka Wielkiej Emigracji urodził się w Nantes. [...] Obaj oni w latach siedemdziesiątych ubiegłego wieku przesiedlili się z powrotem w granice Imperium Rosyjskiego⁴³.

Wywód o brzemieniach w skutki decyzjach przodków tak puentował: „Dodać jeszcze muszę, że nigdy nie złorzeczyłem własnym dziadom za ich wiadome postanowienie. Jest to zapewne kwestia irracjonalnych sentymentów”⁴⁴. Z punktu widzenia doświadczeń wnuka przodkowie okazali się nie dość przewidujący, ale od innej strony patrząc Ludwik Beynar, któremu udało się „uskoczyć spod ręki” samego „Wieszatiela” wspierał Jasienicę w jego oporze przeciw dyktatowi uświęconej przez marksistów konieczności historycznej. Dziadom zaś wnuk oszczędzał wyrzutów nie tylko ze względu na „irracjonalny sentyment”, ale też dlatego, że siebie w alternatywnej wersji nadsekwańskiej wyobrażał sobie jako lewicującego po kawiarniach intelektualistę, wyrzekającego na świat zachodni i zarazem korzystającego z dobrodziejstw państwa prawa, które chroni prywatność swoich obywateli. Wolał sobie nie wyobrażać, że jest historykiem, powiedzmy, na miarę Braudela.

„Martwica”

Powstanie styczniowe stanowi dotykálną nieomal przeszłość – co zaskakujące – w książce reportażowej *Wisła pożegna zaścianek*, opublikowanej w 1951 roku. Stwierdzenie, że jest to „zbiór reportaży afirmujący ZSRR i jego rolę w walce o demokratyczne przemiany, światowy pokój, odbudowę Polski”⁴⁵, jak napisał Jarosław Bytner przy okazji omawiania reportaży archeologicznych Jasienicy, raczej przesłania istotną zawartość książki, aniżeli ją uwydatnia. W rzeczy tej akcenty tak zostały rozłożone, że zapamiętuje się nie nadzieje związane z planem sześcioletnim, lecz obraz ziemi sandomiersko-kieleckiej jako „martwicy”⁴⁶. Sama ta metafora

⁴³ Tamże, s. 24.

⁴⁴ Tamże, s. 26.

⁴⁵ J. Bytner, dz. cyt., s. 101-107.

⁴⁶ P. Jasienica, *Wisła pożegna zaścianek*, Warszawa 1951, s. 13.

w żadnym razie nie współgra z deklarowaną, zgodną z oficjalną linią, nadzieją. Nie należy zresztą do repertuaru powszechnie używanych metafor propagandowych. Zdanie, w którym Jasienica wskazuje „martwicę” jako pole dla dokonań wielkiego planu brzmi co najmniej zastanawiająco. Martwica bowiem jest stanem chorobowym nieodwracalnym (zmiany morfologiczne zachodzące po śmierci komórki w organizmie). Nie da się jej uzdrowić, można co najwyżej obumarłe tkanki wyciąć. Tymczasem autorowi – w sferze deklaracji – najwyraźniej chodzi o ożywienie. Miałoby się ono dokonać między innymi przez udrożnienie komunikacyjne wskazanego obszaru. Podobnie z nadzieją pisze o rewitalizacji Krakowa przez sąsiedztwo Nowej Huty. W usytuowaniu wielkiej budowy pod murami konserwatywnie usposobionego miasta upatruje szansy na „syntezę nowego ze starym”⁴⁷. Odpowiada tym sposobem na obawy – przywoływane w tekście – niszczącego wpływu Nowej Huty na Kraków. Metafora „martwicy”, która zresztą ma tendencję do rozrostu poza granice Kielecczyzny i Sandomierszczyzny, ogarniając całą Polskę, sprawia, że programowy optymizm nie udziela się czytelnikowi. Mierzona planem sześćioletnim przyszłość, w której „martwica” ma być poddana uzdrawiającej kuracji, zostaje skonfrontowana z sięgającą XVII wieku przeszłością Polski. Wtedy bowiem zaczął się „cykliczny rytm dziejów”, którego skutkiem jest stan obecny: „wojna – próba odbudowy, wojna – próba odbudowy. I znowu – wojna, wojna, wojna...”⁴⁸. Przez trzysta lat, licząc „od Chmielnickiego”, wszystkie pokolenia musiały „wojować na własnej ziemi”, potem z kolei wygrzebywać się z ruin po przebytych kampaniach. „Niektórym zaś każało <przeznaczenie> odbywać ich po dwie albo nawet i po trzy!”⁴⁹ Od uogólnienia znów wraca Jasienica do kielecko-sandomierskiego konkretnego:

Tymi sandomierskimi stronami chadzali przeciw Szwedzi Karola Gustawa i wnuki ich z granatowych regimentów Karola XII. Grasowali tu Kozacy i Węgrzy Rakoczego, Sasi obu Augustów, Rosjanie Piotra i Katarzyny, Austriacy, Prusacy oraz rozliczne gnane przez Napoleona europejskie nacje. Płonął Sandomierz w roku 1809 zdobyty przez

⁴⁷ Tamże, s. 206.

⁴⁸ Tamże, s. 82.

⁴⁹ Tamże, s. 84.

Sokolnickiego i zaraz potem odbierany przez Austriaków. We wrześniu 1831 roku Łagów widział szarżę kawalerii carskiej na ostatnie oddziały polskie gen. Samuela Różyckiego. Płonął Opatów w roku 1863. A za naszych czasów przyszły lata 1914, 1915, 1939 i najstraszniejszy ze wszystkich rok 1944⁵⁰.

Koszmary przeszłości konkretyzuje i uwiarygodnia autor przez włączenie do narracji własnego doświadczenia. Ziemie opisywane w ramach zadania reporterskiego ogląda nie pierwszy raz. Przechodził tędy w kolumnie jeńców w 1939 roku. Wśród kadrów z przeszłości zamieścił też wspomnienie z czasów gimnazjalnych. Przywołał mianowicie scenę przelotnego spotkania wycieczkowej grupy szkolnej z żebrakiem, który prosząc o jałmużnę wyciąga zza pazuchy dokument stwierdzający, że służył w oddziale Langiewicza. Ów żebrzący weteran doraźnie miał za zadanie oskarżać Polskę przedwojenną, ale na innym planie łączył się z owymi pokoleniami od trzystu lat skazanymi na odbywanie morderczych kampanii na własnej ziemi.

Wedle XIX-wiecznych kryteriów gatunkowych książkę *Jasienicy* nazwano by nie reportażem, ale podróżą historyczną, uprawianą chociażby przez Juliana Ursyna Niemcewicza, wywodzącą się ze starożytnej periegezy. *Jasienica* do Niemcewicza nie sięgnął, ale zadbał, by jego proza miała szacownego patrona: jest nim Stefan Żeromski, obecny począwszy od motta, poprzez liczne nawiązania szczegółowe, a skończywszy na informacji, że tekst powstał w 25. rocznicę śmierci pisarza. Również wspomniany weteran styczniowy został sportretowany w sposób, który ewidentnie nawiązywał do prozy autora *Ech leśnych*, *Rozdzióbią nas kruki, wrony...* Duch Żeromskiego niewątpliwie patronuje *Jasienicy*. Dzięki temu patronatowi nie jest oczywiste, że reportaż powstał wyłącznie na partyjne zamówienie. Wzmiankowany plan sześćioletni jednoznacznie wprawdzie wskazuje mocodawcę, którego zlecenie autor wykonuje, ale wszechobecny Żeromski skłania, by dostrzec w piszącym społecznikowską pasję starej daty. Dzięki temu autor reportażu jest nie tylko propagandową tubą partii, lecz inteligentem przejętym swoim posłannictwem na sposób

⁵⁰ Tamże.

Żeromskiego. Ale i tutaj, jak na planie metafor, Jasienica nie jest w stanie zgodzić się sam ze sobą. Przychodzi bowiem moment, kiedy Żeromski, tym razem jako autor *Wiernej rzeki* zostaje osobliwie skonfrontowany z Conradem jako autorem opowiadania pod tym samym tytułem, gdzie „wierną rzeką” nazywa Tamizę. Przy czym Żeromski staje w opozycji nie tylko do Conrada, ale też do pisarzy rosyjskich – Dostojewskiego i Tołstoja – twórców literatury traktującej o poważnych, uniwersalnych problemach. W tych ostatnich uwagach Jasienicy odzywa się ton znany z wypowiedzi Stanisława Brzozowskiego, jego odrazy do „Polski dzieciństwa”. Polska jako „martwica” usprawiedliwia podjęcie kuracji iście morderczej, w której można już sobie pozwolić na zastosowanie środków najbardziej radykalnych, bez oglądania się na żadne sentymenty.

Czy owa „martwica” jest tylko daniną złożoną partyjnym mocodawcom? Czy gdyby była tylko daniną, autor oddałby im swoje wspomnienie weterana stycziowego i własne przeżycia jenieckie? Ale może właśnie oddać musiał.

Mimo wzmianek o planie sześcioletnim i akceptacji dla Nowej Huty cały ten reportaż rozgrywa się bardziej w cieniu przeszłości niż na progu świetlanego jutra. Jasienica równie dobrze mógłby nadać mu tytuł *Po katalizmie* – jak zatytułował swoją pierwszą złożoną w wydawnictwie książkę reportażową, która została zatrzymana przez cenzurę. Było to w fatalnym dla pisarza roku 1948. Cenzor w recenzji z 5 listopada przyznawał, że jest to rzecz pięknie napisana, w tym przypadku jednak była to wada, nie zaleta.

Tembardziej [sic!] jest ona wroga, szkodliwa. Nie wiem, co podziwiać u autora, czy tupet czy nieświadomość warunków, w jakich on się znalazł (To nie są przecież czasy Sergiusza Piaseckiego...). Szkoda każdego słowa więcej⁵¹.

Ciekawe, że cenzor skojarzył sytuację Jasienicy z przedwojennymi perypetiami Piaseckiego, który dzięki pisarstwu, wcześniej niż to określał wyrok sądu, opuścił więzienie⁵². W zestawieniu tym zniknęła różnica między partyzancką przeszłością jednego a wywiadowczo-kryminalną drugiego.

⁵¹ AAN, GUKPPIW, sygn. 173,teczka 32/42, k. 28.

⁵² Pierwsze książki Piaseckiego powstały w więzieniu na Świętym Krzyżu.

Urzędnik nie miał też wątpliwości, że w powojennych warunkach nie uchroni pisarza przed konsekwencjami jego czynów. Na Jasienicę, który najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy z powagi sytuacji, spoglądał z wyższością i bez pobłażania. Jasienica tymczasem próbował się jeszcze „stawiąć” – przesłał pismo, w którym tłumaczył, że przecież reportaże były już drukowane w prasie. Odmowa wydawała mu się nielogiczna i niezrozumiała.

Kolejne recenzje cenzorskie potwierdzały wcześniejszą decyzję: książka pokazuje koszmarną rzeczywistość powojenną, na którą składają się „zniszczenia wojenne, zniszczenia moralne, chaos pookupacyjny”. Generalnie rzecz biorąc oddaje „atmosferę powolnego gnicia”, „groźbę zagłady narodowej i biologicznej”. Istne „treny Jeremiaszowe”. W czar-nowidztwie pogrążał się jednak pisarz nie bez politycznej intencji. Cenzor odgadywał, że chodziło mu o „demobilizację energii mas”, o ukazanie „nieudolności rządów lewicy” i wskazywanie katolicyzmu jako ostatniej deski ratunku. Sugerował też Jasienicy, który pisząc o Ziemiach Odzyskanych wyrażał zarazem troskę o zaniedbywane „wschodnie płuco Polski”, by przypomnieć o grasujących tam „bandach”, znajdujących sprzymierzeńców wśród kleru⁵³.

W chronologicznie późniejszej książce reportażowej *Wisła pożegna zaścianek* obraz nie jest wcale mniej czarny. Nie ma już tam – co rozumiałe – kościoła katolickiego jako instytucji, wokół której rozbite społeczeństwo mogłoby się na nowo zgromadzić. Została jedynie architektura sakralna, po części wypalona, zrujnowana, zniszczona. Perspektywa otwierająca się za sprawą planu sześcioletniego niewiele tu zmienia.

Wydaje się, że zbiór reportaży *Po kataklizmie* nie dostał pozwolenia na druk nie tyle z powodu nazbyt defetystycznej ich wymowy, lecz dlatego, by Jasienicę zdyscyplinować. Pisarz uzyskał tym sposobem informację, że talent literacki nie wystarczy, żeby w nowej rzeczywistości pisać i żyć z pióra. W „Tygodniku Powszechnym” z 10 października 1948 roku ukazał się znaczący, zważywszy na ówczesną sytuację Jasienicy, jego artykuł pod tytułem *Artykuł prawie cyniczny*. Autor odnosił się w nim do wiadomości o uniewinnieniu Hjalmara Schachta, ekonomisty, bankowca, sądanego w Norymberdze oraz do głosów oburzenia, które się w Polsce podniosły. Jasienica nie występował

⁵³ AAN GUKPPiW, sygn. 173,teczka 32/42, k.28.

jako rzecznik oburzonych, reagował „prawie cynicznie”: nie ma się co dziwić, zadecydowała „użyteczność polityczna”. Schacht, „wybitny fachowiec”, został uwolniony od zarzutów, bo w polityce „liczą się tylko ci, którzy coś znaczą, mogą oddać usługi”⁵⁴. Zachowując wszelkie proporcje, to samo mógłby powiedzieć o swoim uwolnieniu: zadecydowała „użyteczność polityczna”.

Czy w *Białym froncie* Jasienica potwierdzał swoją „użyteczność polityczną”? Nie mogło być inaczej. Książka nie opuściłaby prasy drukarskiej. „Użyteczność” jej autora musiała być widoczna na pierwszy rzut oka. Tytuł nie pozostawiał wątpliwości, że autor nie stoi na uboczu. Wieczór autorski z tamtego czasu można by mu było zorganizować pod hasłem: Od *Białego frontu* do Frontu Narodowego. O „Froncie Narodowym” powtarzano wówczas do znudzenia.

Biali, czerwoni...

Na czym polegała „użyteczność polityczna” *Białego frontu*? Historia miała być tak przedstawiona, by tradycyjną nienawiść do Moskala, a potem bolszewika przesłonić antagonizmem wewnętrznym. Granica między czerwonymi a białymi miała zarysować się mocniej aniżeli granica Polski z 1772 roku. O tej ostatniej Jasienica pisał:

Upieranie się przy hasle granicy 1772 roku – granicy absurdalnej, nie życiowej, będącej wypadkową gry sił politycznych w stuleciu XVII było błędem wręcz katastrofalnym, bo siłą rzeczy nasuwało podejrzenia o polski imperializm, który dąży do odcięcia Rosji od Morza Czarnego. Toteż rząd carski nie omieszkał w niedalekiej przyszłości wykorzystać atutu, który mu Czerwoni sami w rękę kładli⁵⁵.

Granica z 1772 absurdalna? Nawet dzisiaj określenie takie skłania do protestu – wszak mowa o granicy, która ma rangę symbolu, granicy niepodległej Polski. Jasienica nie przyznał się ponadto, że jego uwaga

⁵⁴ P. Jasienica, *Artykuł prawie cyniczny*, „Tygodnik Powszechny” 1948, nr 41.

⁵⁵ P. Jasienica, *Biały front*, s. 66.

o granicy była echem fragmentu z *Rzeczy o roku 1863* Stanisława Koźmiana⁵⁶, jednego ze stańczyków, którego kąśliwie zaczepił przy końcu książki⁵⁷. „Użyteczność” obligowała nie tylko do uczestnictwa w rewizji historii Polski, ale też do zaangażowania w walkę polityczną „tu i teraz”. W roku 1953 dawny antagonizm między białymi a czerwonymi prawie już nie miał współczesnego odpowiednika. Niechętni wobec nowego ustroju dogorywali. W roku tym, o czym już wspominałam, przestał się ukazywać opozycyjny w granicach możliwości „Tygodnik Powszechny”. W pokazowych procesach padały wysokie i najwyższe wyroki. W 1951 roku sądzono generałów: Tatara, Mossora, Kirchmayera i innych, w 1953 (od 21 stycznia do 26 stycznia) odbył się pokazowy proces czterech księży kurii krakowskiej i trzech osób świeckich oskarżonych o spisek na rzecz Stanów Zjednoczonych. We wrześniu zaczęto sądzić biskupa Kaczmarka. W tym również miesiącu nastąpiło aresztowanie kardynała Stefana Wyszyńskiego. W atmosferze narastających represji wobec Kościoła fragmenty *Białego frontu* traktujące o religijnym charakterze demonstracji politycznej przed powstaniem nie wyglądają niewinnie:

Rok 1861 upłynął wśród śpiewów, modłów, nabożeństw i innych manifestacji o charakterze narodowo-religijnym, pod znakiem żałoby narodowej, którą przywdziali nie tylko Czerwoni, ale również Biali. Istny szal ogarnął Królestwo, przeniósł się na Białoruś, Litwę i Ukrainę. W Warszawie nie było dnia, w którym by się nie odbywało kilka przynajmniej nabożeństw za pomyślność ojczyzny. [...] wszyscy czynni, wszyscy zabiegani, podnieceni i zaaferowani – a nikt prawie nic konkretnego nie robi⁵⁸.

Jasienica z lekceważeniem wypowiadał się o idei „biernego oporu”, „moralnej rewolucji”⁵⁹.

Autor ewidentnie trzymał stronę czerwonych, chociaż nie zamykał oczu na ich niezliczone błędy.

⁵⁶ S. Koźmian, *Rzecz o roku 1863*, Kraków 1896, t. 1.

⁵⁷ Zob. P. Jasienica, *Biały front*, s. 250-251.

⁵⁸ Tamże, s. 105-106.

⁵⁹ W „Tygodniku Powszechnym” aprobatywnie pisano o Gandhim.

Pod koniec posiedzenia zapadło postanowienie wręcz nieprawdopodobne. Takie, które tłumaczyć można jedynie kompletnym analfabetyzmem politycznym czterech członków konspiracyjnego rządu. Uznali oni za konieczne wyjechać z Warszawy tuż przed terminem wybuchu, czyli dnia 22 stycznia, i udać się na prowincję w poszukiwaniu takiego miejsca, gdzie można się będzie ujawnić⁶⁰.

Absurd gonił absurd. Nie dość, że postanowiono, by rząd opuścił Warszawę, to dyktaturę powierzono Mierosławskiemu, który bawił w Paryżu⁶¹. Niczym refren wracało w *Białym froncie* utyskiwanie na „intelektualną pustynię”, „umysłową bezradność”, które uniemożliwiały skuteczne i sensowne działanie, pokierowanie zbiorowym losem. Jasienica pokazywał, jak się powstanie wykoleiło w tragiczne, krwawe widowisko. Nie musiało się tak stać. Autor pieczołowicie wyluskiwał te momenty, kiedy wypadki mogły przybrać obrót bardziej pomyślny. A co do odwiecznego pytania o sens podjętej walki: szanse na niepodległość nie było – Jasienica ma tu stanowczą opinię. Powstanie mogło natomiast wywrzeć wpływ na sytuację w Rosji, pchnąć ją ku reformom. Czy to znaczy, że powstanie styczniowe mogłoby w taki sposób zintensyfikować działania reformatorskie w Rosji, by w przyszłości uniknęła ona rewolucji październikowej? Jeśli nawet pisarz tak myślał, nie mógł opinią tego rodzaju podzielić się z czytelnikami otwarcie. Zresztą mniej go interesowała historia alternatywna aniżeli faktyczna. Fakty zaś przemawiały jego zdaniem za tezą, że w „intelektualnej pustyni” idea powstania uległa degeneracji. Można sobie dopowiedzieć, że ta sama „intelektualna pustynia” okazała się po roku 1944 polem dla eksperymentów komunistycznych. Dostarczała im też argumentacji na rzecz radykalnych rozwiązań podejmowanych w imię lepszej przyszłości. „Martwica”, „pustynia”, „pobojowisko”⁶² metaforycznie wydzielały problematykę, poprzez którą Jasienica mógł się, mimo wszelkich obiekcji, zbliżyć do komunistów. W artykułach prasowych z lat 40. wielokrotnie podejmował temat zmian cywilizacyjnych. Przewidywał, że przyszłość będzie należała do „polityki globalnej”, w której o „hierarchii

⁶⁰ P. Jasienica, *Biały front*, s. 155.

⁶¹ Tamże, s. 169.

⁶² W „Tygodniku Powszechnym” reportaże Jasienicy ukazywały się pod wspólnym tytułem *Z pobojowiska nad Wisłą*.

narodów” zdecyduje „jakość charakterów i sprawność mózgów”⁶³. Dlatego negatywnie oceniał powojenną konspirację, angażującą młode pokolenie. Na łamach „Tygodnika Powszechnego” w miarę możliwości odnotowywano ważne publikacje zachodnie, w których przedmiotem zainteresowania była historia cywilizacji (Grousset, Toynbee). Z punktu widzenia wyniesionego wysoko ponad wszelkie „tu i teraz” Polski jako wydzielonej jednostki procesu historycznego w ogóle nie dawało się zobaczyć.

Wracając do tematyki powstania styczniewego w *Dwóch drogach*, Jasienica radykalnie zmienił początek opowieści. Nie zaczął od sań opuszczających Kijów zimą 1862 roku, lecz od śmierci cara Mikołaja I i „odwilży”. Samo to słowo musiało nasuwać pierwszym czytelnikom książki skojarzenia z „odwilżą”, która była udziałem ich samych – była i minęła. Odwilż Aleksandryjska nie uzdrowiła Rosji. „Aleksander II dał narodowi pewne ulgi, lecz nie podporządkował rządzącego ośrodka jego kontroli. Wszystko zostało po staremu, było tylko wykonywane łagodniej. Żadna z dziedzin życia społecznego nie uzyskała autonomii. Uprzywilejowani nie chcieli z niczego ustąpić, zdecydowanie odmawiali prawdziwego kompromisu, jedynej metody ratującej przed przelewem krwi. Wobec tego ustrój czekały rzeczy ostateczne, próba na śmierć i życie. Półśrodkami można było tylko odwlec jej termin”⁶⁴. Ku własnemu zdumieniu odkrywał czytelnik, że pisarz zdaje się przedkładać Mikołaja I nad liberała Aleksandra II. „Zabrakło człowieka, który potrafił kierować systemem strasznym w każdym szczególe, ale logicznym jako całość”⁶⁵. W zdaniu tym Leopold Tyrmand mógłby też chyba znaleźć odpowiedź na pytanie, co przekonało Jasienicę do komunizmu, jeśli nie stalinizmu. W Jasienicowej opinii o Mikołaju przebija coś na kształt podziwu dla przywódcy, który miał spójną koncepcję rządzenia, choćby za cenę ofiar. Bobrowski w *Dwóch drogach* również nie cofa się przed terrorem. Martwica – jak wiadomo – wymaga skalpela i pewnej ręki. „Odwilż” sprawiła albo raczej ujawniła, że system stracił obie cechy budzące respekt. Przestał być straszny, przestał być logiczny. W Bobrowskim z nowej wersji książki Jasienica bardzo mocno podkreślił rys, którego we wcześniejszej w ogóle nie eksponował – szlacheckość, szlachecki honor.

⁶³ P. Jasienica, *Nie wolno*, „Tygodnik Powszechny” 1946, nr 50.

⁶⁴ P. Jasienica, *Dwie drogi*, s. 29.

⁶⁵ Tamże, s. 19.

W *Dwóch drogach* Bobrowski dobrze wiedział, że dostał się w potrzask, ale nie próbował uciekać. Również Conrad – który w reportażach z ziemi kielecko-sandomierskiej – znalazł się w pobliżu Dostojewskiego i Tolstoja – odzyskał tu swoje polsko-szlacheckie korzenie. Wszystko wskazywało na to, że rewolucja wytraciła impet.

Cenzor pochylony nad *Dwiema drogami* z 1960 roku dostrzegł aktualną problematykę w dygresjach, ale nie uczuwał niepokoju. Zwrócił jedynie uwagę na argumenty wspierające powojenną granicę wschodnią.

Czytelnik omawianej książki zyska szereg nowych argumentów na rzecz tezy, że historycznie i etnograficznie usprawiedliwioną granicą Polski na wschodzie jest rzeka Bug⁶⁶.

No właśnie – „historycznie i etnograficznie”, a nie politycznie. W *Dwóch drogach* nie pojawia się metafora „martwicy”, ale czuje się ją w powietrzu. „Odwilż” jest tu procesem gnilnym.

...niebiescy i ci z kłonicami

Temat wojny domowej, ale już nie powstania styczniowego, podjął Jasienica ostatni raz – po kolejnym gwałtownym obrocie PRL-owskiej historii, który jego samego miał drogo kosztować. Gomułka w przemówieniu z 19 marca 1968 roku napiętnował go jako bandytę z czasów powojennej partyzantki na Podlasiu, i przენiewiercę, który najpierw zadenuncjował swoich, a potem nadużył zaufania, okazanego mu przez władzę ludową. W roku 1969 powstały *Rozważania o wojnie domowej*, wydane w drugim obiegu w 1979 roku, oficjalnie – w 1985. Pisarz, nie kryjąc się bynajmniej z „prezentyzmem”⁶⁷, sięgnął do historii utopionego we krwi przez „błękitne” wojska republikańskie – „białego” powstania chłopów wandejskich z lat

⁶⁶ AAN, GUKPPIW, sygn. 650,teczka 68/ 66, k. 193.

⁶⁷ „Každy człowiek – pisał – ma prawo rozpatrywania historii w świetle doświadczeń tej epoki, w której jemu samemu przyszło żyć. Takie postępowanie jest zresztą regułą, jednak nie wszyscy się lubią do niej przyznawać, bo pozowanie bardziej się nieraz oplaca niż szczerosc. Dzisiejszy czy miniony świat oglądać można tylko przez swe własne okulary”. P. Jasienica, *Rozważania o wojnie domowej*, Kraków 1985, s. 23.

1793-1794. Po wielu wędrówkach w rozmaitych kierunkach i po wielu próbach docierania do położonych głębiej bądź płycej pokładów historii, instynkt pisarski skłonił Jasienicę do podróży, której celem były „mateczniki kontrrewolucji”⁶⁸ – Wanda i oddzielona od niej Loara, Bretania.

Pisarz nie występował jako orędownik świata wartości wandejczyków, katolików i rojalistów – nie te czasy, nie te obyczaje – ale rozumiał opór, który w nich wzbudziły rewolucyjne zmiany dyktowane z Paryża. Państwo wymagało reform, zniesienia feudalnych zaszłości, wandejczycy również tego pragnęli, lecz na skutek gwałtownych zmian tracili swój świat, jedyny, jaki był im dany. Zadufani w sobie radykałowie ani myśleli liczyć się z ich obawami. „Pogwałcono granicę, jaka oddzielać musi zawsze niezbędne reformatorstwo od doktrynerstwa ożenionego z żądzą pełni władzy”⁶⁹. Jasienica każe swoim czytelnikom docenić wagę emocji, które zadecydowały o oporze: poczucia krzywdy, lęku, oburzenia... „Człowiek nie chciał stać się wobec nowej władzy osamotniony, wyzuty ze wszystkiego, co ukształtowało jego osobowość, moralnie obnażony, więc we własnych oczach godzien śmiechu i pogardy. Z rozpaczki porwał się do broni”⁷⁰. Po jednej stronie rozpacz, po drugiej – niepohamowany apetyt na władzę. W rozważaniach swoich pisarz wciąż nawraca do banalnej, lecz wciąż jego zdaniem lekceważonej prawdy: historia jest niczym zegar, trzeba pamiętać o kolejności wydarzeń: „Wszystkie białe i błękitne alias czerwone – okropności stanowią zatem nieodłączne części składowe systemu świadomie wybranego wcale nie przez chłopów wandejskich. Wszelki, który miecz bierze... musi się liczyć z tym, że delikwenci sięgną chociażby po kłonicę”⁷¹. Ci, którzy wybrali i sprowokowali innych do oporu czy odwetu ponoszą *gros* odpowiedzialności za to uczynili jedni i drudzy. Nie tylko za bratobójczy rozlew krwi. Terror rewolucyjny i krwawo stłumione powstanie w Wandei kosztowały Francję – stwierdza autor *Rozważań* – utratę pozycji międzynarodowej i zmianę całego układu sił w Europie. Napoleonowi nie udało się potęgę państwa reaktywować i tak już zostało. Rozbiory Polski mieszczą się w tym samym spektrum zdarzeń co powstanie wandejskie.

⁶⁸ Tamże, s. 43.

⁶⁹ Tamże, s. 46.

⁷⁰ Tamże, s. 61.

⁷¹ Tamże, s. 88.

Jasienica nie widzi żadnego usprawiedliwienia dla politycznych wizjonerów. Wcześniej czy później zawsze ponosi ich żądza władzy absolutnej, która zagłusza wszelkie skrupuły. W *Rozważaniach* pisarz nieraz wspomina o ofiarach wyrażonych liczbowo, idących w tysiące i miliony, ale zapędem reformatorów przeciwstawia nie stosy trupów, lecz „jedno życie” przypadające na każdą ludzką istotę: „A skoro tak, to niesłuszna jest chyba każda praktyka, która w imię najpromienniejszych chociażby wizji przemienia to życie w niewolniczą wegetację”⁷².

Pisząc o powstaniu wandejskim autor *Rozważań o wojnie domowej* poruszał się między różnymi poziomami historii – od regionalnej, przez narodową po europejską czy powszechną. Przez pryzmat osiemnastowiecznych wydarzeń w prowincjonalnej Francji spoglądał też zapewne wstecz na swój udział w polskiej wojnie domowej, nie przyznając „leśnym” racji politycznej, lecz broniąc ich jako ludzi zdesperowanych.

⁷² Tamże, s. 92.

V. Rojsty 1956 / 2010. Kilka uwag o piętnie sprawczym cenzury

to były jakby próby, pewne rzucanie się
w jakąś stronę i wracanie do niczego
(T. Konwicki, *W pośpiechu*)

Edycja historyczno-krytyczna

W numerze „Przeglądu Politycznego”, poświęconym setnej rocznicy wybuchu pierwszej wojny światowej, Łukasz Musiał komentuje z atencją krytyczne wydanie¹ *In Stahlgewittern* Ernsta Jüngera, „Homera europejskiego wieku żelaza”². Rzecz istotnie godna odnotowania, bo dzieło to – kluczowa pozycja wojennego kanonu europejskiego – stanowiła dla edytorów wyzwanie karkołomne. Jürgens wielokrotnie tekst przekształcał. Przeformułowania zaś schodziły tak głęboko, że siedem³ kolejnych wersji utworu (sporządzonych między rokiem 1920 a 1978) należy wręcz traktować jako samodzielne dokonania ideowo-artystyczne. Wydanie z 2013 roku skrupulatnie dokumentuje ową metamorficzność dzieła⁴. W omówieniu

¹ W oryginale wydanie to określa się jako „historyczno-krytyczne”.

² Ł. Musiał, *Porucznik Jünger w okopach wielkiej wojny*, „Przegląd Polityczny” 2014, nr 125, s. 154.

³ Musiał pisze o sześciu.

⁴ Dwutomowe „historyczno-krytyczne” wydanie *In Stahlgewittern* reklamuje się w sieci jako sensację edytorską. W „Przeglądzie Politycznym” zamieszczono taką oto jego charakterystykę.

Musiała pada pytanie nurtujące wszystkich komentatorów eposu *W stalowych burzach*: jak wyjaśnić autorską uporczywość w nawracaniu do tekstu. Przejaw to koniunkturalizmu pisarza czy też raczej, łagodniej rzecz ujmując, niestałości jego poglądów? Autor artykułu proponuje wykładnię jeszcze inną: „można to nazwać [...] obsesją nadawania formy temu, co zawsze wymyka się formie: niszczącemu doświadczeniu śmierci, z którą tylekroć Jünger stawał oko w oko. I doświadczeniu żałoby”⁵. Ponawiany wciąż akt twórczy zostaje więc utożsamiony z przepracowywaniem traumy wojennej. Jest to niewątpliwie rozwiązanie poręczne; umożliwia Musiałowi pozostawienie nieco z boku lektury kontekstowej, w tym przypadku niesłuchanie pracochłonnej i trudnej do przeprowadzenia w ciasnych ramach artykułu prasowego. Ma jednak ujęcie takie zasadniczy mankament. Nazbyt marginalizuje to, co w związku z wydaniem *In Stahlgewittern* wydaje się najistotniejsze i ważne również w odniesieniu do literatury polskiej. Jego wielokształtność sprzyja bowiem postawieniu kwestii z pozoru banalnej, lecz w praktyce często lekceważonej: związku interpretacji z konkretną edycyjną postacią utworu. Musiał zdaje sobie z tego sprawę, nie na tyle jednak, by ze wskazaną zależnością konsekwentnie się liczyć we własnych poczynaniach analitycznych⁶. Z jednej strony chwali wzorową niemiecką edycję z 2013 roku, z drugiej zaciera kontury poszczególnych wersji, starając się znaleźć klucz uniwersalny, w jakimś stopniu pasujący do każdej z nich. Niekonsekwencji tej na dobrą sprawę nie mógł uniknąć choćby z tego

„Tysiąc dwieście stron z okładem, rzeczowe wprowadzenie o rozmiarach monografii, absolutnie wszystkie wersje książki skomentowane w najdrobniejszych szczegółach, łącznie z graficznym wyszczególnieniem kolejnych zmian, jakie autor nanosił w tekście między rokiem 1922 a 1978. Do tego dokładny, kilkusetstronicowy opis poszczególnych wariantów, bogate materiały dotyczące recepcji zarówno w Niemczech, jak i za granicą, w tym przedruki co ważniejszych omówień i recenzji od lat dwudziestych po współczesność, mapy ukazujące przebieg walk frontowych, w jakich brał udział Jünger, wykaz fachowych pojęć z historii wojskowości i oczywiście literatura przedmiotu, w której nie zabrakło najwybitniejszego polskiego znawcy i tłumacza tej twórczości, Wojciecha Kunickiego, na którego ustalenia kilkakrotnie powołuje się redaktor książki, heidelberski badacz literatury Helmuth Kiesel”. Ł. Musiał, dz. cyt., s. 152-153.

⁵ Tamże, s. 156.

⁶ W przypisach Musiał powołuje się zresztą wyłącznie na drugi polski przekład (autorstwa Wojciecha Kunickiego) *W stalowych burzach* z 1999 roku, którego podstawę stanowi ostatnia, najbardziej ze wszystkich zdemilitaryzowana wersja utworu z 1978. O przekładzie Janusza Gaładyka z roku 1935, zatytułowanym *Książę piechoty* (przetłumaczono trzecią wersję tekstu) jedynie wspomina, zaś w ogóle nie informuje, że wydanie to powtórzone zostało w roku 1938 z podtytułem *W nawałnicy żelaza*.

względu, że pisząc o dziele traktującym wprawdzie o wojnie światowej, doświadczeniu zdecydowanie ponadlokalnym i ponadnarodowym, lecz o dziele pochodzącym z niemieckiego kręgu językowego, zwracał się do czytelnika polskiego, który nawet jeśli sięgnie po oryginał, będzie skazany na lekturę w mniejszym lub większym stopniu powierzchowną. Cóż bowiem z tego, że obcokrajowiec przyswoi sobie wiedzę na temat źródła tytułu *In Stahlgewittern*. Jürgens, używając sformułowania z *Eddy*, nie domagał się od swego czytelnika wiedzy encyklopedycznej, lecz uruchamiał – nieraz milczące czy nieoczywiste – złoża tradycji wspólnej piszącemu i publiczności⁷. Kulturowa bariera nie stanowi jednak przeszkody, by o wydaniu, które przed polskim czytelnikiem (i każdym obcym) stawia zbyt wysokie wymagania, pisać z poczuciem głębokiego sensu. Wystarczy edycję taką potraktować jako przedsięwzięcie modelowe. Wartość bowiem największa owego wydania historyczno-krytycznego polega na tym, że pozwala na śledzenie twórczego przedsięwzięcia od wersji pierwszej do ostatniej oraz na metodyczną analizę różnic między wersjami kolejnymi. Dzięki obserwacji zmian jaśniej widać nie tyle autorską obsesję, ile intencję, za każdym razem uobecnianą inaczej w literackiej materii, inaczej wikłaną w konteksty bieżące i historyczne. Edycja zaś tego rodzaju jest – owszem – dziełem pomnikowym, co autor artykułu podkreśla, lecz może być także silnym impulsem recepcyjnym, skłaniającym do przemyślenia na nowo większych fragmentów bądź wręcz całych warstw zbiorowego dziedzictwa.

Wychodząc od artykułu o proteuszowym dziele, które udostępniono w optymalnej formie wydawniczej, chcę rozważyć zagadnienie podobne, choć związane z całkiem inną inicjatywą edytorską. W 2010 roku pod szyldem Biblioteki „Gazety Wyborczej” ukazało się pierwsze zbiorowe (lecz jeszcze niekompletne) wydanie dzieł Tadeusza Konwickiego. *Książki wybrane* otworzyła powieść *Dziura w niebie*. W drugim tomie opublikowano *Sennik współczesny*, dalej *Wniebowstąpienie*, dalej *Zwierzoczłəkoupiora*. W tomie piątym znalazły się: *Nic albo nic* i *Kronika wypadków miłosnych*. W szóstym: *Kalendarz i klepsydra* oraz *Kompleks polski*. W siódmym: *Mała apokalipsa*. W ósmym: *Wschody i zachody księżycy*. W dziewiątym: *Rzeka*

⁷ *Eddę* próbował popularyzować na gruncie polskim Joachim Lelewel, Maurycy Mochnacki zaś propagował mitologię północną jako źródło polskiej poezji romantycznej. Nie odnieśli jednak znaczących sukcesów na tym polu.

podziemna, podziemne ptaki tudzież *Nowy Świat i okolice*. W kolejnym: *Bohiń*. W jedenastym: *Zorze wieczorne* i *Czytadło*. W tomie finalnym, dwunastym, *Pamflet na siebie*, ostatni utwór pisarza, połączono z *Rojstami* – jego niedoszłym debiutem książkowym.

Edycja Agory zasługuje na uwagę jako pierwsza próba tego rodzaju w odniesieniu do twórczości Konwickiego, osadzająca go w roli klasyka literatury polskiej XX w. Jej walor podstawowy polega jednak na tym, że edytor nie dokonywał po prostu reedycji poszczególnych utworów, lecz sięgnął do autografów, poprawił błędy i omyłki, co zaś najistotniejsze, przywrócił (z aprobatą pisarza) partie tekstów niedopuszczone do druku w edycjach sprzed 1990 roku⁸. Czytelnik ma zatem możliwość poznać teksty głośnych swego czasu utworów w innych wersjach niż te, które wcześniej weszły do publicznego obiegu. Jest to niewątpliwie praktyka wydawnicza, którą należałoby objąć wszystkich ważniejszych twórców PRL-owskich, co od chwili zniesienia cenzury wielokrotnie postulowano, lecz bez spektakularnych efektów. Konkretne propozycje rozwiązań zgłosiła Kamila Budrowska, optując za „edycjami przywróconymi”, w których znalazłyby się na powrót fragmenty wykreślone czy zmienione przez cenzurę, odpowiednio zaznaczone i skomentowane⁹. Celem *editio restituta* – jak badaczka nazywa proponowany typ wydania – byłaby próba „odtworzenia autorskiego zamysłu”, zatem postaci tekstu sprzed „jakichkolwiek udokumentowanych nacisków”¹⁰. Chodziłoby więc o to, by w miarę możliwości, przywrócić autorowi stan względnej swobody twórczej. Dodam od siebie jeszcze jeden pożytek tego typu wydań: oznaczając miejsca dotknięte interwencją cenzorską, poddać by można obserwacji – co wydaje mi się szczególnie poznawczo cenne – pole negocjacji pisarza z wydawnictwem i urzędem cenzorskim. Dzieło opublikowane pod cenzurą było bowiem

⁸ W anonsie *Książek wybranych* pisano: „pierwsze zbiorowe wydanie dzieł Tadeusza Konwickiego i zarazem pierwsze tak drobiazgowo zrekonstruowane na podstawie rękopisów, pozyskanych z archiwum Autora oraz z Biblioteki Ossolineum we Wrocławiu i Biblioteki Narodowej w Warszawie. Dzięki temu są to też – w wielu wypadkach – pierwsze wydania z przywróconymi fragmentami, które wycięła cenzura, oraz z poprawionymi błędami, które zaistniały w poprzednich edycjach. Wszystkie zmiany zostały uzgodnione z Autorem”. http://www.agora.pl/agora/1,112542,7721980,_Ksiazki_wybrane_Tadeusza_Konwickiego_nowa_seria.html [dostęp 17. 09. 2014].

⁹ K. Budrowska, *Zatrzymane przez cenzurę. Inedita z połowy wieku XX*, Warszawa 2013, s. 26-27.

¹⁰ Tamże.

w pewnym sensie efektem uzgodnień między pisarzem a instytucjami, z którymi, chcąc publikować, musiał podjąć współpracę. Stąd zaś blisko już do tezy, że na piśmiennicze dziedzictwo po PRL-u, jakkolwiek by je oceniać, składa się zarówno to, co zostało wówczas opublikowane, jak i to, co wykreślono czy przeformułowano.

Czy edycję dorobku Tadeusza Konwickiego w postaci *Ksiązek wybranych* można zaliczyć do postulowanej przez Budrowską kategorii *editio restituta*? W żadnym razie. Wydawcy chodziło o publikację w trybie popularnym – do czytania. Całą pracę edytorską pozostawiono więc bez komentarza, przez co nie sposób zorientować się w skali i znaczeniu różnic między wersją przywróconą a ocenzurowaną. Edycja tak pomyślana sygnalizuje więc wprawdzie, że cenzura wpłynęła na tekst, lecz uniemożliwia odpowiedź na pytanie, w jakim stopniu. Co więcej skłania do przyjęcia milczącego założenia, jakoby ingerencje cenzuralne nie wprowadzały do tekstu zmian drastycznie przekształcających intencję autora. To, co pisarz chciał przekazać, w czym zaś cenzura mu przeszkadzała, ulegało zatem jedynie głębszemu zaszyfrowaniu na sposób ezopowy¹¹. Dzięki powrotowi do autografu tekst zyska więc na czytelności.

Trud podjęty przez edytora dzieł Konwickiego trzeba oczywiście docenić, lecz warto przy okazji zaapelować o takie podejście do literackiej spuścizny po PRL-u, które w większym zakresie unaocznia sprawczość cenzury. Rozwiązaniem optymalnym byłaby krytyczna – historyczno-krytyczna – edycja łącząca dwie wersje tekstu: wynegocjowaną w kontaktach autora z redaktorem i cenzorem, po czym dopuszczoną do oficjalnego obiegu oraz wersję pierwotną, sprzed ingerencji dostosowawczych. Ponieważ cenzura dokonywała nieraz zmian bardzo głębokich, ich wiarygodne oszacowanie wymagałoby analizy porównawczej dwóch (jeśli nie więcej) wersji utworu, traktowanych jako osobne w gruncie rzeczy teksty. Nie ma sensu postulowanie takiego trybu

¹¹ Piotr Perkowski, który zastanawiał się nad wpływem cenzury na twórczość Konwickiego, pisał: „Śmiem twierdzić, że proza Tadeusza Konwickiego, jednego z najbardziej reprezentatywnych pisarzy tej epoki literatury polskiej, była wręcz kształtowana w nieustannym dialogu z cenzurą. Kolejne powieści Konwickiego noszą w sobie ślady ingerencji cenzorskich, są jednak przede wszystkim zapisem mowy ezopowej, za której pomocą autor starał się przemyścić swoją, niezależną wizję partyzanckich zmaganiań w podwileńskich lasach oraz obraz szarej, przygnębiającej rzeczywistości PRL. Język powieści Konwickiego, jak rzadko którego prozaika powojennego, zawiera wiele pułapek zastawianych na pracowników redakcji i GUKPPiW”. P. Perkowski, *Pół wieku z cenzurą. Przypadek Tadeusza Konwickiego*, „Pamiętniki Literacki” 2006, z. 2, s. 76.

edytorskiego w stosunku do wszystkich wznawianych utworów, które wskutek cenzury ucierpiały. Z góry wiadomo, że projektu tak szeroko zakrojonego nie dałoby się zrealizować nie tylko ze względu na ograniczenia finansowe, ale też z powodu niekompletności dokumentacji. Do zrealizowania byłaby natomiast seria wydawnicza złożona z dziesięciu – powiedzmy – starannie wybranych utworów, należących do kanonu literatury PRL-owskiej, wydanych pod jedną okładką w dwóch wersjach, co pozwoliłoby każdą z nich przeczytać jako integralny tekst od początku do końca, tekst opatrzony solidnym komentarzem oraz przedrukiem recenzji cenzorskich tudzież oficjalnych, pisanych często również na odgórne zlecenie.

Pośród kandydatur nie do pominięcia w postulowanej serii widziałabym *Rojsty* Tadeusza Konwickiego. Z kilku powodów. Najpierw dlatego, że powieść niedopuszczoną do druku w 1948 roku wydano w roku 1956 z licznymi zmianami w stosunku do wersji pierwotnej. Dlatego również, że dotyczyła niewygodnego w PRL-u tematu partyzantki antysowieckiej, który specyficznie zaważył na twórczości autora *Rojstów*. Po roku 1989 temat wspomniany odżył w domenie publicznej jako pamięć o „żołnierzach wyklętych”, pobudzając do burzliwych dyskusji i animozji. Dlatego ponadto, że jest to powieść o zróżnicowanej recepcji literaturoznawczej, by wspomnieć wypowiedzi Kazimierza Wyki, Marii Janion, Hanny Gosk czy Dariusza Skórczewskiego, potwierdzające jej rangę w historii literatury. Dlatego wreszcie, że niedawno ponownie weszła do obiegu, tym razem w wersji autorskiej, odmiennej od wydania z 1956 roku, lecz bez komentarza objaśniającego różnice między nimi.

Rojstom w edycji *Książek wybranych* wyznaczono eksponowane miejsce – na końcu dwunastotomowej kolekcji (razem z *Pamfletem na siebie*). Jako utwór chronologicznie pierwszy stały się swego rodzaju klamrą dla całej twórczości pisarza. Kompozycyjny ten zabieg podkreśla znaczenie powieści, ale też maskuje do pewnego stopnia pominięcie wczesnych, najbardziej skażonych ideologicznie, utworów pisarza, co zresztą uważam za decyzję niefortunną, bo fałszującą drogę pisarską Konwickiego. Za *Rojstami*, chociaż powstały w późnych latach 40., przemówiła zapewne ich ówczesna niecenzuralność tudzież odwilżowa aura towarzysząca pierwszemu wydaniu, przede wszystkim zaś „wileńskość”, która przenika nieomal całe pisarstwo autora *Sennika współczesnego*. Nieobojętne były też z pewnością referencje udzielone *Rojstom* swego czasu przez Marię

Janion¹². Biorąc jednak pod uwagę świadectwa recepcyjne, niecenzuralności utworu nie traktowano jako specjalnego tytułu do chwały autorskiej. W recenzjach z 1956 roku wskazywano na problematyczność decyzji zamykającej powieści drogę do publikacji w roku 1948¹³. W najnowszej zaś, zorientowanej postkolonialnie, lekturze utworu, skoncentrowanej na analizie relacji między Polakami a Rosjanami, Dariusz Skórczewski dowodził, jak dalece utwór ten (analizował tekst wydany w 1956 roku) potwierdzał i utrwał hegemonię sowiecką na „kresach Wschodnich”¹⁴.

Postulując namysł nad dwoma wersjami powieści: dopuszczoną do druku w 1956 roku oraz nieocenzurowaną, nie szukam argumentów za *Rojstami* ani przeciw nim. Chciałabym jedynie wykazać, jak dalece ingerencja cenzury autorskie *Rojsty* zmieniła. Analiza porównawcza dwóch wersji utworu przemówi – jak się spodziewam – na rzecz jego edycji w podwojonej postaci, z wyraźnym oznaczeniem miejsc zmienionych w wydaniu odwilżowym.

Rojsty i Rojsty

Rojsty, które odtworzył z autografu Przemysław Kaniecki, różnią się w wielu miejscach od tekstu edycji odwilżowej, lecz jeden tylko raz odstępstwo zostaje czytelnikowi zasygnalizowane, mianowicie rozdział XVIII – nieistniejący we wcześniejszych wydaniach – został opatrzony informacją o jego rekonstrukcji na podstawie rękopisu. Moje dalsze rozważania będą się odnosiły do zamieszczonego poniżej zestawienia fragmentów różniących, wcale nie naskórkowo, dwie wersje utworu. Wprowadzone na użytek publikacji w 1956 roku zmiany ingerowały w styl, architekturę tekstu, konstrukcję postaci. Utwór zrekonstruowany jest w gruncie rzeczy zupełnie inną powieścią, aniżeli ta, którą dotąd znali czytelnicy, łącznie z historykami literatury.

¹² M. Janion, *Tam gdzie rojsty*, w: tejsze, *Projekt krytyki fantazmatycznej. Szkice o egzystencji ludzi i duchów*, Warszawa 1991.

¹³ Zob. m.in. R. Zimand, *Dlaczego nie osiem lat temu?*, „Nowa Kultura” 1956, nr 25, L. Flaszen, *Spóźniony debiut*, „Życie Literackie” 1956, nr 29.

¹⁴ D. Skórczewski, *Narracja jako proces subordynacji (Tadeusz Konwicki, „Rojsty”)*, w: tegoż, *Teoria – literatura – dyskurs. Pejzaż postkolonialny*, Lublin 2013, s. 293-306.

	<i>Rojsty 1956</i>	<i>Rojsty 2010</i>
1.	Ja byłem tylko miesiąc w oddziale. Przyłączyłem się do piętnastej brygady. (18) ²¹³	Ja tylko w akcji na Wilno brałem udział. Przyłączyłem się wtedy do piętnastej brygady. (153).
2.	Myślałem, że się rozchoruję, kiedy przyszła wieść, że Ruscy weszli na Pragę. (19)	Myślałem, że się rozchoruję, gdy przyszła wieść o kapitulacji. (153)
3.	– Białorusini pójda z nami – zgasił mnie brunet. – Myśmy te ziemie kolonizowali od kilkuset lat. Niech Pan się przejdzie po Wilnie. (19)	– Białorusini pójda za nami – zgasił mnie brunet. – Kultura nasza wywarła tu swój wpływ. Myśmy te ziemie kolonizowali od kilkuset lat. Niech się Pan przejdzie po Wilnie. (153)
4.	Polak od Polaka żył o dziesiątki kilometrów. (19)	Polak od Polaka był o dziesięć kilometrów (154)
5.	Pamiętam – skapitulowałem. Teraz młodzieńcy w długich butach zaczęli wspominać ostatnie swoje przewagi, wcześniejsze też czasy, czasy rozkwitu partyzantki. (20)	Pamiętam – skapitulowałem. Wiesz, Edek – Ewa odłożyła książkę – tu w naszej dzielnicy był jeden taki młodzian, który siedział w piwnicy podczas akcji na Wilno, bo mu mama nie pozwoliła. Zaśmieliśmy się. – To my, starzy – przerwał pan Skrzyńiewicz – ganiałiśmy wtedy pod kulami, kobiety oddawały chłopcom ostatnie buty, a taki wszarz siedział w piwnicy. Młodzieńcy w długich butach zaczęli wspominać akcję na Wilno, wcześniejsze też czasy, czasy rozkwitu partyzantki. (154)
6.	Podobno dowództwo AK odbyło jakąś konferencję koło Ruskiej Puszczy. (20)	Podobno dowództwo odbyło jakąś konferencję koło Ruskiej Puszczy. (154)
7.	Znacznie bardziej niż piłsudczyków nienawidził Piwoń komunistów. (22)	Czasem zdarzało mi się zastanawiać, kogo Piwoń bardziej nienawidził: piłsudczyków czy komunistów (156)

8.	Na pogrzebie nie było księdza, paru oficerów-berlingowców odprowadzało go na cmentarz, aby pochować w nie święconej ziemi (22)	Na pogrzebie nie było księdza, paru oficerów (tzw. berlingowców) odprowadzało go na cmentarz, aby pochować w nie święconej ziemi (157)
9.	[...] a inni chronili się przed poborem do wojska fałszywymi „personalausweissami”. Bolszewicy nie zdążyli jeszcze wydać swoich dokumentów, a wszystkie niemieckie pieczątki i formularze wpadły w ręce AK. (23)	[...] a tysiące chroniły się przed poborem do wojska fałszywymi personalausweissami, gdyż bolszewicy nie zdążyli jeszcze wydać swoich dokumentów, a wszystkie niemieckie pieczątki i formularze wpadły w ręce AK. (157)
10.	[...] fala zdeterminowania zalała ponownie mój rozsądek. (24)	[...] fala zdeterminowania zalała ponownie mój rozsądek, iż byłem gotowy do jak najbardziej szaleńczego szturmu na nieprzyjacielskie pozycje. (158)
11.	Strzelało się białoruskich chłopów, posądzonych o sympatie lub wprost o współpracę z bolszewikami. (29)	Strzelało się, prócz żołnierzy, z którymi sprawa była niełatwa, białoruskich chłopów posądzanych o sympatie lub wprost współpracę z bolszewikami. (162)
12.	[...] Aktor wyciął w pień posterunek milicji i spalił granatem chałupę. (33)	[...] Aktor wyciął w pień posterunek milicji białoruskiej i spalił granatem ich chałupę. (165)
13.	Przy rozpętanym żarliwym patriotyzmie łamałem się dodatkowo ze swoim wrażliwym i czułym usposobieniem. (35)	Przy rozpętanym żarliwym patriotyzmie, kipiącym w naszych kresowych sercach, łamałem się dodatkowo ze swoim wrażliwym i czułym usposobieniem. (168)
14.	Rąbnę mu w łeb – zaszeptał zawzięcie. (37)	Pierdolnę mu w łeb – zaszeptał zawzięcie. (169)
15.	[...] a za niemieckich czasów był nawet wyrzucony z oddziału Korbuta. (37-38)	[...] a za czasów niemieckich był nawet wyrzucony z oddziału Narbuta. (170)
16.	Nominację na plutonowego otrzymałem po akcji na Ławaryszki. (39)	Nominację na plutonowego otrzymałem po akcji na Wilno. (171)
17.	Od czerwca ich nie widziałam. (44)	Od samej akcji na Wilno nie widziałam ich. (176)
18.	No, a jeśli zrobią tu plebiscyt? (45)	No a jeśli będzie tu plebiscyt? (177)

19.	Nie znosiłem tego cynika. Panna Celinka podniosła fiołkowe oczy [...]. (45)	Nie znosiłem tego cynika. Przypuszczałem, iż był w kontakcie z NKWD, mówiłem nawet o tym z Kwiatkiem. Panna Celinka podniosła fiołkowe oczy [...]. (177)
20.	Boją się. Powiadają, że w czterdziestym roku dali im bolszewicy, ale zaraz przyszli Niemcy [...]. (47)	Nie chcą brać. Powiadają, że w czterdziestym roku dali im bolszewicy, ale zaraz przyszli Niemcy [...]. (178)
21.	Wszystkich się bali. (48)	Wszystkich jednakowo nienawidzili. (179)
22.	A taki Łupaszko to nawet poszedł z Niemcami za Niemen. (50)	A taki Kuraszko to nawet na akcję wileńską się nie zgodził. Poszedł z Niemcami za Niemen. (181)
23.	Nie stchórzymy. (51)	Nie stchórzymy, do ostatka. (181)
24.	Część z nich ukrywała się przed poborem do wojska, resztę zagarnięto na patrolach. (55)	Ukrywali się przed poborem do wojska i w ten sposób chcieli przetrwać do wiosny. (185)
25.	Po akcji na Ławaryszki przypięto mu czerwono-białą rozetkę Krzyża Walecznych. (57)	Po akcji na Wilno przypięto mu czerwono-białą rozetkę Krzyża Walecznych. (186)
26.	[...] i od razu, nadużywając gramatyki rosyjskiej, wygłosił przemowę do drużyny. Poszedłem na koniec wsi [...]. (58)	[...] i od razu, nadużywając gramatyki rosyjskiej, wygłosił przemowę do drużyny. – A jebi waszu mać, to wy co myślicie? Ja wam pokażę wojsko. Wiecie, kto ja jestem? Obergefreiter, skatina jebana w rot... Nie wiedziałem, czy ostatnie słowa stanowią nader krytyczną samoocenę, czy odnoszą się do drużyny. Poszedłem na koniec wsi [...]. (187)
27.	– Nie rozmazuj się, nie jesteś dziewicą – mruknąłem opryskliwie. (65)	– Nie rozmazuj się, nie jesteś dziewicą w ciąży – mruknąłem opryskliwie. (193)
28.	– Stójcie, taka wasza mać – wrzasnąłem wściekły na szperaczy. (72)	– Stójcie, jebiona mać – wrzasnąłem wściekły na szperaczy. (198)
29.	– Taka mać, zabiłem przyjaciela. (73)	– Kurwa mać, zabiłem przyjaciela (199).

30.	Konie były jak zwykle zmęczone, obojętne, mokrymi chrapami szukały worka z owsem. Jakiś świetlny pocisk wystrzelił daleko za lasem i zgasł w kołach Wielkiego Wozu. (73)	Konie były jak zwykle zmęczone, obojętne, mokrymi chrapami szukały worka z owsem. Dla mnie wszystko się skończyło, nie widziałem nowego. Nie znałem wówczas owej złotej mądrości, że wszystko mija, że człowiek wytrzymuje wszystko z wyjątkiem własnej śmierci. Jakiś świetlny pocisk wystrzelił daleko za lasem i zgasł w kołach Wielkiego Wozu. (199-200)
31.	Przyszedłem tu dla plutonu, chociaż pod śniegiem leżał mój przyjaciel. Wróciwszy do sań, wybuchnąłem: [...] (75)	Przyszedłem tu dla plutonu, chociaż pod śniegiem leżał mój przyjaciel, który już teraz nie miał mi z złe tego nieszczęsnego strzału. Żółty trójkąt światła księżycowego łamał się na świeżym grobie. Stefan przy wnoszeniu go do chaty, zamroczony bólem, klął mnie od skurwysynów. Pytał nie wiadomo kogo: – Dlaczego ten drań do mnie strzelił? Wróciwszy do sań, wybuchnąłem: [...] (200)
32.	Skręciliśmy na trakt. [koniec rozdziału VIII, przyp. E.D.] (75)	Skręciliśmy na trakt. Za nami pod księżycem została chata. (201)
33.	Przypominał mi się Stefan. Coraz rzadziej mówili o nim chłopcy. Bonza zaopiekował się mną [...]. (76)	Przypominał mi się Stefan. Zabiło mi serce, gdy po paru dniach na piersi Sułtana pojawił się jego ryngraf; ale nie miałem nic do powiedzenia. Bonza zaopiekował się mną [...]. (202)
34.	Wierzyliśmy, że nasze silne, dobrze uzbrojone oddziały potrafią zdobyć miasto. Stało się inaczej (81)	Wierzyliśmy, że nasze silne, dobrze uzbrojone oddziały potrafią zawsze utrzymać miasto. Stało się inaczej (206)

35.	Urządzanie defilad, mszy polowych i różnych innych uroczystości wojskowych okazało się fałszywym wykładnikiem siły. Takie myśli niewyklarowane i chaotyczne [...]. (81)	Urządzanie defilad, mszy polowych i różnych innych uroczystości wojskowych okazało się fałszywym wykładnikiem siły. Po akcji na Wilno, w chwili próby, powtórzył się wrzesień 1939 roku. Wojna u nas była ciągiem spontanicznych, egzaltowanych zrywów i bolesnych rozczarowań. Takie myśli, niewyklarowane i chaotyczne [...]. (206)
36.	Odsuwałem je od siebie ze wstrętem. Nie czas było roztrząsać sprawy należące do tych, którzy w konspiracyjnych mieszkaniach w zaułkach wileńskich kierowali naszą akcją. (81)	Odsuwałem je od siebie ze wstrętem. Walczyliśmy bezkompromisowo. Nie czas było roztrząsać sprawy należące do tych, którzy w konspiracyjnych mieszkaniach w zaułkach wileńskich kierowali naszą akcją.
37.	Więcej sprytu i żadnych sentymentów. – Tak, tak – potakiwałem. (83)	Więcej sprytu i żadnych sentymentów. Każdy bolszewik to nasz wróg. – Tak, tak – potakiwałem. (208)
38.	Nasze sprawy, zdające się ostatecznymi i najprostszymi, wydały mi się teraz jako egzotyczne między murami miasta. (85)	Nasze sprawy, zdające się ostatecznymi i najprostszymi, były tylko fragmentem życia Wileńszczyzny. (210)
39.	Po kąpieli wysmarowałem się obficie szarą maścią, skuteczną rzekomo i na świerzb. (87)	Po kąpieli wysmarowałem się obficie szarą maścią, skuteczną rzekomo nie tylko na mendy, ale i na świerzb. (212)
40.	[...] ale my zostaniemy i wytrwamy do chwili, kiedy można będzie wkroczyć do wolnego Wilna [...]. (94)	[...] ale my zostaniemy i wytrwamy do chwili, gdy wkroczymy do wolnego Wilna [...]. (216)
41.	[...] naklejaliśmy je na słupach telefonicznych. Stefana nie było. (96)	[...] naklejaliśmy je na słupach telefonicznych. Pomagaliśmy w tym ludziom prześladowanym. Ojciec Stefana powtarzał często, że rząd nasz był prożydowski. Stefana nie było. (218)
42.	Zginął, chociaż omyłkowo za sprawę. Nad Wilią było cicho. (96)	Zginął, chociaż omyłkowo za sprawę. Ale czy miał często wracać w moje życie? Nad Wilią było cicho. (218)
43.	Przed wymarszem cyrograf siwego majora ukryłem w papierowej wkładce do buta. (97)	Przed wymarszem dokument siwego majora ukryłem w papierowej wkładce do buta. (219)

44.	[...] a dziewczyna, jego żona, funkcjonariuszką komsomołu w Mińsku. (102)	[...] a dziewczyna, jego żona, przewodniczącą komsomołu w Mińsku. (224)
45.	– Jaka pani chuda – szepnąłem, żeby jej zrobić przykrość. (110)	– Ma pani brzydki biust – szepnąłem, żeby jej zrobić przykrość. (231)
46.	– Nigdy za dużo ofiar – sprzeciwił się Orzeszek. Pani Korsakowa siąkała nosem. (112)	– Nigdy za dużo ofiar – sprzeciwił się Orzeszek. – Czy chce Pani, żeby to plugastwo bezcześciło nam kościoły? Pani Korsakowa siąkała nosem. (232-233)
47.	Z Pogoniami na czapkach. Musztra u nich jakaś niemiecka. Całe szczęście, że wieczorem niepostrzeżenie odjechaliśmy. (117)	Z Pogoniami na czakach. Całe szczęście, że wieczorem niepostrzeżenie odjechaliśmy. (237)
48.	Wierzyliśmy jednak, że do Berlina Rosjanie nie dojdą, już wcześniej staną, znużeni długim marszem i wykrwawieni w walkach z Niemcami. (126)	Wierzyliśmy jednak, że do Berlina Rosjanie nie dojdą, już wcześniej staną, znużeni i tak długim marszem na amerykańskim sprzęcie. (245)
49.	Nie miałem bagażu, przy pasie wisiało tylko parabellum Bonzy. Broni mieliśmy w bród. Ludzie tylko wykruszali się jak topniejący na polach śnieg. (127)	Nie miałem bagażu, przy pasie wisiało tylko parabellum Bonzy. Fatalną pepeszę zostawiłem po cichu gospodarzowi na piecu, gdyż bronie mieliśmy w bród. Ludzie tylko wykruszali się jak topniejący na polach śnieg. (245-246)
50.	[...] poskładali torby i karabiny. Słysząc było łoskot spadających z sufitu kropel. (134)	[...] poskładali torby i karabiny. Tak się powtarzał trzeci wrzesień. Słysząc już było łoskot spadających z sufitu kropel. (251)
51.	[...] bielmo na oku skryło się w gęstej sieci zmarszczek. – Nu sztoż, synok, charoszaja? (139)	[...] bielmo na oku skryło się w gęstej sieci zmarszczek. Przypominał mi mego dziadka. – Nu sztoż, synok, charoszaja? (255)
52.	Dawaj, dawaj durak, ja posmatriu. (141)	Dawaj, dawaj, durnyj, ja posmatriu. (256)

53.	<p>Ruszyliśmy ciężko wąską ścieżynką do kładki nad Solczą, wstydząc się naszej słabości. Podczas krótkiego postoju koło Wiśniczy Bonza zwałił się ciężko obok mnie. – No co, zabrakło wam jakoś oddechu, starzy wygrzewają sobie spokojnie kości pod piecem. Uniosłem brwi prawie obojętnie. – Litość – rzekłem krótko. Bonza zaśmiał się chropawo. – To chyba gorzej jak litość. Dzieci tracą grunt pod nogami, a bez żarliwej wiary trudno udawać Skrzetuskiego (142)</p>	<p>Ruszyliśmy ciężko wąską ścieżynką do kładki nad Solczą, wstydząc się naszej słabości. (258)</p>
54.	<p>– Koledzy po fachu – mruknął Bonza. – Tylko z małą różnicą. Kwiatek zbladł. (144)</p>	<p>– Koledzy po fachu – mruknął Bonza. Kwiatek zbladł (259)</p>
55.	<p>Minutową ciszą czciliśmy pamięć poległych. (146)</p>	<p>Minutową ciszą, my spadkobiercy ich tradycji czciliśmy pamięć swoich poprzedników. (260)</p>
56.	<p>– A stara Korsakowa niepotrzebnie nosiła żałobę po synach-partyzantach. Napisali niedawno do niej z Białegostoku. Są już w Polsce i handlują dolarami. (149)</p>	<p>Napisali niedawno do niej z frontu, są w armii Berlinga. (263)</p>
57.	<p>[...] pokornie i usłużnie odpowiadali po litewsku. Był to okres prosperity na Nowastrojce. Zapobiegliwi jej mieszkańcy żyli wtedy nienajgorzej, gdyż utworzono niedawno getto i po dziesiątkach tysięcy Żydów zostały piramidy ciuchów: ubrań, pierzyn, naczyń i obuwia. Jeśli się ktoś bał kraść nie pilnowane mienie, mógł bez wielkich kłopotów kupować to wszystko za psi grosz w specjalnie przez Niemców utworzonych sklepach. Sułtan chlubił się swoim nowastrojskim pochodzeniem [...] (150)</p>	<p>[...] pokornie i usłużnie odpowiadali po litewsku. Sułtan chlubił się swoim nowastrojskim pochodzeniem [...] (264)</p>

58.	[...] która mi tak zawadzała jeszcze za czasów niemieckich w akcji na Taboryszki. (153)	[...] która mi tak zawadzała jeszcze za czasów niemieckich w akcji na Wilno. (266)
59.	Podczas okupacji w naszej sferze były tylko dwa gatunki młodzieży: [...] (153)	Podczas okupacji były tylko dwa gatunki młodzieży: [...] (266)
60.	– Ale bogaty sukinsyn. (155)	– Ale bogaty skurwysyn. (267)
61.	[...] zemsta rozsierzonego dowódcy obwodu AK, rotmistrza Orzeszka. (156)	[...] zemsta rozsierzonego dowódcy obwodu, rotmistrza Orzeszka. (269)
62.	Jakiś siwy pułkownik, któryś tam z rzędu piastujący stanowisko dowódcy AK, wyparł się nas, chociaż jesienią zgodnym, patriotycznym jazgotem razem z innymi nieprzejednanymi wygonił nas do lasu. (171)	Jakiś siwy pułkownik, któryś tam z rzędu piastujący stanowisko dowódcy wyparł się nas, chociaż jesienią zgodnym, patriotycznym jazgotem razem z innymi nieprzejednanymi wygonił nas do lasu. (281)
63.	Wyszliśmy na twardy trakt. Na fioletowych polach posuwały się wolno zgarbione konie, a za nimi pochyleni nad pługiem oracze. Wychudłe wrony podskakiwały na kleistych skibach, poszukując pokarmu. Za jasnozielonymi tumanami młodych drzew czerwienił się dach jakiegoś dworu. – Ot widzisz – podrzucił brodą Bonza – chłopci jednak ziemię wzięli i orzą. – Et – westchnąłem. Pod nogami skrzypiał żółty żwir. Przed wsią przeżyliśmy pierwszą emocję. (171)	Wyszliśmy na twardy trakt. Przed wsią przeżyliśmy pierwszą emocję. (281)
64.	Ścieżką przy szerokim trakcie poszliśmy do Wilna. (172)	Ścieżką przy szerokim trakcie poszliśmy do Wilna. XVIII ²¹⁴ W domu przyjęła mnie matka, zdumiona i szczęśliwa. Ja także byłem wytracony z równowagi takim zakończeniem naszej walki. [...] Podjąłem lewą ręką kamuszek z trawy i niezdarnie cisnąłem w dół. Woda przyjęła go z cichym pluskiem, a po gładkiej, zarumienionej tafli przebiegły kręgi drobnych fal i zaraz zgasły. (281-285)

Zestawienie, które uwzględnia wszystkie dostrzeżone anomalie, poza odmiankami o charakterze czysto językowym, dostarcza materiału do analizy wielokierunkowej. Z konieczności poprzestanę na omówieniu różnic najważniejszych między wersją restytuowaną a pierwodrukową, między *Rojstami* napisanymi przez pisarza a jej wynegocjowanym odpowiednikiem.

Ostatnia powieść kresowa

Kazimierz Wyka w artykule o świeżo wydanych *Rojstach*, zamieszczonym w 1956 roku na łamach „Życia Literackiego”, zatytułowanym intrygująco a zarazem prowokacyjnie *Ostatnia powieść Orzeszkowej*, odniósł z lektury utworu Konwickiego mieszane wrażenia. Przede wszystkim nie poczytał pisarzowi za szczególne osiągnięcie obrazu partyzantki.

Jako opowiadanie o partyzantce i jej bojowej oraz psychologicznej egzotyce, o gwałtownym obnażaniu się typu moralnego i charakteru człowieka w obliczu kul, wilków i partyzanckiego „chodzenia” – *Rojsty* nie są jakąś rewelacją. Przez autentyczne wspomnienia za dużo przebiega literackiego szwu i mimowolnej ściągaczki szkolnej¹⁵.

Pisząc o „ściągaczce” miał na uwadze krytyk między innymi kalki z *Wiernej rzeki*¹⁶. W dziedzinie partyzanckiej wyżej ocenił – rzecz dziwna – książkę Władysława Machejka *Rano przeszedł huragan* o „podhalańskiej bandzie” Józefa Kurasia – Ognia¹⁷. W *Pograniczu powieści* (1948) natomiast przychylnie odniósł się do żołniersko-partyzanckich opowiadań Wojciecha Żukrowskiego (*Z kraju milczenia*), upatrując w nich odnowienia tradycji sienkiewiczowskiej¹⁸. Czy *Rojsty* z 1948 roku potraktowałyby łagodniej niż ich wersję opublikowaną?

¹⁵ K. Wyka, *Ostatnia powieść Orzeszkowej*, w: tegoż, *Pogranicze powieści*, Warszawa 1989, s. 453-454.

¹⁶ Wśród dalekich krewnych w związku z tradycją powstania styczniowego rozważałabym powinowactwo *Rojstów* z *Kryjakami* Marii Jehanne Wielopolskiej.

¹⁷ K. Wyka, dz. cyt., s. 454.

¹⁸ K. Wyka, *Pogranicze powieści*, s. 100-112.

Autor *Pogranicza powieści* nikłą notował frekwencję utworów powieściowych w literackim pokłósiu wojny i okupacji oraz ich artystyczną miarłość. Pisał wówczas o powieści Jana Dobraczyńskiego *W rozwalonym domu*: „Popularny i dydaktyczno-moralizujący schemat położony na tragedię powstańczą, dziwnie zgrzyta swoim niedopasowaniem do tematu”¹⁹. Konwicki również mierzył się z nie lada tragedią – likwidacją wileńskiego ruchu niepodległościowego i więcej jeszcze: z problemem niwelowania polskości na ziemiach za linią Curzona. Czy znalazł stosowną do tematu formę i tonację emocjonalną?

W odróżnieniu od *Rojstów* z 1956 roku, autografowa ich wersja nie była w żadnym razie kolejnym świadectwem „schyłku polskiej partyzantki”²⁰, jak skonstatował Wyka w „Życiu Literackim”, lecz powieścią o partyzantce ściśle przypisanej do miejsca i czasu, prowadzonej też w innych warunkach aniżeli partyzantka „w Polsce”. Jeden bowiem z zabiegów manipulacyjnych przeprowadzanych na materiale całego utworu, polegał na konsekwentnym usuwaniu wzmianek o „akcji na Wilno” (fragmenty: 1, 5, 16, 17, 25, 35, 58, 64), czyli operacji „Ostra Brama”, której celem miało być opanowanie miasta siłami akowskimi. Faktograficznie rzecz biorąc, operacja nie przyniosła siłom polskim sukcesu, zaś próba współdziałania z Armią Czerwoną zakończyła się aresztowaniami dowódców oraz rozbiciem oddziałów partyzanckich. W tekście przeznaczonym do druku akcja wileńska (w autografie przywoływana zresztą bez szczegółów) została wymazana, w paru zaś miejscach wprowadzono fałszujące obraz zamienniki: akcję „na Ławaryszki” (16, 25) bądź „na Taboryszki” (58). Nazwy miejscowości istotnie zresztą wiązały się z partyzantką w okręgu wileńskim, tyle że dla czytelników „z Polski” musiały brzmieć egzotycznie, jeśli nie wręcz literacko.

Eliminacja „akcji na Wilno” nie sprowadza się do ingerencji, którą czytelnik mógłby sobie zrekompensować domyślnością. Stanowi przy tym bardzo poważne naruszenie całej konstrukcji tekstu. „Akcja na Wilno” jest bowiem w wersji nieocenzurowanej utworu wydarzeniem granicznym: oddziela czasy „niemieckie” partyzantki od „bolszewickich”, czasy jej rozkwitu od fazy likwidowania. Wzmianki o „akcji na Wilno” nadają powieściowej przedacek rozmach i wymiar historyczny. Fabuła stanowi jedynie odprysk

¹⁹ Tamże, s. 142.

²⁰ Tamże, s. 453.

tamtych, autentycznych, skądinąd znanych wielu świadkom, wydarzeń. Bez „akcji na Wilno” przedstawiona w powieści partyzantka nie ma swojego punktu kulminacyjnego, spektakularnego wyjścia z lasu; od razu przybiera postać rozsianych bezładnie po okolicy potyczek. Przejście z fazy „niemieckiej” do „bolszewickiej” dokonuje się płynnie, bez wyraźnego progu i powodu.

Co istotne, „akcja” została usunięta nie tylko jako wydarzenie o znaczeniu historycznym, ale też znika jako punkt zwrotny w biografii głównego bohatera i zarazem narratora – Żubra. W tekście autografowym „akcja na Wilno” była momentem jego inicjacji bojowej. Żubr nie znał więc z autopsji partyzantki czasów „niemieckich”. Legenda o niej stanowiła natomiast źródło jego kompleksów wobec starych partyzantów, a potem również narastającego rozgoryczenia, kiedy jego własne doświadczenia leśne coraz bardziej rozchodziły się z uprzednimi wyobrażeniami. „Akcja na Wilno” podkreślała inny jeszcze dramaturgiczno-ideowy węzeł w świecie powieści, mianowicie antagonizm wileńsko-warszawski, dochodzący do głosu w rywalizacji między Żubrem a przybyszem z Warszawy – Aktorem. W wersji pierwotnej *Rojstów* konflikt między bohaterami uwikłany został w napięcie między powstaniem warszawskim i „akcją na Wilno”. W wersji utworu pozbawionej odniesień do próby zdobycia Wilna, „męczeńska krew” warszawska straciła swój wileński kontrapunkt. Skreślenie ostatniego – XVIII rozdziału – spowodowało z kolei, że ów antagonizm został pozbawiony pointy w gorzkim odnarratorskim komentarzu, w związku z powrotem Aktora do Polski razem z eksnarzeczoną Żubra, Ewą:

Ciekawiło mnie, czy Aktor mógł się znaleźć w nowych warunkach. Ale chyba tak. Z pewnością chował w szufladach wstążki orderowe, wspomnienie wojennej chwały, do której doszedł jeszcze mit walki z bolszewikami. Był kryty na obie strony. Mógł teraz na dobrej posadce służyć rządowi lubelskiemu, a w razie czego, gdyby tam ktoś na białym koniu wjechał do Warszawy, można było wydobyć zdobyte krzyże i powołać się na nieugiętą walkę z bolszewizmem. Uderzyć się z dumą w pierś. Ale w czyją? Chyba naszą, tych, którzy walcząc w lasach białoruskich, marzyli o mocarstwie, jeszcze w maju 1945 roku²¹.

²¹ T. Konwicki, *Rojsty* [2010], s. 282.

Cytat powyższy zwraca uwagę na odmienność sytuacji kombatantów walk z Niemcami i tych, którzy zdążyli uczestniczyć jedynie w partyzantce antybolszewickiej. Ci drudzy, jeśli przeżyli, musieli o swoim szlaku bojowym milczeć. Można się zastanawiać, czy z autografowej wersji *Rojstów* nie dałoby się wyczytać autorskiego dążenia, żeby mimo wszystko – wbrew układowi politycznemu – wprowadzić do zbiorowej pamięci „akcję na Wilno” i jej następstwa²². Deheroizację, groteskowość niektórych postaci i zdarzeń, drwinę czy samoponiżenie można by wówczas interpretować nie tylko jako reakcję na klęskę²³, lecz w owej deprecjonującej poetyce spróbować zobaczyć sposób na przemyślenie do obiegu publicznego tematu skazanego na zapomnienie. Byłby to więc manewr przypominający z daleka romantyczny historyzm maski.

Interpretacja źródeł poetyki *Rojstów* ulega dalszym komplikacjom, jeśli usytuować powieść Konwickiego w jej macierzystym kontekście czasowym końca lat 40. Kiedy bowiem *Rojsty* powstawały, partyzantka niepodległościowa nie była jeszcze wcale tematem historycznym. Przeciw nowej władzy nadal walczyły niedobitki oddziałów leśnych. Odbywały się procesy złapanych partyzantów, wykonywano wyroki²⁴.

Wracając do ujęcia partyzantki w wersji autografowej powieści, trzeba zauważyć jego niewątpliwą oryginalność w powiązaniu tematu „leśnych” z akcją likwidacyjną polskość na Wileńszczyźnie, czyli z tzw. repatriacją. O repatriację właśnie upominał się Wyka, komentując *Rojsty* w 1956 roku i dlatego też zatytułował swój artykuł *Ostatnia powieść Orzeszkowej*:

Partyzantowi dla jego politycznego rozrachunku sumienia potrzebny był tylko groteskowy aspekt problemu i intelektualna prowokacja. Więcej nie dał i dać zapewne nie mógł. Jednocześnie po liniach

²² Kazimierz Wyka omawiając opowiadania *Z kraju milczenia* Wojciecha Żukrowskiego – „najpełniejszą książkę o pięciu latach walki i okupacji” – stwierdzał: „Ten cykl siedmiu opowiadań ujmuje i odtwarza wszystkie najważniejsze ogniwa lat 1939-1944, ujmuje je ponadto i odtwarza w wyborze i układzie, w jakim się utrwały w pamięci zbiorowej”. K. Wyka, dz. cyt., s. 100. *Rojsty* wywoływały też krytyczne reakcje po stronie uczestników partyzantki wileńskiej. Zob. np. R. Kiersnowski, *Tam i wtedy. W Podweryszkach, w Wilnie i w puszczy 1939-1945*, Warszawa 1996.

²³ W takim duchu tłumaczył Konwicki genezę *Rojstów* w wywiadach.

²⁴ Znamienne, że w wydaniu z 1956 pojawia się Łupaszka (jako Łupaszko), pseudonim Zygmunta Szendzielarza, dowódcy 5 Wileńskiej Brygady AK, aresztowanego w czerwcu 1948 r., straconego w 1951. Zob. zestawienie cytatów nr 22.

kolejowych przekraczanych nocami przez oddział Kwiatka toczą się pociągi repatriantów wyjeżdżających do Polski. Wyjeżdżających, a nie powracających, bo przecież tam po białoruskich wsiach i w Wilnie, urodzili się oni, tam żyli ich przodkowie i zaludnili cmentarze. Odbywa się proces, który subiektywnie kosztował wiele łez, wiele żalu, który w sercach i przywiązaniach nie daje się w jednym pokoleniu zagoić. Sprawy, o których nie wolno literaturze milczeć pod groźbą fałszu i lakiernictwa. Ziemie nie były rdzennie polskie, lecz jakże głęboko przepojone naszą kulturą i wspólną historią – miasto celi bazylianów, Wielkiej Improwizacji. *Rojsty* musiały o tym zamilczeć²⁵.

Krytyk pisze o powieści w taki sposób, jakby znał utwór w autografie. W *Rojstach* autografowych repatriacja stanowi bowiem mocny akcent w rozdziale ostatnim, który rozgrywa się w Wilnie po rozpuszczeniu oddziału. Wersję z 1956 roku zamykał epizod na drodze do miasta – pierwsze pokojowe spotkanie zdemobilizowanych partyzantów, Żubra i Bonzy, z „bolszewikiem”. W wersji autografowej Żubr wraca do domu, z którego już prawie wszyscy wyjechali, jego matka w pośpiechu pakuje rzeczy na podróż. Obywa się bez łez czy innego demonstrowania „subiektywnych” – jak to ujął Wyka – kosztów. Zamiast tego w finale powieści toczy się rozmowa rozrachunkowa między Żubrem a Bonzą, kiedy ostatni pewnie raz spotykają się na przechadzce poza miasto. Ważna jest sceneria dialogu: widok na zbocze wzgórza nad Wilenką, gdzie pochowano poległych w „akcji na Wilno”.

Rozmowa przebiega wedle obowiązujących wymogów ideologicznych. Jeśli było w niej coś nie do przyjęcia z punktu widzenia cenzury, dałoby się to zapewne bez trudu wyretuszować. O wycięciu całego rozdziału zdecydowało raczej nie to, co bohaterowie do siebie mówią, lecz na co patrzą i co pamiętają.

Na zboczu wzgórza stromo spadającego do Wilenki, między sosnami zieleniały porośnięte już trawą groby. Na zmytych przez deszcz krzyżach widać było jeszcze ślady napisów. Minał już prawie rok od czasu, kiedy zwożono tu chłopców, wyszukiwanych w zielonych żytach. Układano ich rzędami,

²⁵ K. Wyka, *Ostatnia powieść Elizy Orzeszkowej*, s. 457.

a koledzy identyfikowali poległych. Na krzyżach chwiały się podziurawione hełmy. Pokryły się już dobrze rdzą. W dole gaworzyła Wilenka²⁶.

Obok rozprawiających bohaterów przemawiają w tej scenie mogiły – wrosnięte już w krajobraz, po części znaturalizowane, po części wtopione w pejzaż kulturowy Wileńszczyzny jako ziemi ponawianych (pordzewiałe hełmy!) walk niepodległościowych. Nadrzeczne mogiły odsyłają do leśnego krzyża upamiętniającego walki z 1863 roku, przy którym partyzanci zatrzymują się we wcześniejszych partiach powieści²⁷. „Gaworząca” Wilenka nasuwa skojarzenie z „wierną rzeką” Stefana Żeromskiego, lecz i z „domowym” Niemnem Mickiewicza²⁸. Ostatni fragment powieści mówi o wyjeździe z miasta, ale też o trwającym przez wiele generacji polskim zakorzenieniu na Wileńszczyźnie – biologicznym i duchowym.

Wycięcie z powieści ostatniego rozdziału zakłóca również relacje między bohaterami. Co więcej, radykalnie zmienia wizerunek jednego z nich, mianowicie Bonzy. Dopiero bowiem w usuniętym rozdziale XVIII odsłaniały się głębsze motywacje „cynika”²⁹. Bonza, w obu wersjach powieści od początku irytujący bohatera swoimi docinkami i sceptycyzmem wobec sensowności partyzanckiego „chodzenia”, w ostatnim rozdziale okazuje się przedwojennym lewicowcem, asystentem na uniwersytecie, intelektualistą:

Podczas okupacji poprzestałem na sympatiach lewicowych i sceptycyzmie. To wystarczało, żeby uważano mnie za bolszewika. Potem przyszli Rosjanie. Podziemie rozpoczęło wyroki na naszych komunistach [...]. I po prostu stchórzyłem. Kiedy dostał w kołnierz Kubelski, zacząłem się wahać. Miałem swoje intelektualne zastrzeżenia do bolszewików, trochę poddałem się nastrojom naszego kochanego społeczeństwa, a trochę uległem tchórzostwu, ot i tak pewnego dnia znalazłem się w oddziale. A dalej to już zwykle³⁰.

²⁶ T. Konwicki, *Rojsty* [2010], s. 285.

²⁷ W wersji z 1956 r. z fragmentu powieści, gdzie mowa o krzyżu powstańczym zabrakło odnarratorskiego wskazania na poczucie więzi z tradycją 1863 r. Zob. zestawienie cytatów nr 55.

²⁸ Zob. A. Mickiewicz, *Do Niemna*, w: tegoż, *Dzieła wszystkie*, t. 1, cz. 2, oprac. Cz. Zgorzelski, Wrocław... 1972, s. 8.

²⁹ T. Konwicki, *Rojsty* [1956], s. 45.

³⁰ T. Konwicki, *Rojsty* [2010], s. 284.

W scenie omawianej rozwiewają się podejrzenia – ich również nie ma w wydaniu z 1956 roku – jakie bohater żywił wobec Bonzy, domyślając się w nim wtyczki NKWD (zestawienie cytatów nr 19). Finałowa rozmowa ekspartyzantów pokazuje zbliżenie stanowisk Bonzy, zakamuflowanego lewicowca, i Żubra – do niedawna żarliwego zwolennika oporu „do ostatka”, a co do opcji politycznej partyzanta o skłonnościach endeckich. W świetle ostatniej sceny zrozumiały też staje się ton narracji, prowadzonej z dystansu, bezlitosnej dla złudzeń i patriotycznych wmówień. Z ostatniej sceny wynika, że ów ton przejął narrator właśnie od Bonzy jako swego nowego mentora i że spogląda już na partyzantkę z pozycji lewicowych. Usunięcie ostatniego rozdziału likwiduje przejście od cynizmu do lewicowości, tym samym zaś przemiana postawy bohatera i narratora zarazem sprowadza się wyłącznie do deziluzji, która nakazuje mu szydzić z własnych złudzeń.

W wersji opublikowanej w 1956 roku Żubr wychodzi z lasu na drogę do Wilna – tak się powieść kończy – w stanie skrajnego zagubienia, konfrontując się od razu z dobrotliwym bolszewikiem, na widok którego reaguje najpierw przerażeniem, potem konsternacją. Czytelnik zostawał więc z pytaniem, co dalej. Czy ekspartyzant znajdzie swoje miejsce w powojennej rzeczywistości? Czy jego przyszłość zależy wyłącznie od humoru nowej sowieckiej władzy? Zakończona rozdziałem XVIII wersja brulionowa nie skłaniała do obaw o los bohatera, raczej wskazywała jemu podobnym wyjście z leśnego labiryntu ku przyszłości: za błędy partyzanckiej młodości należało obwinić zapał czy terror patriotyczny. W wersji niepublikowanej powieść mówiła więc nie tylko o absurdzie schyłkowej fazy partyzantki niepodległościowej, lecz instruowała, jak z niego wyjść. Wielu akowców drogę taką odbyło, zaliczał się do nich również Konwicki.

VI. „Litwini”. Okoliczności powojennych debiutów

Narodów tych było w Rzeczypospolitej trzy – litewski, polski oraz ruski (porządek alfabetyczny jest wskazany, aby nikogo nie urazić)
(P. Jasienica, *Polska anarchia*)

Poręcznie będzie zacząć od wyjaśnienia, kim są „Litwini” (Litwini w cudzysłowie) oraz z jakiego powodu i w jakim celu należałoby, jak mi się wydaje, wyodrębnić tę kategorię pisarzy PRL-owskich. Zastanawiając się, jak nazwać pisarskie grono, któremu chciałabym poświęcić swoje rozważania, brałam pod uwagę jeszcze inną ewentualność: wilnianie. Sugerowałam się uwagą zanotowaną przez Pawła Jasienicę: „Stefan Kisielewski napisał kiedyś w felietonie: <Wilnian teraz wszędzie pełno, nadają ton>.”¹ Dalej zaś komentował:

Nie potrafię udowodnić, że to zdanie naprawdę powstało, bo je cenzura skonfiskowała, proszę więc wierzyć mi na słowo. Wilnianie rzeczywiście dawali znać o sobie zarówno w rządzie, jak w lesie oraz w ogniwach pośrednich – w dyplomacji, w krajowej opozycji legalnej i na emigracji².

¹ P. Jasienica, *Pamiętnik*, wstęp i zakończenie W. Bartoszewski, Warszawa 2007, s. 154.

² Tamże. Jako „wilnianina” postrzegał Jasienicę Leopold Tyrmand, *Dziennik 1954. Wersja*

Nie mogło ich zabraknąć również wśród literatów.

Jeśli zdecydowałam się na „Litwinów”³, to dlatego m.in., że Tadeusz Konwicki, który jest w obrębie tej kategorii postacią najbardziej ekspansywną, wprost nazywa siebie w ten właśnie sposób, aczkolwiek – co ważne – nie bez przekąsu i z pewną dozą prowokacji. W ostatnim z tekstów zebranych w zbiorze *Wiatr i pył* napisał: „Czasem słyszę ukradkiem, jak ktoś o mnie mówi: chytry Litwin, ktoś inny powiada: on jest trochę kopnięty w mózdzek, a jeszcze z boku dorzuca: to przecież emigrant”⁴. Niby to powtarzając za innymi opinię o swojej „litewskości” pisarz uchyla się przed ewentualnością pytania, czy istotnie uważa się za „Litwina” w jakimkolwiek sensie. Jest nim w oczach innych – i to rozstrzyga o jego publicznej tożsamości. Oczywiście skądinąd wiadomo, że dał ku temu liczne powody. Nie pierwszy raz przecież pozwolił sobie na manifestację „litewskości” utrzymaną w podobnym duchu. W swoich wypowiedziach gawędowych nieraz korzystał z okazji, by się samemu wyzwąć od „chytrych Litwinów”, co po części wynikało z samej tradycji gatunku, który wszak „litewskość” ma zapisaną w kodzie genetycznym. Chytrze też ją wykorzystał, wchodząc w twórcze związki z wielkimi „Litwinami” – Adamem Mickiewiczem i Czesławem Miłoszem⁵. W zestawieniu z tamtymi jednak dobitniej się rysuje również swoistość jego „litewskości” – przez niego samego traktowanej z dystansem,

oryginalna, Kraków 2011, s. 335. Fragment ten cytowałam w rozdziale o Jasienicy. W jego *Pamiętniku* znajduję natomiast takie wyznanie: „Wolno mi powtórzyć za Stanisławem Mackiewiczem: <Urodziłem się jako Polak, szlachcic litewski, i miłości Wilna nikt nie wyrwie z mego serca>. Ale to jest moja prywatna, niepolityczna, sprawa, sentyment starego człowieka”. P. Jasienica, dz. cyt., s. 93. Małgorzata Szejnert pisała o „kolonii wileńskiej”: „Historyk sztuki Maryla Poprzęcka opowiada mi o małej kolonii wileńskiej w Warszawie, grupie osób, które trzymają się razem i razem starzeją. Wszyscy urodzili się i wychowali w tym samym mieście, do którego ciągle tęsknią, i chcą spoczywać koło siebie”. M. Szejnert, *Śród żywych duchów*, Kraków 2012, s. 51.

³ O pisarzach „litewskich” na emigracji pisała Nina Taylor na łamach „Kultury” paryskiej, tłumacząc, że jest to litewskość „urzędowa i historyczna” nie zaś etniczna. N. Taylor, *Dziedzictwo Wielkiego Księstwa Litewskiego, w literaturze emigracyjnej*, „Kultura”, Paryż, 1986, nr 10, s. 125.

⁴ T. Konwicki, *Wiatr i pył*, Warszawa 2008, s. 242. Recenzja tej książki pióra Pauliny Małochleb w „Dekadzie Literackiej” nosi tytuł *Chytry Litwin i stateczny Europejczyk*. „Dekada Literacka” 2009, nr 1-2. Z kolei recenzja *W pośpiechu* na łamach „Tygodnika Powszechnego” została zatytułowana *Szanowny doktor i chytry Litwin*.

⁵ Budowaniu owych więzi służyły zwłaszcza dzieła filmowe: *Dolina Issy* (1982) i *Lawa* (1989). O nieurzeczywistnionym spotkaniu z Miłoszem w Ameryce, zob. T. Konwicki, *Kalendarz i klepsydra*, Warszawa 1982, s. 164-165.

ironizowanej, pokracznej, przekornej. W *Kalendarzu i klepsydry* (1976), kiedy opowiada o znajomości ze Stanisławem Dygatem i nieskuteczności jego „destrukcyjnego” oddziaływania na siebie, relacjonuje: „[...] już znowu stałem na równych nogach z przepraszającym, lisim uśmiechem fałszywego Litwina”⁶. „Fałszywy” jest tu zapewne synonimem „chytrego”, ale uaktywniają się również znaczenia zbliżone: „udawany”, „nieautentyczny”. Litwin przefiltrowany przez lekturę Gombrowicza⁷, ambiwalentny w swoim jej traktowaniu, czerpiący przyjemność z odgrywania spektaklu samoponizenia.

Drugi powód, dla którego dałam pierwszeństwo „Litwinom” nad wilnianami, ma związek z tradycjami Wielkiego Księstwa Litewskiego, oczywistymi w odniesieniu do litewskich gigantów Mickiewicza i Miłosza, lecz dającymi o sobie znać również w twórczości i biografii pisarzy PRL-owskich⁸. Antoni Gołubiew, by zacząć od przykładu, który przypadkiem wpadł mi w ręce, w opowiadaniu *Ruskie bliny* z tomu *Spotkanie na Świętokrzyskiej* rozciągnął horyzont historyczny aż do upadku Rzeczypospolitej Obojga Narodów:

I można by powiedzieć, że odkąd trzeci rozbiór zakończył byt Wielkiego Księstwa, kształt życia na tej ziemi zachował się mniej więcej taki sam i ludzie byli tacy sami, i obyczaj, tak samo woda obracała młyńskie koła w Podśniegianach, w Wilkiszkach, na Mereczance i Żejmianie, żarna powoli tarły ziarno na razówkę, przed młynem czekał rząd furmanek i konie zaprzężone w dyhę, chłopci w kozuchach wchodzili po trzeszczących schodkach i przynosili młynarzowi kwaterkę jako należny poczęstunek i uświęconą przez obyczaj daninę. No, można było oczywiście i bez wódki, ale z wódką – wiadomo – i zgrabniej,

⁶ Tamże, s. 94. Albo potracając o kompleks niższości, na który jego zdaniem cierpią wszyscy w „dorzeczu Wisły”: „nikt z nas nie pamięta dawnej Rzeczypospolitej obojga albo trojga narodów” (s. 113). Wszelako pamięta jeszcze, że nie pamięta. Dystansować się nie zawsze musi znaczyć – odrzucać.

⁷ Odniesienia Konwickiego do Gombrowicza analizował M. Bielecki, *Niebezpieczne związki, czyli romans Tadeusza Konwickiego z Witoldem Gombrowiczem*, „Pamiętnik Literacki” 2007, z. 3.

⁸ O kategorii tej myślę do pewnego stopnia przez analogię do pisarzy polsko-żydowskich. To z jednej strony. Z drugiej zaś nawiązuję do specyfikacji, które obowiązywały w syntezach historycznoliterackich powstających w XIX w. i odnoszących się do ówczesnej literatury. Rozróżniano wtedy pisarzy polsko-litewskich, polsko-ukraińskich. Jako przykład takiej syntezy mogą posłużyć *Dzieje literatury polskiej* Leonarda Sowińskiego.

i poręczniej. Tak trwało. Ojcowie się starzeli, stawali się dziadami, aż w końcu odwożeni byli na mogilnik, synowie po dawnemu jeździli w sankach lub w drabinkach obrośniętymi z obu stron przez brzozy piaszczystymi traktami – od Wilna na Święciany, od Lidy do Olkiennik lub Oszmiany, poprzez Puszcę Rudnicką albo Brasławskie Pojezierze – strzegąc się jednak, by nie przekroczyć rodzimej tutejszości⁹.

Mieszcząca się w ciasnych granicach „tutejszość” za sprawą odnarratorskiego komentarza pozostała częścią Wielkiego Księstwa Litewskiego, wciąż pamiętanego, chociaż od dawna wymazanego z mapy politycznej Europy.

Konwicki z kolei, zadziwiony *Rozmowami polskimi latem roku 1983* Jarosława Marka Rymkiewicza, w *Nowym Świecie i okolicach* (1984) ironicznie witał „nowego rodaka”, „młodsze Litwina”, dając mu, werbalnym gestem przypominającym nieco szcudrość pana Zagłoby, cały obszar powiatu oszmiańskiego „od Dźwiny po Siemiatycze”¹⁰, część „dawnej Litwy” obejmującej ziemie „od Wołynia po Kurlandię”¹¹. Pokrętnie, bo pokrętnie przyznawał się więc do spadkobierstwa po „wielkiej” Litwie. Byłaby więc to „Litwinów”, o których piszę, cecha wspólna – poczucie związku nie tylko z małą (np. z Wilnem), lecz z „wielką”, tyle że już nie istniejącą jako państwo, ojczyzną.

Do kategorii omawianej nie włączam nikogo wbrew jego woli. Każdy z zaliczonych w ten poczet musiał dać ku temu powód swoją twórczością oraz poprzez inne publiczne wypowiedzi, świadczące o związkach z krajem pochodzenia, któremu kres położyła II wojna światowa. Rozstrzygającym może argumentem na rzecz „Litwinów” przeciw „wilnianom” jest to, że manifestowanie „litewkości” w mniejszym stopniu narażało na ingerencje cenzury niż przyznawanie się do związków z Wilnem. Od czasów tużpowojennych Wilno w połączeniu ze Lwowem zrosło się na dobre z propagandowymi hasłami opozycji antykomunistycznej domagającej się zwrotu „polskich miast”¹². Na emigracji Stanisław Cat-Mackiewicz protestując

⁹ A. Gołubiew, *Ruskie bliny*, w: tegoż, *Spotkanie na Świętokrzyskiej*, Warszawa 1975, s. 8.

¹⁰ *Rozmowy* Rymkiewicza ukazały się w drugim obiegu, *Nowym Światem* z kolei Konwicki wracał do obiegu oficjalnego, łamiąc z aprobatą cenzury zakaz pisanie o cenzurze – uczynił bowiem cenzora swoim czytelnikiem.

¹¹ T. Konwicki, *Nowy Świat i okolice*, Warszawa 1986, s. 195.

¹² Na temat cenzury wobec Lwowa zob. A.W. Kaczorowski, *Lwów niecenzuralny (na przykładzie*

przeciw ustaleniom jałtańskim redagował pismo „Lwów i Wilno”. PRL-owskim „Litwinom” rewizjonizm nie chodził po głowie. W tej sprawie zgadzali się z innym emigracyjnym „Litwinem” – Jerzym Giedroyciem.

„Litewskość” jako element tożsamości publicznej pisarzy PRL-owskich jest zagadnieniem obszernym. Tym razem poprzestanę na oświetleniu trzech zaledwie sylwetek pisarskich: Tadeusza Konwickiego, Pawła Jasienicy i Eugeniusza Paukszty, ograniczając się do początkowego okresu ich karier, kiedy to próbowali się zainstalować w Polsce pojałtańskiej. Nie będzie moją intencją dochodzenie jakichś głębokich powinowactw między wymienionymi „Litwinami”. Nie widzę powodu, żeby sprowadzać ich biografii do jednego modelu ani tym bardziej doszukiwać się w twórczości wymienionych autorów plemiennej mistyki „krwi i ziemi”. „Litewskość” w ujęciu przeze mnie proponowanym stanowi tylko jeden z parametrów ich losów i literackiego dorobku. Podkreślam ową „litewskość” jako rys najpierw biograficzny, nie traktując jej wszelako niczym wyroku: każdy z omawianych pisarzy w większym lub mniejszym stopniu rozgrywał ją publicznie. I właśnie dlatego chcę im się przyjrzeć od tej strony.

Pisarze, których wymieniłam, nie są „Litwinami” w jednakowym sensie. Konwicki (rocznik 1926) i Paukszta (rocznik 1916) – z urodzenia i przez rodzinne korzenie. Jasienica, a właściwie Lech Beynar (rocznik 1909), przyszedł na świat w Rosji (Symbirsk), lecz swoje pochodzenie mimo to wiązał z terytorium dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego¹³. W odróżnieniu od tamtych dwóch poznał Wilno i Wileńszczyznę bliżej dopiero w czasie studiów historycznych i potem pracując już zawodowo w Rozgłośni Polskiego Radia; za to najwięcej spośród całej trójki zawdzięczał atmosferze intelektualnej miasta. Paukszta również studiował w Wilnie, na Wydziale Prawa, fakultetu jednak nie ukończył. Konwicki przed wojną zaczął naukę w renomowanym Gimnazjum im. Zygmunta Augusta.

twórczości Witolda Szlogini) w: *Literatura w granicach prawa (XIX-XX)*, red. K. Budrowska, E. Dąbrowicz, M. Lul, Warszawa 2013, s. 309-325.

¹³ W *Pamiętniku*, opisując drogę ucieczki jego rodziny z Rosji do Polski, Jasienica zauważał: „Nie było sensu jechać w pradziadowskie strony, na prawy brzeg Dźwiny. Wiadomo jednak powszechnie, że każdy człowiek, którego rodzina wywodziła się z Wielkiego Księstwa Litewskiego aż po drugą wojnę światową włącznie, uważany był w Wilnie za swojego”. P. Jasienica, dz. cyt., s. 80.

W odniesieniu do twórczości eseistyczno-historycznej Jasienicy zasadne byłoby pytanie o intelektualne inspiracje przejęte jeszcze z humanistyki wileńskiej, z klimatu ówczesnych dyskusji środowiskowych. Na Uniwersytecie im. Stefana Batorego wykładało wtedy co najmniej kilku nietuzinkowych historyków¹⁴. W utworach Konwickiego i Paukszty natomiast Wileńszczyzna zapisała się intensywniej swoimi krajobrazami: jeziorami, rojstami, kolorytem społecznym. O ile jednak Konwicki w swoich dziełach uporczywie krążył wokół doliny Wilenki, porzucał ją, wracał i znów porzucał, to Paukszta znalazł dla tamtejszych krajobrazów ekwiwalent mieszczący się w nowych granicach Polski – Warmię i Mazury.

Nim trzech wymienieni autorzy zaczęli współtworzyć literaturę PRL-u, musieli wprawdzie do Polski dotrzeć. Znaleźli się wśród ludzi, którzy wyruszyli ku zachodowi w związku z wytyczaniem nowych granic państwowych w Europie Środkowo-Wschodniej i narodową homogenizacją Polski. Owi „Litwini” zatem, nim zaistnieli jako pisarze, byli anonimowymi „repatriantami”, bu posłużyć się oficjalną nomenklaturą, przybyszami „zza Buga”, równocześnie zaś uczestnikami wielkiej wędrówki ludów schyłku wojny i początku nowej epoki. Mogli się łatwo zgubić wśród milionowych mas ludzkich przemierzających powojenne gruzowisko w różnych kierunkach.

Repatrianci zza Buga, zdefiniowani jako powracający do kraju, w istocie swój kraj opuszczali. Przy czym musieli go opuścić (choć formalnie rzecz biorąc wyjeżdżali dobrowolnie¹⁵) w wymiarze fizycznym i mentalnym. Nowa epoka wymagała od nich, by wszystko zaczęli od zera. W ich interesie leżała amnezja z postanowienia, obejmująca zarówno strony rodzinne, które znalazły się w granicach innego państwa, jak też doświadczenia wojenno-okupacyjne, bo odnosiły się nie tylko do okupacji niemieckiej, lecz i sowieckiej. Przyjeżdżali „zza Buga”, czyli znikąd. Wyłaniali się niczym z mgły. Amnezja boharera *Wniebowstąpienia* (1967) Konwickiego może tu mieć swoje głębokie, pozafabularne, źródło.

¹⁴ Jasienica wspominał wykłady Mariana Zdziechowskiego jako pouczającą lekcję odwagi w głoszeniu poglądów sprzecznych z promowaną przez obóz rządzący wizją historii najnowszej: „Wobec tłumu studentów kwestionuje mity wylęgte w okopach, ucząc ich zarazem, że uczciwy intelektualista może mówić tylko to, co sam myśli”. Pisał też o Feliksie Konecznym, Teofilu Modelskim, Stefanie Kościółkowskim. Tamże, s. 141-147.

¹⁵ Zob. *Przesiedlenie ludności polskiej z Kresów Wschodnich do Polski 1944-1947*, red. St. Ciesielski, Warszawa 1999.

Dla będących obiektem moich rozważań „Litwinów” nie jest okolicznością błahą, że znaleźli się w Polsce jako ludzie bez nazwisk¹⁶. Nie należeli do tych, którymi się interesowano publicznie, czy przeżyli wojnę, gdzie przebywają aktualnie¹⁷. Nie mieli też bagażu – kapitału? – doświadczeń, który zagospodarowany literacko, pozwoliłby im się włączyć do narodowego rozpamiętywania lat wojny i okupacji. Wszyscy trzej bowiem nie dość, że pochodzili z części świata, o której powinni byli czym prędzej zapomnieć, to uczestniczyli w akowskiej partyzantce na Wileńszczyźnie, walczącej jak wiadomo najpierw z Niemcami, potem z Armią Czerwoną.

To, w jaki sposób pisarze-„Litwini” mimo wszystko sięgali do swoich źle widzianych doświadczeń, jest kwestią złożoną. W każdym razie mieli do swojej przeszłości dostęp na wielu płaszczyznach utrudniony właśnie dlatego, że pochodzili z „Litwy”. Embargo na wspomnienia przywiezione zza linii Curzona, zwłaszcza w formie literacko nieprzetworzonej, ale także na utwory wokół nich osnute, z pewnością silnie naznaczyły ich pisarską drogę.

Również wybory ideologiczne czy polityczne „Litwinów” wiązały się ze statusem przesiedleńców czy raczej uciekinierów. Opuszczając swoje strony rodzinne tracili wszak oparcie w związkach rodzinnych (w tamtych stronach niezwykle silnych, celebrowanych i zobowiązujących)¹⁸, sąsiedzkich tudzież środowiskowych. Znajdowali się w sytuacji nieporównywalnej z tymi, którym po zawierusze wojennej dane było jednak wrócić do swojego miasta, wsi czy domu albo wręcz nigdzie dalej nie wyruszyć. Przekonuje o tym chociażby lektura *Dziennika* Jana Józefa Szczepańskiego (rocznik 1919), który szukał swego miejsca w powojennej Polsce mając w życiorysie akowską partyzantkę, co jak wiadomo nie najlepiej wróżyło, ale też solidne zaplecze rodzinno-środowiskowe i przystań domową w Kasince Małej, gdzie mieszkała jego matka. Przywołuję Szczepańskiego nie na chybił trafił, lecz dlatego że w 1947 roku opublikował opowiadanie *Buty*, na wiele sposobów skłaniające do zestawienia z *Rojstami* Konwickiego,

¹⁶ Lech Beynar opublikował w 1939 r. dwie prace historyczne „w dodatku do dziennika urzędowego kuratorium jako pomoc dla nauczycieli na Wileńszczyźnie i Nowogródzczyźnie”. E. Beynar-Czczott, *Mój ojciec Paweł Jasienica*, wstęp W. Bartoszewski, Warszawa 2006, s. 32.

¹⁷ W prasie pojawiła się na przykład nieprawdziwa informacja o śmierci Gałczyńskiego.

¹⁸ O specyfice związków rodzinnych na Litwie zob. T. Konwicki, *Nowy Świat i okolice*, Warszawa 1986, s. 23-30.

napisanymi tego samego roku, zatrzymanymi jednak przez cenzurę i wydanymi dopiero na fali „odwilży”.

Partyzantka stanowi jedno z tych węzłowych zagadnień, które trzech wskazanych „Litwinów” łączy. Nie mieli się czym chwalić i to nawet wtedy, kiedy z AK zdjęto odium „zaplutyh karłów reakcji”. Uczestnictwo w walkach na Wileńszczyźnie stygmatyzowało w sposób w PRL-u nieprzedawniony. Po przybyszach z Wileńszczyzny można się było spodziewać, że przekraczając granicę w 1945 roku, z miejsca zasilą szeregi oponentów władzy ludowej. Kto zaś z wileńsko-akowską przeszłością w życiorysie wybierał stronę przeciwną, zapewne gorliwiej niż inni musiał manifestować czynną aprobatę dla nowego porządku. Każdy z trzech przyszłych pisarzy inną drogą wychodził z podziemia, inny też zdał rachunek z uczestnictwa w partyzantce – w życiu i twórczości.

Konwicki brał udział w walkach o Wilno służąc w Ósmej Brygadzie AK, zwanej Oszmiańską, a potem do końca kwietnia 1945 roku w partyzantce antysowieckiej. Na początku maja razem z kilkoma kolegami, zaopatrzone w fałszywe dokumenty, wsiadł do pociągu repatriacyjnego. W Polsce miał nawiązać kontakt z podziemiem¹⁹. Trafił do Białegostoku²⁰, który był punktem kontaktowym między Wilnem a innymi ośrodkami w kraju. Nie zdecydował się jednak wrócić do lasu²¹. Gdyby postanowił

¹⁹ Jerzy Kułak pisał: „wczesną wiosną 1945 r. mjr <Łupaszka> przystąpił do ponownej organizacji 5 Wileńskiej Brygady AK. Zasilali ją stopniowo napływający żołnierze wileńskiej AK, ci którzy przedarli się tu przez graniczny kordon sowieckich wojsk ochrony pogranicza z bronią w ręku albo posługując się sfalszowanymi dokumentami przyjechali jako repatrianci, dezertjerzy z wojska >>berlingowskiego<< i wreszcie ochotnicy z białostockich wsi”. J. Kułak, *Rozstrzelany rozdział. Monografia 3 Wileńskiej Brygady NZW – Białostoczczyzna 1945-1946*, Białystok 2007, s. 108.

²⁰ W *Kalendarzu i klepsydrze* nie pisał o Białymstoku, lecz o „kontakcie” warszawskim.

²¹ W artykule Anny Bikont i Joanny Szczęsnej droga do Polski Konwickiego tak została przedstawiona: „Dojechali do Białegostoku i tam ich zastał po kilku dniach koczowania koniec wojny. Żołnierze sowieccy strzelali na ulicach na wiwat, śpiewali, całowali się. >>My przegraliśmy swoją wojnę<< - odtwarzał wiele lat później swój stan umysłu Konwicki. Wtedy jednak on i jego koledzy mieli nadzieję, że panowanie sowieckie musi potrwać krótko, bo alianci szybko zwrócą się przeciw Rosji. Rozłączyli się, Konwicki pojechał do Krakowa, stamtąd do Gliwic, gdzie przez krótką chwilę był urzędnikiem”. I jeszcze o samym momencie decyzji, żeby zerwać z partyzantką: „Kiedy jechałem z Wilna do Polski, miałem adresy, kontakty do partyzantki – opowiadał nam. – Tymczasem zobaczyłem zupełnie inny świat. Wśród młodych ludzi był wtedy straszliwy głód życia. Był wtedy wyż moralny, nastrój, że można świat odmienić. Żyłem w ekosferze moralnej, w atmosferze napięcia. Dlatego łatwo mi było przyjąć tę propozycję lepszego urządzenia świata, jaką niósł marksizm. Jeszcze przy przekonaniu, że głupi świat doprowadził do wojennej hekatombi.

inaczej, przystałby może do oddziału majora „Łupaszki”, gdzie spotkałby się z „Nowiną” czyli Lechem Beynarem. Rezygnując z kontynuowania walki, udał się szlakiem repatriacyjnym do Gliwic – na Ziemię Odzyskaną. Z partyzantką zdecydowanie się rozstał, co próbował też zmanifestować pisarsko. W 1947 roku w piśmie „Nurt”, redagowanym przez Tadeusza Borowskiego, ukazało się pacyfistyczne w wymowie opowiadanie *Kapral Koziółek i ja* (przedrukowane niedawno w zbiorze *Wiatr i pył*). Pisał w nim młody autor o rozstrzelaniu jeńca niemieckiego, które przypało w udziale partyzantowi-poecie. W tym samym roku 1947 powstała również jego debiutancka powieść *Rojsty*. Nie pomogło jednak autorowi, że przedstawił w niej wileńską partyzantkę jako gromadę po części zagubionych, po części zdemoralizowanych młodych ludzi, najpierw wyciągniętych do lasu patriotyczną propagandą w duchu nacjonalistycznym, potem zaś bezlitośnie wywiezionych na manowce przez politykę Londynu. Sam temat, niezależnie od jego oświetlenia, okazał się niecenzuralny.

Ponieważ *Rojsty* musiały na druk poczekać jeszcze długo, Konwicki nie zadebiutował jako Polak z kresów, partyzancki niedobitek po katastrofie złudzeń niepodległościowych. Jego pierwsza książkowa autoprezentacja była zupełnie inna: oto objawił się młody i dziarski budowniczy nowej Polski. W roku 1950, a więc po długim okresie ideologicznego dojrzewania, wyszła spod prasy socrealistyczna powieść *Przy budowie*, która zapewniła Konwickiemu miejsce w czołówce pisarzy promujących nową estetykę. *Rojsty* zdefiniowałyby go jako reprezentanta ostatniego pokolenia Polski przedwojennej. Publikacją utworu o tematyce nowohuckiej stawał w awangardzie przemian powojennych.

Do skazanej na zapomnienie w latach stalinowskich przeszłości Konwicki zdecydował się przyznać wraz z nadejściem „odwilży”. *Rojsty* wydrukowano w 1956 roku. Autor nie tylko jednak opróżnił tym sposobem szufladę, lecz zerwał tamę dla pamięci i wyobraźni. Od publikacji *Rojstów* bowiem można mówić o powrotach do tematyki wileńskiej, mniej i bardziej jawnych. W 1959 opublikował *Dziurę w niebie* – wyprawę do krainy dzieciństwa. Wydany w 1963 roku *Sennik współczesny* można by zaś interpretować

Mnie się wydawało, że receptą na wydobywanie się z tej całej katastrofy, również moralnej, jest utopia socjalistyczna”. A. Bikont, J. Szczęsna, *Konwicki: kronika wypadków literackich*, <http://wyborcza.pl/1,75475,3438695.html> [dostęp 19.11.2016].

jako przedłużenie *Rojstów*, a zarazem ich głęboką, zabarwioną poczuciem winy, rewizję. Podobnie jak w *Rojstach* również w *Senniku* splatają się ze sobą dwa problemy istotne tyleż dla autoidentyfikacji pisarza, ile dla świadomości zbiorowej: partyzantka oraz repatriacja.

Konwicki na dobrą sprawę powinien dziękować losowi albo też wprost cenzorowi za opóźnienie debiutu książkowego²². Ponieważ w *Rojstach* autor potraktował partyzantkę, którą znał z własnego doświadczenia, nader krytycznie, można by w nich widzieć symboliczne zamknięcie leśnego etapu w jego życiu. Perspektywa biograficzna nie wyczerpuje jednak wszystkiego. Pisarz pracował wszak nad rozrachunkiem z partyzantką w czasie, kiedy nie był to temat w żadnym razie zamknięty. W 1946 roku wykonano wiele wyroków na „bandytów” z oddziałów partyzanckich walczących na Białostocczyźnie. Podobnie w roku 1947. Wyroki zapadały m.in. w białostockich procesach pokazowych, odbywających się w budynku, gdzie jeszcze niedawno mieściło się kino. W 1947 roku ogłoszono ustawę amnestyjną, ale walki nie wszędzie wygasły. Również dlatego, że amnestia służyła Urzędowi Bezpieczeństwa do pozyskiwania informacji o tych bardziej opornych wobec władzy ludowej. Jeszcze w dniach 19-27 września 1949 roku toczył się proces pokazowy przeciwko kapitanowi Rajsowi „Buremu” i podporucznikowi Chmielowskiemu, „Rekinowi”. Wyroki wykonano 30 grudnia 1949 roku i 1 kwietnia 1950 roku. Wspominam o tych akurat żołnierzach wyklętych, jak się o nich od niedawna mówi, dlatego że na Białostocczyznę przedostali się z Wileńszczyzny²³. Oglądane w przywołanym kontekście *Rojsty* odnosiły się zatem nie tylko do przeszłości znanej Konwickiemu z autopsji, ale też stanowiły jednoznaczny w swej antypartyzanckiej wymowie komentarz do wydarzeń bieżących. Ponieważ autor pokazywał oddział partyzanckich niedobitków od środka (narracja w pierwszej osobie), powieść wyglądała na amnestyjne przyznanie się do winy, będące zarazem aktem oskarżenia wobec niedawnych towarzyszy broni. W rozdziale, który okazał się niecenzuralny również w roku 1956, czytamy:

²² Przemysław Czapliński stwierdzał, że gdyby *Rojsty* ukazały się w roku 1948, zostałyby uznane za utwór wręcz probolszewicki. P. Czapliński, *Tadeusz Konwicki*, Poznań 1994, s. 21.

²³ O ich losach między innymi pisał Jerzy Kułak, dz. cyt.

Pod darnią leżeli znani dobrze koledzy: tylko nie było tych, którzy z nas tworzyli pretoriańską gwardię. Z Londynu posyłali nam przejmujące dźwięki chorału i otuchę do dalszej walki jak całusy zza szyby²⁴.

Dariusz Skórczewski w najnowszej interpretacji *Rojstów* dowodził, że pierwsza powieść Konwickiego służyła kompromitacji oporu przeciw obcej kolonizacji.

Obraz polskich oficerów i niższych rangą żołnierzy, przedłożony w utworze, w istocie zabezpiecza i reprezentuje sowieckie interesy, jednocześnie ukazując polskie aspiracje do samostanowienia jako kompromitujące i żalosne²⁵.

Zarazem jednak badacz, wysuwając tak obciążającą dla pisarza tezę, ku zdziwieniu czytelnika, nie pociągał go do osobistej odpowiedzialności za dzieło, będące

[...] zapisem procesu dochodzenia w naszej literaturze do głosu pewnych wątków myślowych i intuicji, jakie tętnią w kulturze każdej podporządkowanej populacji, a które znajdują artykulację w wypowiedziach niektórych przedstawicieli czy grup skolonizowanych elit²⁶.

Jako „przedstawiciel skolonizowanej elity” Konwicki po prostu nie mógł pisać inaczej. Takie podejście metodologiczne przynieść może zapewne ciekawe spostrzeżenia, ale jego mankament polega na tym, że pokazując bieg rzeczy w optyce odwróconej lunety uchyla się od

²⁴ T. Konwicki, *Rojsty*, w: tegoż, *Pamflet na siebie. Rojsty*, Warszawa 2010, s. 184.

²⁵ D. Skórczewski, „Paliaki, charoszyje chłopcy”, czyli postkolonialne spojrzenie na „Rojsty” Tadeusza Konwickiego, w: tegoż, *Teoria – literatura – dyskurs. Pejzaż postkolonialny*, Lublin 2013, s. 303-304.

²⁶ Tamże, s. 305. Oto lista owych symptomów podporządkowania: „strach przed obcą dominacją, przeradzający się w dobrowolne podporządkowanie; osvajanie Innego albo raczej osvajanie się z groźnym, złowieszczym Innym; (re)definiowanie własnej tożsamości poprzez uznanie niższości podporządkowanej prowincji wobec metropolii, czyli de facto utrata bądź nadwątlenie tożsamości; w konsekwencji zaś – postrzeganie swoich kulturowych zobowiązań w kategoriach dostarczania uzasadnień dla obcej hegemonii i własnego podporządkowania, czyli dla dominacji <za zgodą>”. Tamże.

rozważenia całej dramaturgii indywidualnych wyborów, dokonywanych w sytuacji radykalnej zmiany historycznej i zapoznaje wszelkie niuanse w postawach owej „podporządkowanej populacji”. Pisząc *Rojsty* Konwicki nie należał jeszcze do elity, co najwyżej do niej aspirował. Debiutancka powieść miała być jego przepustką do świata pisarskiego nowej Polski, ale też pierwszą bardziej widoczną autoprezentacją. Przedstawiając *Rojsty* jako produkt świadomości skolonizowanej czy utwór zgodny z linią władzy komunistycznej, warto uznać ryzyko, czające się za decyzją Konwickiego, żeby pokazać się publicznie jako ktoś z za wschodniej granicy, jako wilnianin – „Litwin”.

Z tego punktu widzenia ważna jest scena powieści rozgrywająca się nad brzegiem Wilenki, skąd widać „cmentarzyk” uczestników walki o Wilno, ze wspomnianego już rozdziału wyciętego przez cenzurę w latach 50. O poległych rozmawiają dwaj ich koledzy pozostali przy życiu, ubolewając nad daremnymi ofiarami. Jeśliby tę scenę interpretować na korzyść Konwickiego, można by docenić, że przy okazji składania daniny nowej władzy, podejmuje próbę upamiętnienia walki o Wilno, stara się podtrzymać wspomnienie o świecie polskim za linią Curzona. Jan Kułak, autor monografii o losach *3 Wileńskiej Brygady NZW* wymienia *Rojsty* jako jedyny utwór literacki poświęcony wileńskiemu AK²⁷.

W gruncie rzeczy jednak bronić powieści przed jej późniejszym surowym krytykiem nie jest łatwo, bo *Rojsty* mówią o tym, jak nieodwołalnie kończy się polska obecność na Litwie. Główny bohater – „Żubr” w rozmowie o szansach zbrojnego oporu wyraża pogląd, że na wieś liczyć nie można: „o dwadzieścia kilometrów od miasta nikt nie mówi po polsku”²⁸. Na co słyszy – a my wraz z nim –

Chamstwo będziemy trzymać za mordę. Mój ojciec miał klucz majątków pod Mińskiem przed dwudziestym rokiem. Wiecie, kolego, jak tam było? Polak od Polaka był o dziesięć kilometrów. I ojciec dawał radę, a jakże [...]²⁹.

²⁷ J. Kułak, dz. cyt., s. 9.

²⁸ T. Konwicki, *Rojsty*, s. 154.

²⁹ Tamże.

Polacy są na Litwie elementem napływowym, któremu jak wszystko na to wskazuje, nie powiodła się misja cywilizacyjna. Na nic się zdadzą przechwałki jednego z konspiratorów: „Kultura nasza wywarła tu swój wpływ. Myśmy te ziemie kolonizowali od kilkuset lat”³⁰. Chłopka Gregorycha, niepodatna na polskie wpływy, śpiewa „stare białoruskie pieśni rewolucyjne, jeszcze z czasów pańszczyźnianych, kiedy darzył ją miłością młody hrabia Gintowt”³¹.

Pańska Polska dogorywa nieuchronnie, a jej obraz jest zbieżny ze sloganami bolszewickiej propagandy poczynawszy od roku 1920. O wojnie tej wspomina się zresztą w powieści, bo wiąże się z ojcem „Żubra”.

Autor przekonuje w *Rojstach*, że Polaków jest na Litwie mało i coraz mniej. Jedni giną w walce lub od przypadkowych kul wystrzelonych przez kolegów, inni wyjeżdżają. Kiedy „Żubr” wraca do Wilna, nie zastaje już dziewczyny, którą darzył uczuciem. Wyjechała z warszawiakiem, jego przelotnym towarzyszem broni w lesie, kimś o praktyczniejszym od niego stosunku do życia.

Z *Rojstów* wyczytujemy coś więcej niż ironiczno-krytyczne spojrzenie na partyzankę. Można wręcz mówić o postępowaniu likwidacyjnym w sytuacji polskiego bankructwa na Wschodzie. *Rojsty* miały uczestniczyć nie tylko w dobijaniu – symbolicznym i dosłownym – resztek podziemia antykomunistycznego, ale też w uzasadnianiu powojennej utraty ziem wschodnich, raz jeszcze zabranych. Powieść ta jest rodzajem narracyjnego wywodu, przekonującego o konieczności bezwarunkowej rezygnacji z Wileńszczyzny, okolicy anachronicznej w swoim kształcie społecznym, skonfliktowanej narodowościowo, z polskością udrapowaną w XIX-wieczne formy i symbole, sięgające czasów powstania styczniowego, lecz nieskuteczną w działaniu. Nieocenzurowana wersja powieści kończy się dwuzdaniowym akapitem:

Podjąłem lewą ręką [prawa była bezwładna po zranieniu – przyp. E.D.] kamuszek z trawy i niezdarnie cisnąłem w dół. Woda przyjęła go cichym pluskiem, a po gładkiej, zarumienionej tafli przebiegły kręgi drobnych fal i zaraz zgasły³².

³⁰ Tamże, s. 153.

³¹ Tamże, s. 150.

³² Tamże, s. 285.

Chciałoby się dodać: wszystko przepadło niczym kamień w wodę. Wilenka z tego fragmentu na pewno nie jest rzeką „wierną” w znaczeniu Żeromskiego, ani rzeką „domową” jak Niemen z wiersza Mickiewicza. Trudno się też w niej domyśleć „cudu przyrodniczego”, obiektu „czterdziestoletniej wytrwałej adoracji”³³ Konwickiego. Rzeką z ostatniej sceny powieści jest odpychająca, prawie wstrętne: „Zwichrzona, żółta Wilenka, wezbrana wiosennymi wodami, niosła rozdarte krzaki i gnijący mech”³⁴. Nie żal jej będzie za sobą zostawić.

Rojsty zostały napisane nie po to, by podtrzymać więź z Wileńszczyzną, ale żeby się z nią na zawsze rozstać i czym prędzej zapomnieć o szczegółach leśnego „chodzenia”: gwałcie na czternastoletniej Białorusince, egzekucjach jeńców, dobijaniu swoich rannych towarzyszy, odmrożeniach, świerzbie i wszach...

Wracając jeszcze na chwilę do fragmentu książki Skórczewskiego z analizą „spotkania kolonialnego” między Polakami a Rosjanami, pragnę dodać, że „Litwini” przywożą do Polski swoją znajomość Rosjan i „sowietów” daleko bardziej zaawansowaną niż była dostępna Polakom wyzwolonym spod okupacji niemieckiej. I nie jest to wyłącznie następstwo paktu Ribbentrop-Mołotow, ale też przebiegu granic zaborowych. O Rosji przed- i porewolucyjnej można by się niejednego od nich dowiedzieć, gdyby nie zakazy cenzury. Urodzony w Rosji Jasienica swoje wspomnienia stamtąd mógł powierzyć jedynie *Pamiętnikowi*.

Na spotkanie nowej Polsce, podobnie jak Konwicki, przyszedł autor *Polski Jagiellonów* wyszedł z lasu. Kiedy Armia Czerwona wkroczyła na Wileńszczyznę (lipiec 1944), Lech Beynar był sztabowcem Wileńskiego Okręgu AK. O swoim udziale w partyzantce pisał w szkicu autobiograficznym, sporządzonym w reakcji na publiczną rozprawę z jego „bandycką” przeszłością. W zapiskach, wtedy bez żadnych szans na publikację, szkicował przebieg wydarzeń, układających się w scenariusz zupełnie inny aniżeli ten z *Rojstów*. Po aresztowaniu dowódców AK (wśród nich ppłk Aleksandra Krzyżanowskiego – „Wilka”) przez Rosjan w następstwie rzekomego porozumienia dla wspólnej walki z Niemcami, Beynarowi nie pozostało nic innego, jak zostać w partyzantce. Plan przewidywał (zgodnie

³³ T. Konwicki, *Nowy Świat i okolice*, s. 186.

³⁴ T. Konwicki, *Rojsty*, s. 283.

z rozkazem Bora-Komorowskiego) marsz na pomoc Warszawie. Grupa, do której Beynar trafił, nie zdołała się jednak przedrzeć do Polski centralnej. Partyzanci zostali zatrzymani i przetransportowani do Białegostoku, skąd przyszedł pisarz zbiegł, po czym ponownie znalazł się w oddziale akowskim – w „resztkach” V Brygady Wileńskiej AK, dowodzonych przez majora Zygmunta Szendzielarza, „Łupaszkę”. Wnikając w swoje ówczesne motywacje Jasienica nie przyznawał się do fałszywej oceny sytuacji czy do złudzeń żywionych względem sytuacji politycznej w Europie:

Nie wierzyłem ani przez chwilę w wybuch wojny amerykańsko-rosyjskiej. Do wiary w absurdy nie jestem skłonny. Sądziłem, że stanowimy atut polityczny w ręku „polskiego Londynu”, który za cenę rozwiązania naszych oddziałów wytarguje lepsze warunki w nieuchronnym kompromisie³⁵.

Oddalał też oskarżenia o polski fanatyzm nacjonalistyczny:

[...] fakt aresztowania „szesnastu” w Pruszkowie (marzec 1945 r.) utwierdził nas w przekonaniu, iż nie ma dla nas innego miejsca na ziemi niż w lesie. [...] nie spaliłem żadnej wioski białoruskiej ani innej. Szkolenia ideologicznego oddział wcale nie potrzebował. Zastępowały je... wspomnienia³⁶.

Do swojej opowieści włączył argument podyktowany wiedzą historyka: „Każda wojna domowa ma to do siebie, że z czasem staje się coraz bardziej okrutna. Historia nie zna wyjątku od tej reguły”³⁷. Wojna domowa w różnych historycznych odsłonach i zawsze z aluzjami do tej, w której sam uczestniczył, stała się z czasem jednym z koronnych tematów Jasienicy. W tej perspektywie pisał o powstaniu styczniowym (*Biały front, Dwie drogi*), a także o wandejskim we Francji (*Rozważania o wojnie domowej*). I o „kolizji litewskiej” (*Polska anarchia*). Wcześniej jednak – o czym poinformował w *Pamiętniku* – na stronach dziesięciu brulionów próbował ocalić dla pamięci partyzantkę wileńską i wojnę domową na Podlasiu.

³⁵ P. Jasienica, *Fragment życiorysu*, w: *Pamiętnik*, s. 199.

³⁶ Tamże, s. 197-199.

³⁷ Tamże, s. 199.

Zdecydował się jednak spalić świadectwo bezcenne z punktu widzenia historyka, kiedy opuścił więzienie w 1948 roku. Uznał, że nim się jego relacja przyda uczonym, może zostać wykorzystana przez aparat przemocy. O zniszczonych materiałach wspominał, broniąc się przeciw pomówieniom Gomułki, który publicznie zasugerował, że Jasienica wyszedł z więzienia, złożyłwszy obciążające innych zeznania: „Miałbym więc czym wkupić się w łaski UB... gdybym chciał. Żyje człowiek, który zna szczegóły: wie, kiedy ten pamiętnik powstał i jak długo istniał”³⁸.

Swoją partyzancką aktywność zakończył Beynar po tym, jak został ranny z 8 na 9 sierpnia 1945 roku. W autobiografii pisał, że sam Szyndzielarz ułatwił mu wyjście z podziemia, wręczając dokument repatriacyjny i pieniądze na pierwsze potrzeby. Karierę „naziemną” zaczął na początku 1946 roku; w marcu należał już do stałych współpracowników „Tygodnika Powszechnego”. Na łamach pisma od razu przystąpił do potyczki z marksistami, drukując w rocznicowym numerze poświęconym Kościuszcze artykuł *Naczelnika droga do wielkości*. Odbijał bohatera narodowego z rąk „czerwonych”, przedstawiając go jako praktyka idei wolności, realizowanej w zgodzie z głoszonymi hasłami tudzież z uwzględnieniem warunków i potrzeb miejscowych. Wolność – pisał czytelnie mierząc w aktualne nadużycia słowa – nie była „politycznym szyldem maskującym zabory, eksploatację i bandycką grabież, jak to się działo z wyprawami wojennymi rewolucyjnej Francji”³⁹. Insurekcję kościuszkowską charakteryzował więc przez kontrast do rewolucji francuskiej. Różnicę wyczytywał też z haseł. Francuskiej triadzie: wolność – równość – braterstwo, przeciwstawił insurekcyjne zestawienie: wolność – całość – niepodległość. Kościuszko jak najdalszy był od naśladowania rewolucyjnej Francji. Insurekcja przypominała natomiast niepodległościową wojnę w Ameryce.

Dla Jasienicy wyjście z partyzantki nie oznaczało kapitulacji, ale zmianę formy walki. Niewątpliwie należał do najbardziej wojowniczych autorów „Tygodnika”. W swoich kolejnych artykułach rozwijał dwa wątki, które zarysowały się już w pierwszym, kościuszkowskim. W jednym chodziło o etykę w poczynaniach ludzi władzy, w następnym kwestią kluczową była „zasada narodowości”, obligująca nawet komunistów. Dowodził, że nie

³⁸ Tamże, s. 202.

³⁹ P. Jasienica, *Naczelnika droga do wielkości*, „Tygodnik Powszechny” 1946, nr 12.

ma powrotu do przedwojennego „indyferentyzmu narodowego Międzynarodówki socjalistycznej”⁴⁰. Wskazywał na repatriację jako następstwo „uznania zasady, na mocy której narody powinny stanowić całości nie tylko duchowo, ale i terytorialnie zwarte”⁴¹. Przywoływał też zmianę, jakiej uległa wewnętrzna polityka narodowościowa Związku Radzieckiego: narodom zamieszkującym jego terytorium przyznano „prawo do życia”. Jako kwestię otwartą stawiał problem granic suwerenności narodowej w Europie środkowej i częściowo zachodniej, która znalazła się w orbicie wpływów sowieckich. O ile nie kwestionował przyjętych na Wschodzie rozwiązań w stosunku do narodów bez tradycji suwerennego państwa i kultury, o tyle przewidywał kłopoty z ich zastosowaniem tam, „gdzie każdy naród stanowi zbiorowość zwartą i zrosłą i dysponuje kulturą równorzędną w stosunku do sąsiedzkiej”⁴². Przesunięcie terytorialne Polski, jak wynika z tego i zresztą wielu innych artykułów opublikowanych na łamach „Tygodnika Powszechnego” w roku 1946, stanowiło pole, na którym, jak taktycznie przyjmowano, możliwy był konsensus z komunistami. Żeby przeprowadzić „repatriację”, komunistom naród był wprost niezbędny.

Jasienica, który wiele pisał o Ziemiach Odzyskanych przed i po 1948 roku, kiedy zmienił postawę wobec nowej władzy z opozycyjnej na aprobatywną, uczestniczył w akcji „repolonizacyjnej” bez przymusu. Wszystko, co opublikował, wskazuje na to, że w owym przemieszczeniu Polski na zachód widział korzystny obrót dziejów. Należał bowiem do tych historyków, którzy w unii Korony z Litwą i generalnie rzecz biorąc ekspansji w kierunku wschodnim upatrywali przyczyn późniejszego rozkładu państwa. W *Myślach o dawnej Polsce* pisał bez śladu sentymentów:

Każda ze stron przystępowała do układu z całym dobrodziejstwem własnego inwentarza. U Litwy składał się on z pokaźnej liczby byle jak skleconych kilometrów kwadratowych, z których żaden nie był bezpieczny⁴³.

⁴⁰ P. Jasienica, *Z prądem historii*, „Tygodnik Powszechny” 1946, nr 18.

⁴¹ Tamże.

⁴² Tamże.

⁴³ P. Jasienica, *Myśli o dawnej Polsce*, Warszawa 1960, s. 63.

W *Polskiej anarchii* kontynuował swoją kampanię antylitewską:

Od dłuższego czasu przywykliśmy stosować przysłowiową taryfę ulgową względem wszystkiego, co w naszej historii odnosi się do Litwy. Zwyczaj ten panuje od chwili ukazania się *Pana Tadeusza* [...] ⁴⁴.

Mickiewiczowskie „Litwo, ojczyzno moja” próbował zrównoważyć zdaniem z *Kroniczki litewskiej*: „Wszystka Polska mówiła niemal, że dla kolizji litewskiej ginie” ⁴⁵. Konkludował dobitnie: „Za dużo pobłażliwości dla Wilna, za wiele potępień dla Warszawy. I zupełne niemal zapomnienie dla Poznania i Leszna” ⁴⁶. „Repolonizacja” Ziem Odzyskanych dawała Jasienicy okazję uczestniczenia w eksperymencie dziejowym wielkiego formatu. Przy czym wyobrażał sobie, że nastąpi nie tyle ich upodobnienie do reszty kraju, ile że dzięki nim to Polska ulegnie okcydentalizacji.

Kwestia zaangażowania pisarzy-„Litwinów” w opanowywanie poniemieckich nabytków terytorialnych jest jednym z ważniejszych zagadnień wczesnej fazy ich powojennych losów i twórczości. Jasienica należy do autorów o znacznych zasługach na tym polu. Podobnie jak Konwickiemu, również i jemu wszelako w debiucie książkowym przeszkodziła cenzura. W 1948 roku złożył do wydawnictwa tom swoich artykułów reportażowych zatytułowany *Po kataklizmie*, których tematem były właśnie Ziemie Odzyskane. Cenzorzy uznali, że obraz przedstawia się w nazbyt czarnych barwach, co godzi we władze komunistyczne. Na tym tle zaś nazbyt opatrnościowo zarysowana została rola Kościoła. Zirykował też Jasienica urzędowego recenzenta swoim utyskiwaniem na zaniedbywanie „wschodniego płuca Polski”. Jak zauważał cenzor, „bandy” działały tam w sojuszu z klerem ⁴⁷.

Artykuły składające się na książkę były wcześniej publikowane w prasie. Z pewnością warto by się podjąć rekonstrukcji tego dzieła, interesującego ze względu na temat i autora, istotnego też jako kontekst dla drugiego tomu reportażu Jasienicy – *Wisła pożegna zaścianek* z 1951 roku, gdzie pisał między innymi o Nowej Hucie, najważniejszej inwestycji

⁴⁴ P. Jasienica, *Polska anarchia*, Warszawa 2007, s. 34.

⁴⁵ Tamże.

⁴⁶ Tamże.

⁴⁷ AAN, GUKPPiW, sygn. 173,teczka 32/42, k. 28.

planu 6-letniego. W temacie nowohuckim uprzedził go Konwicki. W reportażowym pożegnaniu zaścianka (formy gospodarowania i obyczaju tak typowego dla Litwy) i powitaniu pierwszych sukcesów w industrializacji (a nie okcydentalizacji) Jasienica nie widział już żadnej roli dla Kościoła.

Zbiór *Po kataklizmie* zasługuje na przypomnienie ze względu na koncepcje włączenia obszarów poniemieckich do organizmu narodowego formułowane po stronie opozycji katolickiej. Jerzy Turowicz w artykule *Nowe ziemie* postulował, by odbywało się to poprzez wymianę wartości między nowymi nabytkami a resztą Polski. Stwierdzał, że kultury polskiej nie można Ziemiom Odzyskanym narzucać, lecz powinna być ona przyswajana na podłożu miejscowej tradycji, szczepiona ostrożnie, by wydała owoce. Regionalizm bowiem „nie polega na sztucznym hodowaniu powierzchniowych odrębności, przy równoczesnym podcinaniu korzeni przez tendencje centralistyczne”⁴⁸. Włączanie nowych ziem nie powinno się sprowadzać do ekspandowania kultury polskiej. Chodziłoby raczej o wzbogacanie samej tej kultury nowymi wartościami, przenoszonymi do centrum z przejmowanych terytoriów.

Trzeci partyzant z Wileńszczyzny, Eugeniusz Pauksza, walczył w oddziałach ZWZ i AK, w 1942 roku został aresztowany przez Gestapo, w 1943 uwięziony w obozie koncentracyjnym Prowianiszki pod Kownem. Po ucieczce stamtąd dołączył do oddziału leśnego wchodzącego w skład 1. Pułku im. Bolesława Chrobrego AK, został dowódcą oddziału partyzanckiego. Powtórnie trafił do więzienia w roku 1944, tym razem za sprawą NKWD. Zesłany do obozu w Zagłębiu Donieckim, wrócił do Wilna w listopadzie 1945 roku i jeszcze w tym samym miesiącu jako repatriant wyruszył wraz z żoną do Polski. Zatrzymał się najpierw w Gliwicach (był tam również przelotnie Konwicki), potem, już na dobre, osiadł w Poznaniu⁴⁹. Gliwice pojawiły się w jego pierwszej powieści – *Trud ziemi nowej* – ale nie jako miejsce akcji, lecz jeden z punktów odniesienia dla wsi mazurskiej, fabularnego centrum utworu. Powieść została opublikowana w roku 1948. Podobnie jak w *Rojstach*, lecz w innym układzie i proporcjach temat repatriacji łączy się

⁴⁸ J. Turowicz, *Nowe ziemie*, „Tygodnik Powszechny” 1945, nr 6 z 29 IV.

⁴⁹ D. Pauksza, *Środowisko życiowe i przestrzeń twórczości pisarskiej mojego Ojca*, w: *Wspomnienia o Eugeniuszu Paukszcie*, s. 4-5, http://stowarzyszenie.koczala.pl/arch/deklaracje/Wspomnienia_o_EP_wersja_A5.pdf, [dostęp 26. 06. 2014].

w niej z partyzantką wileńską. Zamajaczyły w utworze Paukszty również i rojsty, ale nie jako sceneria partyzanckiego „chodzenia”, lecz jako element kolorytu lokalnego w scenie pożegnania bohatera ze stronami rodzinnymi, chociaż i ten bohater miał za sobą partyzancką przeszłość:

Nie zabrakło w wyrazie łez, wolno spływających po policzkach, i poszumu melancholii w wietrze ziemi wileńskiej, i senności wodnych rozlewi – w omszarach leśnych ukrytych rzeczulek, niespodziewanych, jeleniom i ptactwu tylko wodnemu znanych stawów i jeziorok w pośród rojstów i poszumów potężnych choć monotonnych jezior ogromnych⁵⁰.

Paukszta, podobnie jak Jasienica, z widocznym animuszem zaangażował się w „repolonizację” Ziemi Odzyskanych. *Trud ziemi nowej* można by czytać jako utwór w pewnym sensie instruktażowy, co do tego, jak skutecznie przeprowadzić akcję „repatriacyjną” i „repolonizacyjną”, obejmującą Mazurów. Akcja nie ma uniwersalnego zastosowania; dotyczy jedynie chłopów. Autor przekonuje, że ich relokacja przyniesie dobry skutek, jeśli zostanie wykonana z poszanowaniem chłopskiej mentalności.

Zygmunt był chłopem z pochodzenia i chłopem z wyczucia. Miał wszystkie chłopskie zalety i przywary. Na chłopskim fundamencie gruntował swój światopogląd. Fundamentem zaś takim pierwszym jest ziemia. Tej zawsze chłop chciwy i rad. Na niej zawsze mu jest najlepiej, za nią najtęskniej⁵¹.

Chłopom trzeba zatem dać ziemię (nie wystarczy dzierżawa)⁵² i przenieść ich całymi wsiami na nowe tereny, żeby nie zniszczyć tkanki społecznej, ułatwić samoorganizację. Bo przedstawiciele władzy z centrali prawie w tej powieści nie ma. A jeśli się pojawiają, to nie na długo, jak

⁵⁰ E. Paukszta, *Trud ziemi nowej*, Poznań 1948, s. 9-10. Była to pierwsza fabuła dotycząca Ziemi Odzyskanych, traktowanych jako temat współczesny. J. Szydłowska, *Narracje pojaltńskiego Okcydentu. Literatura polska wobec pogranicza na przykładzie Warmii i Mazur (1945-1989)*, Olsztyn 2013, s. 154, 155-156; B. Halicka, *Polski Dziki Zachód. Przymusowe migracje i kulturowe oswajanie Nadodrza 1945-1948*, Kraków 2015 (o Paukszcie, s. 383-391).

⁵¹ E. Paukszta, dz. cyt., s. 11.

⁵² Zob. tamże, s. 76.

wszyscy przybysze spoza Wileńszczyzny. „Osadnicy” – w odróżnieniu od „repatriantów” – mają opinię jak najgorszą. Przyjeżdżają głównie po to, żeby się obłowić. Obejmują gospodarstwa, by je ograbione do szczytu zaraz zostawić i wrócić do siebie, gdzieś do centralnej Polski. Nowe życie rozpoczyna się mozolnie, wśród rozmaitych plag i niedoborów, zwątpień i załamania. Uspokojenie płynie z pracy, natury i religii, bez udziału propagandystów i agitatorów.

Problem z Mazurami daje się rozwiązać, tylko trzeba wpierw wysiedlić wszystkich Niemców oraz Mazurów trwale zgermanizowanych. Z pozostałymi należy się integrować, włączać ich do samorządu, świętowania, organizować wspólnie straż pożarną, teatr amatorski, zawierać mieszane małżeństwa. Kilkakrotnie powraca w utworze motyw niesłychanej dzielności rodzin mazurskich, które tym sposobem broniły się przed naporem germanizacyjnym. Z Mazurami można dojść do ładu. Z Niemcami i Litwinami się nie da. Litwini są pokazani w powieści jako współpracujący z nazistami sadystyczni oprawcy.

Autor najwyraźniej opowiada się za państwem bez mniejszości narodowych czy etnicznych. Na przeszkodzie do pełnej integracji wileńsko-mazurskiej, obawia się, może stanąć ewangelickie wyznanie Mazurów. Paukszta o tej ich odmienności wspomina, ale bez konsekwencji fabularnych. Wiąże wprawdzie uczuciowo repatrianta z „autochtonką”, jednak ta szczęśliwie jest katoliczką. Jeśli o mały włos nie dochodzi między nimi do zerwania, to nie z powodów wyznaniowych, lecz narodowych, bo Mazurka ma zgermanizowanego brata. Jego wyjazd do Niemiec klaruje sytuację między zakochanymi.

W *Trudzie ziemi nowej* w ogóle bodaj nie pojawiają się komuniści, nie ma mowy o budowaniu nowego ustroju. „Nowa ziemia” i „nowy trud” znaczy tyle co „polska ziemia i polski trud”⁵³. Nowe wynika ze zmiany granic państwowych. Sprawą kluczową jest zakorzenienie wileńskich chłopów w nowym gruncie, przywrócenie im wewnętrznej równowagi po traumie wyrwania z ojcowizny, pobudzenie ich witalności. Powieść kończy się w wigilię Bożego Narodzenia zapowiedzią ślubu pary bohaterów w nowym roku.

⁵³ Tamże, s. 204.

Paukszta podejmuje swoją drogę twórczą jako pisarz katolicki z wyraźnym endeckim nalotem. Narodowa integracja „repatriantów” i „autochtonów” możliwa jest dzięki Kościołowi. Homogenizacja narodu otwiera również szansę przed Kościołem katolickim. Polska w nowych granicach może być jednolicie katolicka.

Późniejsze utwory Paukszty pozwalają domniemywać, że jego katolicyzm – tak eksponowany w *Trudzie ziemi nowej* – miała charakter taktyczny. W powieści *Wrastanie*, napisanej w latach 1962-1963 i również traktującej o repatriantach na Mazurach, po religijności w funkcji integracyjnej i adaptacyjnej nie ma już śladu. Pojawiają się za to konflikty na tle politycznym i... „Ruscy”.

Pierwszoosobowy bohater pierwszej części *Wrastania* przyjeżdża na Mazury nie wprost z okolicy wileńskiej, ale wyrwawszy się z zamętu wojny:

[...] w czterdziestym czwartym, też narobiono wiele krzyku i gwałtu, pchano oddziały do lasu, żeby teren wyzwolić, jeszcze nim bolszewicy przyjdą. Były walki o Wilno. Tu już strzelała artyleria radziecka, a tu nasi atakowali. Kupa ludu poległa. A i tak, żeby nie Ruscy, sami partyzanci miasta by nie zdobyli, Niemcy mieli tam jeszcze za wielką siłę. Potem te przepaski na rękawach, wspólna straż, potem stan gotowości oddziałów, odmarsz na punkt zborny do Miednik, skończyło się wywiezieniem. Nie zdążyłem ze swoimi na czas i tak się uratowaliśmy. Potem nadeszła repatriacja⁵⁴.

Miedniki występują też w biografii drugiego ważnego bohatera, Wiktora Pacuka:

Gdy Niemcy rozbili ich oddziałek, on sam był lekko ranny, nim znalazł nowy kontakt, przesiedział razem z innymi kilka dni w jakiejś gajówce. Tam dowiedział się o koncentracji polskich oddziałów pod Miednikami. Na zły swój los pchnęli się zaraz w tę stronę. A tam wiadomo, jak się skończyło. Trafił do wagonu, wywieźli... Przy pierwszej okazji uciekł razem z paru innymi. Część Polski była już wolna,

⁵⁴ E. Paukszta, *Wrastanie*, Poznań 1988, s. 9.

formowano wtedy II Armie Wojska Polskiego. Poszedł Wiktor do berlingowców, jak u nas nazywano wojsko ludowe, z nimi na front⁵⁵.

Pacuk nie trafił w Polsce do partyzantki antysowieckiej, jak Jasienica, ale walczył w Rzeszowskim z „ukraińskimi faszystami”.

Najbardziej spójna część pierwszej powieści kończy się śmiercią Pawła, głównego bohatera a zarazem autora dziennika. Zabija go gruźlica. Wcześniej umiera mu córka, zarażona przez ojca prątkami. Śmierć jest tu zresztą wszechobecna. W pejzażu powraca obraz cmentarza. W świetle tej pierwszej części tytuł utworu brzmi prawie ironicznie. Gdyby nie było dalszego ciągu, powieść opowiadałaby o niepowodzeniu akcji „repatriacyjnej”. Ludzie nie zakorzeniają się w nowej ziemi. Chorują z wyczerpania i umierają.

Inaczej niż w *Trudzie ziemi nowej*, nie ma we *Wrastaniu* wspólnych inicjatyw repatriancko-autochtonicznych, nabożeństw, teatru, samorządu. Nie ma całych wsi przeszczepionych na Mazury z Wileńszczyzny. Nie ma demograficznego boomu.

Człowiek sam tkwi jak zapowietrzony, unika innych, niepewny kto kim jest. [...] I nie to może, że ludzie z różnych stron, niezwykajni siebie, ale że każdy jakiś zastraszoney, patrzy, żeby nikomu się nie narazić, z czymś nie wygadać⁵⁶.

We *Wrastaniu* Paukszta nie próbuje przekroczyć dozwolonej granicy w rewidowaniu propagandowych wzmówień, obowiązujących na temat Ziemi już w tedy nie Odzyskanych, ale Północno-Zachodnich. Jeśli coś rewiduje, to swoją utopijną wizję repatriacji połączonej z homogenizacją narodowo-wyznaniową. Trudno w omawianej powieści odnaleźć dawnego pisarza katolickiego⁵⁷. Ale nie zmienił się nie do poznania – wytrwał przy swoim pierwotnym wyborze jako pisarz regionalny. Tym sposobem potwierdził obserwację zanotowaną w omawianej powieści: „Najpewniejszy okazał się

⁵⁵ Tamże, s. 47-48.

⁵⁶ Tamże, s. 45.

⁵⁷ Cenzor omawiający *Srebrną ławicę* z 1952 r. stwierdzał z zadowoleniem, że pisarz, który zaczynał jako „katolicki”, zbliża się do „realizmu socjalistycznego”. Określono go jako szukającego drogi i dlatego mimo zastrzeżeń, udzielono zgody na druk.

nasz zabużański repatriant. On nie ma dokąd wracać, musi się trzymać tej nowej ziemi, wczepiać się w nią pazurami”⁵⁸. Determinację tę wyczuwa się również w postawach Konwickiego i Jasienicy. Warunkiem ich przyznania się do „litewkości” w PRL-u było to, że musieli się jej najpierw wyrzec.

⁵⁸ E. Pauksza, *Wrastanie*, s. 39.

VII. Klika i krzywda. Wokół dyskursu odwilżowego

Brali łąpówki, pili i ubierali kochanki
(„Po Prostu” 1956)

Próba autonomii

Dopiero w 2012 roku ukazał się *Rachunek pamięci*, książka przygotowana do druku dobre pół wieku wcześniej. Gdyby jej publikacja doszła w swoim czasie do skutku, to zbiór wypowiedzi szesnaścioro pisarzy traktujący o pierwszej powojennej dekadzie, znalazłby się niewątpliwie w ścisłym kanonie literatury rozrachunkowej¹. Przemawiał za tym już sam dobór autorów: od stalinisty Adama Ważyka, po nieprzejednanego w oporze Jerzego Zawieyskiego. Jednak druk tekstu, złożonego w wydawnictwie

¹ Mam na myśli „rozrachunki” (czy „obrachunki”, a w domyśle i „porachunki”) związane ze stalinizmem. O nurcie tym pisał na łamach „Po Prostu” – z nieukrywaną rezerwą – Edmund Gonczarski: „Naszą publicystykę, a sądząc z opowiadań Brandysa, również literaturę, ogarnął istny szal poszukiwań kozła ofiarnego. Dr Faul [bohater opowiadania K. Brandysa *Obrona „Grenady”* – E.D.] – to nie tylko kierownik Instytutu Ochrony Kultury [w przywołanym opowiadaniu: Instytut Organizacji Kultury – E.D.]. To usymbolizowana, upostaciowana wina za wszystko, co się u nas źle działo – w rolnictwie, szkolnictwie, ZMP i wyżej. Jesteśmy na najlepszej drodze, by po obrachunkach inteligenckich lat 1945–1950 powstała nowa literatura obrachunkowa, dotycząca drugiego pięciolecia – 1950 do 1955” (E. Gonczarski, *O obrachunkach*, „Po Prostu” 1956, nr 10).

„Czytelnik” w roku 1957, udaremniła cenzura². Książki nie zaaprobowano, chociaż jak stwierdza Michał Głowiński w przedmowie do edycji spóźnionej³, autorzy poszczególnych „rachunków” w swoich wypowiedziach bynajmniej nie szarżowali, wyraźnie licząc się z czujnością urzędu cenzorskiego. Zabiegów, które miały cenzurę udobruchać, badacz wskazuje kilka. Jeśli formułowano oskarżenia personalne, to raczej bez podawania nazwisk. Jeśli wskazywano na źródła patologii, to omijając z daleka i partię, i ZSRR. Generalnie zaś poprzestawano na eufemizmami: winna jest biurokracja, administratorzy...

Zdaniem Głowińskiego książka uznana w 1957 roku za nazbyt śmiałą, pozwala zobaczyć, „jak usiłowano mówić, by pozostać w zgodzie z własnymi przekonaniem, i jednocześnie sporządzić teksty, które miałyby szanse przeciśnięcia się przez cenzorskie sita”⁴. Ku ubolewaniu badacza *Rachunek pamięci* ujawnia przy okazji, jak skutecznie nad pisarskimi piórami roztaczał pieczę cenzor wewnętrzny⁵. Pośrednio więc – dopowiadam myśl autora przedmowy – książka świadczy o intelektualnym zniewoleniu pisarzy, decydujących się na publiczne złożenie swoich „rachunków”, zniewoleniu może nawet głębszym, aniżeli to opisane przez Czesława Miłosza w 1953 roku⁶, bo trwającym mimo odwilży. Nawiasem mówiąc pomysł Heleny Boguszewskiej i Jerzego Kornackiego, żeby przeprowadzić środowiskowe rozliczenie z przeszłością, zapewne miał związek z emigracyjnymi wystąpieniami poety-uciekiniera jako analityka „zniewolonego umysłu”⁷.

² Recenzje cenzorów dotyczące *Rachunku pamięci* znalazł w AAN Kajetan Mojsak (GUKPPIW, sygn. 596, 68/2 i 424, 31/37). Za informację bardzo mu dziękuję.

³ Zob. M. Głowiński, *Pamiętka z lat odwilży*, w: F. Bieńkowska i in., *Rachunek pamięci*, wstęp M. Głowiński, przypisy, noty, indeksy P. Kądziela, Warszawa 2012, s. 11–14.

⁴ Tamże, s. 15.

⁵ „Cenzura była czymś więcej niż ponurą reżimową instancją, jednym z filarów realnego socjalizmu, została zinterioryzowana, urosła do rangi współczynnika pisarskiej świadomości. Także w latach odwilży, wówczas, gdy pisarze kwestionowali oficjalną ideologię – i wyrażali postawy nonkonformistyczne, niezależne, antytotalitarne. *Rachunek pamięci* jest przejmującym świadectwem tego stanu rzeczy”. Tamże.

⁶ Do słynnego *Zniewolonego umysłu* z 1953 r. można by jeszcze dołączyć choćby opublikowane w paryskiej „Kulturze” artykuły Miłosza: *Nie* („Kultura”, Paryż 1951, nr 5), oraz *Refleksje o środowisku zamkniętym* („Kultura”, Paryż, 1955, nr 11). Zob. A. Franaszek, *Miłosz. Biografia*, Kraków 2011, s. 461–497.

⁷ Znamienne, że w *Rachunku* właśnie Boguszevska i Kornacki wypowiadają się o Miłoszu z sympatią i atencją. Kornacki sugeruje, że między decyzją Miłosza a jego własnymi wyborami różnica była w istocie niewielka. Najpierw razem należeli do grupy intelektualistów

Zaproponowany przez Głowińskiego sposób czytania *Rachunku pamięci* przynosi też odpowiedź na pytanie, dlaczego „literatura czasu październikowej odwilży” nie cieszy się specjalnym zainteresowaniem dzisiejszych badaczy PRL-u, w odróżnieniu od socrealizmu. Otóż zdaniem autora *Nowomowy po polsku* obraca się przeciw niej to, że: „była zjawiskiem słabo wykrystalizowanym”, funkcjonowała „wciąż na polu wyznaczonym przez realizm socjalistyczny; stanowiła reakcję na niego: już go nie reprezentowała, ale też nie zdołała się wyzwolić od tych uwikłań, jakie on narzucił”⁸.

Z tak sformułowanym rozpoznaniem braku wyrazistości literatury odwilżowej wypada się zgodzić. Na jej usprawiedliwienie warto jednak przypomnieć, że liberalizacja trwała krótko. Ledwie lody puściły i pisarze zaczęli odważniej zabierać głos, przystąpiono do schładzania atmosfery. Zakaz publikacji *Rachunku* jest właśnie jednym z symptomów blokowania „polskiego Października”⁹. Ponadto literatura odwilżowa jest zjawiskiem

obmyślających „prawdziwie polskie próby pierwszych kroków na drodze rewolucji”, potem zaś analogicznie zareagowali na ich niepowodzenie: „Miłosz machnął nogą, z Polski na Zachód. Ja machnąłem ręką... Co to znaczy <machnąć ręką>? To znaczy próbować na własną rękę” (J. Kornacki, *Próba dialektyki*, w: *Rachunek pamięci*, s. 170). Z kolei Anna Malewska wprost odnosi się do emigracyjnej publikacji Miłosza o pisarzach krajowych: „Zuchwale byłoby wyrokować o skomplikowanych osobistych motywach jednostek; zbędnie rywalizować z Miłoszem w katalogowaniu zewnętrznych i wewnętrznych przyczyn wiodących do <zniewolonego umysłu>”. Dalej pisze o klientelizmie pisarzy wobec władzy: „dużo pisarzy w przeszłości pochlebiali dedykacjami władcom, a nawet drwiło ze skazańców. [...] Ale inna i mniej licząca precedensów sprawa to skazić lub uśmiercić własne utwory. Co do podpisów i dedykacji dużo można w siebie wmówić: od ślepej wiary aż do <ketmanu>. Ale tworząc, pisarz nie może się w ten sposób mylić: wie, kiedy tworzy, a kiedy fabrykuje” (A. Malewska, *O odpowiedzialności*, w: tamże, s. 199–200). Natomiast Paweł Jasienica zgłasza pod adresem Miłosza pretensje: „Ludzie, którzy już w roku 1945 mieli taką sławę jak on, mogli swą postawą wyrzucić wpływ na rzeczywistość. Mogli przynajmniej o ten wpływ walczyć. Czesław Miłosz nie jest wolny od osobistej odpowiedzialności za wytworzenie się stanu rzeczy, który później on sam oskarżył o skłonienie go do ucieczki” (P. Jasienica, *Główne punkty*, w: tamże, s. 104). Ocena Jasienicy była jednak o wiele bardziej stonowana aniżeli Kazimierza Brandysa czy Romana Bratnego. Na temat wypowiedzi Brandysa zob. J. Smulski, *Kazimierz Brandys wobec „sprawy Miłosza” (wokół opowiadania „Nim będzie zapomniany”)*, w: tegoż, *Od Szczecina do... Października. Studia o literaturze polskiej lat pięćdziesiątych*, Toruń 2002.

⁸ M. Głowiński, dz. cyt., s. 7.

⁹ Wśród materiałów GUKPPiW napotyka się recenzje cenzorskie świadczące o tym, jak dalece rozrachunek uznawano za praktykę niecenzuralną. Na przykład z kryminału Grażyny Terlikowskiej *Morderca jest wśród nas*, który miał się ukazać w „Słowie Polskim” w odcinkach, zakwestionowano fragment odnoszący się do postawy jednego z bohaterów – pisarza – wobec „okresu błędów i wypaczeń”. Cenzor podejrzewał zresztą, że pierwowzorem postaci jest Marek Hłasko (AAN, GUKPPiW, sygn. 588, teczka 55/1, k. 93.). „Bohater Terlikowskiej napisał

skomplikowanym, jak zresztą sama odwilż i Październik¹⁰, mało dziś czytelnym co do intencji głównych inicjatorów czy uczestników, niejasnym z uwagi na udział manipulacji czy prowokacji w biegu zdarzeń. Dość przypomnieć słynny esej Witolda Jedlickiego z 1962 roku *Chamy i Żydy*, odsłaniający linie podziałów w partyjnych elitach: konflikt między „natolińczykami” a grupą „puławską”¹¹. W artykule tym, pozbawionym

książkę pt. *Koszmary*, która jest odbiciem jego własnych przeżyć, konfliktów z otaczającym światem, jakiejś obawy przed zbliżającą się przyszłością. *Koszmary* mogły się zresztą ukazać w druku dopiero po zmianach październikowych. Najbardziej niebezpieczne momenty w tym wątku autorki były zdania, które określały postawę pisarza wobec tak zwanego okresu błędów i wypaczeń. Zdania te zresztą bez żadnej szkody dla całej powieści kreśliliśmy” (k. 93–94). Ponowne ochłodzenie politycznego klimatu spowodowało też, że Eugeniusz Paukšta nie mógł w 1959 r. przebrnąć przez cenzurę ze swoją z ducha „październikową” powieścią *Śpiewająca ziemia* (trzecią częścią trylogii mazurskiej), mimo że w 1957 r. ogłaszano ją w odcinkach w „Ekspresie Poznańskim”. Długotrwałe negocjacje autora zakończyły się fiaskiem (AAN, GUKPPiW, sygn. 630, teczka 68/42). Recenzując *Rzeźbę* Kazimierza Koźniewskiego, pisano o autorskiej „histerii” w związku z tematem „upaństwowienia rewolucji”. Zarzucano pisarzowi, że nie zachowuje proporcji między podejściem konstruktywnym a destrukcją (AAN, GUKPPiW, sygn. 650, teczka 68/66). Z kolei powieść *Rebiata* Wojciecha Żukrowskiego została zaaprobowana jako „nierozrachunkowa”, chociaż na taką mogłaby wyglądać, bo autor poruszył w niej wiele bolesnych tematów: osadnictwa na Śląsku, autochtonów traktowanych jako Niemców, AK, praktyk UB, postępów żołnierzy radzieckich. W konkluzji stwierdzano ponad wszelką wątpliwość: „Nie jest to jednak powieść rozrachunkowa – w przyjętym znaczeniu tego wyrazu – ponieważ ukazując pewne konflikty przeszłości, nie potępia tego okresu, lecz odnosi się z pełnym współczuciem do tragedii ludzi pokrzywdzonych oraz ze zrozumieniem do historycznej chwili społeczno-politycznego przełomu, w którym zagubiono pewne bardzo ważne sprawy. Przy tym artystyczne walory powieści, choć uwypuklające klęskę Ślązaków – wydają się przemawiać za tym, że jest ona pisana ze zrozumienia, nie z nienawiści” (AAN, GUKPPiW, sygn. 588, teczka 55/1, k. 168). Drugi recenzent potwierdzał interpretację poprzednika. Książka (wymagająca wprawdzie pewnych korekt) nie ma jego zdaniem nic wspólnego z rozrachunkiem: „jest głęboko humanistyczną powieścią o tragicznych konfliktach ludzkich, mających swe źródło w wojnie” (tamże, k. 169). Temat literatury rozrachunkowej oglądanej z perspektywy cenzury z pewnością wymaga szczegółowego opracowania.

¹⁰ Trudności w interpretowaniu wydarzeń roku 1956 ilustrują tytuły rozpraw Krystyny Kersten (*Rok 1956 – Przełom? Kontynuacja? Punkt zwrotny?*, „Polska 1944/45–1989. Studia i materiały”, t. 3: *Polska 1956 – próba nowego spojrzenia. Materiały sesji naukowej zorganizowanej przez Instytut Historii PAN, Polskie Towarzystwo Historyczne i Instytut Studiów Politycznych PAN w dn. 21-22 października 1996 r. Studia i materiały*, Warszawa 1997, s. 7–18) oraz Pawła Machcewicza (*Zmiana czy kontynuacja? Polska przed i po październiku '56*, w: *PRL – trwanie i zmiana*, red. D. Stola, M. Zaremba, Warszawa 2003). W debacie przetaczającej się przez numery „Po Prostu” w końcowej fazie istnienia pisma wyraźnie rozróżnia się „odwilż” i Październik. Z okazji pięćdziesiątej rocznicy wydarzeń z 1956 r. rozdzielano z kolei „poznański Czerwiec” od Października. Zob. J. Eisler, *Polskie miesiące, czyli kryzys(y) w PRL*, Warszawa 2008, s. 82–83.

¹¹ O emigracyjnej dyskusji na temat Października w związku z artykułem Jedlickiego zob. P. Ceranka, *Historia pewnego artykułu*, „Pamięć i Sprawiedliwość” 2006, nr 2, http://niniwa22.cba.pl/ceranka_chamy_i_zydy.htm10 [dostęp 30 I 2014].

jakichkolwiek szans na publikację w Polsce, lecz oczywiście skwapliwie czytany i komentowany przez elity partyjne tudzież pozapartyjne, autor zastanawiał się między innymi, dlaczego i po co właściwie Chruszczow wygłosił swój „tajny” referat¹². Szukając odpowiedzi Jedlicki przeglądał całe spektrum wykładni proponowanych przez rozmaitych egzegetów. Miał w czym wybierać! Najbardziej trafił mu do przekonania domysł, którym wcześniej podzielił się na łamach „Kultury” paryskiej Aleksander Weissberg-Cybulski, który poznał stalinizm w źródłowej postaci, na własnej skórze jako ofiara czystek lat 30.¹³:

[...] celem Chruszczowa było to, żeby stalinowskie metody rozprawiania się z przeciwnikami skompromitować tak doszczętnie, aby w przyszłych walkach o władzę nikomu już więcej nie opłacało się do tych metod uciekać¹⁴.

Uzasadnienie Jedlickiego (inspirowane przypuszczeniami Weissberga-Cybulskiego) warto przytoczyć, by uświadomić sobie, jak trudno nawet z dystansu historycznego interpretować manewry polityków, które z polityką w tradycyjnym sensie nic bodaj nie mają wspólnego:

Hipotezę tę uważam za interesującą przede wszystkim dlatego, że jednym z najsilniejszych możliwych motywów ludzkich jest strach przed torturami. Członkowie Politbiura sowieckiego znajdowali się w sytuacji, w której ewentualność ta mogła być jak najbardziej realna: przeszłość uczyła, że do tego wystarczył jakiś fałszywy krok, jakieś powinięcie się nogi, jakieś przypadkowe wzbudzenie nieufności silniejszego przeciwnika. Dalszy przebieg wydarzeń pokazał, że walka o dziedzictwo po Stalinie w momencie XX Zjazdu dopiero zaczynała się na dobre. Leaderzy partii sowieckiej musieli być tego świadomi i w tej sytuacji

¹² W dalszym ciągu rozważań Jedlicki dochodził do Klubu Krzywego Koła (w którego działania sam był zaangażowany) i jego powiązań z grupą puławską. W 1963 w Paryżu ukazała się jego większa publikacja na ten temat (*Klub Krzywego Koła*).

¹³ Aleksander Weissberg-Cybulski, odwołując się do własnych doświadczeń z czasów „wielkiego terroru” w ZSRR, napisał książkę znaną u nas jako *Wielka czystka* (pierwotnie ukazała się w języku niemieckim pt. *Hexensabbat* w 1951 r.). Polskie wydanie – 1966.

¹⁴ W. Jedlicki, *Chamy i Żydy*, „Kultura”, Paryż 1962, nr 12.

ich strach przed brainwashingiem [praniem mózgu – E.D.] musiał urastać do rozmiarów panicznych. Wydaje mi się prawdopodobniejsze, że na referat Chruszczowa wyraziły zgodę wszystkie później obalone wielkości, które wtedy jeszcze w Politbiurze rezydowały, niż że był on osobistą inicjatywą Chruszczowa, która zaskoczyła pozostałych; referat taki leżał w końcu we wspólnym interesie wszystkich¹⁵.

Teza istotnie przewrotna – ci którzy rządili przy pomocy strachu, ze strachu również zdecydowali się zaniechać drastycznych metod. Przynajmniej względem siebie nawzajem.

Jedlicki nie przypisywał Chruszczowowi innego celu aniżeli walka o władzę: referat został wygłoszony głównie z myślą o partyjnych konkurentach. Służył ustanowieniu nowych zasad gry:

Ci panowie bynajmniej nie rezygnowali z walki ze sobą, a tylko i wyłącznie zobowiązywali się, że nie będą się ze sobą rozprawiać metodami Stalina. Referat stwarzał swoistą gwarancję, że zobowiązanie zostanie dotrzymane¹⁶.

Tylko szary i niezrzeszony obywatel w naiwności swojej mógłby sądzić, że potępienie stalinizmu wynikało z przywracania elementarnej sprawiedliwości¹⁷.

Autor *Chamów i Żydów* podkreślał, jak ryzykowny – wręcz „samobójczy” – był to krok. Walczące ze sobą frakcje nie liczyły się z żadnymi kosztami: politycznymi, społecznymi ani międzynarodowymi:

¹⁵ Tamże. O „strachu przed torturami” pisał Jakow Rapoport, jeden z oskarżonych w spisku lekarzy: „Niezwyczajnie głęboki był strach przed torturami, jakim poddawano więźniów; przed torturami, o których informacje przenikały do nas w pamiętnych latach 1937–1938. Panowała wtedy atmosfera beznadziejności, nikt nie wierzył, że wytrzyma męczarnie; uważaliśmy, że prędzej czy później spowodują one przyznanie się do winy. Winogradow opowiadał, że nie czekał na znęcanie się, od razu postanowił spełnić wszystkie żądania, między innymi przyznał się do szpiegostwa na rzecz Anglii i Francji” (J. Rapoport, *Ostatnia zbrodnia Stalina. 1953 – spiszek lekarzy kremłowskich*, przeł. D. Wieczorek, Warszawa 2011, s. 209).

¹⁶ W. Jedlicki, dz. cyt.

¹⁷ Reakcję prowincjonalnego członka partii na referat Chruszczowa rekonstruował Edward Kupiszewski w powieści *Za grzechy cudze i własne* (1999).

Z motywów czysto osobistych ludzie ci nie wahali się wystawić państwo, którym władali, na pośmiewisko jego wrogów, doprowadzić do masowego opuszczania szeregów partii komunistycznych przez najwartościowszych ich członków, ryzykować anarchię wewnątrz kraju i porażki dyplomatyczne w polityce zagranicznej. Fakt, że okres najostrejszych walk o władzę w Sowietach nastąpił po tym wydarzeniu oraz że w walkach tych, mimo ich brutalności, do brainwashingu ostatecznie nie doszło, stanowi pewne pośrednie potwierdzenie hipotezy Weissberga *ex post*¹⁸.

Zagadka referatu Chruszczowa służyła Jedlickiemu do pokazania, jak trudno się orientować w tym, co przetacza się ponad głowami zwykłych śmiertelników zamieszkujących obszary za żelazną kurtyną. Osobisty problem, poruszony w końcowym fragmencie artykułu, dotyczył udziału autora w Klubie Krzywego Koła, inicjatywie niejasno powiązanej z „puławianami”, w jakimś stopniu (pytanie, w jakim?) marionetkowej w stosunku do rozgrywek „na górze”.

Bez względu jednak na to, jak by oceniać przenikliwość analizy Jedlickiego tudzież jego osobiste motywy, w świetle wspomnianych rozważań nie ulega kwestii, że po śmierci Stalina spadkobiercy dyktatora niewątpliwie musieli się co rychlej uporać z zagadnieniem praktycznym: jak pozostać przy władzy, wychodząc z terroru.

Nie dla retorycznego efektu nawiązuję tu do tytułu świetnej książki Bronisława Baczki o rewolucji 9 termidora. Oto jak widział historyk problemy, które stanęły przed politykami rewolucyjnej Francji:

Co zrobić z dziedzictwem, jakie pozostawił okres Terroru? Co i wedle jakich kryteriów zachować z tego dziedzictwa politycznego, które było dziedzictwem Terroru, ale także Republiki i w ogóle Rewolucji? Co zrobić z wielorakimi następstwami Terroru, poczynając od więzień przepełnionych oczekującymi na osądzenie „podejrzanymi”? Jak zlikwidować instytucje oraz personel polityczny i administracyjny wyrosłe z Terroru i ukształtowane tak, by mu służyć i zapewnić jego

¹⁸ W. Jedlicki, dz. cyt.

funkcjonowanie? Jak zdefiniować przestrzeń polityczną po Terrorze? Pytania trudne, bo zerwania z Terrorem dokonała władza i personel polityczny składające się z czynnych uczestników Terroru, z ludzi, którzy go aktywnie i energicznie organizowali. „Rewolucję 9 termidora” należało zatem pojmować jako zerwanie w historii Rewolucji i jednocześnie gwarancję jej ciągłości. Po zerwaniu z Terrorem Rewolucja miałaby więc pozostać wierna samej sobie i swoim założycielskim zasadom¹⁹.

Gdyby usunąć z przytoczonego fragmentu realia francuskie, z powodzeniem mógłby on posłużyć do opisu strategii Chruszczowa. Idąc zaś tym tropem jeszcze dalej, można by zapytać, czy opowieść o następstwach 9 termidora nie dałaby się w jakiejś mierze odnieść również do „polskiego Października”? Czy – mówiąc dobitniej – „polski Październik” („polski”, a nie, jak dotąd, importowany) nie był lokalnym i przesuniętym w czasie odpowiednikiem 9 termidora, a więc świadomie przeprowadzoną operacją „wychodzenia z Terroru”? Na marginesie zaznaczę, że samą książkę Baczkę dałoby się pewnie odczytywać jako kryptoreflexję nad polską „odwilżą”. Wszak autor obrał rewolucję francuską za przedmiot badań nie bez związku z doświadczeniami swej burzliwej młodości.

Mając w pamięci relacjonowany przez Jedlickiego zamęt interpretacyjny wokół referatu Chruszczowa, warto sięgnąć ponownie po *Rachunek pamięci*, by zapytać, jaką rolę miał zbiór ten odegrać w procesie „wychodzenia z Terroru”. Wyjaśnienie Pawła Jasienicy, zamieszczone we wstępie datowanym na marzec 1957 roku, jakoby chodziło o „upamiętnienie” myśli i uczuć²⁰, wydaje się nader oględne. Pisarze z pewnością chcieli dać świadectwo swoim przemyśleniom, lecz zarazem próbowali się odnaleźć w zmienionych okolicznościach politycznych. Do niedawna wszystko było jasne. Jasne – chociaż dla wielu trudne do zaakceptowania, dla niektórych zaś w żadnym razie nie do przyjęcia. Pisarz miał bezdyskusyjnie wspierać i wręcz wyprzedzać władzę w jej poczynaniach. Za to mu płacono, otaczano opieką, za to wyróżniano i nagradzano. Jeśli na rolę tak pomyślaną się nie zgadzał, tracił prawo głosu,

¹⁹ B. Baczeko, *Jak wyjść z Terroru. Termidor a Rewolucja*, przeł. W. Dłuski, Gdańsk 2005, s. 46 (wyróżnienia w tekście pochodzą od autora).

²⁰ P. Jasienica, *Wstęp*, w: *Rachunek pamięci*, s. 19.

a wraz z nim inne przywileje. Odwilż, która obnażyła omylność ludzi władzy, zachwiała ich omnipotencją. Postawiła pisarzy wobec szansy zdefiniowania na nowo granic wolności i kompromisu, relacji między swobodą poszukiwań twórczych a przezorną dyspozycyjnością.

We wstępie do *Rachunku pamięci* Jasienica dobitnie podkreślał społeczny rezonans zachowań literatów w czasie odwilży:

Opinia publiczna bardzo uważnie śledziła wtedy wszystko, co się działo w środowisku pisarskim. Panowało przekonanie, że literaci oraz dziennikarze mają możliwość, a więc i obowiązek wyrażania myśli, które niepokoją obywateli miasta i całego kraju. Dyskusje literatów – takie na przykład jak trwające dwie noce zebranie Podstawowej Organizacji Partyjnej Związku Literatów Polskich – budziły ogromne zainteresowanie²¹.

W przytoczonym fragmencie pojawia się kategoria nieużywana i nieużyteczna w oficjalnym PRL-owskim obiegu, mianowicie „opinia publiczna”. Występuje tu jako instancja, która zgłasza wobec pisarza oczekiwania: wymaga, by reagował na głosy ulicy, nie zaś – co od lat było zrozumiałe samo przez się – nasłuchiwał poleceń i pomruków władzy. Asekuracyjnie wprawdzie, zasłaniając się przekonaniem potocznym, rewidował jednak Jasienica obowiązujący przed odwilżą pogląd na pisarskie obowiązki. Z podporządkowanego planom władzy „inżyniera dusz” miał się teraz pisarz przedzierzgnąć w rzecznika swoich czytelników. Już samo to, że opinia publiczna została wskazana jako czynnik istotny wydarzeń kulminujących w październiku 1956 roku, oznaczało nie lada zmianę w stosunku do okresu stalinowskiego; jeśli nie radykalną zmianę „systemu”, to z pewnością daleko idącą korektę dyskursu publicznego.

Wydaje się, że oględność w nazywaniu rzeczy po imieniu, wskazywana przez Michała Głowińskiego w jego omówieniu *Rachunku pamięci*, wynikała nie tylko z obawy autorów przed ingerencjami cenzury czy też z silnie uwewnętrznionego, lęklivego posługiwania się słowem. Można przypuszczać, że była następstwem włączenia do gry właśnie

²¹ Tamże.

opinii publicznej. Nawet jeśli jej przywołanie w tekście *Jasienicy* było posunięciem czysto deklaratywnym bądź instrumentalnym, stanowiło ważny element strategii. Autorzy *Rachunku* starali się wytłumaczyć ze swoich zachowań – także z oportunistycznego milczenia i przemilczania – w taki sposób, by pozyskać społeczną aprobatę. Odsłaniając „prawdę”, której żądała „opinia”, szukali zarazem pomysłu, jak się przed jej osądem wybronić. Strategia pisarzy nie polegała jednak na tym, by jasno opowiedzieć się po stronie ofiar zbrodniczego reżimu. Nie przypadkiem jednym z kluczowych słów w *Rachunku* jest „odpowiedzialność”. Etos odpowiedzialności dawał możliwość porozumienia wewnątrzrodzimego: tych, którzy zawinili swoją usłużnością czy opieszałością, z tymi, którzy stawiając opór władzy, zostali skrzywdzeni²². Oznaczał też otwarcie na rokowania z władzą.

Paweł Hertz, którego wypowiedź Głowiński ocenił najwyżej, dzieli odpowiedzialność na równi między rozkazodawcę i wykonawcę rozkazu²³. Dalej zaś w toku wywodu koncentruje się na wykonawcy:

Mówiąc zupełnie szczerze – a inaczej dziś mówić nie należy – pisarzowi, który nie zechciał zastosować się do owego systemu, nie groziło nic prócz milczenia. Nie znam z osobistej praktyki ani jednego wypadku, by ktokolwiek zmuszał mnie do pisania czegośkolwiek, czego pisać bym nie chciał. Nie znam również wypadku, by bez mojej zgody ogłoszono cokolwiek w postaci zdeformowanej lub niepełnej. Każda taka procedura musiała być uzgodniona z autorem i jeżeli ów godził się na to, wówczas żal powinien mieć przede wszystkim do siebie. Uważam więc, że pretensje o to, że pisano źle, głupio lub kłamliwie, należy kierować pod adresem piszących²⁴.

Hertz dawał wyraz przekonaniu, że w odwilży chodzi nie o to zwłaszcza, by napiętnować winnych, lecz o to najpierw, by wyjść z terroru i odbudować

²² W recenzji utworu Kazimierza Brandysa *Nim będzie zapomniano*, opowiadania z kluczem, Roman Zimand zwracał uwagę na problem odpowiedzialności: „Brandys świadomie dowodzi, że Weymont [w domyśle: Miłosz – E.D.] uciekł nie z powodu naszych błędów, a dlatego, że rewolucja była dlań za trudna, że bał się odpowiedzialności artysty”.

²³ P. Hertz, *Wspomnienia z domu umarłych*, w: *Rachunek pamięci*, s. 86.

²⁴ Tamże, s. 86–87.

zszargany autorytet pisarza. Literatura bowiem „utraciła powagę instancji moralnej i intelektualnej, a pisarz pozbawił się zaufania we własnym społeczeństwie”²⁵. Odzyskanie zaufania społecznego było bez wątpienia problemem wspólnym partii rządzącej i pisarzy. W tekście Pawła Hertza, a w większym jeszcze stopniu w paru innych „rachunkach”, daje się wyczytać oferta dla przedstawicieli instancji partyjnych. Pisarz nie będzie już ich narzędziem – ten model zawiódł – lecz nadal może być użyteczny, tyle że w inny sposób.

Hertz perorował niczym z trybuny:

[...] w interesie silnego niepodległego państwa jest zapewnienie sztuce pełnej niezawisłości i autonomii, organizacja taka bowiem może istnieć tylko wtedy, kiedy społeczeństwo wypowiada się jawnie, pełnym głosem również i poprzez sztukę. Chcąc być jeszcze bardziej ściśłym, powiem, że jednym z warunków rozwoju społeczeństwa jest całkowita swoboda pozostawiona artystom i uczonym, warunkiem zaś rozwoju kultury i sztuki jest trwały, niepodległy byt państwowy danego społeczeństwa²⁶.

Sedno powyższego wywodu zawiera się w słowie „autonomia”. Oferta dla rządzących w świetle cytowanego fragmentu wygląda tak: twórcy kultury mogą pomóc władzy w umacnianiu autorytetu, w przywracaniu (?) jej legitymizacji, jeśli uzyskają w zamian gwarancje wolności w poszukiwaniach artystycznych i naukowych politycznie neutralnych.

W swoich wyjaśnieniach własnej niedawnej przeszłości autorzy powściągali pióro, co do tego nie ma sporu. Jednakże – powtarzam – niekoniecznie i nie wyłącznie cenzurę mieli na względzie. Wypowiedzi zebrane w omawianym tomie czytałabym raczej jako świadectwo zabiegów pisarzy o przededefiniowanie ich roli publicznej, usytuowania wobec władzy, publiczności czytającej i społeczeństwa *en bloc*, próbkę odnowionego, polubownego języka. Słowo „biurokracja” w „rachunkach” nie tyle, jak chce Głowiński, stanowi element autocenzuralnego „języka zastępczego”²⁷, ile uczestniczy w próbie negocjowania nowej roli pisarza jako

²⁵ Tamże, s. 89.

²⁶ Tamże, s. 76.

²⁷ „Jedną z podstawowych kategorii w tym zastępczym języku eufemistycznym jest biurokracja

członka elity przejętej współodpowiedzialnością za państwo, zdolnego do trzymania się w ryzach w imię wyższej racji. Ataki na „biurokrację”, nieraz obarczaną przez pisarzy winą za wszelkie zło, można interpretować jako sposób na manewrowanie między władzą a opinią publiczną. Wina zostaje zlokalizowana w sposób oszczędzający partię: rozrost biurokracji i jej demoralizacja nie jest też żadną wyróżniającą cechą nowego ustroju. Natomiast zwykli ludzie otrzymują komunikat, który przystaje do ich doświadczeń. Biurokratyczne bariery nie są przecież dla nich abstrakcją, lecz codziennym utrapieniem. Kontakty obywateli z władzą odbywają się wedle urzędowych rytuałów i procedur formalnych, całkowicie poza zasięgiem opinii publicznej.

W dyskursie odwilżowym podobne walory co „biurokracja” ma „klika”. Któż z kliką się nie zetknął, kto się o nią nie potknął? Funkcjonalizacjom obu pojęć warto by się przyjrzeć bardziej systematycznie.

Mały terror – wielka kompromitacja

Wspominając czas miniony, autorzy *Rachunku pamięci* nie epatują grozą. W pierwszej spośród zamieszczonych w książce wypowiedzi, autorstwa Flory Bieńkowskiej, umownym znakiem nieświatłej przeszłości jest szafa w siedzibie Związku Literatów Polskich: „Niepozorna biurowa szafa straszy. Straszy dokumentami zawartymi w wypłowiałych teczkach – świadectwo biurokracji w czasie, w którym każde słowo miało swoją rubrykę i komentarz polityczny w aktach urzędowych”²⁸. Szafa wprawdzie „straszy”, ale ponieważ to szafa została obrana za symbol stalinizmu w Polsce, a nie więzienie mokotowskie czy bezimienna mogiła na tzw. Łączce²⁹, można mieć nadzieję, że z brzemieniem przeszłości uda się uporać.

(lub biurokraci)”. M. Głowiński, *Pamiętka z lat odwilży*, w: *Rachunek pamięci*, s. 14.

²⁸ F. Bieńkowska, *Rekrutacja*, w: *Rachunek pamięci*, s. 21. Na trwającym od 28 stycznia do 1 lutego 1955 r. II Zjeździe ZMP podnoszono konieczność walki z biurokratyzacją.

²⁹ Pierwszy etap prac archeologiczno-ekshumacyjnych na tzw. Łączce, czyli na terenie kwatery „Ł” Cmentarza Wojskowego na Powązkach w Warszawie przeprowadzono dopiero w 2012 r. Grzebano tam zamordowanych w więzieniu mokotowskim w latach 1948–1956. Przedsięwzięcie to jest częścią ogólnopolskiego projektu badawczego „Poszukiwania nieznanymi miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego z lat 1944–1956”. W roku 2012 ukazała się książka M. Szejnert, *Śród żywych duchów*, traktująca o poszukiwaniach grobów więźniów politycznych

Skoro zmieściło się w szafie, w jednej szafie... Mebel ów jednoznacznie też kojarzy się z biurokracją jako przyczyną wszelkiego zła.

Paweł Hertz również jej nie demonizuje: „Biurokracja ta nie tworzyła się na zewnątrz środowiska literackiego, ale w nim samym. Dawalo się to odczuć przede wszystkim w redakcjach pism”³⁰. Biurokraci nie są anonimowi i niewidzialni, rekrutują się spośród znajomych, są wśród nas, na wyciągnięcie ręki.

Nawet Jasienica, który trafił do aresztu i był przesłuchiwany przez złą sławę Różańskiego, pisze uspokajająco:

Od tego doświadczenia żywię najgłębsze przekonanie, że pisarze byli ostatnią kategorią ludzi w Polsce, która by się mogła obawiać represji ze strony dawnego MBP. Nie mam najmniejszego zamiaru wybielania tej instytucji, ale trzeba mówić prawdę, jeśli się chce wyjść na równe drogi³¹.

Nie znaczy to, że represji w kraju nie było, tylko że nie stosowano ich wobec pisarzy. Oni zaś nie potrafili swojej uprzywilejowanej pozycji wykorzystać dla dobra kultury i polityki:

sądzę, że wielu ludzi już od samego początku mogło o wiele uprzejmiej bronić tych samych haseł wolności, o które zaczęto się chórem upominać dopiero w roku 1955 i 1956. Może piśmiennictwo polskie uniknęłoby wtedy niejednej porażki i kompromitacji³².

Krótko mówiąc, nie taki terror straszny, jak go inni malują. Pisarze sami sobie winni, że nie protestowali. Przestraszyli się nie wiedzieć czego. Powinni się raczej kierować poczuciem wstydu, niż strachem. Opowieść Jasienicy nie pozostawia wątpliwości co do tego, że zachowanie odpowiedzialne oznaczało lojalność wobec władzy. Oczywiście lojalność w pewnych granicach, nie posuniętą kompromitująco daleko, motywowaną

straconych po wojnie w warszawskim więzieniu na Rakowieckiej.

³⁰ P. Hertz, *Wspomnienia z domu umarłych*, w: *Rachunek pamięci*, s. 83.

³¹ P. Jasienica, *Główne punkty*, w: *Rachunek pamięci*, s. 104.

³² Tamże.

racjonalnością, nie zaś oportunizmem.

Z kolei Anatol Stern czuje się wprawdzie ofiarą terroru, ale przez to samo, że wspomina Brunona Jasińskiego, który został skazany na śmierć w Związku Radzieckim³³, pośrednio ujawnia różnicę między prawdziwym terrorem stalinowskim a jego łagodniejszą polską wersją.

Rachunek krzywd

Na atmosferę wielkiego terroru w ogóle zaś nie ma miejsca w obrazie przeszłości zdominowanym przez panowanie „klik”. Wycucie językowe podpowiada, że „klika” jest zawsze mała, i co do liczebności, i co do skali działania. Osobnikom do niej należącym zawsze chodzi o to, by żyć dostatniej niż pozostałym albo i używać życia w sposób dla większości nieosiągalny. Na „klikę” oburza się Jalu Kurek i bodaj dlatego właśnie jego wyznania i żale lekceważy Michał Głowiński: „tekst płaski, a momentami wręcz żaloszny”³⁴. Badacza razi w Kurkowej „jeremiadzie” ograniczenie perspektywy do własnych cierpień „wydawniczo-finansowych”. Autor *Janosika* skarży się, że odmawiano mu druku, sprawiedliwej oceny, ale też wyjazdów zagranicznych, orderów, jubileuszy: „Z górą 30 lat jestem czynnym członkiem Związku Literatów Polskich; kiedy słyszę, że delegacja pisarzy jedzie za granicę, dowiaduję się, że naturalnie mnie tam nie ma, ale widzę na liście stale te same nazwiska. Więc jeszcze jedno podwórko kliki!”³⁵. A inne?

Czym jest krytyka w obecnej fazie? [...] Mieleniem w kółko tych samych koteryjnych nazwisk. Klika przywłaszczyła sobie monopol na reprezentację literatury. Czymże są czasopisma literackie? Organami szczupłych, zamkniętych klanów. Czym jest Związek Literatów

³³ Stern nie pisze wprost o okolicznościach śmierci Jasińskiego, ale nazywa go jednak „poetą zamordowanym”. A. Stern, *Wspomnienia z wieku kamiennego*, w: *Rachunek pamięci*, s. 257. Okoliczności śmierci Jasińskiego były nieznane czy też tajone przed publicznością do lat 90. (Np. w *Literaturze polskiej. Przewodniku encyklopedycznym* PWN z 1984 r. podane zostały informacje błędne: „skazany na 15 lat obozu, zmarł po ciężkiej chorobie w drodze na zesłanie”).

³⁴ M. Głowiński, dz. cyt., s. 10.

³⁵ J. Kurek, *Jeremiada optymisty*, w: *Rachunek pamięci*, s. 189.

Polskich? Wszystkim, tylko nie tym, czym powinien być; biurokracją, oficjalnością, kumoterstwem, ważniactwem, korytem posad, domeną wpływów, machiną obsadzoną przez kilkunastu wybrańców, którzy uzurpują sobie przywilej wyłączny ustawiania, wynoszenia, utracania, nagradzania, przemilczania pisarzy³⁶.

Zapewne Kurka boli głównie to, że znalazł się poza ścisłym gronem uprzywilejowanych. Okoliczność ta nie przekreśla jednak wartości jego świadectwa. Wyrzekanie na „klikę” odsłania wprawdzie horyzont aspiracji autora, lecz określa go także jako pisarza przyjmującego postawę bliską czytelnikom, nie zaś władzy. W „jeremiadzie” bowiem Kurek konsekwentnie podkreśla swój dobry kontakt z „opinią społeczną”, domagającą się m.in. – wbrew „urzędnikom przy biurkach” – wznowienia jego powieści o Janosiku, ludowym bądź co bądź herosie, obrońcy biedaków przed pańskim wyzyskiem³⁷. Mówiąc o „klice”, pisarz zdaje się używać języka swoich czytelników, podobnie widzi świat, wyraża ich emocje. Dzieli z nimi poczucie krzywdy, które nadaje ton całej wypowiedzi: „Kto naprawi autorowi dziesięcioletnią krzywdę?”³⁸.

Jeśli głos Kurka odbiega od zamieszczonych w *Rachunku* wypowiedzi o większych ambicjach intelektualnych, stawiających problem etosu pisarza, to nie raziłby wcale wśród artykułów zamieszczanych na łamach „Po Prostu”, najważniejszego pisma odwilżowo-październikowego³⁹. Zdradza też pokrewieństwo z poetyką listów kierowanych na adres jego redakcji. Ich część, która jakimś cudem zachowała się po likwidacji pisma w roku 1957, przeanalizował Adam Leszczyński w książce *Sprawy do załatwienia. Listy do „Po Prostu” 1955–1957*. Skargi na „klikę” formułowano tam na tyle często, że autor książki omówił je w osobnym podrozdziale⁴⁰.

„Sklikowanie” stanowiło jeden z eksponowanych rysów patologicznej

³⁶ Tamże, s. 191.

³⁷ Tamże, s. 183. Janosik, Morinek, Ondraszek.

³⁸ Tamże, s. 182.

³⁹ Zob. D. Rafalska, *Między marzeniami a rzeczywistością. Tygodnik „Po Prostu” wobec głównych problemów społecznych i politycznych Polski w latach 1955–1957*, Warszawa 2008.

⁴⁰ A. Leszczyński, *Sprawy do załatwienia. Listy do „Po Prostu” 1955–1957*, przedm. M. Kula, Warszawa 2000, s. 76–84.

rzeczywistości, która się odsłoniła, kiedy ustał terror „lakierniczej” propagandy. „Klika” nie była jednak słowem z „normalnego” języka, nieobciążonym użyciami z kręgu nowomowy. Ileż to razy pisano wszak po wojnie o „sanacyjnej klice”, która miała na swoim sumieniu najpierw flirty z hitlerowcami, a potem klęskę wrześniową. Samo słowo „klika” patologię wskazywaną w powojennych już realiach pozwalało więc zidentyfikować jako *residuum* „wstecznej” mentalności burżuazyjnej czy drobnomieszczańskiej⁴¹, resztówkę, z którą rewolucja jeszcze sobie nie poradziła. Nie nazywano kliką „beriowszczyzny” – patologii nowego ustroju. Jan Józef Lipski, próbując w „Po Prostu” odpowiedzieć na pytanie o istotę tej drugiej, zastrzegł, że stosowną definicją jeszcze nie dysponuje:

[...] beriowszczyzna była próbą wyeliminowania się grupy ze społeczeństwa dążącego do zbudowania socjalizmu, beriowszczyzna była próbą faktycznego wywłaszczenia ludzi pracy; beriowszczyzna była próbą ukonstytuowania się w nową klasę⁴².

„Beriowszczyzna” oznaczała więc zamach na dzieło rewolucji i stanowiła nie lada wyzwanie dla intelektualistów.

Specyficznie odwilżowy rys „kliki” polegał na tym, że w przeciwieństwie do „sanacyjnej” została silnie skojarzona z lokalnością i krzywdą indywidualną. Słowo to występuje zarówno w artykułach drukowanych w „Po Prostu”, jak i – z natarczywą powtarzalnością – w ocalałym zbiorze listów do redakcji. Leszczyński stwierdza, że czytelnicy pisali „w sprawach konkretnych, z reguły prosząc o rozbicie lokalnej kliki, która skrzywdziła właśnie ich osobiście. Podobnie jak w odniesieniu do innych problemów społecznych, z powodu których pisali listy – korupcji, alkoholizmu, rosnącej przestępczości czy bezrobocia – rzadko postulowali konieczność zasadniczej reformy”⁴³. Skąd taka zgodność podejścia?

Znamienne i warte podkreślenia, że polska odwilż, w odróżnieniu

⁴¹ W takim duchu przedstawia „klikę” Bogumiła Grzędzińska w powieści *Lato w Lądku*, drukowanej w odcinkach na łamach „Nowin Rzeszowskich”. Cenzor, streszczając utwór, zdefiniował, czym są kliki: „grupy osób powiązanych ze sobą węzłami krwi i interesów na ogół nieczystych”. W powieści chodziło o przestępstwa gospodarcze (AAN, GUKPPiW, sygn. 588, teczka 55/1, k. 157.).

⁴² J.J. Lipski, *Na marginesie „Obrońcy <Grenady>”*, „Po Prostu” 1956, nr 14.

⁴³ A. Leszczyński, dz. cyt., s. 82.

od sowieckiej, ujawniała raczej krzywdy niż zbrodnie⁴⁴. Kojarzyła się z „chłopską krzywdą”, w latach minionych przywoływaną często w tonie oskarżycielskim wobec przeszłości. Czy przez konotację z wyzyskiem pańszczyźnianym wskazywano pośrednio czy mimochodem na chłopskie korzenie nowego społeczeństwa? Pytam o to w związku z nasilonym ostatnio odkrywaniem wiejskiego pochodzenia współczesnych mieszczan, co czyni między innymi Andrzej Leder, autor koncepcji „prześnionej rewolucji”⁴⁵. Byłby to wniosek nazbyt pochopny.

W świecie kontrolowanym obowiązuje wiele zakazów, lecz udziela się też pozwoleń. Można by powiedzieć, że w dobie odwilżowo-październikowej „Po Prostu” otrzymało koncesję na pisanie o ludzkiej krzywdzie. Na ów prześwit w zamkniętej dotąd na głucho przed realnymi problemami narracji o budowie nowego ustroju zdumieni czytelnicy zareagowali epistolarną aktywnością, utrzymaną jednak w stylistyce odgórnie zaprogramowanej. Zło, które wolno było piętnować, przybrało postać „krzywdy”, a sprawca zła ujawnił się jako „klika”. Pisząc o „krzywdzie” charakteryzowano tych, których słowo to dotyczyło, jako bezsilnych wobec przemocy. Podczas odwilży nie przekonywano bowiem ludzi obozwardnionych terrorem, że mogą już zachowywać się po prostu normalnie. „Szary człowiek” dostępował upodmiotowienia wyłącznie jako bezsilna ofiara. Skrzywdzony przez silniejszego od silniejszego też wyglądał zadośćuczynienia. Jedyne, na co kondycja skrzywdzonego mu pozwalała, to zanoszenie skarg i próśb o ukaranie winnych. Tyle że winnych określonego formatu, kilkusobowej zwykle „kliki”.

W poetyce „krzywdy” utrzymany jest m.in. artykuł Janusza Chudzińskiego zamieszczony w 21 numerze „Po Prostu” z 1956 roku. Autor przyznaje się, że tytuł *Krzywda* zaczerpnął z gazety „Budujemy Socjalizm”, wydawanej w Nowej Hucie, po czym przystępuje do opowieści o tym, komu i jak straszną krzywdę wyrządzono. Kilka miesięcy później redakcja „Po Prostu” czuła się już jednak w obowiązku, by skrzywdzonych nieco utemperować. W artykule *Kilka zwykłych dni we Wrocławiu*

⁴⁴ W „Po Prostu” poruszano sprawę rehabilitacji skazanych w latach stalinowskich, zwracając uwagę na trudności, jakie się z tym wiązały.

⁴⁵ Rewolucja ta dokonała się jego zdaniem w latach 1939-1956. A. Leder, *Prześniona rewolucja. Ćwiczenia z logiki symbolicznej*, Warszawa 2014.

sygnalizowano, że prasa temat krzywdy nazbyt skwapliwie rozdmuchuje. Nie chodziło o to, że problem się wyolbrzymia, lecz że jego prasowe nagłaśnianie przynosi złe skutki. „Akcja rozliczeniowa w kraju” – pisano – ogranicza się do zmian personalnych, przybiera postać <dintoiry>⁴⁶.

Bieda z nędzą

Rozpatrując „klikę” jako motyw artykułów odwilżowych, daje się zauważyć, że słowo to nigdy nie odnosi się do koterii czy frakcji usadowionych na szczytach władzy, w centrum. „Klika” zawsze trąci prowincją bądź mości się na niższych szczeblach zarządzania. Od razu jednak trzeba zastrzec, że odwilżowy obraz Polski prowincjonalnej czy lokalnej na łamach „Po Prostu” stanowi zagadnienie wielopłaszczyznowe i wielowątkowe. Jest to obraz szokująco inny od konstruowanego na potrzeby propagandy planu sześcioletniego, realizowanego w latach 1950-1955. Uwagę zwracają publikacje poświęcone kwestiom żydowskiej, śląskiej, ukraińskiej, repatriantom z ZSRR, osobom wypuszczonym z więzień dzięki amnestii, przestępczości. Odkąd w prasie zwinięto dekoracje, w których odtwarzano w nieskończoność walkę klas, gdzie mięśnie prężyli przodownicy pracy akordowej, dywersję zaś uprawiali kułacy i szpiedzy imperializmu, wychynęły nie wiadomo skąd całe tłumy ludzi sponiewieranych i zdeorientowanych, przemieszczanych kaprysem władzy z jednego miejsca na drugie, uwikłanych w konflikty, wobec których stawali bezradni, zostawieni samym sobie, ludzie po prostu biedni, żyjący w skrajnym ubóstwie i pozbawieni perspektyw na poprawę losu.

Nie brakuje w tych artykułach konstatacji zdumiewająco niecenzuralnych. Na przykład w związku z falą antysemityzmu pisano: „Jesteśmy świadkami samolikwidacji środowiska żydowskiego, które istniało w Polsce blisko siedemset lat⁴⁷. Odnosząc się do repatriacji ujawniano półtoramilionową populację ludności polskiej pozostającej w ZSRR, która wcześniej nie zdecydowała się przyznać do polskości w obawie, że zamiast w kraju

⁴⁶ R. Zimand, *Kilka zwykłych dni we Wrocławiu*, „Po Prostu” 1956, nr 50.

⁴⁷ J. Ambroziewicz, E. Gonczarski, J. Olszewski, *Gdy budzą się upiory*, „Po Prostu” 1957, nr 1.

wylądaje ostatecznie w głębi państwa radzieckiego⁴⁸. Także – o autochtonach na Śląsku Opolskim, odrywanych od polskości przez politykę państwa. Tudzież o wsi, w której wszyscy mieszkańcy z wyjątkiem listonosza i milicjanta woleli być mniejszością niemiecką aniżeli rdzennymi Polakami⁴⁹. Podejmując temat stosunków polsko-ukraińskich, pisano o zaprowadzaniu „pasa biologicznej pustki” na ziemiach, z których ludność ukraińska została wysiedlona podczas akcji „W”⁵⁰. Donoszono o umierających miastach i powiatach albo o ich pozornym awansie – kreacji miast urzędniczych (przykładem Mońki na Białostocczyźnie), o dziwotworach – jak Białystok – „mieście paradoksów”, pomieszania zbytku z nędzą, marnotrawstwa z głodem, wybujałych ambicji z abnegacją⁵¹.

Wszystkie te wątki składają się na obraz Polski jako kraju, który nie wyszedł jeszcze z tużpowojennego chaosu, z sytuacji, gdzie nikt nie miał swojego miejsca i nie wiedział, co z nim się stanie w najbliższej przyszłości, kraju nędzy, bezsilności i bezprawia. Obraz ten bliski jest relacji Heleny Boguszewskiej w *Rachunku pamięci*, która sięgała wspomnieniami do Krakowa z 1945 roku:

To była wędrówka ludów, to była istna wieża Babel! A dla Krakowa to był po prostu koniec świata. Po błotnistych ulicach, po targowiskach, po placach łaciatych od kałuż i od całych połaci brudnego śniegu, ze wszystkich we wszystkie strony ludzie o cudzoziemskich twarzach, najdziwaczniej w świecie odziani w pasiaki i w więzienne czy szpitalne kitle, w jakieś szlafroki, kaftany, nierzadko mężczyźni w kobiece łachy, a kobiety w spodnie i męskie czapy różnego autoramentu, opatuleni w co kto miał, z workami i tobołami na plecach, ciągnęli za sobą ręczne wózki naładowane czymś nieokreślonym. [...] Nie widziałam, by kto pytał, dokąd ciągną te swoje wózki i gdzie będą nocować, i czy mają co jeść. Tak wyglądało, jakby nikt niczym się nie interesował, prócz samym sobą⁵².

⁴⁸ J. Chudzyński, „Idziem do Ciebie Polsko, ziemio miła”, „Po Prostu” 1956, nr 52–53. Trzy dalsze odcinki artykułu ukazały się w roku 1957.

⁴⁹ A. Wydrzyński, *Terra incognita*, „Po Prostu” 1957, nr 1.

⁵⁰ E. Hołda, J. Litwiniuk, *Dziesięć lat nieistnienia*, „Po Prostu” 1957, nr 9.

⁵¹ Zob. m.in. J. Chudzyński, *Miasto umierające*, „Po Prostu” 1957, nr 4, tegoż, *Peryferie*, „Po Prostu” 1957, nr 23.

⁵² H. Boguszewska, *Rozmowy krakowskie*, w: *Rachunek pamięci*, s. 34–35.

Edmund Osmańczyk z kolei notował na bieżąco w liście adresowanym do Jerzego Borejszy swoje spostrzeżenia, kiedy przyjechał do Polski z Berlina, gdzie ogłoszono właśnie zwycięstwo aliantów nad Niemcami. Przytaczam spory fragment relacji, która została sporządzona z myślą o zamkniętym kręgu czytelników:

Po tej radości żołnierskiej, której nawet echa nie odnalazłem w kraju, nastrój, który spotkałem, był dla mnie przejmującym kubłem zimnej wody. Byłem w Poznaniu, Łodzi, Krakowie, Katowicach i w Warszawie. Nie prowadziłem rozmów z zawodowymi politykami, lecz z ludźmi normalnie troskającymi się o chleb powszedni. I właśnie ta powszechność rozterki, od robotnika aż po żołnierza stacjonującego w kraju, napędza mnie przerażeniem. Rozterka będąca udziałem człowieka partyjnego i bezpartyjnego. Rozterka paraliżująca wolę narodu, rozterka którą określiłbym permanencją tymczasowości. Z niej wynika wzrost apatii społeczeństwa i coś co przerasta w powszechny opór psychiczny wobec nowej rzeczywistości. W gospodarce mit, że wszystko jest tymczasowe, powoduje, że dziś mają pieniądze i dobrobyt tylko ci, którzy umieli w czasie wojny chwycić chwilowe okazje interesów, a więc kanciarze, paskarze, żuliki, szabrownicza kanalia. W życiu politycznym mit tymczasowości, podkreślony nieujawnieniem się dotąd ugrupowań podziemnych, powoduje, że wielu uczciwych ludzi czeka nie chcąc być posądzonym o karierowiczostwo. Brak jawności walki powoduje powódź plotek paraliżujących nie tylko życie gospodarcze, ale, co gorsza, nasz *Drang nach Westen*. Ludzie nie chcą jechać na Zachód, bo nie mają pewności, czy to nie jest tymczasowe. Rośnie bierny opór, a jednocześnie powszechniejsze przekonanie, że jesteśmy pod nową okupacją, odcięci hermetycznie od świata. To zaś u ludzi zmęczonych wojną i zdających sobie sprawę z dotychczasowych naszych spraw wywołuje rozpacz, że w impulsywnym narodzie, jakim jesteśmy, wzrastający opór psychiczny przemieni się w nową walkę niepodległościową, prowadzoną przez desperatów i determinatów, z całym tragizmem nierówności sił i, co gorsza bratobójstwa. Społeczeństwo jest sparaliżowane lękiem przed przepaścią, której nie umie zasypać, nie widząc żadnej nadziei na utworzenie Rządu Jedności Narodowej, widząc natomiast zaostrenie walki. Społeczeństwo

czuje się piłką w międzynarodowym meczu, a od huśtawki podrzutów i upadków ma katzenjammer bolesny, zwiększony jeszcze wieściami napływającymi wraz z falami repatriantów z zachodu – o łagodności okupacji anglosaskiej i rosyjskiej w Niemczech⁵³.

Ludzie w ruchu, a zarazem sparaliżowani lękiem o przyszłość, apatyczni, lecz podminowani histerią. Przed komunistami stało niewyobrażalnie trudne zadanie, jak tę przestraszoną, wymęczoną, niepewną niczego zbieraninę zaprząć do morderczego planu modernizacji.

Z lektury „Po Prostu” można było odnieść wrażenie, że po dwunastu latach nie zaszła żadna pozytywna zmiana, poza tym, że ludzi strauumtyzowanych jeszcze przybyło⁵⁴. Jeśli – jak na Ziemiach Odzyskanych – próbowano eksperymentu społecznego i gospodarczego⁵⁵, przynosiło to skutki zgoła opłakane. „Klika” w tym mrocznym obrazie przybierała niekiedy monstrualne rozmiary, opanowując całe miasto, i to takie jak Częstochowa⁵⁶. Rozgałęzionej, nie sposób wykorzeńić, mimo podejmowanych prób. Przegrywali z nią autentyczni entuzjaści samorządów, na których rzecz „Po Prostu” intensywnie agitowało.

A centrum? W „Po Prostu” pojawiały się ostrzegawcze, lecz rozmyte metaforycznie, komunikaty : „Jeśli rządzący zamykają się na wyspach, jeśli odcinają się od narodu i jego egzystencji milczeniem prasy i radia, gładkim kłamstwem propagandy i jednostronnie podpisanym porozumieniem, że <wszystko jest dobrze> – muszą wiedzieć, tego bowiem uczy historia, że te ich wyspy zawsze zaleje burzliwy ocean dziejów”⁵⁷. Autor artykułu zdawał się sugerować, że ofiarą propagandowych wmówień padli sami ludzie władzy. Ich własne bezpieczeństwo wymagało, by odzyskali – m.in. dzięki bardziej prawdziwym mediom – kontakt z rzeczywistością.

⁵³ *Na progu Stalina i Trzech Krzyży. Listy do Jerzego Borejszy 1944-1952*, Warszawa 2014, s. 311-312.

⁵⁴ Z artykułów prasowych o Polsce pozawarszawskiej można by ułożyć *appendix* do książki Marcina Zaremby *Wielka trwoga. Polska 1944-1947. Ludowa reakcja na kryzys*, Kraków 2012.

⁵⁵ Zob. J. Mikke, *Uwaga, Ziemia Zachodnie czekają*, „Po Prostu” 1957, nr 9.

⁵⁶ W. Głowacki, *Interpelacja nieposelska*, „Po Prostu” 1957, nr 24. W odniesieniu do Częstochowy mówi się wręcz o rządach mafii. Jest to Częstochowa bez Jasnej Góry. Przed ingerencjami cenzury artykuł nosił tytuł *Miasto bezprawia* (AAN, GUKPPiW, 498, 39/5, k. 104). Słowa „mafia” często używają też w listach do redakcji czytelnicy.

⁵⁷ A. Wydrzyński, dz. cyt.

Biorąc pod uwagę obraz kraju pozostającego w stanie permanentnego prowizorium, „klikę” – wbrew interpretacjom publicystów – można by uznać za mechanizm obronny, jedyny jeszcze dostępny sposób na stabilizację i resztkowe poczucie bezpieczeństwa. Taki zresztą, poprawny, wniosek wysnuł cenzor z powieści Kazimierza Koźniewskiego *Rzeźba*, opowiadającej o losach chłopaka z więzienną przeszłością (zabił Żyda), który próbuje zacząć wszystko od nowa na Ziemiach Odzyskanych: „w systemie ogólnej podejrzliwości kumoterstwo okazuje się ostatnim ludzkim uczuciem na drodze do socjalizmu”⁵⁸.

⁵⁸ AAN, GUKPPiW, sygn. 650,teczka 68/66.

VIII. Wozwraszczeniec. Stanisław Cat-Mackiewicz w PRL-u

W Rosji każdy normalny człowiek wierzy w wojnę
(S. Cat-Mackiewicz, *Myśl w obcęgach*)

Ekscentryczny i anachroniczny

Przypadek Stanisław Mackiewicza jako obiekt do rozważenia w kontekście tematu cenzury PRL-owskiej nie wymaga specjalnych rekomendacji. Dla porządku wymienię jednak kilka powodów, które w oczach badacza przydają mu znaczenia. Najpierw niekwestionowana ranga pisarska, poświadczona nie tylko werdyktem znawców, ale także rankingami popularności: był to niewątpliwie pisarz w tym sensie wpływowy. Wpływowy, bo czytany¹. Dalej, szczególne koleje biograficzne; chodzi zwłaszcza o sensacyjny akces do PRL-u². Kolejny powód, by o niego zapytać podsuwa

¹ O publicznej obecności Mackiewicza w PRL-u i jego ówczesnej popularności zob. R. Habielski, *Stanisław Mackiewicz w Polsce Ludowej i poza nią*, w: *Stanisław Mackiewicz. Pisarz polityczny*, red. R. Habielski, K. Kamińska-Chelminiak, Warszawa 2015, s. 201-208, 212. Wpływy Cata sięgają do dzisiaj. Wyznawczo cytuje go na przykład Piotr Zychowicz w książce *Oblęd'44. Czyli jak Polacy zrobili prezent Stalinowi wywołując Powstanie Warszawskie*, Poznań 2013, s. 21, 26, 27, 32, 70, 76, 85 itd.

² Sprawa powrotu Mackiewicza do Polski została już oświetlona z kilku różnych stron, z wykorzystaniem źródeł archiwalnych i publicznych opinii formułowanych bezpośrednio po tym akcie, który nastąpił wieczorem 14 VI 1956 r. K. Tarka, „*Polska jest Polską*”. *Powrót Stanisława Mackiewicza do kraju w czerwcu 1956 roku*, „*Zeszyty Historyczne*” 2004, z. 150; tegoż, „*Ban-*

sama specyfika światopoglądowa, polityczna, literacka Cata, obierającego często drogi ekscentryczne i bulwersujące dla znacznej części polskich kręgów politycznych, ale również dla przeciętnego czytelnika. Ciekawe możliwości badawcze otwiera wreszcie i ta okoliczność, że nim się pisarz zetknął z cenzurą PRL-owską, miał za sobą długą praktykę funkcjonowania w II RP oraz na emigracji w Wielkiej Brytanii, gdzie obowiązywały nieporównywalnie inne aniżeli w Polsce powojennej standardy w zakresie wolności obywatelskich, lecz gdzie nieraz wszak natrafiał na przeszkody w głoszeniu swoich poglądów³. Problem cenzury w odniesieniu do Cata wymaga zatem, żeby przekraczać granice PRL-u. Dodatkowym powodem, który włącza Mackiewicza w orbitę moich zainteresowań jest to, że zaliczam go do kategorii pisarzy-„Litwinów”, to znaczy takich, którzy wywodzą się z Ziemi Wschodnich międzywojennej Polski i którzy swoją „litewskość” czynią ważkim elementem tożsamości publicznie manifestowanej w PRL-u⁴. Mackiewicz różni się od wcześniej omawianych pisarzy z „litewskiej” rodziny tym, że swoją tożsamość pisarską tworzył już przed wojną jako redaktor wileńskiego „Słowa”, ukazującego się w latach 1922-1939 oraz na emigracji, gdzie wydawał m.in. pismo „Lwów i Wilno”. Akcentów „litewskich” nie brak także w jego książkach aż po arcy-„litewski”, wydrukowany wiele lat po śmierci pisarza *Dom Radziwiłłów* (powst. 1962,

krut” i „kapitulant” czy „wybitny publicysta”? O powrocie Stanisława Mackiewicza do Polski, „Zeszyty Historyczne” 2005, z. 151 (obie publikacje przedrukowane w: K. Tarka, *Mackiewicz i inni, Wywiad PRL wobec emigrantów*, Łomianki 2007) oraz S. Cenckiewicz, P. Gontarczyk, *Na granicy zdrady. Stanisława Mackiewicza powroty do Polski*, „Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej” 2006, nr 3-4.

³ Na temat kłopotów „Słowa” wileńskiego z cenzurą zob. J. Gzella, *Skutki pozostawania w opozycji – konfiskaty w wileńskim „Słowie” w latach 1936-1939*, w: *Niewygodne dla władzy. Ograniczanie wolności słowa na ziemiach polskich w XIX i XX wieku*, red. D. Degen, J. Gzella, Toruń 2010, s. 157-175. Co zaś do możliwości publikacyjnych na emigracji Mackiewiczowi trudno było nieraz zestroić się z linią pism tam wydawanych. Współpracował na przykład w latach 50. z „Dziennikiem Polskim” w Detroit, za co płacono mu 80 funtów miesięcznie. Jesienią 1954 r. kooperacja ta z powodów politycznych ustała. J. Jaruzelski, *Stanisław Cat-Mackiewicz 1896-1966. Wilno-Londyn-Warszawa*, Warszawa 1987, s. 241. Osobną kwestią są relacje między Catem a Mieczysławem Grydzewskim jako redaktorem „Wiomości”, który z autorami drukującymi na łamach pisma poczynił sobie apodyktycznie. Józef Mackiewicz, brat Stanisława, w listach do „Grydza” nie wahał się oskarżać „Wiomości” o „stotalizowanie”, ograniczony dostęp do łamów, cenzurowanie tematów i treści; por. *Z listów do Mieczysława Grydzewskiego 1946-1966*, oprac. R. Habielski, Londyn 1990.

⁴ Zob. „Litwini”. *Okoliczności powojennych debiutów*.

dr. 1990)⁵. Decydującym argumentem za tym, żeby Cata przypisać do grona „Litwinów” jest to, że ogłaszając w prasie emigracyjnej decyzję o powrocie do kraju swoją „litewskość” w połączeniu ze szlacheństwem i katolicyzmem podkreślił bardzo mocno⁶. Dodam, że tekst został uzgodniony ze stroną PRL-owską. Pisarz nie jechał do PRL-u, żeby rozpoczynać nowe życie (miał sześćdziesiąt lat), ale finalizować stare. Przekraczając granicę nie stawał się kimś innym, socjalistyczna ojczyzna takiej ofiary od niego nie wymagała.

Jak Mackiewicz wyobrażał sobie swoją aktywność pisarską w PRL-u, z prewencyjną cenzurą pilnie podążającą w ślad za autorskim piórem i poskramiającą wszelkie swobodniejsze poruszenia, trudno dociec. Zwłaszcza, że słynął z bujnego temperamentu pisarskiego, który przed wojną naraził go na uwięzienie w Berezie Kartuskiej⁷. Prowadząc negocjacje w sprawie ewentualnego porzucenia emigracji i zainstalowania się w Polsce pojałtańskiej wyrażał wprawdzie gotowość rozstania z publicystyką polityczną, główną dziedziną swego pisarstwa, na rzecz refleksji historycznej i literackiej, ale nie można tych deklaracji traktować śmiertelnie serio, służyły bowiem jedynie sondowaniu stanowiska strony krajowej. Cat, najwyraźniej ufając sile swojej karty przetargowej, na którą składał się jego dorobek pisarski i kolejne biografii politycznej, prawdopodobnie zakładał, że „po powrocie” będzie traktowany inaczej niż bezimienni albo imienni z łaski komunistów PRL-owsy tubylcy. Zakładał, że pozwoli mu być wyjątkiem.

Wśród opinii o Cacie-Mackiewiczu często powtarzanych mieści się zdanie o jego „anachronizmie”. W posłowniu do *Europy in flagranti*,

⁵ Historię odnalezienia maszynopisu opisuje Jerzy Jaruzelski w posłowniu towarzyszącym wydaniu *Domu Rzdziwiłłów* w edycji *Pism wybranych* z 2012 r.

⁶ Oświadczenie Mackiewicza, w którym informował opinię publiczną o wyjeździe do kraju ukazało się w emigracyjnych pismach: „Dziennik Polski” i „Dziennik Żołnierza”. Stwierdzenie „Polska jest Polską” (skrycie polemiczne wobec znanego dwuwiersza „Tylko pod krzyżem, tylko pod znakiem, Polska jest Polską, a Polak Polakiem”), które znalazło się w zakończeniu enuncjacji, zgodził się umieścić, ulegając sugestii pertraktującego z nim w sprawie warunków powrotu Jerzego Klingera, pracownika wywiadu. K. Tarka, „Polska jest Polską”, dz. cyt., s. 93. Fraza popularnej pieśni Jana Pietrzaka (powst. 1976) *Żeby Polska była Polską* koresponduje osobliwie z Catowym (nie-Catowym) aforystycznym wyrazem akceptacji dla PRL-u.

⁷ Zob. P. Libera, *Stanisław Mackiewicz w Berezie Kartuskiej*, w: *Stanisław Mackiewicz. Pisarz polityczny*, s. 97-110.

ostatniej książki pisarza (pierwodruk 1965) wznowionej w ramach edycji *Pism wybranych* firmowanych przez krakowski „Universitas”, Janusz Mierzwa pisał:

Był on bowiem człowiekiem żyjącym w XX wieku, ale do niego nieprzynależnym. Okresem mu właściwym był chyba ten, którego charakterystykę zawarł na stronach *Europa in flagranti – belle epoque*. Jak wspomniał współczesny Mackiewiczowi, choć nieco od niego młodszy, Wacław A. Zbyszewski: „Mackiewicz był do końca życia człowiekiem XIX wieku, człowiekiem sprzed pierwszej wojny światowej, może nawet jeszcze dawniejszych czasów [...], był archaiczny w podejściu do wszystkich zagadnień”. Ten archaizm widać w jego stylu i w istocie sympatii, z jaką odnosi się do omawianych czasów⁸.

W ostatnim fragmencie posłowania autor jeszcze raz wrócił do wątku „nieprzynależności” Mackiewicza do własnej epoki: „Tego anachronizmu Mackiewicz trzymał się jednak do samego końca – chciał być anachroniczny także po swojej śmierci. Chciał być pochowany na wileńskiej Rossie” z inskrypcją „Stanisław Mackiewicz, szlachcic litewski”⁹.

„Anachronizm” Mackiewicza zasługuje niewątpliwie na głębszą refleksję, zważywszy że na kwestię tę sam pisarz był wyczulony jako publicysta historyczny¹⁰. W tej chwili jednak skupię się na czym innym, pytając o użytek, jaki czyni z „anachroniczności” cytowany Janusz Mierzwa. Otóż akcent położony na „anachronizm” pozwala autorowi posłowania wyrwać pisarza z PRL-owskich okowów i poszukać w omawianej książce treści, które mogą zainteresować czytelnika dzisiejszego (uwagi o religii,

⁸ J. Mierzwa, *Piękna epoka Stanisława Cata-Mackiewicza*, w: S. Mackiewicz, *Europa in flagranti*, Kraków 2012, s. 365-366.

⁹ Tamże, s. 372.

¹⁰ W książce *Stanisław August* interesująco pisze Mackiewicz o anachroniczności XVII-wiecznej Polski w wieku XVIII. „Anachroniczność” Cata warto też rozważyć w kontekście jego afiliacji konserwatywnej. Obydwa pojęcia występują w tytule książki J. Osicy z początku lat 80. (J. Osica, *Politycy anachronizmu. Konserwatyści wileńskiej grupy „Słowa” 1922-1928*, Warszawa 1982. O Mackiewicz i polskiej tradycji konserwatywnej zob. K. M. Ujazdowski, *Konserwatyzm polski. Doktryna, nie metoda*, w: *Stanisław Mackiewicz. Pisarz polityczny*, s. 11-26.

feminizmie, konsumpcji, Chinach)¹¹. Zabieg to najzupełniej zrozumiały, zważywszy na funkcję popularyzatorską artykułu, ale też i dyskusyjny, bo w świetle przywołanego tekstu głównym powodem, dla którego warto Mackiewicza czytać, jest sama rozkosz lektury. Przyjemności istotnie dostarczają pisma Cata bez liku, lecz trzeba pamiętać, że potrafiły przyprawiać o gniew, a nawet o wściekłość. Wielu czytającym jego teksty ciśnienie skakało niebezpiecznie wysoko. Dość przypomnieć artykuł, którym podsumował swoje premierowanie na wychodźstwie.

By odświeżyć związek pisarza oraz *Europy in flagranti* z czasem, kiedy książka powstała, posłużę się metodą, którą on sam w swoim finalnym przedsięwzięciu pisarskim stosuje, mianowicie sięgnę do ówczesnej prasy. Tadeusz Katelbach (prawie rówieśnik Mackiewicza, znany mu osobiście) recenzując – aprobatywnie – na łamach londyńskich „Wiadomości” ostatnią książkę Cata, traktującą o Europie na przełomie XIX i XX wieku, wskazuje poniekąd na jej „anachroniczność”, chociaż określenia tego nie używa; pisze bowiem, że stosunkowo niewiele rzecz ta dostarcza materiału do polemiki. Nie musi dodawać, jak jest to niebywale w przypadku pisarza tak zawsze krnąbrnego i zaczepnego:

Bo wszystko co w tej książce opisuje [Mackiewicz] – to przeszłość, to historia. To nie czasy, w których autor bierze czynny udział w życiu politycznym, czy w charakterze redaktora „Słowa” wileńskiego czy posła B.B.W.R.u, a na emigracji – członka Rady Narodowej w Paryżu. To nie czasy, gdy walczy w swych artykułach i broszurach o Wilno i Lwów, by zamknąć swą działalność polityczną w roli operetkowego premiera, a wkrótce potem przekreślić ją i przed październikiem 1956 wrócić do rządzonej jeszcze po bierutowsku Polski. Do tej odległej przeszłości, jak każdy z jego rówieśników, Mackiewicz miał sentyment. Czuł ją doskonale, choć był wówczas dzieckiem, a w latach pierwszej wojny studentem¹².

¹¹ PRL jako kontekst pojawia się w jednym zdaniu artykułu: „[...] musiał się zmierzyć w owym czasie z problemami związanymi z podpisaniem *Listu 34* i ujawnieniem jego współpracy z paryską <Kulturą>”. J. Mierzwa, dz. cyt., s. 365.

¹² T. Katelbach, „*Europa in fragranti*”. *Ostatnia książka Stanisława Mackiewicza*, „Wiadomości”, Londyn 1966, nr 17.

Czytelnik nie znajdzie zatem w tej książce dawnego Mackiewicza – namiętnego uczestnika gry politycznej, „zagończyka”¹³. Wyjdzie mu na spotkanie Mackiewicz do siebie niepodobny: sentymentalny, oglądający się wstecz ze łzą w oku emeryt, aczkolwiek jeszcze wcale rześki, nieprawdopodobnie – to się nie zmieniło – odcytany i bynajmniej nie oderwany od świata, skoro napisał książkę na podobny temat co Amerykanka Barbara Tuchman, nagrodzona Pulitzerem w roku 1963¹⁴. Recenzent sugeruje, że publicystę mierzącego się z aktualiami obezwładnił powrót do PRL-u. Została mu na pociechę jedynie dla nikogo niegroźna, chociaż jak zawsze w lekturze porywająca, publicystyka historyczna. Ale i w odległej przeszłości pisarz nie mógł sobie najwyraźniej pozwolić na pełną swobodę twórczą. Katelbach zastanawia się, dlaczego w dziele o Europie przyłapanej w niedwuznacznej sytuacji na progu XX wieku, nie poświęca autor ni krzty uwagi Piłsudskiemu, którego był przecież od zawsze gorącym zwolennikiem i wyznawcą:

Zdumiewa, że ani razu w całej książce nie pada nazwisko Piłsudskiego. Mackiewicz pisze o Dmowskim, Daszyńskim, Badenim, Bilińskim, ale w Europie, którą łapie *in flagranti* na jej złych i dobrych uczynkach, nie dostrzega Piłsudskiego. Tylko raz wspomina o nim bezimiennie [...]. Czym sobie wytłumaczyć że Europa na przełomie dwóch stuleci, że Polska w tym czasie, u Mackiewicza obywa się bez Piłsudskiego? Mógł autor odpowiedzieć, że już wiele razy o nim pisał. Może wolał nie pisać niczego, niż pisać banały. A może pominięcie osoby Piłsudskiego było ceną, jaką ten pisarz pragnący uchodzić za niezłomnego musiał zapłacić za to by *Europa in flagranti* mogła się w ogóle ukazać na półkach księgarskich?¹⁵.

Pytanie Katelbacha można by skomplikować, zastanawiając się, czy zadziałała tu cenzura czy autocenzura, bo przecież nie jest to jedno i to samo, aczkolwiek ta druga niekiedy uaktywniała się po długiej mitrędze z cenzurą instytucjonalną.

¹³ I. Bączkowska, *Lament po zagończyku*, „Wiadomości”, Londyn 1966, nr 17.

¹⁴ Katelbach postuluje, by *The Guns of August* autorstwa Tuchman przełożyć na język polski, co i nastąpiło, ale dopiero w roku 1984 (*Sierpniowe salwy* wydał „Czytelnik”).

¹⁵ T. Katelbach, dz. cyt.

Mackiewicz, który przyjechał do PRL-u z „wolnego świata”, z pewnością zamierzano traktować wspaniałomyślnie, przynajmniej na początku. Na łamach „Wiadomości”, redagowanych przez Mieczysława Grydzewskiego w Londynie, pisano z wyczuwalną dozą zawiści:

Propaganda warszawska, nastawiona na pisarzy, uderza świadomie w pozycję bolesną. Różne są jej drogi. Niektórym pisarzom proponuje się wydanie ich książek w wielkich nakładach. Honoraria są ogromne, byłyby ponętne nawet dla znanych pisarzy angielskich czy francuskich¹⁶.

Mackiewiczowi wydano w kraju w 1956 roku *Stanisława Augusta* (edycja londyńska 1953), natomiast w 1957 – aż trzy książki: *Dostojewskiego*, *Londyniszcz* i *Muchy chodzą po mózgu*. W okresie odwilżowo-październikowym cenzura miała pełne ręce roboty z miejscową literaturą rozrachunkową. Jak wynika ze sprawozdań, koncentrowano się na pozycjach z odniesieniami do realiów PRL-owskich. Metodycznie trzebiono też wszelkie wzmianki o cenzurze, pracy urzędu, na które autorzy ośmieleni Październikiem wciąż sobie pozwalali. Temperowanie i wychowywanie Mackiewicza można było pozostawić oficjalnej krytyce prasowej. Grydzewski z występłą satysfakcją przytoczył krajową reakcję na cykl anglofobicznych artykułów *Londyniszcz* ogłoszonych w „Przeglądzie Kulturalnym”, której autor obłudnie pouczał pisarza jakoby zdeorientowanego w nowym dla niego otoczeniu:

Zabawne, że ten pierwszy popis publicystyczny wozwraszczenia Mackiewicza spotkał się w „Echu Warszawy” z ostrym potępieniem jego ideologicznego współplemieńca z czasów sanackich, którego żywot publiczny także dość kręto się układa. Anglospec Litauer kwalifikuje artykuły Mackiewicza jako niedorzeczność, zarzuca mu chełpliwość, nieodpowiedzialność i groteskowość, wreszcie poucza, że „Polska dzisiejsza, Polska Ludowa odnosi się z szacunkiem do każdego narodu” i że sianie nienawiści między narodami jest sprzeczne z założeniami „Polski

¹⁶ [S. Zahorska], *Druga rewolucja*, „Wiadomości”, Londyn 1956, nr 33.

socjalistycznej”. „Pan Mackiewicz – kończy złośliwie Litauer – jest co prawda niedawno w Polsce Ludowej, ale tyle winien już zrozumieć”¹⁷.

Oczywiście urąganie Anglosasom miało być jednym z kluczowych zadań Mackiewicza na forum krajowym.

Ale wróć jeszcze do *Europy in flagranti*. W *Protokole narady dotyczącej publikacji nieperiodycznych z 7 grudnia 1963 roku* zwraca się uwagę na zmianę charakteru współpracy wydawnictw z cenzurą, polegającą na tym że wydawnictwa zaczęły się odżegnywać od czynności cenzorskich, jeszcze niedawno w nich praktykowanych. Weszła w zwyczaj tzw. „droga odrzuconego maszynopisu”. Tekst zakwestionowany przez cenzurę wędrował z wydawnictwa do wydawnictwa. Niekiedy aż do skutku. Co więcej, zdarzało się że prasa literacka wywierała presję na cenzurę, wspomagając autora, którego teksty nie kwalifikowały się do druku¹⁸. Z uwag tych wynika, że cenzorzy czują się wówczas w swoich poczynaniach cokolwiek osamotnieni, w mniejszym zakresie niż dotąd wspierani przez wydawnictwa i prasę literacką. Wśród zaleceń dla cenzorów pada pouczenie, by w czynnościach kontrolnych nie sugerować się nazwiskami pisarzy. Nawet najbardziej „zaangażowani” mogą popełniać błędy wymagające uważnej korekty.

Europę in flagranti wydawnictwo paxowskie miało w planach na rok 1964. W zasobach archiwalnych po GUKPPiW znalazłam dokumentację odnośnie do wspomnianej książki, wskazującą na perturbacje z jej wydaniem. W dniu 10 grudnia 1963 roku z Instytutu Wydawniczego Pax skierowano do Urzędu rutynową prośbę o pozwolenie na skład książki pod roboczym, jak się okazało, tytułem *Czternaście lat* (planowany nakład 20 tys. egzemplarzy). 7 sierpnia 1964 roku w piśmie towarzyszącym dwóm egzemplarzom szcztokowym proszono o wydanie zgody na druk tego samego tekstu, tyle że już pod docelowym tytułem *Europa in flagranti*¹⁹. Zgodę na rozpowszechnianie książki, która oznaczała wprowadzenie jej do oficjalnego obiegu, wydano w urzędzie dopiero 8 września 1965 roku, co oznacza, że przez trzynaście miesięcy pozostawała w obiegu przedpublikacyjnym. Niestety zachowane dokumenty nie pozwalają zrekonstruować,

¹⁷ [M. Grydzewski], *Anglofob i Anglofil*, „Wiadomości”, Londyn 1956, nr 38.

¹⁸ AAN, GUKPPiW, sygn. 813,teczka 197/8.

¹⁹ AAN, GUKPPiW, sygn. 1020,teczka 145/38.

co się dokładnie działo się w tym czasie z ostatnią książką Mackiewicza. Ślady cenzorskich ołówków zostawionych na pismach z wydawnictwa pozwalają stwierdzić jedynie, że toczyła się w urzędzie czy też między urzędem a pisarzem dyskusja nad cenzuralnością jej fragmentów: w rezultacie – na to wskazują dokumenty – ingerowano chyba w trzech przypadkach, ale zastanawiano się jeszcze nad 25 innymi miejscami newralgicznymi: numery stron najpierw ktoś zapisał, potem poprzekreślał. Ale zapiski te można zinterpretować inaczej – przekreślenia oznaczają fragmenty już skorygowane, a oznaczenia stron bez skreśleń wskazują na te, których jeszcze nie poprawiono.

Z powodu opóźnienia w wydaniu decyzji 16 stycznia 1965 roku wydawnictwo przesłało pismo z kolejną prośbą:

W związku z trwającym ponad 5 miesięcy okresem oczekiwania na udzielenie zezwolenia na druk w/w pozycji drukarnia Szczecińskie Zakłady Graficzne zawiadomiła nas, że jest zmuszona rozebrać skład książki. Wobec tego uprzejmie prosimy o udzielenie zezwolenia na zmatrycowanie składu w oczekiwaniu na ostateczną decyzję Głównego Urzędu Kontroli²⁰.

Z ponowną prośbą o zezwolenie na druk wystąpiono 28 maja 1965 roku, przypominając że książkę zatwierdzono w planie wydawniczym na ten właśnie rok. Tym razem w urzędzie się nie ociągano: zgodę wyrażono jeszcze tego samego dnia. W dniu 3 września 1965 roku do cenzury przesłano sześć egzemplarzy książki (nakład 10 tysięcy + 350, a więc o połowę mniejszy niż zakładano uprzednio) z prośbą o zgodę na dystrybucję, którą za parę dni, jak już wspomniałam, uzyskano. Stanisław Mackiewicz ukryty pod fantazyjnym pseudonimem Gaston de Cerezay na łamach „Kultury” twierdził, że w *Europie in flagranti* „skreślono prawie wszystko, co dotyczyło spraw polskich”²¹. Czy zatem, jak podejrzewał Katelbach, ofiarą cięć padł właśnie Piłsudski? Jest to prawdopodobne,

²⁰ AAN, GUKPPiW, sygn. 1020,teczka 145/38.

²¹ Gaston de Cerezay, *Polska Gomułki i list „34”*, „Kultura”, Paryż 1964, nr 10, s. 16. W artykule tym Mackiewicz zrelacjonował m.in. swoje wystąpienie na plenum Zarządu Głównego Związku Literatów 17 i 18 I 1964 r.

bo z jego powodu między innymi nie ukazała się książka Mackiewicza o polityce Becka. Przy czym proces wydawniczy w tym przypadku był już bardzo zaawansowany, kiedy zdecydowano, by do publikacji nie dopuścić. Z datą 26 maja 1962 roku wpłynęła do urzędu cenzorskiego prośba o pozwolenie na skład książki o roboczym tytule *Beck i jego polityka*. Datę 22 czerwca tego samego roku nosi pismo dotyczące projektu okładki, ilustracji i strony tytułowej oraz zmiany tytułu rzeczony książki (*Sprawa Becka*). 31 sierpnia przesłano odbitki szrotkowe utworu, które mieli wziąć na warsztat cenzorzy. I na tym dokumentacja się urywa. Na ostatnim z wymienionych pism nie ma żadnej adnotacji świadczącej o aprobacie bądź odmowie druku, ale skądinąd wiadomo, że książki w kraju wówczas nie wydano. Pośrednio do niej odnosi się uwaga funkcjonariusza urzędu cenzorskiego sprawozdającego aktywność swojej instytucji w roku 1962: „Dość często usuwamy akcenty popularyzujące przedwojennych działaczy sanacyjnych i endeckich. Najjaskrawiej występuje to u Cat-Mackiewicza, któremu skreślono nacechowane kultem wspomnienia o Piłsudskim”²². Po niepowodzeniu z weryfikacją urzędową Mackiewicz przesłał niecenzuralną książkę Jerzemu Giedroycowi. Ukazała się nakładem paryskiego Instytutu Literackiego w 1964 roku pt. *Polityka Becka*. W cenzurze tkwiła wówczas, o czym wspominałam wcześniej, *Europa in flagranti*. Obydwa wymienione utwory Cata współtworzą sekwencję, której punktem ośrodkowym jest *List 34*, podpisany również przez niego. Kwestią najważniejszą publicznego protestu, chociaż nieco asekuracyjnie poruszoną na drugim miejscu, była sprawa cenzury. Spośród wszystkich sygnatariuszy Mackiewicz posunął się w swym sprzeciwie najdalej, podejmując decyzję o publikacji zatrzymanej książki poza zasięgiem PRL-owskich kontrolerów słowa i nawiązując współpracę z emigracyjną „Kulturą”. Nie zamierzano mu tego darować. Wszczęto energiczne przygotowania do postawienia pisarza przed sądem.

Lekceważąc zakaz druku Cat postąpił w swoim stylu, tym dobrze znanym z lat poprzedzających powrót do kraju. Reakcja wobec ograniczeń cenzuralnych, które nasiliły się z początkiem lat 60., była w jego przypadku rozgrywką o reputację, na którą pracował, odkąd z prowincjonalnego pisma wileńskiego „Słowo” uczynił wpływowy organ opinii

²² AAN, GUKPPiW, sygn. 960,teczka 127/5.

o zasięgu krajowym. Sukces ów wiązał się zresztą z licznymi konfiskatami artykułów czy całych numerów, a wreszcie i z odosobnieniem redaktora w Berezie Kartuskiej. Reputację swoją naraził drastycznie, kiedy zdecydował się na przyjazd do PRL-u. Dopiero co pełnił wszak funkcję premiera rządu na uchodźstwie, w latach 1946-1950 wydawał nieprzejeđnane w stosunku do ustaleń jałtańskich pismo „Lwów i Wilno”. Przed wojną zaś napisał przecież i wydał *Myśl w obcęgach. Studia nad psychologią społeczeństwa Sowiećów*. Decydując się na powrót do kraju zdawał się dobrowolnie wkładać głowę w obcęgę. W oczach środowisk emigracyjnych aktem tym skazał się na śmierć cywilną. Ale i w tej ocenie wypowiedanej zgodnym chórem zaznaczyły się niuanse, które pozwalały reputacji Cata mimo wszystko bronić. Mam na myśli zwłaszcza artykuł Mariana Hemara zatytułowany *Harakiri*, opublikowany w londyńskich „Wiadomościach” w 1956 roku.

Nie dla żartu używam słowa „harakiri” – wyjaśniał Hemar – z wszystkich sposobów i pobudek samobójstwa, jest to forma najmniej tchórzliwa, przeciwnie, jest to samobójstwo mściwe, demonstracyjnie agresywne. Jest w nim schaden-freudowska reakcja na krzywdę, której nie można inaczej pomścić i ukarać, jeno przez zwalenie winy za własną śmierć na czyjeś sumienie²³.

Ale zarazem „mściwe samobójstwo” Cata jest to – czy się to komu podoba, czy nie – „najlepsze propagandowe osiągnięcie ostatnich lat emigracji”. O winach Anglosasów wobec Polski pisało na emigracji wielu, lecz dopiero manifestacyjne rozstanie się Mackiewicza z emigracją nadkruszyło mur obojęćności: „Najpowaźniejsze dzienniki świata ogłosiły jego słowa, najpowaźniejsi komentatorzy radiowi przytoczyli je *in extenso*”²⁴. Cóż stąd jednak, kiedy emigracja nie potrafi tego propagandowego sukcesu w żaden sposób zagospodarować. Do samego Hemara argumenty Cata nie przemawiały, lecz dostrzegając w jego wyborze zgodność z gloszonymi przezeń opiniami, nie odsądzał pisarza od czci i wiary. Znacznie bardziej irytował się na reakcje opinii emigracyjnej, świadczące o niezdolności do

²³ M. Hemar, *Harakiri*, „Wiadomości”, Londyn 1956, nr 38, s. 4.

²⁴ Tamże.

myślenia i działania politycznego. Polityka – przekonywał – jest „sztuką grania na cztery ręce”, czego u nas nikt nie rozumie. U nas „jedna para rąk od razu przestaje się kłaniać drugiej. Każda chce grać sama”. W dalszym ciągu swojego wywodu rekapitulował Hemar reakcje prasy emigracyjnej na apostazję Mackiewicza:

Mniejsza o głęboką radość „zjednoczeniowców” że jeszcze raz Zamek się skompromitował i że tak kończy każdy, kto się porwie na „Berg”. W tej obywatelskiej ucieście „rodactwa”, jak mawiała Maria Pawlikowska, jest coś, co człowieka mierzi, przyzwoitego, oczywiście, ale mniejsza o to.

Przez kilkanaście godzin szukano gorączkowo formułki: „Wie sag’ ich es meinem Kinde?” Jak to powiedzieć dziecku? Dziecko zapyta: „Tatusiu, co się stało panu Mackiewiczowi, że pojechał?” Nie można naszym milusińskim czytelnikom „Dziennika Polskiego” i słuchaczom Radia Wolnej Europy powiedzieć: „Dowiesz się, gdy podrośniesz”... Znalaziono kapitalną formułkę: „Społeczeństwo Emigracyjne z Ulgą Powitało Wyjazd Kłopotliwego Cata”²⁵.

Jak by należało się zachować zdaniem autora? W sposób dojrzały i odpowiedzialny. Jak dokładnie, zilustrował anegdotą wywiedzioną z własnych doświadczeń żołnierza-radiowca w wojennym Tobruku. W komunikacie radiowym o nieudanej operacji militarnej z udziałem Polaków chciał użyć słowa „klęska”, co mu natychmiast ocenzurowano, zmieniając „klęskę” na „porażkę”, żeby nie obniżyć żołnierskiego morale. Odwołując się do opisanej sytuacji, w nawiązaniu do wolty Cata proponował taką oto wykładnię: „Powrót do Kraju Mackiewicza był porażką emigracji, był dla wielu z nas bolesnym wstrząsem i zawodem. No to co? Jeśli nas nie stać na porażki, zawody i wstrząsy, poddajmy się od razu. Albośmy dorośli, albo dzieci”. Mackiewiczowi zaś jeszcze raz oddał sprawiedliwość: „Bodaj nam się każdy tak przynajmniej zasłużył w godzinie moralnej śmierci, jak Mackiewicz”²⁶. Hemar pisał swój artykuł już po tym, jak „wazwraszczeniec” zabrał głos w sprawie wypadków

²⁵ Tamże.

²⁶ Tamże.

czerwcowych w Poznaniu, interpretując stłumione krwawo wystąpienie robotników jako prowokację Zachodu. Do tej drażliwej kwestii autor omawianego artykułu również się odniósł, pisząc że reakcja Mackiewicza bynajmniej go nie zdziwiła: „Powiedziałem przecie, że jego już nie ma. Popęnił harakiri”²⁷.

W związku z wypowiedzią Hemara dwie sprawy warto podkreślić. Po pierwsze tezę o infantylnym jako nieuleczalnej skazie polskiego umysłu zbiorowego, na który autor w „Wiadomościach” pomstuje, a który był również jednym z głównych wrogów Mackiewicza i obiektem jego nieustających ataków. Szarże Cata na zbiorowe obłądki liczą wiele akapitów. Przed żadnym tabu ani myślał cofać się z respektem. Drugie zagadnienie wiąże się z interpretacją poznańskiego czerwca, zgodną z oficjalną wykładnią władzy komunistycznej w Polsce. Trudno zaprzeczyć, że Mackiewicz wypowiedział się tak, jak życzyli sobie tego komuniści, lecz też ze znaczną dozą prawdopodobieństwa można przypuścić, że gdyby pozostawał wówczas na emigracji – jego ocena wydarzeń w Poznaniu byłaby dokładnie taka sama. Wszak prowokacja należała do perseweryjących w jego piarstwie tematów publicystyczno-historycznych, przy czym predylekcja do tego zagadnienia nie sytuowała go automatycznie pośród zwolenników teorii spiskowych.

I jeszcze uwaga co do „harakiri”, jak Hemar nazwał samobójczo-mściwą decyzję Mackiewicza z 1956 roku. Decyzję, żeby opublikować *Politykę Becka* w Paryżu, w roku 1964, można by określić tym samym mianem. O ile jednak za pierwszym razem mierzył Cat swoim publicznym samobójstwem w emigrację, o tyle aktem z 1964 roku godził nie tylko w komunistów, którzy poprzez cenzuralne manipulacje chcieli z niego zrobić swego propagandystę, odbierając mu możliwość uprawiania autentycznej publicystyki. Drugie „harakiri” wymierzone było również, a nawet przede wszystkim, w pisarzy i to nie tych usłużnych wobec władzy, ale przeciwnie – tych buntujących się, niepokornych. Po śmierci Cata „Kultura” paryska opublikowała jego ostatnie zapiski przekazane do dyspozycji Redaktora: *Zapiski z kraju niewoli* (tytuł brzmi dziewiętnastowiecznie). Znalazła się tam przejmująca notatka na temat cenzury:

²⁷ Tamże.

Woła się tutaj o zniesienie cenzury, a raczej wołali o to niektórzy literaci w roku zeszłym. Istotnie w Warszawie, nie mówiąc już o Krakowie czy Poznaniu, nigdy nie było takiej cenzury jak obecnie za najgorszych carskich czasów, za Hurki i Apuchtina. Cenzura w Polsce nie jest żadną cenzurą, lecz redakcją, a nawet nie redakcją, lecz nauczycielem i dyrygentem tego, co pisać należy. Ale, znowuż, z ręką na sercu, czy zniesienie cenzury w obecnych warunkach jest w Polsce możliwe? – Przecież nie tylko polityczne, lecz może jeszcze bardziej gospodarcze stosunki w komunistycznej Polsce nie wytrzymałyby jednego roku swobodnej krytyki. Przecież ucisk myśli, zakneblowanie ust jest to *conditio sine qua non* utrzymania obecnego stanu rzeczy w Polsce²⁸.

Ta konstatacja podważa racje moralne wszelkich starań o tzw. „liberalizację”, w której skądinąd pokładał Mackiewicz nadzieje na odchodnem z emigracji. Do kraju wyruszał rozgłaszając wszem i wobec, że tkwienie na wychodźstwie nie ma już żadnego sensu, skoro Polska na trwałe znalazła się w sowieckiej strefie wpływów. W przedśmiertnych notatkach defetyzm rozciągał na wszelką opozycję krajową. Skoro warunkiem trwania komunistycznego stanu rzeczy jest właśnie cenzura, szamotanie się w imię wolności słowa jest albo świadectwem całkowitej dezorientacji, albo symulującą opozycyjność współpracą z reżimem po to, by do spółki z nim organizować życie zbiorowe – w chwili obecnej lub zwłaszcza po następnym „Październiku” czy innym „polskim miesiącu”. Nie znam wypowiedzi o cenzurze w PRL-u, która by przyznawała jej aż tak fundamentalne znaczenie.

²⁸ S. Mackiewicz, *Zapiski z kraju niewoli*, „Kultura”, Paryż 1966, nr 3, s. 19.

IX. Zemsta liszeńca. Wokół *Porachunków osobistych* Leopolda Tyrmanda

A dlaczego miałby wracać?
Co taki człowiek ma do roboty w komunizmie?
(L. Tyrmand, *Dziennik izraelski*)

Mobilność zagraniczna

Wydana w 2010 roku książka Dariusza Stoli *Kraj bez wyjścia? Migracje z Polski 1949-1989*¹ przyniosła pierwsze całościowe opracowanie zagadnienia, mieszczącego się w kręgu PRL-owskich tematów tabu. Rok 1949, jak wiadomo graniczny w powojennych dziejach polskiej kultury (proklamowanie socrealizmu), został w omawianej pracy przyjęty za datę ramową w kontekście problematyki migracyjnej dlatego, że dotkliwie przyspieszenie procesu sowietyzacji Polski wiązało się z daleko idącym uszczelnieniem granic. Rok ów kończył tym samym okres masowych przemieszczeń wojennych i powojennych². Odtąd wyjechać z kraju wedle własnego uznania na krócej czy na dłużej, nie mówiąc już o wyprowadzce

¹ Według Marcina Kuli jest to „Jedna z najważniejszych książek o PRL”. M. Kula, *PRL i migracje międzynarodowe; PRL przez pryzmat migracji*, „Przegląd Migracyjny – Studia Polonijne” 2011, t. 37, nr 4, s. 209.

² Zob. P. Eberhardt, *Migracje polityczne na ziemiach polskich (1939-1950)*, Poznań 2010.

na zawsze, było nadzwyczaj trudno. Wyjazdów zagranicznych w celach zarobkowych, turystycznych, naukowych w państwie komunistycznym nie traktowano jako nienacechowanych elementów ludzkiej aktywności. W dobie realnego socjalizmu żelazna kurtyna stopniowo rzeszotowała, jednakże podział na tych, którzy swobodnie bądź względnie swobodnie wyjeżdżają, zwłaszcza na Zachód, i na niemobilnych dawał się odczuć do samego końca PRL-u. Niewymienialność złotego i dysproporcja zarobków w obu światach tyleż motywowała chętnych do podróży, co sprzyjała ich selekcyonowaniu.

„Zamykanie Polski”, jak stwierdza Stola, miało oczywiście źródła w implementowaniu „sowieckiej polityki izolacji”, ale wynikało też z praktycznych względów, przyświecających twórcom nowego państwa, nowego nie tylko pod względem ustrojowym, z nowymi elitami, o nowych regulacjach społecznych, prawnych, gospodarczych, lecz także – co w związku z problematyką migracyjną nawet ważniejsze – powstającego w gruntownie zmienionych w stosunku do międzywojnia granicach, ponadto zaś kontestowanego przez większość ludności zgromadzonej pod narzuconą jej władzą³. Ograniczenia swobody przekraczania granic sprzyjały zatem urzeczywistnieniu nowej mapy tej części świata. Zagadnienie podjęte przez Stolę doświetla przy okazji wciąż nie dość jeszcze zbadaną i opisaną stronę Polski Ludowej jako eksperymentu społecznego, a mianowicie proces tworzenia w połowie wieku XX-go państwa typu narodowego⁴. Kwestię tę przesłaniają nagłaśniane w PRL-owskich mediach hasła internacjonalizmu oraz formowania egalitarnego społeczeństwa socjalistycznego. Tymczasem uszczelnienie granic służyło między innymi właśnie zdefiniowaniu zbiorowości Polaków od nowa w kategoriach etnicznych, mówiąc zaś inaczej monoetniczacji mieszkańców Polski.

Celem rządów Polski Ludowej – konstatuje historyk – było wyłączenie ze społeczeństwa polskiego *obcych elementów* i dostosowanie ludności do terytorium państwowego, czyli realizacja podstawowej zasady nacjonalizmu [...]⁵.

³ D. Stola, *Kraj bez wyjścia? Migracje z Polski 1949-1989*, Warszawa 2010, s. 26.

⁴ O Wielkim Eksperymentie powojennym pisał Stefan Kisielewski na łamach „Kultury” paryskiej w 1983 r.: „Polska duża, zniszczona, zacofana, wykorzeniona, bez mieszczaństwa, wydała się idealnym terenem dla Wielkiego Eksperymentu”. S. Kisielewski, *Bezsilność publicystyki*, „Kultura”, Paryż 1983, nr 1-2, s. 118.

⁵ D. Stola, dz. cyt., s. 29.

Z tego względu wyjeżdżających na stałe w końcu lat 40. i później obywateli polskich pochodzenia niemieckiego i żydowskiego nie traktowano jako emigrantów w jakimkolwiek neutralnym sensie, lecz ich stygmatyzowano, żądając przed wyjazdem zrzeczenia się obywatelstwa polskiego. Natomiast przesiedlanych zza Buga konsekwentnie nazywano „repatriantami” – miano to powszechnie się też przyjęło – choć w istocie przecież emigrowali ze swego miejsca zamieszkania. Zresztą gwarantowane Polakom przez konstytucje przedwojenne prawo do emigracji zostało pominięte najpierw w Małej Konstytucji z 1947 roku, potem w Konstytucji PRL z roku 1952⁶. Emigracja z PRL-u sposobem praktykowanym przed wojną czy w tzw. „wolnym świecie” po prostu nie była możliwa: w grę wchodziło albo urzędowe wykluczenie ze wspólnoty narodowej pod pretekstem obcego pochodzenia, albo ucieczka.

Zamknięcie Polski stanowiło z jednej strony nieuchronną konsekwencję rządów totalitarnych, obejmujących nadzorem wszystkie sfery życia, nie respektujących fundamentalnego dla cywilizacji Zachodu rozróżnienia między dziedziną publiczną a prywatnością, z drugiej zaś wynikało z modernizacyjnych ambicji ekipy komunistycznej oraz klimatu zimnowojennego. Chodziło o przeciwdziałanie ubytkom zarówno siły roboczej niezbędnej dla realizacji planów szybkiego uprzemysłowienia kraju, jak i rekruta na wypadek wojny, która stale, i nie wyłącznie za sprawą propagandy, wisiała w powietrzu⁷.

⁶ Tamże, s. 38-39.

⁷ Tamże, s. 47. O wojenno-okupacyjnych stratach ludnościowych zob. *Polska 1939-1945. Straty osobowe i ofiary represji pod dwiema okupacjami*, red. T. Szarota, W. Materski, Warszawa 2009. Według *Sprawozdania w przedmiocie strat i szkód wojennych Polski w latach 1939-1945*, opublikowanego w 1947 r. przez Biuro Odszkodowań Wojennych przy Prezydium Rady Ministrów, oszacowano ubytek ludności na 6 028 000 osób (w tym ok. 3 mln Żydów i Polaków pochodzenia żydowskiego, obywateli II RP). Liczba ta odpowiadała dyrektywie Jakuba Bermana z grudnia 1946 r. („Ustalić liczbę zabitych na 6 milionów ludzi“) i została podporządkowana celom polityczno-propagandowym. Od początku budziła też wiele zastrzeżeń ze względu na „nieuwzględnienie (bądź ukrycie w stratach zadanych przez Niemców) masowych mordów, których dopuścili się okupanci sowieccy, a w dalszej kolejności także nacjonałiści ukraińscy. Nie uwzględniono również ofiar spośród obywateli II RP, w czasie wojny i po niej wliczonych przez Sowietów w skład narodów ZSRR: Ukraińców, Białorusinów i Litwinów (i występujących zapewne jako ofiary tego państwa). Statystyczne obliczenia podjęte niemal nazajutrz po zakończeniu II wojny światowej musiały także wykluczyć tych obywateli Polski przedwrześniowej, którzy wojnę przeżyli, ale z powodów politycznych przebywali na wygnaniu (w tym w łagrach) bądź zdecydowali się na pozostanie na wychodźstwie na Zachodzie (w latach 1945-1946 ok.

W efekcie omawianej tu polityki „mobilność międzynarodowa”, jeśli określeniem tym objąć emigrację i wyjazdy czasowe, została skrajnie „upaństwowiona” i oddana do dyspozycji rządzącej partii.

Państwo nie tylko najściślej nadzorowało ruch zagraniczny, decydowało, kto i na jakich warunkach może wyjechać, ale też uczyniło z tego ruchu przywilej swoich funkcjonariuszy, a zwykłych obywateli pozbawiło swobody przemieszczania się. Potrzeby, prawa i pragnienia pojedynczego petenta, którego w takich warunkach trudno nawet zwać obywatelem, były w tym wszystkim najmniej ważne⁸.

Kto z możliwości wyjazdów czasowych (w latach stalinowskich wyłącznie służbowych), mógł korzystać, kwalifikował się do grona uprzywilejowanych. Kto myślał o wyjeździe bez namaszczenia władz, z miejsca stawał się osobnikiem podejrzanym. Kto samowolnie pozostawał za granicą, musiał się liczyć z publicznym napiętnowaniem jako renegat⁹, aczkolwiek trzeba zauważyć, że w polskim prawie nigdy nie wprowadzono, mimo kilku przymiarek, kryminalizacji samej odmowy powrotu¹⁰.

Dodam jeszcze, że polityka izolacji nie tylko separowała Polaków krajowych od świata, lecz bardzo często również od rozrzuconej po świecie bliższej i dalszej rodziny. Przynależność do narodu osadzanego po 1945 roku na nowym terytorium wymagała zatem zerwania więzi rodzinnych, jeśli sięgały one poza granice państwa. Profesor Jadwiga Czachowska wspomina, że dopiero dzięki odwilżowej liberalizacji mogła wreszcie się spotkać z rodzicami mieszkającymi we Francji. Zaproszenie, wymagane od starających się o pozwolenie na wyjazd, dostała właśnie od nich, tyle

1,6 mln osób). Do roku 1989 nie sposób było zweryfikować liczby strat narzuconej przez Bermana. Liczba 6 028 000 ofiar krążyła zatem po podręcznikach, utrwalając się w pamięci zbiorowej Polaków”. http://niniwa22.cba.pl/polska_1939_1945.htm [dostęp 20. 02. 2017].

⁸ D. Stola, dz. cyt., s. 46.

⁹ Kampanię taką rozpetano przeciwko Miłoszowi w następstwie jego ucieczki na Zachód. Zob. M. Woźniak-Łabieniec, *Obecny nieobecny. Krajowa recepcja Czesława Miłosza w krytyce literackiej lat pięćdziesiątych w świetle dokumentów cenzury*, Łódź 2012; M. A., Supruniuk, *Miłosz '51 – raz jeszcze. Studium o pożytku czytania źródeł*, „Archiwum Emigracji” 2011, nr 1-2, s. 42-78.

¹⁰ D. Stola, dz. cyt., s. 44.

że dla niepoznaki ukrytych pod fikcyjnymi personaliami¹¹. Z kolei Andrzej Szczypiorski spotkał się z rodzicami przebywającymi na emigracji dzięki funkcjonariuszom wywiadu, wypełniając tajną misję nakłonienia ich, by wrócili do kraju¹². Trudna do sforsowania bariera wyrosła również na Wschodzie wraz z ustanowieniem granicy między Polską Ludową a republikami Związku Radzieckiego. Granicę poprowadzono nie tylko przez tereny niezamieszkałe, lecz również wiejskie, rujnując rodzinny i sąsiedzki ekosystem¹³.

Nieosiągalność paszportu drogą procedury otwartej i czytelnej dla zwykłych obywateli uczyniły go dobrem tyleż ekskluzywnym, co upragnionym, wyznacznikiem przynależności do części „lepszego” społeczeństwa, wyraźnie oddzielonej od szarej większości. Pisarzom, czy szerzej – artystom, z pewnością za granicę wyjechać było łatwiej, aniżeli zwykłym śmiertelnikom. Zarazem sam status twórcy kultury nie gwarantował jeszcze spełnienia snu o przekroczenie kordonu, zwłaszcza w kierunku zachodnim.

W badaniach nad środowiskiem literackim PRL-u z pewnością trzeba by poświęcić nieco uwagi właśnie zagranicznej mobilności pisarzy, nie tylko spektakularnym aktom ucieczek z kraju (i powrotów z emigracji), o których sporo już napisano. Wypadałoby też rozeznaczyć się kto, kiedy, dzięki czemu, w jakiej formie (stypendia, sympozja, zjazdy, wycieczki związkowe, wymiana kulturalna) z przywileju paszportowego korzystał, na ile dostęp do podróży tego rodzaju dyscyplinował szczęśliwców, na ile zaś ich twórczo otwierał bądź ośmielał, czego i za jaką cenę im przysparzał, przed czym powstrzymywał. Można oczywiście zjawisko to opisywać w kategoriach mecenatu państwowego. Warto by jednak spróbować innej jeszcze opcji badawczej: skojarzenia regulacji mobilności zagranicznej z cenzuralną

¹¹ *Cenzura PRL-owska we wspomnieniach profesor Jadwigi Czachowskiej* (przygotowała Alicja Szalagan), „Sztuka Edycji” 2015, nr 1, s. 93. Zob. projekt Muzeum Historii Polski: „Rodziny rozdzielone przez historię”, <http://rodziny.muzhp.pl/?strona=menu&menu=czas2>, [dostęp 19.02.2017].

¹² K. Tarka, *Powrót ojca. „Kombinacja operacyjna” z udziałem Andrzeja Szczypiorskiego (1955 rok)*, w: *Mackiewicz i inni. Wywiad PRL wobec emigrantów*, Łomianki 2007, s.123-146.

¹³ O podzielonej wsi Tokary zob. <http://www.newsweek.pl/polska/dwa-panstwa--jedna-wies,79877,1,1.html> oraz <http://www.tygodnik.com.pl/numer/277335/zubkowicz.htm> [dostęp 20.02.2017]. Ostateczną umowę o kształcie granicy wschodniej zawarto dopiero 5 III 1957 r. Na sposób literacki kwestię graniczną jako doświadczenie lokalne ujął Michał Androsiuk w książce *Biały koń*, Białystok 2011.

kontrolą wolności słowa¹⁴. Uszczelnienie granic, polegające nie tylko na ścisłym reglamentowaniu wyjazdów zagranicznych, lecz również na rozbudowie straży granicznej, instalowaniu zasieków czy innych widocznych dla oka i deprymujących barier, uniemożliwiających swobodę poruszania się, ma odpowiednik w działaniu prewencyjnej cenzury, wpływającej na zakres wolności twórczej, regulującej kontakty polskich twórców i publiczności ze zjawiskami kultury światowej. Chodzi między innymi o dostęp do zagranicznej prasy i książek, o politykę przekładową, o cyrkulację idei czy mód, o czerpanie inspiracji z Zachodu¹⁵.

Cenzura ograniczała, a w efekcie – przechodząc płynnie w autocenzurę – unicestwiała, wolność myśli i słowa. Wciąż była jednak operacją na tekście, co prawda z biegiem lat, kiedy funkcję cenzorów w większym stopniu przejmowały wydawnictwa, coraz trudniej uchwytną dla oka, gdyż zostawiała coraz mniej śladów utrwalonych na papierze. Ograniczenia mobilności dotyczyły zaś bezpośrednio osoby pisarza, nie samego tekstu, od którego można się mniej lub bardziej zdystansować, którego w ostateczności można się nawet zaprzec. Trudno dostępna czy pilnie nadzorowana przez władzę możliwość wyjazdu za granicę¹⁶ pouczała dotkliwie, że stąd, gdzie nam życie przyszło, wyjścia nie ma albo jest czy też nagle się staje nadzwyczaj ciasne, tak ciasne, że aż boli, kiedy się przez nie próbować przedrzeć.

Zagadnienie mobilności zagranicznej pisarzy w połączeniu z losami ich dzieł w drodze od biurka pisarza do rąk czytelników (również zagranicznych) wymaga zebrania i opracowania wielu danych, prześledzenia wielu przypadków. W pojedynkę jest to zadanie trudne do wykonania. Niniejszymi uwagami jedynie więc sygnalizuję problem, poddaję go pod dyskusję w nadziei, że będzie mi dane jeszcze do niego powrócić.

¹⁴ Kiedy w latach 70. decydowano o szykanowaniu pisarzy, postulowano łączenie zapisu cenzorskiego ze wstrzymywaniem wyjazdów zagranicznych.

¹⁵ Kompozytor Andrzej Panufnik, który odmówił powrotu do kraju w 1955 r., poruszył w „Kulturze” paryskiej zagadnienie cenzury PRL-owskiej w związku z „polityką izolacji” od Zachodu. Swoją ucieczkę przedstawiał jako reakcję na tę politykę. A. Panufnik, *Życie muzyczne w dzisiejszej Polsce*, „Kultura”, Paryż 1955, nr 1, s. 10.

¹⁶ Kontrolę nad wyjazdami zagranicznymi pisarzy sprawowała Służba Bezpieczeństwa. Po powrocie zobowiązani byli sporządzić sprawozdanie dla ZLP, *de facto* zaś dla SB. K. Rokicki, *Literaci: relacje między literatami a władzami PRL w latach 1956-1970*, Warszawa 2011, s. 68.

Przywilej podróżowania

Odwilż i zmiana październikowa oznaczała jak wiadomo liberalizację również w odniesieniu do kulturowych kontaktów z Zachodem: pośrednich i bezpośrednich form kulturowej dyfuzji. Poczynania cenzury wobec przekładów z literatur obcych krytycznie komentowano na łamach ówczesnej prasy. Lech Burdrecki w artykule *Milczenie i Ucho Igielne*, opublikowanym w „Nowej Kulturze” z 22 sierpnia 1954 roku, narzekał jak niewiele wartościowych zagranicznych dzieł literackich może się dostać do Polski przez ciasne niczym ucho w igle cenzuralne kryteria selekcyjne. Sporządził też długą listę nazwisk autorów, zwłaszcza amerykańskich, z którymi należałoby bliżej zapoznać polskich czytelników (wymienił m.in. Faulknera, Steinbecka, Hemingwaya, Scotta-Fitzgeralda)¹⁷.

Metafora ucha igielnego sprawdzałaby się również w odniesieniu do możliwości wyjazdowych pisarzy przed odwilżą. Jan Józef Szczepański na przykład, który za czasów stalinowskich nie aspirował do grona twórców prominentnych, dopiero w 1956 roku mógł pomyśleć o wyjeździe zagranicznym jako możliwości osiągalnej dla kogoś takiego jak on. Nagle z różnych stron opadły go mgliste wprawdzie, ale jednak oferty podróży. Zamajaczyło uczestnictwo w wyprawie na Spitsbergen. Okazało się, że wakuje miejsce w ZLP-owskiej grupie wycieczkowej do Skandynawii. Władysław Machejek chciał go ni stąd ni zowąd wysłać „do Podbańskiej jako korespondenta ze zjazdu turystów”. Ktoś inny znowu podsuwał czteromiesięczną, bezpłatną podróż do Chin, tyle że decydować się na nią trzeba było z dnia na dzień¹⁸.

Męczy mnie to – zwierzał się samemu sobie w *Dzienniku* autor wydanej dopiero na fali odwilży *Polskiej jesieni* – nie wiem, co łapać. Trzeba by wszystko, bo każda szansa wątpliwa¹⁹.

¹⁷ L. Burdrecki, *Milczenie i Ucho Igielne*, „Nowa Kultura” 1954, nr 34. Artykuł ten skomentowano w „Kulturze” paryskiej (a.n. [K.A. Jeleński], *Od Aragona do Orwella*, „Kultura”, Paryż 1954, nr 10, s. 113-114. W 1957 r. ukazał się w „Iskrach” tom *18 współczesnych opowiadań amerykańskich*, w którym znalazły się utwory wielu autorów wymienionych przez Burdreckiego.

¹⁸ J. J. Szczepański, *Dziennik 1945-1956*, Kraków 2009, t. 1, s. 624, 627.

¹⁹ Tamże, s. 624.

Nie miał tego problemu Jarosław Iwaszkiewicz. Paszportowe ucho igielne zdawało się go nie dotyczyć: pisarz stale intensywnie podróżował niezależnie od tego, czy uosobieniem władzy w Polsce był Bierut, Gomułka czy Gierek. Wątek podróży zagranicznych jako przywileju zaznacza się widocznie w książce Marka Radziwona *Iwaszkiewicz. Pisarz po katastrofie* (Warszawa 2010).

W roku 1947 – odtwarza badacz jeden z fragmentów podróżniczego grafiku swego bohatera – jako przedstawiciel ZAiKS-u i Związku Polskich Autorów Dramatycznych reprezentował Polskę w Londynie na kongresie Międzynarodowej Federacji Związku Autorów i Kompozytorów, rok później, jesienią 1948 roku, w tej samej roli odwiedza Argentynę i Brazylię, wcześniej w połowie kwietnia, podróżował do Paryża i do Włoch w związku z intensywnymi przygotowaniem do Światowego Kongresu Intelktualistów we Wrocławiu.

I konkluduje: „Cieszył się więc wówczas znacznie szerszym przywilejem podróżowania niż ktokolwiek z pisarzy”²⁰. O szerokie korzystanie z zagranicznej mobilności Radziwon nie żywi do Iwaszkiewicza pretensji. Wywód swój prowadzi tak, byśmy rozumieli, że wyjazdów tych autor *Brzeziny* potrzebował jak powietrza:

To wtedy najwięcej i najlepiej tworzył, swobodnie korespondował z ludźmi, do których nie mógł otwarcie pisać w kraju, słowem – odychał europejskim tlenem, atmosferą swobody, którą znał, za którą tęsknił i której mu w kraju wciąż brakowało, mimo oazy, jaką zdołał sobie stworzyć i obronić w Stawisku²¹.

Najwidoczniej innym ludziom pióra wystarczał tlen krajowy. Przy całym zrozumieniu dla twórczych potrzeb pisarza autor omawianej monografii zdaje

²⁰ M. Radziwon, *Iwaszkiewicz. Pisarz po katastrofie*, Warszawa 2010, s. 254. Różnica między „uprzywilejowanym” a zdecydowanie mniej wyróżnionym daje znać o sobie w listach Zygmunta Mycielskiego do Iwaszkiewicza z 1954 i 1955 roku. W listach tych mowa również o ucieczkach z PRL-u (o Panufniku, o jednej z artystek „Mazowska”). http://serwer392851.home.pl/kreator/data/documents/Zygmunt=20Mycielski_Listy=20do=20J.pdf [dostęp 17.07.2016].

²¹ M. Radziwon, dz. cyt., s. 298.

się jednak nie dostrzegać związku przywilejów, jakich Iwaszkiewicz obficie zaznawał, z jego postawą jako prezesa Związku Literatów Polskich. Dość przypomnieć sytuację testową dla kręgosłupa moralnego całego środowiska podczas awantury wokół *Listu 34*. Prezes nie przyłączył się wówczas do wystąpień pisarzy wyrażających sprzeciw wobec cenzury i generalnie wobec praktyk pozbawiania dostępu do druku²². Radziwon odnosi się do jego zachowania bez aprobaty, lecz wskazuje zarazem okoliczności łagodzące:

Strategia, którą Iwaszkiewicz obrał, zdawała egzamin do połowy lat pięćdziesiątych. Po Październiku można się już było posunąć znacznie dalej, tymczasem Iwaszkiewicz działał wciąż tak samo. Nie stał się, wbrew temu, co sądziło wielu krytyków, bardziej uległy, to po prostu czasy się zmieniły, poszerzył się horyzont swobód, a on tego jakby nie dostrzegł²³.

Biograf nie wypomina Iwaszkiewiczowi „uległości”, bo nie sprowadza jego motywacji do troski o zachowanie uzyskanych od władzy wyróżnień i ułatwień. Jeśli dobrze rozumiem intencję Marka Radziwona, przywilejów tych potrzebował Iwaszkiewicz, żeby pozostać sobą, to znaczy pisarzem europejskim, jakim stał się już przed wojną. Stawką była więc jego wewnętrzna integralność jako Europejczyka nie dającego się zepchnąć ani do polskiego, ani tym bardziej do środowiskowego partykularza. Zatem – to już moja konkluzja ze skrzyżowania lektury książki Radziwona z pracą Stoli – okazując władzom uległość wymykał się „polityce izolacji” prowadzonej w PRL-u. Jak nieustająco podnosili publicyści emigracyjni, kulturowa izolacja od Zachodu sprowadzało piśmiennictwo krajowe na samo dno prowincjonalizmu²⁴. Nasuwa się w związku z tym pytanie, czy Iwaszkiewicz dzięki swoim przywilejom losu tego uniknął. Biograf udziela odpowiedzi twierdzącej, jeśli sądzić chociażby wedle pozytywnej oceny *Wzlotu*, opowiadana z 1957 roku, pomyślanego jako odpowiedź na *Upadek* Alberta Camusa, dzieło właśnie nagrodzone Noblem:

²² O Iwaszkiewiczzu jako prezesie ZLP sporo pisze K. Rokicki, dz. cyt.

²³ M. Radziwon, dz. cyt., s. 406.

²⁴ Zob. np. K. Nienaski [W. A. Zbyszewski], *Twórczość krajowa St. Mackiewicza*, „Kultura”, Paryż 1958, nr 7.

W tym czasie w poczuciu olbrzymiej wolności pracował już nad *Wzlotem*. Nie ma w tym wybitnym opowiadaniu ani jednego zdania, które byłoby obowiązkową daniną ideologiczną²⁵.

Komentator zdaje się aprobować zdanie samego pisarza o *Wzlocie* jako polemice z Zachodem, w której chodziło „o spór kultur, o wielką różnicę doświadczeń”²⁶. Istotnie, Iwaszkiewicz stanął do polemiki z zachodnim humanistą i noblistą, tyle że jego opowiadanie w pierwszej kolejności nabierało sensu w odniesieniu do odwilżowo-październikowych rozrachunków i porachunków krajowych. Pisarz przybrał w opowiadaniu rolę spowiednika prostego człowieka, jednej z typowych ofiar Historii z Europy Wschodniej. Owego jedermanna szczerze wyposażył we wszystkie traumatyczne doświadczenia polskiego losu: matka została wywieziona do Kazachstanu, brat umarł w Oświęcimiu, ojciec poległ w partyzantce, on sam był świadkiem zagłady Żydów, konspiratorem, uczestnikiem ruchu oporu podczas okupacji, więźniem ubeckim, budowniczym Polski Ludowej z biegiem lat rozczarowanym do komunizmu... Na tej encyklopedycznej zgoła liście doświadczeń bohatera znalazło się wiele takich, o których cenzura sprzed odwilży nie pozwoliłaby i napomknąć. Jednakże zestaw ów sam w sobie stanowi również znak czasu. Istotne jest nie to nawet, że Iwaszkiewicz przywołał całą tę listę, ale że nad wszystkimi tymi doświadczeniami – zabijanie Żydów przez Niemców, zabijanie Niemców przez partyzantów, zabijanie Niemców przez czerwonarmistów, donoszenie na „swoich”, torturowanie „swoich” etc. – pochylił się z ludzkim zrozumieniem dla ludzkiej słabości, cierpienia, nieszczęścia.

Wzlot bywa dzisiaj czytany poza czasem jego napisania i publikacji, bez odniesienia do bezpośredniego kontekstu, mianowicie odwilży w ZSRS, Października, powstania na Węgrzech. Cóż, widać można i tak, ale czytając utwór Iwaszkiewicza poza kontekstem nie rozpoznamy stygmatów roku 1957 i pilnej autorskiej czujności, by się nie posunąć ani o krok poza to, co już tu i teraz wolno. Wbrew opinii Radziwona Iwaszkiewicz był oportunistą nie tylko w tym, co mówił i pisał jako orędownik na rzecz pokoju czy prezes

²⁵ M. Radziwon, dz. cyt., s. 350.

²⁶ Tamże, s. 352.

ZLP. Jego twórczość literacka również została skażona oportunistycznym²⁷. *Wzlot* czytany w spienionych nurtach roku 1957 wydaje się utworem po prostu koniunkturalnym, trąci bowiem tzw. humanizmem socjalistycznym, który miał być rewizjonistyczną odtrutką na terror stalinowski.

Iwaszkiewicz z pewnością uważał siebie wtedy za pisarza europejskiego. Jego kandydatura została zgłoszona do nagrody Nobla. W 1958 nagrodę tę dostał Borys Pasternak za *Doktora Żywago*, powieść, jak pisało, na miarę *Wojny i pokoju*, jednakże pod presją władz i środowiska literackiego laureat musiał z najważniejszego światowego wyróżnienia zrezygnować (zm. w 1960). *Wzlot* i nieodmiennie prezentowana publicznie uległość Iwaszkiewicza wobec życzeń władzy wygląda w tym zestawieniu raczej żałośnie.

Porachunki Tyrmanda

W roku 1956 po raz pierwszy od 1946 roku, kiedy to wrócił do Polski z Danii, wyjechał za granicę Leopold Tyrmand. Odwilż sprawiła, że odzyskał kontakt z publicznością, zerwany wskutek restrykcyjnych, narzuconych po śmierci Stalina zmian w redakcji „Tygodnika Powszechnego”, gdzie znalazł zatrudnienie po karnym zwolnieniu z „Przekroju”

²⁷ Zdolności adaptacyjne Iwaszkiewicza do powojennych realiów doceniają cenzorzy. W recenzji z 1954 roku *Warkocza jesieni* najpierw czytamy o trudnej do uchwycenia tematyce, o niejasnych wspomnieniach, ale za to nie sposób pomylić wierszy sprzed wojny i okupacyjnych z powojennymi: te pierwsze tchną pesymizmem, drugie są radosne i optymistyczne. Inny recenzent rozpoznawał „właściwe Iwaszkiewiczowi piękno duchowości estetyzmu”, ale doceniał „miłość do człowieka i świata”. AAN, GUKPPiW, sygn. 386, teczka 31/125. W recenzji z *Wyboru opowiadań* znaleziono wprawdzie fragmenty, które budziły pewien niepokój, ale w końcu postanowiono nic z nimi nie robić. W *Pannach z Wilka* zwrócono uwagę, że Wiktor Ruben był uczestnikiem wyprawy Piłsudskiego na Kijów. A w związku z fragmentem *Kwartetu Mendelssona*, gdzie jeden z Żydów przemawia w dniu rocznicy powstania w getcie, wyrażając pogląd o winie Polaków, zaniepokojono się, że czytelnik może uznać tę opinię za reprezentatywną dla środowisk żydowskich. AAN, GUKPPiW, sygn. 643. Recenzując drugi tom *Sławy i chwały* (ukazał się w 1958 r.) z satysfakcją odnotowano, że tylko pozornie muzyka jest jego głównym tematem, bo w istocie chodzi o „podzwonne dla obszarników, po pierwszej wojnie światowej częściowo wydziedziczonych ze swych posiadłości”. Dłużej pochylono się nad scenami w Odessie, lecz zinterpretowano je na korzyść autora. „Wędrowniki odeskie, jak i przegląd całej przeszłości, dały Januszowi przekonanie, że gdyby przed laty potrafił uwierzyć w ideę przyjaciela – Wołodi, po latach nie musiałby na próżno tracić czasu na poszukiwanie sensu życia”. AAN, GUKPPiW, sygn. 426, teczka 34/3, k. 31-32.

Za odwilży udało się Tyrmandowi coś, czego nikt inny przedtem w PRL-u nie osiągnął: publikując w 1955 roku *Złego* bezbłędnie trafił do czytelników głodnych literatury reagującej na ich potrzeby. Nie tylko dzięki inteligentnie rozegranej formule powieści popularnej, którą w dobie socrealistycznego dyktatu bezwzględnie posłano na przemiał, ale również dlatego, że pisarz swoim *Złym* odbił Warszawę z rąk propagandystów, przeprowadził jej gruntowną dekomunizację. Warszawa w jego powieści nie jest ani piękna, ani heroiczna, przeciwnie nawet – jest okropna, na poły jeszcze zrujnowana lub byle jak sklecona – ale zarazem czuje się organiczną, miłosną więź między autorem a miastem²⁸. Jego bohaterowie poruszają się w przestrzeni o zróżnicowanej, wielowarstwowej fakturze. Nie ma wątpliwości, że to ich Warszawa, a przez mechanizm lekturowej identyfikacji również Warszawa czytelnika. Niewykluczone, że to ów „robinhoodowy” akt odwojowania miasta i przekazania klucza do niego czytelnikom, nie tylko zaś sama atrakcyjna fabuła (zwłaszcza na tle schematycznych produkcyjniaków), przesądził o szczególnej chemii między powieścią a jej odbiorcami.

Sukces *Złego* otworzył mu też drogę na Zachód, wzbudzając zainteresowanie wydawców zza żelaznej kurtyny. Podróże zagraniczne pisarza w latach 1956 i 1959 miały charakter zawodowy. Jak widać, radził sobie świetnie i bez państwowego mecenatu, co mu zresztą nie uszło na sucho. Następna jego warszawska powieść, *Życie towarzyskie i uczuciowe*, nie miała już szansy na powtórzenie czytelniczego sukcesu *Złego*²⁹. Utknęła w wydawnictwie, które lekką ręką wyrzekło się gwarantowanych zysków. Również *Zły* przestał być wznawiany, chociaż z pewnością kolejny jego nakład, jak trzy poprzednie („Czytelnik” 1955, 1956, 1957), nie zagrzałyby miejsca w księgarni. *Życie* ukazało się dopiero w 1967 roku w paryskim Instytucie Literackim.

Książka Dariusza Stoli nie zawiera osobnego rozdziału poświęconego mobilności zagranicznej pisarzy i artystów. Tyrmand jednak został w niej wspomniany w związku z decyzją, by podróż na Zachód, w którą się udał w 1965 roku, zamienić w emigrację³⁰. Była to jedna z głośniejszych

²⁸ Powieść została opatrzona dedykacją: Mojemu rodzinnemu miastu – Warszawie.

²⁹ Nie doszło również do wydania *Siedmiu dalekich rejsów*. Książka została zatrzymana przez cenzurę w 1957 roku wraz z 20 innymi utworami. AAN, GUKPPiW, sygn. 813,teczka 197/8.

³⁰ D. Stola, dz. cyt., s. 216.

„ucieczek” z PRL-u. Nie tylko dlatego, że autora *Złego* znali i cenili nawet czytelnicy dalece nieelitarni, ale dlatego również, że on sam nadał swojej decyzji rozgłos, publikując w roku 1967 na łamach paryskiej „Kultury” artykuł pod prowokacyjnym tytułem *Porachunki osobiste*, rodzaj obszernego wyjaśnienia, dlaczego trafił na emigrację.

Z mojego punktu widzenia jest to wypowiedź istotna, bo łączy wątek cenzury z utrudnieniami w uzyskaniu paszportu, lecz generalnie *Porachunki*, mimo paszkwilowego charakteru, zasługują na uwagę jako tekst o istotnych walorach diagnostycznych w odniesieniu do kultury polskiej okresu gomułkowskiego, zwłaszcza jego późnej fazy. Aczkolwiek mają format artykułu, sporych wprawdzie rozmiarów, nie od rzeczy byłoby zestawić je na chwilę ze *Zniewolonym umysłem* Czesława Miłosza (Paryż 1953). Pamiętając o książce, która ukazała się w analogicznych okolicznościach, w następstwie ucieczki poety na Zachód, i również pod egidą „Kultury”, *Porachunki* można by określić jako świadectwo umysłu desperacko broniącego się przed zniewoleniem. W przeciwieństwie do „zniewolonego”, który jest efektem adaptacji do życia w potrzasku.

Swoją decyzję pozostania na Zachodzie Tyrmand przedstawia jako konsekwencję siedmioletniej (okres ten dla efektu nieco wydłużył) mitręgi starań o uzyskanie paszportu i szykan wobec jego książek:

Gdybym dostał paszport w 1958, 1960, 1961, 1962, 1963, 1964 – są to pełne daty mego kalwaryjskiego pisania podań, listów, pism, wniosków, formularzy, czekania, telefonowania, antyszambrowania i szukania tzw. dojsć – wyjechał i załatwił swoje sprawy, nie zostałbym nigdy na tymże (*excusez-le-mot*) Zachodzie, bo wiem dobrze, gdzie moje miejsce i dokąd serce moje jest przynależne – jak mawiają żołnierze w starych piosenkach³¹.

Cała ta dość groteskowa, bo przecież nie heroicznie-martyrologiczna, droga przez mękę pozwoliła mu się przekonać dotkliwie, kto i jak w Polsce faktycznie sprawuje władzę³². Przekonała go także, by przy pierwszej

³¹ L. Tyrmand, *Porachunki osobiste*, „Kultura”, Paryż 1967, nr 3, s. 4.

³² „Późną gomułkowszczyznę charakteryzuje gangsterizm i mafijność średnich szczebli aparatu. Za Stalina terror, ignorancja i chamstwo były ideowe, mali kozaczekowie z Marymontu, czy

nadarzającej się okazji stąd czmychnąć. Kiedy więc wreszcie dostał paszport do ręki, potraktował go jako przepustkę z więzienia³³, niepowtarzalną okazję, żeby wyrwać się na wolność.

Miłosz pisał w *Zniewolonym umyśle* o ketmanie jako mechanizmie adaptacyjnym, umożliwiającym funkcjonowanie w państwie komunistycznym. Tyrmand przedstawiał narastającą desperację człowieka, któremu władza uprzykrza życie nie wiedzieć dlaczego i po co. Opowiedział między innymi o swojej audiencji u wiceministra do spraw bezpieczeństwa Antoniego Alstera w 1959 roku. Ten na pytanie udręczonego petenta o przyczynę zatrzymywania go w kraju, odpowiedział że na dobrą sprawę nie ma żadnych przeciwwskazań, by mu paszportu nie dać, prócz tego, że Tyrmand „im”, czyli decydem, się nie podoba. Co powiedziawszy, nieoczekiwanie zezwolenia na wyjazd jednak udzielił. Komunistyczny minister nie widział zatem w Tyrmandzie oponenta politycznego, indywidualium niebezpiecznego czy w inny sposób dla władz szkodliwego, lecz kogoś, z kim można sobie poczynać wedle kaprysu i dla konceptu, bo nie ma żadnego powodu, by zacząć się z nim liczyć.

Opowieść o staraniach paszportowych, a więc o stosunkach między tzw. „obywatelem” a przedstawicielami władz różnych szczebli, którą autor snuje w duchu kafkowsko-gogolowskim, jest opowieścią o narastaniu frustracji i stopniowej utracie szacunku do samego siebie:

[...] początkowo człowiek nie chce kłamać, a potem już kłamie; przedtem nie chce, żeby się o nim źle myślało, potem jest mu już wszystko rawno jak sobie pomyślą; zrazu nie chce narazić czy oszukać przyjaciela, potem już oszukuje i naraża; jeszcze usiłuje odseparować bliskie osoby od swojej krzywdy, a potem jest mu już wszystko jedno co po nim. Bezprawie na co dzień buduje związki i sytuacje i powoduje reakcje,

Burakowa nie brali się za kariery, bo bali się groźnych konsekwencji władzy: ubiackie środki specjalne były to rzeczy ponure i wymagające ryzyka. [...] Za Gomułki nie wbija się drzazg, władza potaniała, do biur napłynęli złodziejscy kombinatory z bazarów, trzeba sprowadzić szwagra, jest posada dla brata Haliny [...], małe rzeczy, małe następstwa, jak się nie zafartuje najwyżej wykopią człowieka, gra się o małe stawki, łapóweczka, mieszkanko, wakacje w Rumunii”. Tamże, s. 16.

³³ Obraz Polski jako więzienia przedstawia Tyrmand w duchu wyraźnie kafkowskim: „Więzienie, zwłaszcza w totalizmach, polega przede wszystkim na strachu, że mogą ze mną zrobić, co chcą, a ja nie mogę nic, ani bronić się, ani argumentować, ani uciekać”. Tamże.

o których nie zamarzyłyby Dostojewski. Idiotyczna sprawa paszportu zagranicznego uczyniła mnie nagim, aż wstyd³⁴.

Zdaniem Tyrmanda istotą komunizmu, również w wersji gomułkowskiej, z jej narodowym odchyleniem, jest niszczenie ludziom życia. „Dopiero komunizm uczynił życie swoim nieobojętnym narzędziem ucisku, *produktem* swojego systemu”; „niszczy człowieka za to, co w nim dobre, za niezależność myśli, za poczucie godności, za sprzeciw kłamstwu”³⁵. Myśl tę warto podkreślić: samo życie przemienione w instrument opresji.

Szykany paszportowo-cenzuralne nie służą walce ideologicznej, o której tak było głośno, lecz dehumanizacji. Komunistyczne państwo produkuje ludzi zdefektowanych. Oto – zdaje się mówić Tyrmand – ów socjalizm z ludzką twarzą, który miał zastąpić stalinowski zamordyzm. Ucieczka z kraju nie stanowi więc decyzji o charakterze politycznym, lecz jest elementarnym aktem obrony wartości humanistycznych. Komunizm w wersji postalinowskiej nie pozbawia wprawdzie życia w dosłowny sensie, lecz deformuje i degradowuje człowieczeństwo, zamienia życie w niekończący się koszmar.

Rewizjoniści do rewizji

W *Porachunkach osobistych* bezprawie władzy, które odbiera „szeregowemu” człowiekowi jakąkolwiek możliwość obrony przed szykanami i w efekcie niszczy go moralnie, nie wyczerpuje obrazu gomułkowskiego PRL-u. Nurtuje pisarza również problem winy rzeczywistej, która nie zostaje ukarana. Oburza go do żywego i pobudza do osobistych porachunków na piśmie dominująca pozycja ex-stalinistów w popaździernikowym establishmencie, przewaga racji rozczarowanych do stalinizmu³⁶ jego niedawnych

³⁴ Tamże, s. 17-18.

³⁵ Tamże, s. 18.

³⁶ W książce o „żydowskich komunistach w Polsce” natrafiłam na wzmiankę o nurcie literackim związanym z tematyką „tragedii komunistów”, do którego Mojsze Szklar na łamach pisma „Folks-Sztyme”, ukazującego się w jidysz, zaliczył obok tomu wierszy *Lider* Dawida Sfarda, *Matkę Królów* Kazimierza Brandysa, *Ciemności kryją ziemię* Jerzego Andrzejewskiego, *Morze Sargassa* Aleksandra Ścibor-Rylskiego. J. Nalewajko-Kulikow, *Obywatel Jidyszlandu. Rzecz*

entuzjastów i beneficjentów nad racją tych, którzy od początku byli nowemu ustrojowi przeciwni i którzy od stalinistów doznali krzywd za swój sprzeciw czy odmowę udziału w zaprowadzaniu porządków komunistycznych.

Tyrmand w dodatku obserwuje dominację rozczarowanych ex-stalinistów nad antystalinistami czy niestalinistami, jak świat długi i szeroki:

w 10 lat po mowie Chruszczowa, polskim Październiku i powstaniu na Węgrzech nikt nie jest w stanie dokonać niczego w bloku, w zachodniej Europie i w intelektualistycznej Ameryce, kto uprzednio nie lizał butów Stalina, nie pomagał mu w ustanawianiu moralnych, intelektualnych i politycznych porządków, a potem nie wycofał się z tego w przepisowy sposób, czyli głosząc swą dziecięcą naiwność. Jednym słowem – kto nie posiadał cnoty transfiguracji, cudownego przeistoczenia własnych win i błędów w własną, niepokalaną chwałę³⁷.

W *Porachunkach* zwraca się Tyrmand przeciwko upatrywaniu w rewizjonistach jedynej siły politycznej kwalifikującej się do naprawiania zegarka przez siebie zepsutego, by nawiązać do znanego konceptu Artura Sandauera. Przy czym odwołuje się pisarz do argumentów etycznych. Staliniści byli sprawcami zła, dlatego jako prominentni eksstaliniści nie gwarantują bynajmniej przywrócenia ładu moralnego w świecie, który sobie przywłaszczyli. Nie są w stanie zadośćuczynić krzywdom przez siebie wyrządzonym. Co więcej, jako cudownie przemienieni sprawiają, że wśród ich niedawnych ofiar poczucie krzywdy narasta. Autor *Porachunków* bezlitośnie kpi z doznanej przez stalinistów iluminacji, dającej im tytuł do pozostania na scenie i nadawania kierunku przemianom właśnie postalinowskim: „Cechą Października było gromkie i publiczne odkrywanie *na nowo* prawd, które wszyscy urodzeni po zdobyciu Bastylli wyssali z mlekiem matki”³⁸. Natrząsa się ze zwierzeń Jana Kotta, sygnatariusza *Listu 34*,

o żydowskich komunistach w Polsce, Warszawa 2009, s. 232-233. Znamienne, że po polsku nurt ten nigdy w ten sposób nie był nazywany. Opowiadaniu Ścibor-Rylskiego, które miało zostać sfilmowane, lecz realizacja nie doszła do skutku poświęcił artykuł T. Lubelski, *Historia niebyła kina PRL*, Kraków 2012.

³⁷ L. Tyrmand, dz. cyt., s. 20.

³⁸ Tamże, s. 21.

który opowiadał, jak to dopiero po latach zrozumiał, przed czym ostrzegał go Borys Pasternak podczas rozmowy w Moskwie w późnych latach 40.

Trzydziestoparoletni wtedy redaktor i uczonec – komentuje Tyrmand olśnienie starszego kolegi – polonista i marksista, jeden z tęższych umysłów swego obozu nie rozumiał tego, co rozumiała już w Polsce każda praczka, każdy tragarz i każdy uczeń³⁹.

Kott stał się w pod piórem Tyrmanda jednym z ważniejszych personalnych adresatów *Porachunków*. Dlaczego akurat on? Może dlatego, chociaż jego demaskator nie pisze o tym wprost, że przeszłość stalinowska nie tylko nie przeszkodziła Kottowi w gładkim awansie na autorytet kręgów opozycyjnych, lecz nie utrudniła mu również wstępu na amerykańskie uniwersytety. Z dogmatycznego stalinisty bez najmniejszego trudu przedzierzgnął się w finezyjnego szekspirologa, tłumaczonego na wiele języków⁴⁰. Tyrmand wziął Kotta na cel może i dlatego, że jakoś byli do siebie podobni – typem żywej inteligencji, wdzięku konwersacyjnego... Obaj mieli też żydowskie korzenie, obaj wywodzili się z rodzin zasymilowanych. Podobieństwo jaśniej pozwalało zobaczyć różnicę między nimi, wynikającą z wyborów, które stały się ich udziałem. Zobaczyć różnicę i także niesprawiedliwość, bijącą w oczy, kiedy porównuje się ich PRL-owskie losy. Kott-dogmatyk-stalinista z łatwością przeobraził się w autorytet opozycyjny, co pozwoliło mu nadal korzystać swobodnie z wszelkich przywilejów. Tyrmand-niestalinista wyszedł na groteskowe indywiduum, popychadło rozmaitych urzędników, cenzorów, recenzentów, na typowego „liszeńca”, czyli wykluczonego wedle sowieckich wzorów, wyzutego z praw⁴¹.

³⁹ Tamże, s. 24.

⁴⁰ W 1961 r. ukazały się *Szkice o Szekspirze* Kotta, przełożone na dziesięć języków, w 1965 roku w PIW-ie *Szekspir współczesny*.

⁴¹ W *Dzienniku 1954* Tyrmand podkreślał swoje „drobnomieszczańskie” pochodzenie, dzięki czemu kwalifikował się do kategorii „liszeńców” z racji pochodzenia klasowego. O „liszeńcach” pisał z przejściem Stanisław Cat-Mackiewicz w *Myśli w obcęgach*. Analizę językowych odmian pojęcia wroga w polskojęzycznej prasie sowieckiej przeprowadziła Tamara Graczykowska, *Podgburek, łazik, sektant... Leksykalne odzwierciedlenie wrogów państwa radzieckiego na materiale gazety „Trybuna Radziecka” z lat 1927-1938*, „Acta Neophilologica” 2014, nr 1. Artykuł ten dotyczy niezwykle ciekawego tematu „polszczyzny radzieckiej”, czyli języka polskiego, którym posługiwali się Polacy na terytorium ZSRR.

Pokazując siebie jako żalosalną figurę autor *Porachunków* nie miał jednak zamiaru popaść w dostojewszczyznę, nużyć się we własnym poniżeniu. Podobnie jak na Jana Kotta, spojrzął na siebie egzemplarycznie. W imieniu rzeszy „skrzywdzonych i poniżonych” postawił też „Kottom” ultimatum:

Dopóki Kottowie nie rozliczą się jasno, dokładnie i uczciwie ze stalinizmu, my będziemy czuli się oszukani i skrzywdzeni i nie zaprzestaniemy myśleć o nich jako o profitantach, którzy wzniesli swe powodzenie na naszych kościach i których w gruncie rzeczy określa zwykła tchórzliwość, bo zaczęli krzyczeć, kiedy już wolno było krzyczeć, kiedy za krzyk nikt nie pakował na Mokotów, ani nie wsadzał knebla, jak nam wsadzano, kiedy nieszkodliwym krzykiem i niezgadaniem się można już było w Polsce wybornie zarobkować, lepiej, niż dotychczasowym służalstwem⁴².

Tym sposobem pośrednio wyjaśnił Tyrmand, dlaczego w ogóle wziął się za „porachunki”. Otóż dlatego, że sami eks-staliniści nie rozliczyli się jak należy z własną przeszłością. Porachunki są następstwem braku uczciwych rozrachunków.

Przypadek Kotta pozwala Tyrmandowi nie tylko upomnieć się o za-
dośćuczynienie krzywdzie, lecz co istotniejsze, daje mu sposobność do ujawnienia mechanizmu, by tak rzec, fabrykowania autorytetu. Polska gomułkowska różni się zdaniem Tyrmanda od stalinowskiej między innymi tym, że istnieje w niej coś w rodzaju opinii publicznej, mianowicie kawiarniane, „rodzinno-towarzysko-partyjne”⁴³ środowisko opiniotwórcze. Dzięki niemu ktoś taki jak Kott może uchodzić za opozycjonistę:

[...] stary aparat do robienia kultury pozostał (nawet pani Zatorska), tylko igła kompasu przeskoczyła na gomułkowską *niepodległość*: należało więc znaleźć i wylansować niepodległych swojego chowu, naszych własnych buntowników i angryman’ów zrewoltowanych w imię Lukacsa, Brechta, Sartre’a i Majakowskiego. Po to jednak, aby udawać autentycznych, trzeba wyeliminować autentyczniejszych, wymazać ich z obrazu świata. Tak

⁴² L. Tyrmand, dz. cyt., s. 24.

⁴³ Tamże, s. 23.

też się stało. Prasa, radio, telewizja stanęły do dyspozycji tych łagodniej zbuntowanych, byłych (i może kiedyś znów) swojaków, pogniwanych, lecz własnych, nabzdyczonych, lecz nigdy na serio nie skrzywdzonych⁴⁴.

Kawiarniana opinia publiczna wszczyna tumult, kiedy Kott czy ktoś z jemu podobnych ma kłopoty z paszportem czy cenzurą, dzięki czemu rośnie jego sława jako ofiary systemu, to zaś (istotnie czy na pozór?) z kolei sprawia, że władza wycofuje się z restrykcji.

Daje to zadziwiające rezultaty: krwiożerczy opozycjonista Kott mieszka w tym samym domu, co komunistyczny premier Cyrankiewicz, podpisuje protesty 34-ech, unicestwia Gomułkę i politykę kulturalną, dostaje paszport zagraniczny i drukuje co chce⁴⁵.

Kott uchodzi za opozycjonistę, ale w gruncie rzeczy jest „swój” i to decyduje o jego życiu. Przynależność do „swoich” jest – uważa Tyrmand – kwalifikacją rozstrzygającą o tym, ile się w Polsce znaczy.

Swoich nieposłusznych, rozczarowanych i rozgoryczonych karci się, lecz uważnie, kopie się lecz ostrożnie, a jak się przewrócą to się ich troskliwie podnosi, otrzępuje, myje i suszy⁴⁶.

Jeśli do „swoich” nie należysz, a masz coś do powiedzenia czy do zrobienia, możesz się narazić na „mechaniczne gnojenie”. Przy tej okazji przypomina Tyrmand o Stanisławie Remboku, którego powieść *Wyrok na Franciszka Kłosa* (1947), uważał za dzieło wybitne. Kiedy w 1964 pojawił się pomysł, żeby *Wyrok* sfilmować, mimo że była to powieść jak należy „antyniemiecka”⁴⁷ i przedstawiała granatowego policjanta w negatywnym świetle, zgody nie wyrażono⁴⁸.

⁴⁴ Tamże, s. 22.

⁴⁵ Tamże, s. 23.

⁴⁶ Tamże, s. 25.

⁴⁷ W roku 1964 tematykę wojenną prezentowały m.in. *Barwy walki*, zrealizowane na podstawie książki M. Moczara.

⁴⁸ *Wyrok na Franciszka Kłosa* Wajda sfilmował w 2000 roku.

Politruacy od pamiętania pamiętali po 18 latach, że Rembek nie jest *swój, ich, nasz* – to wystarczy do wytarcia go spośród żyjących, nawet gdyby napisał arcydzieło⁴⁹.

Tyrmand też oczywiście nie należał do „swojaków”. Miał jasną świadomość, że w Polsce gomulkowskiej cenzura działała inaczej w zależności od tego, czy miała do czynienia ze „swoim” czy z nie-swoim. Wobec nie-swoich uczestniczyła w „mechanicznym gnojeniu”, „swoim” zaś mogła posłużyć i nieraz posłużyła jako trampolina do nimbu „opozycyjności”. Otwierała im też drogę do publikowania za granicą. W reżimie gomulkowskim można już było próbować rozgrywać karierę pisarską między dwoma rynkami. Ilekroć wracam do powieści Włodzimierza Odojewskiego z rozbudowanym wątkiem katyńskim, *Zasypie wszystko, zawieje...*, którą zaczął pisać w 1964 roku, tylekroć przychodzi mi na myśl, że od samego początku autor musiał się liczyć z tym, że jej w Polsce raczej nie wyda. Czy więc zawczasu szykował ją na wolny rynek? Powieść ta najpierw wszak ukazała się w przekładzie na język francuski. Rzecz z pewnością wymaga analizy, bez gwarancji wszelako, że da się sformułować jednoznaczne wnioski.

Tyrmand chce przekonać czytelnika *Porachunków*, że nie powoduje nim ślepa nienawiść, lecz poczucie krzywdy (nie tylko własnej) i potrzeba sprawiedliwości. Jest świadom poetyki i tradycji literatury porachunkowej. Odróżnia porachunki od donosu. Ubolewa nad niedorozwojem polemiki w polskim piśmiennictwie. Nie cofa się przed opisywaniem konkretnych osób, nie ukrywa ich pod inicjałami czy pseudonimami: Kott pod jego piórem jest Kottem, Zatorska – Zatorską, Wicha – Wichą, Moczar – Moczarem. Jest to decyzja ryzykowna, ale po trosze rozbrajana autoironią, groteskową przesadą, łobuzerstwem.

Samą sprawę jednakże traktuje autor bardzo poważnie. Bądź co bądź znalazł się na emigracji i musi zaczynać życie od nowa. Porachunki są po to, żeby odreagować poniżenie, otrząsnąć się z „Tyrmanda” zeszmaczonego w PRL-u.

⁴⁹ Tamże, s. 25.

Przyznaje się też do błędu:

Wydawało się, że można tu przyjechać i robić swoje, czyli być twórczym przeciwnikiem i w tym właśnie tkwił gruby błąd, bowiem każdy komunizm – polski, czeski czy kubański – jest w końcu sprawą na tyle rosyjską, aby nie znać pojęcia przeciwnika. Zna tylko wyznawców, służalców lub wrogów. I ja to przeoczyłem⁵⁰.

Konkluzja zatem jest taka, że wyjeżdżając z Polski w 1965 roku korygował swoje postanowienie z roku 1946. Tym samym stwierdza, że były to lata zmarnowane; pod władzą komunistyczną życie się marnuje. Czy dotyczy to wszystkich?

W *Porachunkach osobistych* niemało ciosów zainkasował Jarosław Iwaszkiewicz. Z nieco innych powodów niż Kott, bo nie był jednak stalinistą, ale też z analogicznych, bo podobnie jak Kott niezmiennie dobrze się miewał, niezależnie od tego, czy rządili Polską staliniści, czy Gomułka. Najpierw wytknął Tyrmand obu beneficjentom komunistycznych porządków przywilej paszportowy. Zaliczył ich do pierwszej z dwóch kategorii wojażujących za granicę przed Październikiem. Tworzyli ją

[...] ludzie godni zaufania, a więc: wszyscy urzędnicy, karierowicze z dyplomacji i handlu zagranicznego o wypróbowanej wierności (?), różna zawiesina partyjna i bezpartyjna na usługach tzw. cyrku Stalina, który załatwiał zjazdy intelektualistów, kongresy pokoju itp., PAX-owcy, marynarze, ubiacy do pilnowania ich wszystkich oraz Jarosław Iwaszkiewicz i Jan Kott⁵¹.

W sumie z przywileju tego korzystała grupa bardzo niewielka. „99,99% narodu polskiego miało nakazane siedzieć na miejscu ustalonym przez Lecha, Czecha i Rusa”⁵². Tyrmand nie okazał żadnego zrozumienia dla motywacji, która kazała Iwaszkiewiczowi wejść w alians z komunistami:

⁵⁰ Tamże, s. 28.

⁵¹ Tamże, s. 5.

⁵² Tamże, s. 6.

Zawsze wyobrażałem sobie, że jak tylko Ruscy przewalili się przez Mazowsze, pan Jarosław nałożył swój czerwony fez, usiadł przy oknie i zamyślił się głęboko jakby tu uratować posiadłość w Stawiskach (dar przedwojennych plutokratów w zamian za bliski im ideologicznie estetyzm) w obliczu wywłaszczeń i ideologicznych gwałtów. Za to, co wymyślił, otrzymał w 10 lat później order Odrodzenia Polski i najmiłsze zaszczyty, jakie tylko komuniści mogą pisarzowi ofiarować, i to w sposób tak dystyngowany, że można by się jeszcze poupiierać przy tzw. niezależności sumienia, wierności ideałom i Muzom⁵³.

Honorowany na wszystkie sposoby przez komunistów bywał zarazem Iwaszkiewicz w salonie Ireny Krzywickiej, gdzie spotykali się ludzie, „którym najlepiej się w Polsce powodziło, by narzekać na swój zły los, pieszczochy reżimu kapryszące na reżim i na bezsens (!) istnienia”⁵⁴. Kiedy zaś Tyrmand udał się do Iwaszkiewicza jako prezesa ZLP z prośbą o interwencję w sprawie swojej powieści *Filip*, zatrzymanej na drodze do publikacji przez złą sławę Helenę Zatorską, szefową Centralnego Urzędu Wydawnictw, ten palcem nie kiwnął, za to zmyślił odmowną odpowiedź kierownika Wydziału Kultury KC, Wincentego Kraśki, żeby zniechęcić Tyrmanda do dalszych starań o uwolnienie książki. Zresztą Iwaszkiewicz był też autorem krytycznego felietonu o *Złym*.

W kolejnej wypowiedzi na łamach pisma Giedroycia, *Z notatnika dyletanta*, Tyrmand kontynuował porachunki z prezesem, doszły go bowiem słuchy, że ten miał w prywatnej rozmowie z kimś skomentować poprzednią publikację. Pogłoska dała autorowi *Porachunków* pretekst, żeby jeszcze raz nawiązać do niegdysiejszych felietonowych uwag Iwaszkiewicza o „parafiańskich i niemrawych wyobrażeniach” Tyrmanda jako autora *Złego*. Nie chodziło mu tylko o to, że się nie zgadzał z krytyką felietonisty, ale że ujawniła ona niebotyczny dystans między obu pisarzami, ich poziomem życia i rozeznaniami w polskich realiach. Iwaszkiewicz natrząsał się z aury, jaka w *Złym* otaczała puszkę sardynek i „Kameralną”. Za te kpiny dostało mu się od Tyrmanda podwójnie: jako

⁵³ Tamże, s. 31-32.

⁵⁴ Tamże, s. 32.

prominentowi, dogadzającemu sobie za publiczne pieniądze⁵⁵ i jako pisarzowi, który nic nie wiedział o świecie zwykłych ludzi, przedstawianych w noweli *Ucieczka Felka Okonia*. Ugodziwszy celnie adwersarza, Tyrmand przeszedł w ton skargi:

Pomiatali mną w moim kraju w sposób fatalny. I co ja takiego uczyniłem, że tak mną gardzili? Napisałem książkę, którą chcieli przeczytać wszyscy – i ci którzy się z niej ucieszyli, i ci, którzy pomiatali. W zamian za to, że napisałem, ci, którzy się na tym znają, odmówili mi tytułu pisarza. To samo powiedzieli o mnie inni pisarze⁵⁶.

Tyrmand nie mógł wybaczyć Iwaszkiewiczowi, że nie uznał w nim pisarza z krwi i kości. Dlatego odpowiedział mu tym samym – podejrzeniem że komunistyczna Polska pozwala autorowi *Sławy i chwały* uchodzić za kogoś kim nie jest, odgrywać rolę wielkiego pisarza i wielkiego pana na włościach, nieomal polskiego Tołstoja.

Z *Porachunków* wynika, że klimat Polski gomułkowskiej ze wszystkimi jej instytucjami sprzyja hochsztaplerce, co więcej ją premiuje. Hochsztaplerem jest w świetle analizowanej tu wypowiedzi Kott, to samo można powiedzieć o Iwaszkiewicz. A o samym Tyrmandzie?

Porachunki dałoby się obrócić na niekorzyść autora, traktując je jako próbę kompromitowania opozycji, dla której ważnym aktem był *List 34*. Tyrmand go nie podpisał, za to wydrukował w warszawskiej „Kulturze”, uważanej za pismo moczarowców, fragment *Życia towarzyskiego i uczuciowego*, czego w *Porachunkach* zresztą nie ukrywa. Sygnatariuszy *Listu* spotykały rozmaite szykany. Przeciw kilku pisarzom wszczęto śledztwo.

⁵⁵ „W 1954, kiedy pisałem ZŁEGO, Iwaszkiewicz reprezentował nas za nasze pieniądze, znój i pot na kongresach pokoju, pilnie bankietował przy jesiotrach i bielugach w Sztokholmie i na Krymie, nic więc dziwnego, że sardynki to była dla niego trawa. Dla mnie jednak i dla przygniatającej większości narodu polskiego były one czystym wcieleniem hedonizmu: kosztowały 18 zł puszka jugosłowiańskich (przeciętna pensja wtedy 600 zł), niełatwo je było dostać, stało się po nie w kolejkach. Iwaszkiewiczowi specjalne diety służbowe umożliwiały w tym czasie czarowne noce w *Boeuf sur le Toit*, nic więc dziwnego, że *Kameralna* zalatywała mu niemiłą wonią, ale nam, którym sala tańca K.S. *Kolejarz* na Wale Miedzeszyńskim zastępowała Monte Carlo, *Kameralna* miała podówczas prawo służyć za *Copocabanę*”. L. Tyrmand, *Z notatnika dyletanta*, „Kultura”, Paryż 1967, nr 5, s. 127.

⁵⁶ Tamże, s. 128. Mógłby wymienić A. Kijowskiego i J. Kwiatkowskiego.

Popaździernikowa rzeczywistość była skomplikowana – po stronie władzy kłębiły się rozmaite frakcje, zmieniały się sojusze, falowały nastroje. W *Porachunkach* Tyrmanda – czegokolwiek by o nich nie powiedzieć – daje się wyczuć intencję, żeby z polityczno-ideologicznego galimatiasu wyjść ku jednoznacznym kryteriom moralnym i wyborom. Również literackim. „Wielka literatura o komunizmie – notował w drugim swoim artykule na paryskich łamach – zacznie się od chwili, gdy temat tragedii komunistów, autodegradacji i samounicestwienia rewolucji, ustąpi prostej relacji o przemocy i krzywdzie. Jak u *Sołżenicyna*”⁵⁷. Iwaszkiewicz, nawet jeśli oceniać go łagodniej, aniżeli uczynił to autor *Porachunków*, na taką twórczość nie mógł się zdobyć. I nie była to rzecz jasna kwestia rangi czy rodzaju talentu, lecz doświadczeń i relacji z władzą komunistyczną.

Tyrmand, chociaż nie podjął się napisania „wielkiego” dzieła o komunizmie, jeszcze raz wrócił do komunistycznej Warszawy i do tamtejszego siebie w *Dzienniku 1954*. Jego *Dziennik* jest warszawski jak *Zły* i bardziej skandalizujący aniżeli środowiskowa powieść z kluczem *Życie towarzyskie i uczuciowe*, bo autor operuje w nim nazwiskami swoich znajomych, rozwija wątek romansu z nieletnią (próba polskiej *Lolity*), refleksje przyprawia śmiałą erotyką. Poniekąd też wraca do skandalizującego stylu *Porachunków osobistych*, np. portretując kwitnącego w PRL-u Kazia Koźniewskiego czy pisząc o „młodym, głupawym, wiernie komunistycznym literacie Konwickim”⁵⁸. Ale przede wszystkim oddaje sprawiedliwość literatom nie-komunistom. Odnosząc się do właśnie pisanej przez Stefana Kisielewskiego powieści, stwierdza:

Mnóstwo jest w tym wszystkim dobrze zużytkowanego elementu autobiograficznego, wręcz jakiegoś intelektualnego liryzmu. Najważniejsze jest jednak to, że powstaje nowa, wielka, antykomunistyczna literatura w krajach komunizmu, jakże różna od literatury antykomunistycznej Zachodu. W niczym nie umniejszam zasługi i wagi literatury Orwellów, Koestlerów, Miłoszów, ale widzę zasadniczą różnicę między ich pisarstwem – koncepcyjnym, spekulatywnym, wizjonerskim, syntetyzującym, ideologicznym i perspektywicznym, a pisarstwem Kisielewskiego,

⁵⁷ Tamże, s. 123.

⁵⁸ L. Tyrmand, *Dziennik 1954*, s. 142.

Jasia Szczepańskiego, moim – pisarstwem analitycznym, empirycznym, rozkładającym zjawiska na ścisłe przyczyny i skutki, wreszcie *par excellence* politycznym i wielowymiarowym, czyli badającym świat komunizmu w jego bezpośrednim, szczegółowym kontekście, a nie w perspektywicznych skrótach. Ciekawe tylko, co się z tej literatury przechowa przez nadchodzące nawałnice i co ujrzy światło dzienne⁵⁹.

Dziennik 1954 miał reprezentować właśnie ów specyficzny nurt literatury antykomunistycznej, tworzonej nie przez lewicowców, i nie z komfortowej perspektywy zewnętrznej – na Zachodzie. Dlatego zależało Tyrmandowi, by odbierany był jako autentyk z lat 50.

Zmyślenia i przemilczenia

Ile w *Dzienniku* fikcji, ile mistyfikacji? Dziennikowy Leopold Tyrmand ma wiele z Tyrmanda, jakiego zapamiętali wymienieni z nazwiska znajomi. Rezyduje w jego mieszkanku, nosi jego koszule, bywa w tych samych kawiarniach, obraca się w tych samych kręgach, bywa tak samo zarozumiały... Ale nawet gdyby postanowił, że napisze o sobie najszczerzej, jak potrafi, mógłby nie sprostać zadaniu.

Jeśli nie liczyć korepetycji, jakich udzielałem za mych szkolnych czasów – relacjonuje swoje życie poprzez zajęcia, którymi się parał – pierwszym moim zarobkiem okazało się honorarium za przeprowadzenie kobiety z dzieckiem oraz dwóch pakunków ciemną nocą przez rzekę Bug, która właśnie w tym czasie stała się granicą pomiędzy komunistyczną Rosją a hitlerwoskimi Niemcami. Od tego czasu, miałem wtedy dziewiętnaście lat, utrzymywałem się sam, chwilami całkiem nie najgorzej. Byłem kolejno guwernerem, uchodźcą, robotnikiem rolnym, spekulantem, instruktorem sportowym, urzędnikiem pocztowym, policjantem, robotnikiem kolejowym, urzędowym tłumaczem, handlarzem środków nasennych, windziarzem, kelnerem, pokerzystą, portierem hotelowym,

⁵⁹ Tamże, s. 503.

specjalistą od centralnego ogrzewania, robotnikiem portowym, marynarzem, stewardem, więźniem politycznym, magazynierem, biuralistą, działaczem Międzynarodowego Czerwonego Krzyża, korespondentem wojennym, dyplomata – wreszcie dziennikarzem i literatem⁶⁰.

Większość z tych zawodowych doświadczeń przypadła na okres II wojny światowej. Wtedy też wielokrotnie zmieniał miejsce pobytu.

zwiedziłem kilka krajów, mieszkałem w kilkunastu miejscowościach, poznałem kilkadziesiąt miast, przejechałem kilkaset, o ile nie kilka tysięcy stacji kolejowych, z północy na południe i ze wschodu na zachód Europy, a także za każdym razem, z powrotem. Kilka razy siedziałem w różnych punktach mapy naszego kontynentu w więzieniach i obozach koncentracyjnych, które opuszczałem bez porozumienia się z kierownictwem tych zakładów⁶¹.

Marcel Woźniak, biograf Tyrmanda, starał się w miarę możliwości sprawdzić, gdzie kończą się twarde dane, a zaczynają konfabulacje. Ku swojemu zdziwieniu musiał przyznać, że nieraz to, co wyglądało na literacki polot, znajdowało potwierdzenie w zachowanych dokumentach. Bohater *Filipa* na przykład postanawia udawać obywatela francuskiego. Biografowi bobrującemu w Archiwum Hoovera wpada w ręce dokument tożsamości, wystawiony w 1941 roku, wedle którego Tyrmand jest Francuzem⁶².

W jednej sprawie wszelako pierwszoosobowy bohater *Dziennika 1954* nie zdradza tajemnic Tyrmanda – konsekwentnie milczy na temat jego żydowskiego pochodzenia, śmierci ojca w obozie, gehennie, którą przeszła matka, zagłady znacznej części rodziny⁶³. Czytając *Dziennik* ze świadomością żydowskich korzeni autora, można odnieść wrażenie, że – jak przez całą wojnę ukrywa się „po aryjskiej stronie” sposobem wcześniej wypróbowanym, nie przemykając chyłkiem, lecz pozostając na widoku.

⁶⁰ Tamże, s. 515.

⁶¹ Tamże.

⁶² M. Woźniak, *Biografia Leopolda Tyrmanda. Moja śmierć będzie taka, jak moje życie*, Kraków 2016, s. 116-117.

⁶³ Pisał w *Dzienniku* o rodzicach, lecz milczał o Zagładzie. O rodzinie zob. w książce M. Woźniaka (s. 19-48, 163-173).

Bohater *Dziennika* obraca się w środowisku prasowym katolików, manifestuje nawet swoją katolicką religijność, kiedy popłaca wojujący ateizm, jest postacią barwną. Konkluzja: maskuje się ekscentryzmem.

Nie mam jednak co do powyższej interpretacji przekonania. Tragedia Holokaustu polegała też na tym, że gwiazdami Dawida zostali oznaczeni zarówno Żydzi zachowujący tradycyjną kulturę żydowską, jak i ci, których przodkowie zdecydowali się na asymilację do kultury dominującej. Po Zagładzie wielu spośród ocalałych zmienia personalia, niekiedy zachowując te, które służyły im za kamuflaż podczas wojny. W *Dzienniku* Tyrmand pisze o niezmiennym przywiązaniu do swego nazwiska:

Etymologicznie rzecz biorąc, nazwisko moje nastęcza mnóstwo trudności – „tyr” to byk w językach skandynawskich, a „mand” ma jakieś związki ze staroskandynawskimi czy starogermańskimi prajęzykami, w których oznacza człowieka. Skąd jednak te onomastyczne tradycje wikingów u spokojnego, siedzącego od pokoleń w centrum Polski pospółstwa, tego nie wiem. W każdym razie, jak wyraził się pewien młody poeta, nazwisko moje brzmi sprężysto i jędrnie i bardzo jestem doń przywiązany⁶⁴.

Przez samo poruszenie zagadnienia personaliów Tyrmand nakłuwiał drażliwy temat pochodzenia, ale rozgrywał go po swojemu: on sam decyduje o tym, kim jest.

Kwestii żydowskiego pochodzenia nie ma również w *Porachunkach osobistych*. Czy jednak nie zostawia żadnego śladu? Mam wrażenie, że przebija się na powierzchnię w zdaniu, które cytowałam już gdzieś wcześniej: „Idiotyczna sprawa paszportu zagranicznego uczyniła mnie nagim, aż wstyd”⁶⁵. Doświadczenie ofiary komunistycznego bezprawia zdaje się nakładać na doświadczenie obnażonego z człowieczeństwa Żyda. Opisując w *Porachunkach* mitręgę paszportową, Tyrmand nie podaje do publicznej wiadomości wszystkich szykan, jakie go wtedy spotkały. Nie ujawnia m.in., że próbowano go powiązać z morderstwem

⁶⁴ L. Tyrmand, *Dziennik 1954*, s. 511.

⁶⁵ Jest to nagość, o jakiej pisał G. Agamben, *Homo sacer. Suwerenna władza i nagie życie*, przeł. E. Salwa, Warszawa 2008.

syna Bolesława Piaseckiego, sprawą do dzisiaj nierozwikłaną⁶⁶. Nic dziwnego, że przy pierwszej sposobności spakował walizkę i udał się tam, gdzie go jeszcze nie było.

⁶⁶ M. Woźniak, dz. cyt., s. 289-294.

X. Migracje Iwaszkiewicza jako dylemat biografistyki

Budzą nas muchy i samoloty
(J. Iwaszkiewicz, *Dzienniki 1911-1955*)

Biografistyka z retuszem

W końcu roku 1963 do urzędu cenzorskiego trafił *Słownik biograficzny Warmii, Mazur i Powiśla od połowy XV w. do 1945 roku*, sporządzony przez Tadeusza Orackiego. Autorowi przyświecała idea najzupełniej zgodna z duchem regionalizmu PRL-owskiego: biografie zgromadzone w słowniku świadczyć miały na rzecz odwiecznej polskości tej części Ziemi Odzyskanych. W powojennej Polsce intensywnie promowano wymienioną w tytule nazwę „Powiśle”¹. Niebudząca cenzorskich zastrzeżeń w swoich założeniach, przywołana wyżej praca wymagała jednak korekty w szczegółach. Zdaniem czujnego cenzora rażąco brakowało w niej sylwetek polskich działaczy lewicowych, wskutek czego rozpanoszeni w *Słowniku* zwolennicy Narodowej Demokracji nie znajdowali żadnej ideologicznej przeciwwagi. Urzędowego recenzenta niepokoiły ponadto nazwiska sanacyjnych dostojników – niegodnych upamiętniania z zasady. Kłopotliwe były również biografie tych spośród zasłużonych dla polskości

¹ W 1947 r. ukazała się broszura Stanisława Srokowskiego *Prusy Wschodnie (Mazury, Warmia, Powiśle)*, przeznaczona do użytku szkolnego.

regionu, którzy co prawda legitymowali się pożądanym dorobkiem z okresu poplebiscytowego, lecz bądź to w PRL-u długo miejsca nie zagrzali (m.in. Adolf Szymański), bądź to zamieszkali w Niemczech Zachodnich od razu po wojnie (np. Waław Jankowski)². Zastrzeżenia dotyczyły też wymienionej w bibliografii rozprawy Stanisława Kota, *Polska a Mazowsze ewangelickie: okazanie prawdy historycznej*³.

Po konsultacjach z Wydziałem Propagandy olsztyńskiego KW PZPR i historykiem regionu Wojciechem Wrzesińskim⁴ uzgodniono, że przewagę endecji osłabi cokolwiek biogram Gustawa Jagiełły (aktywista KPD), a w biografjach emigrantów trzeba będzie „pomiąć ich obecną działalność lub przemilczeć miejsce pobytu”⁵. Rozprawa o ewangelikach konsultantom nie przeszkadzała; w urzędzie upierano się wszelako, żeby ją wykreślić. Można przypuszczać, że przyczyna obstawania przy ingerencji tkwiła nie tyle w przedmiocie publikacji, ile w osobie jej autora, który powróciwszy z emigracji wojennej w 1945 roku, ponownie wybrał obczyznę już dwa lata później. Migracyjny aspekt życiorysów w dobie przemian terytorialno-ustrojowych ewidentnie przeszkadzał w układaniu obrazu, który biografie miały współtworzyć. Wybór polskości powinien być się łączyć bezwarunkowo z akceptacją ustroju Polski powojennej, jeśli nie wręcz wynikać z tej akceptacji. Poczuwający się do polskości mieszkańiec terytorium, którego dotyczył *Słownik* winien był – zgodnie z historyczną koniecznością – opowiedzieć się za Polską w granicach gwarantowanych przez protekcję sowiecką. Jeśli wybierał inaczej, jego biogram wymagał retuszu.

Omawiana publikacja stanowi niewątpliwie ciekawy materiał analityczny w kontekście kampanii polonizacyjnej czy też repolonizacyjnej wobec Ziemi Odzyskanych, w tym przypadku – południowej części historycznych Prus Wschodnich⁶. Nie jest to jednak powód jedyny, by

² Biogram Jankowskiego zob. w cyfrowej *Encyklopedii Warmii i Mazur*. http://encyklopedia.warmia.mazury.pl/index.php/Wac%C5%82aw_Jankowski [dostęp 25.05.2016].

³ Publikacja Kota ukazała się w Szczytnie w 1920 r. pod pseudonimem Student Mazur-Ewangelik.

⁴ W roku publikacji *Słownika* wyszła drukiem również praca Wojciecha Wrzesińskiego, *Ruch polski na Warmii, Mazurach i Powiślu w latach 1920-1939*. Od 1963 r. działał w Olsztynie (powołany dwa lata wcześniej) Ośrodek Badań Naukowych im. Wojciecha Kętrzyńskiego.

⁵ AAN, GUKPPiW, sygn. 1022,teczka 145/40.

⁶ *Słownik Orackiego* warto by interpretować w związku z poetyką propagandy plebiscytowej. Cennymi uwagami na temat ujęcia zagadnień narodowościowych w plebiscytach (m.in.

ją przewertować. Zważywszy bowiem, że Tadeusz Oracki kontynuował zainteresowania biografistyczne, publikując wyniki swoich poszukiwań w roku 1983, można zaobserwować, jak zmieniał się nie tylko skład osobowy *Słownika*, ale również jak sam autor borykał się z realizacją idei przewodniej, próbując z czasem liberalizować kryteria doboru kandydatów do słownikowej ekspozycji. W kompendium z 1983 roku, zatytułowanym *Słownik biograficzny Warmii, Mazur i Powiśla w XIX i XX w. (do 1945 roku)*, zawęził – w porównaniu z wersją poprzednią – granice chronologiczne, dzięki czemu uwzględnić mógł więcej nazwisk przypadających na okres newralgiczny dla problematyki afiliacji narodowościowej. Co znamienne w *Słowniku* pojawili się również niemieckojęzyczni mieszkańcy regionu. Kryterium miejsca urodzenia⁷ pozwoliło też, czemu dziwił się recenzent *Słownika*, umieścić wśród godnych pamiętania Józefa Koriota, generała rosyjskiego pochodzącego z Reszla. Recenzent, którym był wspomniany już wcześniej Wojciech Wrzesiński, chociaż doceniał wieloletni trud Orackiego, nie ukrywał mankamentów całego przedsięwzięcia:

Zgodnie z założeniami przedstawionymi we wstępie autor dbał przede wszystkim o pokazanie wybitnych Polaków tego obszaru, reprezentatywnych dla polskości. Było to często niełatwe. Charakter procesów narodowościowych, istnienie licznej grupy osób o nieukształtowanym poczuciu świadomości narodowej i także licznej zgermanizowanych Polaków utrudniało określenie narodowości⁸.

Oracki świadomie zamieścił w *Słowniku* „nazwiska niektórych renegeatów, ograniczając się tylko do związanych przez pewien czas z ruchem polskim”, za to nie uwzględnił innych, którzy

z 1920 – Warmia, Mazury, Powiśle i 1921 roku – Górny Śląsk) dzieli się P. Krzywoszyński, *Zagadnienia narodowościowe w perspektywie polskich plebiscytów i referendów (1920, 1921, 1946)*, „Annales” 2011, t. 2.

⁷ Nie jest to jedyne kryterium decydujące o doborze biografii opracowanych w *Słowniku*. Umieszczono w nim również biogramy osób pochodzących z innych obszarów, ale przez dłuższy czas bądź epizodycznie związanych z tymi ziemiami, oraz takich, które przebywając gdzie indziej, interesowały się sprawami Warmii, Mazur i Powiśla czy też pracowały na ich rzecz.

⁸ W. Wrzesiński [rec.], T. Oracki, *Słownik biograficzny Warmii, Mazur i Powiśla XIX i XX wieku (do 1945 roku)*, Warszawa 1983, „Komunikaty Mazursko-Warmińskie” 1985, nr 3–4, s. 433.

wywierali ogromny wpływ na postawy Polaków, jak chociażby pisarzy Skowronków – Fritza, Maxa i Richarda, przywódcę olsztyńskiego Heimatdienstu, Worgitzkiego czy czołowego działacza Bund Deutscher Osten w Olsztyńskim, Petrykowskiego. A byli to ludzie, których znaczenie dla przeobrażenia postaw narodowych Mazurów i Warmiaków trudno przecenić. Zamieścił też biografie niektórych Niemców: działaczy ruchu robotniczego, pisarzy, historyków, duchownych – którzy bądź okazywali sympatie propolskie, bądź zajmowali wobec Polaków postawę obiektywną. Jest to sprawa bardzo dyskusyjna. Wydaje się, że albo należało poszerzyć zestaw Niemców umieszczonych w Słowniku na tyle, na ile wynika to z ich faktycznej funkcji w historii tego regionu w XIX i XX wieku, za czym bym się opowiadał, bądź ograniczyć tylko do Polaków, uwzględniając wszystkie wątpliwości co do przynależności narodowej, nie wyłączając nawet wynarodowionych Warmiaków i Mazurów. Przyjęcie kompromisowego rozwiązania zmuszało do bardzo woluntarystycznych decyzji, które nie zadowolą żadnego czytelnika i nie zaspokoją podstawowych wymogów poznawczych⁹.

Niekonsekwencje w doborze haseł biograficznych – można by składować wywód recenzenta – zostały wymuszone przez samą specyfikę regionu pogranicznego (spornego)¹⁰, który jeszcze stosunkowo niedawno współtworzył zupełnie inny organizm państwowy, oraz stąd, że autor *Słownika* miejscami odchodził od zadeklarowanej orientacji polonocentrycznej na rzecz ujawniania kulturowego zróżnicowania regionu, a w konsekwencji trudnych do rozwikłania problemów tożsamościowych. Wciąż daleko mu jednak było do podejścia, które na początku lat 90. zaistniało publicznie jako borussiański „otwarty regionalizm”. Wedle autorskiej deklaracji *Słownik Warmii, Mazur i Powiśla* nie oznaczał otwarcia na wschodniopruską przeszłość tych obszarów, lecz był polską odpowiedzią na monumentalną *Altpreussische Biographie*, interpretowaną w duchu „rewanżystowskim”.

⁹ Tamże.

¹⁰ O terytoriach spornych zob. T. Wituch, *Terytoria sporne w Europie po roku 1815*, Warszawa 2012.

Biografistyka w różnych jej odmianach i formatach, od słowników przez obszerne monografie naukowe po biografistykę zbeletryzowaną stanowi niewątpliwie obiecujący kierunek ekspansji badawczej dla tzw. nowego regionalizmu, którego metodologia pozwala opisać komplikacje tożsamościowe albo identyfikacyjne wynikające z migracji czy translokacji tak licznych w XX i XXI wieku, lecz występujących obficie również w epokach wcześniejszych. Zarazem jest to dziedzina pasjonująca dla uczonych zainteresowanych różnymi formami cenzury. Nawet uprawiający biografistykę w wolnym świecie nie mogą sobie wszak pozwolić na ujawnianie wszelkich informacji o cudzym życiu. W okresie PRL-u biografowi utrudniała zadanie cenzura urzędowa. Trzeba jednak pamiętać, że obawa przed naruszeniem kulturowego tabu może powstrzymywać przed nadmierną otwartością wcale nie mniej skutecznie.

Biografia narodowa

Kiedy w 1922 roku na łamach „Przeglądu Warszawskiego” Władysław Konopczyński, ówczesnie profesor Uniwersytetu Jagiellońskiego, pisał o potrzebie szeroko zakrojonych prac, które złożyłyby się w „biografię narodową”, odpowiednik przedsięwzięć dokonanych już przez Francuzów, Anglików, Niemców, Austriaków, Rosjan, Belgów, Holendrów, Włochów..., trzeźwo oceniał trudności, jakie trzeba by po drodze pokonać:

kto chce kreślić bieg życia działacza historycznego, musi znać trzy pokolenia: jego ojców, braci i synów; a wiadomo, jak wiele brakuje nam do ścisłej znajomości samego nawet toku spraw publicznych w jakimkolwiek stuleciu, cóż dopiero przeżyć osobistych wybitnych jednostek, których korespondencje, akta i inne pamiątki wicher rozrzucił po świecie; w tej dziedzinie każda nowa zdobycz zależy i zależy będzie od szczęśliwego przypadku¹¹.

¹¹ W. Konopczyński, *O polską biografię narodową*, „Przegląd Warszawski” 1922, t. 1, nr 5, s. 168.

Historyk widział zatem problem (nie jedyny)¹² w dostępie do źródeł rozproszonych przez kataklizmy historii, w tej części świata stanowiących codzienne niemal doświadczenie przez długie lata Wielkiej Wojny i prowadzonych w jej następstwie wojen o granice. W 1922 roku ukazała się choćby *Pożoga* Zofii Kossak-Szczuckiej, odnosząca się do terytoriów „nieodzyskanych” po traktacie ryskim, rejestrująca zagładę wielu siedzib rodzinnych, a wraz z nimi bibliotek i archiwów. Ale przecież – by rozwinąć uwagę Konopczyńskiego – historyczne „wichry”, których na ziemiach pogranicznych między Zachodem a Wschodem nigdy nie brakowało, czyniły spustoszenia nie tylko w dokumentach i wszelkiego rodzaju źródłach pisanych. Miotaly i ludźmi, i ich dorobkiem w taki sposób, że miejsce pochówku dzieliły od miejsca urodzenia świąty całe, dramatycznie utrudniając odtworzenie meandrów ich biografii, zrozumienie ich wolt światopoglądowych i wyborów politycznych, rozszyfrowanie motywacji, rozpoznanie urazów i lęków. Orędownik wspomnianej inicjatywy nie określał kryteriów doboru „sławnych Polaków”, których nazwiska miałyby się znaleźć w *Polskim słowniku biograficznym*. Napominał tylko, żeby nie popadać w ton apologetyczny.

Bayardów bez skazy, polityków nieomylnych, mędrców i wieszczów bez słabości i błędu, na których śmiało można wskazać młodzieży: „tych miejcie za wzór”, okazałoby się niewielu, albo też autor musiałby plutarchizować postacie ułomne, tj. przemilczeć pewne strony ich charakterów, a to się na nic nie zda¹³.

Że chodziłoby mu o „świętych” i „nieświętych” zaznaczył już na samym początku artykułu:

¹² Wobec trudności, które wydawały mu się nie do pokonania („Długo jeszcze przyjdzie pracować nad oświatą ludu, zanim czytelnictwo nasze poczuje potrzebę takiego słownika, jaki mają inne narody; długo trzeba będzie zbierać okruchy, zanim się z nich ulepi alfabetyczny zbiór tysięcy życiorysów”, tamże), Konopczyński popularyzując ideę *Polskiego słownika biograficznego*, proponował równocześnie rozwiązanie „pomostowe” – specjalny periodyk, w którym regularnie drukowano by teksty biograficzne. Za godną rozważenia uznawał też formę, która byłaby kontynuacją *Życiorysów sławnych Polaków* (ukazywały się w latach 1898–1900, nakładem K. Grendyszyńskiego), naśladujących rosyjską kolekcję F. Pawlenkova *Žizn zamieczatielnych ludiej*. Chodziłoby o wydawanie osobnych tomików, z których każdy dotyczyłby jednej osobistości historycznej.

¹³ W. Konopczyński, dz. cyt., s. 169.

Jesteśmy podobno narodem indywidualistów. Dawna Rzeczpospolita stała pono nie rządem, lecz ludźmi. Zdawałoby się, że w takim razie powinniśmy znać swoich przodków i współczesników, pamiętać ich, rozumieć, czuć, żywo i trwale. Takie świętych narodowych – i nie tylko świętych – obcowanie pogłębia nurt tradycji, wzmacnia wiekującą tężyznę narodu, nie mówiąc już o tem, że wzbogaca praktyczne doświadczenie obywatela¹⁴.

Jaką koncepcję „narodu” miał Konopczyński na myśli w roku 1922, wprost tego nie określił. Nie można też jej wyinterpretować ze słownikowej materii biograficznej, bo prace nad PSB zaczęły przynosić pierwsze publikacyjne efekty dopiero w latach 30., a więc w innej już sytuacji wewnętrznej i międzynarodowej. Jaka by jednak koncepcja ta nie była, „narodowy” słownik po dziesięcioleciach funkcjonowania „narodu” pod obcymi rządami musiał nastęrczać problemy niemałe z uwagi choćby na ziomków, którzy zdecydowali się porzucić narodową wspólnotę albo mocno się od niej dystansowali. Stąd też zapewne między innymi uprzedzał Konopczyński, żeby nie przesadzać ze „świętością” kandydatów do narodowego kompendium biograficznego.

Kazimierz Tyszkowski w artykule *Biografia i słowniki biograficzne* z 1929 roku, gdzie propagował ideę *Słownika biograficznego Polski porozbiorowej* (skromniej zakrojony wariant PSB), który miałby uświetnić dziesięciolecie odrodzonego państwa, wskazywał na związek tego rodzaju publikacji z przemianami w dziejach zbiorowości. Odwoływał się do przykładów „biografii” francuskiej, brytyjskiej, austriackiej, belgijskiej, holenderskiej, włoskiej jako wyrazu polityki imperialnej bądź narodowej. „Wielkie zmiany historyczne – pisał – znajdują echo w tych przedsięwzięciach, sfery historyczno-naukowe reagują na losy swej ojczyzny”¹⁵. Wynikało z jego wywodu, że państwo aspirujące do odgrywania znaczącej roli w świecie musi się utwierdzić w poczuciu własnej wartości. Słownik porozbiorowy okazywałby dowodnie, że nowe państwo polskie narodziło się z woli narodu, który przez dziesięciolecia nie ustawał w dążeniach do suwerenności. Stanisław Kot, który inicjatywy „słownika porozbiorowego”

¹⁴ Tamże, s. 161.

¹⁵ K. Tyszkowski, *Biografia i słowniki biograficzne*, „Kwartalnik Historyczny” 1929, t. 2, z. 1, s. 13.

nie akceptował, uważał, że młodemu państwu potrzebne są w przede wszystkim nie tradycje martyrologiczne, lecz odzyskanie łączności z przodkami, którzy tworzyli państwowość przedrozbiorową¹⁶. Przy okazji zwracał uwagę na istotną różnicę między warunkami, w jakich powstawały wielkie słowniki biograficzne w innych krajach a rodzimym gruntem dla takiej inicjatywy. Gdzie indziej mianowicie instytucjonalnie zorganizowaną pracę nad „biografią narodową” poprzedzał „okres erudycyjno-antykwaryczny”¹⁷.

Materiał biograficzny u innych narodów przygotowany został rozległe już wcześniej, głównie w w. XVIII. Włosi, Francuzi, Belgowie, Holendrzy, Anglicy, Niemcy posiadali wówczas u siebie spory zastęp uczonych erudytów, szperaczy, antykwarystów, rozmiłowanych w tradycji swoich dzielnic, prowincji, hrabstw, szkół, zakonów, swego drukarstwa, swej sztuki, którzy trudem całego życia nagromadzili ogromną ilość biografii i portretów wybitniejszych postaci historycznych, wyzyskując nie tylko źródła drukowane, ale także rękopisy biblioteczne, archiwalia rodzinne, kościelne i publiczne¹⁸.

U nas aktywności takiej zabrakło. „Warunki polityczne ogólne oraz brak intensywnego życia umysłowego w miastach i poszczególnych ziemiach, brak bibliotek, uniemożliwiały powstanie lokalnych stowarzyszeń miłośników przeszłości własnego zakątka”¹⁹. W XIX wieku pojawili się wprawdzie pasjonaci o dostatecznym przygotowaniu profesjonalnym, by prace biograficzne prowadzić, nie mieli jednak ani środków, ani wsparcia ze strony instytucji, ani łatwego dostępu do archiwów. Kot obawiał się zatem, że centralnie podjęta inicjatywa „biografii polskiej” nabierze charakteru dominacyjnego względem tych, którzy nie będą się mieścili w formule określonej z góry, a nie wypracowanej w toku wielu inicjatyw

¹⁶ „Związanie dzisiejszej Polski organizującej się z trudem, z zbyt słabym zaufaniem ku sobie – z niewyczerpanym źródłem mocy i wiary w przeszłość, byłoby mym zdaniem trwalszym uczuciem odrodzenia państwa aniżeli ograniczenie się do okresu naszej martyrologii. Dlatego Polski Słownik Biograficzny musi ogarniać całą historię Polski, z szczególnem, uprzywilejowaniem uwzględnieniem wielowiekowego niepodległego państwa polskiego!”. S. Kot, *O biografii polską*, „Pamiętnik Warszawski” 1929, z. 2, s. 169.

¹⁷ Tamże, s. 161.

¹⁸ Tamże.

¹⁹ Tamże, s. 162.

rozproszonych. Wprost też upominał się o reprezentantów mniejszości narodowych: „Terytorialnie granicami jego [*Słownika* – przyp. E.D.] są granice Rzplitej, zatem i wybitni przedstawiciele niepolskiej narodowości zmieścić się w nim powinni; spoza granic – swoi, działający na obczyźnie”²⁰.

Wiele wskazuje na to, że w jego koncepcji regionalizacja kraju byłaby znacząco obecna. Co jeszcze warto podkreślić, to to, że o ile Konopczyński operował „zasługą” jako warunkiem dostąpienia zaszczytu, by trafić do „biografii narodowej”, aczkolwiek „zasługę” ową definiował raczej nieortodoksyjnie, Kot stosował kryterium „wpływu” („na życie publiczne i na losy państwa i narodu”)²¹. Stąd też opowiadał się za włączeniem do *Słownika* osób, które „choćby w ujemnym sensie zaprzętały sobą opinię publiczną”. Mieliby w nim swoje miejsce „głośni zbrodniarze, oszuści, alchemicy, błazny, dziwacy” i... „obcy roztaczający wybitniejszą działalność w Polsce”²². W zestawieniu z nobliwą koncepcją *Słownika biograficznego Polski porozbiorowej* jego propozycja wyglądała miejscami dość prowokacyjnie.

Idea „biografii narodowej”, z którą wystąpił w 1922 roku Władysław Konopczyński, skonkretyzowała się w końcu w pracach nad *Polskim Słownikiem Biograficznym*, wydawanym od roku 1935 po dziś dzień, wyjąwszy przerwę okupacyjną i stalinowską. Jego projekt zakładał wprowadzenie powołanie komitetów regionalnych, które pilnowałyby interesów poszczególnych regionów przed zakusami centrum, lecz takiego trybu prac nie udało się wdrożyć²³. Nic dziwnego. Od twórców *Słownika*, którego idea zrodziła się w dobie jednoczenia terytoriów porozbiorowych i ich mieszkańców, po to właśnie, by wspierać unifikujące działania władz państwowych, trudno byłoby wymagać praktyk osłabiających prerogatywy centrum. Narodowa dominanta kładła się też cieniem na słowniki regionów powstające w PRL-u, jak przywoływany wcześniej *Słownik Warmii, Mazur i Powiśla czy Śląski słownik biograficzny* (1977, 1979).

²⁰ Tamże, s. 167.

²¹ Tamże.

²² Tamże, s. 166.

²³ Wspominał o tej części projektu Konopczyńskiego Tadeusz Oracki, który uczestniczył w pracach PSB. Pisał też o polemikach, jakie toczono w gronie autorów słownikowych o miejscu postaci związanych z poszczególnymi regionami w „biografii narodowej”. T. Oracki, *Z Zagadnień biografistyki Warmii i Mazur*, „Komunikaty Warmińsko-Mazurskie” 1980, nr 3, s. 437–438.

Dopiero poruszenie regionalne wywołane transformacją ustrojową stworzyło szansę na uprawianie biografistyki wyemancypowanej spod klucza narodowego²⁴. W *Słowniku biograficznym miasta Lublina*²⁵, by wymienić jedną z wielu tego rodzaju inicjatyw, znaleźli się lublinianie o różnych etnicznych korzeniach i często bez żadnych zasług dla sprawy narodowej polskiej, za to aktywnie współtworzący substancję miejską. Idąc jeszcze dalej, należałoby postulować, aby słowniki biograficzne odnoszące się do regionów pogranicznych nie tylko uwzględniały wedle jasnych kryteriów przedstawicieli wszystkich mniejszości narodowych czy etnosów zamieszkujących (dawniej i aktualnie) opracowywane terytorium. Należałoby postarać się też, aby tworzono je przy współpracy biografów z ośrodków po obu stronach granicy i wydawano równocześnie we wszystkich językach, które współtworzyły bądź współtworzą kulturę danego regionu pogranicznego.

Biografia transgraniczna

Biografistyka naukowa (zwłaszcza w postaci obszernych monografii) stanowi niewątpliwie część piśmiennictwa o znaczeniu istotnym dla samopoznania i samookreślenia wspólnoty narodowej czy kulturowo-społecznej. Jej funkcja polega między innymi na formowaniu, żeby nie powiedzieć konstruowaniu, a co najmniej odnawianiu – nieraz poprzez rewidowanie – panteonu wspólnotowego, galerii „naszych nieśmiertelnych”, symbolicznych przodków albo postaci dla wspólnoty emblematycznych²⁶.

²⁴ Słowników regionalnych i lokalnych powstało już sporo, o różnym zasięgu terytorialnym. Oto kilka przykładów: *Bydgoski słownik biograficzny*, red. J. Kutta, t. 1-7, Bydgoszcz 1994-2006; *Toruński słownik biograficzny*, red. K. Mikulski, t. 1-7, Toruń 1998-2014; *Słownik biograficzny białostocko-lomżyński*, red. A. Dobroński, Białystok 2002; *Wileński słownik biograficzny*, red. H. Dubowik, L.J. Malinowski, Bydgoszcz 2002; *Słownik biograficzny białostocko-lomżyńsko-suwański*, red. A. Dobroński, Białystok 2005; *Chełmiński słownik biograficzny*, red. S. Rafiński, Chełmno 2006; *Włocławski słownik biograficzny*, red. S. Kunikowski, t. 1-6, Włocławek 2004-2011.

²⁵ Pierwszy tom *Słownika* opublikowano w 1993, czwarty – w 2014 r.

²⁶ Zagadnienie kreowania panteonu poruszałam m.in. w artykule *Spór o panteon. „Rys dziejów literatury polskiej” Leonarda Sowińskiego*, w: *Historie literatury polskiej 1864–1914*, red. U. Kowalczyk, Ł. Książyk, Warszawa 2015. Oczywiście zabiegi wokół panteonu nie są jedyną ramą, w którą należałoby wpisywać poczynania biografów. Z innych motywacji wyrasta biografistyka inspirowana np. psychoanalizą czy dekonstrukcją. W tego rodzaju ujęciach biograf

Biografistyka o nastawieniu regionalistycznym – analogicznie do tej służącej interesom ogólnonarodowym – sprzyja tworzeniu i aktualizowaniu panteonów regionalnych. Mogą być one formowane jako agenda składowa panteonu narodowego czy ogólniej centrystycznego, ale też relacje między panteonem o zasięgu krajowym a tymi regionalnymi nie muszą się układać wyłącznie koncyliacyjnie. Panteon regionalny może być przecież wyrazem oporu wobec polityki unifikacyjnej bądź przejawem czy instrumentem tendencji decentralizacyjnych albo i separatystycznych, co wiązałoby się próbami odwojowania osobistości znaczących dla regionu, zawłaszczonych uprzednio przez centrum.

Optując za biografistyką noworegionalistyczną nie zamierzam jednak apelować o wzmożenie aktywności na rzecz regionalnych panteonów modelowanych w duchu niezależności wobec kryteriów obowiązujących w panteonie narodowym. To, że inicjatywy tego rodzaju zdecydowanie aprobuję, nie oznacza bynajmniej, że podważam tym samym sens „biografistyki” uprawianej pod auspicjami centrum. Dialog między dwiema tymi opcjami wydaje się zjawiskiem kulturowo płodnym.

Odmienność docelowego podejścia noworegionalistycznego w biografistyce polegałaby raczej nie na tworzeniu panteonów konkurencyjnych względem ogólnokrajowego, lecz na rezygnacji z myślenia tymi kategoriami. Opracowując biografię pod kątem panteonu, zakładamy, że obiekt naszego zainteresowania zasłużył na to, by się nim bliżej zająć, a rezultaty badań skoncentrowane wokół jego osoby warto podać do publicznej wiadomości. Z samego tego założenia wynika zaś, że biograf mniej lub bardziej ostentacyjnie występuje w roli rzecznika, jeśli nie wręcz adwokata, bohatera opowieści biograficznej. Przy czym jako rzecznik reprezentuje nie tylko interes obiektu swoich dociekań, lecz również poważniejszy interes wspólnoty, do której bohater opracowania biograficznego należy, z którą się identyfikuje, którą w opinii potocznej uosabia bądź dopiero ma uosabiać. Biografia zatem pisana jest w taki sposób, żeby wspólnota nie

obficie korzysta z tego, że bohater jego studium dostąpił panteonizacji, by móc jego publicznie skonstruowany i utrwalony obraz wyrzucić podszewką do góry. Lena Magnone, biografka autorki *Roty*, deklarując podejście inspirowane m.in. psychoanalizą lacanowską, napisała we wstępie do swojej książki: „Moim pragnieniem jest zobaczenie w kompozycji tekstów twarzy Konopnickiej”. L. Magnone, *Maria Konopnicka. Lustra i symptomy*, Gdańsk 2011, s. 8.

poniosła z tego tytułu uszczerbku. Biograf-rzecznik staje przed trudnym zadaniem zwłaszcza wtedy, kiedy na wybitnym dorobku osobistości, którą ma przedstawić, kładzie się plamą zszargana z jakichś powodów reputacja, co dotyczy na przykład Stanisława Brzozowskiego czy zlustrowanych pisarzy PRL-owskich. Biografowie panteonizujący, jeśli nie uciekają się do praktyk cenzurowania przeszłości, starają się przedstawić występki swych bohaterów w sposób bagatelizujący ich ciemną stronę bądź namawiając czytelników do wyrozumiałości w imię jakiejś wyższej racji wobec zachowań etycznie wątpliwych.

Kwestią osobną jest oczywiście sytuacja, kiedy mamy do czynienia z odgórnie sterowanym fabrykowaniem panteonu, pociągającym za sobą przekłamywanie najtwardszych nawet faktów. Jeśli biografowi chodzi o to, by panteon zrewidować, eliminując z niego kogoś, kto się dostał tam skutkiem celowej manipulacji, obiera wówczas rzecz jasną rolę nie rzecznika/adwokata swego „klienta”, lecz prokuratora.

By znaleźć się w kręgu zainteresowania biografu noworegionalistycznego niekoniecznie trzeba się wylegitymować uznaną przez wspólnotę zasługą czy siłą oddziaływania. Biografia pisana w tym duchu nie tyle winna się odwoływać do szeroko rozumianego dorobku, ile mieć na względzie to, czego osoba skupiająca uwagę biografu doświadczyła, co widziała, w czym uczestniczyła, czemu próbowała sprostać, co zrobiła, a czego zaniechała, co ją dotknęło, a co dziwnym trafem ominęło.

Wspólnotę organizuje, jak wiadomo, nie tylko system wartości deklarowanych, o których się głośno mówi, zwłaszcza przy podniosłych okazjach, ale też sfera tabu, a zatem również i to, co zostaje wstydliwie przemilczane, co usuwa się z publicznego widoku i głęboko ukrywa. Biografistyka noworegionalistyczna będzie się rozgrywała nie między różnymi wersjami panteonu, nie między sferą publiczną a prywatnością, lecz między tym, co jawne, dozwolone, dyskursywizowane w obiegu publicznym i tym, co tabuizowane, cenzurowane, piętnowane, spychane na margines. Stąd też w noworegionalistycznym kręgu zainteresowania powinny się znaleźć przede wszystkim biografie, które nazywam transgranicznymi, naznaczone koniecznością przekraczania granic (w sensie terytorialnym i kulturowym), podejmowania prób aklimatyzacji w nowych warunkach, testowania rozmaitych zabiegów adaptacyjnych, bo nic nie jest w tej nowej sytuacji

dane, nic zrozumiałe samo przez się, nic zagwarantowane²⁷. Przekroczenie granicy, o które tu chodzi, może pociągać za sobą zmianę obywatelstwa, wyznania, języka, ideologii, statusu społecznego, a nawet – kraju pochodzenia²⁸. Bywa też oceniane przez współrodaków czy współziomków jako „zdrada”, „apostazja”, „renegactwo”. Biografie transgraniczne stanowią z pewnością intrygujący obiekt badawczy, lecz w ujęciu noworegionalistycznym nie powinny być traktowane jako przypadki szczególne, osobne w swej podmiotowej niepowtarzalności i dlatego frapujące. Należałoby je sytuować na planie szerszym, ale nie bardzo szerokim, nie światowym, europejskim, krajowym, lecz bliższym, właściwym dla regionu, powiatu, dzielnicy, wśród przypadków pod pewnymi względami analogicznych, wystawionych na działanie tych samych podmuchów historii, podobnych przeszkód, stających przed podobnymi szansami i pokusami, żeby rozpoznać w nich zarówno to, co typowe, powtarzalne, nie do uniknięcia, jak i to, co nosi cechę wyborów pod prąd.

Biografie transgraniczne, zwłaszcza może na naszych ziemiach, nie należą do zjawisk wyjątkowych, lecz ich swoistość przez długie lata nie była podnoszona do rangi problemu naukowego. Powikłana historia ziem, które wchodziły w skład I Rzeczypospolitej czy całego obszaru określanego jako Europa Środkowa i Wschodnia, niestabilność granic państwowych, efemeryczność państw czy tworów państwopodobnych, stanowi grunt, na którym ten typ biografii występuje w obfitości. Nawet nie ruszając się z miejsca, mieszkańiec tych rejonów musiał zmieniać przynależność państwową, poddawano go polityce wynaradawiania, wymuszano konwersję religijną, pozbawiano majątku i statusu społecznego...

W biografistyce noworegionalistycznej silniej aniżeli przy panteonizacyjnej należałoby podkreślać problemy wynikające z identyfikacji narodowej czy przynależności etnicznej, wyznaniowej, językowej. O ile w dawnej – plutarchowskiej – biografistyce pytano o charakter, a w późniejszej, wykorzystującej zdobycze wiedzy psychologicznej zgłębiano zagadkę osobowości, to w perspektywie nowego regionalizmu do kategorii

²⁷ Zob. mój artykuł *Biografia transgraniczna. Migracje jako problem tożsamości w polskim wieku XIX*, „Białostockie Studia Literaturoznawcze” 2010, nr 1.

²⁸ Ten ostatni przypadek dotyczy np. bohaterki książki Remigiusza Grzeli, *Wybór Ireny*, Warszawa 2014, traktującej o jej dwóch tożsamościach jako Ireny Gelblum i Ireny Conti.

o pierwszoplanowym znaczeniu należy tożsamość, czy dokładniej afiliacja wspólnotowa. Dla biografii transgranicznej typowy jest konflikt lojalności, nastrożający się jako nieuchronny problem przybyszów, zawsze narażonych na wykluczenie, etykietowanie czy stygmatyzowanie.

Do panteonu niekoniecznie wprowadza się postaci świetlane. Tego typu biografistyka nie musi mieć charakteru hagiograficznego, chociaż oczywiście nieraz się to zdarza. Pozytywny obraz panteonizowanych osobistości może jednak wynikać nie tylko stąd, że biograf przydaje swemu bohaterowi blasku, wyolbrzymiając jego zasługi i usuwając w cień wszystko, co by mu mogło w opinii czytelników (bądź władzy) zaszkodzić. Korzystny efekt uzyskuje również wtedy, kiedy przypisuje osobistości opisywanej zdolność do panowania nad własnym losem, jeśli nie w sferze tzw. faktów, to przynajmniej świadomości, jeśli nie publicznej, to chociaż własnej. Ktoś taki zyskuje w naszych oczach, bo mimo wszystko wpływa na bieg swojego życia, staje do zapasów z losem. Możemy nie akceptować jego wyborów, ale szanujemy podejmowany trud, choćby miał wymiar jedynie zmagania wewnętrznych. W biografii transgranicznej akcent będzie padał raczej na zewnętrzny przymus niż podmiotową wolę, wyraźniej będzie widać determinanty losu, łatwiej będzie też o straty niż o zyski, o przegrane niż o sukcesy.

W wariacie panteonowym pisarz jest sprawcą swego losu, w transgranicznym – bliżej mu do figury w grze – jednej spośród wielu figur, której los zależy od płynnych bądź dramatycznych zmian położenia względem innych, nie mówiąc już o wichrach historii.

Iwaszkiewicz – dwie biografie

Zaglądam do dwóch książek biograficznych z ostatnich lat poświęconych Jarosławowi Iwaszkiewiczowi, pisarzowi, który prócz tego, że jest „kimś” w historii literatury polskiej, przyciąga uwagę również jako potencjalny obiekt badań noworegionalistycznych. Myśląc o tej drugiej perspektywie, warto by go zaliczyć do kategorii „egzulantów”, zmuszonych przemieścić się ze Wschodu w kierunku zachodnim, kiedy ich okolice rodzinne zostały ogarnięte rewolucją. Z rozmysłem sięgam po określenie

„egzulant”, w historiografii stosowane wobec przemieszczeń związanych z wydarzeniami historii XVII-wiecznej (termin ten odnosił się najpierw do szlachty z województw kijowskiego, czernihowskiego i smoleńskiego, która utraciła swoje majątki w następstwie traktatu andruszowskiego 1667), żeby zaznaczyć, że chodzi o przemieszczenia związane ze zmianami granic na Wschodzie i o aktywną rolę, jaką „egzulanci” odgrywali w życiu krajowym, będąc właśnie „egzulantami”.

Pierwszą ze wspomnianych książek o autorze *Sławy i chwały* jest Marka Radziwona *Iwaszkiewicz. Pisarz po katastrofie* (2010), publikacja WAB z serii „Fortuna i Fatum”, drugą – pierwszy tom dzieła *Inne życie. Biografia Jarosława Iwaszkiewicza* autorstwa Radosława Romaniuka z 2012 roku (opublikowany w Wydawnictwie Iskry).

Książka Radziwona jest biografią aspektową, bo „polityczną”, ale co dla mnie istotniejsze, ponad wszelką wątpliwość biografią panteonową. Książka Romaniuka sytuuje się bliżej podejścia noworegionalistycznego. Różnicę widać od pierwszych akapitów.

U schyłku życia – pisze Radziwon-panteonista – jesienią 1978 roku, stary, prawie osiemdziesięcioletni poeta zapisał w dzienniku: przeżywam dziwne rzeczy, ciągle są wspomnienia z 1914 roku, sprzed siedemdziesięciu lat i nagle falami powraca do mnie ta atmosfera nowości, początku, oczekiwania, te paradne przeżycia lat 1918–1920²⁹.

I komentarz biografy:

Oglądał się za siebie i widział długie, burzliwe, bogate życie. Wiele w tym życiu było przygód, zaskoczeń, wiele Jarosław Iwaszkiewicz snuł planów, miał rozmaite nadzieje – nie wszystkie się spełniły. Był mimowolnym świadkiem upadku imperiów, widział, jak powstają nowe, przeżył dwie wielkie wojny. Na jego oczach Polska odzyskiwała niepodległość, upadała i odradzała się ponownie, chociaż nie w takim kształcie i porządku, jakiego by sobie życzył. Wpadał w zawieruchy polityki, chociaż nie był politykiem i nie został obdarzony politycznym

²⁹ M. Radziwon, *Iwaszkiewicz. Pisarz po katastrofie*, Warszawa 2010, s. 13.

sprytem. Chciał uczestniczyć w życiu publicznym, ale później często próbował uniku. Od lat najmłodszych wierzył w siłę sztuki. Młodość gimnazjalna była jeszcze czasem snobowania się na artystę, ale szybko niedojrzały snobizm stał się jego prawdziwym powołaniem i przeznaczeniem. Jarosław Iwaszkiewicz jako artysta, poeta, pisarz osiągnął bardzo wiele. Ale zawsze mierzył wyżej i wyżej, był też świadom własnej wartości, dlatego do końca cierpiał na poczucie niespełnienia³⁰.

Po pierwsze biograf wchodzi w rolę słuchacza. Zaczynając od cytatu i komentując go z wyrozumiałym skupieniem, sygnalizuje, że będzie brał pod uwagę to, co Iwaszkiewicz sam mu na swój temat podpowie. I że pierwszą skalą, wedle której będą oceniane poczynania Iwaszkiewicza, będzie ta, którą on sam sobie ustanawia, skala własnego talentu i ambicji. „Wiele osiągnął” – czytamy – ale mierzył wyżej i wyżej. Jeśli zatem poniósł porażkę, to najpierw we własnych oczach. Co jednak stracił w oczach własnych, to ma szansę odzyskać w oczach czytelników, którzy chętnie nagrodzą go za chłodny samokrytycyzm i poczucie niespełnienia. Jeśli nawet ocenimy pisarza surowo, on sam już nas w tym ubiegł i wyręczył.

Dopiero po wstępie ustanawiającym autorytatywność Iwaszkiewicza w odniesieniu do jego własnego życia zaczyna się właściwa narracja biograficzna: „Na świat przyszedł w ukraińskim Kalniku zimą 1894 roku”³¹.

Romaniuk z kolei rzecz swoją zaczyna bez żadnych wstępów: „Jarosław Iwaszkiewicz urodził się jako ostatnie dziecko Marii Franciszki z Piątkowskich i Bolesława Antoniego Iwaszkiewicza 20 lutego 1894 roku, wikłając się w dwie podstawowe dla biografów kontrowersje: dotyczące daty urodzenia oraz imienia”³². Jakaż różnica w stosunku do „Iwaszkiewicza po katastrofie”! Tam stawał przed nami budzący respekt starzec, oglądający się wstecz na całe swoje życie, a więc poniekąd dysponent całej swojej biografii. U Romaniuka nie ma „wielkiego” Iwaszkiewicza, górującego nad sobą samym, nad autorem biografii i wreszcie nad czytelnikiem. Jest „ostatnie dziecko” i w dodatku postać od początku kłopotliwa i migotliwa za sprawą niejasności co do daty urodzin (stary/nowy styl) oraz imienia

³⁰ Tamże, s. 13–14.

³¹ Tamże, s. 14.

³² R. Romaniuk, *Inne życie. Biografia Jarosława Iwaszkiewicza*, Warszawa 2012, s. 5.

(najpierw Leon Jarosław). Tu Iwaszkiewicz pojawia się nie jako ekspert we własnych sprawach, lecz jako zagadka i obiekt kontrowersji.

I jeszcze uwaga o zdaniu inicjującym właściwą narrację biograficzną: Radziwon – powtórzę – napisał: „Na świat przyszedł w ukraińskim Kalniku zimą 1894 roku”. Wyeksponował przede wszystkim miejsce, dopiero w kolejnym zdaniu zajął się szczegółami datowania. Określenie miejsca urodzin – „ukraiński Kalnik” – wskazuje rzecz jasna na „małą ojczyznę” Iwaszkiewicza.

Romaniuk postąpił z gruntu inaczej: najpierw odpowiedział na pytanie, czym Iwaszkiewicz był synem, wysuwając na plan pierwszy środowisko rodzinne, ale zaraz też zadbał o to, by czytelnikowi uświadomić, że Leon Jarosław przyszedł na świat w granicach Imperium Rosyjskiego.

Wskazane wyżej pierwsze manifestacje podejścia badawczego mają zasadnicze znaczenie dla przebiegu całej opowieści biograficznej. Oto bowiem utrata „małej ojczyzny”, która jest w książce Radziwona tytułową „katastrofą”, nie jedyną, ale pierwszą, więc i najważniejszą, stanowi doświadczenie źródłowe dla wyborów politycznych, które Iwaszkiewicz będzie podejmował w całym swoim dorosłym życiu, zwłaszcza za PRL-u, bo ten okres najbardziej Radziwona interesuje.

Jakie to wybory, jaka postawa? Otóż będzie się Iwaszkiewicz specjalizował w dążeniu do kompromisu z władzą, w negocjowaniu spraw swoich i środowiska literackiego, w którym odgrywał zawsze eksponowaną rolę. Słowem „kompromis” zastępuje Radziwon oportunizm czy serwilizm, określenia towarzyszące nazwisku Iwaszkiewicza, kiedy po roku 1989 próbowano zakwestionować jego „wielkość”, a tym samym podważyć wysoką pozycję w narodowym panteonie. „Kompromis” brzmi lepiej, bo zawiera się go w imię czegoś, w imię wartości i z kimś, wobec kogo występuje się w relacji partnerskiej, jako licząca się strona twardych negocjacji. W przypadku Iwaszkiewicza stawką była Polska w stałym kontakcie z kulturą europejską, przedmiot troski pisarza iście europejskiego formatu. Przy czym Europejczykiem uczyniła go właśnie utrata „małej ojczyzny”.

Ważny wątek biografii Iwaszkiewicza – wciąż odnoszę się do książki Radziwona – również powiązany z „małą ojczyzną” stanowi powstanie styczniowe (i generalnie tradycja powstańcza), w którym uczestniczyli jego ojciec i stryj, i które powracało w twórczości pisarza. Iwaszkiewicz, jakiego poznajemy z książki Radziwona, wybiera kompromis, sprzeciwiając się

tradycji powstań niepodległościowych, które uznaje za pasmo katastrof. Przywrócenie Iwaszkiewicza do panteonu oznacza zatem wzmocnienie tradycji konkurencyjnej wobec romantycznej, a którą teraz można już nazwać po imieniu jako tradycję kompromisu politycznego.

Decyzja Romaniuka, żeby miejsce urodzenia Iwaszkiewicza usytuować w Imperium Rosyjskim, ma równie poważne konsekwencje. Imperium w odróżnieniu od „małej ojczyzny” otwiera Iwaszkiewicza na kulturę rosyjską (która przeżywa wtedy nader bujny okres w swoich dziejach), na przyjaźnie z Rosjanami i czyni go w realiach Imperium Polakiem, nazwijmy to, „mniejszościowym”, który snobuje się na europejskość i który przez czas jakiś waha się między pisaniem po polsku a twórczością rosyjskojęzyczną. Lata rosyjskie (dzieciństwo i młodość) stanowią okres formacyjny i historyczny kataklizm pochłaniający Rosję tego nie unicestwia. To tam młody Iwaszkiewicz ulega fascynacjom literackim, tam odkrywa swoje preferencje homoseksualne i estetyzm jako postawę w twórczości i w życiu. Kiedy po ustaleniu nowych granic państwowych (1921), musi się na nowo zdefiniować, również co do polskości, razi go polski prowincjonalizm, ciasnota terytorialna i duchowa niepodległej Polski, odczuwana nie tylko przez kontrast do Europy, ale też przez porównanie z Rosją przedrewolucyjną. Można mieć poważne wątpliwości, czy proces przemiany Polaka imperialnego w „niepodległego”, czyli większościowego, zakończył się powodzeniem. Zwłaszcza że po drugiej wojnie światowej znów trzeba było wrócić do poddaństwa, tyle że w innym wariantcie, jeszcze trudniejszym do zaakceptowania.

Dzieła Romaniuka jeszcze nie znamy w całości. Ukazał się tom pierwszy. Niecierpliwie wyczekuję drugiego, mając nadzieję, że przybliży nas do odpowiedzi na pytanie, które nasuwa się w związku z tak prowadzoną opowieścią. Pytanie o to, jaki wpływ „egzultanci” ze Wschodu, do których Iwaszkiewicz należał, wywarli świadomie i pozaświadomie na formułę polskości kształtującą się najpierw w II Rzeczypospolitej, potem PRL-owskich warunkach i granicach. Jest to pytanie, które interesuje mnie również w odniesieniu do pisarzy-„Litwinów”.

XI. Białostockie tabu. Wokół książki Marcina Kąckiego

Gdzieniegdzie dobrze znany widok: biała plama pieca,
który się jakoś uchował z ogólnej zagłady
(A. Potemkowski, *Jadę na... Wschód*)

Miasteczko Białystok

„To miasto bez pamięci”¹ – czytamy w głośnej książce Marcina Kąckiego o Białymstoku. Mówi tak między innymi Katarzyna Sztop-Rutkowska, którą złości propagowana przez władze miejskie „folderowa wielokulturowość”², sposób obchodzenia z daleka żydowskiej

¹ M Kącki, *Białystok. Biała siła, czarna pamięć*, Wołowiec 2015, s. 52. Książka Kąckiego stała się punktem wyjścia debaty w Uniwersytecie w Białymstoku *Oto czym jesteście/ jesteśmy. Zrozumieć Białystok*, która się odbyła 21 stycznia 2016 r. Zob. https://www.youtube.com/watch?v=FSa7TJ_CEO4 [dostęp 20.09.2016]. Tezy organizatorów zob. <http://filologia.uwb.edu.pl/zbr/zbz.pdf> [dostęp 20.09.2016].

² „<Zasoby stanowiące pamiątkę po społecznościach zamieszkujących Białystok w przeszłości (przede wszystkim Żydach, ale również Niemcach czy Rosjanach) są zupełnie zmarginalizowane [...], a świadomość dziedzictwa tych grup wśród współczesnych mieszkańców Białegostoku jest znikoma>. To dominacja, pisze Sztop-Rutkowska, <symbolicznej grupy najliczniejszej nad mniejszościowymi>. Odpowiedzialne za to są jej zdaniem władze lokalne. Choć pełno w mieście billboardów z hasłem <wielokulturowości>, to nazywa ją <wielokulturowością folderową>, na pokaz, w celach turystycznych”. M. Kącki, dz. cyt., s. 55. Kącki powoływał się m.in. na artykuł Sztop-Rutkowskiej w „Gazecie Wyborczej” z 2013 roku. Zob. http://bialystok.wyborcza.pl/bialystok/1,90711,14098041,Folderowa_wielokulturowosc__Wykopmy_rasizm_z_Bialeostoku.

przeszłości miasta – przedwojennej i okupacyjnej. Wielokulturowość sprowadzoną do powtarzanego przy rozmaitych oficjalnych okazjach frazesu kompromitują swastyki widoczne w przestrzeni publicznej, namazywane czarną farbą na murach domów, klatkach schodowych, pomnikach. Czarne sygnatury intencjonalnej amnezji stanowią złowróżbny dla wszystkich nie-swoich *leitmotiv* reportażu *Białystok. Biała siła, czarna pamięć*. Rafał Gawęł, jeden z pozytywnych bohaterów książki³, daje kontekstową wykładnię swastyk:

Żyjemy w domach, [...], które nie należały do nas, chodzimy po ulicach, na których zabrakło sąsiadów. Pochodzimy z miasteczek, gdzie wszyscy wiedzą, kto zabijał, i gdzie leżą kości niewinne zamordowanych. Spotykamy nieukaranych morderców, ich dzieci o wszystkim wiedzą i obawiają się, że ktoś zabierze dom, który uznali za swój, ale na drzwiach widać ciągle ślad po mezuzie. A swastyki są symbolem zapomnienia⁴.

Swastykami nieznani zwykle i niekaralni sprawcy zdają się więc zakrywać ślady żydowskiej przeszłości miasta i regionu, żeby czuć się pewniej na swoim/nieswoim podwórku. Potwierdzają tym sposobem i magicznie zaklinają – dopowiadam myśl Gawęła – nieodwracalność Zagłady: dobrze się stało i niech tak zostanie.

Z książki Kąckiego wynika bezsprzecznie, że Białystok jest „miastem bez pamięci”. Mieszkańcy, łącznie z władzami, nie chcą się mierzyć z żydowską przeszłością. Unikają jak mogą obowiązku pamiętania i dawania świadectwa pamięci. Nie tyle zatem prywatnie nie pamiętają i nie wiedzą,

html [dostęp 20.09.2016] Sztop-Rutkowska jest autorką książki *Próba dialogu. Polacy i Żydzi w międzywojennym Białymstoku*, Kraków 2008.

³ Rafał Gawęł, prezes Stowarzyszenia Teatralnego Dom na Młynowej „Teatr TrzyRzeczce”, realizował projekt „Zamaluj zło”, polegający na eliminacji z przestrzeni miasta swastyk i haseł rasistowskich czy ksenofobicznych. W książce Kąckiego opuszcza on miasto, nękany zarzutami prokuratorskimi, w asyście tryumfalnych komentarzy facebookowych Adama Andruszkiewicza z Młodzieży Wszechpolskiej, który pisze o zwycięstwie „środowiska narodowego, patriotycznego, kibicowskiego” nad „lewackim cyrkiem przy ul. Młynowej”. M. Kącki, dz. cyt., s. 166. Sądowe perypetie Gawęła wciąż trwają.

⁴ M. Kącki, dz. cyt., s. 157.

co nie chcą tworzyć lokalnej wspólnoty, która pamięta⁵. Jakby się obawiali, że upamiętnienie umarłych i wymordowanych sprowadzi ofiary (względnie ich spadkobierców) z powrotem. Wraz z nimi zaś pojawią się pytania o winę, żądania – jeśli nie kary⁶ – to zadośćuczynienia. W książce Kąckiego o żydowską przeszłość troszczą się wyłącznie osamotnione w swoich poczynaniach jednostki – garstka działających w pojedynkę zapaleńców⁷. Cała reszta milcząco bądź półgębkiem zdaje się więc akceptować sposób, w jaki zaraz po wojnie rozwiązano problem z żydowskim cmentarzem, zawadzającym w planach odbudowy miasta⁸. Kirkut zasypano, by na nim założyć park. Trudno o bardziej wymowny symbol niepamięci. Komuś, kto pamięta Mickiewiczowskie ballady, mogłoby się nasunąć skojarzenie z liliami, które mężobójczyni zasadziła na grobie swojej ofiary, by zbrodnię perfidnie zamaskować niewinną bielą kwiatu. Balladowe lilie przyszły mi do głowy, kiedy czytałam odnoszący się do parku fragment książki Kąc-

⁵ Lech M. Nijakowski tak definiował wspólnotę pamięci: „agregat osób (niekoniecznie grupa), które łączy określone doświadczenie biograficzne, nie zawsze o charakterze traumatycznym, oraz ich potomków, którzy przejęli pamięć rodzinną. [...] Oprócz osób tworzących <rdzeń> wspólnoty pamięci, często połączonych więzami rodzinnymi i regionalnymi, należy włączyć do wspólnoty wszystkie osoby, które utożsamiają się z wyróżnionym wydarzeniem formacyjnym, nawet jeśli nie mają w rodzinie osoby uczestniczącej w opisywanych wydarzeniach. [...] Wspólnota pamięci jest zatem przede wszystkim wspólnotą skonstruowaną w wyniku społecznego procesu symbolizacji, który rozwija się wokół uczestników i świadków formacyjnego wydarzenia”. L.M. Nijakowski, *Regionalne zróżnicowanie pamięci o II wojnie światowej*, w: P.T. Kwiatkowski, L.M. Nijakowski, S. Szacka, A. Szpociński, *Między codziennością a wielką historią. Druga wojna światowa w pamięci zbiorowej społeczeństwa polskiego*, Gdańsk-Warszawa 2010, s. 207-208.

⁶ Karanie winnych Zagłady przebiegało po wojnie niesporo. Ofiary zostały dopuszczone do głosu dopiero podczas procesu Eichmanna w Jerozolimie w 1961 roku. Por. Sz. Pietrzykowski, *Od procesie Eichmanna do serialu „Holocaust”*. *Niemieckie zmagania z narodowym socjalizmem*, „Sensus Historiae” 2015, nr 1. Na łamach „Gazety Białostockiej” z 1961 roku proces Eichmanna traktowany był jako wydarzenie trzeciorzędnej wagi. Ledwie proces ruszył, na pierwszych stronach zaczęto się rozpisywać z entuzjazmem o locie kosmicznym Gagarina jako „początku nowej ery” („Gazeta Białostocka 1961, nr 88).

⁷ Autor opowiada między innymi o perturbacjach związanych z przekładem i tłumaczeniem relacji białostockiego Żyda Rafała Rajznera. Ukazała się po polsku pt. *Losy nieopowiedziane. Zagłada Żydów białostockich 1939-1945* dzięki uporowi tłumacza-amatora i jego wsparciu finansowemu.

⁸ Historię zasypania kirkutu (chodzi o cmentarz rabinacki założony w XVIII w.) przypomniał Tomasz Wiśniewski w swoim filmie *Park Centralny* (2014), propagując zarazem ideę przebudowy Parku w taki sposób, by odkopać zachowane macewy i stworzyć lapidarium. W 2010 r. informacja o zasypanym kirkucie pojawiła się w mediach lokalnych w kontekście budowlano-archeologicznym. Zob. m.in. <http://www.wspolczesna.pl/magazyn/art/5726060,bialystok-miasto-zbudowane-na-cmentarzach,id,t.html> [dostęp 20.09.2016].

kiego. O samym tym miejscu myślę jednak nieco inaczej, nie odrywając się od powojennych realiów.

Park – Park Centralny – znaczy nie tylko w odniesieniu do tego, co ukrywa pod powłoką zieleni. Nie mniej istotne dla odczytania jego znaczenia jest sąsiedztwo. To ono w pierwszym rzędzie dostarczyło argumentacji na rzecz decyzji o zasypaniu kirkutu. Geneza parku nie wiąże się bezpośrednio z lokalną, motywowaną nacjonalistycznie czy antysemicko, odmową pamiętania o żydowskiej przeszłości. Przy okolicznościach drastycznej z dzisiejszego punktu widzenia operacji na miejskiej przeszłości warto się chwilę zatrzymać.

W swojej narracji o Białymstoku Kącki zarysowuje również – słabszą kreską – wątek miasta z nieomal całkowicie wymienioną po wojnie ludnością, w którym od nowa organizuje się życie. Do tego wątku zostaje włączony pomysłodawca zasypania cmentarza, architekt Michał Bałasz. Należy do przyjezdnych: urodzony w Wilnie, studiował w Poznaniu. Z Wilnem związany był też Stanisław Bukowski, inny zasłużony dla Podlasia specjalista od architektury – renowator pałacu Branickich i projektant... gmachu PZPR, by wspomnieć najbardziej spektakularne jego dzieła⁹. Ten drugi w książce Kąckiego się nie pojawia. Nie można by go jednak pominąć, gdyby sprawę kirkutu rozważać w kontekście Białegostoku pierwszej powojennej dekady. Żydowski cmentarz zostaje zasypany, bo priorytetem jest odbudowa, która ma na celu radykalną przemianę architektoniczną stolicy województwa. Autor książki, zaaferowany własną koncepcją „miasta bez pamięci”, nazbyt pośpiesznie oddala się z przycmentarnego placu budowy. W tej bowiem perspektywie, gdyby ją rzetelniej zaznaczyć, park urządzony nad zasypanym kirkutem nie symbolizowałby jedynie ucieczki od pamiętania o żydowskich białostoczaniech, lecz stanowiłby symboliczne residuum znamionującej „budowniczych socjalizmu” utopijnej wiary w przyszłość obywatelką się bez fundamentu przeszłości. Dzisiejszy Białystok „bez pamięci” odbudowywał się przecież z wojennych ruin¹⁰ jako „nowe miasto

⁹ O Stanisławie Bukowskim, który był również autorem (z Leszkiem T. Dąbrowskim) niezrealizowanego planu przebudowy Białegostoku z lat 1945-1946, zob. S. Wicher, *Życie architektury. Życie i twórczość Stanisława Bukowskiego (1904-1979)*, Białystok 2009.

¹⁰ Na temat powojennego stanu architektonicznego miasta zob. M. Chodorowski, *Obraz miasta Białegostoku po II wojnie światowej jako punkt wyjścia do analizy przekształceń przestrzennych w okresie powojennym na podstawie „Inwentaryzacji stanu zagospodarowania miasta*

nowych ludzi”, by się posłużyć tytułem książki Moniki Golonka-Czajkowskiej o Nowej Hucie¹¹ – utopijne miasto z przyszłości. Park nadcementarny sąsiadował z okazałym „Domem Partii”, budowanym w latach 1950-1952, zwieńczającym „Aleję Pochodów”, którą miały przemierzać manifestacje pierwszomajowe¹². Tu właśnie, po sąsiedzku z pogrzebanym kirkutem, usytuowano centralny punkt „nowego miasta” tworzonego przez ludzi z założenia nie obciążonych żadną przeszłością ani etnicznym stygmatem, maszerujących dziarsko i radośnie w odgórnie zarządzanych pochodach. Nowy człowiek nie oglądał się za siebie – z nadzieją wychylał się ku przyszłości. Zniszczony w czasie wojny Białystok, ze zrujnowaną do cna tkanką społeczną i materialną, doskonale się nadawał do roli „nowego miasta”, które trzeba było dopiero stworzyć. Dokonująca się po wojnie rewolucja polityczno-społeczna nie musiała zaczynać od spektakularnych aktów burzenia starego porządku: stary świat leżał w gruzach. Komuniści zaś mogli wystąpić w owczej skórze rekonstruktorów czy odnowicieli.

Skoro zaś mowa o koncepcji „nowego miasta”, to na marginesie warto przywołać plan „zagospodarowania przestrzennego” Białegostoku sporządzony przez Ignacego Felicjana Tłoczka i Stefana Zielińskiego w 1948 roku, nawiązujący do analogicznego planu, bez precedensu w białostockich dziejach – autorstwa pierwszego z wymienionych – sprzed samej wojny (1938-1939). W dokumencie powojennym Tłoczek stwierdzał:

Należy wrócić do niewykorzystanej szansy nawiązania kompozycji śródmieścia do barokowego założenia osiowego, dającej się jeszcze urzeczywistnić. Postulat ten stwarza bowiem sposobność uwypuklenia indywidualnych cech miasta i wyróżnienia go z bezosobowości, tak

Białegostoku – 1948 r. „Architecturae et Artibus” 2012, nr 1.

¹¹ M. Golonka-Czajkowska, *Nowe miasto nowych ludzi. Mitologie nowohuckie*, Kraków 2013. Wyobrażeniu „nowego człowieka” obszerną książkę poświęcił Mariusz Mazur, *O człowieku tendencyjnym. Obraz nowego człowieka w propagandzie komunistycznej w okresie Polski Ludowej i PRL 1944-1956*, Lublin 2009.

¹² Kącki wspomina o budowie gmachu Komitetu Wojewódzkiego PZPR, ale nie zarysowuje całego założenia architektonicznego, którego budynek ów był częścią. Białystok z lat 50. również stanowi już dzisiaj archeologiczną warstwę miasta. O „Alej Pochodów” i gmachu PZPR zob. A. Szmitkowska, *Aleja Pochodów – reprezentacyjna aleja nowego, socrealistycznego miasta Białystok*, „Architecturae et Artibus” 2012, nr. 3 („Idea stworzenia <miejsca masowych pochodów i demonstracji> jako swego rodzaju <ludowego forum> realizowana była w wielu ważniejszych miastach powojennej Polski”. Tamże, s. 37).

rozpowszechnionej w nowo wznoszonych dzielnicach innych miast polskich, uległych uniformizmowi¹³.

Troskę o indywidualny charakter miasta łączył urbanista z myślą o wygodzie mieszkańców, co stanowiło podstawowe założenie architektury modernistycznej. Presja ideologii w dobie przyspieszonej sowietyzacji wymusiła na budowniczych nowego Białegostoku inne rozwiązania, aczkolwiek do pewnych elementów planu Tłoczka wrócono po zmianie kursu politycznego¹⁴.

Kącki „nowym miastem nowych ludzi”, które po części zaistniało wyłącznie jako projekt, interesuje się pobieżnie. Do Parku Centralnego nie zachodzi więc od strony Alei Pochodów, planowanej, lecz nigdy nie urzeczywistnionej w wyobrażonym kształcie. Obiera trasę inną. Rozległe reperkusje sensotwórcze ma wybór autora, by do Białegostoku o „czarnej pamięci” zmierzać przez Łapy. W cytowanej wcześniej wypowiedzi Gawła zaciera się granica między Białymstokiem, „wielkim miastem”, jak pisał ironizując Sokrat Janowicz¹⁵, a podlaskimi „miasteczkami”. Stąd już blisko do Jedwabnego. Tym sposobem książka Kąckiego lokuje się na końcu serii jedwabieńskiej, którą tworzą przyrastające z latami publikacje książkowe, filmy i spektakle.

Przypomnę pokrótce i z pominięciem prac *stricto* historycznych: najpierw był film Agnieszki Arnold *Gdzie mój starszy syn Kain* (1999), potem *Sąsiedzi* Jana Tomasza Grossa¹⁶; autor skorzystał z materiałów zebranych przez dokumentalistkę do jej *Sąsiadów* (2001), skąd zapożyczył też tytuł¹⁷.

¹³ Cyt za: M. Chodorowski, *Śródmieście Białegostoku w ogólnym planie urbanistycznym autorstwa I.F. Tłoczka i St. Zielińskiego – 1948 r.*, „Architecturae et Artibus” 2013, nr 1, s. 13. Plan miał być realizowany w latach 1949-1979, lecz nie został zatwierdzony. W latach 1949-1950 wdrażano plan inny, przygotowany przez K. Jeziorańskiego i K. Widawskiego. Tamże, s. 17.

¹⁴ M. Chodorowski, dz. cyt. Tłoczka zatrudniono pod koniec lat 30. XX w. do opracowania planu zagospodarowania przestrzennego Białegostoku po jego sukcesach w Toruniu. Ówczesna aktywność architekta mieściła się w ramach „<niedokończonego projektu> międzywojennej nowoczesności”, o którym pisze Jarosław Trybuś w książce *Warszawa niezaistniała*, Warszawa 2012, s. 19.

¹⁵ S. Janowicz, *Wielkie miasto Białystok*, Warszawa 1973.

¹⁶ Wcześniej dyskusję wokół problemu polskiej winy wobec Żydów wywołał Jan Błoński artykułem *Biedni Polacy patrzą na getto* z 1987 roku, ale sprawa Jedwabnego w nim się nie pojawiła. W pobliżu Jedwabnego wiódł poniekąd film Pawła Łozińskiego *Miejsce urodzenia* z 1992 roku.

¹⁷ Pełny tytuł *Sąsiedzi: historia zagłady żydowskiego miasteczka*. Angielski przekład książki

Wokół książki wydanej w 2000 roku rozgorzała burzliwa dyskusja wśród publicystów, historyków oraz publiczności niekoniecznie nawet czytającej¹⁸. W ślad za Grossem na Podlasiu trafiła Anna Bikont, publikując reportaż *My z Jedwabnego* (2004), utwierdzający „miasteczko” w randze symbolu oznaczającego najciemniejszą stronę relacji polsko-żydowskich. Po upływie kilku kolejnych lat Tadeusz Słobodzianek uznał, że sprawę jedwabieńską warto już przetworzyć artystycznie. Powstał dramat *Nasza klasa* (2009), uhonorowany nagrodą „Nike”, wystawiany w Polsce (Teatr na Woli 2010) i zagranicą, emitowany w Teatrze TVP. W 2012 na ekrany kin weszło *Pokłosie* w reżyserii Władysława Pasikowskiego z licznymi aluzjami do mordów w Jedwabnem, gdzie realia potraktowano z jeszcze dalej posuniętą artystyczną swobodą niż w dramacie Słobodzianka.

Reportaż *Białystok. Biała siła, czarna pamięć* można czytać jako kontynuację jedwabieńskiego wątku i kolejne jego artystyczne przetworzenie. Zbuntowani przeciw niepamięci bohaterowie książki Kąckiego, chociaż nie są postaciami fikcyjnymi i występują pod własnymi nazwiskami, przypominają cokolwiek filmowego Józefa Kalinę (postać graną przez Macieja Stuhra), który wiedziony potrzebą ekspiacji za grzechy przodków gromadzi na swoim polu rozwleczone po okolicy macewy, domagając się zbiorowego rachunku sumienia za mord na żydowskich sąsiadach. Mimo że wszystkie wymienione dzieła krążą wokół Jedwabnego i są ze sobą posplatane, nie można powiedzieć, że we wszystkich chodzi dokładnie o to samo – choćby dlatego, że między pierwszym a ostatnim minęło piętnaście lat. Książka Kąckiego ewidentnie przecież jest orężem w tzw. wojnie kulturowej między dwiema Polskami¹⁹, czego nie da się powie-

już tytułem wskazywał na Jedwabne: *Neighbors: The Destruction of the Jewish Community in Jedwabne, Poland*, Princeton 2001.

¹⁸ O jej przebiegu informuje z grubsza pożyteczna antologia *The Neighbors Respond. The Controversy over the Jedwabne Massacre in Poland*, ed. by A. Polonsky and J.B. Michlick, Princeton and Oxford 2004. We wstępie autorzy przypominają o publikacji Danuty i Aleksandra Wroniszewskich, którzy pisali o Jedwabnem w 1988 na łamach łomżyńskich „Kontaktów” (...aby żyć). Temat Jedwabnego podjął wcześniej Z. Sędziak, *Napiętnowani znakiem śmierci*, „Ziemia Łomżyńska” 1986, t. 2. Jednym z głośniejszych tekstów debaty ogólnopolskiej był artykuł Andrzeja Kaczyńskiego z maja 2000 r. na łamach „Rzeczpospolitej” – *Całopalenie. W Jedwabnem zagłady Żydów dokonali Niemcy polskimi rękami*.

P. Ciołkiewicz, *Poszukiwanie granic odpowiedzialności zbiorowej: debata o Jedwabnem na łamach „Gazety Wyborczej”*, „Kultura i Społeczeństwo” 2004, nr 1.

¹⁹ Na temat wojen kulturowych w znaczeniu, które pewnie zaakceptowałby Kącki zob. W.J.

dzieć o filmach Arnold czy *Sąsiadach* Grossa. O tak zdefiniowanej wojnie wtedy jeszcze nikt nie pisał. Dyskusja, którą wywołał Gross²⁰, włączała się w szerszy kontekst wypełniania białych plam w historii po wieloletnim jej cenzurowaniu za PRL-u²¹ i przełamywania tabu wobec niechlubnych epizodów przeszłości, sprzecznych z wyobrażeniem Polaków jako ofiar wojny i powojnia. Jedwabne trwale już chyba zrosło się w dyskursie publicznym z generalizującym pytaniem o współodpowiedzialność Polaków za wymordowanie Żydów, o polski antysemityzm.

Bo Jedwabne – stwierdzał Gross – choć to może największy jednorazowy mord popełniony przez Polaków na Żydach – nie było zjawiskiem odosobnionym. Zaś w ślad za Jedwabnem pojawia się metahistoryczne pytanie: czy można być równocześnie prześladowcą i ofiarą, czy można równocześnie cierpieć i zadawać cierpienia²².

Odpowiadając na to pytanie twierdząco, należałoby iść dalej i pytać, co zrobić, by tego syndromu, uniemożliwiającego zbiorową kurację z miazmatów przeszłości, nie utrwałać. W sprzężeniu roli ofiary z rolą prześladowcy tkwi bowiem wciąż aktywne i żywsze aniżeli zaszłości sprzed wojny źródło antagonizmu polsko-żydowskiego i żydowsko-polskiego.

Kwestia polskiej współwiny wobec Żydów została publicznie postawiona nie tylko dlatego, że odkąd przestały obowiązywać PRL-owskie ograniczenia cenzuralne, można ją było wreszcie przedyskutować w miarę otwarcie, a nowe czasy wręcz wymagały wielkiego samooczyszczenia z tego wszystkiego, co przez lata zalegało w pamięci nienazwane i niezutylizowane, wymagały również zmian w krajobrazie kulturowym – demontażu jednych pomników, zainstalowania innych. Dla batalii o dojrzałe, samokrytyczne podejście do narodowej przeszłości, zrywające z jej apologetycznym,

Burszta, *Kotwice pewności. Wojny kulturowe z popnacionalizmem w tle*, Warszawa 2013.

²⁰ Debata przeanalizował P. Forecki, *Spór o Jedwabne. Analiza debaty publicznej*, Poznań 2008.

²¹ W 2000 roku zaczęła się ukazywać *Encyklopedia „białych plam”*, której inicjatorzy postawili sobie za cel wypełnianie luk i eliminowanie fałszerstw historycznych popełnionych w PRL-u, ale ich poczynania budzą wiele zastrzeżeń.

O cenzurowaniu historiografii w PRL-u zob. Z. Romek, *Cenzura a nauka historyczna w Polsce 1944-1970*, Warszawa 2010.

²² J. Gross, *Sąsiedzi*, Sejny 2000, s. 102.

polonocentrycznym i monologicznym ujęciem²³, ważny był europejski czy też globalny kontekst zainteresowania pamięcią. Trudno wprost zliczyć książki i artykuły współtworzące *memory boom*, datujący się od późnych lat 70. XX wieku²⁴. W książkach akademickich publikowanych u progu nowego tysiąclecia pisano już wręcz o eksplozji pamięci czy obsesji pamięci w badaniach i kulturze. Jay Winter, odnosząc się do owego, wedle jego określenia, *memory boom* w artykule z 2001 roku, przypomniał zdanie jednego z ojców intelektualnej zawieruchy pamięciologicznej, Pierre'a Nory: „Ktokolwiek mówi pamięć, mówi Shoah”²⁵. Wspomniany Winter wskazywał również na inne źródła *boomu*, ale dominującego znaczenia Holocaustu nie kwestionował.

Mieszkańcom państw byłego bloku komunistycznego trzeba było się zmierzyć z „mroczną przeszłością”²⁶ Holocaustu w imię integracji ze światem, który się wyłaniał po zburzeniu muru berlińskiego. Europeizacja i modernizacja świadomości wręcz wymagała podjęcia tego tematu. Aleida Assmann, orędowniczka Europy jako „wspólnoty pamięci”, doceniła „terapię zapomnienia”, którą zaordynowano po wojnie, by odbudować „zachodniemieckie społeczeństwo” i położyć fundamenty pod jednoczącą się Europę Zachodnią, ale też wskazała na skokowe przebijanie się pamięci o Holokauście do debaty publicznej w Niemczech. Problem ten uzyskał nowe znaczenie, odkąd pojawiła się szansa na rozszerzenie Unii na wschód. W związku z tym trzeba było na nowo przemyśleć europejską tożsamość. Badaczka przywoływała zdanie historyka Dana Dinera, który jako „wspólny europejski punkt odniesienia w przeszłości” wskazywał właśnie Holocaust – „paradygmatyczne europejskie *lieu de mémoire*”

²³ Aleida Assmann, zastanawiając się nad „europejską kulturą pamięci”, objaśniała, że chodziłoby nie o „jednolitą wielką narrację”, lecz o „dialogiczne odwołania i wzajemną komunikatywność narodowych obrazów przeszłości”. A. Assmann, *Ku europejskiej kulturze pamięci?*, w: tejsze, *Między historią a pamięcią. Antologia*, red. nauk. i posłowie M. Saryusz-Wolska, Warszawa 2013, s. 302 (pierwsza wersja tekstu została zaprezentowana jako wykład w 2009 r.).

²⁴ Zob. *The Collective Memory Reader*, ed. by J. K. Olick, Oxford University Press 2011.

²⁵ J. Winter, *The Generation of Memory: Reflections on the Memory Boom in Contemporary Historical Studies*, „Canadian Military History” 2001, vol 10, issue 3, s. Fundamentalne dzieło Nory 4-tomowe *Les lieux de memoire* ukazywało się między 1984 a 1992 rokiem, rozeszło się w liczbie ponad pół miliona egzemplarzy.

²⁶ „Mroczna przeszłość” pojawiła się w tytule zbioru artykułów poświęconych pamięci o Holokauście w krajach postkomunistycznych. *Bringing the Dark Past to Light. The Reception of the Holocaust In Postcommunist Europe*, ed. J.-P. Himka, J.B. Michalic, University of Nebraska 2013.

i stwierdzał, że „każda europejska konstrukcja tożsamościowa musi wychodzić od tego pamięciowego tąpnięcia”²⁷. Odkąd dzień 27 stycznia – datę wyzwolenia Auschwitz – który w 1996 roku uznano za niemiecki dzień pamięci, uczczono na forum europejskim, można mówić, że postulat co do uznania Holokaustu za „negatywny mit założycielski Europy” został spełniony. „Od 2005 roku – informuje Assmann – uznanie pamięci o Holokauście jest jednym z warunków, jakie muszą spełnić kraje aspirujące do członkostwa w UE”²⁸. Dyskusja wokół Jedwabnego stanowiła więc bilet wstępu do zachodniej „kultury pamięci”²⁹, która miałaby stanowić fundament dla unijno-europejskiej tożsamości³⁰, o czym intensywnie zaczęto dyskutować w Europie Zachodniej w latach 90. XX wieku, kiedy szykowano się do otwierania Unii dla nowych członków z Europy Środkowo-Wschodniej. Przez Jedwabne zatem (między innymi, bo przecież nie wyłącznie) miałaby wieść droga Polaków do nowej tożsamości europejskiej, pozwalającej na krytycyzm wobec ich identyfikacji wyjściowej, empatię wobec traumatycznych doświadczeń sąsiedzkich.

Jak w tej perspektywie przedstawia się opowieść Kąckiego o „mieście bez pamięci”, w którego pobliżu Jedwabne zostaje zlokalizowane („pięćdziesiąt kilometrów od Białegostoku”³¹)? Z lektury płynie wniosek, że próba stworzenia nowej zeuropeizowanej polskiej tożsamości zbiorowej nie dała pożądaných rezultatów. W Jedwabnem, które odwiedza

²⁷ A. Assmann, *Ku europejskiej kulturze pamięci?*, s. 283.

²⁸ Tamże, s. 285.

²⁹ Kategoria „kultury pamięci” nie funkcjonuje oczywiście wyłącznie w kręgu europejskim. Posługiwał się nią w swoich książkach np. Andreas Huyssen (*Twilling Memories: Marking Time in a Culture of Amnesia*, New York: Routledge 1995; *Present Past: Urban Palimpsests and the Politics of Memory*, Stanford: Stanford University Press 2003).

³⁰ „Moja teza brzmi – pisała Aleida Assmann – że integracja europejska nie będzie się pogłębiać tak długo, jak długo monologiczne konstrukcje pamięci będą się nadal umacniać. Tutaj mógłby zadziałać mój czwarty model, czyli <dialogiczne pamiętanie>. Zdecydowanie nie chodzi tu jeszcze o powszechnie praktykowany sposób obchodzenia się ze wspólną historią przemocy, lecz z wielką kulturową i polityczną szansą, zawartą w projekcie <Europa>. Dialogiczne pamiętanie powinno oznaczać wzajemne powiązanie i zsieciowanie zbyt jednorodnych konstrukcji pamięci wzdłuż narodowych granic. Konstrukcja Unii Europejskiej oferuje niepowtarzalną ramę dla przebudowy pamięci monologicznych w dialogiczne”. A. Assmann, *Od zbiorowej przemocy do wspólnej przyszłości*, w: tejże, dz. cyt., s. 268 (artykuł opublikowany oryginalnie w 2011 roku).

³¹ M. Kącki, dz. cyt., s. 84. *Nota bene* we wcześniejszych publikacjach poświęconych Jedwabnemu pisano o jego położeniu w Łomżyńskim. Odległość od Białegostoku Kącki znacznie skrócił. Według Google w linii prostej jest to 60 km.

w kilkanaście lat po eksploracjach Arnold i Bikont, Kąckiemu trudno znaleźć rozmówców: „<A co pani sądzi?> – pyta o mord z 1941 roku kobietę spotkaną na ulicy – Przyjezdna. A pani, pan, a ty, młody chłopaku? Przyjezdni. Parskają śmiechem. A młoda właścicielka sklepu, która zamiata koło nas? Nie w temacie, nie słuchała. Śmiech. – Jednej rzeczy szkoda – mówi młoda matka. – Na tyłach pomnika, gdzie jest stary cmentarz, były leszczyny. Chodziliśmy rwać orzechy, a teraz ogrodzili, spryskali i nie ma”³². Mieszkańcy Jedwabnego, których napiętnowano jako „sąsiadów” arogancko odmawiają przyjęcia tej etykiety. Pytani o stosunek do przeszłości odpowiadają, nie ukrywając bynajmniej, że stosują chytry wybieg: nie jesteśmy stąd, to nie nasza sprawa. Swego rodzaju eksterytorialność manifestują też podczas rocznic pogromu. „Na corocznych obchodach brak mieszkańców Jedwabnego, proboszcza, ulice miasteczka pustoszeją. W 2011 roku, w siedemdziesiątą rocznicę zbrodni, mieszkańcy obserwowali obchody zza płotów i przez lornetki”³³.

Mur berliński wprawdzie runął, ale na płoty nie ma rady. Jedwabne nie poddało się europeizacji.

A Białystok? W Białymstoku jest jeszcze gorzej: stał się nacjonalistycznym bastionem. O żydowskich mieszkańcach nie chce się tu pamiętać, a nowi obcy padają ofiarą agresji, która przypomina zachowania pogromowe. Podpalenia mieszkań migrantów zdają się (świadomym? nieświadomym? instynktownym?) naśladownictwem morderstwa w jedwabieńskiej stodole. Przeszłość skażona przemocą zatruwa teraźniejszość. To, co się stało z Żydami w Jedwabnem 10 lipca 1941 roku, wraca w Białymstoku poprzez incydenty motywowanej nacjonalistycznie agresji wobec przybyszów. Garstka propagatorów nowej, zeuropeizowanej tożsamości nie ma szans na powodzenie w swoich przedsięwzięciach wobec niechęci kleru rzymskokatolickiego, wobec ekspansywności środowisk prawicowo-kibicowskich, wobec uników władzy, która nie chce zadzierać z elektoratem, wreszcie wobec sklikowania pierwszych z drugimi i trzecimi. Swastyki są znakiem odrzucenia implantu tożsamości europejskiej.

Książka o „czarnej pamięci” Białegostoku tchnie pesymizmem. W ostatnim jej akapicie Kącki nawiązuje do pierwszych stron reportażu,

³² Tamże, s. 86.

³³ Tamże, s. 88.

gdzie pisał o Ludwiku Zamenhofie, którego wielojęzyczny, wielokulturowy Białystok zainspirował do stworzenia uniwersalnego języka. „Idea Zamenhofa – czytamy na końcu – by ludzie żyli w zgodzie, zawarta symbolicznie w języku esperanto, została w 1977 roku wyryta na złotej płytce i umieszczona w sondzie Voyager, z pozdrowieniami dla obcej cywilizacji. Sonda minęła Układ Słoneczny, jest dwadzieścia miliardów kilometrów od Białegostoku i ciągle się oddala...”³⁴. Jedwabne – przypominam – od Białegostoku wedle rachuby autora dzieli kilometrów 50. Ponure nie jest to, że esperanto nie spełniło pragnień jego twórcy. Co innego Kąckiemu odbiera nadzieję na porozumienie wokół wspólnych wartości. Autor reportażu pokazuje, że Zamenhof, będąc niewątpliwie najbardziej znanym białostoczaninem, pozostaje do dzisiaj źródłem kłopotów dla miasta swego urodzenia. Z uwagi na ponadlokalną, a nawet światową karierę Zamenhofa, nie można go było nie upamiętnić, zarazem jednak upamiętniający ewidentnie odczuwali dyskomfort z powodu jego żydowskiego pochodzenia, mimo że on sam poszukiwał remedium na żydowskie getto, dystansując się wobec religii i języka swoich pobratymców. Nawet więc jeśli doszło w Białymstoku czy Jedwabnem do oficjalnej komemoracji żydowskich zasług czy cierpień, nie były to akty wspólnotowe, lecz wymuszone przez polityczną poprawność, podyktowane przez Warszawę.

Między filmami Agnieszki Arnold, w których przewijała się sprawa jedwabieńska a książką Kąckiego upłynęło wiele wody, przelało się morze słów. Arnold mówiła o swojej intencji: „Nie usiłuję rekonstruować zbrodni, robić śledztwa [...]. To jest film o pamięci”³⁵. Kiedy objeżdżała miejscowości pogromowe, żeby zgromadzić materiał filmowy, okazało się, że pamięć o makabrycznych wydarzeniach okupacyjnych jest żywa wśród ich mieszkańców, że wspomnienia wciąż wracają w rodzinnych, sąsiedzkich rozmowach. Problem polegał na tym, jak pamięć rodzinną, lokalną wyprowadzić na forum publiczne. Oceniając debatę wokół Jedwabnego z pewnego już dystansu, dokumentalistka przyznawała, że zaskoczył ją kierunek, w którym poszła dyskusja.

³⁴ Tamże, s. 281.

³⁵ M. Okoński, *Sprawiedliwi z Jedwabnego*, http://www.dialog.org/hist_pl/sprawidliwi-z-Jedwabnego.html [dostęp 20.09.2016].

Uznałam za oczywiste – mówiła w wywiadzie z 2008 roku – że ludzie z Jedwabnego będą w niej współuczestniczyć na równych prawach. To niestety było niemożliwe, ponieważ natychmiast naznaczono ich stygmatem zbrodniarzy. Za swoją prawdomówność zostali ukarani, zostali wdeptani w ziemię. Od tego momentu nie było już o czym mówić. Jednocześnie przyszedł z „pomocą” kler. Nie dał jednak wsparcia rozliczającym się, tylko powiedział: „Tak nie było”. I ci ludzie trochę nie mieli wyjścia. Artykuły, które zalewały ówczesną prasę... Mówi się: bardzo dobrze, że odbyła się w Polsce taka debata. Na miłość boską, ona wskazuje na jedno: że polskie elity zupełnie nie były gotowe do wzięcia na siebie ciężaru odpowiedzialności. One albo się od tego dystansowały, albo opisywały jakąś zupełnie inną rzeczywistość, która przypadkiem zaistniała na ich terytorium. [...] sami doprowadziliśmy do tego, że w kraju szerzy się antysemityzm. A to jest przecież antysemityzm wtórny, który powstał w odpowiedzi na tę kaleką debatę³⁶.

Arnold zależało na tym, by do odpowiedzialności za antysemityzm poczuwały się elity, natomiast debata potoczyła się w taki sposób, że stygmatyzowano przede wszystkim „antysemickie masy”. Tym samym zaś zapoznawano interpretację Holokaustu, wedle której stanowił on patologię nowoczesności, nie zaś erupcję irracjonalnej przemocy, spuszczenia z łańcucha ciemnych sił.

Weźcie – pisał Zygmunt Bauman, licząc się z groźbą nowych „holokaustów” – nowoczesne, potężne narzędzia działania, sztukę nowoczesnego, naukowego zarządzania, nowoczesne dążenie do zaprowadzenia racjonalnego, niezawodnego ładu w ludzkim bytowaniu, dajcie to wszystko bezwzględny i zasobny mocom i macie wszystkie komponenty tego żyźnego nawozu, na którym rozkwita szczególny rodzaj nowoczesnej zbrodni: masowy mord w imię doskonalenia świata³⁷.

³⁶ *Ogarnął mnie strach* [wywiad Sebastiana Matuszewskiego z Agnieszką Arnold] www.tygodnikprzeгляд.pl/ogarnal-mnie-strach/ [dostęp 20.09.2016].

³⁷ Z. Bauman, *Holokaust: pięćdziesiąt lat później*, w: *Holokaust z perspektywy półwiecza*, red. D. Grinberg i P. Szapiro, Warszawa [b.d.], s. 45.

Książka Kąckiego z jednej strony dyskusję jedwabieńską kontynuuje, z drugiej zaś wbrew intencji autora dokumentuje porażkę sporów z początku wieku, jeśli przyjąć, że miały one doprowadzić do kataraktycznego oczyszczenia Polaków. Ich efektem nie stała się wspólna pamięć polsko-żydowska, lecz obchody rocznic jedwabieńskich obywające się bez udziału miejscowych i Białystok jako „miasto bez pamięci”, co należy rozumieć jako miasto usytuowane poza granicami zjednoczonej Europy, tkwiące korzeniami w nieprzezwyciężonej przeszłości. Cytowany wyżej Bauman podpowiada inne zgoła wy tłumaczenie dla ekspansywności „białej siły”:

[...] wraz z narastającą w Europie niezdolnością (czy też niechęcią) państw do wypełniania swej tradycyjnej roli ośrodka tożsamości narodowej, funkcję tę przechwytyją współzawodniczące między sobą siły pozapaństwowe – regionalne, etniczne czy pseudoetniczne. W tej pozornie pluralistycznej kakofonii każdy głosi swoje wyłączone prawa do przyznawania takiej tożsamości oraz nietolerancję wobec wszelkich innych żądań, tym intensywniejszą, im wątlejsze istnieją podstawy jego własnych roszczeń. Pluralizm może w tym wypadku przerodzić się w kocioł czarownic, w którym warzyć się będą nowe drapieżne totalitaryzmy³⁸.

Czarna pamięć / czarna ziemia

Prócz reportażu Kąckiego w roku 2015 ukazała się jeszcze jedna książka z „czernią” w tytule, w której pisano i o Białymstoku, i o Jedwabnem: praca historyczna Timothy Snydera *Czarna ziemia. Holokaust jako ostrzeżenie* (polski przekład wydany został nieomal równocześnie z oryginałem). Nie miejsce tu, by książkę tę dokładnie omawiać. Wspominam o niej, bo wydaje mi się ważna dla zrozumienia położenia Białegostoku, biorąc pod uwagę jego czasoprzestrzenną lokalizację.

Snyder, co zresztą wywołało reakcje polemiczne, kwestionuje wiele utartych poglądów na temat Zagłady. Holokaust przez swoje niewyobrażalne

³⁸ Tamże, s. 47.

rozmiary sprzyja zacieraniu granic czasowych i przestrzennych oraz zbijaniu Żydów w jedną, nieodróżnicowaną masę. Sprzyja też podnoszeniu antysemityzmu do rangi wszystko wyjaśniającej motywacji zbrodniczych działań. Snyderowi zależy na tym, by rozróżnić (nawet!) między nazistowskimi prześladowaniami Żydów a „ostatecznym rozwiązaniem”, które ruszyło po wybuchu wojny niemiecko-sowieckiej, między sytuacją Żydów w państwach, które Niemcy sobie podporządkowali, a terytorium, gdzie państwo wraz ze wszystkimi jego instytucjami zniszczyli, między miastami, gdzie zakładali getta a tymi³⁹, skąd Żydów wywożono, między Żydami zasymilowanymi a tradycjonalistami żyjącymi przed wojną w świecie własnego języka, religii, obyczaju, instytucji, między antysemityzmem lokalnym w Europie Wschodniej a ideą „ekologiczną” Hitlera⁴⁰.

Autor *Czarnej ziemi* mocno akcentuje wyjątkowy charakter terytorium, na którym zaciążyła podwójna okupacja, najpierw sowiecka (1939-1941), potem niemiecka.

Napaść Niemiec na ZSRR oznaczała destrukcję nowego sowieckiego aparatu państwowego wkrótce po tym, jak Sowieci zniszczyli aparaty niepodległych państw wykształcone w latach dwudziestych i trzydziestych XX wieku. Podwójna inwazja ze strony mocarstw byłaby wydarzeniem dramatycznym, ale nie bezprecedensowym. Dwukrotna destrukcja państw przeprowadzona w ten sposób była czymś zupełnie nowym⁴¹.

Na tym właśnie obszarze „ostateczne rozwiązanie” weszło w fazę realizacji. To właśnie tu Żydów zaczęto mordować masowo, często na oczach świadków i przy ochoczym współudziale miejscowych. Białystok pojawia się u Snydera jako miasto na „czarnej ziemi”, czyli miasto, które przeszło niecodzienny eksperyment dwóch następujących po sobie okupacji niwelujących wszystko, co zastały – wszelkie struktury, instytucje, hierarchie spraw i osób.

Timothy Snyder bywa w swej narracji irytujący, kiedy co jakiś czas

³⁹ „Getto było odzwierciedleniem destrukcji państwa w krajobrazie miast”. T. Snyder, *Czarna ziemia. Holokaust jako ostrzeżenie*, przeł. B. Pietrzyk, Kraków 2015, s. 153.

⁴⁰ Snyder ponownie czyta *Mein Kampf* znajdując tam ideę oczyszczenia narodu z Żydów jako warunku uzdrowienia ziemi. W 2015 roku wygasły prawa autorskie Bawarii do dzieła Hitlera.

⁴¹ Tamże, s. 162.

uporczywie nawraca do tez czy wniosków, które są dla niego najważniejsze. Jego książka nie przynosi, co historycy najwyżej sobie cenią, nowych źródeł, zmieniających dotychczasowy stan wiedzy historycznej. Ma jednak zalety, o które trudno, kiedy historyk stawia sobie za zadanie skrupulatne zrekonstruowanie wybranego fragmentu przeszłości. Bieg opowieści unosi refleksję ponad nieprzebraną powódź faktów, ale nie aż tak wysoko, by tracić z nimi wszelki kontakt. „Czarna ziemia” jest u Snydera domeną zła, otchłania, ale nie czymś niepojętym, w czym działają nieodgadnione, ciemne siły – demonizowany, wściekły antysemityzm. „Czarna ziemia” powstała tam, gdzie zlikwidowano państwo i jego chronionych państwowym prawem obywateli, co umożliwiło działania bezprawne wobec masy bezpaństwowców.

Pogląd, jakoby Żydów z Europy Wschodniej – pisze – zabił lokalny, wschodnioeuropejski antysemityzm, u innych skutkuje poczuciem wyższości podobnym do tego, jakie niegdyś odczuwali naziści. Można wtedy sobie pozwolić na stwierdzenie, że ludzie ci byli dość prymitywni. Ta teoria nie tylko nie wyjaśnia Holokaustu – jej rasistowski charakter nie pozwala nam rozważyć możliwości, że nie tylko Niemcy i Żydzi, lecz i miejscowi byli ludźmi, którzy mieli złożone cele, które znalazły odzwierciedlenie polityczne. Wpadając w pułapkę wyjaśnień etnicznych i odpowiedzialności zbiorowej, wraz z propagandystami nazistowskimi oraz sowieckimi stajemy się współwinni likwidacji myśli politycznej i zacierania indywidualnych działań⁴².

W spojrzeniu na Zagładę Żydów wschodnioeuropejskich Snyder nakazuje uwzględnić, pomniejszając rolę lokalnego antysemityzmu, zjawisko „podwójnej kolaboracji”. Okupacja sowiecka tym się różniła od niemieckiej na ziemiach polskich, że lokalne społeczności zostały na wielką skalę zaangażowane w tworzenie nowej rzeczywistości. Kiedy nastali okupanci niemieccy, wszyscy ci którzy w jakikolwiek sposób współpracowali z sołtysami mieli powody, by się obawiać represji ze strony nowej władzy. Dlatego też w pierwszej kolejności byli gotowi z nią współpracować.

⁴² Tamże, s. 204.

Oficjalne hasło walki z judeobolszewizmem, które uzasadniało wojnę z ZSRR, otwierało przed ekskolaborantami sowieckimi nieżydowskiego pochodzenia możliwość współdziałania z nowym okupantem.

Białystok jako miasto na „czarnej ziemi”, obejmującej m.in. tereny wschodnie przedwojennej Polski, które dotknęła podwójna okupacja, tereny zróżnicowane narodowościowo, co posłużyło ZSRR za pretekst do ich aneksji w 1939 roku, wśród miejsc piekielnych nie wypada najmroczniej pod względem lokalnego wsparcia dla niemieckich planów eksterminacyjnych. Tam, gdzie mieszkali Litwini czy Ukraińcy, akces do mordowania był bardziej powszechny. Na Białymstoku nie ciąży w ujęciu Snydera plama polskiego mordu na sąsiadach. 27 czerwca to Niemcy, a nie miejscowi, zmusili Żydów do zburzenia posągów Lenina i Stalina, zabijali żydowskich mężczyzn na ulicy, gwałcili kobiety, wreszcie spalili zapełnioną Żydami synagogę – „dokonali nowego rodzaju masowego mordu, który być może miał posłużyć za prototyp”⁴³. Niedługo później okoliczne miasteczka, w tym Jedwabne, spłynęły żydowską krwią za sprawą polskich „sąsiadów”, ale biorąc pod uwagę inne okolice „czarnej ziemi” – stwierdza Snyder – nie osiągnęły skali, o którą Niemcom chodziło. Litwini, Łotysze czy Ukraińcy mieli lepszą motywację polityczną niż Polacy, by dokonywać pogromów. W północno-wschodniej Polsce zabijano Żydów wedle białostockiego scenariusza, jako odpłatę za ich „judeobolszewizm”. Historyk jest jak najdalszy od tego, by widzieć w pogromach eksplozję nienawiści:

Pogromy nie były spontanicznymi aktami zemsty, lecz wspólnym przedsięwzięciem Niemców i lokalnej ludności zmierzającym do odtworzenia doświadczenia okupacji sowieckiej w formie możliwej do przyjęcia dla obydwu stron⁴⁴.

W książce Snydera nie ginie z pola widzenia kwestia antysemityzmu, ale pogromy na „czarnej ziemi” wywiódł historyk nie stamtąd, lecz powiązał je z zagadnieniem „podwójnej kolaboracji”, przez co nie sam antysemityzm znalazł się na pierwszym planie, lecz to, jak i po co nim zarządzano.

⁴³ Tamże, s. 214.

⁴⁴ Tamże, s. 218.

O Zagładzie w Białymstoku, Jedwabnem i innych miasteczkach położonych w granicach dzisiejszego Województwa Podlaskiego w świetle omawianej książki nie da się opowiedzieć sensownie nie uwzględniając kontekstu „czarnej ziemi”. Kontekst ten zaś uruchomić trudno, bo w granicach powojennej Polski znalazła się zaledwie resztką tego obszaru, a przez lata PRL-u o jej związkach z przedwojenną Wschodnią Polską trzeba było zapomnieć. Dla pytania o pamięć / niepamięć Białegostoku *Czarna ziemia* przedstawia znaczną wartość, bo pozwala wyjść ze ślepego zaułka oskarżenia o nieusuwalny, atawistyczny, po Zagładzie już całkowicie niewytlumaczalny, antysemityzm jako powód, dla którego w Białymstoku i okolicach nie chce się pamiętać i upamiętniać żydowskich sąsiadów.

Zaleta książki Snydera polega też na tym, że docenia wagę następstwa. W odróżnieniu od wielu historyków i publicystów, którzy walczyli piórem o to, by zrównać ze sobą dwa totalitaryzmy, nazistowski i sowiecki, Snyder pokazuje moment, w którym się one spotkały, na chwilę rozeszły, a potem ze sobą zwały. Na „czarnej ziemi” sowieci przygotowali Niemcom grunt pod masowe morderstwa. Nie tylko tym sposobem, że przyzwyczaili miejscowych do terroru, ale i przez to, że ich włączali do współtworzenia sowieckiego świata. PRL-owskie wykluczenie tematu sowieckiej okupacji z debaty publicznej również zaważyło na podejściu do kwestii Zagłady.

W książce Kąckiego tabuizacja pamięci wiąże się z obecnością i eksterminacją Żydów w przeszłości miast i miasteczek. Pomija natomiast autor kwestię „czerwonego” Białegostoku, złączonego z tematem sowieckiej okupacji, ale w dzisiejszym potocznym odbiorze zdominowanego wątkami martyrologicznymi – sowieckich prześladowań ludności polskiej, wywłaszczeń, wywózek. Historycy niemało o tym sowieckim Białymstoku napisali, lecz nie znalazł się jeszcze taki, który by z materiału źródłowego wyciągnął ekstrakt przemawiający do wyobraźni równie mocno jak „czarna ziemia”.

W moim przekonaniu, jeśli mówimy o „mieście bez pamięci”, musimy zajrzeć i do tej warstwy przeszłości, którą nazywam „czerwonym” Białymstokiem. Można do niego dotrzeć poprzez źródła zgromadzone i wskazane przez historyków: sowieckie dokumenty, korespondencję służbową, donosy, przemówienia, prasę, fotografie, plakaty, ulotki, filmy,

wspomnienia. „Czerwony” Białystok był tworem paradoksalnym. Miasto, które wcześniej nie przyciągało specjalnie uwagi, stało się nagle ważne, może ważniejsze niż było kiedykolwiek. Zaczęło pękać w szwach od przybyszów z Zachodu i Wschodu.

Po wkroczeniu Sowietów w 1939 roku Białystok awansował jako ośrodek administracyjny⁴⁵. Stał się tymczasową stolicą „Zachodniej Białorusi”, miejscem, gdzie obradowało jej Zgromadzenie Ludowe (28-30 października 1939 roku)⁴⁶, które dało początek sowietyzacji tych terenów⁴⁷. Jak stwierdza Daniel Boćkowski, Sowietów w sposób szczególny traktowali utworzony wkrótce obwód białostocki ze względu na liczną populację zamieszkujących tu Polaków oraz przebieg granicy niemiecko-radzieckiej. Tereny te „miały być <wizytówką> państwa radzieckiego, pilnie obserwowaną przez nowego sąsiada – Trzecią Rzeszę, co pośrednio przekładało się na potrzebę stworzenia na tych ziemiach <wysokiego> poziomu życia, panującego jakoby na całym terytorium ZSRR”⁴⁸. Białystok, choć geograficznie odległy od Moskwy, dzięki swojej strategicznej roli, znacznie się do niej przybliżył. Władze partyjno-państwowe nie traciły go z oczu. Boćkowski podaje, że na mocy specjalnych uchwał Białystok i Lwów zostały zrównane pod względem poziomu zaopatrzenia w żywność z Moskwą i Leningradem⁴⁹. Zdecydowano też o otwarciu „odpowiedniej liczby sklepów, kawiarni, restauracji, piwiarni, a nawet saturatorów – z dokładną datą, kiedy to ma nastąpić”⁵⁰. Szczególna ekspozycja Białegostoku powodowała też, że propaganda wręcz niezbędna dla istnienia ZSRR tu musiała działać z jeszcze większym nasileniem. Co więcej, musiała obsługiwać szybko po sobie następujące i często ze sobą sprzeczne akty transformacyjne.

⁴⁵ „Awans” Białegostoku wiązał się też z planami utworzenia Polskiej Republiki Rad, które jednak bardzo szybko zarzucono po 17 września 1939 roku.

⁴⁶ Zob. M. Gnatowski, *Zgromadzenie ludowe Zachodniej Białorusi. Fakty, oceny, dokumenty*, Białystok 2001.

⁴⁷ Do roku 1941 w obwodzie białostockim działały już 164 kolchozy. D. Boćkowski, *Na zawsze razem. Białostoczczyzna i Łomżyńskie w polityce radzieckiej w czasie II wojny światowej (IX 1939-VIII 1944)*, Warszawa 2005.

⁴⁸ Tamże, s.

⁴⁹ Tamże, s. 11, 157.

⁵⁰ Tamże, s. 157-158. Otwierano też czy planowano otworzyć sklepy pokazowe. Z zachowanych dokumentów wynika, że wysłano do Białegostoku wyposażenie sklepu perfumeryjnego. Tamże, s. 59.

Najpierw ogłaszano na prawo i lewo, że oto przywraca się jedność Białorusi podzielonej traktatem ryskim, że się wyzwala Białorusinów spod władzy polskich panów, że im się daje ziemię, a już za chwilę propagowano kołchozy, żądano niekończących się ofiar na rzecz sowieckiego państwa.

„Czerwony” Białystok – przynajmniej na początku – musiał być dla Białorusinów czy „Białorusinów” miastem, w którym spełniała się nadzieja na wreszcie zjednoczoną terytorialnie Białoruś, na awans społeczny i materialny, na odzyskanie godności. Obrady Zgromadzenia Narodowego, chociaż miały cechy wyreżyserowanego spektaklu (odbywały się w Domu Ludowym – dziś Teatr Dramatyczny im. Aleksandra Węgieerki), oznaczały dla nich dopuszczenie do udziału w życiu publicznym. Wśród gości z BSRS pojawili się poeci Janka Kupała i Jakub Kołas⁵¹. Na zgromadzonych z pewnością zrobiła wielkie wrażenie recytacja tego drugiego, który mówił o wyjściu z czarnej nocy wolnych ludzi, o rozpadzie sztucznej granicy: „Upadła niewola wraz z panami”⁵².

Dla wielu nastanie władzy sowieckiej skojarzyło się otwarciem dostępu do kultury. Niemało osób wtedy po raz pierwszy zetknęło się z kinem, na które sowieci nie szczędzili nakładów. Wojciech Śleszyński podaje, że do końca 1940 roku na obszarze Zachodniej Białorusi miało działać 151 kin⁵³. W roku 1941 zorganizowano Pierwszy Wiejski (Kołchozowy) Festiwal Filmowy. Wśród filmów dokumentalnych nie brakowało obrazów odnoszących się do właśnie dokonanej aneksji, wyświetlano m.in. *Wyzwolone od Białopolaków miasto Białystok, 1939*. Kto oglądał te filmy dziecięcymi oczyma, z czasem mógł łatwo pomylić to, co widział w świecie realnym, z tym, co mu pokazywano na ekranie. Zwłaszcza jeśli sceny filmowe rozgrywały się w scenerii znanej publiczności z autopsji. Przede wszystkim zaś filmowe seanse dawały okazję, żeby zobaczyć Związek Radziecki, którego „Zachodnia Białoruś” stała się częścią. Niejeden wyobrażał więc sobie kołchoz tak, jak go przedstawiono w filmie *Wołga, Wołga*. Zważywszy, że sam kinematograf dla chłopów z zapadłych wsi stanowił nie lada

⁵¹ O obradach Zgromadzenia zob. W. Śleszyński, *Okupacja sowiecka na Białostoczczyźnie w latach 1939-1941. Propaganda i indoktrynacja*, Białystok 2001, s. 113-151.

⁵² J. Kołas, *Naprzód*, cyt. za: tamże, s. 132. Co do granicy, to *de facto* tzw. granica ryska nie została bynajmniej zlikwidowana. Tamże, s. 336. Delegaci z BSRS byli w trudnej psychologicznie sytuacji, bo w latach 30. inteligencję białoruską dotknęły stalinowskie represje.

⁵³ Tamże, s. 315.

atrakcję i absolutną nowość, zetknięcie z nową rzeczywistością, musiało dostarczać niezapomnianych wrażeń. Pytając o pamięć Białegostoku, trzeba by zajrzeć i do tej „czerwonej” warstwy jego przeszłości. Jaki osad w pamięci świadków i ich potomków zostawiły mityngi, głosowania, praca w upaństwowionych zakładach przemysłowych, pokazy filmowe, czerwone dekoracje ulic... W pamięci tych, których „wyzwalano” – jak głosiła propaganda – spod władzy polskich panów⁵⁴.

Na fotografiach z „czerwonego” Białegostoku⁵⁵ widać wypełniające szczelnie kadr gromady ludzi, uczestniczących w zaprowadzanym przez sowietów „raju”, na innych kilkusobowe grupy w sytuacjach wziętych z życia, jakiego wcześniej tu nie znano. Wszyscy wyglądają na zadowolonych i przejętych. Co zostało uwiecznione na fotograficznych kliszach? Czy tylko komunistyczne kłamstwo?

Fotografie oglądane przez pryzmat *Czarnej ziemi* unaocniają rozmiary „kolaboracji”, to znaczy pokazują tłumy ludzi afirmujących sowiecką rzeczywistość. Widać ich twarze, gesty, sylwetki. Wszyscy sfotografowani – a więc wszyscy w mieście, bo fotografie przedstawiały „wszystkich” – mogliby zostać przez okupantów niemieckich uznani za podejrzanych. Do burzenia posowieckich monumentów naziści wytypowali jednak tylko Żydów, reszcie pozwalając adaptować się do nowych warunków. „Białych”, do których za czasów Zachodniej Białorusi nader łatwo choć niedobrowolnie można było dołączyć, zastąpili „czerwoni” – co nie znaczy bynajmniej: komuniści. W Białymstoku i na tzw. Podlasiu splot bieli z czerwienią ma – jak widać – szczególną wymowę. Tło „czarnej ziemi” pomaga tę osobliwość rozpoznać.

⁵⁴ Wiele informacji na temat stosunków polsko-białoruskich za okupacji sowieckiej przynoszą książki: *Stosunki polsko-białoruskie w województwie białostockim w latach 1939-1953*, red. J. Milewski, A. Pyżewska, Warszawa 2005 oraz H. Głogowska, *Stosunki polsko-białoruskie w XX wieku. Od Imperium Rosyjskiego do Unii Europejskiej*, Białystok 2012.

⁵⁵ Wiele z nich można obejrzeć w książce Śleszyńskiego.

XII. Racje autochtona. *Białoruś, Białoruś Sokrata Janowicza*

mam wrażenie, że po polskiej stronie ma miejsce
jakiś absurdalny żal do Białorusinów,
że nie są tacy sami..., nie są Polakami i katolikami
(K. Gedroyć, *Polscy i ruscy patrzą na siebie*)

Pustkowie

W artykule Kazimierza Wyki z 1946 roku zatytułowanym *Poczta, której nie ma*, wydrukowanym najpierw na łamach „Odrodzenia”, potem zaś w książce *Pogranicze powieści*, pojawia się wzmianka o Białymstoku, którą łatwo przeoczy ktoś, komu tamte okolice nie są z jakichś powodów bliskie: „Nie zdarzyło mi się nigdy [...] – autor relacjonuje swoją rozmowę z redaktorem pisma – ażeby z rozdartej koperty [mowa o przesyłkach do redakcji - E.D.] wysunęła się recenzja, próba oceny, próba krytyki. Taka nie zamówiona, gdzieś z Niemodlina, Białegostoku. Bo wiersze stamtąd przychodzą, chociaż to podobno pustkowie”¹. W przytoczonym zdaniu, co nieoczekiwane dla czytelnika obeznanego z tym drugim miastem, zostało ono skojarzone z Niemodlinem, przy czym obydwie określono jako „pustkowie”, akcentując ich peryferyjny status. Dlaczego „pustkowie” był wtedy Niemodlin odpowiedzieć nietrudno

¹ K. Wyka, *Pogranicze powieści*, Warszawa 1974, s. 339.

po sprawdzeniu, że przez wieki nosił nazwę Falkenberg i znajdował się w granicach państwa niemieckiego aż do końca drugiej wojny światowej. W roku 1946 ziele z Niemodlina pustką, bo go jeszcze nie zdążono skutecznie spolonizować.

Białystok, wymieniony przez Wykę jednym tchem z Niemodlinem, nie należał do miast „odzyskanych” na skutek pojałtańskiej zmiany granic. Przed wojną mieścił się jak najbardziej w Polsce – „pustkowiec” zatem musiał być z innego powodu niż obszary ponemieckie, nazywane Ziemiami Odzyskanymi.

Przegląd prasy z 1946 roku potwierdza opinię Wyki o tyle, że z Białegostoku nie docierają do czytającej publiczności nieomal żadne oznaki życia. W jednym z numerów „Tygodnika Powszechnego” znajdujemy natomiast wręcz zaniepokojenie, że oto po wojnie odtwarza się „Polska B” i że umyka to powszechnej uwadze. Całe połacie kraju wypadają czytelnikom prasy z pola widzenia:

Wyobraźmy sobie, że za lat paręset jakiś historyk, mający za jedyne źródło naszą dzisiejszą prasę informacyjną, zabierze się do wykreślania granic Polski obecnej. Dojdzie on niewątpliwie do przekonania, że w roku 1946 wschodnia jej granica przebiegała gdzieś tuż obok Warszawy².

W związku z koncentracją oglądu prasowego na wybranych tylko częściach terytorium Polski nader mgliście rysuje się w wyobrazeniach potocznych wschodnia jej granica. Na dowód przytacza autor reakcje swoich rozmówców, kiedy zdarzało mu się wspominać o Augustowie czy Suwałkach. Nie kryli zaskoczenia, że miasta te zostały „przy nas”: „Niewiele dziś myślimy o tych ziemiach naszych, które leżą na wschód od Wisły. Szczęśliwy wyjątek stanowi tylko Lublin”³. Dlaczego Lublin – wiadomo. Zaczynała się tam nowa Polska. By pobudzić zainteresowanie terenami wschodnimi, w „Tygodniku” podsuwano czytelnikom ankietę do wypełnienia. Obok pytań o żubry w Puszczy Białowieskiej, o przemysł drzewny w Hajnówce i o Jarosław umieszczono pytanie dotyczące odbudowy białostockich fabryk.

² [pej] *Znowu Polska B?*, „Tygodnik Powszechny” 1946, nr 7 (z 17 II). Granica wschodnia Polski międzywojennej została ustalona na mocy traktatu ryskiego w 1920 r.

³ Tamże.

Obróciliśmy się frontem do zachodu tak gorliwie – brzmiała konkluzja artykułu – że aż zapominamy o reszcie naszych ziem. Słusznie interesujemy się tym wszystkim, co dotyczy terenów odzyskanych. Jednakże nie wolno dlatego tylko, że się posiadało Szczecin i Wrocław zapomnieć o Podlasiu. [...] Zobojętnienie opinii publicznej dla spraw dotyczących pewnych kompleksów terytorialnych sygnalizuje ich stopniowe zaniedbywanie⁴.

Białystok i cały Wschód uchodzą więc za „pustkowie” – by wrócić do sformułowania Wyki – w następstwie „zobojętnienia” wobec wschodnich rubieży. Gdyby wszelako autor „Tygodnika Powszechnego”, pisma uwikłanego w nieustające polemiki z „Odrodzeniem” i „Kuźnicą”, miał pełną swobodę wypowiedzi, napisałby z pewnością, że „zobojętnienie” nie jest wyłącznie skutkiem ubocznym skupienia uwagi na ziemiach zachodnich, lecz zabiegiem celowym: napawanie się przejęciem Wrocławia i Szczecina ma przesłonić utratę Wilna i Lwowa⁵. Uwzględniając zatem to, co musiało być przemilczane, należałoby powiedzieć, że „zobojętnienie” wobec Podlasia było, owszem, uboczną konsekwencją, lecz nie samego skierowania publicznej uwagi w kierunku zachodnim, lecz równoczesnej akcji znieczulającej wobec ziem utraconych⁶, które poddawano wtedy intensywnej depolonizacji po ich zaanektowaniu przez Związek Radziecki. Przesiedleniom zza Buga czy linii Curzona⁷

⁴ Tamże.

⁵ Trzon redakcyjny „Tygodnika Powszechnego” współtworzyli przybysze zza wschodniej granicy. „Z niedalekiej polskiej Litwy – ale od kilku miesięcy jakże dalekiej – przybywają do Krakowa Stanisław Stomma i Antoni Gołubiew”. Stomma „za chwilę poleci do rodzącego się „Tygodnika” tę trzecią obywatelkę Rzeczypospolitej Obojga Narodów – wilniankę Józefę Golmont (później Hannelową). W styczniu jest ona jeszcze w Wilnie ponownie zajętym przez Sowieców. W półtora roku później jako świeżo upieczona, dziewiętnastoletnia maturzystka, ruszy pociągiem repatriacyjnym z Kresów. W Poznaniu do jej wagonu wsiądzie historyk, były oficer AK – Lech Beynar. [...] Jeszcze niedawno do Krakowa miał daleko – był gdzieś na Białostocczyźnie, w oddziale partyzanckim majora „Łupaszi”, oddziale, który nie miał zamiaru poddać się nadchodzącym bolszewikom... Gdy wreszcie Beynar przedostanie się do Krakowa, przyjmie pseudonim Jasienica, by nie narażać żony, która została w Wilnie”. W. Bereś, K. Burnetko, J. Podśadecka, *Krąg Turowicza. Tygodnik, czasy, ludzie. 1945-1999*, Kraków 2012, s. 25-26.

⁶ W dokumentach związanych z akcją przesiedleńczą używa się określenia „ziemie dawne” (Państwowe Archiwum w Łodzi, zespół: Państwowy Urząd Repatriacyjny Oddział Miejski w Łodzi).

⁷ Zob. *Przesiedlenie ludności polskiej z Kresów Wschodnich do Polski 1944-1947*, red. S. Ciesielski, Warszawa 1999.

towarzyszyło wypieranie tamtych obszarów z bieżącej pamięci i tradycji, co polegało na tym między innymi, że nieomal zniknęły one z dyskursu prasowego oraz literatury albo pojawiały się jedynie w kontekście akceptacji dla nowych granic⁸. Modelowy przykład takiego warunkowego przywoływania utraconej Wileńszczyzny stanowi powieść Eugeniusza Paukszty *Trud ziemi nowej* (1948), traktująca o tzw. repatriacji. Powieściowi przesiedleńcy z Wileńszczyzny tęsknią za swoimi rodzinnymi stronami, wkrótce jednak odnajdują się w nowym otoczeniu – na Mazurach, przypominających im zresztą swoim krajobrazem strony rodzinne. Następuje zatem swego rodzaju substytucja – Mazury są teraz odpowiednikiem ziemi wileńskiej⁹.

Białystok jest „pustkowiec” – powtarzam – dlatego, że ulega symbolicznej depolonizacji przez bliskie sąsiedztwo z ziemiami utraconymi, skazanymi na wykreślenie z rejestrów pamięci zbiorowej. Ale trzeba wspomnieć o innej jeszcze przyczynie ograniczonej ekspozycji wschodnich terenów Polski w tużpowojennej prasie. W latach 40. na Białostocczyźnie intensywnie operowała partyzantka niepodległościowa¹⁰, o czym oficjalnie wolno było pisać jedynie posługując się językiem propagandy jako o walkach z bandami. Aktywność partyzantki, którą współtworzyły również oddziały walczące wcześniej na Wileńszczyźnie, sprawiała, że granica wschodnia nie rysowała się wyraźną linią. Ponadto w potocznej świadomości, do której odwołuje się autor „tygodnikowy”, wątpliwość co do przebiegu linii granicznej mogła wynikać również stąd, że pamiętano jej kształt narzucony paktem Ribbentrop-Mołotow a przecież i wcześniejszy, ustalony traktatem ryskim. Wedle niemiecko-sowieckiego układu z 1939 roku Białystok znalazł się na terytorium tzw. Zachodniej Białorusi. Wobec pamięci geografii okupacyjnej i międzywojennej tzw. linia Curzona była czymś nader mgławicowym. Partyzanci toczyli walkę nie tylko z nową władzą, ale też o kształt granicy wschodniej.

⁸ Co do samej repatriacji zarządzono pilne monitorowanie jej prasowego obrazu. Wszelkie głosy krytyczne nie mogły pozostać bez odpowiedzi. Okólnik PUR nr 5, Łódź 5 V 45, Państwowe Archiwum w Łodzi, zespół: Państwowy Urząd Repatriacyjny Oddział Miejski w Łodzi, L – 7153, sygn. 2.

⁹ Zob. w niniejszej książce rozdz. „Litwini”. *Okoliczności powojennego debiutu*.

¹⁰ Zob. J. Kułak, *Rozstrzelany rozdział. Monografia 3 Wileńskiej Brygady NZW – Białostocczyzna 1945-1946*, Białystok 2007.

Drugi zatem powód taktycznego „zobojętnienia” wobec Białostoczczyzny i wschodu Polski wiązały się z manifestowanym zbrojnie nastawieniem antykomunistycznym regionu. Jak wiadomo bowiem, partyzantka może się utrzymać tylko przy wsparciu ludności miejscowej. Obszar ten byłby zatem „pustkowiec” z punktu widzenia nowej władzy, która nie może nad nim w pełni zapanować, ale też i później nie spieszy się z inwestycjami, by w ten sposób ukarać niepokornych. We wspomnianej powieści Paukszty z Białostockiego niczym z jakiegoś dzikiego wschodu przyjeżdżają na polonizowane Mazury zorganizowane bandy przestępcze. W *Rojstach* Konwickiego, opublikowanych w 1956 roku, Białystok pojawia się jako miejsce handlu walutą. W tym samym roku 1956 ukazuje się reportażowa książka Janiny Broniewskiej *Biała plama*, traktująca o likwidacji „bandy <Wiarusa>” (Stanisława Grabowskiego) działającej na Białostoczczyźnie i w Łomżyńskim¹¹.

W odniesieniu do życia kulturalnego Białegostoku pierwszych lat powojennych określenie „pustkowiec” o tyle precyzyjnie oddaje stan faktyczny, że nie wychodzą tu prawie żadne tytuły prasowe¹², nie ma wydawnictw ani kolonii pisarskiej, nie ma też szkoły wyższej, jeśli nie liczyć seminarium duchownego, przeniesionego z Wilna w roku 1945 (Akademię Lekarską utworzono w roku 1950). Działa teatr, reaktywowany już we wrześniu 1944 roku dla realizacji celów propagandowych Polski lubelskiej i nie ponadto. Stan powojennego „pustkowiec” nie tylko odziedziczony po wojnie i dwóch/trzech okupacjach, ale też utrzymujący się samoczynnie czy też z rozmysłem nie zagospodarowywany, odciska się piętnem na Białymstoku i całym regionie po czasy najnowsze. Głęboka peryferyjność – dająca się obserwować na różnych poziomach, od infrastrukturalnego po wizerunkowy – przeszła w stan chroniczny. „Odwilż” w połowie lat 50. przyniosła zmianę o tyle, że Białystok nieco ożywił się kulturalnie, lecz głównie jako ośrodek miejscowych Białorusinów. W 1956 roku powstało Białoruskie Towarzystwo Społeczno-Kulturalne, zaczęło wychodzić pismo w języku białoruskim „Niwa”, czym miejscowi Polacy-katolicy, sympatycy „sił reakcyjnych” nie byli w żadnym razie usatysfakcjonowani.

¹¹ Stanisław Grabowski został zabity w 1952 r.

¹² Zob. *Prasa województwa podlaskiego w latach 1944–2012*, red. J. Sadowska, K. Sawicka-Mierzyńska, Białystok 2014.

Aktywność kulturotwórcza Białorusinów, która stała się widoczna w 1956 roku pozwala retrospektywnie oznaczyć trzecie z kolei wyjaśnienie genezy białostockiej „pustki”. W okolicy tej brak symptomów odradzającej się po wojnie kultury polskiej, co zauważa Wyka, bo znaczna część ludności miejscowej nie mówi po polsku.

Bunt Innego

W dyskusjach podczas XIV Trialogu w Krynkach, pierwszego po śmierci Sokrata Janowicza, spośród jego dzieł najczęściej przywoływano *Białoruś, Białoruś*, esej wydany w 1987 roku, po polsku. Jeden z zaproszonych panelistów, Krzysztof Czyżewski, porównał lekturę wspomnianej książki do „trzęsienia ziemi”:

Myśmy [my, nie-Białorusini, dop. E.D.] zrozumieli inaczej kraj, w którym żyjemy. Nie byłoby *Pogranicza* mojego bez takich książek, kiedy odkrywaliśmy zupełnie inny kraj i ludzi, którzy mają inny punkt widzenia, inne historie nakładające się na naszą homogeniczną¹³.

Adam Michnik z kolei mówił o silnym – „rewolucyjnym” wręcz wrażeniu, jakie publikacja ta wywarła na „elitach opozycyjno-intelektualnych”, pokazując im „własną historię” widzianą „cudzym okiem”¹⁴. Wskazywał zarazem na pewną niegroźną przypadłość pisarza. Z wyczuwalnym odcieniem wyższości reprezentanta narodu o ustabilizowanej europejskiej renomie redaktor „Gazety Wyborczej” z rezerwą odniósł się do wywodu historycznego Janowicza, zakorzeniającego Białorusinów w odległej przeszłości. Zasugerował, że jest to typowa narracja kompensacyjna czy mitotwórcza, w którą on sam nie ma cierpliwości się wczytywać¹⁵. Wysoko zaś ocenił partie książki rozwijające opowieść „o narodzie wepchniętym między dwa żarłoczne imperia, rosyjskie i polskie”, opowieść w dodatku „napisaną bez śladu nacjonalizmu”¹⁶.

¹³ „Annus Alberthenicus”, Krynki 2013, s. 44.

¹⁴ Tamże, s. 53.

¹⁵ „Sokrat wiele miejsca poświęca tam jakimś trzem odnogom słowiańskim, jedna była białoruska, druga ruska, a trzecia jeszcze jakaś inna”. Tamże.

¹⁶ Tamże.

Wyjątkowość Janowicza na tle środowisk mniejszościowych w Polsce podkreślał Mirosław Czech:

[...] on był jedynym autorem, który mógł taką książkę napisać na temat własnej etniczności. Był osobą na tyle dojrzałą, która to mogła zrobić. Jednocześnie ta książka została wywołana przez sytuację w kulturze polskiej, bo w polskiej refleksji intelektualnej było zapotrzebowanie na to, co my zrobimy z tym Wschodem. Sokrat Janowicz, na ile pamiętam dwie czy trzy ówczesne rozmowy z nim, świadomie się podjął tego zadania. [...] Wiedział, na co się pisze i pisał się wówczas na ten *mainstream*. On wywędrował wówczas na poziom Konwickiego¹⁷.

Mniej dobitnie mówiono w Krynkach o negatywnych stronach poruszenia wokół książki. Stając się „dyżurnym Białorusinem”¹⁸ pisarz miał odtąd ograniczoną swobodę w poszukiwaniach artystycznych. Przyjmował na siebie rolę pisarza białoruskiego z urzędu, stawał się instytucją, uosobieniem zbiorowości białoruskiej, jej dziedzictwa, interesów i oczekiwań ze wszystkimi konsekwencjami takiego statusu¹⁹.

Przypominam wybrane wątki dyskusji trialogowej, by zastanowić się nad dziełem Janowicza z 1987 roku jako wydarzeniem, rozpatrywanym w planie po pierwsze biograficznym, po drugie – kulturowym. Kariera literacka pisarza niewątpliwie dotarła wówczas do punktu zwrotnego. Miarą sukcesu było to między innymi, że udało mu się wprowadzić niszowy temat białoruski do głównego nurtu debaty polskiej lat 80.

Dla moich rozważań kluczowa będzie okoliczność, iż *Białoruś, Białoruś* nie była choćby i autorskim przekładem z języka białoruskiego na polski, lecz że została od początku do końca napisana po polsku. Janowicz używał wprawdzie i wcześniej języka polskiego w swoim piśmiectwie – jego teksty ukazywały się w rozmaitych polskich tytułach prasowych („Gazeta Białostocka”, „Kamea”, „Kontrasty”, „Gazeta Współczesna”, „Więź”)²⁰,

¹⁷ Tamże, s. 48. Czech – związany ze środowiskami ukraińskimi – spoglądał na wystąpienie Janowicza jako na akt, który nie był możliwy wówczas dla nikogo z mniejszości ukraińskiej.

¹⁸ Tamże, s. 50.

¹⁹ Tamże, s. 47. Leon Tarasewicz wspominał o ponawiających się próbach skompromitowania Janowicza.

²⁰ Por. J. Falkowska, *Sokrat Janowicz (Sokrat Ánovič). Materiały do bibliografii podmiotowo-*

ale publikacja książkowa jest czym innym niż doraźny artykuł, za który współodpowiedzialność bierze redakcja pisma. Książka kształtuje pisarza wewnątrz i – zwłaszcza jeśli wywołuje rezonans – trwale współtworzy jego publiczną biografię. Pewne możliwości przed nim otwiera, inne ogranicza. Reinterpretuje to, co się w jego życiu i wokół niego działo, zanim została napisana i wydana. Książka stwarza też trwały punkt odniesienia dla poczynań kolejnych, jeszcze niespełnionych.

Pisząc swoją książkę po polsku Janowicz dokonywał poważnego wyboru na resztę życia. Podnosił polszczyznę do rangi swojego drugiego pisarskiego języka. W dostępnym mu zakresie decydował się na współtworzenie dziejów literatury polskiej. Stawał do agonu z polskimi pisarzami. Włączał się do „rodaków rozmowy” o sprawach najważniejszych. Dotąd Białorusin wśród swoich, ewentualnie Białorusin znanym również Polakom, lecz tylko na Białostocczyźnie²¹, teraz postanawiał być nim bardziej ostentacyjnie, żeby wszyscy w Polsce zobaczyli, że nim jest.

Sądzę, że „trzęsienie ziemi”, o jakim mówił Czyżewski, wywołał Sokrat nie tylko tym, co napisał, lecz i tym, a może zwłaszcza tym, że napisał książkę o Białorusi po polsku. Nie byłoby efektu tak piorunującego, gdyby *Białoruś*, *Białoruś* stanowiła przekład, niechby kongenialny. Akcentuję polskojęzyczność nie po to, żeby Janowicza przeciągać na polską stronę albo i spolonizować, lecz jedynie dla podkreślenia frapującej szansy, jaką otwiera jego twórczość (łącznie z białoruską jej częścią) dla badacza literatury polskiej czy polskojęzycznej.

W cytowanych wypowiedziach podnoszono, że książka Janowicza godziła w obowiązującą oficjalnie koncepcję Polski jednolitej narodowościowo, nad której niezakłóconym podtrzymywaniem czuwał przez lata urząd cenzury. Koncepcja ta stała się fundamentem powojennej rzeczywistości. To na jej gruncie doszło do nieoficjalnego konsensusu między komunistami i endecją, w szerszej zaś perspektywie – dodam – między partią komunistyczną a społeczeństwem o korzeniach w większości chłopskich²². Szok wywołany przez Janowicza wynikał nie tylko stąd, że na forum krajowym

-przedmiotowej za lata 1956-2003, Warszawa 2005 (maszynopis powielony).

²¹ Głośny stał się artykuł Janowicza, opublikowany w „Gazecie Współczesnej” (1981, nr 69 i 132) – *Nasi Białorusini*.

²² Zainteresowanie chłopskim rodowodem społeczeństwa polskiego czasów powojennych bardzo się ostatnio nasiliło, przekraczając granice debaty naukowej.

zabierał głos Białorusin, więc nie-Polak w etnicznym rozumieniu słowa, lecz i z tego względu, że odzywał się, manifestując swoją odrębność, intelektualista o rodowodzie chłopsko-białoruskim, ktoś zatem, kogo literatura polsko-PRL-owska w ogóle nie przewidywała, mimo że tzw. nurt chłopski miał w niej mocną pozycję, a pisarze chłopskiego pochodzenia nie należeli bynajmniej do lokalnych osobliwości.

We wstępie do zbioru *Wielkie miasto Białystok* z 1973 roku, polskiej wersji napisanych po białorusku *Zahonów* (1969)²³ – debiutu literackiego Janowicza, widać jak autor słowa wstępnego, Jerzy Litwiniuk, osłabia i redukuje białoruskość jego prozy, żeby nie zmaciała propagandowo narzuconej fikcji etnicznej czystości Polski: „Sokrat Janowicz pisze po białorusku, w języku swego dzieciństwa”²⁴. Pisze zatem w języku, który pamięta, ale którego jako człowiek dojrzały nie używa na co dzień czy w sytuacjach publicznych. Innym sposobem, żeby białoruskości nie podnieść do rangi pełnoprawnej narodowości, którego chwyta się Litwiniuk, jest utożsamienie jej z folklorem: Janowicz zostaje zdefiniowany jako „poeta ludowy”²⁵.

W porównaniu z powyższymi prezentacjami białoruskości (w oryginale i przekładzie) jej manifestacja podjęta bezpośrednio w języku polskim i w prozie nie poetyckiej, lecz dyskursywnej, stanowiła zdecydowane naruszenie granic, w jakich bywała i mogła być demonstrowana w PRL-u. Nic też dziwnego, że okazała się możliwa w oficjalnym obiegu dopiero wtedy, kiedy Polska Ludowa obracała się w gruzy²⁶. Kontekstem dla wystąpienia Janowicza jest bowiem – trzeba o tym koniecznie wspomnieć – pierestrojka i głośność w ZSRR oraz ich promieniowanie na cały obóz państw komunistycznych.

Zajmując się twórczością autora *Zahonów* musimy nie tylko przekraczać granice językowe, ale też granicę między Polską a wschodnim sąsiadem Białoruską Socjalistyczną Republiką Radziecką (potem zaś Republiką

²³ Ciekawe, że w oryginale białoruskim tytuł wskazuje na „ziemię”, centralną kategorię chłopsko-białoruskiego świata. W polskim przekładzie natomiast akcent został położony na ironicznie potraktowanym „wielkim mieście”.

²⁴ S. Janowicz, *Wielkie miasto Białystok*, Białystok 1973, s. 7.

²⁵ Tamże, s. 8. Zob. pochodzące z tego samego okresu naukowe opracowanie zagadnienia twórczości ludowej i chłopskiej (*Literatura ludowa i literatura chłopska. Materiały z ogólnopolskiej naukowej sesji folklorystycznej*, red. A. Aleksandrowicz, Cz. Hernas, J. Bartmiński, Lublin 1977).

²⁶ Pod tekstem *Białoruś, Białoruś* Janowicz położył datę 1980-1981, po czym dodał postscriptum z 1984 r.

Białorusi), co oznacza, że pilniej trzeba się przyjrzeć polityce narodowościowej Związku Radzieckiego (potem również Federacji Rosyjskiej), która nie była ani stabilna, ani jednolita w stosunku do wszystkich narodów i etnosów w strefie sowieckich (rosyjskich) wpływów. Przyglądając się Janowiczowi wypada odnotować, ile zawdzięczał pisarzom białoruskim z BSRR, stawiającym opór wobec presji z centrali. Mam zwłaszcza na myśli Aleksego Karpiuka²⁷ i Wasila Bykaua.

Informacje o poczynaniach obydwu wymienionych pisarzy można znaleźć w „jagiellońskiej” z ducha „Kulturze” paryskiej. Numer szósty pisma z 1967 roku zawiera polski przekład tekstu przemówienia drugiego z wymienionych literatów, pozyskany okreśną drogą przez translację włoską. Bykau wygłosił mowę na zjeździe pisarzy białoruskich w Mińsku, upominając się o prawo literatury do krytyki społecznej i stając w obronie, jak to ujął, „umęczonej literatury białoruskiej”²⁸. Z nazwiska wymienił Karpiuka. W numerze piątym z 1981 roku przypomniano ów głos i okoliczności protestu Bykaua²⁹.

Systematyczna lektura pisma Jerzego Giedroycia pod kątem tematu białoruskiego uświadamia przy okazji jeszcze jeden wymiar decyzji Janowicza, by upomnieć się o Białoruś po polsku. Otóż monitorując temat białoruski obok innych kwestii – ukraińskiej, litewskiej, niemieckiej... – redakcja „Kultury” miała baczenie nie tylko na wieści dochodzące zza żelaznej kurtyny, ale też na aktywność białoruskich środowisk emigracyjnych (ich czasopiśmiennictwo, m.in. „Zapisy”) oraz na zachodnie publikacje o Białorusi³⁰. Nieskrępowani cenzurą komunistyczną Białorusini emigracyjni podejmowali zagadnienia, o których przeczytamy również u Janowicza. Z białoruskiego punktu widzenia spoglądali na dzieje Wielkiego Księstwa Litewskiego, oceniali unię polsko-litewską, politykę II Rzeczypospolitej wobec mniejszości etc. Ocena dla strony polskiej wypadała na ogół miazdząco i nie zostawiała miejsca na żadną mediację co do obrazu przeszłości.

²⁷ Stenogram przemówienia Karpiuka z mińskiego zjazdu pisarzy w 1966 roku dotarł do Janowicza drogą nieoficjalną i wywołał jego wielostronicowy list do autora. Postawa pisarzy białoruskich z BSRR miała wpływ na zmianę stosunku pisarza białoruskiego z Polski do władz komunistycznych, przyczyniając się do zerwania jego współpracy ze Służbą Bezpieczeństwa.

²⁸ W. Bykow, *Pisarz białoruski o wolności sztuki*, „Kultura”, Paryż 1967, nr 6.

²⁹ W. Brylewski, *Kronika białoruska*, „Kultura”, Paryż 1981, nr 5.

³⁰ Zob. E. Żagiell, *Białorusini*, „Kultura”, Paryż 1974, nr 5.

Między prezentowanym na Zachodzie ujęciem dziejów białorusko-polskich a ujęciem Janowicza zachodzi wiele zbieżności. Zasadnicza różnica polega jednak na tym, że Janowicz owe sporne kwestie przenosił do debaty polskiej, wyprowadzał je z gett emigracyjnego i białoruskiego. Czy po to, by osiągnąć z Polakami kompromis? Zapewne już sam wybór języka wskazywał na wolę uczestnictwa w dyskusji. Ponadto zaś stanowił widomy znak słabnięcia ZSRR. Polskojęzyczną, lecz formułowaną w duchu niezależności wypowiedź o Białorusi można by interpretować jako głos wychodzący z białoruskiego Piemontu.

Białoruś, Białoruś, chociaż napisana po polsku i wydana w schyłkowym PRL-u, z pewnością wymaga od krytyka czy historyka literatury wychodzenia poza granice języka i granice polityczne. Wymaga też przekraczania granic czasowych w wyszukiwaniu kontekstów interpretacyjnych, uczytelniających narodowotwórczy zamysł Janowicza. Autor książki o Białorusi szokował i bulwersował jako Białorusin nietypowy, i nietypowy również pisarz o korzeniach wiejskich, lecz miał przecież za sobą twórczość, która – jeśli pominąć aspekt etniczny – doskonale mieściła się w modelu PRL-owskim: pisał wszak o migracji mieszkańców wsi do miasta. Ponieważ zadebiutował w 1956 roku, ominął go przymus entuzjazmu dla szybkiej industrializacji, utożsamianej z postępem czy modernizacją. Mógł od razu pozwolić sobie na pokpiwanie z awansu, który wywoływał nieplanowane przez modernizatorów zjawiska kulturowe. W *Dolinie pełnej losu* (1993), kolejnym polskim dziele, ten wielki temat swojej twórczości brawurowo spuentował, ukazując cały proces modernizacyjny z perspektywy archeologa, który kiedyś się pochylił nad białostocko-PRL-owskim Herkulanum.

Po epoce kamiennej archeolodzy wydobywają groty krzemowe strzał, haczyki kościane do połowu ryb, kamienie gładzone do tarcia nasion, warstewki węgla od palenisk. Czy tak więcej odnajdą oni po cywilizacji chlewów i stodół? Kamienie młyńskie, tłuczone szkło, butelki po samogonie, tu i ówdzie importowane prezerwatywy, smoczki z plastikowymi kóleczkami, płyty folii i worków po cemencie, sztuczne genitalia przywleczone z Niemiec, piszczele, zgubiony pierścionek z tombaku albo i „złoty”, poharatane gumiaki, guziki z plastmasy, wkładki antykoncepcyjne dla panien i odmiennego formatu dla mężatek

po porodach, gdzieś tam cegłę szamotową, szczękę dentystyczną i parę ubocznych przedmiotów, takich co nie utleniają się i nie rdzewieją ze szczętem. Po samochodach na pewno przetrwają opony, być może strzępy skóry tapicerskiej, złomki części wytworzonych chemicznie (np. kierownica). Miejsce po Białymstoku pozna się po tym, że tych rzeczy wykopie się okropnie dużo³¹.

To ledwie początek długiego ustępu o archeologicznej rekonstrukcji cywilizacji muzycko-miejskiej, cywilizacji dla której Janowicz nie ma ni krzty współczucia, która go mierzi i brzydzi. Nie ma też współczucia dla samych „muzyków”, którzy opuścili rodzinną „dolinę”, wyzuli się z siebie dla miasta i niewolniczej w nim egzystencji, tracąc szansę, by się stać narodem w pełnym tego słowa znaczeniu³². W rozkiełznanej inwektywie przeciw „hołocie”, wzbierającej w trakcie przerzucania sterty rupieci, wybrzmiewa coś więcej niż ironia i sarkazm, których niemało w jego dawniejszej twórczości. Między wierszami daje się usłyszeć jakiś daleki pogłos gniewnego uniesienia izraelskich proroków, chłoszczących swój lud za odstępstwa od wiary i poniechanie wędrowki do ziemi obiecanej.

Janowicz anachroniczny

Ze swoją troską o Białoruś, z poczuciem odpowiedzialności za „miliony”, z dogrzebywaniem się jej zapomnianych źródeł bliżej Janowiczowi do polskich pisarzy XIX-wiecznych, aniżeli do literatów PRL-owskich. Stąd właśnie konieczność przekraczania ram czasowych w poszukiwaniu kontekstów dla jego dzieła. *Białoruś, Białoruś* ma swój gatunkowy odpowiednik w XIX-wiecznej podróży historycznej, którą praktykował najwytrwalej chyba Julian Ursyn Niemcewicz, reaktywując antyczną peregrację³³. Obszerne *Podróże historyczne po ziemiach polskich* ukazały się

³¹ S. Janowicz, *Dolina pełna losu*, Białystok 1993, s. 105.

³² W *Białoruś, Białoruś* pisał m.in. o „niedorozwoju narodowym” swoich ziomeków. S. Janowicz, *Białoruś, Białoruś*, Warszawa 1987, s. 24.

³³ Uzupełniam tu jedynie, nie zaś unieważniam tradycje gatunkowe, które wskazywał sam pisarz. Wspomniał m.in. o gawędzie. Trop gawędowy nieuchronnie prowadzi do Henryka Rzewuskiego, autora, z którym Janowicz zdaje się dzielić upodobanie do prowokacji i przekory. Dość

w 1858 roku. Obejmowały swoim zasięgiem cały obszar przedrozbiorowej Polski. Narrator przemieszczał się z miejsca na miejsce, a zarazem wertował biblioteki i archiwa, gromadząc informacje o tym, co widział na własne oczy, bądź o tym, czego już zobaczyć nie mógł, bo uległo definitywnemu zniszczeniu. Jego podróż przebiegała zatem i w przestrzeni, i w czasie.

Janowicz dokonywał w swym utworze zabiegu bardzo podobnego, tyle że na podróżniczą autopsję mógł sobie pozwolić w znacznie skromniejszym zakresie niż szacowny poprzednik. Zadanie Niemcewicza polegało na tym, żeby poprzez akt pisarski scalić ziemie wszystkich trzech zaborów. Janowiczowi przyświecała idea połączenia Białostoczczyzny, wegetującej w granicach Polski powojennej bez pamięci o swojej przeszłości, z rozległym terytorium Wielkiego Księstwa Litewskiego, do którego Białostoczczyzna dawno temu należała.

Swoją podróż historyczną zaczął Janowicz od Krakowa. Zaczął przekornie wobec nawyków skojarzeniowych polskiego czytelnika. Kraków jako dawna stolica Polski nie poruszył w nim, prowincjuszu przywiezionym tu z zakładową wycieczką, żadnych „narodowych” emocji. Emocjonalny ton ujawnił się dopiero w stwierdzeniu, że inaczej by tę wycieczkę przeżywał, gdyby już wówczas wiedział, że okolice Krakowa były kolebką ruchu młodobiałoruskiego.

Kraków stale przewija się w dziejach białoruskich, i byle je jakoś po swojemu dopowiedzieć, będę wracał do tego miasta zarówno wyobrażnią, jak i swoją cielesną bytnością. Ot, choćby poszukać na cmentarzu wojskowym z dwudziestego roku grobu Aleksandra Pruszyńskiego, pisarza i czołowego budowniczego idei białoruskiej [...] ³⁴.

Potem z perspektywy rekreowanej pamięci będzie oglądał podupadłe miejsciny Drohiczyn, Zabłudów, Tykocin, Knyszyn, Supraśl... i oczywiście swoje rodzinne Krynki, szukając tam wszędzie – często bez wymiernego skutku – śladów monumentalnej przeszłości. „Gdzież mogło stać w Zabłudowie tamto dworzyszczce z wielkopańskim pałacem?” ³⁵ – pytał, naśladując, najpewniej całkiem nieświadomie, Niemcewicza szukającego

wspomnieć o skandalu, jaki wywołał Rzewuski publikując *Mieszaniny obyczajowe*.

³⁴ S. Janowicz, *Białoruś, Białoruś*, s. 8.

³⁵ Tamże, s. 23.

królewskich grobów w Wilnie i wielu innych pamiątek z czasów państwowości polsko-litewskiej.

Jest Janowicz w tej swojej krzątaninie wokół narodowej przeszłości na wskroś dziewiętnastowieczny (łącznie z wyobrażeniem narodu „żywcem pogrzebanego”³⁶), potwierdzając niegasnącą u nas jeszcze wtedy żywotność paradygmatu romantycznego.

Jakiś spóźniony miłośnik form klasycznych mógłby napisać poemat z gatunku rozmów zmarłych, w którym Niemcewicz z Janowiczem na Polach Elizejskich rozmawialiby tyleż uczenie, co dowcipnie o Wielkim Księstwie Litewskim. Obaj byli erudydami, obaj budzili w swoich współczesnych skrajne uczucia: „od uwielbienia, do wzgardy”. Należeli do kategorii, jak dawniej mawiano, „świeczników narodowych”. Niemcewiczowi bliska była tradycja państwa polsko-litewskiego, chociaż go nie idealizował. Janowicz faworyzował w swoim myśleniu o Wielkim Księstwie czasy przedunijne, sprzed polonizacji tamtejszych elit. Myślę, wszelako, że mimo różnicy w ocenie przeszłości dwaj ci w pewnym sensie „Litwini” nie pokłóciliby się na śmierć o Białostoczczyznę, gdyby Janowicz zechciał ją połączyć z Grodzieńszczyzną i oderwać od Polski. Za pamięci Niemcewicza wszak cesarz Napoleon lekką ręką podarował okręg białostocki carowi Aleksandrowi. Autor *Podróży historycznych* był w polityce pragmatykiem, jako pisarz zaś pokazywał Polskę w granicach ruchomych. O takiej właśnie Polsce uczyli się jego mali rodacy ze *Śpiewów historycznych*.

Kiedy ukazała się *Białoruś, Białoruś* pamiętam reakcje czytelnicze mniej poprawne politycznie od tych, o których mówiono podczas „Trialogu” (przy czym odwołuję się do reakcji spontanicznych i nie przeznaczonych do druku). Pamiętam zdziwienie graniczące z oburzeniem: co ten Białorusin wyczynia, przywłaszczając sobie autorów z dawien dawna będących filarami polskiego kanonu albo odwracając sens wydarzeń historycznych fundamentalnych dla polskiej drogi do niepodległości! Albo obarczając Polaków ciężką winą za niesprzyjający Białorusinom bieg wydarzeń, uniemożliwiający im pełną emancypację narodową i państwową.

Nie były to reakcje czytelników wychowanych na Niemcewicu. I być nie mogły, skoro po dziś dzień Julian Ursyn nie dostał wydania dzieł

³⁶ Zob. tamże, s. 24.

wszystkich. *Podróży historycznych* nie wznowiono w PRL-u ze względu na ich niecenzuralną mapę oraz intencję autora. Ale i Janowicz świadomie prowokował – od pierwszej strony, od wycieczki do Krakowa. *Białoruś, Białoruś* – co tu kryć – jest utworem o wymowie agresywnie antypolskiej. Nie rozstrzygam, ile w nim solidnie udokumentowanych argumentów, ile efektu retorycznego, ile rozpachy, ile nadziei. Jest antypolski dlatego, że został napisany z punktu widzenia topniejącej mniejszości narodowej. Jeśli Janowicz pozwala swoją opowieścią o Białorusi przejrzeć się niczym w lustrze polskiemu nacjonalizmowi, co podnoszono w dyskusji „dialogowej”, to dlatego, że sam występuje z pozycji nacjonalistycznych.

Jeśli o mnie chodzi, nie łudzę się, że dane mi będzie lojalnie i w pełni pojąć Janowicza w jego białoruskości, chociaż próbuję. Natomiast jako głos mniejszości białoruskiej wielostronnie osadzony w przemianach i konfliktach epoki przybliżył mnie do zrozumienia polskości w jej aspektach dla nas samych, Polaków, trudnych do zaakceptowania, ukształtowanej w sytuacji zagrożenia, agresywnej i odpychającej zarazem. Polskości ukształtowanej pod presją obcej dominacji.

Białorusini jako obcy

Kontekstem interpretacyjnym dla wypowiedzi Janowicza powinny być nie tylko teksty z przeszłości o podobnej poetyce i charakterze, jak Niemcewiczowskie *Podróże historyczne* czy np. Tomasza Świąckiego *Opis starożytnej Polski*. Potrzebne wydaje się również przypomnienie utworów polskich, w których pojawia się postać białoruskiego chłopca. W ujęciu Janowicza ów białoruski „muzyk”, utożsamiany z Białorusinem w ogólności, stanowi nie lada problem na drodze do emancypacji narodowej. Jest bowiem społeczną resztką po zaginionym Wielkim Księstwie Litewskim, które miało swoje białoruskie elity, lecz je straciło, bo uległy polonizacji. „Muzyk” jest Białorusinem schłopiałym, poniżonym, wewnątrz i zewnętrznie skurczonym, skupionym na walce o biologiczne przetrwanie. Taki Białorusin jest w ujęciu Janowicza realnością społeczną. Ale też obraz takiego właśnie Białorusina utrwała literatura polska. Janowicz w *Białorusi, Białorusi* stworzył siebie zarówno na przekór muzyckiej

mentalności i powierzchowności, jak również wbrew wizerunkowi, który ogólnopolski czytelnik znał z literatury. Chociaż niewiele brakowało, a stałby się autor *Zahonów* kim innym zgoła, niż się stał. Pisał między innymi, że „grzązłby zapewne w jakimś regionalizmie podlaskim lub kurpiowskim, naciągany aż na Białystok niczym kusy kawał skóry na zbyt duże szewskie kopyto”³⁷. Regionalizm w PRL-owskiej wersji oznaczał ograniczenie się do kultury ludowej czy stylizacji na kulturę ludową. O sobie w wersji sprzed narodowego uświadomienia wspominał również w książce *Białoruś, Białoruś*: „Byłem niewątpliwie złym Białorusinem, bardzo etnicznym jeszcze [...]”³⁸

Żeby zobaczyć „muzyka” w literackim opracowaniu, sięgnę do trzech tylko utworów.

Pierwszy mieści się w dorobku poczytnej przez długie lata, ekstremalnie polskiej, Marii Rodziewiczówny, za co w PRL-u jej twórczość skazana została na banicję. Akcja sporej części jej kresowych powieści osadzona jest na Polesiu, które przez etnografów i antropologów opisywane było jako obszar pograniczny między grupami etnicznymi białoruskimi i ukraińskimi³⁹. Jedną z powieści poleskich, *Hrywda* z 1892 roku, traktuje o kresach w dobie powłaszczeniowej. W jej świetle uwłaszczenie zerwało kulturowy kontakt chłopca z dworem, przez co nie ma już szans na jego unarodowienie w polskim duchu. Na chłopów, którzy znaleźli się poza orbitą dworskich wpływów, Rodziewiczówna patrzy nieomal z odrazą. Wprowadza podział na tych, którzy dworu nie porzucili i tych od niego już niezależnych. Pierwsi są cywilizowani: czyści i dobrze ułożeni. Drudzy – zabobonni, agresywni i brudni. Pierwsi „swoi”, drudzy „obcy”. Brak niewątpliwie Rodziewiczównie empatii wobec białoruskich mieszkańców wsi, trzeba jednak pamiętać, że omawiana powieść powstała w czasach nasilonej rządowej propagandy antypolskiej na Ziemiach Zabrzanych, kiedy o „polskich panach” pisano jako elemencie napływowym, kolonizacyjnym i dlatego całkowicie obcym ludowi. „Polski pan” z wypowiedzi Janowicza ma długą tradycję w postaci propagandy rosyjskiej, podchwyconej następnie i rozwiniętej przez bolszewicką. „Pańskiej Polski” urodzony w 1936

³⁷ Tamże, s. 110.

³⁸ Tamże, s. 7.

³⁹ Zob. J. Obrębski, *Polesie. Studia etnosocjologiczne*, Warszawa 2007.

roku Janowicz nie mógł pamiętać, za to znalazł ją chociażby w twórczości Izaaka Babla, swego pierwszego mistrza literackiego.

Z kolei w powieści Wiktora Gomulickiego z 1912 roku, *Na rozłogach białoruskich*, pisanej z perspektywy warszawskiej, cały świat polski tzw. Litwy wygląda egzotycznie aż do śmieszności. Białorusini jednak, których napotyka podróżujący po Litwie przybysz z Zachodu, nie zostali przedstawieni satyrycznie. Za to nie sposób nawiązać z nimi kontaktu, tak dalece nieufni są i skryci. Zagadkowi i zaszyfrowani. Oto bohater słyszy chóralny śpiew – lament:

W tym śpiewie – myślał – przemawia dusza Białej Rusi. Właściwie dusza ludu białoruskiego, poza którym nic tu już prawie nie ma. Cierpiał-że ten lud więcej, niż inne słowiańskie? Taki smutek bezmierny, zrozumiały „nad rzekami Babilonu”, mógł-by się urodzić jedynie z żalu po utraconej wielkości. Ale Białorus dobą wczorajszą nie zajmuje się, w swych pieśniach nigdy o niej nie wspomina. Więc chyba już z rąk Stwórcy jego dusza wyszła smutna⁴⁰.

I druga scena ze śpiewem. Tym razem bohater usłyszawszy pieśń wieśniaczkę zapytał o nią miejscowego zbieracza-amatora. „To jest, panie łaskawy – usłyszał wyjaśnienie – pieśń do Najświętszej Panny, ale zmieniona w ten sposób, żeby się czem innym wydawała”⁴¹. Indagowany o przyczynę kamuflażu znawca przedmiotu odpowiedział oględnie:

Przyczyna, panie łaskawy, jest też sama, dla której każdy ze spotkanych przez nas wieśniaków, zanim pozdrowienie Chrystusowe wygłosił, poddawał nas tak długim, badawczym i podejrzliwym oględzinom...⁴².

Kiedy zaś śpiewające kobiety zobaczyły na drodze nieznanym podróżnym, natychmiast zamilkły, ulegając zarazem niepojętej metamorfozie: „Chór nastrojonych poetycznie śpiewaczek zmienił się od razu w gromadkę uznojoną robotnic, tylko o wieczery i odpoczynku myślących”⁴³.

⁴⁰ W. Gomulicki, *Na rozłogach białoruskich*, Warszawa 1912, s. 47.

⁴¹ Tamże, s. 140.

⁴² Tamże.

⁴³ Tamże, s. 142.

Z dalszego przebiegu sceny można się domyśleć, że nieufność kobiet ma źródło w przymusowym wcielaniu Białorusinów-unitów do cerkwi prawosławnej. Kwestia religijna w przypadku zbiorowości białoruskiej była i skomplikowana, i konfliktogenna. Dość, że w powieści Gomulickiego Białorusini wyznają prawosławie tylko na pozór, w głębi duszy pozostając przy wierze ojców. Generalnie zaś rzecz biorąc kwestia unicka przesłania w literaturze polskiej kwestię białoruską, wykluczając na dobrą sprawę Białorusinów prawosławnych z pola zainteresowania. Janowicz, rzecz znamienna, chcąc być pisarzem białoruskim *tout court*, problematykę religijną musi zmarginalizować. Chociaż to nie jedyny powód jego religijnego wychłodzenia.

Wreszcie powieść trzecia – *Rojsty* Tadeusza Konwickiego, o którym Janowicz wspominał zresztą w swym eseju. Na planie wyobraźni pisarskiej połączyła ich – Białorusina z „Litwinem” choćby dolina jako centrum świata. Obaj też podejmowali temat powstania styczniowego. Obaj pisali o białoruskich chłopach. *Rojsty* ukazały się w roku 1956, kiedy Janowicz debiutował na łamach białoruskiej „Niwy”. W powieści napisanej wprawdzie osiem lat wcześniej, lecz dopuszczonej do druku dopiero po odwilży, Konwicki kompromitował partyzantkę wileńską, odsłaniając między innymi jej z pańska pogardliwy stosunek do autochtonów.

Pierwszoosobowy narrator *Rojstów* wyznawał nonszalancko: „Strzelało się do białoruskich chłopów, posądzanych o sympatie lub wprost o współpracę z bolszewikami”⁴⁴. Był też świadkiem gwałtu na kilkunastoletniej Białorusince, którego dopuścił się partyzant w obecności jej rodziców i towarzyszy broni. Nawet jeśli potem chłopci dołączają do oddziału, wspólne partyzanckie „chodzenie” po puszczy nie zbliża ich do „miastowych”. Inne mają motywacje niż przybysze z Wilna, uwiedzeni propagandą patriotyczną nadawaną z Londynu; wieśniacy na ogół uciekają przed poborem do Armii Czerwonej. W pewnym momencie uznają, że pora wracać do domu i stawiają na swoim wbrew sprzeciwowi dowódcy.

Janowicz opisał spotkanie z partyzantami od chłopskiej strony. Autobiograficzną *Dolinę pełną losu* (1993) otwiera wspomnienie dziewięciorga ofiar zastrzelonych przez „leśnych” z okolicy Krynek. Jego ojciec spotkał partyzantów na drodze:

⁴⁴ T. Konwicki, *Rojsty*, Warszawa 1956, s. 29.

Jezus Maria! A że frontowy był z niego człek, w oka mgnieniu pojął, że na ucieczkę jest za późno; kule są szybsze, więc pozostało mu jedno: jechać jak jechał. Każdy żyje według siebie. Oni wałęsają się za powrót dawnej Polski, a jemu wystarczy pozbycie się zwaliska padliny z chlewu. Każdemu swój kłopot, i oni to rozumieją: panom – pańskie w głowie, a chłopu – chłopskie. Minął ich tak, jak gdyby chciał zdążyć przejechać saniami po pękającym i trzeszczącym lodzie na przedwiosennej rzece. Owo mijanie złymi snami męczyło go do końca jego dni [...]⁴⁵.

Syn potrafił sugestywnie przedstawić ów moment mijania się ze śmiercią:

[...] w tym piachu drogi, równając się ze zbrojnymi, nie śmiać ani zerknąć w ich stronę, łowiąc uchem ich uspokajające posapywanie, tak dobrze znane mu z czasów własnego żołnierskiego trudu, gdzieś pod Częstochową we wrześniowy trzydziesty dziewiąty rok, postradał parę lat swego żywota⁴⁶.

Nie darmo w sytuacji zagrożenia przypominał się ojcu czas własnej służby w wojsku polskim. Jakby przez to wspomnienie panicznie szukał wspólnego gruntu między sobą a partyzantami, żeby zwiększyć swoje szanse na przetrwanie.

Pisząc *Białoruś, Białoruś* po polsku Janowicz musiał się zmierzyć ze stereotypem Białorusina-muzyka, utrwalonym w tradycji polskiej, lecz przede wszystkim pokazywał, że w sobie samym z „muzykiem” się uporał. Napisanie antypolskiego tekstu adresowanego do polskiej większościowej publiczności wymagało przecież nie lada odwagi, jeśli nie iście „pańskiej” – a precyzyjniej rzecz ujmując szlacheckiej – pychy, do której Białorusin etniczny, wyzuty ze swoich tradycji narodowych i państwowych w żadnym razie nie czuł się zdolny.

⁴⁵ S. Janowicz, *Dolina pełna losu*, s. 5.

⁴⁶ Tamże, s. 6.

XIII. Próba niecenzuralnej opowieści o regionie: Podlasie jako „resztką”

Powiedziała mi, że Białystok wygląda jak czyste niemieckie miasteczko.
Nie wiem tylko, czy to jest komplement
(B. Jastrzębski, J. Morawiecki, Maciej Skwaiński, *Jutro spadną gromy*)

Problem z tożsamością

Tekst folderowego obrazu Białegostoku, umieszczony na stronie Urzędu Miejskiego w zakładce *Tradycje*, stanowi ciekawe wyzwanie dla filologa. Format ten przewiduje jedynie pozytywne nastawienie względem miejsca: Białostoczanom nie pozostaje nic innego, jak tylko „szczyć się” charakterem miasta. Powody do słusznej dumy zostały zaś powiązane z białostocką unikatowością, wynikającą stąd, że kulturę lokalną tworzyli pospołu mieszkańcy o różnej identyfikacji narodowościowej, religijnej i wyznaniowej. Miasto dziedziczy ten rys po „wspaniałych polskich Kresach”¹. Aktualnie wyjątkowość wielokulturowego konglomeratu podkreśla obserwacja, że Białystok nie ma w tej dziedzinie wielkiej konkurencji jako jedno z „ostatnich miast, gdzie owa tradycja jest wciąż obecna w codziennym życiu mieszkańców”². Stolica Województwa Podlaskiego nie może się natomiast pochwalić pradawnym rodowodem. Ale i to można obrócić na wizerunkową korzyść.

¹ <https://en.um.bialystok.pl/267-tradycje/default.aspx>, [dostęp 30.12. 2016].

² Tamże.

Historia Białegostoku – cytuję fragment *Tradycji* – nie jest długa, miasto w powszechnej świadomości pojawiło się dopiero w XVIII stuleciu. Trudno byłoby jednak znaleźć drugi ośrodek, który w tak krótkim czasie (bo czymże są trzy stulecia w perspektywie historycznej?) kilkakrotnie tak gruntownie zmieniał swe oblicze³.

Wedle tekstu zakładkowego jest zatem Białystok miastem stosunkowo młodym, ale równocześnie „jednym z ostatnich” o „kresowym” charakterze, na swój sposób więc archaicznym czy anachronicznym. Jest przy tym miastem przywiązaniem do „kresowych” wspomnień, wiernym tradycji, ale też kilkakrotnie przechodzącym „gruntowną” zmianę (określenie „gruntowny”, co wynika z ducha języka, sugeruje pozytywny stosunek piszącego do zmian, domyślnie: naprawczych, co z kolei popada w logiczną kolizję z równie pozytywnym waloryzowaniem „kresowości”). Różne tradycje w mieście spotykały się, należy przypuszczać, bezkonfliktowo, lecz kilkakrotnie w niedługim czasie, w domyśle – gwałtownie, zmieniało ono „swoje oblicze”. W innym miejscu krótkiego tekstu wymienia się wspólnoty etniczne współtworzące gospodarkę i kulturę miasta w dobie zaborów: „obok Polaków Żydzi, Białorusini, Niemcy, Rosjanie, Ukraińcy, Litwini i Tatarzy”. Po myślniku następuje dopowiedzenie: „wyznawcy katolicyzmu, prawosławia, wyznań protestanckich, judaizmu i islamu”⁴. Kolejność oczywiście znaczy: nie ulega wątpliwości, że folderowo przedstawiony Białystok, chociaż wielokulturowy, zachowuje polską dominantę. W odniesieniu do przeszłości jest to obraz życzeniowy. Pozycje zajmowane w wyliczeniu przez inne wspólnoty również nie odpowiadają historycznym realiom: oficjalnie w XIX wieku nie odróżniano Białorusinów i Ukraińców od Rosjan. Z kolei szereg wyznaniowo-religijny nie został skorelowany z etnicznym: Żydów wymienia się na drugim miejscu, ale judaizm na przedostatnim. Mogłoby to rzecz jasna oznaczać, że przeważali w mieście Żydzi zasymilowani, co znów nie współbrzmi z wiedzą historyczną. Brak ładu i składu z wyjątkiem pierwszej pozycji w obu szeregach dawałby się uzasadnić jedynie poetyką „tygla”.

³ Tamże.

⁴ Tamże.

Białystok prezentuje się zatem jako miasto młode, lecz nienowoczesne, miasto zwrócone ku przeszłości, lecz bez oparcia w bogatych zasobach pamiątek historycznych, ginących na skutek „gruntownych” przemian, miasto „kresowe” tworzone przez rozmaite społeczności, kulturowo wielobarwne, lecz i kulturowo zdominowane przez polskość i katolicyzm⁵. *Summa summarum* miasto o silnie zaburzonej tożsamości. Ktoś kto układał tekst do zakładki zapewne niezanadto się przyłożył do jego sporządzenia, ale trzeba też przyznać, że zadania nie miał wcale łatwego.

W Białymstoku substancja miejska odziedziczona, która zwykle domaga się zagospodarowania w przestrzeni miejskiej, jest raczej skromna, wskutek czego nie stawia wielkiego oporu doraźnym pomysłom na politykę historyczną. Precedensy „gruntownej zmiany oblicza” miasta sprawiają, że dysponując ku temu środkami finansowymi oraz instrumentarium promocyjnym, można sobie pozwolić bez specjalnego ryzyka na „wynalezienie tradycji”⁶.

Spektakularną manifestację regionalnego autodykursu z wielokulturowością na pierwszym planie, który nieco ironicznie można by nazwać autodykusem „barwnej mozaiki”⁷, stanowiły zorganizowane w 2013 roku, huczne, rozpisane na wiele imprez, obchody 500-lecia Województwa Podlaskiego, z okazałą paradą na ulicach Białegostoku jako ich zwieńczeniem. Fetowano w ten sposób akt powołania (29 sierpnia 1513 roku) Iwana Sapiehy na pierwszego wojewodę Podlasia przez króla Zygmunta Starego. Po celebrze 500-tniej rocznicy można się było spodziewać asertywnej demonstracji tożsamości regionalnej, ufundowanej na poczuciu silnej więzi ze świetną (wedle utrzymującego się chyba do dzisiaj potocznego mniemania – najświetniejszą) w dziejach Polski epoką jagiellońską, złotym wiekiem historii i kultury polskiej, apogeum państwowej potęgi⁸. Przyglądając się jednak dokładniej całemu

⁵ Socjolog Katarzyna Sztop-Rutkowska, a za nią Marcin Kącki czytali tekst zakładki pod kątem wątku żydowskiego, konkludując, że jest to obraz wysoce nieadekwatny w stosunku do stanu faktycznego. M. Kącki, Białystok. *Biała siła, czarna pamięć*, Wołowiec 2015, s. 56. Zob. też <http://www.szlak.uwb.edu.pl/> [dostęp 30.12.2016].

⁶ Nawiązuję oczywiście do znanej książki Erica Hobsbawma i Terence Rangera, *Tradycja wynaleziona*, przeł. M. Godyń, F. Godyń, Kraków 2008.

⁷ Sformułowanie to stało się swego rodzaju toposem oficjalnego autodykursu. Występuje też w jednej ze wstępnych wypowiedzi poprzedzających zestaw dokumentów w jubileuszowej publikacji *500 lat Województwa Podlaskiego – historia w dokumentach*, Białystok 2013.

⁸ O „drugiej epoce Jagiellońskiej” w odniesieniu do potransformacyjnej Polski pisano na łamach

przedsięwzięciu rocznicowemu, zwłaszcza zaś jego ulicznemu finałowi, dostępnemu najszerzej publiczności, nie sposób nie zauważyć, do jakiego stopnia cała ta wojewódzka feta miała konstruktywistyczny, a co do estetyki zgoła postmodernistyczny charakter.

500-lecie nie oznacza bynajmniej, że twierdzono jakoby Województwo Podlaskie istniało tu nieprzerwanie przez pół tysiąca lat. Na jego datę początkową wybrano akt o stosunkowo niewielkim znaczeniu praktycznym; Iwan Sapieha był wojewodą krótko, zmarł już w roku 1517, a samą nazwą województwa zaczęto się posługiwać na dobre po roku 1520. Pomysłodawcy jubileuszu nie ukrywali zresztą bynajmniej, że data początku ma charakter czysto symboliczny. Inny z nią problem polegał na tym, że historycznie rzecz biorąc początki województwa wiązały się z Drohiczyńskiem, nie zaś z Białymstokiem, przez co miejsce głównych uroczystości nie pomogło w przetruceniu pomostu między teraźniejszością a przeszłością, nie dawało uczestnikom poczucia mocnego zakorzenienia w historii. Przeciwnie, wzmagало efekt sztuczności, teatralności czy fasadowości obchodów.

Białystok w czasach jagiellońskich nic jeszcze nie znaczył, jego historia ruszyła z miejsca, gdy zbudowali tu swoją słynną rezydencję Braniccy⁹. Pomysł, żeby ulicami miasta przejechał powozem Zygmunt Stary z Iwanem Sapiehą – w ich role wcielili się miejscowi aktorzy – nie miał nic wspólnego z historycznymi realiami, niczego z przeszłości nie powtarzał, niczego rytualnie nie odnawiał. O tym, jak dalece scenarzyście ulicznej parady nie chodziło o sprowadzenie czasu minionego między żywych, świadczy decyzja, żeby w powozie reprezentującym Suwalszczyznę usadowić Marię Konopnicką, postać wprawdzie historyczną, ale z innej przecież bajki, aniżeli wspomniani król i wojewoda. Organizatorowi parady zupełnie natomiast zabrakło inwencji historycznej w odniesieniu do ziemi łomżyńskiej. W stosownym powozie zajął miejsce po prostu prezydent Łomży we własnej, urzędowej osobie. Postmodernistyczna niezborna zestawu wymienionych tu godnych figur, symbolicznych reprezentantów głównych składowych dzisiejszego Województwa Podlaskiego, mimochodem wskazywała na

„The Economist” w czerwcu 2014 r. http://www.economist.com/news/special-report/216046-84-first-time-half-millennium-poland-thriving-says-vendeline-von-bredow?fsrc=scn/tw_ec/the_second_jagiellonian_age [dostęp 30.12.2016].

⁹ H. Mościcki, *Białystok – zarys historyczny*, Białystok 1933; A. Oleńska, *Jan Klemens Branicki „sarmata nowoczesny”*. *Kreowanie wizerunku poprzez sztukę*, Warszawa 2011.

problem jego terytorialnego zasięgu, dodatkowo komplikujący prowadzenie spójnej autonarracji regionalnej.

Dzisiejsze granice województwa bowiem w żadnym razie nie odpowiadają historycznym – tym z roku 1513, kiedy to sytuowało się ono na pograniczu litewsko-polskim i obejmowało również późniejsze województwo brzeskie. W aktualnym kształcie najbliższej mu do granic powojennego Województwa Białostockiego, które przetrwało do reformy administracyjnej z roku 1975. Dzisiejsze Województwo Podlaskie, funkcjonujące od 1999 roku, nie dość że niewiele ma wspólnego terytorialnie z historycznym, to jego nazwa budzi kontrowersje wśród mieszkańców rejonów nie-podlaskich – w Łomżyńskim i na Suwalszczyźnie. Całkiem niedawno w związku z rządowymi zapowiedziami utworzenia nowych jednostek administracyjnych, pojawiła się/wróciła koncepcja przemianowania „podlaskiego” na „białostocko-łomżyńsko-suwalskie”¹⁰.

Wszystkie wymienione melizmy scenariusza 500-lecia można by oczywiście skomentować w taki oto sposób, że organizatorom bardziej zależało na szybkim efekcie promocyjnym z interesami politycznymi, jeśli nie wręcz biznesowymi w tle, niż na kreowaniu czy rekreowaniu tożsamości regionalnej poprzez celebry jubileuszu. Stąd też przybrał on charakter raczej popularnego festynu aniżeli wspólnotowego święta na wzór wynalezionej za rewolucji francuskiej *la fête nationale*. Bez względu na to, jaki był główny i faktyczny cel obchodów, nie można się jednak zgodzić na interpretacyjne sprowadzanie ich do formuły promocyjnego *eventu*. Bądź co bądź na finał uroczystości przybył Bronisław Komorowski, ówczesny prezydent RP. Przybył i przemówił. W jego wystąpieniu pojawiły się rzecz jasna odniesienia do „tradycji kresowych, tradycji Wielkiego Księstwa Litewskiego”¹¹, ale dało znać o sobie również poczucie nieprzystawalności tych tradycji do miejscowych realiów. Powiedział mianowicie prezydent, że Województwo Podlaskie odziedziczyło je „w jakiejś mierze”, nie próbując zakresu tego związku doprecyzować. Można się tylko domyślać, że spadkiem po Wielkim Księstwie Litewskim i/czy Kresach miałyby być „mozaika różnorodności”,

¹⁰ <http://www.wspolczesna.pl/wiadomosci/suwalki/art/9310896,wojewodztwo-podlaskie-czy-bialostockolomzynskosuwalskie,id,t.html> [dostęp 30.12.2016].

¹¹ <http://www.tvn24.pl/wiadomosci-z-kraju,3/podlasie-zrodlem-dumy-500-lecie-wojewodztwa,321810.html> [dostęp 30.12.2016].

który to eufemizm należałoby rozumieć jako wieloetniczność populacji województwa, rzeczywiście wyjątkowego pod tym względem w skali kraju.

Prezydenckie „w jakiejś mierze” wskazuje na niejasność czy problematyczność stosunku między regionem dziedziczącym a dziedzictwem, ale też na arbitralność ustanowienia tej relacji. Arbitralnie bowiem, nie licząc się z realiami geograficzno-historycznymi, zdecydowano w 1999 roku o nazwie województwa. Uruchamiając skojarzenie z Polską przedrozbiorową nawiązywano – co oczywiste – do tradycji suwerennej państwowości, rewindykowano też prawo do pamięci o ziemiach utraconych na wschodzie (do pamięci, a nie do samych tych terenów). Województwo Podlaskie miało zapewne stanowić ich metonimię. Lecz nie tylko to. Wybierając tę właśnie tradycję, odżegnywano się zarazem od rozwiązań PRL-owskich, ale też i od tradycji międzywojennej (w obu przypadkach obowiązywała nazwa Województwo Białostockie). Powrotem do nazwy dawniejszej sankcjonowano prawo do kultywowania tradycji Wielkiego Księstwa Litewskiego (połączonego od unii lubelskiej z Koroną w Rzeczpospolitą Obojga Narodów) po to więc, żeby zneutralizować dziedzictwo czasowo bliższe i z różnych powodów nieporęczne. Województwo Podlaskie lepiej też niżli Białostockie korespondowało z nową koncepcją tożsamości regionalnej, konstruowanej na potrzeby planowanego przystąpienia Polski do Unii Europejskiej.

Co zaś do okolicznościowego wystąpienia prezydenta, to komentatora wymagałby jeszcze samo sformułowanie „tradycje kresowe, tradycje Wielkiego Księstwa Litewskiego”. Czesław Miłosz, który identyfikował się z tradycjami WKL, z pewnością nie zgodziłby się, by traktować je jako synonim Kresów¹². Konstrukcja prezydenckiej wypowiedzi na taką synonimiczność jednoznacznie wskazuje – i nie jest to konstrukcja nieprze-myślana. Nie skłaniałaby do pytań, gdyby Księstwo poprzedzało w niej Kresy. Wówczas kolejność odpowiadałaby bowiem chronologii: połączone z Koroną aktem unii Wielkie Księstwo Litewskie stało się z czasem, na co wskazuje choćby literatura, Kresami Rzeczypospolitej. Kolejność achronologiczna powoduje całkowite „ukresowienie” Wielkiego Księstwa Litewskiego, likwiduje radykalnie jego odrębność.

¹² Zob. m.in. Cz. Miłosz, *Szukanie ojczyzny*, wyd. 2, Kraków 1996.

Obchód 500-lecia był zatem konsekwencją nie tyle aktu z 1513 roku, co nadania województwu historycznej nazwy w roku 1999. Czy jednak wynikał również z autentycznie żywych tradycji przedrozbiorowych (mówiąc ogólnie) na jego obszarze? Czy mieszkańcy Województwa Podlaskiego istotnie poczuli/poczują się do roli ich spadkobierców, a w następstwie – strażników czy kontynuatorów? Rzeczywiście wejście w rolę spadkobiercy wymagałoby niewątpliwie czegoś znacznie więcej niż wypowiedania publicznie okazjonalnych i ogólnikowych deklaracji. Wymagałoby łatwo dostępnych w przestrzeni publicznej świadectw łączności z tym dziedzictwem, pieczołowicie zachowanych z przeszłości bądź wykreowanych. Takim zdecydowanym potwierdzeniem identyfikacji z dziedzictwem przedrozbiorowym mogłoby być na przykład Muzeum Tradycji Wielkiego Księstwa Litewskiego w Białymstoku jako tradycji wieloetniczności, obmyślane i przygotowane we współpracy zróżnicowanego narodowościowo grona muzealników. Oczywiście natychmiast w ślad za tą myślą przychodzi trzeźwiąca refleksja, że pomijając spore koszty, uzgodnienie wspólnej, polsko-litewsko-białorusko-ukraińsko-żydowsko-tatarskiej wizji przeszłości graniczyłoby z cudem. Ale przecież można by się zdobyć na odważne rozwiązanie i pozwolić każdemu ze współtworzących muzealną narrację podmiotów na opowiedzenie historii z własnego punktu widzenia, bez cenzurowania jej newralgicznych punktów. Samo usytuowanie tych historii we wspólnej przestrzeni muzealnej zapraszałoby do zmierzenia się z wieloperspektywicznym ujęciem przeszłości, traktując tę wieloperspektywiczność jako coś, co wymaga po prostu przyjęcia do wiadomości i ustanawia wspólny grunt dla debaty o kwestiach drażliwych w historii regionu.

Nie da się zaprzeczyć, że takie muzeum – przypominające rozmachem i narracyjnym charakterem Muzeum Historii Żydów Polin – stanowiłoby niekwestionowany dowód na to, że Białystok poczuwa się do kulturowego spadku po wieloetnicznym Wielkim Księstwie Litewskim. Skoro zaś o muzeach mowa, to w Białymstoku pracuje się nad zupełnie innym ambitnym projektem muzealniczym. Powstaje tu mianowicie obiekt przeznaczony do udokumentowania i upamiętnienia zsyłek na Sybir¹³. Nie twierdzę, że muzeum takie nie ma uzasadnienia. Warto jednak postawić pytanie, jak się

¹³ Zob. wirtualną namiastkę muzeum <https://www.sybir.com.pl> [dostęp 30.12.2016].

ów projekt sytuuje wobec opowieści o Podlasiu (Województwie Podlaskim) jako wielokulturowym kresowym tygłu (*vide*: zakładka Tradycje na stronie Urzędu Miejskiego). Odnosząc ów projekt do tradycji kresowych, należałoby stwierdzić, że w Muzeum Pamięci Sybiru będzie w istocie opowiadana historia depolonizacji Kresów, nasilona po powstaniu styczniowym i po 17 września 1939. Białystok skazany jest przez to na rolę ostatniej kresowej enklawy. Hipotetyczne muzeum Tradycji Wielkiego Księstwa Litewskiego, przedstawiające raczej koegzystencję między narodami, narodowościami, etnosami, grupami wyznaniowymi, koegzystencję niewolną od konfliktów i zbrodni, przez sam akt jego ustanowienia tchnęłoby jednak trudnym optymizmem czy też nadzieją, że przeszłość nie musi fatalistycznie ciążyć nad przyszłością.

Dlaczego w Województwie Podlaskim uzgodniono już miejsce na Muzeum Pamięci Sybiru, a muzeum Tradycji Wielkiego Księstwa Litewskiego raczej nie ma szans na realizację? Rzecz nie tylko w tym, że to drugie zadanie jest bardziej złożone logistycznie i pewnie bardziej kosztowne. Na zawadzie nie stoją wyłącznie przeszkody praktyczne, ale też natury, by tak rzec, mentalnościowej. Czy bowiem dzisiejsze Województwo Podlaskie nadaje się do roli sukcesora tradycji Wielkiego Księstwa Litewskiego i/albo Kresów Rzeczypospolitej Obojga Narodów? Czy ma potencjał, który by pozwalał uznać je za część reprezentującą dawną całość? Białystok nie może się przecież równać z Wilnem. O żadnym z podlaskich twórców nie da się powiedzieć, że blisko mu do Mickiewicza, Orzeszkowej i Miłosza. Prawdę powiedziawszy bowiem Podlasie nie tyle jest częścią dawnej, znacznie dalej na wschód przesuniętej całości, ale zaledwie jej resztką, lichą pozostałością, której dziedzictwo to przysparza wcale nie mniej kłopotów niż pożytku. W takiej sytuacji wejście w rolę sukcesora szacownego spadku, poświadczone stworzeniem muzeum Tradycji Wielkiego Księstwa Litewskiego, co wywołałoby z pewnością kontrowersje w kraju (a pewnie i po sąsiedzku), wymagałoby niesłuchanej pewności siebie, asertywności być może graniczącej z bezczelnością. O jedną i drugą byłoby zaś łatwiej, gdyby nie to, że Podlasie, będąc resztką Wielkiego Księstwa Litewskiego i Kresów Rzeczypospolitej Obojga Narodów, nie stanowiło zarazem – terytorialnie rzecz biorąc – resztki przedwojennej Polski Wschodniej, obejmującej województwa: wileńskie, nowogródzkie, poleskie, wołyńskie, lwowskie, stanisławowskie,

tarnopolskie, białostockie i lubelskie, spędzającej sen z powiek ówczesnym politykom tudzież ekonomistom jako obszar wymagający modernizacji, a w wielu miejscach również polonizacji.

Nad stanowiącym resztkę przedwojennej Polski Wschodniej Województwem Podlaskim ciąży jeszcze dzisiaj spadek w postaci jej zapóźnienia cywilizacyjnego. Dzisiejsze Podlasie nie tylko więc należy do tych biedniejszych, bardziej zaniedbanych kulturowo regionów – do tzw. Polski B – co znajduje potwierdzenie w rozmaitych statystykach (najmniej bibliotek w stosunku do liczby mieszkańców¹⁴), ale też bywa tej Polski najbardziej publicznie rozpoznawalnym reprezentantem. Można odnieść wrażenie, że Podlasie odpowiadające z grubsza przedwojnemu Województwu Białostockiemu, chociaż stanowi zaledwie resztkę przedwojennej Polski Wschodniej, wzięło w spadku całą jej cywilizacyjną „niższość”, pełen zestaw powodów do kompleksów i wstydu. Przedwojenna Białostoczczyzna aż tak nieznaczącej pozycji nie zajmowała, co zresztą także nie przemawiało na jej korzyść.

Pouczające dla zrozumienia podlaskich rozterek związanych z tożsamością regionalną jest przejrzenie numerów czasopisma „Ziemia”, wychodzącego z przerwami od 1910 roku, organu Polskiego Towarzystwa Krajoznawczego, który służył propagowaniu krajoznawstwa na całym obszarze dawnej Polski i obejmował uwagę wszelkie obszary, gdzie Polacy zamieszkiwali (np. brazylijską Paragę – „ziemię obiecaną” chłopskiej migracji). Sprawdziłam, jak w tym periodyku przez cały czas jego emisji zaznaczył się Białystok i okolice, a także szerzej ziemie podlaskie wchodzące w skład dzisiejszego Województwa Podlaskiego. Otóż nie budziły one większego zainteresowania, ani w okresie zaborowym, ani w dwudziestoleciu międzywojennym, ani po wojnie. W żadnym z tych okresów nie doszło do ich krajoznawczego odkrycia.

Jeśli mówiło się o Białymstoku, to jako miejscu postojowym na drodze do Puszczy Białowieskiej, która stanowiła samodzielną atrakcję. Przed 1945 rokiem Białystok i Podlasie zawsze przegrywały z Wileńszczyzną i Nowogródczyzną – trwale wypromowanymi przez literaturę romantyczną. Z drugiej zaś strony konkurencją było dla nich błotnisto-lesiste Polesie,

¹⁴ *Diagnoza partycypacji w kulturze w województwie podlaskim*, praca zb., Białystok 2012, s. 137.

które mimo swego cywilizacyjnego zapóźnienia, a raczej dzięki niemu, powracało na łamach „Ziemi” jako obiekt wzmożonego zainteresowania. Na niekorzyść Podlasia obracało się też to, że granica między nim a Polesiem rysowała się nieostro. Nieokreśloność granic Polesia wskazywano jako mankament pierwszej polskiej monografii tej krainy z 1923 roku:

Polesie w rozumieniu wydawców monografii jest jakimś dziwnym tworem geograficznym, do którego należy Nieśwież, Mir, Stołpce, ba, nawet Nowogródek, stolica odrębnego województwa, ani administracyjnie, ani geograficznie nie należącego do Polesia¹⁵.

Polesie i Podlasie

Wacław Nałkowski pisał o ziemi poleskiej w 1912 roku:

Polesie jest to *par excellence* błotnista i lesista, pełna monotonii i smutku duszna, wilgotna, zaciszna kraina, trójkątnego kształtu, zwrócona wierzchołkiem (Brześć Litewski) na zachód, a podstawą oparta na wschodzie o Dniepr. Boki – północny i południowy utworzone są przez dwa główne pasma wyżyn: północne (gałąź jego na południu górnego Niemna) i południowe. Wzdłuż tych wyniosłości idą drogi, omijające błotniste Polesie. Drogi te zasłynęły w historii wojen; leżące na drodze północnej (między dorzeczem Prypeci i Niemna) miasta: Mińsk, Słonim, a szczególnie Wołkowysk, doznawały wielkich klęsk; ostatnie były niezliczoną ilość razy palone i zrównywane z ziemią. Osią podłużną tego trójkąta jest rzeka Prypeć. Orograficznie kraina ta przechodzi jednak na wschód za Dniepr i sięga tam centralnej wyżyny moskiewskiej, podczas gdy na zachodzie oddziela się niewyraźnie od Podlasia głównym europejskim działem wodnym, który jednak jest tu błotnisty, niewyrównany, szczególnie na zachód od Brześcia (kanał); na nim leży puszcza Białowieska między Brześciem a Białymstokiem, które leżą już poza działem wodnym

¹⁵ M. Orłowicz, *Monografia Polesia*, „Ziemia” 1923, nr 3, s. 62 (recenzja dotyczyła publikacji *Polesie ilustrowane*, red. inż. Narald, Brześć 1923).

w dorzeczu Bugu i Narwi; oba są ważnymi węzłami kolejowymi (Brześć silna forteca). Puszcza Białowieska stanowi ważny węzeł hydrograficzny oraz ostatnie schronienie znikających już żubrów, <żyjących skamieniałości>¹⁶.

Autorów piszących na Polesiu w krajoznawczym periodyku „Ziemia” interesuje ten obszar od strony geograficznej i przyrodniczej. Jako część unikalnego systemu traktowani są Poleszacy, ludność miejscowa, mocno zrośnięta ze środowiskiem naturalnym, zaadaptowana do niego i niechętna zmianom. W takim duchu przedstawiał ich Ludwik Grodzicki:

Polesie, jedna z najciekawszych części Rzeczypospolitej Polskiej, jest jak gdyby rezerwatem naturalnym stosunków panujących przed wiekami w Polsce, a nawet w Europie. Prymitywność warunków wytwarza tu bowiem tego rodzaju sytuacje, że bytowanie ludności jest ściśle związane z warunkami fizjograficznymi, które zmuszają Poleszaków do zastosowania się do otoczenia oraz do daleko posuniętej samowystarczalności¹⁷.

Stąd też m.in. w kulturze materialnej mieszkańców Polesia zachowały się narzędzia gdzie indziej dawno już zapomniane: wóz wykonany całkowicie z drewna, drewniana socha. Unikalne były też ich obyczaje cmentarne: budują na grobach tzw. domowiny, małe domki, w których wedle lokalnych wierzeń zamieszkują dusze zmarłych, wymagające dokarmiania. Obraz Poleszaków jako ludu żyjącego w symbiozie z naturą, niemalże poza czasem historycznym, trwał w cytowanym czasopiśmie niezmiennie od pierwszych artykułów na tematy poleskie do ostatnich. Dopiero w publikacjach z lat 30. odnotowuje się próby cywilizowania i polonizowania terytorium poleskiego. Obraz Polesia zastygłego w swoim naturalnym kształcie trwa nadal, uzupełniany jednak o wątek ujarzmienia natury. W artykule z 1935 roku wynajdywano ślady dawnej „pracy cywilizacyjnej Narodu Polskiego na tych rubieżach Rzeczypospolitej”: melioracja, budowa kanałów, groble, budynki

¹⁶ W. Nałkowski, *Polesie*, „Ziemia” 1912, nr 42, s. 674.

¹⁷ L. Grodzicki, *Polesie jako kraina geograficzna*, „Ziemia” 1935, nr 7, s. 106.

kościółów, cerkwi, klasztorów, zamki, pałace¹⁸. Autor spotykał tam szlachtę zaściankową (na ogół wyznania prawosławnego), kultywującą dawne tradycje poprzez skrzętne przechowywanie dokumentów z czasów przedrozbiorowych i wspomnień o udziale przodków w powstaniach 1830/31 i 1863 roku¹⁹.

Niedługo później, bo w 1936 roku, w pismach „Sprawy Narodowościowe” i „Przegląd Socjologiczny” swoje pierwsze artykuły o Polesiu (*Problem etniczny Polesia, Dzisiejsi ludzie Polesia*) opublikował uczeń Bronisława Malinowskiego, Józef Obrębski, którego cały dorobek poleski wydano dopiero w roku 2007²⁰. Jego obserwacje przybrały zupełnie inny kierunek aniżeli to, o czym można było przeczytać w „Ziemii” i co układało się w stereotypowy obraz Polesia jako skansenu pierwotności przyrodniczej i międzyludzkiej. Obrębskiego nie interesowała enklawa kultury archaicznej, ale to, co się z Polesiem działo w czasie, kiedy uczony prowadził tam swoje badania – po kilkunastu latach polskiej państwowości, głębokich zmian ekonomicznych i społecznych. Okazywało się, że stereotypy na temat Polesia całkowicie różniły się z rzeczywistością i utrudniały docieranie do stanu faktycznego.

Zaskakujący był na przykład stosunek Poleszuków do miejsca, w którym żyją: Polesie – jak zauważył badacz – nie jest dla nich ojczyzną w tradycyjnym sensie.

Obserwujemy tu jako objaw masowy ucieczkę od własnej kultury, pogardę i lekceważenie dla swego środowiska, niechęć do własnego bytu. Pod względem stosunku do własnej tradycji i starodawnych wzorów zwyczajowych Poleszuk jest w gruncie rzeczy kompletnym

¹⁸ Tamże, s. 110.

¹⁹ Tamże. Przeciwwstawienie Poleszuków-chłopów i szlachty zaściankowej jeszcze dobitniej zostało zaznaczone w artykule M. Marcza, *Ze spostrzeżeń nad Poleszukami*. O Poleszukach autor pisał: „Któż to jest Poleszuk? Jakiej jest narodowości? On sam tego nie wie i w r. 1931 wpisało się 63% jego współziomków w odpowiedniej rubryce narodowościowej jako <tutejsi>, a więc nie Ukraińcy, nie Białorusy i nie Polacy, choć każda z tych nacji wpisuje ich na swoje konto”. Podkreślał zależność mieszkańców Polesia od „okrutnej, macoszej przyrody” oraz ich stosunek do niej: „apatję i rezygnację” wobec sił natury. Zależność od środowiska naturalnego skutkowałą obojętnością na historię: „Przez cały ciąg pisanych dziejów niejedno ważne wydarzenie zaszło na Polesiu, ale u ludności przeszło bez wrażenia. Lud nie przechował na ogół żadnej tradycji historycznej, przekazywanej z pokolenia na pokolenie”. M. Marcza, *Ze spostrzeżeń nad Poleszukami* „Ziemia” 1935, nr 7, s. 134.

²⁰ J. Obrębski, *Polesie*, red. nauk i wstęp A. Engelking, Warszawa 2007.

zaprzeczeniem tego wizerunku, jaki przypisują mu sąsiedzi. To, co na Polesiu uderza każdego, kto bliżej zetknie się z jego mieszkańcami, to nie konserwatyzm, lecz nowinkarstwo. Ma ono rozległą skalę. Nie ogranicza się do stroju, etykiety, innowacji rekreacyjnych – sięga do norm i zwyczajów prawnych, nie oszczędza języka, manifestuje się nawet w dziedzinie religijnej (sekciarstwo). [...]

Bezpośrednie otoczenie Poleszuka, jego miejsce rodzinne, staje się dla niego czymś, co nadaje mu uciążliwe piętno poleskości, co obarcza go paszportem niższości, glejtem upokorzenia. Jego przynależność etniczna, czy raczej ojczysta, jest dla niego rzeczą wstydliwą i bolesną. To nie jest rzecz na eksport, to nie jest powód do dumy i wyróżnienia. Z tym rodzinnym środowiskiem łączą go węzły rodzinne, warsztat pracy, zabezpieczający minimum egzystencji, niezdolność czy niemożność znalezienia sobie lepszego zabezpieczenia gdzie indziej, ale nie sentyment i przywiązanie, nie poczucie wartości tego, co jest najbliższe²¹.

Brakowi patriotyzmu lokalnego towarzyszy szczególnie rodzaj nostalgii do „cudzych ojczyzn”²². Terenowe badania Obrębskiego przyniosły wiele arcyciekawych obserwacji, omawianie ich jednak zachwiałoby konstrukcją niniejszego wywodu. Wspomnę więc jeszcze tylko o Poleszuchach jako ludności dotkniętej poczuciem krzywdy wobec „narodu państwowego”, co – jak stwierdza Obrębski za Stefanem Czarnowskim – „stanowi decydujący moment zwrotny w powstawaniu wszelkich nacjonalizmów czy patriotyzmów, zwłaszcza u grup i społeczeństw pierwotnych”²³. Fenomen narastającego poczucia krzywdy u Poleszuchów dawał okazję do sformułowania myśli ogólniejszej w odniesieniu do sytuacji, kiedy „obca w stosunku do narodu państwowego grupa etniczna, otoczona jego opieką i obdarowana szeregiem dobrodziejstw cywilizacji i kultury, zdaje się łatwo zapominać o ciężącym na niej długu wdzięczności i w porywie emancypacyjnym zwraca się wreszcie przeciw swoim dobroczyńcom”²⁴. Konkluzja zaś brzmiała:

²¹ Tamże, s. 225-226.

²² Tamże, s. 230.

²³ Tamże, s. 304.

²⁴ Tamże.

Studium Poleszuków sugeruje nam, że tym, co taka grupa etniczna pamięta nierównie silniej, są doznane w trakcie cywilizowania krzywdy i upokorzenia, o których znowu naród państwowy wolałby nie wiedzieć i nie pamiętać²⁵.

Problem zatem polega na tym, że obie strony co innego pamiętają i co innego tabuizują.

W artykułach na łamach „Ziemi” Polesie jest obszarem o szczególnych walorach krajobrazowych, pod wieloma względami specyficznym i unikalnym, ale geograficznie rzecz biorąc jego kontury są zamazane na pograniczu z Podlasiem. W artykule Nałkowskiego, na który już się powoływałam, czytamy:

Podlasie (wraz z południową częścią Mazowsza i północną Małopolski) rozciąga się na zachód od Polesia i w jego pobliżu nosi podobny charakter, który jednak słabnie ku zachodowi. Stąd żyje tu jeszcze wiele ptaków błotnych, których na zachód stąd po lewej stronie Wisły już nie ma²⁶.

Podlasie po części podobne jest do Polesia, podobnie – można dodać – jak brzmieniowo sobie bliskie są nazwy tych obszarów. Nawet jeśli dzisiejsze Podlasie, tożsame z Województwem Podlaskim, inny ma zakres terytorialny niż przedwojenne białostockie, koneksje te nadal pozostają w mocy. Skłaniam się do przypuszczenia, że kiedy w Polsce utworzonej po wojnie zabrakło Polesia, przed wrześniem 1939 roku solidnie już osadzonego w zbiorowej wyobraźni dzięki artykułom prasowym, literaturze, fotografii, piosence, ekwiwalentem poleskich ostępów stało się Podlasie, a precyzyjniej mówiąc Białostoczczyzna²⁷. Zagadnienie to wymaga oczywiście głębszego przemyślenia i opracowania – taką możliwość interpretowania powojennej społecznej wyobraźni geograficznej pragnę tu jedynie zasygnalizować.

²⁵ Tamże.

²⁶ W. Nałkowski, *Polesie* (2), „Ziemia” 1912, nr 43, s. 602.

²⁷ W artykule Władysława Janiszewskiego, *Obraz wsi polskiej w twórczości Wandy Wasilewskiej*, opublikowanym na łamach jednego z nowo założonych w 1944 roku białostockich pism „Jedność Narodowa”, gdzie mowa o *Ojczyźnie*, *Ziemi w jarzmie* i *Płomieniu na bagnach* unika się konkretnego geograficznego. „Realizm”, za które jej utwory są chwalone, odnosi się jedynie do konfliktu między dworem a wsią. „Jedność Narodowa” 1945, nr 13.

Do jej uprawomocnienia mogłyby posłużyć *Taplary z Konopielki* Edwarda Redlińskiego (1973), zdradzające silne pokrewieństwo z poleskim kolorytem: „jak z czubka na wioske patrzeć, jakaż ona maleńka! A bagno szerokie, bez końca, morze”²⁸. Autor dość precyzyjnie zlokalizował powieściową wieś – mają to być okolice Suraza (wśród nazw miejscowych pojawiają się też m.in. Łapy, Białystok, Bokiny, Ryboły) – ale trudno się oprzeć wrażeniu, że intuicyjnie bądź świadomie posłużył się poleską scenerią czy też twórczo wykorzystał powojenną substytucję wsi podlaskiej w miejsce poleskiej jako najodleglejszego od cywilizacji zakątka Polski. Przy czym nie chodziło tu w żadnym razie o szyfrowanie nostalgii za Ziemiąmi Zabranymi, lecz o śmiałość, jak na realia PRL-owskie, krytykę progresywizmu, na którą zresztą wcześniej cenzura nie pozwalała²⁹.

W dyskusji wywołanej *Konopielką* Redliński wprost wyłożył swoje intencje:

To nie jest książka o tym, że idzie nowe. Jest to książka o innym sposobie życia, współbrzmiąca z naszymi wątpliwościami, czy aby nasza droga postępu i cywilizacji jest jedyna i najlepsza. Chciałem przypomnieć wielką przestrzeń kultury plebejskiej, tę o której tak często zapominamy³⁰.

W „wielkiej przestrzeni kultury plebejskiej” Podlasie mogło się bez przeszkód skontaminować z Polesiem, które przed wojną zostało dowartościowane jako raj dla antropologów. Rys poleski w charakterystyce wsi podlaskiej pomagał więc zrewidować oficjalnie obowiązujący pogląd o jej cywilizacyjnym zapóźnieniu w taki sposób, by w niej pokazać ostoję tradycjonalizmu chłopskiego. Gdyby Redlińskiemu zależało na mocniejszym podkreśleniu kolorytu lokalnego, powinien był uczynić *Taplary* wsią prawosławną albo dwuwyznaniową, aczkolwiek trzeba zaznaczyć, że nie przemilczał różnicowania wyznaniowego Białostoczczyzny. Kaziuk, bohater i zarazem narrator powieści, wspomina przelotnie o cerkwi w Rybołach.

²⁸ E. Redliński, *Konopielka*, Warszawa 2003, s. 10.

²⁹ Cenzurowano na przykład doniesienia o niszczeniu środowiska w następstwie industrializacji.

³⁰ E. Redliński, dyskusja *Obraz w locie ustrzelony*, spisał R. Ciemiński, „Tygodnik Kulturalny” 1974, nr 16.

Kościół i cerkiew bezkolizyjnie współtworzą krajobraz kulturowy świata nad Narwią. W Redlińskiego „wielkiej przestrzeni kultury plebejskiej” nie widać konfliktów na tle religijnym. Wszystko wskazuje na to, że Taplarscy są katolikami, ale wędrowny dziad, który nawiedza wieś i straszy mieszkańców przepowiedniami o końcu świata, mógłby być jakimś spóźnionym akolitą Eliasza Klimowicza, czyli proroka Ilii – założyciela prawosławnej sekty na Podlasiu, opisanego przez Włodzimierza Pawluczuka (ur. w Rybołach) w wydanej blisko *Konopielki*, bo w 1974 roku³¹, książce *Wierszalin. Reportaż o końcu świata*. Kwestia zróżnicowania wyznaniowego Podlasia, przedstawiona w *Konopielce* wręcz jako element krajobrazu, dzisiaj nastrocza spore problemy tym, którzy by chcieli skupić mieszkańców regionu wokół wspólnych tradycji. Można by pomyśleć, że tylko za sprawą cenzury kwestie relacji międzywyznaniowych zarysowały się tak bezproblemowo.

Ruscy

Józef Obrębski w swoich studiach antropologiczno-socjologicznych o Polesiu dyskutował z utrzymującym się uparcie stereotypem, jakoby Poleszycy nie mieli żadnej świadomości historycznej. Twierdził, że prawosławni chłopci polescy pamiętają, lecz akurat nie to, co byłoby pożądane z państwowego czy polskiego punktu widzenia. Popelniano błąd, pytając ich o wydarzenia eksponowane w polskiej historii narodowej, a nie starano się dowiedzieć, co im samym utkwilo w pamięci. W opowieściach Poleszuców wypytywanych przez Obrębskiego wyraźną cezurę stanowiło zniesienie pańszczyzny. Czas dzielili na „przed” i „po” tym akcie. Rozważania antropologa, do których materiały zgromadził przed drugą wojną światową, nie tylko się nie zdezaktualizowały, ale znów nabrały znaczenia, odkąd nastąpiła koniunktura na dopuszczanie do głosu wszelkich wykluczonych, w tym chłopów. Pojawiło się wtedy również pytanie o chłopską pamięć i chłopskie doświadczenie historyczne. Na tej fali wypłynęła także podlaska opowieść o bieżenstwie, czyli exodusie ludności miejscowej w głąb Rosji, w związku z szybkim przesuwaniem się frontu Wielkiej Wojny na wschód.

³¹ Przed *Konopielką* ukazała się rozprawa socjologiczna Pawluczuka *Światopogląd jednostki w warunkach rozpadu kultury tradycyjnej* (1972).

W 2015 roku na wiele sposobów celebrowano setną rocznicę wymuszonej ewakuacji. Uruchomiono portal biezenstwo.pl, który m.in. ogłosił konkurs adresowany do potomków bieżeńców: „Jestem, bo wrócili”. W wielu miejscach prezentowano wystawy: „Bieżeństwo (uchodźstwo) 1915. Wspólna historia” (też w holu głównym Sejmu, inicjatywa pośła Eugeniusza Czykwina), „Niezwyczajna historia zwykłych ludzi” (kuratorka: Ewa Moroz-Keczyńska, autorka tekstów: Aneta Prymaka-Oniszk). Powstały spektakle: plenerowy *Bieżeńcy. Exodus* Teatru Dramatycznego im. Aleksandra Węgierki, *Bieżeńcy* Grupy Teatralnej z Muzeum Białoruskiego w Hajnówce pod opieką Joanny Stelmaszuk-Troc, *Bieżeństwo i dzieci* grupy teatralnej „Antrakt” z Bielskiego Domu Kultury. Białoruskie Towarzystwo Historyczne zorganizowało konferencję – *Bieżeństwo 1915 roku w historii i tradycji Białorusinów Podlasia*. Ukazała się książka Doroteusza Fionika, *Bieżeństwo. Droga i powroty 1915-1922*, nad którą autor pracował niestrudzenie od wielu lat. Fionik był też pomysłodawcą wystawy w 1995 roku (*Bieżeństwo – nieznany exodus 1915-1921*).

Nie można powiedzieć, że tematu bieżeństwa nie poruszano publicznie przed 2015 rokiem. I nie tylko dzięki Fionikowi. W 1956 roku ukazały się w „Niwie” pierwsze zapisy wspomnień poświęconych masowej ucieczce. Obchody w 2015 roku miały inny charakter nie tylko dlatego, że imprez było nieporównanie więcej i że nowe media umożliwiały większe nagłośnienie obchodów rocznicy. Różnica między wspominkami ogłoszonymi w 1956 roku a celebrą z 2015 polegała przede wszystkim na tym, że tamte nie przekroczyły granic języka białoruskiego, teraz natomiast bieżeństwo przeniknęło do polszczyzny i miało szansę dotrzeć do polskiej publiczności. Stało się częścią historii regionu, nie zaś wewnętrzną sprawą Białorusinów, o której opowiadali sobie nawzajem w swoim języku.

Stulecie exodusu sprawiło, że rozproszona pamięć rodzinna została podniesiona do rangi pamięci zbiorowej, opuściła krąg prywatności, by nabrać powagi sprawy publicznej. Z jakim efektem? Doroteusz Fionik w rozmowie z Anetą Prymaką-Oniszk nie krył przejęcia:

my na Podlasiu mamy swój własny epos. [...]. Okazało się, że prawosławna społeczność Podlasia ma potrzebę samoidentyfikacji. Potrzebuje mieć jakąś legendę, która połączyłaby wszystkich. Nie mogą

to być powstania czy wojny, bo one nie były <nasze>, choć mnóstwo naszych ludzi w tych wojnach walczyło i ginęło. I w tym roku okazało się, że to właśnie bieżęństwo nas łączy, spaja naszą przeszłość we wspólny los, w jedną opowieść. Że to jest nasza historia³².

„Nasza”, to znaczy różna od polskiej.

W historii Polski jest zabór rosyjski, a zaraz potem odzyskanie niepodległości. A nasza historia jest inna. Czas przed bieżęństwem to wielka stabilizacja – 100 lat bez wojen. Nie licząc powstań; to nie były powstania naszych przodków, oni od powstań uciekali. Najważniejsze było zniesienie pańszczyzny i dalszy rozwój³³.

Bieżęństwo spowodowało, że drogi „naszych” i Polaków rozeszły się jeszcze bardziej po powrocie tych pierwszych w rodzinne strony:

[...] nasi przodkowie wracają z bieżęństwa, wszystko jest spalone i muszą się odbudować. Polacy w większości nie pojechali na bieżęństwo, teraz żyją lepiej. Dodatkowo trzeba się dostosować do warunków dyktowanych przez polski rząd. Ludzie są zdezorientowani, nie rozumieją, dlaczego nasze państwo tak źle się odnosi do naszych potrzeb religijnych, dlaczego na nas tak źle patrzy? I taka sytuacja trwa przez całe międzywojnie. Ludzie czują się obywatelami drugiej kategorii. Owszem, to bez porównania z tym, co działo się za wschodnią granicą, gdzie za religię zabijano. Ale myślę, że określenie *wewnętrzne bieżęństwo* jest w tym czasie właściwe dla Białorusinów z tego obszaru, także dla katolików Białorusinów, którzy się szybko spolonizowali i przyjęli polską opowieść tego okresu³⁴.

Podczas obchodów o bieżęństwie nie mówi się jednym głosem, łatwo też przeoczyć niuanse, które odróżniają poszczególne stanowiska.

³² <https://biezenstwo.pl/co-nam-zostalo-z-biezenstwa/doroteusz-fionik-etnograf-animotor-kultur-y-bialoruskiej-zalozyciel-muzeum-malej-ojczyzny-w-studziwodach/> [dostęp 30.12.2016].

³³ Tamże.

³⁴ Tamże.

Nie brak zresztą i oczywistych kontrowersji. Jeśli Fionik przeciwstawia bieżęństwo historii Polaków, to rozumiemy, że tym samym chodzi mu o historię Białorusinów. Tyle że w jego wypowiedzi „białoruskość” – samo to słowo – wcale nie wysuwa się na plan pierwszy. Zdaje się on szczególnie celebrować zaimki „my” i „nasz” – „nasza historia”, „nasi przodkowie”. Woli mówić o „prawosławnej społeczności Podlasia” niż o Białorusinach. Oczywiście generalnie chodzi mu o Białorusinów, lecz nie o wszystkich w tym samym stopniu; rozróżnia prawosławnych i bardziej podatnych na polonizację katolików. Z tego, co mówi, wynika że pamięć o bieżęństwie polonizację utrudniała.

Prawo do własnej historii, do opowiadania o niej, nie przysługuje każdemu. Trzeba się wylegitymować albo zwycięstwami, albo ofiarami. Bieżęństwo, które kosztowało wiele ofiar z życia i z mienia, pozwala podlaskim Białorusinom warunek ten spełnić. Bieżęństwo pozwala też im symbolicznie odłączyć się od Polaków, doświadczyć czegoś własnego i spektakularnego zarazem, co nie tworzyło polskiej historii. Dzięki bieżęństwu mogą swoją historię podzielić na epokę sprzed i po. Ale nie wszyscy zaangażowani w obchody byli przekonani co do tego, że bieżęństwo może Białorusinom pomóc w ich problemach tożsamościowych. Zwłaszcza ci, którzy podkreślali traumatyczność tych doświadczeń, mieli wątpliwości czy exodus wyzwoli białoruską mniejszość spod polskiej kulturowej dominacji. Pojawiały się nawet głosy, że budowanie tożsamości na traumie właśnie upodabnia Białorusinów do Polaków jako tych, którzy na martyrologii zbudowali swoją narodową tożsamość.

W 2016 roku Aneta Prymaka-Oniszk, podobnie jak Fionik zaangażowana w rozmaite projekty związane z bieżęństwem, w Wydawnictwie Czarne zasłużonym dla literatury reportażowej, opublikowała książkę *Bieżęństwo 1915. Zapomniani uchodźcy*. Dzięki tej publikacji oralne świadectwa białoruskiego exodusu (zachowane w pamięci bądź z pamięci spisane) przybrały formę literacką, dzięki czemu przekroczyły nie tylko granicę między *oral history* a literaturą, lecz również granice lokalne czy regionalne, by zaistnieć w obiegu ogólnopolskim, z realną szansą na dalszą ekspansję.

Książkę Prymaki-Oniszk można czytać na dwa sposoby, skupiając się bądź na pytaniu o lokalną tożsamość w związku z bieżęństwem, bądź na

doświadczeniu uchodźstwa jako szczególnej sytuacji egzystencjalnej. Nie chodzi mi jednak o to, żeby zagadnienia te rozdzielać, gdyż tworzą ciasny splot, lecz jedynie o zabieg porządkujący wrażenia lekturowe. Co do zagadnienia tożsamościowego, to z pewnością uporać się z nim nie jest łatwo. Przystępując do lektury książki o bieżenstwie z medialnym pogłosem jego setnej rocznicy w tle, czytelnik spodziewa się opowieści o Białorusinach. Tymczasem autorce chodzi nie tyle o tożsamość białoruską w ogólności, ile o tożsamość kulturową „wielu osób pochodzących z wschodniej Polski”³⁵, nazywanych tu potocznie nawet i dzisiaj przez miejscowych o katolickich korzeniach „ruskimi”³⁶. Prowadząc poszukiwania biblioteczno-archiwalne Prymaka-Oniszk stwierdza, że wśród uchodźców na wschód w 1915 byli również katolicy Polacy i Litwini, byli Tatarzy, Żydzi, a nawet Niemcy. Zastanawia się więc, dlaczego tylko w rodzinach wyznania prawosławnego zachowała się pamięć o bieżenstwie, inni zaś o niej zapomnieli. Interesuje też ją, co zapamiętano i jak o tym opowiadano, w jakich schematach narracyjnych i formułach została zaklęta opowieść o przeszłości. Powtarzające się motywy i formuły czyniły z wielu wspomnień o bieżenstwie jedną opowieść wspólnotową, składającą się z trzech elementów: ucieczki, pobytu w Rosji („Rasiei”) i powrotu („na hoły kamień”).

Autorka nie chce jednak wejść w rolę białoruskiego Homera, czego życzyłby sobie zapewne Fionik. Nie wykorzystuje potencjału mitotwórczego bieżenstwa, który sam się wręcz narzucał – zaprzeczenia idei narodu wybranego. Nie ogranicza się do punktu widzenia samych bieżenców, do ustnych przekazów. Nie obawia się napisać, że było inaczej niż zapamiętano. Kiedy to, co opowiadają ofiary lub świadkowie bezpośredni i pośredni, można zweryfikować w konfrontacji z innymi źródłami, chce wiedzieć, co i dlaczego zostało przez nich zapomniane.

W książce wielokrotnie powraca obraz niezliczonych wozów ciągniętych na wschód, niekończącego się pochodów ludzi, zwierząt i rzeczy, ale zarazem autorka nie zbija ich wszystkich w jednolicie szarą masę. Ewakuacja nie likwiduje różnic społecznych ani etnicznych. Przeciwnie, jeszcze bardziej je podkreśla. Dla chłopów wiąże się z większym ryzykiem, „panowie” mają więcej środków, by zapanować nad swoim losem.

³⁵ A. Prymaka-Oniszk, *Bieżenstwo 1915. Zapomniani uchodźcy*, Wołowiec 2016, s. 12.

³⁶ Tamże, s. 13-14.

Katolicy z kolei, nawet jeśli są chłopami, częściej mogą liczyć na pomoc charytatywną niż chłopci prawosławni – Polacy szybciej się samoorganizują. Wszyscy uciekinierzy cierpią, ale nie dla wszystkich miara cierpienia jest jednakowa. Polscy uciekinierzy starają się zatrzymać jak najbliżej rodzinnych stron, gdzie mogą liczyć na pomoc „swoich”. Autorka konstatuje:

Rozmach i skala działania polskich organizacji pomocowych robią wrażenie. To nie tylko Centralny Komitet Obywatelski; także Polskie Towarzystwo Pomocy Ofiarom Wojny w Rosji z podobnie jak CKO rozbudowanymi strukturami oraz wiele innych, często lokalnych organizacji. Działają tu niemal wszystkie znaczące polskie partie, pomoc uchodźcom wpisują one do swoich programów³⁷.

Jakże budujące, a jakże zapomniane tradycje obywatelskiej solidarności! Nic dziwnego, że nie przetrwały w polskiej wspólnej pamięci. I nie dlatego, że Polacy mają wrodzone czy nabyte upodobanie do cierpiętnictwa, jak się często słyszy. Odkąd zadekretowano w pojałtańskiej Polsce walkę klas, cenzura miała za zadanie wymiatać z publikacji różnego rodzaju, od prac historycznych po beletrystykę, wszelkie wątki tzw. solidaryzmu społecznego, poczynając od romantycznego „z szlachtą polską polski lud”. Na solidarność, można by sądzić, trzeba było poczekać do „Solidarności”. Nie ukrywam, że kiedy czytam o polskich wątkach w bieżącym czasie moja polska druga natura (pierwsza jest jak u wszystkich – zwierzęca) czuje się mile połączona. Dla kogoś przecież jesteśmy w końcu tymi „lepszymi”, od jeszcze „gorszych” bogatszymi, lepiej zorganizowanymi, trafniej przewidującymi...

W opowieści o bieżącym czasie Polakom przypada rola dla nich nietypowa. Pomagają sobie nawzajem, organizują się, ograniczają straty. Chłopom prawosławnym jest – także w ich własnym przeświadczeniu – trudniej niż katolikom, panom i chłopom. Uważają za grubą niesprawiedliwość to, że wyznając wiarę prawosławną, która przecież „panuje w Imperium Rosyjskim”³⁸, nie doznają z tego tytułu żadnych przywilejów. Katolicy chłopci podczas bieżącego czasu mogli się jeszcze tożsamościowo dookreślić

³⁷ Tamże, s. 141-142, 218.

³⁸ Tamże, s. 99.

przez to, że oferowano im pomoc właśnie jako katolikom. Co więcej, dla wielu z nich katolickość właśnie wtedy zrosła się z polskością³⁹. Jako Polacy-katolicy mieli większe szanse przetrwać i poprawić swój los. Wedle Prymaki-Oniszk, prawosławni uciekinierzy nie otrzymywali takiego wzmocnienia. Ponosili uszczerbek za uszczerbkiem, stratę za stratą. Jako tych gorszych potraktowano ich również wtedy, kiedy w 1918 roku zaczęły powstawać plany reewakuacji. Zgodnie z nimi, aczkolwiek z realizacją było różnie, w pierwszej kolejności mieli wracać do Polski mieszkańcy Królestwa Polskiego z urodzenia, potem ci, którzy tam mieszkali przez 18 lat, wreszcie żydzi i prawosławni⁴⁰. Najdotkliwszą lekcją „gorszości” okazał się zaś powrót do rodzinnej wsi. Wracali spośród wszystkich najdłużej (ostatni dopiero po traktacie ryskim), to im najtrudniej było się wyrwać z bolszewickiej Rosji, a po powrocie nie czekało ich nic prócz poniewierki wśród lepiej urządzonych sąsiadów, nieraz ich własnych krewnych czy powinowatych.

Relacje między pamięcią polską a białoruską stanowią kwestię wymagającą wielu jeszcze badań, ale już teraz można postawić tezę, że bieżąco jest ważne dla społecznej historii regionu między innymi dlatego, że spowodowało radykalne rozdzielenie lokalnych pamięci. Masowy exodus, mniejsza o to, jak i po co wywołany, nie sprawił, że wszyscy uciekinierzy, bez względu na wyznanie i pochodzenie etniczne, stali się szczególnego rodzaju wspólnotą, *communitas*. Wręcz przeciwnie. To wówczas ludzie, którzy przed wojną tworzyli lokalne społeczności, podzielili się/zostali podzieleni wedle kryterium wyznaniowo-etnicznego. Po pierwsze, nie wszyscy wyruszyli w drogę mimo nacisków. Księża namawiali katolików do pozostania na miejscu i wielu ich posłuchało, dobrze na tym wychodząc. Po drugie, prawosławni którzy wrócili po kilku latach w swoje strony, trafiali tam w stanie skrajnej deprywacji, z piętnem tych „gorszych”, zmuszeni zaczynać nowe życie w ekstremalnie trudnych warunkach, wśród tych, którzy mieli „lepiej”.

Aneta Prymaka-Oniszk ani nie miała ambicji stworzenia eposu o bieżąco, ani nie próbowała się wcielać w rolę bezstronnego historyka tego fenomenu. Wobec pokusy, by dać się ponieść żywiołowi opowieści, uruchamiała kulturoznawczą świadomość co do przekazów oralnych,

³⁹ Tamże, s. 193, 194, 195.

⁴⁰ Tamże, s. 225.

mechanizmów obronnych wobec traumy etc. Ciążący na historyku obowiązków zachowania dystansu wobec badanego obiektu uniemożliwiłby jej z kolei zaspokojenie własnych potrzeb związanych z bieżącością – nie poznawczych, lecz bardziej elementarnych, takich jak potrzeba głębokiego zrozumienia i więzi. *Bieżącość* jest najpierw, chociaż nieostentacyjnie, opowieścią o jej babce, Nadziei. Przy czym imię babki, chociaż autentyczne, gra też swoim nieonomastycznym znaczeniem. Bieżący w nieprzebranej masie, są tymi, którzy tracąc wszystko, stracili też nadzieję. Przy życiu nie trzyma ich nic prócz instynktu samozachowawczego, prócz samej maszynologii biologicznej. Wrócą do pełnowartościowego człowieczeństwa, jeśli nadzieję odzyskają. Kto ma nadzieję, potrafi strukturyzować czas, oddzielić przeszłość od teraźniejszości i przyszłości. Bieżąca traci wszystko również w tym sensie, że traci poczucie czasu. Jest skazany na tymczasowość, obezwładniony nadmiarem zdarzeń, których nie rozumie, które go zaskakują, porywają ze sobą bądź miażdżą. Bieżąca w stanie skrajnej depriwacji jest zdolny do wszystkiego, nawet do porzucenia bądź zabicia własnego dziecka, którego przyjście na świat przecież uosabia nadzieję. Babka Nadzieja nie jest Nadzieją tylko z imienia. Autorka książki odnajduje we własnej rodzinie opowieść, wedle której Nadzieja nie pozwoliła odebrać sobie chorego dziecka i dowiozła je – żywe – do rodzinnej wsi.

Bieżącość wyjaśnia wiele z zadawnionych niechęci między mieszkańcami Podlasia wyznania prawosławnego a katolickiego, między „ruskimi” a „polskimi”, Białorusinami a Polakami. Wyjaśnia też – czy raczej nieco oświetla – źródła rusofilii wśród miejscowych prawosławnych jako osobliwy spadek po bieżącości. Jednym z toposów bieżąskich opowieści jest Rosja jako baśniowa kraina mlekiem i miodem płynąca, istny Schlaraffenland. Rozmaicie można ten fenomen tłumaczyć: skłonnością chłopskiej wyobraźni czy też jej podatnością na baśniowe schematy bądź też siłą pierwszego pozytywnego wrażenia, kiedy po niewyobrażalnych trudach podróży bieżący docierali wreszcie do miejsc, gdzie mogli w ludzkich warunkach zjeść, umyć się, wypaść. Takie dwie wykładnie zdają się rysować w książce Anety Prymaki-Oniszk. Dorzuciłabym jeszcze trzecią, bardziej złożoną.

Autorka daje wyraz zdziwieniu, że ci którzy pozostawali w aurze owego toposu nie przyjmowali do wiadomości informacji o ZSRR jako kraju niedoborów. Wydaje się, że bieżący czy zwłaszcza ich potomkowie

mogli być podatni na propagandę komunistyczną o sowieckim raj, bo padała na przygotowany grunt jasnych i soczyście barwnych wspomnień z Rosji. Z kolei polska przedwojenna propaganda antykomunistyczna zapewne dodatkowo ich utwierdzała w przekonaniu, że obrazy zapamiętane przechowują szczerą prawdę o kraju wszelkiej obfitości.

Temat rosyjski w kontekście podlaskim domaga się wielostronnego zbadania, ale i dziś trudno go poruszać nie narażając się na przekroczenia rozmaitych tabu. Mam nadzieję, że jeszcze do niego kiedyś wrócę.

Zainteresowanie bieżenstwem objęło szerokie kręgi publiczności w regionie podlaskim i poza jego granicami nie tylko dlatego, że starania gromadki zapaleńców, których potrzebuje każda społeczna inicjatywa, zostały zwielokrotnione dzięki cyfrowej technologii. Powodem równie ważnym była koincydencja setnej rocznicy exodusu z tzw. kryzysem uchodźczym czy migracyjnym. Dzięki tej koincydencji bieżęncy sprzed wieku mogli wyjść z przechowywanych w rodzinach opowieści na szeroki świat i dołączyć swoje doświadczenie do wspólnej ich puli o zasięgu globalnym. Z nieistotnego, bo nie celebrowanego oficjalnie epizodu zamierzchłej nieomal przeszłości, bieżęństwo przerodziło się w forpocztę terażniejszości. To, co przeżywano w 1915 roku, wróciło do nas pod postacią tłumów uciekinierów z obszarów dzisiaj objętych wojną. Jako forpocztą dzisiejszych mas uchodźczych bieżęncy przestali być „gorsi”, bo stali się nagle mądrzejsi od tych, którzy bieżęństwa nie przeżyli albo nie chcieli czy nie mogli o nim pamiętać.

Ci, którzy przed laty wrócili do swojej wsi za późno, tracąc przez to szansę na lepsze życie i korzystanie z dobrodziejstw modernizacji, z dzisiejszej perspektywy patrząc doświadczyli czegoś, co być może czeka nas wszystkich albo co już nas cichaczem dopadło, tyle że w formie złagodzonej, ideologicznie opakowanej, żeby nie przerażało i nie odbierało apetytu. Bo kim są bieżęncy? Określenie „bieżęństwo” ma źródło w propagandzie rosyjskiej. Autorka książki jest tego świadoma, ale nie szuka innej nazwy, bo tak o sobie mówili również sami bieżęncy. Tak ich nazwano i tak już zostało. Inaczej być zresztą nie mogło. Bo bieżęncy tworzą specjalną kategorię istot żyjących, do której trafia się, gdy z dnia na dzień traci się wszystko⁴¹. Nawet jeśli udaje

⁴¹ Tamże, s. 162.

się zabrać ze sobą trochę mienia ruchomego, jakieś sprzęty, jakąś krowę, nie zmienia to faktu, że nie ma się już nic, bo nie ma ram codzienności, w której cały ten stan posiadania, choćby najskromniejszy, wszystkie rzeczy i sprawy, miały swój porządek, swoje miejsce i sens⁴².

Bieżeństwo skazuje uciekinierów na życie sprowadzone do walki o przetrwanie, tymczasowe, niepewne, bez nadziei. Kiedy autorka opisuje scenę, w której owdowiały chłop grzebie trupa żony razem z żywym niemowlęciem, nie pisze o tym po to, by epatować drastycznymi obrazami. W bieżeństwie zwiększanie własnych szans na przeżycie kosztem szans cudzych, choćby własnego dziecka, nie jest niczym niezwykłym. Do niezwykłych należy sytuacja, kiedy bieżenka ma dość siły i woli, żeby nie zostawić chorego dziecka w obcych rękach czy na stracenie, podczas kiedy przedstawiciel władzy państwowej namawia ją, by to dla swojego dobra uczyniła.

Jeśli zatem zostałeś pozbawiony wszystkiego albo oddałeś wszystko rzekomo dla swojego dobra, żeby zwiększyć swoje szanse przeżycia czy szanse na lepsze życie, aniś się obejrzał – jesteś bieżencem. Bieżeniec znaczy tyle, co kondycja nie-ludzka istoty ludzkiej.

Doroteusz Fionik, który od lat zajmował się bieżeństwem, historyk i muzealnik (założyciel prywatnego Muzeum Małej Ojczyzny w Studziwodach) widział w nim potencjał narodotwórczy. Dlatego mówił o eposie, dlatego przeciwstawiał bieżeństwo polskim powstaniom narodowym. Książka Anety Prymaki-Oniszk prowadzi w innym kierunku. Dla niej również ważna jest wspólnota, ale nie od razu naród wobec innego narodu, jedna wspólnota wyobrażona wobec innej wyobrażonej. Autorka jest kobietą i po kobiecemu snuje swoją opowieść, zaczynając od praktycznego wymiaru życia. Wspólnota wymaga więzi – autentycznych, bezpośrednich, rodzinnych, towarzyskich, sąsiedzkich, społecznych. Autorce przychodzi wyznać, że zbierając opowieści o bieżeństwie miała kłopot z dosłuchaniem się kobiecego głosu, często tłumionego przez męski punkt widzenia, lekceważący życiowe szczegóły, za to podatny na propagandę i przez nią zafałszowany: „Słucham znów więc o tym, jak biali atakują, a czerwoni odstępują”⁴³.

⁴² Tamże, s. 208.

⁴³ Tamże, s. 207.

Okoliczności tak się złożyły, że właśnie książka napisana przez kobietę jest pierwszą na temat bieżenstwa publikacją szerokiego zasięgu. Nie można się z nią nie liczyć. I w związku z tym warto też ją zestawić z wcześniejszymi publikacjami, dotyczącymi kwestii wspólnotowych na Podlasiu. Książka Prymaki-Oniszk z pewnością wchodzi w kolizję z koncepcją białoruskości Sokrata Janowicza, autochtona z wyboru, chociaż dziecka bieżenki, ale też uzupełnia opowieść o białoruskim losie. Oboje autorów zbliża do siebie zagadnienie migracji, lecz i różni zarazem, bo każde z nich opisuje inną migrację. Janowiczowi zależało na tym, żeby pokazać, że Białorusini są na Podlasiu od początku świata, że mają znaczące kulturowe osiągnięcia. Krytycznie odnosił się do urbanizacji, która wyciągała ich ze wsi i pozbawiała białoruskiej tożsamości. Prymaka-Oniszk zajmuje się migracją wymuszoną, niosącą zagładę nie kulturze białoruskiej, ale samemu biologicznemu istnieniu. Janowicz ma do swoich rodaków pretensję, że dla łatwiejszego życia w mieście przestają być sobą. Prymaka-Oniszk ma wobec nich bezmiar empatii, a znając jej opowieść, czytelnik jest skłonny więcej wybaczyć również tym, których chłostał ironią i sarkazmem autor *Wielkiego miasta Białegostoku*. Nic dziwnego, że porzucali rodzinną wieś, skoro widzieli w niej tylko „hoły kamień”.

Autorka *Bieżenstwa* nie stara się osłaniać czytelnika przed stroną koszmarną exodusu, ale nie sięga po apokaliptyczną stylizację, ani tym bardziej po estetykę horroru. Nie nęci jej też możliwość, żeby bieżenstwo sprowadzić do wielkiej traumy, a siebie obsadzić w roli „trzeciego pokolenia”, zmagającego się z traumatycznym doświadczeniem przodków. Jej opowieść jest, mimo wszystkich budzących zgrozę szczegółów, optymistyczna. Nie złożyła jej po to, by sformułować pytanie-oskarżenie czy pytanie-skargę: dlaczego? Ten optymizm wynika stąd, że ktoś jednak przetrwał koniec świata i że koniec świata nie został zapomniany, mimo że opowieści o nim oficjalnie nie podtrzymywano.

Bieżenstwo opowiedziane przez Prymakę-Oniszk nie generuje tożsamości fundowanej na traumie czy martyrologii. Jej sednem jest ruch. Jeśli bieżenicy ruszyli w exodus wystraszeni przez propagandę i popychani przez wojsko niczym bezwolne stada owiec, zresztą przemieszani ze swoim inwentarzem, to z ogarniętej rewolucją Rosji uciekali już na

własną rękę, na mocy własnej decyzji, żeby się ratować. Prymaka-Oniszk podkreśla te akty wyboru. Stara się, by nie przepadły w bezmiarze strat i cierpienia. Białorusini, którzy by czytali *Bieżeństwo*, żeby się dowiedzieć czegoś o sobie w sensie zbiorowym, musieliby wysnuć wnioski, że już nie są skazani na chłopskość. Nie akt zniesienia pańszczyzny, lecz dopiero exodus przyniósł im prawdziwą wolność w znaczeniu możliwości decydowania o sobie – wyboru zawodu, miejsca zamieszkania, prawa do ucieczki. Koszty uzyskania wolności były ogromne: musiał runąć świat, który dotąd znali.

Wcześniej pisałam, że *Bieżeństwo* nie miało być w intencji autorki eposem, ale mimo wszystko poniekąd nim jest. Jest iliadą i odyseją zarazem, opowieścią o wojnie i o powrocie. Nie brak też w nim eposowych *loci*. Bieżeński pociąg, który nie ma nic wspólnego z lokomotywą postępu, śmierć w drodze bez rytualnego pochówku, biały chleb w krainie wszelkiej obfitości, tęsknota za chlebem czarnym, wioskowym...

Z lektury *Bieżeństwa* trudno się otrząsnąć, zwłaszcza jeśli opowieści zapisane przez autorkę rezonują z opowieściami, które sam czytelnik pamięta z rodzinnych rozmów, niezależnie od tego czy bliżej mu do „ruskich” czy do „polskich”. Zresztą Prymace-Oniszk nie zależy na tym, by podziały te utrwalac. Gdzieś w tle jej narracji wyczuwa się tęsknotę za mityczną wspólnotą wszystkich miejscowych sprzed exodusu.

Bieżeństwo stanowi książkę bezcenną dla porządkowania wyobrażeń o przeszłości regionalnej. Przedstawia bowiem moment rozpadu świata, któremu w tej jego części nadawało ramy Imperium Rosyjskie. Dzisiejsze Województwo Podlaskie tym się różni od innych województw, że spora jego część mieściła się w granicach imperium. A zatem jest w granicach dzisiejszej Polski imperium tego resztką. Mniejszość białoruska zamieszkująca dzisiejsze Podlasie, pod jurysdykcją imperialną nie byłaby mniejszością, lecz większością. Z punktu widzenia rosyjskiego prawa Białorusini należeli bowiem do narodu rosyjskiego. Inna rzecz z Polakami, ci mieli status *inorodców*. Kiedy zaś po Wielkiej Wojnie utworzono państwo polskie, powracający z exodusu prawosławni musieli się odnajdywać w rzeczywistości skrajnie innej niż przedwojenna nie tylko dlatego, że stracili wszystko do gołej ziemi, ale też dlatego, że z większości stali się niechcianym *residuum* zniszczonej rzeczywistości imperialnej.

Przed katastrofą

Kto się interesuje prasą regionu podlaskiego, nie może przeoczyć „Gazety Białostockiej” z lat 1912-1915; jest ona jedynym polskim periodykiem wydawanym w Białymstoku u schyłku czasów rozbiorowych.

Unikalność „Gazety” sprawia, że czyta się ją z zaciekawieniem od początku do końca niczym jakieś szcążkowe znalezisko archeologiczne. Wszystko cokolwiek w niej zamieszczono, warto obejrzyć i przeanalizować: od artykułów wstępnych po ogłoszenia reklamowe, od wiadomości z regionu po szarady. Trudno o równie intensywne skupienie na szczegółach, mając do dyspozycji obfitość świadectw prasowych z obchodzącego nas okresu i obszaru, czego zainteresowani przełomem XIX i XX wieku zwykle doświadczają. Prasa bowiem kwitła w tej dobie. Z archeologiczną pieczołowitością potraktowana „Gazeta Białostocka” pozwala odtworzyć po części przynajmniej miejsce, którego była częścią – Białystok i Grodzieńszczyznę, bo taki miała zasięg – miejsce z jego architekturą, komunikacją, instytucjami, strukturą społeczną, stosunkami władzy, patologiami, dniami świątecznymi i codziennością, zamożnością i biedą. Można by więc posiłkując się „Gazetą” uprawiać coś w rodzaju archeologii miejsca, która uwzględniałaby też archeologię świadomości czy mentalności, której periodyk jest zapisem. Chodziłoby w takim przypadku o odsłonięcie bodaj skrawka tego, co umyka uwadze w historii podporządkowanej wielkim liczbom i wielkim spektaklom historycznym⁴⁴.

Zważywszy jednak na czas, w którym „Gazeta Białostocka” wychodziła i okoliczności, w których ustał jej krótki żywot – początek okupacji niemieckiej, warto spróbować odczytać ją inaczej: niczym list włożony do butelki na chwilę przed katastrofą. W numerze 16 z 2/15 sierpnia 1915 roku pojawia się informacja o zajęciu przez Niemców Warszawy („Warszawa wzięta!”⁴⁵). Potem zapada już głucha cisza. W tej perspektywie „Gazeta” znaczy nie tyle ze względu na swoją lokalność, ale raczej jako część większej całości. Przystawała bowiem istnieć, wyprzedzając katastrofę chylącego

⁴⁴ Byłaby to interpretacja w duchu „historii ratowniczej”. Zob. E. Domańska, *Historia ratownicza*, „Teksty Drugie” 2014, nr 5.

⁴⁵ „Gazeta Białostocka” 1915, nr 16 (z 2/15 VIII). W cytatach z omawianego periodyku modernizuję tylko ortografię oraz poprawiam ewidentne błędy druku.

się ku upadkowi Imperium Rosyjskiego i zresztą całego przedwojennego świata, którego Rosja była jednym z filarów. Metafora listu z butelki ma o tyle uzasadnienie, że na łamach „Gazety” znajdujemy sformułowania czy opisy sytuacji ujawniające najpierw katastroficzne nastroje, potem zaś relacjonujące katastrofę *in actu*. W numerze 8 z 1913 roku napotykamy więc taki oto obrazek:

Grono bogaczy nowojorskich kupiło stary statek i wsadziło nań parę niedźwiedzi, kilkanaście gęsi 3 psy, kota i lisa i puścili go na rzekę kilkanaście sążni przed sławnym wodospadem Niagara. Milionerzy amerykańscy chcieli zobaczyć, jak się zachowają zwierzęta w obliczu widocznej śmierci. Na obu brzegach w samochodach zasiedli żądni silnych wrażeń widzowie, wszyscy zbrojni w lornetki. Rozległ się sygnał, statek puszczony przez liny zaczął płynąć, początkowo wolno, a potem coraz prędzej i prędzej dążył ku zgubie, ku zbałwanionym, grzmiącym falom wodospadu. Zwierzęta odczuły od razu grozę położenia. Pomimo zupełnej swobody nie objawiały względem siebie żadnych złych zamiarów. Gdy niebezpieczeństwo stało się całkowicie wyraźnym, wtedy mądre niedźwiedzie i głupie gęsi jedną myślą kierowane, skoczyły do wody i szczęśliwie wylądowały na brzegu. Kot wybiegł na najwyższy maszt i tam napiąwszy grzbiet i nastawiwszy uszy oczekiwał nadejścia wroga. Psy położyły się na pokładzie, były zdecydowane na każdy los, „co ma być to będzie”. Lis, trzęsąc się ze strachu, jak szalony, biegał po całym statku. Chciwi „wrażeń” Amerykanie pożerali oczami ten smutny widok skazanych na śmierć i okropne widowisko zagłady statku⁴⁶.

Zamieszczony w rubryce „To i owo” tekst stanowi skrzyżowanie ciekawostki z gatunku „nie do wiary” i satyry na amerykańskich milionerów, ale mimo takiego sformatowania przebija w nim ton autentycznej grozy i empatii wobec zwierząt poddanych nieludzkiemu eksperymentowi. Nawet jeśli redaktorzy „Gazety” nie mieli takiej intencji, opowiadka o dekadencjach zabawach „bogaczy” współgra ze stale zaznaczającym się na jej łamach od pierwszych numerów wątkiem obawy przed narastającym w świecie

⁴⁶ [b.a], *Barbarzyńcy*, „Gazeta Białostocka” 1913, nr 8 (z 24 II/ 9 III).

konfliktem wojennym na niewyobrażalną skalę⁴⁷. Poruszająca jest też przez to, że intencjonalnie czy samorzutnie odnosi się do biblijnej opowieści o arce Noego. Omnipotentni milionerzy zabawiają się tworząc przewrotną arkę, która nie służy niczyjemu ocaleniu, lecz syci schyłkowy voyeuryzm. Kontrapunktem dla arki à rebours staje się zamieszczone w 11 numerze z 1915 roku alegoryczne opowiadanie Henryka Sienkiewicza *Okręt „Purpura”*, traktujące o śmiertelnym zagrożeniu nazbyt pewnej siebie cywilizacji, które zamieszczono w sąsiedztwie artykułu *Kłęski*, mówiącego o katastrofie spełniającej się od dwunastu miesięcy na obszarze dawnej Polski⁴⁸. Szpalty „Gazety” przenika świadomość globalnej skali wydarzeń. Idzie ku wojnie, co wynika z depesz informujących o coraz to nowych ogniskach zapalnych. Świat – jak prorokują nie tylko zdeklarowani pesymiści – ma się ku końcowi...

Cofnijmy się jednak znad przepaści bodaj na chwilę.

Gazeta polskiej mniejszości

Administracyjnie rzecz biorąc „Gazetę Białostocką” adresowano do mieszkańców Białegostoku i całej guberni grodzieńskiej⁴⁹, peryferyjnej guberni imperium⁵⁰. Ukazywała się oczywiście za zgodą władz rosyjskich, ze stemplem rosyjskiej cenzury. W ostatnim zaś okresie przepustki

⁴⁷ W omawianym numerze zamieszczono również artykuł *Wojna czy pokój?*, którego autor zastanawia się nad ewentualnością wybuchu wojny austriacko-rosyjskiej. Pytanie to pada, kiedy wciąż trwa konflikt na Bałkanach, a niedawno doszło do zatargu rosyjsko-tureckiego.

⁴⁸ Zob. „Gazeta Białostocka” 1915, nr 11 (z 28 VI/ 11 VII).

⁴⁹ Obwód białostocki został przyłączony do guberni grodzieńskiej w 1843 r.

⁵⁰ Perspektywa „imperiologiczna” w badaniach rosjoznawczych stanowi dzisiaj podstawowy paradygmat badawczy. Punkt widzenia Aleksieja Millera, historyka Imperium Rosyjskiego do 1917 roku, historyka cieszącego się uznaniem wśród polskich uczonych, referuje T. Stryjek, *Jakiej debaty o przeszłości potrzebuje Rosja? Aleksiej Miller o narodach, historiografiach i polityce historycznej we współczesnej Europie Wschodniej*, „Rocznik Instytutu Europy Środkowo-Wschodniej” 2010, z. 2. Wśród polskich prac o Imperium Rosyjskim z ostatniego dziesięciolecia warto wymienić: A. Nowak, *Od Imperium do Imperium*, Kraków 2004; H. Głębocki, *Kresy imperium. Szkice i materiały do dziejów polityki Rosji wobec jej peryferii (XVIII-XXI w.)*, Kraków 2006; *Rosja i Europa Wschodnia: „imperiologia” stosowana*, red. A. Nowak, Kraków 2006; A. Nowak, *Ofiary, imperia i historycy. (Studium przypadku od XVIII do XXI wieku)*, Kraków 2009. „Imperiologia” jest z pewnością dziedziną, której postępy warto śledzić prowadząc badania w duchu noworegionalistycznym. Ważne jest bowiem, by wyraźnie zaznaczył się w nich punkt widzenia uwzględniający związek regionalizmu z wewnętrzną polityką imperium.

do publikacji udzielała jej cenzura wojenna, surowsza od pokojowej, co widać po spustoszonych kolumnach poszczególnych numerów z roku 1915.

Z uwagi na administracyjną przynależność Grodzieńszczyzny i obwo-
du białostockiego poprzez lekturę „Gazety” uzyskujemy wgląd nie tylko
w życie lokalne, lecz również w sprawy imperium. Co więcej periodyk
umożliwia nam przystęp do Rosji w niezwykle ciekawym momencie jej
dziejów, i takim, który w stosunkowo niewielkim stopniu oddziałął na
polskie o niej wyobrażenia. Jest to Rosja po przegranej wojnie z Japonią
i po rewolucji 1905 roku, Rosja tzw. „eksperymentu konstytucyjnego”
i projektu modernizacyjnego Piotra Stołypina, Rosja głośnych procesów,
które odbywają się z udziałem ławy przysięgłych, licznych akcji strajko-
wych i pogromów antyżydowskich, Rosja, w której wzmagają się rosyjski
nacjonalizm i rosną w siłę nacjonalizmy w prowincjach, wreszcie Rosja
w przededniu Wielkiej Wojny i w pierwszych latach jej trwania⁵¹.

Od strony imperium patrząc „Gazetę Białostocką” należałoby opisywać
nie jako pismo polskie, lecz polskojęzyczne, przeznaczone dla Polaków,
stanowiących jedną z licznych grup narodowościowych i etnicznych w ów-
czesnej Rosji, zamieszkujących jedną z imperialnych guberni, położonych
z dala od centrum. W „Gazecie Białostockiej” dochodzi do głosu – co sta-
nowi moim zdaniem główny jej walor poznawczy – polskość w wariacie
mniejszościowym, w wariacie, z którego istnienia na ogół nie zdajemy
sobie sprawy, mając w świadomości polskość kresową w odmianie mocnej,
postrzeganej przez pryzmat tradycji romantycznej i sienkiewiczowskiej.
Polskość, która ujawnia się na łamach „Gazety”, jest tamtej nieomal prze-
ciwieństwem. Zasługuje zaś na uwagę, bo ukształtowana w imperium, po
jego upadku i odzyskaniu niepodległości przez Polskę, stała się materialnym
i mentalnym substratem „Polski B”⁵². Wtajemnicza nas więc „Gazeta”
nie w polskość kresową, dumną i nieprzejednaną, wiecznie żywą dzięki
świadectwom artystycznym, lecz peryferyjną, która o tamtej nic zgoła nie
wie, która już nie pamięta, skąd się wzięła i po co, którą pismo białostockie
próbuję energicznie pobudzić do pełniejszego istnienia.

⁵¹ Zob. L. Bazyłow, *Ostatnie lata Rosji carskiej*, wyd. 2, Warszawa 2008, J. Nieścioruk, *Piotr Stołypin. Życie i działalność polityczna*, Lublin 2007.

⁵² O dziedzictwie rozbiorów i zróżnicowaniu stąd wynikającym pisał Eugeniusz Kwiatkowski w książce *Dysproporcje. Rzecz o Polsce przeszłej i obecnej*, Warszawa 1989 (pierwodruk 1932).

Polacy są w ówczesnej Rosji, państwie obszarowo rozległym i ludnościowo zróżnicowanym, żywiołem narodowym o prawach ograniczonych, mniejszością wedle dzisiejszej nomenklatury, etniczną, bo bez państwa poza granicami imperium. Pisze się w „Gazecie” wprawdzie stale o narodzie polskim, lecz trzymając w ryzach wszelkie aspiracje polityczne. Do czasu wszelako. Punkt dojścia podmiotu kolektywnego, który manifestuje się poprzez wypowiedzi prasowe, będzie daleko inny niż punkt wyjścia. Nawet w ostatniej fazie nie przekroczy jednak granic imperialnej legalności.

„Będziemy straszakiem”

Rosja, którą widać w „Gazecie”, sprawia wrażenie państwa prawa, dla Polaków bardzo nieprzychylnego, lecz prawa. Na łamach „Gazety” lat przedwojennych w rubrykach kronikarskich powtarzają się informacje o karach za organizowanie nielegalnego nauczania po polsku⁵³. Mniejszości polskiej bowiem zabrania się nauczania w jej macierzystym języku.⁵⁴ Ale też z rubryk tych można wyłowić wiele informacji o karaniu urzędników państwowych przekraczających swoje uprawnienia.

Dla autorów publikowanych w „Gazecie” artykułów nie ulega kwestii darwinistyczny model relacji społecznych i narodowościowych: w świecie toczy się bezwzględna walka o przetrwanie.

Każdy, kto się dokładnie pozna z historią ludów na kuli ziemskiej, kto się wmyśli w jej sens, musi przyznać, że główną przyczyną wszystkich krwawych walk, wysiłków, trudów – jest chęć utrzymania się przy życiu, chęć wydobycia się z poniżenia, przyswojenie sobie dobra, które w tej chwili należy do innego narodu czy klasy społecznej, aby zwycięzcy było łatwiej żyć i rozmnażać się. I walka to nie tylko orężna; objawia się ona w przemyśle i w handlu, i w oświacie,

⁵³ Na przykład w numerze 4 z 1913 roku podano informację o karze dla gospodarzy, którzy prowadzili tajne nauczanie początkowe po polsku.

⁵⁴ W „Gazecie” znajdujemy też informację o „miłośniku teatru” Jozefie Polińskim, który napisał po polsku komedię *Golarze*. Sztukę wystawić można było jednak tylko po rosyjsku, autor dokonał więc przekładu i w takiej postaci zagrano ją na scenie „Harmonii”, w wykonaniu artystów rosyjskich z Grodna. „Gazeta Białostocka” 1912, nr 1 (z 18 XI/1 XII).

i nawet w świecie duchowym. Ludzie i ludy, które nie chcą walczyć, nie posiadają odpowiednich sił, muszą ginać i ustępować silniejszym, wytrwalszym, lepiej uzbrojonym⁵⁵.

Uwaga ta pojawia się w kontekście zaborczości niemieckiej, ale przecież stosuje się i do rosyjskiej. Polacy, zwyciężeni przez silniejszych, nie mają samodzielnego bytu państwowego. Przegrana nie daje im poczucia moralnej wyższości, ani nie budzi niczyjego współczucia, autora nie wyłączając. Przegrana osłabia i ogłusza, wtrąca w apatię. Słabym można zabrać wszystko – ziemię, język, godność, możliwości rozwoju. I silniejsi bezwzględnie z tego korzystają.

W artykule *Kto my jesteśmy?* autor stwierdza, że polskość dawno przestała być atrakcyjna:

[...] już teraz nie wszyscy, co mówią po polsku, chcą być Polakami, już mamy Litwinów o polskiej kulturze, Białorusinów o polskim języku i wreszcie *touot court* tutejszych... I nie dziw: Polakiem być teraz – to żaden interes, Polak to „inorodiec”, to obywatel drugiej klasy, któremu bardzo wiele „wospreszczajetsa”, a bardzo mało „dozwoleno”⁵⁶.

Z artykułu jasno wynika, że Polacy jako „inorodcy” są obywatelami o ograniczonych prawach i muszą się na to godzić, jeśli nie chcą wejść w kolizję z państwem.

Polaków co gorsza ubywa. Wykruszają się na skutek ożywienia narodowego wśród Litwinów i Białorusinów. Młodzież polska kształcona w szkołach rosyjskich nie zna polskiego dziedzictwa kulturalnego, traci umiejętność mówienia po polsku. Polacy nie tworzą kompletnej struktury społecznej, bo nie mają „klasy średniej”, w związku z tym brak im środków, żeby zapewnić sobie lepsze warunki życiowe. Nie potrafią nawet korzystać z praw, które im przysługują. Rola „Gazety” polega na tym, żeby uświadomić „tutejszym” Polakom, w jakim są położeniu oraz że tkwić w nim dłużej nie mogą, ponieważ rozpętała się „bezkrwawa kulturalna walka narodów”⁵⁷ o przetrwanie.

⁵⁵ *Nasze niedołęstwo fachowe*, „Gazeta Białostocka” 1913, nr 10 (z 10/23 III).

⁵⁶ H. R-ski, *Kto my jesteśmy?*, „Gazeta Białostocka” 1913, nr 5 (z 3/16 II).

⁵⁷ K. Orenda, *Homini longo (kwestia żydowska w Polsce)*, „Gazeta Białostocka” 1913, nr 27 (z 7/20 VII).

Stan, z którego trzeba się wydobyć opisywany jest jako „apatia i senność”, „lenistwo”, „ociężałość i gnuśność”, zubożenie dla spraw wspólnych.

W stolicy guberni, Grodnie, określonym jako „mieścina spod ciemnej gwiazdy” życie polskie – pisze ktoś stamtąd – „ledwie tli się”:

Nadchodzą i przechodzą wielkie rocznice narodowe – nas one nie wzruszają, jakby nas tu nie było... Gdzie indziej wychodzą jednodniówki; u nas o nich głucho. Wszak i pierwsze pismo w guberni, stałe pismo polskie powstaje nie w Grodnie, lecz w Białymstoku. Uświadomienie narodowe – minimalne... [...] Język polski, właściwie nawet nie język, ale żargon tutejszy, słyszy się tu na ulicach rzadko... Ot, miasto czynowników i wojskowych, a w przyszłości – forteca pierwszorzędna⁵⁸.

Ci, którzy nie pamiętają o rocznicach narodowych, sami popadają w zapomnienie. Polacy z innych dzielnic nic o nich nie wiedzą. Autor artykułu *Nieszczęście prowincji* żali się na brak zainteresowania ze strony Warszawy, ale też je usprawiedliwia:

O nas nie tylko zapomniał świat polski, że jesteśmy kość z kości i krew z krwi jego, o nas zapomniała nawet prasa warszawska, której obowiązkiem było i jest obejmować gorącym miłosnym ramieniem całe polskie społeczeństwo bez wyjątku. W prasie warszawskiej nie podawano dawniej o nas żadnych wieści, jak gdybyśmy nie istnieli, jak gdybyśmy nie żyli jedną myślą, jednym sercem z całym krajem. Dopiero w ostatnich czasach, kiedy w Wilnie i Białymstoku powstało kilka polskich gazet, prasa warszawska poczęła nam udzielać po kilka wierszy na swych szpaltach. Może my sami jesteśmy w znacznej części winni temu. Burza dziejowa 1863 roku wymiotła na Litwie prawie wszystkich, co głośniej i szczerzej wierzyli, co w czyn kładli cały swój zapal. Następne pokolenie przyszło pod znakiem klęski – było ono ciche, lękliwe, ustępliwe, do czego w nie-małej mierze przyczyniła się gniotąca administracyjna atmosfera. Było i jest tak ciężko, że nawet „czasy wolnościowe” nie zdołały nas bardzo rozruchać; zamknęliśmy się w domu i w kościele – i skamienieliśmy⁵⁹.

⁵⁸ *Korespondencja*, „Gazeta Białostocka” 1912/ 1 (z 18 XI/1 XII).

⁵⁹ [b.a.], *Nieszczęście prowincji*, „Gazeta Białostocka” 1913, nr 2 (z 13/ 26 I).

Z przytoczonych fragmentów wyłania się polskość słaba, pasywna, apatyczna, od klęski powstania styczniowego – topniejąca, ograniczona do prywatności i rytuałów kościelnych. Autoprezentacja tego rodzaju wynika po pierwsze stąd, że dotyczy zbiorowości mniejszościowej, która musi być ułomna z definicji. Może się bowiem manifestować jedynie w sposób nie budzący niepokoju agend imperium. Po drugie autoprezentacja eksponująca stan zagrożenia służy celom agitacyjnym. Mniejszość przedstawiana jest w negatywnym świetle, żeby pobudzić ją do zmiany, a ściślej rzecz biorąc do samoobrony. Kierunek tych poczynań nie może być sprzeczny z interesami hegemonicznej większości, musi być z nimi zbieżny, a w każdym razie powinien się realizować w granicach oznaczonych przez centrum.

Pobudzenie do aktywności na rzecz wychodzenia z kulturowej zapaści odbywa się w atmosferze zbliżającej się wojny. Polacy w imperium nabierają większego znaczenia jako Słowianie w przewidywanym konflikcie z Niemcami i Austro-Węgrami. Akcenty antyteutońskie zaznaczają się przez wszystkie lata funkcjonowania „Gazety Białostockiej”, zwłaszcza oczywiście w latach wojennych.

Dla opisywanej tu odmiany polskości sytuacją codzienną jest sytuacja zagrożenia i konfliktu, przy czym wrogów przybywa. „Gazeta” przekazuje wieści z przebiegu „wojny kulturowej” w zaborze pruskim⁶⁰. Z kolei na miejscu od lat administracyjnie tłamszony polski patriotyzm, doznaje uszczerbku ze strony młodych agresywnych nacjonalizmów, zwłaszcza litewskiego. Rolą „Gazety Białostockiej” jest nadanie Polakom nowego kierunku, pobudzenie ich do aktywności samorządowej i przedsiębiorczości. Litwinów w „Gazecie” traktuje się wręcz jako renegatów. Na wieść o deklarujących swoją litewskość radnych odezwał się czytelnik „Gazety” z wyjaśnieniem, że jak żyje Litwinów w tych stronach nie widział, ci zaś, którzy się jako radni tak określili, są czystej krwi Mazurami⁶¹. Kiedy indziej mowa o antypolonizmie przejawiającym się między innymi w tym, że Litwini negatywnie oceniają całą wspólną przeszłość. Wspominając unię horodelską autor „Gazety” apeluje do

⁶⁰ W ostatnich latach zajmował się tym zagadnieniem G. Kucharczyk, *Kulturkampf. Walka Berlina z katolicyzmem 1846-1918*, Warszawa 2009.

⁶¹ „Gazeta Białostocka” 1913, nr 11 (z17/30 III).

drugiego z „obojga narodów”, by się rozstać „w pokoju i zgodzie”⁶². Ton pokojowy dominuje też w odniesieniach do „kwestii białoruskiej”. Autor artykułu *My i Białorusini* przypomina o świetnym okresie kultury białoruskiej za Jagiellonów, z aprobatą też pisze o przebudzeniu białoruskim w „czasach tzw. wolnościowych”. „My, Polacy – kończy – naród również upośledzony politycznie i narodowo, tem bardziej możemy zrozumieć i odczuć piękno dążeń białoruskich”⁶³. W omawianym artykule wspomina się również o sprawie żydowskiej jako o jednym z trzech – obok litewskiego i białoruskiego – zagadnień występujących na dawnych ziemiach Rzeczypospolitej, „z gruntu zmieniających stosunek wspólnego pożycia zamieszkujących je narodów”⁶⁴. Topnienie polskości jest z jednej strony efektem polityki państwa wobec Polaków zawsze podejrzewanych o niełojalność⁶⁵, z drugiej – następstwem zmian w rozumieniu pojęcia narodu: jego etniczacji. W związku z tą drugą okolicznością polskość nie tylko kurczy się populacyjnie, ale też w najdosłowniejszym sensie traci grunt pod nogami. Oto bowiem Polacy postrzegani są jako element napływowy, pozostałość po dawnej kolonizacji, stają się „miejscową polską kolonią”. Słyszą: „zdies nie Polska”⁶⁶. Tym samym kwestionuje się ich prawo do „małej ojczyzny”. Nie wychodząc za próg domu, można się stoczyć w przybłędę – upośledzonego pariasa⁶⁷.

Polakiem być – nie jest to żaden interes, ale czy można przestać nim być w sensie etnicznym? Etnicyzacja narodu sprawia, że nie tylko trudniej być Polakiem, ale też i trudniej być, kim by się chciało. „Gazeta” zdaje się przekonywać, że sytuacja nie pozwala na wybór: działać i angażować się albo unikać ryzyka. Uległość nie zapewnia już przetrwania. Kto sam nie podejmuje wyzwań, staje się pionkiem w cudzej grze. Nie ma rady: trzeba nadać sobie znaczenie, żeby być „realną siłą” – narodem nowoczesnym, nie zaś „straszakiem” używanym przez innych wedle ich doraźnych potrzeb⁶⁸.

⁶² „Gazeta Białostocka” 1913, nr 40 (z 6/19 10). O „kwestii litewskiej” zob. L. Sadowski, *Polska inteligencja prowincjonalna i jej ideowe dylematy na przełomie XIX i XX w. (na przykładzie guberni łomżyńskiej, suwalskiej i Białegostoku)*, Warszawa 1988.

⁶³ *My i Białorusini*, „Gazeta Białostocka” 1913, nr 27.

⁶⁴ Tamże.

⁶⁵ M. Haller, *Historia Imperium Rosyjskiego*, przeł. E. Melech i T. Kaczmarek, Warszawa 1997.

⁶⁶ *Sprawy polskie w 1913 roku*, „Gazeta Białostocka” 1914, nr 3.

⁶⁷ Tamże.

⁶⁸ Tamże.

Pora omówić pokrótce „kwestię żydowską” w „Gazecie Białostockiej”, zgłaszając zarazem postulat badawczy, by perspektywę regionalistyczną zastosować szerzej i konsekwentniej w odniesieniu do badań nad światem żydowskim oraz antysemityzmem.

Co do „Gazety” jest to temat na wiele sposobów ważny choćby dlatego, że pomaga zrekonstruować wielowarstwowe tło, na którym potem rozegrają się zbrodnie w Jedwabnem, Radziłowie i innych miejscowościach podlaskich. „Gazeta Białostocka” dostarcza bowiem materiału do analizy antysemityzmu sprzed Zagłady i przejawiającego się w skali regionu, przesłanianego zaś na ogół antysemityzmem w wersji ekstremalnej, o znacznie rozleglejszym zasięgu.

Wojna lokalna

Antysemityzm dochodzący do głosu w peryferyjnej „Gazecie Białostockiej” współbrzmi po pierwsze z antysemityzmem państwowym, którego wyrazem jest restrykcyjne w stosunku do Żydów w imperium prawo zabraniające im zamieszkiwania poza tzw. strefą osiedlenia, po drugie zaś wynika z adaptacji na gruncie miejscowym zainicjowanej w Warszawie akcji bojkotu żydowskiego handlu i rzemiosła. O tym pierwszym, prawnym aspekcie sprawy pisze się często w Białymstoku od strony anegdotycznej. Oto na przykład Żyd Nejman został skierowany przez lekarza na leczenie do Petersburga, po czym wytoczono mu proces z artykułu 63 ustawy karnej „o samowolny pobyt w miejscu, w którym, jako Żyd, nie miał prawa przebywać”⁶⁹. Ale też docierają do czytelników „Gazety” echa głośnego procesu Bejlisa, oskarżonego o mord rytualny⁷⁰.

Propagując z kolei akcję bojkotową, w „Gazecie” tłumaczy się jej genezę i cel⁷¹. Autorzy znów powołują się na prawo, tyle że na prawo walki o byt. W artykule *My musimy* argumentacja na rzecz akcji bojkotowej

⁶⁹ *Czy wolno Żydowi chorować w Petersburgu?*, „Gazeta Białostocka” 1913, nr 9 (z 3/16 III).

⁷⁰ O sprawie Bejlisa zob. A. Polonsky, *Dzieje Żydów w Polsce i Rosji*, przeł. M. Wilk, Warszawa 2014, s. 161-162.

⁷¹ Pierwsza informacja o bojkocie pojawia się w korespondencji z Warszawy z 18 XII 1912 r. jako o akcji trwającej już od kilku tygodni. Punktem zwrotnym w stosunkach polsko żydowskich okazał się wybór warszawskiego posła do IV Dumy Państwowej. Środowiska żydowskie poparły Eugeniusza Jagiełłę, co wywołało polską reakcję w postaci bojkotu. „Gazeta Białostocka” 1912, nr 4.

wspierana jest statystyką. Liczba Żydów w Królestwie Polskim w ciągu stu lat wzrosła dziewięciokrotnie. Ludność chrześcijańska – zalewie 4,5 raza. „Nie my walczymy z Żydami – zapewnia autor artykułu – lecz nasza chęć do życia, nasz głód i nie z Żydami walczymy, ale z każdym, kto na polskiej ziemi odbiera nam jakikolwiek sposób zarobku”⁷². Wątek ten krzyżuje się z agitacją na rzecz podejmowania inicjatyw samoorganizacyjnych, tworzenia stowarzyszeń, kas, spółek... Bojkot w tym kontekście jest pokazywany jako metoda w walce „bezkrwawej”. Inną metodą z tego gatunku są wyłączenia prowadzone przez rząd wobec Polaków w zaborze pruskim.

Z „Gazety” wynika, że bojkot bywa stosowany doraźnie, kiedy chodzi o wymuszenie obniżki ceny jakiegoś asortymentu⁷³. Ale można też tam znaleźć artykuł podsumowujący akcję pobudzania „chrześcijańskiego” handlu. Jego autor otwarcie pisze o całkowitym krachu inicjatywy, która początkowo osiągnęła pewien sukces: powstała znaczna liczba sklepów prowadzonych przez Polaków. Nie dało ich się jednak utrzymać. Jednym z powodów niepowodzenia okazał się sojusz chłopsko-żydowski, co wprowadza nieco komplikacji do stereotypu chłopa jako głównego nosiciela tradycyjnego polskiego antysemityzmu. Chłopi omijali z daleka nowo powstałe sklepy, nieufni wobec rozwiązań, z którymi nie mieli dotąd styczności, przede wszystkim zaś kupowali tam, gdzie było taniej. W rozwoju rodzimej przedsiębiorczości przeszkadzała też obawa przed ryzykiem, co prowadziło do podejmowania inicjatyw naśladowczych wobec tych, które już się sprawdziły⁷⁴.

Rozgrywka o polonizację handlu i rzemiosła toczyła się nie tylko przy ladach sklepowych, ale też między prasą polską a żydowską czy filosemicką. „Gazeta” agitując za bojkotem, musiała zarazem bronić swojego stanowiska wobec kampanii przeciwników. Prasa z drugiej strony „bezkrwawego” – jak twierdzą bojkotowicze – frontu utrzymywała, że bojkot zaledwie krok dzieli od pogromu i akty przemocy nagłaśniała⁷⁵. W „Gazecie” z kolei wyraźnie pilnowano rozgraniczenia jednego od drugiego, a i sam bojkot opisywano jako

⁷² *My musimy*, „Gazeta Białostocka” 1913, nr 25 (z 23 VI/ 6 VII).

⁷³ Zob. korespondencja z Choroszczy, „Gazeta Białostocka” 1913, nr 16.

⁷⁴ *Kilka słów o przemyśle i handlu*, „Gazeta Białostocka” 1913, nr 22.

⁷⁵ W „Gazecie” pisano o pożarze domu Żyda Abrahama Grosmana we wsi pod Wieluniem, w którym zginęła ośmioosobowa rodzina. Prasa żydowska i rosyjska łączyła tę tragedię z „nastrojem bojkotowym”. „Gazeta Białostocka” 1913, nr 23. Analogicznie interpretowano pożar w Modrzejowie. „Gazeta Białostocka” 1913, nr 30.

formę nacisku stosowaną w ostateczności, bo „obniża poczucie humanitarne”⁷⁶. Widać wyraźnie powściągliwość i ostrożność autorów „Gazety” w tej sprawie, przez co jej profil należałoby określić raczej jako endekoidalny niż endecki⁷⁷. Zresztą o antysemityzm w duchu endeckim oskarżano wówczas nawet zawsze tak liberalnego Aleksandra Świętochowskiego⁷⁸.

O Żydach na łamach białostockiego periodyku nie pisze się z pogardą, typową dla szlacheckiego sposobu bycia w minionych stuleciach, ani też nie rozpala się ku nim nienawiści⁷⁹. Niechęć budzi nie żydowskość hermetyczna, lecz Żydzi zasymilowani do kultury rosyjskiej („litwacy”) czy też nacjonalizm żydowski. Obawą napawają ich polityczne aspiracje, przed którymi pole otworzyły wybory samorządowe i wybory do Dumy. Zresztą temat żydowski poruszany na łamach „Gazety” sprowadził na redakcję skuteczny kontratak i spowodował przerwę w jej pracy⁸⁰.

Zbierając wszystkie „kwestie” narodowe, do których odnoszono się na białostockich łamach, stwierdzić trzeba, że polskość peryferyjna stanowi istny kłębek obaw i kompleksów. Nic dziwnego. Żaden to tytuł do chwały, raczej źródło życiowych kłopotów. Trudno też dla niej wskazać jakikolwiek solidny punkt oparcia. Język zamienia się w żargon, młodzież orientuje się na kulturę rosyjską, Litwini i Białorusini rewidują wspólną historię, Żydzi dominują gospodarczo i medialnie... W Królestwie – co więcej – lansuje się pogląd, że Polacy z kresów winni zasilić Polskę etnograficzną⁸¹. Polskość na peryferiach imperium ewidentnie dogorywa i nikomu już chyba nie jest potrzebna.

⁷⁶ Jacek Soplica, *W kwestii żydowskiej*, „Gazeta Białostocka” 1913, nr 28. W artykule cytowanym, będącym polemiką z pismem „Gołos Bielastoka”, autor ukryty pod pseudonimem sygnalizującym jego szlachetne intencje, tłumaczył, że „kwestia żydowska” jest tragedią polskiego życia, bo została wymuszona okolicznościami. Wyjaśniał też, na czym polega różnica w stosunku do Polski zbiorowości żydowskiej i polskiej. Żydzi traktują Polskę jako „prowincję Rosji, Prus lub Austrii”. Jest dla nich zaledwie miejscem zamieszkania. Dla Polaków jest „Ojczyzną”.

⁷⁷ Z ostrożnością pisze się też o kwestiach religijnych. „Gazeta” wspiera rzemiosło „chrześcijańskie”, ale polskiego katolicyzmu specjalnie nie eksponuje ze względu na imperialny, ideologiczny wręcz antykatolicyzm. Wyjątkiem od tej ostrożności jest relacja z pielgrzymki do Częstochowy.

⁷⁸ M. Brykalska, *Aleksander Świętochowski. Biografia*, Warszawa 1987, t. 2, s. 205-207.

⁷⁹ Zob. B. Porter-Szücs, *Gdy nacjonalizm zaczął nienawidzić. Wyobrażenia nowoczesnej polityki w dziewiętnastowiecznej Polsce*, Sejny 2011.

⁸⁰ Komentarz do tej sprawy zamieściła redagowana przez Andrzeja Niemojewskiego „Myśl Niepodległa” 1914, nr 277.

⁸¹ „Gazeta Białostocka” 1914, nr 12.

Samo jednak pozwolenie na wydawanie „Gazety” sygnalizuje, że otworzyła się jakaś furтка dla poprawy statusu żywołu polskiego pod panowaniem rosyjskim. Na czym miałyby polegać zmiana? Centrum nie spieszy się z deklaracjami, dopiero eskalacja działań wojennych wymusza na Petersburgu bardziej wprost formułowane koncesje. Linia frontu wydobywa tereny dawnych ziem polskich z peryferyjności w tym sensie, że ważą się na nich losy uczestników światowego konfliktu. Krótka historia „Gazety Białostockiej” pozwala śledzić dramatyczne losy peryferyjnych obszarów, do których przez dłuższą chwilę mamy dostęp dzięki podjętej przez redakcję próbie ożywienia aktywności obywatelskiej. Próba zostaje przerwana w pół słowa niedługo po odebraniu wieści o zajęciu przez Niemców Warszawy: „fakt ten dopiero z całą pewnością unaocznia nam wypowiedane już na początku wojny przekonanie, że ziemie polskie niemal na całym swym obszarze będą terenem ciągłych przemarszów i walk, że wojna wszędzie zostawi nam niezatarte ślady”⁸². Białostocki prasowy epizod kończy się obrazem „ziemi przechodów”⁸³, w której co i kiedy jeszcze zakiełkuje, trudno doprawdy przewidzieć.

*

Anatol Potemkowski, dziennikarz współpracujący z gazetą „Rzeczpospolita”, wybrał się zaraz po wojnie z Warszawy na Wschód, czyli do Białegostoku. Spotkany przed wyjazdem znajomy spytał go rzeczowo: „A wizy pan już ma?” Nie wiedział, że „Białystok to Polska...”⁸⁴

Było to nie po Wielkiej Wojnie, ale po tej drugiej, jeszcze większej.

Wysiadłszy z pociągu po wielogodzinnej podróży, przybysz skierował się do Śródmieścia. „Wszędzie gruzy... – notował – Brak tylko czerwonych tablic ze skrótem pobożnej inwokacji (Boże odbuduj...) i godłem państwowym poniżej, tak szczerze rozsianych po stolicy, a można by sądzić, że to Warszawa”⁸⁵.

⁸² „Gazeta Białostocka” 1915, nr 16 (z 2/15 VIII).

⁸³ O „ziemi przechodów” pisałam w artykule „Ziemia przechodów”. *Migracje i kultury lokalne w piśmiennictwie polskim XIX-XXI w. Ekskurs*, w: *Nowy regionalizm w badaniach literackich. Badawczy rekonesans i zarys perspektyw*, Kraków 2012, s. 51-63.

⁸⁴ A. Potemkowski, *Jadę... na Wschód*, „Rzeczpospolita” 1945, nr 211.

⁸⁵ Tamże.

XIV. Celebra klęski. Sierpniowe rocznice pod nadzorem

Cóż więc właściwie pozostało z mieszkania? – garstka moich myśli
(S. Kisielewski, *Mieszkanie*)

Powstanie umarłych

Marcin Napiórkowski w zakończeniu swojej opublikowanej niedawno książki *Powstanie umarłych. Historia pamięci 1944-2014*, nad którą pracował dziesięć lat, zastanawia się, czy nie nadto mitrężył z wykonaniem zadania. Autor zdradza więc obawę, że zagadnienie, w którego zbadanie włożył tyle wysiłku, wytraca właśnie swój impet kulturotwórczy. Gdyby teraz szukał tematu – wyznaje – zapewne pomyślałby raczej o żołnierzach wyklętych jako „kluczowym punkcie diagnostycznym” polskiego dyskursu¹. Nie podzielam obiekcji Napiórkowskiego. Jego książka ukazała się w samą porę, pozwala bowiem przemyśleć na nowo kluczowy dla niej konflikt między oficjalną i nieoficjalną pamięcią o powstaniu warszawskim jako kwestię poniekąd zamkniętą, lecz nadal pulsującą życiem².

¹ M. Napiórkowski, *Powstanie umarłych. Historia pamięci 1944-2014*, Warszawa 2016, s. 437.

² Nim pojawił się temat skonfliktowanej pamięci o powstaniu, pisywano o sporach wokół niego. „Powstanie należy rozpatrywać w dwóch wymiarach. Po pierwsze jako fakt jednostkowy, którego konsekwencje były widoczne gołym okiem natychmiast po kapitulacji. Po drugie trzeba sobie uświadomić, że powstanie <żyło> przez lata jako przedmiot sporu politycznego w PRL, a konsekwencje ujawniały się stopniowo przez całe półwiecze”. *O Powstaniu Warszawskim*.

Daje też szansę na wyprowadzenie tematu powstania z matni polskich tylko doświadczeń. Ponieważ autorowi książki pomagają bądź w snuciu refleksji przeszkadzają lektury z dziedziny globalnego *memory boom*, polską rozdwojoną pamięć usytuował wśród wielu innych, przebadanych gdzie indziej tematów związanych z szeroko rozumianą kulturą pamięci.

Powstanie umarłych jest niewątpliwie publikacją godną uwagi przez sam temat i zasięg czasowy problemu, o którym traktuje (bite siedemdziesiąt lat!), wymagałaby też gruntownej dyskusji. Oczywiście tak ogromnej połaci czasu nie da się opisać bez pominięć, skrótów i uproszczeń, zwłaszcza że autorowi zależało na wpisaniu wieloletniego konfliktu pamięci w klarowny schemat interpretacyjny. Oficjalna jej wersja, uważa, została podporządkowana toposowi Pochodu, nieoficjalna – Konduktu.

O ile topos Pochodu nakazuje przekroczenie śmierci, zostawienie trupa za sobą, o tyle topos Konduktu – przeciwnie – sugeruje zwrócenie się wstecz, ku zmarłym, dla symbolicznego odczynienia tego, co się wydarzyło³.

Przywołane toposy umożliwiły autorowi włączenie ideologiczno-politycznej płaszczyzny konfliktu w pojemne ramy różnic kulturowych między stroną nastawioną modernizacyjnie i oponentami o bardziej tradycyjalistycznym podejściu. W jego ujęciu warszawska żałoba

nie mogła zostać dopełniona, gdyż nie pozwalał na to dominujący wzorzec pamięci oficjalnej oparty na toposie Pochodu. Wszystkie praktyki pamięci zostały podporządkowane ideologicznej wizji historii jako nieustannego marszu naprzód⁴.

Z kolei żałoba niedopełniona, tłumiona, „realizowała się poprzez oddolne działania, tworząc rodzaj przeciw-pamięci”⁵.

Próbie operowania kategorią toposu wobec wielości źródeł poddawanych analizie, wypada powitać z uznaniem, co nie znaczy, że z pełną

Z Januszem Marszałcem rozmawia Barbara Polak, „Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej” 2002, nr 8-9, s. 29.

³ M. Napiórkowski, dz. cyt., s. 58-59.

⁴ Tamże, s. 59.

⁵ Tamże.

aprobata wobec rezultatów, jakie przyniosła. Swego czasu przyglądałam się uważniej pogrzebom dziewiętnastowiecznym, które przybierały charakter manifestacji o politycznym znaczeniu, łącząc żałobę z projektowaniem przyszłości⁶. Można by je zatem uznać za kontaminację Konduktu i Pochodu. Napiórkowski stara się czytelnika swojej książki od początku wdroyć do traktowania wymienionych toposów jako figuralnych znaków rozpoznawczych dwóch radykalnie odmiennych praktyk memorialnych, które przez dziesiątki lat nawzajem sobie wadziły. Skutki wyprowadza stąd autor fatalne, acz ujmuje je w tu i ówdzie modnym dziś języku: „polską politykę pamięci zza grobu uprawiają upiory”⁷. Konstatację sformułowaną w trybie metaforycznym poprzedza wyjaśnienie, dlaczego życie publiczne w Polsce po roku 1989 nie toczy się wedle standardów europejskich:

[...] po dwudziestu pięciu latach od obalenia komunizmu żałoba i pamięć nie zyskały wcale mocy umacniania władzy, jaką mają za zwyczaj w innych państwach europejskich. Przeciwnie! Niezdolni ani do odesłania zmarłych z powrotem do grobów, ani do zaprzęgnięcia ich w służbę państwu i władzy, jesteśmy skazani na przeżywanie wciąż od nowa nieprzepracowanej żałoby⁸.

Wyobrażeniem czynnych politycznie upiorów autor nawiązuje do imaginarium popkulturowego horroru, ale – co znamienne – już nie do rodzimego kanonu romantycznego. Gdyby połączył upiory powstańcze z romantycznymi, podejmowałby tezę Marii Janion o PRL-owskim zatrzaśnięciu (się?) kultury polskiej w wyobraźni romantycznej, a ściślej biorąc w jej wersji uproszczonej, krajowej. Autor nie uwydatnił zależności swojej propozycji od wykładni Janionowskiej. Nie dlatego, by próbował ją zataić. Upiory, o których pisał, nie wywodziły się od romantycznych przodków. Przyszły autorowi na myśl zupełnie inną drogą. Upiorna metaforyka znalazła się w jego książce głównie za sprawą impulsu wywołanego lekturą *Sites of Memory, Sites of Mourning. The Great War in European Cultural*

⁶ Zob. E. Dąbrowicz, *Galeria ojców. Autorytet publiczny w literaturze polskiej lat 1800-1861*, Białystok 2009.

⁷ M. Napiórkowski, dz. cyt., s. 26.

⁸ Tamże.

History Jaya Wintera. Amerykański uczony pokazywał, jak Europejczycy radzili sobie z upamiętnieniem masowych ofiar, którymi nowoczesna technologia Wielkiej Wojny zasłała pobojojiska. Lektura wspomnianej rozprawy, skłoniła Napiórkowskiego do postawienia pytania: „Cóż jednak, gdyby istniało społeczeństwo, które doświadczyło wojny totalnej, ale zostało w jakiś sposób odcięte od form jej zbiorowego przepracowania?”⁹. Takie ujęcie problemu wynikało bezpośrednio z referowanego przez autora fragmentu rozważań Wintera. Ten ostatni miał stwierdzić, że gdyby nie wynaleziono adekwatnego do skali wojennych strat ludzkich nowego języka żałoby, nastąpiłoby zjawisko „powrotu umarłych”, czyli „zbiorowy obłęd podkopujący najgłębsze fundamenty cywilizacji i porządku społecznego”¹⁰. Winter rzeczywiście mógłby okazać się tu pomocny, niestety Napiórkowski nie słuchał go z uwagą. Po pierwsze autor *Sites of Memory, Sites of Mourning* podkreślał, że niespotykaną wcześniej cechą ofiar wojny było to, że w znacznej liczbie zostały całkowicie pozbawione ciała/zwłok, przez co nie dawało się ich pogrzebać w tradycyjny sposób. Po drugie figurę „powrotu umarłych”, która została przywołana w książce Napiórkowskiego, zaczerpnął Winter najpierw z filmu Abła Gance’a *J’accuse* (1919), gdzie obraz powstających z pobojojiska zabitych jest projekcją popadającego w szaleństwo żołnierza¹¹. Figura ta ma więc uzasadnienie w analizowanych zapisach doświadczeń wojennych i powojennych. „Powrót umarłych”, o którym pisze Winter, realizuje się m.in. przez renesans spirytyzmu, topiki romantycznej i klasycyzacji, kultu maryjnego... „Nowy język żałoby” tworzono ze starych elementów. Generalnie bowiem uczony rewiduje tezę, że Wielka Wojna dokonała zerwania z przeszłością i otworzyła pole modernizmowi. „Powrót umarłych” u Wintera oznacza więc m.in. powrót do tradycji jako reakcję na spustoszenia wojenne. Jak wcześniej zaznaczyłam, *Sites of Memory, Sites of Mourning*, warto przeczytać, ale przeskok od kultury upamiętniania ofiar pierwszej wojny światowej w Europie Zachodniej do konfliktu pamięci o powstaniu warszawskim mógłby się komu wydać nazbyt karkołomny. Przy takiej operacji bowiem

⁹ Tamże, s. 39.

¹⁰ Tamże.

¹¹ J. Winter, *Sites of Memory, Sites of Mourning. The Great War in European Cultural History*, Cambridge 1995, s. 15-22.

trudno nie zagubić ogniów pośrednich. Bo czy nie należałoby po drodze zapytać, jak pamiętano Wielką Wojnę w Polsce (przeżywaną i wspominaną w Polsce niepodległej z gruntu odmiennie, aniżeli na Zachodzie) albo jakie konflikty pamięci targały społecznościami rozrzuconymi na mapie powojennej Europy?

Lektura *Powstania umarłych* nasuwa wniosek, że wyposażając upiory w moc sprawczą autor nie tyle obnażył „naszą” zbiorową bezradność wobec przeszłości, ile próbował uchylić się przed doprecyzowaniem rezultatów własnej pracy analitycznej. Omawiana książka obfituje bowiem również w konkret sytuacyjny, pokazuje – co jest zresztą największą jej zaletą – jak pamięć oficjalna i opozycyjna sprzęgały się ze sobą, jak były od siebie zależne. Kiedy więc autor, porzucając *ornatus* toposów i metafor, skraca dystans, żeby zobaczyć wybrany moment konfliktu pamięci, obraz natychmiast ulega skomplikowaniu. Przejrzysty układ zawodzi m.in. w odniesieniu do czasów terroru. Problemu nie stanowi już wówczas niedopełniona żałoba, lecz dramat powstańców, którzy przeżyli hekatombę Warszawy, by stać się następnie ofiarami progresywiistów. Szczególnie wstrząsający jest los Jana Rodowicza „Anody”. Z powstania ledwie uszedł z życiem, uczestniczył w pochówkach swoich poległych i ekshumowanych kolegów, a 7 stycznia 1949 roku zginął w niewyjaśnionych do dzisiaj okolicznościach po aresztowaniu przez UB.

Inna komplikacja w czytaniu dziejów konfliktu poprzez skromny pryzmat dwu toposów polega na tym, że niektórzy spośród AK-owców z rozmaitych, zrozumiałych zresztą powodów przyłączyli się do oficjalnego, podporządkowanego interesom komunistów rytu kultywowania pamięci o powstaniu. Lawirowali zatem między Konduktem a Pochodem, co stało się udziałem m.in. Jana Mazurkiewicza „Radosława”. Szczęśliwie toposy Pochodu i Konduktu, które wizualizują się poprzez obrazy tłumu, nie skutkują brakiem zainteresowania autora dla konkretnych ludzi i motywów ich decyzji. Jeśli więc, jak czytamy w autorskich wnioskach, powstania warszawskiego nie udało się po 1989 roku ani zapomnieć, ani w pełni zrytualizować, nie znaczy to bynajmniej, że niezaspokojone w swych żądaniach upiory wykoleiły nam życie publiczne, lecz tyle tylko, że najwidoczniej transformacja ustrojowa stworzyła warunki do aktualizacji PRL-owskiego konfliktu pamięci. Autorowi zresztą myśl ta nie jest obca, kiedy komentuje, tym razem bez użycia upiorów, zakłócające oficjalne obchody

„buczenie” na wojskowych Powązkach, głównym miejscu pamięci: „Oto najwyraźniej znów pewna grupa ludzi nie utożsamia się z obowiązującym porządkiem politycznym. Powstanie warszawskie, które przez cały okres PRL było punktem odniesienia dla oporu przeciw systemowi wyobrażeń i wartości uznawanemu za obcy i narzucony z zewnątrz, piętnaście lat po transformacji znów służy za kamień probierczy i punkt orientacyjny nowej rzeczywistości”¹². Nie upiory zatem, lecz „pewna grupa ludzi”.

Mankamentem książki Napiórkowskiego jest nazbyt zdawkowe potraktowanie obchodów 60-tej rocznicy powstania. Nigdzie nie napisał wprost, że podczas celebry w 2004 roku pamięć spod znaku Konduktu została podniesiona do rangi pamięci oficjalnej, ani że pomogło to Lechowi Kaczyńskiemu w kampanii prezydenckiej z roku 2005. W ujęciu Napiórkowskiego przełomowość tamtych uroczystości polegała na punkcie startowym „nowej polityki pamięci”¹³, co tym się tłumaczyło, że Kaczyński doprowadził do otwarcia Muzeum Powstania Warszawskiego, urządzonego w niepraktykowanej wcześniej u nas formule muzeum narracyjnego. Trzeba by natomiast wprost napisać, że był to moment, w którym Kondukt zatryumfował nad Pochodem, a jego energia została natychmiast wykorzystana politycznie. W analogiczny sposób, odwołując się do wcześniejszych doświadczeń, zagospodarowano później żałobę smoleńską.

1984

Do *Powstania umarłych* odnoszę się tak obszernie tytułem wstępu do tematu cenzurowania pamięci o powstaniu warszawskim. Pamięć oficjalną bowiem, rzecz jasna, skrupulatnie cenzurowano. Nie pozostawało to bez wpływu na opozycyjną.

Napiórkowski wyróżnia rok 1984 jako „apogeum otwartego starcia między pamięcią oficjalną i opozycyjną”¹⁴, kiedy to obchody oficjalne i nieoficjalne przybrały porównywalnie spektakularny charakter i przebiegały

¹² Zob. M. Napiórkowski, dz. cyt., s. 13.

¹³ Tamże, s. 12. Omówienie 60-tej rocznicy pozostawia niedosyt również dlatego, że nie obejmowała jej swoim zakresem chronologicznym wydana wcześniej, zbliżona tematycznie książka Jacka Zygmunta Sawickiego, *Bitwa o prawdę. Historia zmagania o pamięć Powstania Warszawskiego 1944-1989*, Warszawa 2005.

¹⁴ M. Napiórkowski, dz. cyt. s. 307.

całkowicie rozłącznie. Przypadająca na ten rok czterdziesta rocznica wybuchu sierpniowego będzie przedmiotem również mojego zainteresowania jako ważny, bo okrągły jubileusz w schyłkowej fazie PRL-u, przypadający jak na ironię w roku, który powszechnie kojarzono z Orwellową antyutopią¹⁵.

Nb. Orwell zabrał głos na temat wydarzeń powstańczych w Warszawie. W 3 numerze „Kultury” paryskiej z 1983 roku przypomniano jego artykuł *Jak mi się podoba*, w którym w 1944 roku beształ prasę brytyjską za „podłe i tchórzliwe” traktowanie powstania warszawskiego i za prorosyjskość wyspiarskich intelektualistów¹⁶.

Okrągłe rocznice zwykło się obchodzić huczniej aniżeli pozostałe. Stwarzają bowiem organizatorom uroczystości okazję do retrospekcji przeprowadzanych w duchu bieżących potrzeb ideologiczno-politycznych, dając im poczucie panowania nie tylko nad teraźniejszością, ale też nad historią¹⁷. Rocznicą powstańczą – zawsze trudną – w 1984 roku nastęrczała władzom PRL-owskim dodatkowy kłopot przez to, że sąsiadowała z ważniejszą jeszcze dla nich okrągłą rocznicą czterdziestolecia Polski Ludowej, która w rok po zniesieniu stanu wojennego stanowiła karkołomne wręcz wyzwanie propagandowe. Notatka sporządzona w Wydziale Ideologicznym Komitetu Centralnego PZPR świadczy, jak ściśle łączono obie te okazje:

Obchody 40. rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego zbiegają się w czasie z kulminacją obchodów 40. Polski Ludowej, a tym samym są częścią kampanii ideowo-politycznej związanej z jubileuszem ludowej państwowości. Ten fakt nadaje szczególny sens propagandowym przygotowaniom do rocznicy Powstania Warszawskiego¹⁸.

Powstanie 1944 roku od zarania Polski powojennej pełniło ważną rolę w kampaniach „ideowo-politycznych” komunistów. Świadczy o tym

¹⁵ Angielskie wydanie *Nineteen Eighty-Four* ukazało się w 1949 r., pierwszy polski przekład w Paryżu – 1953, w PRL-u – oficjalnie – w 1988.

¹⁶ G. Orwell, *Jak mi się podoba*, „Kultura”, Paryż 1983, nr 3. Zob też artykuł K. Wieszczyk de Oliveira, *O wczesnych relacjach Orwella z Polską*, w: 1984. *Literatura i kultura schyłkowego PRL-u*, red. K. Budrowska, W. Gardocki, E. Jurkowska, Warszawa 2015, s. 45-62.

¹⁷ Temat celebry ważnych z punktu widzenia świadomości zbiorowej rocznic wzbogaca się o wciąż nowe opracowania. Jednym z najświeższych jest książka Krzysztofa Stępnika, *Setna rocznica śmierci księcia Józefa Poniatowskiego w prasie polskiej*, Lublin 2015.

¹⁸ Cyt. za: M. Napiórkowski, dz. cyt., s. 306.

choćby broszura *Obóz reakcji polskiej w latach 1939-1945*¹⁹, wydana w 1948 roku w liczbie trzech tysięcy egzemplarzy i przeznaczona, wbrew pierwotnym planom, jedynie do użytku wewnętrznego²⁰, która „wytyczyła kierunki w propagandzie komunistycznej i historiografii” na okres trwający co najmniej do Października²¹. W świetle wstępnych przymiarek zespołu przygotowującego wspomnianą *Czarną księgę reakcji polskiej*, bo taki pierwotnie nosiła tytuł, spodziewano się po niej druzgocącego wpływu na świadomość zbiorową. Zgromadzone w publikacji dokumenty miały uderzyć niczym „taran” i „przebić nieufność społeczeństwa”²² względem twórców nowego polityczno-społecznego ładu. Powstaniu warszawskiemu nadano tam wszelkie cechy czarno-reakcyjne:

Jedyny i największy wyczyn obozu londyńskiego [...] był podjęty nie przeciw Niemcom a przeciw PKWN-owi i Armii Czerwonej. Powstanie nie utrudniło Niemcom walki z Armią Czerwoną i WP. Na odwrót, Niemcy wynieśli z powstania wyraźną i to dużą korzyść polityczną i wojskową. Niemcy stracili w powstaniu kilka tysięcy żołnierzy (z tego dużo Ukraińców i własowców), wymordowali za to około 100 tysięcy ludności cywilnej i powstańców, zniszczyli miasto, a dzięki kryzysowi moralnemu społeczeństwa osiągnęli prawie pełny spokój na zapleczu swojego frontu do następnej ofensywy. Cały tak szumnie nazywany wkład AK i innych podobnych organizacji w walce z okupantem to sztucznie stworzona i rozdmuchana do wielkich rozmiarów legenda, która przewyższa nawet bluff „czynu zbrojnego” piłsudczyzny.

Reakcja polska nie tylko nie chciała walki z Niemcami, ale walkę prowadzoną przez demokrację polską sabotowała, starała się zdusić wszelkimi dostępnymi środkami terroru, prowokacji, kampanii oszczerstw, nie cofając się dla osiągnięcia swego celu przed współpracą z Niemcami [...]”²³.

¹⁹ Pisał o niej na łamach „Zeszytów Historycznych” M. A. Supruniuk, *Tajne publikacje*, „Zeszyty Historyczne” 1994, nr 107, s. 204-206.

²⁰ J. Kułak, *Wokół Powstania*, „Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej” 2002, nr 8-9.

²¹ Tamże, s. 91.

²² Tamże.

²³ *Obóz reakcji polskiej w latach 1939-1945*, Warszawa 1948, za: J. Kułak, dz. cyt. s. 97.

Autorzy opracowania nie stronili też od wymownych nawiązań do tradycji literackiej: wydarzenia powstańcze uznali za „symboliczne zakończenie” walki toczonej przez „reakcję” z „Demokracją Polską o utrzymanie <okopów Św. Trójcy>”²⁴.

Jarosław Rabiński w książce o zabiegach komunistycznej propagandy stosowanych wobec powstania stwierdza, że komuniści postanowili je wykorzystać do własnych celów, nie mogąc całkowicie zlekceważyć doświadczenia biograficznego pokaźnej liczby Polaków²⁵. „Źródłowa”²⁶ pamięć o powstaniu oczywiście przeszkadzała władzom PRL-owskim, natomiast pamięć w specjalny sposób spreparowana była im – co podkreślam – wręcz niezbędna, rzecz jasna nie zawsze tak samo intensywnie i nie zawsze z tego samego powodu²⁷. Czterdziestolecie powstania warszawskiego stwarza dobrą okazję, by zależności tej przyjrzeć się bliżej, w ostatniej bowiem fazie PRL-u komuniści bardziej nawet niż kiedykolwiek wcześniej potrzebowali sierpniowych retrospekcji. Dlatego właśnie, a nie wyłącznie z powodu koincydencji czasowej, obchody powstańcze musiały być – jak wynika z przytoczonego wcześniej zalecenia Wydziału Ideologicznego – ściśle zestrojone z fetowaniem początku ludowego państwa.

Z powstańca kościuszkowiec

Jaka wykładnia powstania warszawskiego obowiązywała oficjalnie w roku 1984, można bez trudu ustalić, przeglądając ówczesną prasę. Weźmy „Stolicę”, pismo nie należące do pierwszej linii frontu ideologicznego²⁸, wypełniane nieomal w całości problematyką varsavianistyczną, interpretowaną wszelako wedle oficjalnie obowiązującego klucza.

²⁴ Tamże.

²⁵ Zob. J. Rabiński, *Skompromitować powstanie. Zmagania komunistycznej propagandy z Powstaniem warszawskim 1953-1956*, Lublin 2012, s. 52.

²⁶ O pamięci źródłowej piszę przez analogię do kategorii „doświadczenia źródłowego”, którego używa Rabiński, odwołując się do wypowiedzi Tomasza Strzembosza. Tamże.

²⁷ Rozważania o użyteczności powstania z punktu widzenia propagandy komunistycznej w żaden sposób nie wzmacniają tezy o powstaniu jako o stalinowskiej prowokacji, tezy postawionej przez Piotra Zychowicza, *Obłęd '44*, Poznań 2013.

²⁸ Na łamach „Stolicy” w 1956 roku (nr 51) Władysław Bartoszewski opublikował artykuł *Bój o stolicę w świetle liczb. Straty i zdobycze 63 dni*.

Temat powstania ze względu na jego znaczenie w dziejach miasta jest w „Stolicy” eksponowany obficie – nie tylko w corocznych numerach z sierpnia i września.

W numerze 3 z 15 stycznia 1984 roku zamieszczono na jej łamach tekst wspomnieniowy Tadeusza Kropiniewicza, traktujący o powstaniu wprawdzie, lecz w ścisłym powiązaniu z rocznicą tzw. dnia wyzwolenia Warszawy, świętowaną 17 stycznia. Artykuł nosi tytuł *Powrót* i przedstawia biografię powstańca – żołnierza Parasola, który przepławia się przez Wisłę (płynął „ku ocaleniu przez piekło”) i wstępuje w szeregi berlingowców²⁹. Omawiane wspomnienie prezentuje szczęśliwą metamorfozę powstańca w żołnierza-kościuszkowca, aktualizując komplet motywów, które składają się na obowiązującą wówczas interpretację powstania warszawskiego: „Warszawa” [nie AK – dop. E.D.] jako sprawca zrywu, oskarżenie przywódców powstania o zdradę narodowego interesu³⁰, braterstwo broni z żołnierzami Berlinga, którzy się przedarli na lewy brzeg Wisły, rozrzewniające wspomnienie tuszonki, oficer radziecki w typie swojego chłopca, „pod dobrą datą”, który karcni powstańca za to, że nosi hańbiący dla godności Polaka niemiecki mundur, ofensywa styczniowa, przyspieszona na prośbę aliantów, szlak zwycięstwa w pogoni za hitlerowcami, lecz humanitaryzm wobec niemieckich cywilów, zniszczona Warszawa – „zamordowane miasto” i Warszawa zmartwychwstała dzięki

²⁹ T. Kropiniewicz, *Powrót*, „Stolica” 1984, nr 3, (z 15 I). Częścią obchodów czterdziestolecia PRL miało być z kolei odsłonięcie Pomnika Kościuszkowców. O idei oraz fazie prac przypomniano w „Stolicy”. Pomysł monumentu zrodził się w czasie obchodów trzydziestolecia LWP. Konkurs został rozstrzygnięty w 1979 r. Spośród 30 prac wybrano projekt Andrzeja Kastena (dziesięciometrowa statua żołnierza-kościuszkowca w rogatywce z piastowskim orłem, w rozwianej pelerynie, z pepeszą w dłoni. „Żołnierz ten po ciężkich bojach o Pragę dotarł do Wisły i z praskiego brzegu pozdrawia płonąca stolicę dłonią wyciągniętej ręki”. Prace rozpoczęto 7 X 1983 r., odsłonięcie zaplanowano na 14 września – w czterdziestą rocznicę wyzwolenia Pragi przez I Dywizję Piechoty im. Tadeusza Kościuszki, w ramach obchodów 40-lecia PRL. Notatkę kończył apel o pomoc finansową. „Stolica” 1984, nr 19 (z 6 V). W numerze 31 z kolei informowano o wmurowaniu kamienia węgielnego pod pomnik „Poległym w służbie i obronie Polski Ludowej”. „Stolica” 1984, nr 31 (z 29 VII).

Dane biograficzne Kropiniewicza zob. *Powstańcze biografie*, <http://www.1944.pl/powstancze-biografy/tadeusz-kropiniewicz,24519.html>, [dostęp 3. 03. 2017].

³⁰ W znacznie łagodniejszej co prawda niż w końcu lat 40. postaci, bo w formie retorycznego pytania i bez wskazywania na „londyńską klikę”: „[...] czy nasza krew oddana została z pożytkiem dla naszego miasta, czy nie jest ona elementem przetargu w rękach tych, którzy Powstanie wywołali w imię nie znanych nam interesów”. T. Kropiniewicz, dz. cyt.

pierwszej defiladzie w jej ruinach: „Wiem jednak na pewno, że ta nasza defilada powołała Warszawę do życia”³¹.

Powstaniec-kościuszkowiec, któremu „Stolica” udzieliła głosu, chlubi się ponadto powojenną karierą pod skrzydłami generała Michała Roli-Żymierskiego (AL-owskiego odpowiednika Bora-Komorowskiego). W roku 1960 przecięły się bowiem ich drogi zawodowe: Kropiniewicz objął posadę zastępcy dyrektora naczelnego w Banku Handlowym, gdzie zasłużony generał sprawował funkcję prezesa Rady Nadzorczej. Podczas któregoś z obchodów rocznicy wyzwolenia Warszawy Rola-Żymierski poprosił Kropiniewicza o zabranie głosu w imieniu kombatantów, co ten uznał za największy zaszczyt w swoim życiu.

Wspomnienie opublikowane na łamach „Stolicy” układało się w opowieść o warszawiaku ocalonym ze skazanego na zagładę miasta, uratowanym nie tylko w wymiarze biologicznym. Kropiniewicz w porę przepłynął na prawy brzeg Wisły, gdzie dopiero założył polski mundur³² i stanął przed szansą drugiego życia: z uczestnika nieuchronnej katastrofy przemienił się w bohatera i wskrzesiciela Warszawy. Na marginesie dodam, że Jan Rodowicz „Anoda” uszedł z powstania żywy dzięki temu, że berlingowcy przewieźli go na prawy brzeg Wisły. Jak widać nie był to warunek wystarczający, żeby ocaleć. Zabrakło mu woli metamorfozy.

Przedstawiona w „Stolicy” wykładnia, którą dla większego uwiarygodnienia autoryzował były powstaniec, uzasadniała skład organizacji ZBoWiD-owskiej, odkąd znaleźli w niej miejsce również kombatanci AK-owscy³³. Od 1964 roku funkcję wiceprzewodniczącego Zarządu Głównego ZBoWiD sprawował Jan Mazurkiewicz „Radosław”, aresztowany i skazany na dożywocie za czasów stalinowskich, wypuszczony z więzienia po amnestii w 1956 roku, w roku następnym – zrehabilitowany.

³¹ Tamże.

³² Podkreślając wcześniej, że powstaniec miał na sobie mundur niemiecki z daleka nawiązywano do dawnego wątku propagandy dyskredytującej AK jako kolaboranta hitlerowców.

³³ Pomysł łagodnego przejścia z powstania do berlingowców pojawił się już w *Zakazanych piosenkach* w reżyserii L. Buczkowskiego, w ich drugiej wersji z 1948 r. Premiera filmu, który po kilku miesiącach został skierowany do przeróbki, odbyła się w styczniu roku 1947. O cenzurowaniu pierwszego w powojennej Polsce obrazu fabularnego zob. J. Eisler, *Zakazane piosenki*, <http://pamiec.pl/pa/teksty/prawda-czasow-prawda-ek/13155,ZAKAZANE-PIOSENKI-artikul-prof-dr-hab-Jerzego-Eislera.html>, [dostęp 3.03.2017].

Cenzurowanie strony społecznej

W relacji Kropiniewicza nie ma żadnych treści, które naruszałyby schemat propagandowy, obowiązujący w latach 60. czy 70. Karnawał „Solidarności” nie zostawił najmniejszej bodaj szczerby na oficjalnym podejściu do powstania warszawskiego. Również obchodów jego czterdziestolecia najwyraźniej nie zamierzano wykorzystać do zmodyfikowania wersji przez lata uporczywie podtrzymywanej. Próby wprowadzenia do obiegu oficjalnego ujęć nieprawomyślnych rozбивały się o cenzuralną barierę.

W „Przeglądzie Katolickim” na przykład nie dopuszczono do druku listu „byłego urzędnika delegatury rządu londyńskiego, dobrze wprowadzonego w sytuację polityczną jesienią 1944”, który decyzję o powstaniu uważał już wówczas za tragiczną, lecz zasadną. W ślad za argumentacją, że powstanie wybuchłoby niezależnie od woli dowództwa, autor wykazywał, do jakiego stopnia nie mają podstaw snute *ex post* spekulacje na temat „opuszczenia przez żołnierzy AK Warszawy”. Za wręcz „prerażające” uznał stwierdzenie przewodniczącego RK PRON o kontaktach Komendy AK z Abwerą i zawartym między nimi porozumieniu co do powstania. Krytykował „niezmiennie ostrą i jednostronną tonację dyskusji o powstaniu przez całe powojenne czterdziestolecie”. Uważał, że mimo przegranej „powstanie stało się jednym z imponderabiliów narodowych”³⁴. Z materiałów przeznaczonych do „Przeglądu” wyeliminowano inny jeszcze fragment odnoszący się do powstania, gdzie z kolei podkreślano nie jego nieuchronność, jak w omawianym wyżej liście, lecz głęboki sens wydarzeń warszawskich dla przyszłości:

Krew mieszkańców nie była daremna. Ich dynamit miłości Ojczyzny dawał znać o sobie w późniejszych zrywach Polaków dążących stale i nieustraszenie ku tej Polsce, która będzie prawdziwą Ojczyzną i Matką wszystkich Polaków, w której szanować się będzie godność prawa każdego brata-Polaka³⁵.

³⁴ AAN, GUKPPiW, sygn. 1790, teczka 354/26.

³⁵ Tamże.

W kolejnym wykreślonym fragmencie łączono powstanie warszawskie i „cud nad Wisłą”: „nasze sierpniowe rocznice wydają się być związane ofiarą złożoną dla ocalenia kraju przed fizycznym i duchowym zniewoleniem”³⁶.

Z „Niedzieli” i „Nowego Życia” cenzura powycinała rozważania o wyborze daty wybuchu powstania, gdzie dowodzono, że ówczesna sytuacja strategiczna uzasadniała podjęcie działań insurekcyjnych. Nie pozwalał też urząd cenzorski na dyskusję z zarzutem o antyradzieckość dowództwa powstania. Wylimitowano więc uwagę, że strona polska była gotowa do poprawnego ułożenia stosunków z ZSRS, gdyby Rosjanie zgodzili się nas traktować „jako całkowicie niepodległy naród i państwo”³⁷. Usunięto również fragment z przypomnieniem moskiewskiego procesu szesnastu.

Ingerencje cenzorskie w związku z powstaniem nie ograniczyły się jednak w 1984 roku wyłącznie do wyciszenia prób dyskusji nad obrazem przeszłości. W fazę – jak się wydawało – bliską finalizacji weszła bowiem wtedy inicjatywa Komitetu Społecznego Budowy Pomnika Powstania Warszawskiego, zawiązana dla uhonorowania zrywu powstańczego satysfakcjonującego „stronę społeczną”. W przeciwieństwie do oficjalnej interpretacji, wedle której konsekwentnie oddzielano dowódców od zwykłych żołnierzy i cywilów oraz bohaterstwo od zdrowego rozumu politycznego, tym razem zamierzano uświęcić ideę powstania jako walki podjętej w imię niezbywalnego prawa do wolności³⁸.

Pomnik powstania

Urząd cenzury nie decydował oczywiście o tym, jaki pomnik może w Polsce stanąć, ale skrupulatnie kontrolował obieg informacji dotyczących wszelkich form upamiętniania. W *Księżce zapisów i zaleceń GUKPPiW* z lat 70. informowano:

³⁶ Tamże.

³⁷ Tamże.

³⁸ Dzieje pomników związanych z upamiętnieniem powstańców warszawskich mają burzliwy przebieg. Zob. J. Z. Sawicki, dz. cyt.

Nekrologi, inseraty i inne formy w prasie, radio i TV oraz klepsydry itp. zapowiadające różne spotkania na cmentarzach, przy pomnikach, miejscach walk itp. (z okazji rocznicy wybuchu Powstania Warszawskiego, bądź jego poszczególnych epizodów), byłych żołnierzy ugrupowań, oddziałów itp., AK i innych prawicowych organizacji uczestniczących w powstaniu warszawskim *nie mogą być zwalniane do publikacji*³⁹.

Cenzor miał też interweniować w razie, gdyby ktoś chciał nagłośnić sprawę jakiegokolwiek pomnika:

Ze wszystkich środków masowego przekazu należy eliminować wszelkie informacje własne o *planowanych lub prowadzonych budowach pomników*. Usuwać należy również wnioski postulujące wystawianie nowych pomników. Można natomiast zwalniać w ogólnokrajowych i terenowych środkach przekazu informacje dot. budowy lub odsłonięcia nowych pomników wg PAP⁴⁰.

Inicjatywę społeczną na rzecz upamiętnienia wydarzeń warszawskich z roku 1944 wywołał nastrój posierpniowy. 18 listopada 1980 roku na walnym zgromadzeniu Staromiejskiego Koła Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego Marian Pyzel zgłosił projekt uchwały o konieczności budowy Pomnika Powstania Warszawskiego. Postulat, który zrodził się w PTTK, doprowadził do powołania najpierw Społecznego Komitetu Budowy Pomnika, potem Komitetu Honorowego. Po żmudnych rokowaniach z władzami miasta w grudniu 1982 roku uzyskano zgodę na lokalizację monumentu na placu Krasieńskich, 15 lutego 1983 roku ogłoszono konkurs na jego projekt, a ostateczny wynik ogłoszono 3 maja roku 1984. Podczas obchodów 40. rocznicy miał nastąpić akt erekcyjny. Jednak 6 lipca członkowie Komitetu Społecznego zostali zaproszeni do siedziby władz miasta, gdzie kategorycznie postawiono im żądanie zmiany nazwy pomnika. Do przyjęcia był pomnik „bohaterów powstania

³⁹ T. Strzyżewski, *Czarna księga cenzury w dokumentach*, Warszawa 2015, s. 113 [wyróżnienie tekstu za wg zapisu źródłowego].

⁴⁰ Tamże, s. 92 [wyróżnienie – j.w.].

warszawskiego”, ewentualnie „pomnik powstańców”, w żadnym razie – monument „powstania”. Podczas kilku kolejnych spotkań żądanie zmiany nazwy ponawiano, Komitet wciąż odpowiadał odmownie, co spowodowało, że jego działalność 17 lipca zawieszono, powołując Zarząd Tymczasowy pod przewodnictwem generała Jana Mazurkiewicza „Radosława”, generała Edwina Rozłubirskiego i pułkownika Stanisława Komarnickiego. W rezultacie kamień węgielny pod pomnik położono wprawdzie na placu Krasińskich, zgodnie z pierwotnym planem, lecz nie miał z tym nic wspólnego pierwszy inicjator – Komitet Społeczny. Inny też zupełnie projekt dopuszczono do realizacji, która zresztą nastąpiła dopiero w roku 1989. Całą aferę opisał po latach Marian Pyzel (zm. w 2014)⁴¹. W 1984 roku o jej przebiegu opinię publiczną informowano nad wyraz bałamutnie⁴².

Informację o rozstrzygnięciu pierwszego etapu konkursu podano w 1 numerze „Stolicy” z 1984 roku, ale w notatce przebija redakcyjna rezerwa wobec całego zdarzenia. Podkreśla się, że wpłynęło sześćdziesiąt pięć projektów, żaden jednak nie zachwyił jurorów. Stąd też wybrano pięć z nich do drugiego etapu konkursu⁴³. Mimo że sprawa pomnikowa była nadzwyczaj „warszawska”, „Stolica” nie śledziła jej uważnie. Ktoś, kto by polegał wyłącznie na doniesieniach prasowych, biorąc pod uwagę nawet wszystkie dostępne oficjalnie tytuły, miałby kłopot z odtworzeniem przebiegu zdarzeń od momentu, kiedy konkurs ogłoszono do aktu erekcyjnego, dopełnionego w czterdziestą rocznicę. Po drodze bowiem wszystko uległo zmianie: nazwa i skład komitetu, nazwa pomnika, jego

⁴¹ M. Pyzel, *Bitwa o Pomnik Powstania warszawskiego 1944*, Warszawa 1992. Sprawę przypomina Z. Życieński, *O pomnik Powstania Warszawskiego*, „Biuletyn Instytutu Pamięci Narodowej” 2007, t. 7, nr 8-9, s. 184-190.

⁴² Informację o poszczególnych zwrotach akcji od momentu rejestracji Komitetu Społecznego w urzędzie m. st. Warszawy w marcu 1981 r. do wmurowania kamienia węgielnego 31 lipca 1984 r. zrelacjonowano zwięźle na łamach „Kultury” paryskiej, konkludując: „Pomnik Bohaterów Powstania Warszawskiego byłby monumentem cmentarnym, podczas gdy Pomnik Powstania Warszawskiego nie ma być pomnikiem żałoby, bo Polacy nie utożsamiają upadku Powstania z klęską, podobnie jak nie były klęskami porażki wszystkich dotychczasowych powstań narodowych. Żadne z nich nie było wygrane, każde natomiast było szczególnym zwycięstwem idei zachowania tożsamości narodowej i poczucia wolności”. *Pomnik Powstania Warszawskiego*, „Kultura”, Paryż 1984, nr 12, s. 83.

⁴³ „Stolica” 1984, nr 1 (z 1 I).

idea, wreszcie autor projektu przyjętego do realizacji⁴⁴. Prasa wydawana z aprobatą władzy donosiła o losach inicjatywy Komitetu Społecznego skąpo i tendencyjnie, niewykluczone, że wręcz z zamiarem takiego pokierowania uwagą niewtajemniczonego czytelnika, by przeoczył zmianę pierwotnego projektu i sam akt zawłaszczenia społecznej inicjatywy przez gremium dyspozycyjne wobec władzy.

Wypowiedzi w obronie niepokornych inicjatorów upamiętnienia zrywu powstańczego próbowano zamieszczać w prasie katolickiej, lecz padały ofiarą cenzuralnych interwencji. W raporcie miesięcznym z dokonanych cięć cenzorskich czytamy, że w „Przeglądzie Katolickim” dwukrotnie wykreślono komentarz zawierający obawy, że powtórzy się sytuacja z lat 40., kiedy zbierano fundusze na pomnik „powstania”, a skończyło się na postawieniu warszawskiej, enigmatycznej w swoim przesłaniu Nike. Autora zakwestionowanego artykułu niepokoiła również zmiana nazwy pomnika, którego budowę planowano rozpocząć podczas obchodów czterdziestej rocznicy.

Autor sugerował, że gdyby „władze miasta naruszyły zatwierdzony przez siebie statut” Komitetu Budowy i przeforsowały zmianę nazwy pomnika, pozostaje otwartą kwestia zebranych pieniędzy, które ofiarowano na określony cel⁴⁵.

W tym samym „Przeglądzie” nie pozwolono też wydrukować *Listu otwartego w sprawie budowy Pomnika Powstania Warszawskiego*. Jego autorzy – członkowie jury konkursu na projekt monumentu – kwestionowali „zakaz realizacji pomnika”. Do tego bowiem sprowadza się ich zdaniem „arbitralna zmiana nazwy wraz z zakazem działania Społecznego Komitetu”. A przecież – podkreślali – „nie należy do administracji rozstrzygać o słuszności tytułów poczynań społecznych”. Stwierdzali, że „Pomnik Powstania Warszawskiego nie ma być pomnikiem żałoby”, jak byłby nim pomnik Bohaterów, gdyż „Polacy nie utożsamili upadku

⁴⁴ Pierwszy konkurs wygrał student V roku ASP Piotr T. Rzeczkowski, który nie zgodził się na zmianę nazwy monumentu na Pomnik Bohaterów Powstania Warszawskiego. W drugim konkursie, rozpisany w 1984 r. zwyciężył Wincenty Kućma z Krakowa.

⁴⁵ AAN, GUKPPiW, sygn. 1790, teczk. 354/26.

powstania z klęską”. Było ono, tak jak poprzednie powstania, „szczególnym zwycięstwem idei zachowania tożsamości narodowej i poczucia wolności”. To tylko „przez ludzi u władzy” powstanie „było i jest potępiane, wbrew woli i pamięci Polaków”. „Idea budowy Pomnika Powstania Warszawskiego jest jedną z najdobitniej uświadamianych i cierpliwie przechowywanych” (przez całe „czterdziestolecie”), „potrzeb społecznych w sferze dotyczącej zbiorowej woli i pamięci”⁴⁶. Cenzura, eliminująca wszelkie głosy sprzeciwu wobec przeinaczania inicjatywy pomnikowej, umożliwiła stopniowe upaństwowienie aktu upamiętnienia. Komitet Społeczny zmierzał zaś w kierunku skrajnie przeciwnym – chodziło mu właśnie o wyjęcie rocznicy powstania spod monopolu państwowego, by zaświadczyć „społeczną” pamięć o powstaniu, inną aniżeli ta obowiązująca oficjalnie.

Strona społeczna, próbując odwojować powstanie, ustanawiała zupełnie odmienny od forsowanego przez „czynniki” partyjno-rządowe, porządek symboliczny. Sierpień 1944 roku łączyła mianowicie z sierpniem 1980 i powstaniem „Solidarności”.

Oskar Czarnik, który nadał swojej książce o powojennej kulturze literackiej tytuł *Między dwoma sierpniami*, wyjaśniał:

To zestawienie historyczne może wydać się chybione, wręcz nie stosowne ze względu na tak odmienny charakter obu sytuacji. Usprawiedliwieniem dla powyższego porównania jest długotrwałe oddziaływanie wspomnianych wydarzeń na społeczeństwo, na jego późniejsze wybory moralne i polityczne, na kulturę⁴⁷.

Odnosił też dwoistość oddziaływania pamięci o powstaniu.

Niepowodzenie akowskiego planu „Burza”, a zwłaszcza klęska Powstania Warszawskiego pozostały głęboko w pamięci społecznej. Skłoniły niektórych Polaków do rezygnacji z wyznawanych poprzednio ideałów, do rewizji dotychczasowej orientacji politycznej. W ciągu kilku

⁴⁶ Tamże.

⁴⁷ O. S. Czarnik, *Między dwoma sierpniami. Polska kultura literacka w latach 1944-1980*, Warszawa 1993, s. 388.

dziesięcioleci inspirowały do gorzkich rozrachunków, znajdujących wyraz w wielu dziełach artystycznych – zwłaszcza w prozie, poezji i filmie. Istniała jednocześnie wielka, heroiczna legenda Powstania, skłaniająca do zachowania wierności wyznaczonym zasadom – nawet wbrew nowym realiom politycznym⁴⁸.

Trzeba jeszcze dodać, że ów „rozrachunkowy” model odniesień do powstania zaczął się manifestować publicznie wraz z odwilżą i Październikiem, stanowiąc jedyną akceptowaną przez władze komunistyczne formę przywoływania zdarzeń warszawskich z 1944 roku.

Po sierpniu 1980 roku – a zwłaszcza w reakcji na stan wojenny – wzmocnieniu uległa heroiczna interpretacja powstania. W „Kulturze” paryskiej w kronice wydarzeń pt. *Sierpień 1984*, pisano o nieoficjalnych obchodach powstańczej rocznicy, łącząc ją z innymi niewygodnymi dla władz komunistycznych rocznicami: bitwy warszawskiej i właśnie Sierpnia 80. Strona społeczna miała zatem swój – niezależny od oficjalnego – kalendarz obchodów, wypracowała też swoje formy świętowania. W 1984 roku funkcjonowały dwie osobne wersje historii Polski, aktualizowane poprzez akty upamiętniania⁴⁹. Co czcili jedni, tego nie uznawali drudzy. Przy czym wciąż próbowano wprowadzać do obiegu oficjalnego wątki zakazane, co skutkowało łatwymi do przewidzenia ingerencjami. W „Tygodniku Powszechnym” z lipca 1984 roku cenzura nie przepuściła artykułu o „długo przemilczanych” walkach AK o Wilno w lipcu roku 1944. Podkreślano w nim polskość Wileńszczyzny, pisano o patriotycznej postawie miejscowej ludności oraz przekonaniu dowództwa akcji, iż Armia Sowiecka „uszanuje” polskie „umiłowanie Ojczyzny, Jej Wolność, Niepodległość”. Stwierdzano, że dzięki Akcji Burza, wkraczające wojska radzieckie „trafiły na teren oczyszczony z wroga”. Również z „Niedzieli” i „Przeglądu Katolickiego” usunięto wzmianki o nabożeństwach z okazji rocznicy powstania wileńskiego.

Historia w wersji celebrowanej przez stronę społeczną składała się na ogół z wydarzeń odsłanianych spod „białych płam”. Wyjątkiem było powstanie warszawskie, na którym zależało obu stronom. Władza nie

⁴⁸ Tamże.

⁴⁹ AAN, GUKPPiW, sygn. 1792, teczką 354/28, k. 63, 67.

chciała zrezygnować z jego upamiętniania. Upierała się, by je czcić po swojemu⁵⁰. Po swojemu to znaczy jako jubileusz druzgocącej i ostatecznej klęski politycznej.

Ciekawe, że kiedy w III RP nieraz podnosiły się głosy przeciwko chorobliwemu wręcz upodobaniu Polaków do świętowania klęsk, nigdy nie łączono tego narodowego wynaturzenia z utrwalonymi rytuałami PRL-owskimi, lecz raczej z fatalnym wpływem tradycji romantycznej. Zapoznaniu uległa okoliczność, że kiedy na fali odwilży i Października pozwalano o powstaniu warszawskim publicznie mówić, pisać, realizować filmy, odbywało się to na z góry podyktowanych i respektowanych warunkach. Godzono się jedynie na kultywowanie pamięci o powstaniu jako pouczającej czy nawet wręcz odstręczającej klęsce – nie o przegranej, lecz właśnie o klęsce, miażdżącej, bezwzględnej i ostatecznej. Za wprowadzenie powstania do sfery publicznej trzeba było zapłacić zgodą na jego wykładnię jako cierpiętniczego, „romantycznego” absurdu.

Odwilżowy względny kompromis z byłymi AK-owcami zwykle się interpretować jako ustępstwo rządzących wobec rządzonych. Zdecydowanie rządziej zastanawiamy się nad profitami, które dla komunistów wynikły

⁵⁰ Podzielone obchody omawia w internetowej publikacji Edmund Baranowski, ps. „Jur”: „1 sierpnia na Placu Krasińskich wmurowano akt erekcyjny pod pomnik Powstania Warszawskiego. W uroczystości uczestniczyli generał Wojciech Jaruzelski, pułkownik Jan Mazurkiewicz, delegacje Środowisk Powstańczych, Duchowieństwa i tłum mieszkańców Warszawy. W sali kongresowej Pałacu Nauki i Kultury odbyła się uroczysta akademii rocznicowa i koncert. Uczestniczyły Władze Miasta, przedstawiciele MON, ZBoWiD, Stołecznego Komitetu PZPR i delegacje Środowisk powstańczych. Telewizja i radio przekazywały bieżąco relacje z uroczystości. Obchody niezależne rozpoczęła msza w Katedrze, po której kilkutyśięcny tłum przeszedł pod Grób Nieznanego Żołnierza. Złożono wieńce i odśpiewano hymn narodowy. W kościele Św. Anny odbył się koncert „W 40-tą rocznicę Powstania Warszawskiego”, w wielu kościołach warszawskich odprawiono okolicznościowe msze. Na cmentarzu Powązkowskim zgromadziło się ponad 20.000 osób. Masa wieńców i kwiatów pokryła cokół pomnika „Gloria Victis” i groby powstańcze. Odprawiono modły za poległych. Funkcjonariusze SB legitymowali zagraniczne ekipy filmowe i dziennikarzy. Uroczystości rocznicowe odbyły się w wielu miastach Polski. W Warszawie zwołano specjalną sesję Stołecznej Rady Narodowej. Wydano kilka plakatów, Poczta wyemitowała serie znaczków pocztowych o tematyce powstańczej. Obok wielu innych ukazała się książka (mocno kontrowersyjna) *Powstanie Warszawskie* emigracyjnego historyka – powstańca Jana Ciechanowskiego. Środowiska powstańcze brały żywy udział w dyskusjach nad kształtem i nazwą pomnika Powstania Warszawskiego. Komitet Budowy działał pod nowym kierownictwem pułkownika Jana Mazurkiewicza. 40 rocznica Powstania wywołała głośnie echa zagranicą. W USA Kongres przyjął uchwałę, oddającą hołd Powstaniu Warszawskiemu. Prezydent Regan proklamował dzień 1 sierpnia 1944 roku – Dniem Powstania Warszawskiego”. *Kronika rocznic obchodów Powstania Warszawskiego 1944 r.*, oprac. Edmund Baranowski, ps. „Jur”, <http://www.sppw1944.org/index.html?http://www.sppw1944.org/pamiec/kronika.html> [dostęp 27.12.2016].

z samego powstania i z pielęgnowania sfabrykowanej pamięci o powstaniu. Nie tylko nad takimi korzyściami, jak to, że zginęło w powstaniu wielu nastawionych wrogo do nowej sytuacji ludzi, potencjalnych opozycjonistów, czy też to, że nowa władza nie musiała pacyfikować Warszawy, przez lata okupacji nawykłej do samoorganizowania się przeciwko okupantowi i wobec tego trudnej do opanowania.

Warszawa obrócona w gruzy wskutek powstania była dla komunistów wprost bezcenna jako fundament negatywnego mitu założycielskiego. Nowa władza, jak wiadomo, miała wielki kłopot z legitymizacją. Powoływanie się na sojusz polsko-sowiecki definiowało ją jako obcą ekspozyturę. Komuniści zyskiwali na powadze jedynie w zestawieniu ze stroną opozycyjną przedstawianą jako żalosny bankrut. Zniszczona do cna Warszawa dostarczała jedynego w swoim rodzaju argumentu na rzecz politycznej kompromitacji przeciwników⁵¹. Z innej zaś strony patrząc, jeśli trudno było liczyć na społeczny zapał dla budowy nowego ładu na modłę radziecką, to odbudowa stolicy mogła wyzwolić entuzjazm bez oglądania się na partyjne legitymacje. Paradoksalnie więc Warszawa zniszczona oferowała solidną podstawę do wykreowania nowej rzeczywistości. Chodzi tu nie tylko o szansę postawienia miasta „na nowo”, w zgodzie z własnymi przesłankami ideowymi. Także brak zasiedziałyłch mieszkańców otwierał przed władzami nieograniczone wprost możliwości dysponowania pozyskiwanymi nazbyt wolno, ale jednak coraz liczniej mieszkaniem i tworzonymi osadami. Cała nieomal stolica wraz z jej rosnącą populacją, rekonstruowana i budowana od zera, znalazła się w gestii aparatu władzy.

Co zaś do uporczywego trwania komunistów przy ich tradycyjnej wykładni powstania jeszcze w roku 1984, stała za nim nie tylko chęć zademonstrowania siły na przekór widocznych gołym okiem oznak schyłku PRL-u. Z ingerencji cenzuralnych wynika, jak pilnie i systematycznie trzeba było w prasie głośno upominać się o powrót do umów społecznych, czy poddające w wątpliwość legitymizację ekipy generała Jaruzelskiego. Biorąc pod uwagę ten m.in. kontekst, wydaje się że powstanie warszawskie było jej potrzebne nadal właśnie do legitymizacji. Sprawcy stanu wojennego potrzebowali pamięci o klęsce powstania jako uzasadnienia dla własnych

⁵¹ Nie odwoływano się do podobnej argumentacji w związku ze znacznie jeszcze poważniejszymi zniszczeniami – zgruzowaniem do poziomu gruntu – wielkiej połaci miasta po powstaniu w getcie.

decyzji i poczynań⁵², Oni przecież – w odróżnieniu od przywódców zrywu sierpniowego z 1944 roku, którzy zgotowali miastu hekatombę – analogicznej klęsce właśnie zapobiegli.

Pamięć o powstaniu w 1984 roku przywoływana więc była przez obie strony konfliktu, społeczną i rządową, lecz ze skrajnie różną intencją. Dla jednych powstanie należało celebrować jako akt protestu, a pamięć o nim miała umacniać niezgodę na zniewolenie w powojennych warunkach. Dla drugich powstanie oznaczało totalną klęskę, o której pamięć służyła przestrodze, by już nigdy więcej nie podnosić buntu przeciw silniejszemu.

*

W roku 1985, który w Związku Radzieckim przyniósł pierestrojkę i głośność, w oficjalnym obiegu ukazały się dotąd niecenzuralne *Rozważania o wojnie domowej* Pawła Jasienicy, napisane w 1969 roku. Pisarz kończył swój ostatni esej komentarzem do numeru „Le Figaro” z 7 czerwca 1967 roku, w którym wyczytał wiadomość o rekonstrukcji epizodu wojny wandejskiej z inicjatywy mieszkańców trzech lokalnych społeczności. Zachwyciła go nieomal do łez „zasadnicza życzliwość wobec historii jako takiej, wobec całej przeszłości narodu, postawa nie wykluczająca wcale skrajnej nawet różnicy ocen”⁵³. Obyczaje francuskie zyskiwały niewątpliwie na tle praktyk PRL-owskich, które mógł potępić jedynie w domyśle.

Każdemu z nas służyć winna cała paleta barw. Wolno z niej wybierać – jedne tendencje, wydarzenia czy postacie obdarzać różem anielskim, inne czernić. Kto się zdecyduje maczać pędzel w kolorach zbyt przepisowych czy pryncypialnych, uczyni to na własne autorskie ryzyko. Nie wolno tylko zamazywać wapnem, aby w ogóle nie było widać⁵⁴.

⁵² W 1984 roku po raz pierwszy w Polsce ukazała się krytyczna wobec powstania książka Jana Ciechanowskiego, *Powstanie warszawskie. Zarys podłoża politycznego i dyplomatycznego*, wydana pierwotnie w Londynie w 1971 roku. Ciechanowski twierdził, że do wydania polskiego jego dzieła doszło dzięki generałowi Jaruzelskiemu. *Zachód palcem by nie kiwnął – rozmowa z prof. Janem Ciechanowskim*, <http://www.tygodnikprzeklad.pl/zachod-palcem-nie-kiwnal-rozmowa-prof-janem-ciechanowskim/>, [dostęp 27. 27. 2016].

⁵³ P. Jasienica, *Rozważania o wojnie domowej*, Kraków 1985, s. 119.

⁵⁴ Tamże, s. 119.

Trudno powiedzieć, czy Jasienica, gdyby dane było mu osiągnąć wiek matuzalemowy, byłby entuzjastą mnożących się współcześnie grup rekonstrukcyjnych. Z pewnością natomiast musiałby stwierdzić, że długotrwałe ograniczanie swobody wypowiedzi przynosi skutki trudne do przeliczenia, a do odwrócenia wręcz niemożliwe. Zresztą miał tego świadomość, skoro pisał o „zamazywaniu wapnem”, uruchamiając pracę wyobraźni w dwóch kierunkach – przez skojarzenie z powszechnie stosowaną metodą usuwania niecenzuralnych haseł czy symboli w miejscach publicznych i z dołami wapiennymi na bezimienne zwłoki.

Ex post

Nie sposób było ująć w zdania wszystkiego, co dostrzegłam, zrozumiałam, wywnioskowałam wędrując między tekstami, które funkcjonują w obiegu publicznym, wydane w PRL-u i po 1989 roku, a zasobem archiwaliów pozostałych po Głównym Urzędzie Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk. Jeśli wszelako czytelnikowi niniejszej książki udzieli się ruch myśli czy skojarzeń, wywołany krążeniem wśród rozmaitych wypowiedzi i biografii włączonych do moich analiz oraz dywagacji, uznam że cel został w znacznej mierze osiągnięty. Ponieważ jednak każdy ze zgromadzonych w książce szkiców podejmuje rozległe zagadnienie cenzury PRL-owskiej od innej strony, odważę się na kilka ostatnich dopowiedzeń.

Cenzura w PRL-u bez wątpienia wymaga zbadania jako zjawisko historyczne długotrwałe i konstytutywne dla tamtej rzeczywistości, nie tylko polskiej, lecz „demoludowej” czy jeszcze szerzej, „zimnowojennej” (po obu stronach żelaznej kurtyny). Z tej perspektywy patrząc, temat jeszcze długo nie zostanie wyczerpany. Zwłaszcza, gdy zagadnienie cenzury instytucjonalnej łączyć – nie utożsamiając – z mechanizmami tabuizacyjnymi, obecnymi we wszystkich kulturach, niezależnie od ich geopolitycznego i geograficznego położenia. O mechanizmach tych sporo już się dowiedzieliśmy na wszechogarniającej fali zainteresowania pamięcią kulturową.

Cenzurą PRL-u, niech to będzie pierwsza konkluzja, trzeba się zajmować przekraczając granice trudne do pokonania, bo należące do samej istoty ówczesnych realiów; między krajem a emigracją, między światem zachodnim a państwami w sowieckiej strefie wpływów, ale również te wewnętrzne, między krajowym centrum a jego rozmaicie odmierzonymi peryferiami. Z tego względu atrakcyjnym obiektem refleksji jest twórczość pisarzy migrujących. Do tej pojemnej kategorii należą wszyscy literaci, którym poświęciłam nieco więcej uwagi (Stefan Kisielewski, Paweł Jasienica, Tadeusz Konwicki, Eugeniusz Paukszta, Stanisław Cat-Mackiewicz, Leopold Tyrmand, Jarosław Iwaszkiewicz, Sokrat Janowicz...).

Konkluzja druga odnosi się do nie zawsze oczywistego spadku po oficjalnie proklamowanej w 1952 roku Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, którego przyjęcia niestety nie mogliśmy odmówić. „Spadek”

jest wszak tylko metaforą, błędnie zresztą sugerującą, że chodzi jedynie o majątek ruchomy bądź nieruchomy. W istocie zaś dostały nam się po PRL-u nie tylko dobra szeroko pojętej kultury, lecz również dziedzictwo osadzone głębiej – w nawykach myślowych, w odruchach emocjonalnych, w języku codziennym czy mowie ciała. Myślę o kwestiach tak istotnych, jak relacje między rządzącymi i rządzonymi, jak stosunek do normy prawnej, do własności cudzej i własnej, nabytej i straconej, do sfer oficjalnej, publicznej, prywatnej, sąsiedzkiej etc. W odniesieniu do tych wszystkich zagadnień należałoby rozpatrywać kulturotwórczą rolę cenzury, traktując literaturę, prasę i widowiska jako nieocenione źródła do poznania jej działań i skutków, bezpośrednich i oddalonych.

Pisząc o roli kulturotwórczej nie zamierzałam cenzury rehabilitować. W tej sprawie polegam na doświadczeniu pisarzy, którym latami przyszło zmagać się z otamowaniem swobody wypowiedzi. Widzę ich wszystkich jako twórców o zwichniętej karierze, przekonanych, że tracą energię i czas na przedsięwzięcia, które są z konieczności ledwie namiastką tego, na co byłoby ich stać w „normalnych” warunkach. Oczywiście można by powiedzieć, że cenzura przynajmniej niektórym z nich, jak Stefanowi Kisielewskiemu, pozwoliła odkryć talent, jaki w innych okolicznościach może by się nie rozwinął; gdyby nie ograniczenia cenzuralne, Kisiel najprawdopodobniej nie zostałby wyśmienitym felietonistą. Dla mnie jednak ma znaczenie również jego frustracja z tego powodu, że nie dane mu było spełniać się w poważniejszej dziedzinie, a mianowicie w publicystyce politycznej z wyższej półki. Destrukcyjny nadmiar złych emocji u ludzi ambitnych i utalentowanych, zostawiający ślad na piśmie, traktuję również jako skutek kulturotwórczego oddziaływania praktyk cenzuralnych.

Cenzura odcisnęła piętno na pisarskich biografiach, karierach i dziełach. Na biografiach w taki sposób, że współtworzyła tożsamość publiczną pisarzy, narzucając dostępne wzorce sukcesu, skłaniając do ryzykowania niekiedy radykalnych decyzji życiowych. Na tekstach, gdyż zmieniała – dla autora jawnie, dla czytelników pokątnie – sens całości, konstrukcję i styl. Zwłaszcza *Rojsty* stanowią tu poręczną egzemplifikację. Próbowałam pokazać, jak odmiennym dziełem stała się powieść, z której wymazano AK-owską akcję na Wilno. By uzupełnić wątek przepoczwarczenia tekstu, dopowiem jeszcze, że cenzor, co widać w sporządzonym przeze mnie

zestawieniu cytatów, nie zgodził się również na wulgaryzmy w wersji zaproponowanej przez Konwickiego. Na język tak wulgarny jak w *Rojstach* z lat 40. przyszło nam, mówiąc półżartem, poczekać chyba aż do przełomu 1989 roku. Powieść wiele na tej interwencji straciła. Ucierpiał zwłaszcza koloryt lokalny; pierwotnie partyzanci przeklinali z rosyjska. Zubożała również splełtana galimatias groteski. Dzięki ostrzejszym wulgaryzmom rysował się mocniejszy kontrast między stylem niskim codziennej mowy a patriotyczno-romantyczną retoryką. Utwór w pierwotnej wersji był przez to wprawdzie moralnie jeszcze bardziej ambiwalentny, lecz także mocniejszy artystycznie, a tym samym bardziej autentyczny.

I ostatnia konkuzja. Cenzura w PRL-u wskutek jej manipulacji na przeszłości jako z a p i s y w a n e j w s p ó ł c z e ś n i e domenie wiedzy historycznej, pamięci, bezpośredniego doświadczenia rodzinnego i prywatnego, odbierała nam szansę na przedyskutowanie i głębokie przepracowanie tego, co się stało w XX w., mianowicie – bagatela – dwóch wojen światowych. Zadanie cenzorów polegało na tym, by zafałszować przeszłość stosownie do zinstytucjonalizowanego projektu terażniejszości i przyszłości, narzucanego ze wszystkich stron przez komunistów. Ofiarą tej operacji padły konflikty z Rosją, dzieje AK, ale też zróżnicowanie (i skonfliktowanie) etniczne mieszkańców Polski, w tym relacje polsko-żydowskie. Co do tej ostatniej kwestii, cenzura systematycznie wymazywała z tekstów wszelkie ślady polskiego antysemityzmu sprzed Holokaustu i po nim, przyczyniając się do stworzenia z niego poręcznego instrumentu zarządzania nastrojami społecznymi.

Gorzkim spadkiem po PRL-u są zatem nieprzenicowane, nieprzetrawione w swoim czasie problemy związane ze świadomością oraz identyfikacją zbiorową. Nie jest to rzecz błaha, bo dzisiaj utrudniająca na przykład integrację europejską, nie mówiąc o wewnętrznej, obywatelskiej, spójności państwa. Widać ten problem w oporach, jakie napotyka próba włączenia się do wspólnej, europejskiej czy globalnej pamięci o Holokauście. Ale nie tylko to. Podobne problemy nastęrcza przemyślenie od nowa choćby Wielkiej Wojny. Dopiero teraz, kiedy instytucjonalna cenzura nie przeszkadza postawieniu tematu na forum publicznym, okazuje się, z jak trudną materią mamy do czynienia. Wielka Wojna na Zachodzie była czymś radykalnie innym aniżeli na Wschodzie: po jednej stronie

poraża wyobraźnię prawie milionowa żołnierska masakra pod Verdun, po drugiej bieżąca, które dotknęło miliony cywilów. Rzecz nie tylko w tym, by uzupełnić wiedzę odnośnie do zagadnień tabuizowanych czy marginalizowanych. O wydarzeniach tych musimy się nauczyć myśleć w związku z aktualnymi doświadczeniami zbiorowymi.

Marzy mi się, aby badania nad cenzurą, jej przemianami i funkcjami, pomogły nam złe dziedzictwo przemilczeń, zniekształceń, wmówień zdjąć z oczu.

Nota bibliograficzna:

Książka niniejsza powstała na kanwie artykułów opublikowanych wcześniej w książkach zbiorowych i czasopismach. Zmiany, które w nich wprowadziłam – niekiedy głębokie – wynikały nie tylko z aktualizacji stanu badań, ale też stanowiły konsekwencję pracy nad scalaniem rozproszonych, pisanych w różnym czasie tekstów.

Pierwsza wersja szkicu pierwszego i drugiego ukazała się pt. „*Jakieś zwycięstwo*”. *Cenzura w PRL-u – post factum*, w: *Literatura w granicach prawa*, red. K. Budrowska, E. Dąbrowicz, M. Lul, Warszawa 2013.

Szkic trzeci jest nieco poprawioną wersją artykułu pt. „*Zdezaktualizowane. Na marginesie „wykazu książek podlegających niezwłóchnemu wycofaniu*”, „*Folia Litteraria Polonica*” 2013, nr 1.

Czwarty został oparty na materiale, który wykorzystałam w publikacji *Pisarz na dorobku. Cenzuralne losy „Białego frontu” Pawła Jasienicy*, w: *Lancetem, a nie maczugą. Cenzura wobec literatury i jej twórców w latach 1945-1965*, red. K. Budrowska, M. Woźniak-Łabieniec, Warszawa 2012.

Piąty stanowi uzupełnioną wersję artykułu zatytułowanego identycznie „*Rojsty*” 1956 / 2010. *Kilka uwag o piętnie sprawczym cenzury*, „*Sztuka Edycji*” 2015, nr 1.

Szósty niewiele się różni od pierwodruku „*Litwini*”. *Okoliczności powojennego debiutu*, „*Wschodni Rocznik Humanistyczny*” 2014, t. 10 oraz w: *Kariera pisarza w PRL-u*, red. M. Budnik, K. Budrowska, E. Dąbrowicz Warszawa 2015.

Siódmy ma sporo wspólnego z artykułem *Biurokracja i klika przy władzy. Wokół dyskursu odwilżowego*, w: *Obrazy władzy w literaturze, teatrze i filmie. Studia*, red. M. Mazur, S. Ligarski, Warszawa 2015.

Ósmy przed poprawkami nosił tytuł *Co się stało Panu Mackiewiczowi. Pisarz i cenzura*, w: *Stanisław Mackiewicz – pisarz polityczny*, red. R. Habielski, K. Kamińska-Chełminiak Warszawa 2015.

Dziewiąty stanowi przemyślaną jeszcze raz wersję artykułu *Cenzura a mobilność zagraniczna pisarzy. Wokół „Porachunków osobistych” Leopolda Tyrmanda*, w: „*Sztuka czytania między wierszami*”. *Cenzura w komunikacji literackiej w Polsce w latach 1965-1989*, red. K. Budrowska i M. Kotowska-Kachel, Warszawa 2016.

Dziesiąty jest bliski tekstowi *Migracje regionalne jako problem biografistyki naukowej. Wstępne rozpoznania*, w: *Region a tożsamości transgraniczne. Literatura. Miejsca. Translokacje*, red. D. Zawadzka, M. Mikołajczak, K. Sawicka-Mierzyńska, Kraków 2016, s. 54-70.

Jedenasty różni się od artykułu *Miasto bez... Kilka uwag o białostockiej pamięci tabuizowanej*, „Białostockie Studia Literaturoznawcze” 2016, nr 8, s. 51-69 lepszą koordynacją językową.

Dwunasty przed weryfikacją ukazał się jako *Naród w jednej osobie*, w: *Sokrat Janowicz. Pisarz transgraniczny. Studia, wspomnienia, materiały*, red. G. Charytoniuk-Michiej, K. Sawicka-Mierzyńska, D. Zawadzka, Białystok 2014.

W trzynastym wykorzystałam fragmenty publikacji *Peryferie imperium. „Gazeta Białostocka” 1912-1915*, w: *Centra – peryferie w literaturze polskiej XX i XXI wieku*, red. W. Browarny, D. Lisak-Gębala, E. Rybicka, Kraków 2015, ale większa jego część nie była wcześniej drukowana.

Czternasty jest mocno zmienioną i rozbudowaną wersją artykułu *Trudna rocznica. Cenzura wobec pamięci o powstaniu warszawskim w 1984 roku*, w: *1984. Literatura i kultura schyłkowego PRL-u*, red. K. Budrowska, W. Gardocki, E. Jurkowska, Warszawa 2015, s. 285-300.

Bibliografia (wybór)

Assmann A., *Między historią a pamięcią. Antologia*, red. nauk. i posłowie M. Saryusz-Wolska, Warszawa 2013

Baczko B., *Jak wyjść z Terroru. Termidor a Rewolucja*, przeł. W. Dłuski, Gdańsk 2005

Bringing the Dark Past to Light. The Reception of the Holocaust In Postcommunist Europe, ed. J.-P. Himka, J.B. Michlick, University of Nebraska 2013

Budrowska K., *Literatura i pisarze wobec cenzury PRL 1948–1958*, Białystok 2009

Czarnik O. S., *Między dwoma sierpniami. Polska kultura literacka w latach 1944-1980*, Warszawa 1993

Degen D., „...szkodliwe, zdezaktualizowane i bezwartościowe...”. *Zarys działalności Komisji Oceny Wycofywanych Wydawnictw (1954-1956)*, w: *Niewygodne dla władzy. Ograniczanie wolności słowa na ziemiach polskich w XIX i XX w.*, red. D. Dagen i J. Gzella, Toruń 2010

„Dziela” Henryka Sienkiewicza w dokumentach głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk (1948-1954), wybór, oprac. naukowe i wstęp K. Budrowska i K. Kościewicz, Białystok 2016

Eberhardt P., *Migracje polityczne na ziemiach polskich (1939-1950)*, Poznań 2010

Forecki P., *Spór o Jedwabne. Analiza debaty publicznej*, Poznań 2008

Fik M., *Jak oczyszczano biblioteki*, „Puls” 1993, nr 5-6

Głębocki H., *Kresy Imperium. Szkice i materiały do dziejów polityki Rosji wobec jej peryferii (XVIII-XXI w.)*, Kraków 2006

Głogowska H., *Stosunki polsko-białoruskie w XX wieku. Od Imperium Rosyjskiego do Unii Europejskiej*, Białystok 2012

Heska-Kwaśniewicz K., „*Klasyki na indeksie*”. *Z dziejów czystek bibliotek śląskich w latach stalinowskich*, w: *Z dziejów książki i prasy na Śląsku w XIX i XX wieku. Wybrane zagadnienia*, red. K. Heska-Kwaśniewicz, Katowice 1999

Hobsbawm E., Ranger T., *Tradycja wynaleziona*, przeł. M. Godyń, F. Godyń, Kraków 2008

Judt T., *Powojnie. Historia Europy od roku 1945*, przeł. R. Bartold, Poznań 2008

Kondek S.A., *Papierowa rewolucja. Oficjalny obieg książek w Polsce w latach 1948-1955*, Warszawa 1999

Krotoszyński M., *Lustracja w Polsce w świetle modeli sprawiedliwości okresu tranzycji*, Warszawa 2014

Leder L., *Prześlona rewolucja. Ćwiczenia z logiki historycznej*, Warszawa 2014

Leszczyński L., *Skok w nowoczesność. Polityka wzrostu w krajach peryferyjnych 1943-1980*, Warszawa 2013

Literatura i kultura schyłkowego PRL-u, red. K. Budrowska, W. Gardocki, E. Jurkowska, Warszawa 2015

Literatura w granicach prawa, red. K. Budrowska, E. Dąbrowicz, M. Lul, Warszawa 2013

Łaskarzewska H., *Biblioteki warszawskie w latach okupacji. Zasady działania, straty księgozbiorów*, w: *Straty Warszawy 1939-1945*, red. W. Fałkowski, Warszawa 2005

Mateja M., *Mowa umowna. O felietonach Kisiela*, Toruń 2012

Mazur M., *O człowieku tendencyjnym. Obraz nowego człowieka w propagandzie komunistycznej w okresie Polski Ludowej i PRL 1944-1956*, Lublin 2009

Napiórkowski M., *Powstanie umarłych. Historia pamięci 1944-2014*, Warszawa 2016

The Neighbors Respond. The Controversy over the Jedwabne Massacre in Poland, ed. by A. Polonsky and J.B. Michlick, Princeton and Oxford 2004

Nowak P., *Cenzura wobec rynku książki. Wojewódzki Urząd Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk w Poznaniu w latach 1946–1955*, Poznań 2012

Pietrzykowski Sz., *Od procesu Eichmanna do serialu „Holocaust”. Niemieckie zmagania z narodowym socjalizmem*, „Sensus Historiae” 2015, nr 1

Polska 1939-1945. Straty osobowe i ofiary represji pod dwiema okupacjami, red. T. Szarota, W. Materski, Warszawa 2009

Przesiedlenie ludności polskiej z Kresów Wschodnich do Polski 1944-1947, red. St. Ciesielski, Warszawa 1999

Rabiński J., *Skompromitować Powstanie. Zmagania komunistycznej propagandy z Powstaniem Warszawskim 1953-1956*, Lublin 2012

Romek Z., *Cenzura a nauka historyczna 1944–1970*, Warszawa 2010

Sawicki J. Z., *Bitwa o prawdę. Historia zmagania o pamięć Powstania Warszawskiego 1944-1989*, Warszawa 2005

Skórczewski D., „Paliaki, charoszyje chłopcy”, czyli postkolonialne spojrzenie na „Rojsty” Tadeusza Konwickiego, w: tegoż, *Teoria – literatura – dyskurs. Pejzaż postkolonialny*, Lublin 2013

Smulski J., *Od Szczecina do... Października. Studia o literaturze polskiej lat pięćdziesiątych*, Toruń 2002

Snyder T.D., *Czarna ziemia. Holokaust jako ostrzeżenie*, przeł. B. Pietrzyk, Kraków 2015

Sokrat Janowicz – pisarz transgraniczny. Studia, wspomnienia, materiały, red. G. Charytoniuk-Michiej, K. Sawicka-Mierzyńska, D. Zawadzka, Białystok 2014

Strzyżewski T., *Wielka Księga cenzury PRL w dokumentach*, Warszawa 2015

Stola D., *Kraj bez wyjścia? Migracje z Polski 1949-1989*, Warszawa 2010

Sułkowski B., „*Ten przeklęty język ezopowy*”. *O społecznych mechanizmach komunikacji cenzurowanej*, w: *Piśmiennictwo – systemy kontroli – obiegi alternatywne*, red. J. Kostecki, A. Brodzka, Warszawa 1992, t. 2

Szydłowska J., *Narracje pojałtańskiego Okcydentu. Literatura polska wobec pogranicza na przykładzie Warmii i Mazur (1945-1989)*, Olsztyn 2013

Śleszyński W., *Okupacja sowiecka na Białostocczyźnie w latach 1939-1941. Propaganda i indoktrynacja*, Białystok 2001

Tarka K., *Mackiewicz i inni, Wywiad PRL wobec emigrantów*, Łomianki 2007

Torański B., *Knebel. Cenzura w PRL-u*, Warszawa 2016

Winter J., *The Generation of Memory: Reflections on the Memory Boom in Contemporary Historical Studies*, „Canadian Military History” 2001, vol 10, issue 3

Winter J., *Sites of Memory, Sites of Mourning. The Great War in European Cultural History*, Cambridge 1995

Woźniak-Łabieniec M., *Obecny nieobecny. Krajowa recepcja Czesława Miłosza w krytyce literackiej lat pięćdziesiątych w świetle dokumentów cenzury*, Łódź 2012

